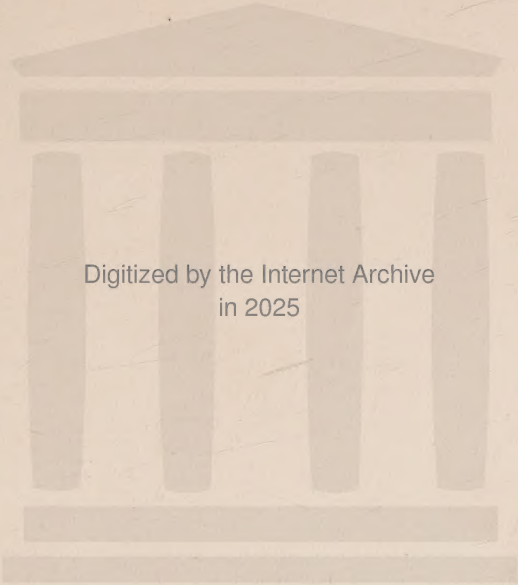

Digitized by the Internet Archive
in 2025

https://archive.org/details/pismahenrykasien0059vari

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM LIX

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

4711
16

Pisma

Henryka Sienkiewicza

TOM LIX

CHWILA OBECNA

CZĘŚĆ II

WARSZAWA
NAKŁAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
(DODATEK BEZPŁATNY)
1903

Дозволено Цензурою.
Варшава, 13 Августа 1903 г.

CHWILA OBECNA

CZĘŚĆ DRUGA

XVIII.

Młodzieniec złoty i pozłacany. — Cyrk. — Benefis pani Salamońskiej. — Benefisy przyszłości. — Pani Keller i trupa francuska. — Giroflé i Girofla. — Profesor Ruchwaldy i afisze. — Do Warszawy. — Czy sposób, w jaki gmina ewangelicka zarządza funduszami, może być powodem dyskusyi literackiej. — Panna i znak zapytania. — Berlińskie sposoby. — Pomarańczowa skórka i literat. — Złe obyczaje. — Saski ogród. — Gaz i roślinność. — Święta. — Stary obyczaj i nowy współzawodnik.

Czy mamy złotą młodzież? Nie, mamy tylko pozłacaną. Prawdziwy złoty młodzieniec szalał, hulał, pił, grał w karty, wyrzucał pieniądze, umizgał się do kobiet, słowem, popełniał mnóstwo głupstw i niedorzeczności, ale miał jedną dobrą stronę. Oto posiadał żywe uczucie honoru, które było dla niego tem, czem jest pochodnia dla błądzącego w ciemnościach, tem, czem jest złamek masztu dla rozbitka, rzuconego na rozhukane fale morskie. Trzymał się honoru oburącz, a choć życie rzucało nim jak piłką, nie puszczał się. To był jego *canon*. Czasem też wedle

herbowej dewizy: łamał się... nie giął się nigdy. Przytem był to zwykle pan z panów; ot! młody orlik z rycerskiego gniazda. Tradycya nie pozwalała mu zbyt zbaczać z drogi, po której chodzili ojcowie. Swoją drogą, jako stateczny obywatel kraju, nie bywał wiele wart, marnował ojcowiznę, ale błądził zwykle głową, nie sercem. Źródłem jego wad, ale zarazem i niektórych przymiotów było, że jak mówi poeta: «Bujnie czuł za trzech ludzi, a więc żył potrójnie». Owóż więc kipiał nadmiarem życia. Owo poczucie honoru nie zawsze umiało go utrzymać na drodze czystej moralności — wcale nie! Nie chroniło go od lekkomyślności, zboczeń i błędów. Bywał wielkim oczajduszą i urwiszem. Biada ci, nieszczęsna a przystojna kobieto, czy to panno, czy wdowo, czy mężatko, jeżeli spotkał cię na swej drodze! Poczucie honoru nie broniło mu usadzać się na twą cnotę. Biada ci także, brodaty Szmulu, Lejbo lub Lejzorze, jeżeli zbyt natrętnie upominałeś się o swoje, krwawą pracą zarobione dziesięć od sta na miesiąc! Często i nie odebrałeś swego na czas, często i nie wyszedłeś na sucho! Jednak toż samo poczucie honoru, tak elastyczne względem następstw buduarowych i Żydów, bywało nader nie elastyczne pod wielu innymi względami. Nie broniło od głupstw, wybryków, szaleństw, błędów, ale broniło od podłości. Złoty młodzieniec spłatał głup-

stwo, ale nie cofnął się, gdy przyszło nadstawić głowy. Sam bałamucił kobietę, ale dał się posiekać w sztuki, gdy chodziło o jej honor. Przytem w żyłach miał ogień zamiast krwi. Pił dobrze, ale bił się jeszcze lepiej. Strzelał się i rąbał, jak prawdziwy szlachcic. Była to dziwna mieszanina szałaputctwa i rycerskości. Gdy przeważała rycerskość, stawał się poetycznym. Prawdziwy złoty młodzieniec ma swoje dzieje. Historya pamięta go, jak strząsając puder i pył bojowy z żabotów, wołał na Anglików: «Panowie, strzelajcie!» Innym razem brał szturmem działa, których nieglansowane rękawiczki wziąć nie mogły. U nas historya złotego młodzieńca ma swoje wieczorynki «Pod Blachą», ale ukazuje go także na spienionym koniu wśród huku dział, dymu i połysków szabel, jak ranny, ociekły krwią, skacząc w nurty rzeki, szepce umierającemi ustami: «Bóg mi powierzył honor mych braci — Jemu go tylko oddam». Powieść u nas znalazła w nim swego bohatera w osobie hr. Wilczka. Przysłowie mówi: «Krew, jak dobre wino — burzy się za młodu, tężeje na starość». Słowem, złoty młodzieniec ma swoje cechy, swoją tradycyę, swój poetyczny urok, który tem poetyczniejszym się staje, że zwolna pyłem czasu się pokrywa, zwolna zmienia się we wspomnienia, z któremi teraźniejszość i nie idzie, i nie może iść w porównanie.

Albowiem złoty młodzieniec należy już do historyi. Obecnie istnieje tylko młodzieniec pozłacany. A wiecie, czem się różni ten ostatni od poprzedzającego? Oto ma wszystkie jego wady, a nie ma jego przymiotów. Proszę was, czy widzicie tego pseudo-dżentlemena, który oto jedzie na koniu? Kapelusz ma nasunięty na tył głowy, plecy zgarbione, twarz bladą, a nogi tak wysunięte naprzód i tak palcami odwrócone od konia, że zdaje się jakoby nogami blogosławił biedne, chude a długie zwierzę, podobniejsze do przęślnicy niż do bożego stworzenia. Oto dzisiejszy złoty, a raczej pozłacany młodzieniec. Powiedzcież, czy ten dżentlemen ma w sobie coś rycerskiego? Nic! on ma raczej w sobie coś znudzonego. Blady jest, bo nie spał całą noc; nie spał, bo gdzieś w pobliżu Królewskiej grał w karty i przegrał kilka tysięcy rubli. Przytem widocznie jest dziś nie w humorze, może dlatego, że kiedy wstał, to jest o godzinie pierwszej w południe, odebrał jakiś niesmaczny list od plenipotenta dóbr swoich. Jak to, więc on ma dobra? Ma, albo lepiej: miał — i to nie małe. Po ojcach została mu fortuna, co się zowie szlachecka, ale widzicie, jakieś tam trzy części już poszły. Stracił je i, co gorsza, sam nie wie na co stracił. Przegrał wprawdzie sporo, ale nie na grę większa część poszła, ale ot tak, rozlazła się. Żeby był szalał pełną piersią, żeby był wychylił do dna kielich rozkoszy,

ale rozkoszy potężnej, palącej jak płomień, a estetycznej — mógłby przynajmniej kiedyś, robiąc obrachunek z życiem, powiedzieć jak Salomon: Wszystkiegom użył, wszystko widziałem etc. Ale gdzie tam! ten dżentlemen nie umiał nawet i używać. Czy wiecie na kogo tracił i komu zadawał szyku? Oto kelnerom w hotelu, garsonom w restauracyach. Zdarzało się także, że kataryniarzom wyrzucał po sto rubli przez okno. Kosztowali go także niemało guwernerowie, którzy wprowadzali go w życie i obznajmiali z jego tajnikami. Kosztowały go także niemało przedwstępne kroki do serc prymadon baletniczych, które w końcu — o złośliwości ludzka! — wystrychnęły go na dudka. Zresztą sam nie wie, gdzie mu się wszystko jakoś podziewało. Ale prawda! raz musiał dobrze zapłacić skoczka na linie, czy na koniu, od którego, jak twierdzą złe języki, podobno coś oberwał za umizgi do jego żony. I cóż myślicie? Twierdzą, że zniósł to z rezygnacyą! Ha! *tempora mutantur et nos mutamur in illis*: Z jakim przestajesz, takim się stajesz; kto więc żyje za pan brat z klownami, ten się nie obraża o lada co, gdyż, jak wiadomo, klowny nieraz się biją między sobą, a jednak nie obrażają się na siebie. Ale owóż teraz rozumiecie zapewne różnicę między złotym a pozłacanym młodzieńcem. Tamten przy swoich wadach dumny był jak szatan i rycerski, ten

jest mniej dumny i mniej rycerski, a jeżeli jest i rycerski, to chyba względem dam cyrkowych.

Co jednak prawda, to prawda: względem dam cyrkowych jest jeszcze rycerski. Oto jeżeli się zdarzy jaki cyrkowy benefis, to dzisiejszy pozłacany młodzieniec płaci, choćby po sto rubli za lożę. Trzeba się przecie pokazać. *Noblesse oblige*, mówi francuskie przysłowie, a przecie benefisy nie zdarzają się codzień.

Tak jest. Nie zdarzają się one codzień, jednak przy dobrej woli cyrku i publiczności mogą być dosyć częste. Oto naprzykład, mieliśmy niedawno benefis pani Salamońskiej. Na pierwszy rzut oka dziwny to nawet benefis, boć zdaje się, że p. Salamońska, jako żona właściciela cyrku, ma codzień benefis. Bodajże cię! prawda! Jużci dochody z cyrku codzień idą dla p. Salamońskiego i p. Salamońskiej, ale swoją drogą benefis ma tę racyę bytu, że podczas zwykłego przedstawienia płaci się np. loża rubli sześć, a podczas benefisu tak pełnej wdzięków osoby nie wypada szykownej młodzieży dać mniej za lożę, niż rubli srebrem sto. Rozumiane w ten sposób, benefisy wydają się tak racyonalne, że nikt nie powinien się dziwić, jeżeli w przyszłości będzie drugi benefis p. Salamońskiego, trzeci małego Fredego Salamońskiego, a czwarty tych nawet jeszcze mniejszych od Fredego istot, któremi dobrotliwa Opatrzność

może w przyszłości obdarzyć pana i panią Salamońskich.

Tymczasem, nim owe przewidywane benefisy nastąpią, ważne zmiany gotują się w cyrku. Większość osób, składających go do dziś, wyjeżdża, a natomiast przyjeżdżają nowe siły, aby emulować z teatrem, z teatrzykami ogródkowymi i ze wszelkiego rodzaju mniej więcej przyjemnemi i mniej więcej kosztownemi widowiskami, jakiemi obdarza nas corocznie sezon letni.

Z teatrem, a raczej z dwoma, stojącymi naprzeciw ratusza, emulować co lato nie trudno. Dziś już usiedzieć tam niepodobna, a cóż dopiero, gdy nadejdą coroczne upały i poczną wygrzewać grube, ciężkie i zaduszne mury pomienionych gmachów. A jednak znajdują się odważni przedsiębiorcy, którzy chcą przez lato urządzać tam widowiska. Pisma doniosły przed kilku dniami, że przybywa trupa francuska pod dyrekcyą pani Keller i będzie dawała przedstawienia w teatrze Wielkim. Widocznie pani Keller albo nie lęka się gorąca, albo jak większość Francuzów, sądzi, że u nas zima trwa dziesięć miesięcy, a wilki i niedźwiedzie latają po ulicach, napadając niebacznych przechodniów.

Zanim wszakże Francuzi przyjadą, w teatrze — zapewne w letnim — mają niezadługo wystawić buffę Giroflé i Girofla. Nie przesą-

dzając muzyki tej operetki, o której nasz specyalny sprawozdawca muzyczny wyda zapewne sąd odpowiedni, pomówimy o samem librecie sztuki. Donoszą, że jeden z tłómaczów już podobno zajął się przekładem tego arcydzieła, które przed rokiem mieliśmy sposobność oglądać na jednej ze scen zagranicznych. Przypominamy sobie, iż z trudnościąby przyszło między wszystkiemi libretami buff znaleźć choć jedno równie niedorzeczne. Pewni rodzice — ojciec safanduła, matka Herod — mają dwie córki Giroflé i Girofla, podobne do siebie jak dwa ziarnka grochu. Obie panny wychodzą jednocześnie za mąż: jedna za przystojnego Hiszpana, druga za Maura czy Murzyna, prawdziwego afrykańskiego goryla, który ryczy zamiast mówić, wyszczerza zęby, ustawicznie wydobywa z za pasa jatagany; słowem: gotów bić, zabijać, kaleczyć z lada powodu. Tymczasem, natychmiast po ślubie, korsarze porywają oblubienicę goryla. Na szczęście jednak, goryl nic o tem nie wie. Ale rodzice boją się mu powiedzieć, gdyż natychmiast uczyniłby z nich jatki. Cóż się więc dzieje? Oto pozostała Giroflé udaje zarazem i porwaną siostrę. Rodzice szukają porwanej na gwałt, a tymczasem tak manipulują pozostałą, żeby każdemu z nowożeńców zdawało się, że jest w posiadaniu swej małżonki. Hiszpan jednak, który wie, co się dzieje, warunkowo zgadza się tylko na taką rolę dla

swej żony; całem więc staraniem rodziców jest, żeby zastępstwo owo nie wyszło z pewnych nader umiarkowanych granic. Tymczasem innego widocznie zdania jest czarne bydlę afrykańskie, które ryczy na widok nadobnej swej małżonki i nie rozumie, dlaczego ustawicznie ktoś mu włazi w drogę. Gniew jego wzrasta i już już ma się zmienić w ogólną rzeź, gdy na szczęście zatracona Girofla znajduje się, i wszystko kończy się pomyślnie. Taka to akcya i jej perypetye stanowią treść tej sztuki, którą się Francuzi i Belgijczycy zachwycają, a którą, prawdopodobnie, skłonna do zachwytów Warszawa niemniej zachwycać się będzie, zwłaszcza jeżeli świetność wystawienia dorówna choć w części zagranicznemu.

Co do innych nadzwyczajności, które ustom naszym ani razu przez całe lato nie dozwolą się zamknąć, niepoślednie miejsce zajmuje także słynny magik i czarodziej indyjski, profesor Ruchwaldy, którego przyjazd zapowiadaliśmy naszym czytelnikom w jednym z poprzednich odcinków. Obecnie przyjazd ten zapowiadają już afisze. Na afiszu przedstawiony jest w drzeworycie sam profesor Ruchwaldy, jak trzyma w ręku swoją własną głowę, która to sztuka ma stanowić kwintesencyę jego przedstawień. Sztuka, nie ma co mówić, jest piękna; sądzimy jednak, że wkrótce i my potrafimy jej dokazać. Teraz

profesor trzyma się za głowę, gdy zaś odjedzie, wówczas porachowawszy, ile od nas wyniósł grosiwa, my porwiemy się za głowę, profesor zaś będzie trzymał się za kieszeń. «O miły Albionie mój! — woła, mówiąc o Anglii, Thackeray — kiedyż nauczysz się trzeźwo patrzeć na rzeczy i miotłę poczniesz nazywać miotłą!!» Miła Warszawo! — wykrzykuję i ja śladem Thackeraya — kiedyż nauczysz się trzeźwo patrzeć na rzeczy i nie pozwolisz się wyzyskiwać wszelkiego rodzaju drapichróstom i wydrwigroszom! Oto niedawno kazali ci płacić za słuchanie, jak wyją psy niemieckie przy fortepianie; a gdy się wreszcie za swoje pieniądze przekonałeś, że przy fortepianie wyją tak, jak i bez fortepianu, czyli że przy fortepianie wyją tak samo, jak przy śmietniku na podwórzu — czego zresztą zawsze darmo możesz słuchać, — gdy to mówię minęło, przyjechał Gassner. Gdy ten, dawszy ze dwieście nieodwołalnych przedstawień, wyjechał — przyjeżdża z zapasową głową Ruchwaldy. Widzisz, on ma zapasowe głowy — a iluż z pomiędzy mieszkańców...

No, to znowu inna kwestya, której wolę nie poruszać, w obawie, aby nożyce nie ozwały się echem na jakim stole... choćby redakcyjnym. Nie mówi się o pewnych rzeczach bez niedyskrecyi. Z drugiej strony wiadomo, że np. gdzie panuje epidemia, tam również nie mówi się o niej

wcale, albo przyciszonym głosem, z palcem na ustach. Nie czynię tu żadnych zastosowań, ale wolę być ostrożnym, albowiem od czasu, jak dowiedziałem się, że sposób, w jaki gmina ewangelicka zarządza swymi funduszami, nie może być przedmiotem dyskusyi dziennikarskiej — doprawdy sam nie wiem, o czem mówić wypada, a o czem nie wypada. Patrzcie państwo! A ja właśnie myślałem, że sposób, w jaki gmina nietylko ewangelicka, ale i każda inna zarządza swymi funduszami, nietylko może być, ale i powinien być przedmiotem dyskusyi dziennikarskiej. Rozumowałem tak: gmina otrzymuje zasiłek z loteryi fantowej; na loterye fantowe uczęszczają, bez różnicy, zwolennicy wszelkich wyznań, ani jedno bowiem wyraźnie uczęszczać na fantowe loterye nie zabrania. *Ergo* gminie zasiłek daje publiczność, *ergo* publiczność ma prawo wiedzieć, w jaki sposób gmina zasiłku używa, oraz jakie są najlepsze używania go sposoby. Że zaś, nakoniec, publiczność może dowiedzieć się o tem przez prasę, zatem prasa ma prawo i obowiązek o podobnych rzeczach dyskutować.

Zdaje się, że wniosek prosty i logiczny, a jednak — jak to pozory mylić mogą! Widocznie, jak np. w Miechowie rajcy mają swój własny, miechowski smak artystyczny, który im każe starożytną kościelną kopułę nowożytną statuą

przeciążać, jak w Lublinie i w każdem mieście istnieje miejscowy rozum, tak i w Warszawie każda gmina ma swoją własną logikę, w niczem od ogólnej niezależną. Taka decentralizacya logiczna może mieć nawet swoje dobre strony; dla mnie jednak, jako dla felietonisty, wielce jest niedogodną, nakazuje mi bowiem każdą rzecz inną mierzyć miarą i odbiera zaufanie w felietoniczną wolność mówienia o wszystkiem, o czem mi się tylko mówić podoba.

Onieśmielony w ten sposób, nie wiem np., czy wypada stawić mi pytanie koleżance mej, pannie felietonistce z *Kuryera Codziennego*, dlaczego pisząc bez żartów wcale żywo, ładnie, a będąc przytem panną, podpisuje się znakiem zapytania. Wogóle i panna i znak zapytania, który nie wiadomo, czy przeszłość, czy teraźniejszość, czy przyszłość, czy nakoniec sumę posagową ma wyrażać, jest to kombinacya nadzwyczaj mało sympatyczna i bardzo mało budząca zaufania. W dzisiejszym sceptycznym wieku może to jej, to jest pannie, nazawsze zagrodzić losy, które z pomocą pisania felietonów tylko w nader niedokładny sposób dadzą się ubezpieczyć.

Tak jest! nad nazwą warto nieraz dobrze się zastanowić, albowiem nazwa to rzecz niemała. Gdybyśmy np. nie byli dowiedzieli się uroczyście, że ulica Mazowiecka została przebrukowana na sposób berliński, bylibyśmy pewni,

że jadąc np. po owym bruku dorożką, przycinamy sobie skutkiem trzęsienia zębami język w sposób arcy krajowy, nie zagraniczny. Nie mielibyśmy tej pociechy, którą teraz mamy, że jednak nie rdzewiejemy w pyle, ale idziemy naprzód, wprowadzamy u siebie ulepszenia zagraniczne, które, potykając się na berlińskim bruku, spotykamy i przypominamy sobie na każdym kroku.

A chodzenie po naszych brukach i chodnikach tem obecnie jest niebezpieczniejsze, że zbliża się lato; tanieją pomarańcze, a zatem coraz większa ilość pomarańczowych skórek będzie nam się plątała pod nogami. Oto niedawno z powodu pomarańczowej skórki o mało nie stał się ofiarą wypadku jeden z najstarszych literatów warszawskich. Wywodzi się z tego i piękna nauka moralna, jak to czasem najmniejsza rzecz bywa upadku wielkości przyczyną, i jak okropne są skutki płochości amatorów pomarańcz, którzy, jedząc je na ulicy, nie chowają skórek do kieszeni, czem i gospodarstwu domowemu szkodę przynoszą, i bliźniego upadku mogą być przyczyną. A więc:

Dziatki przestańcie, bo się źle bawicie:
Dla was to jest igraszką, nam chodzi o życie!

a przynajmniej o nogi i nosy, których sobie rozbijać nie mamy wcale ochoty. Zły to zwyczaj,

ale ileż to jest złych zwyczajów, o których poprawę napróżno wołamy *de profundis!* A naprzykład ogony damskie, a rzucanie niedopalonych cygar i papierosów, a wiele innych? W Saskim ogrodzie już od ogonów kurz — całe tumany nawet, a cóż to będzie później, gdy nadejdą upały — gdy resztki wilgoci wyschną — prawdziwe płucobójstwo, wołające o pomstę do nożyc, z pomocą których możnaby się od ogonów uwolnić.

Ach, ten ogród Saski! Wystawcie sobie, mimo wysileń zarządu, mimo starań i najtroskliwszej opieki, mimo odzierania drzew z kory, obijania starą blachą, obcinania gałęzi... rozwinął się i zazieleniał. Że też to jednak przeciw sile natury przy najlepszych chęciach nic poradzić nie można! Zazieleniał, rozwinął się, niezadługo zakwitnie — i cóż z nim zrobisz? Ptaki także zdrowe. Piją wodę jakby nic, a co który cały zapas wypije to poczekawszy z godzinkę dla drugiego wróbla się nasączy i tak *langsam, langsam, aber gut*. Do zbytku nie trzeba ich przyzwyczajać — po co się mają rozpijać?

W tych czasach przeprowadzają w ogrodzie rury gazowe. Dotychczas Zarząd mniemał, że istnienie rur, a raczej gaz w nich zawarty, nie zmiernie szkodzi roślinności; obecnie jednak Zarząd zmienił zdanie, albowiem ktoś zwrócił uwagę Zarządu, że jeśli gaz zamknięty jest w rurach

tedy z roślinnością nie może mieć najmniejszego ani bezpośredniego, ani pośredniego związku, a zatem nie może jej szkodzić. Zarząd, puściwszy w ruch odpowiednie organy myślenia, doszedł po lekkiem wysileniu pomienionych organów do tego samego wniosku, i obecnie rury złożone w ogrodzie zostaną lada dzień zakopane, a prawdopodobnie byłyby już zakopane, gdyby nie święta.

Owe święta przypominają mi, że wypadałoby zdać jeszcze sprawę naszym czytelnikom z zabaw i uroczystości na Bielanach. Brak jednak miejsca nakazuje nam odłożyć na później sprawozdanie. Miały owe zabawy współzawodnictwo w zabawach Ujazdowskich. Starożytny obyczaj musiał walczyć z nowym, ale jeszcze stary zwyczaj odniósł zwycięstwo właśnie dlatego, że jako starszy, milszym był sercom Warszawian. Czy w przyszłości tak będzie? Zapewne. Zresztą potem o tem.

Gazeta Polska, 1875, Nr. 105 z dnia 18 maja.

XIX.

Historya wąsów. — Hołdy mazowieckie. — Co będzie dalej? — Ruchwaldy. — Sezon letni. — Ogólna ociężałość. — Ciało kupieckie. — Reprezentanci. — Zarząd szpitala na Pradze i fantowa loterya w parku Aleksandryjskim. — Telegrafiści. — Depesze. — Sezon pożarny.

Kiedy pewnego poranku młody jeden tutejszo-krajowy dżentlemen, który udawał angielskiego lorda, to jest bawił się w ten sposób, że się nudził, wyjrzał przez weneckie okno na dziedziniec swego pałacu, ujrzał tam widok, na który zimno go przeszło od stóp do głowy.

A jednak w widoku owym nie było napozór nic okropnego. Na dziedzińcu stangret Jan czyścił spokojnie elegancki angielski powozik. Powozik był jakby prosto z igły, a Jan nie mógł obrazić niczyich oczu. Chłop był rosły, piękny, pleczysty, prawdziwy mazur — do koni sprawny. Na koźle wyglądał jak świeca. Polewał oto sobie właśnie wiaderkiem koła powozu czystą wodą, a polewając nucił po mazowiecku:

Kiedy orzech czerwienieje, czerwienieje!...

Chwilami przerywał robotę, odstępował parę kroków, przypatrywał się z zadowoleniem kołom, a potem śpiewał znowu:

Kiedy orzech czerwienieje! czerwienieje!...

— Dżon! — zawołał po angielsku tutejszokrajowy lord.

Ale Jan dwa dni dopiero był w służbie, nie zrozumiał, że to do niego — chlusnął jakby nigdy nic wodą na koła i śpiewał:

Kiedy orzech czerwienieje! czerwienieje!...

— Jan, do milionset d...

— Słucham jaśnie pana.

— Co to jest? — spytał lord, wyciągając rękę w kierunku nosa Jana.

Jan spojrzał na siebie, na pana i nie wiedział o co chodzi.

— Co to za obrzydliwe wąsy! — mówił dalej lord Goddam. — Zgolić mi to natychmiast! Rozumiesz? Zgolisz, albo ze służby!

Janowi markotno się jakoś zrobiło na duszy. Bo żeby on to przynajmniej zrozumiał, dlaczego mu kazali golić wąsy? No! — ale on obyczajów angielskich nie znał. On sobie myślał, że toć to wstyd, by zasie taki chłop rosły miał gołe jak pięść lice i rozumował sobie po mazowiecku, że «przez obrazy Boskiej» wąsisków

obrzynać nie może. Bah! Ale tu inaczej służbę stracisz, a tu służba dobra. Podrapał się nieboraczysko w głowę — co zresztą było także bardzo *shoking;* skłonił się panu i, nie rzekłszy słowa, odszedł kończyć mycie powozu. Ale kończąc mycie, myślał i myślał. Służba bo to i dobra, ale i obraza Boska także nie żarty. A przytem myślał sobie jeszcze Jan, żeć on to nie żaden «mechanik ni fizyk», by się miał na śmiech ludzki podawać. Ot i ta np. Jagusia, pokojówka od jaśnie pani, co to się tak uśmiecha do niego, że ile razy na nią spojrzy, to mu się tak miło robi, jakby się napił czego gorącego — co ona powie, jak go bez wąsów zobaczy? Wyśmieje chyba, wyśmieje, jak Bóg na niebie! Ha! trudna rada. Niejeden pałac na świecie, niejeden pan i niejedna służba. Niech się więc dzieje wola Boża — myśli — trzeba będzie podziękować za służbę.

Jak pomyślał, tak i zrobił, choć mu żal było. Szczęściem, niedługo poczekawszy, znalazł sobie drugą służbę. Nie była ona tak dobra, jak pierwsza, bo choć równie dobrze płatna, ale, jak miarkował Jan, nie u takiego wielkiego pana, tylko u kogoś innego. Co tu jednak przebierać? Dzięki Bogu i za taką. Myślał już Jan, że się wybawił z kłopotu, aż tu po dwóch dniach wołają go do pana.

— Co ty Jan? — mówi nowy pan do niego. — Co ty Jan? Co ty sobie myślisz z takimi wą-

sami? To nie jest eleganckie. To nie jest żaden szyk, to wcale nie jest po angielsku. Ty Jan musisz mi zaraz takie wąsy ogolić, bo inaczej ja czebie ze służby wypędzę.

W Jana jakby piorun uderzył. Wyszedł z pokoju, grzmotnął czapką o ziemię. Biedak nie wiedział, że nowy pan daleko jeszcze ściślej trzymał się mody niż dawny. Zapłakał mazur nad swoimi wąsami. Ale cóż tu i robić? przecie nie pójdzie kraść, ani żebrać. Przecie z głodu nie może umrzeć. Ha! Raz kozie śmierć, mówi chłopskie mazowieckie przysłowie. Pod wodę nie popłyniesz. Wziął więc Jan czapkę i poszedł do cyrulika.

Cyrulik spojrzał się nań podejrzliwie. Ogolić wąsy? Hm! hm! bardzo dobrze! Kto jednak chce takie piękne wąsy golić, ten dyable musi mieć do tego przyczyny. Po ogoleniu takich wąsów, ani rozpoznasz, że to ta sama twarz, — ale właśnie może o to chodzi, żeby twarzy nie rozpoznać.

Cyrulik rozrobił więc mydło, ale poprzednio szepnął coś chłopcu do ucha, potem uchwycił klasycznie Jana za nos, umalował mu dobrze pół twarzy na biało i począł golić.

Gdy skończył, spojrzał Jan w lustro i aż za głowę się pochwycił. Oj! dolaż jego, dola! A toć on do stworzenia Boskiego niepodobny, a Jagusi to się już i na oczy nie pokaże. Radby zapła-

kał był; ale że wstyd przy ludziach, zapłacił więc, i chce wychodzić, aż tu:

— Stój!

Jezus, Marya! i anieli niebiescy! a toż to policya go bierze. — Jak? co? za co? dlaczego? Prowadzą go — sam nie wie dokąd. Mówią, że kogoś zabił, czy coś podobnego? Nic nie pomoże. Przyszła widać ostatnia jego godzina. Zaprowadzili go do sędziego, aż tam pytania, badania, a potem śmiech, i dopiero cała sprawa się wyjaśnia.

Oto jest historya Jana, za której autentyczność ręczymy. Całą tę sprawę możnaby jeszcze nazwać historyą mazowieckich wąsów, złożonych na ołtarzu mody angielskiej.

Czy wielki magik da jeszcze jakie przedstawienie? godzi się wątpić. Sala w resursie kosztuje, a tu na wypadek wyczerpania się pieniędzy do domu ma daleko; darmo zaś nawet największym magikom nigdzie na świecie jeść nie dają. Powodem jego niepowodzeń jest także, a może przedewszystkiem gorąco, jakie panuje w sali resursy, gorąco bez porównania bardziej indyjskie, niż sztuki pana Ruchwaldy. Magikowi jednak prawdopodobnie mimo tego gorąca zimno się zrobiło na widok liczby widzów.

Sezon letni zbliża się już na dobre. W życiu miasta cechuje się on brakiem faktów, około których snuć można przędzę felietonową i pewną

ociężałością, ogarniającą tak oddzielne jednostki jak i całe, choćby najpoważniejsze korporacye. Czy podobnej ociężałości na skutek upałów uległo ciało kupieckie miasta Warszawy? trudno zaiste stanowczo orzec. Inni twierdzą, że jest to stan normalny ciała, z którego nie wychodzi nigdy. Co do nas, nie chcemy robić z tego wielkich rzeczy. Że z dziewięćdziesięciu reprezentantów tegoż ciała, mających obowiązek brać udział w zgromadzeniach wyborczych, zasiada na owych posiedzeniach tylko po czterdziestu, niekoniecznie dowodzi to jeszcze ociężałości. Dlaczegoż nie mamy przypuścić np., że reprezentanci ciała kupieckiego tak są przeniknięci duchem zgody i jednomyślności, że czy ich przyjdzie na posiedzenie dziewięćdziesięciu czy dziesięciu, rezultat zawsze będzie jednakowy i łatwy do przewidzenia? Jest to nawet tem prawdopodobniejsze, że tylokrotnie rzeczywistość sprawdzała już podobne przypuszczenia. Zdarzyło się raz na pewnem posiedzeniu zbiorowem, że gdy prezes zapowiedział: Panowie, kto się nie zgadza, niech siądzie; kto się zgadza, niech podniesie ręce! — całe zgromadzenie naraz naprzód usiadło, a potem podniosło ręce. Poprostu zgromadzenie zdrzemnęło się odrobinkę i zbudzone dość nagle, sądziło, że trzeba uczynić jedno i drugie. Zresztą weźmy na rozum: jeżeli chodzi o drzemanie na posiedzeniach, to czyż nie wszystko

jedno, czy drzemać czterdziestu ośmiu, czy dziewięćdziesięciu? W niczem nie trzeba pedanteryi, a tu tem więcej, że mniejsza liczba może się również pożytecznie wywiązać z zadania, jak i większa. Jeżeli zaś chodzi o to, żeby nie spać, a zatem tylko poziewać, to tembardziej wszystko jedno, czy dziewięćdziesiąt, czy czterdzieści ust na korzyść się otwiera i zamyka. Przy wyborach kupieckich niema zwykle ułożonego programatu, nie tworzą się komitety wyborcze, na co narzekania odzywają się od czasu do czasu w gazetach. Ależ, moi panowie, ileż to roboty? Czyż nie lepiej i nie wygodniej jest przyjść na posiedzenie, wziąć od kogo listę, podkreślić dwa lub trzy nazwiska, pierwsze z brzegu, a potem wrócić do sklepu, czy do innego jakiego zajęcia, byle być u siebie, nie zaś pocić się w ścisku, w którym gildyi nawet rozpoznać nie można.

Spodziewamy się, że ciało kupieckie, a raczej ci jego reprezentanci, którzy na zgromadzeniach wyborczych nie bywają, których tak obchodzi, kto będzie starszym zgromadzenia lub sędzią trybunału, jak mnie: co myśli Zarząd gminy ewangelickiej o prawach prasy; spodziewam się, powtarzam, że ci będą mi wdzięczni za walkę, jaką w ich imieniu z pewnym, nie dość dyskretnym wyborcą stoczyłem. Spodziewam się również, że nie zaprzeczą mi prawa

mówienia o tem, w jaki sposób odbywają się posiedzenia wyborcze; w takim razie bowiem musiałbym obszerniej praw swych do mówienia o tak ważnym przedmiocie dowodzić, co znowu mogłoby sprowadzić nowe zatargi między prasą a pomienionym zarządem gminy ewangelickiej, który raz już w imieniu podobnej sprawy kruszył kopię.

A propos gminy, szpitala i dobroczynności niechaj nam wolno będzie wspomnieć choć kilku słowy o projektowanej loteryi fantowej w Parku Aleksandrowskim na korzyść szpitala praskiego. Co to jest ten szpital praski? Oto ostatni nieraz przytułek największych biedaków, najuboższych mieszkańców Pragi. Życie ich nieraz głodne a chłodne, jak fale wiślane, zarobek nie częsty, a praca, gdy się zdarzy, to ciężka. Dużo, dużo kryje się prawdziwej nędzy na Pradze, ale że nie tak stoi na oczach, więc mniej o niej wiemy, a co prawda mniej ją wspomagamy. Nawet i pracująca ludność robotnicza uboższa tam jest niż w Warszawie. Gdy przyjdzie choroba, nędza zagląda do izby najpracowitszego nawet robotnika. Wówczas już tylko szpital pozostaje, jako ostatnia na ziemi pociecha, jako ostatnie schronienie. A gdy szpital nie ma miejsca, lub nie ma funduszów, gdy nie może przyjąć chorego, wówczas los jego staje się nad wszelki wyraz twardym i rozpaczli-

wym. Sympatyczny więc to cel loterya na korzyść szpitala, i mamy nadzieję, że Warszawa zechce ją poprzeć. Panie miłosierne mają piękne pole do zużytkowania swego czasu i pracy. Loteryi niezmiernie chodzi o fanty; dowiedzioną jest bowiem rzeczą, że tylko wielka ilość i dobór fantów ściągają liczniejszą publiczność, która pragnie bawić się, ale przedewszystkiem coś wygrać. Owóż więc zbieranie fantów, dostarczanie ich zarządowi loteryi jest największą pomocą, z jaką można mu przyjść w tej chwili. W sam dzień loteryi nie zbraknie zapewne chcących przyjść z pomocą przez kupowanie największej liczby biletów.

Wreszcie sami mieszkańcy Pragi mogliby już dostarczyć niemałego kontyngensu. Urzędnicy drogi żelaznej Petersburskiej, a zwłaszcza Terespolskiej, urzędnicy biurowi, a nakoniec telegrafiści w loteryi najżywszy zapewne wezmą udział.

A propos telegrafistów, ale nie praskich, tylko warszawskich, z ulicy Królewskiej — czy czytaliście w gazecie naszej pochwały, oddawane nadzwyczajnej ich uprzejmości względem interesantów, przychodzących telegrafować! Ta uprzejmość dochodziła już w ostatnich czasach do tego stopnia, że niejeden wolał zrzec się wysłania depeszy, byle nie być wystawionym na dowody tak wielkiej grzeczności, która mi-

mowoli dawała mu do myślenia, czy telegrafowanie czyli wogóle wysyłanie depesz nie jest czasem istotnie czemś nagannem, zasługującem na lekceważenie i pogardę ze strony samychże telegrafistów. Ale mniejsza już o telegrafistów, od których przejdźmy do telegrafów, czyli do depesz o pożarach, jakie z wielu stron poczynają przychodzić z prowincyi. Jesteśmy w sezonie, któryby można nazwać pożarowym. Tu i owdzie, w miejscach aż nadto wielu syczały już płomienie pożerającego żywiołu. Klęska ta, niby zaraza, nawiedza nas teraz corocznie — ale zaraza sama przychodzi i odchodzi — pożogę zaś najczęściej chciwość lub złość ludzka sprowadza. Miliony i miliony idą z dymem corocznie — a ileż to łez i nędzy ludzkiej woła corocznie o pomstę do nieba? Tak, jesteśmy w strasznym sezonie pożarowym. Wiosna uśmiecha się nam z nieba; świeci przejasne słońce, bzy kwitną, wszystko się weseli, odżywia i cieszy — jednocześnie czyha na nas wróg — ogień. Nie zasypiajmy więc i pomnijmy, że tylko czujnością, energią i własną pomocą możemy się od niego wybawić lub spustoszenia jego zmniejszyć.

Gazeta Polska, 1875, Nr 110 z dnia 24 maja.

XX.

Piękne widoki. — Procesye. — Wielkości widziane na odległość. — Na wyżyny! — Teatr letni. — Ciemności i naftowe latarnie. — Poranek dramatyczny. — Kopernik. — Teatry ogródkowe. — Charakterystyka. — Teatry jako szkoły. — Dumas syn. — Do dyrektorów. — Cyrk Salamoński, Warszawianin i ogród Zoologiczny. — Fantowa loterya. — Rozhukane miłosierdzie. — Panna Marie. — Profesor Ruchwaldy. — Cygan w Łazienkach.

Jeżeli dawno, mój czytelniku, nie pasłeś oczu swych pięknym widokiem, tedy daj mi rękę i pójdź za mną. Wejdziemy na jaką wieżę, naprzykład na Świętokrzyską, i z tej wysokości spojrzymy na miasto. A wszak to dziś dzień Bożego Ciała. Na dole w mieście zwykle oczom tak ciasno, piersiom tak duszno, a nudno, a smutno! Dlaczegóż choć raz nie odetchnąć swobodniej, nie potoczyć okiem szerzej?... tam taka samotna, powietrzna wyżyna! Pójdźmy!

Otóż już i jesteśmy. Pod stopami naszemi biegnie łukowato zagięte ku Wiśle Krakowskie Przedmieście. Widać wszystko jak na dłoni. Pod

nami Kopernik z globusem w ręku, jakby z tęsknotą spogląda ku górze — dalej szeregi domów, a dalej jeszcze na końcu ulicy król Zygmunt z mieczem i krzyżem, których już nie rozeznać z odległości. Dziś uroczystość Bożego Ciała, więc na ulicach stoją ołtarze; widać ich szereg cały. Strojne w kwiecie i zieloność widnieją niby majowe wysepki. U stóp ich rozlewa się ogromna czarna fala ludu, która kołysze się zwolna, a rośnie i potężnieje z każdą chwilą.

Ach! jakże widać wszystko dokładnie! Oto procesya rusza w tej chwili. Pod czerwonym baldachimem postępuje zwolna ksiądz z monstrancyą. Fala ludu porusza się: widać dziewice w bieli, sypiące kwiaty przed baldachimem; szeregi świateł jarzęcych migocą błędnymi płomykami, nad ciemną masą ludu wyskakują w górę, niby różnobarwne kwiaty, chorągwie cechowe. Światła, dymy kadzideł, deszcz kwiatów, wołanie dzwonków i dzwoneczków, gwar i uniesienie uroczyste, wszystko to upaja i podnosi duszę ku niebu. Rozkołysano wielkie dzwony, jakby na gwałt; zda się, powietrze samo drży śpiżowymi tonami, a wiatr niesie je daleko, daleko, za Wisłę, na pola okoliczne, na bory, na lasy... Chwilami, jakby zgięty kłos, chylą się przed Sakramentem światła i barwiste chorągwie; z piersi tłumów zerwie się pieśń ogromna: «Do Ciebie, Panie!» Słowa łączą się z biciem

dzwonów, mącą się z dymami kadzideł i niby wielki chorał, złożony ze słów, dymów i śpiżowych dźwięków, na skrzydłach wiatru lecą ku niebu. Chwilami znowu cichną i dzwony i pieśni. Cisza! zda się, że słyszysz szelest trącanych powiewem listków brzezinowej gałązki zdobiącej ołtarz. Nad miastem przelatują drobne pierzaste chmurki, światło słoneczne łamie się na gzymsach murów, ołtarzów, na złoconych dzidach chorągwianych; czasem silniejszy powiew targnie raz i drugi chorągwią — i znów cicho. Są to chwile niby skupienia wewnętrznego, niby pobożnych rozmyślań, albo też pobożnych zachwytów. Wielka kopuła niebieska zdaje się gdzieś, w niezmiernych głębokościach, uśmiechać dobrotliwie, poważnie a kojąco. Dlatego takie chwile ciszy zdają się zarazem chwilami ukojenia i słodyczy, przejmującej wszystkie serca.

Zwolna jednak kończy się wszystko; ludzie poczynają się rozchodzić; bruk, przed chwilą jeszcze zupełnie pokryty stopami ludzkiemi, poczyna się wychylać coraz większymi płatami, chorągwie i światła znikają, ulice puścieją coraz bardziej i wreszcie wszystko poczyna przybierać zwykłą miejską barwę, niezbyt uroczą i niezbyt poetyczną.

Ale nie opuszczajmy jeszcze choć przez chwilę naszej powietrznej wyżyny. Jakże tu

musi być dobrze i pięknie wieczorem, gdy słońce kłoni złotowłosą głowę za krańce widnokręgu, a na ciemnym wschodzie błyska jedna i druga gwiazda! W mieście znów ruch się wzmaga; chodnikami płyną strumienie ludzi, środkiem ciągną w stronę Alei i Łazienek szeregi powozów. Nad ulicami unosi się kurzawa, niby tuman mgły rdzawej albo dymu. Gorąco tam, duszno, parno, a tu tak powietrzno, przestronnie, chłodno, surowo. Zresztą dobrze jest czasem spojrzeć z wysokości na codzienne sprawy ludzkie, a i na ludzi samych. Jakże malemi wydają się naprzykład niektóre nasze znakomitości miejscowe, widziane choćby tylko z takiej wysokości, jak Świętokrzyska wieża; nasi wielcy filantropowie, przytulający wszelaką nędzę z taką siłą, że aż jej oczy na wierzch wyłażą; nasi *patres et conscripti* wszystkich towarzystw i komitetów, głosujący przez zastępstwo, chorujący na niestrawność, a skorzy do dawania rad prasie, co może, a co nie może być przedmiotem dziennikarskiej dyskusyi; nasi powszechnie uznani mówcy zebrań, rozpoczynający zawsze od słów: «Panowie! Zgromadziliśmy się tu» i t. p.; nasze filary postępu, opiewanego wierszem i prozą, nasze tromtadraty literackie, grające na trąbce dobra publicznego pobudkę do «jak najrychlejszego» składania prenumeraty we własnym interesie prenumeratorów; nasze tarany do

bicia zakwestyonowaną zresztą głową w zapleśniały mur ciemnoty; słowem: cały ów nasz panteon, który, widziany z blizka, świat nam przesłania, maleje tak, że go zaledwie golem okiem rozpoznać można. Pod naszemi oczyma przechodzą w lewo i w prawo te olbrzymy, i o dziwo! wydają nam się robaczkami. Ach! warszawscy moi czytelnicy, na wyżyny wchodźcie — zapraszam was. Na wyżyny jak najczęściej! Stamtąd nietylko nasze mury cuchnące widać, nasze rogatki, nasze małomiejskie kłótnie i burze w łyżce wody. Tam horyzont szerszy, atmosfera jaśniejsza; w blaskach zachodzącego słońca widać Wisłę rodzoną, a tam pola i łąki, i wierzbowe gaje, i lasy i bory, szare strzechy wieśniacze i szeroki szmat kraju całego. Na wyżyny, o czytelnicy moi, na wyżyny!

Co do mnie, choć ze smutkiem, Bóg widzi, zejść muszę, by choć jaką taką zebrać garść nowin do «Chwili obecnej». Muszę zejść w ciemne i duszne ulice grodu naszego, choćby dlatego, że oto rozpoczęły się już przedstawienia w Letnim Teatrze, które się o wzmiankę upominają. Saski ogród stoi tedy do późnej nocy otworem, i po staremu powraca się z teatru, jeśli noc ciemna, od drzewa do drzewa, instynktem więcej kierując się i pamięcią niż oczyma. Czasem, naoślep idąc z wyciągniętemi rękoma, trafisz na głowę bliźniego, idącego przed tobą; czasem

idziesz sobie w najlepsze, aż tu czarna jakaś postać zamajaczy ci niewyraźnie przed oczyma; nagle ktoś łapie cię za nos, i poczuwszy, że miękko, mówi przestraszonym głosem:

— Och, przepraszam, ja myślałem, że to gałąź!

— Hę? co?

— Myślałem, że gałąź. Tak ciemno!

— Ciemno?

— Bardzo przepraszam. Mogliby też już tę drogę oświecić.

— Kiedy to u nas wszystko tak... Jezus Marya!

— Co to?

— Drzewo. Rozbiłem się o drzewo.

Czasem znów, jeżeli z teatru wyszedłeś z towarzyszem lub towarzyszką, przez drogę z całem zaufaniem opowiadasz im jakieś sekrety lub sprawy natury domowej, aż tu przy bramie, gdy światło latarni was obleje, spostrzegasz z przerażeniem, żeś towarzysza zgubił, a szedłeś z kim innym, a co gorsza, może z kim znajomym, który tych sekretów nie powinien był wiedzieć. Źle do licha! Wystawmy sobie młodzieńca, opowiadającego w najlepszej wierze mężowi sukcesy, jakich się spodziewa u jego żony; albo ojca familii, który z całem zaufaniem pochyla się do ucha konkurenta jednej ze swych córek i, sądząc, że mówi do córki, pyta:

— Kiedyż ci się ten cymbał oświadczy?

Bywają położenia drażliwe i *qui pro quo* jeszcze drażliwsze. Zarząd ogrodu, czy też Letniego Teatru, ma zamiar podobno zapobiedz nadal podobnym wypadkom przez zaprowadzenie szeregu latarni naftowych. Dlaczego nie gazowych? Oto wkopanie rur gazowych ma podobno szkodzić roślinności.

Z tem wszystkiem przedstawienia już się rozpoczęły; ludzie po staremu uderzają nosami o drzewa, a latarni jak niema tak niema. Obiecanka cacanka. Jeśli już mają je postawić, dlaczegóż nie zostały postawione przed rozpoczęciem letniego sezonu? Dlaczego?

Odpowiedź nie trudna. Od przeszłego lata — rozumował sobie Zarząd — zapomnieli już ludzie, jak to niemiło wracać po ciemku i przewracać koziołki przez baryery; gdyby więc latarnie postawiono przed rozpoczęciem przedstawień, nie umieliby cenić jak należy dobrodziejstwa, gdy zaś spróbują parę razy wracać po omacku, dopiero potrafią w całej pełni odczuć wyświadczoną sobie usługę.

Odpowiadam w imieniu publiczności: Jużeśmy spróbowali — prosimy o latarnie!

W niniejszym letnim sezonie teatralnym czeka nas jedna nowość. Oto p. W. Rapacki urządza poranek artystyczny, na którym będzie czytany jego dramat p. t. «Kopernik».

Udział w czytaniu weźmie tyle osób, ile ich wchodzi do dramatu; będzie więc to coś w rodzaju próby czytanej. Jest to istotna nowość; do tej pory bowiem nikt podobnego poranku nie urządzał, a nowość ta byłaby nawet pożądaną, gdybyśmy byli pewni, że na porankach podobnych będziemy słyszeli same tylko — ale wyłącznie same arcydzieła, a do tego przeważnie takie, których publiczność nie zna i nie ma poznać ze sceny. Inaczej bowiem urządzenie poranku dałoby tylko zły przykład. Gdy raz wrota się otworzą, posypią się poranki i wieczorki i podwieczorki. Każdy, kto tylko cokolwiek napisze, zechce później odczytywać, a te specyały spożywać będzie nieszczęśliwa publiczność. *Utinam sim falsus vates!* Zresztą, co do «Kopernika», nie przesądzamy sprawy: zobaczymy i mamy otuchę. W każdym razie, czy próba wypadnie źle, czy dobrze, zawsze to woda na felietonowskie koła.

Nareszcie rozpoczęły się już przedstawienia teatrów ogródkowych, a rozpoczęły się pod podwójną dobrą wróżbą, bo przy natłoku publiczności i na cele dobroczynne: na szpital Jana Bożego, na sieroty pod opieką dobroczynności i tym podobne. Teatry te, zwłaszcza Eldorado i Alhambra, urządzone są nietylko wygodnie, ale nawet wykwintnie. Dość wykwintne krzesła, pokrycie nad głową, schludna scena, ocho-

cza publiczność — i czegóż więcej potrzeba? Teatrzyki te dziwny dla publiczności naszej mają urok i ponętę. Ileż to w tem wszystkiem swobody i jakże barwista ich charakterystyka! Teatr i bawar — dramat i papierosy, zachwyty sceniczne i noc gwiaździsta nad głową — cóż to za sprzeczne żywioły! W krzesłach widzowie z kapeluszami, ponasuwanymi na tył głowy; za baryerką publika prostoduszna, zapalna, ciekawa, wołająca co chwila: «Głośniej! głośniej!», nie ustępująca z placu w ciekawszych miejscach nawet w czasie ulewy, skłonna do oklasków, a niecierpliwa. Wreszcie cóż to za mieszanina! Tam młodzi panicze specyalnie przyszli dla brylantowych oczu panny Czesi. Rozmawiają właśnie po francusku, przyczem, niedościgniony w rzeczach szyku *prince* Lolo przeciera binokle, a «rozkoszny» *comte* Joujou schwyciwszy się za stopę jednej nogi, zakłada ją na kolano drugiej, pozwalając przytem podziwiać gawiedzi swoje prawdziwe *fil d'Ecosse* skarpetki; tam kilku szlachty o opalonych, koloru miedzi obliczach i pogodnem wejrzeniu, rozprawia «mościdobrodzieju» o cenach wełny, zamiast o sztuce, i o zasiewach, zamiast o aktorach. Dalej grupa kantorowiczów, poubieranych wedle ostatniej mody, w kołnierzyki, jakie się tylko w *Journal Amusant* widzieć dają, rozmawia z cicha, i tylko od czasu do czasu można usłyszeć w «nacyo-

nalnym langażu» wymówione: «żewu zasiur, Michasz», albo «antrnusuadi, Staszu!» Dalej kilku literatów; dalej urzędnicy. Za baryerą słychać narzecze z Franciszkaner-Gasse. Tam znów komety z demi-mondu, chrzęszcząc sukniami i szczebiocąc, rzucają błyskawicowe z czarno obwiedzionych oczu spojrzenia. Gdzieindziej kilku rzemieślników kłóci się z Żydkiem o miejsce blizko filaru; nad głową szeleszczą liście drzew, od strony bufetu groźne nawoływania; słowem: mieszanina głosów, języków, warstw społecznych, wychowań, usposobień, istna wieża Babel z ludzi, połączonych z sobą tylko nadzieją odpoczynku, swobody i rozrywki.

To jednak pewne, że nikt się nie bawi tak szczerze i serdecznie, jak właśnie owa zabaryerowa publiczność. Teatry ogródkowe mogłyby dla niej być prawdziwą szkołą moralności.

Dyrektorowie jednak powinni pamiętać, że jeżeli z jednej strony należy się do pewnego stopnia do smaku publiczności stosować, to z drugiej strony należy i trzeba koniecznie smak ten w kierunku najszlachetniejszym wyrabiać. Jest to po prostu obywatelski obowiązek. Teatr psuje ludzi, ale i teatr ich podnosi. Za cesarstwa, we Francyi, do rozmiękczenia obyczajów, do upadku moralności, do roznerwowania i skarlenia młodej generacyi, przyczyniły się w znacznej części teatry, które pobłażały złym skłon-

nościom, nie chciały czy nie umiały uczyć, pragnęły bawić tylko, usypiać i głaskać. Zamiast podawać proste i zdrowe ziarna moralności, filozofowały przez usta Dumasa syna, kto, komu, mąż żonie, czy żona mężowi ma prawo w razie wiarołomstwa głowę ukręcić: wołały na męża: «Wal ją, bo to małpa!» — lub: «Przebacz nieszczęśliwej!» Nikczemna to filozofia, przyjmująca wiarołomstwo i rozkład rodzinny, jako fakt w praktyce życia już spełniony. Nikczemna filozofia!!! Szuka niby lekarstwa na wiarołomstwo, a oswaja z niem i zapoznaje tych, którzy go nie znali; poddaje myśli tym, którzy ich nie mieli, i zamiast koić rany społeczne, jeszcze je rozdrażnia i zaognia.

Dlatego też przedewszystkiem zastrzegamy się przed Dumasem synem. Nie znam utworów, któreby na zepsucie smaku ogólnego silniej wpływać mogły, zwłaszcza tam, gdzie trafiają na umysły niewykształcone, proste i łatwo otumanić się dające błyskotliwą szatą paradoksów, wrzekomo szlachetnemi uniesieniami i czynami, pseudo-poświęceniem i pseudo-uniewinnieniem jednostki w imię wadliwego ustroju społeczeństwa.

Wprawdzie dyrektorowie mogą odpowiedzieć, że te sztuki, wedle wyrażenia utartego w teatrach: robią kasę. Prawda, może być; ale wierzajcie mi, o dyrektorowie i niedyrektorowie,

ale wogóle wszyscy czytelnicy moi — mówię wam po prostu, a z ręką na sercu: są rzeczy ważniejsze niż kasa, lepsze niż dochody, bardziej niezbędne niż *quaerenda pecunia:* oto zdrowie moralne, zwarta rodzina, surowy stary obyczaj — ano i przyszłość, która od zdrowia, od rodziny i od obyczaju zależy.

A teraz przebaczcie morał, ale czasem on nie zawadzi: mnie cieplej, gdy wypowiem, a i wam się może czasem przydać, gdy usłyszycie. Nieźle jest sobie czasem wzajemnie przypomnieć rzeczy dobre, choć znane.

A teraz już ani słowa więcej. Wolę przejść do jakiegokolwiek zabawniejszego przedmiotu, choćby np. do cyrku, którego skład zmienił się w ostatnich czasach całkowicie. Ci, którzy byli, odjechali, a na ich miejsce przyjechali nowi. Zostało tylko na ogólne żądanie naszych dżentlemanów kilka piękności, bez których pomienieni dżentlemanowie zbyt głęboko czuliby swoje sieroctwo. Ach! z kimżeby się jadło ostrygi!? Ach! czyichże palców koniuszki całowałoby się przy Carte blanche? Cóżby to były za czasy! Trzebaby chyba w nocy spać a w dzień czuwać, co jest w złym tonie, nie zaś w dzień spać a w nocy czuwać, co jest w dobrym tonie. Wszyscy o tem wiedzą. W cyrku ustały jakoś benefisy pana, pani, małego i t. p., ale natomiast ma być jeszcze jedno przedstawienie na cel,

zresztą o wiele sympatyczniejszy i godniejszy szczerego poparcia niż poprzednie. Oto Salamoński, jako Warszawianin (podobno tak jest w istocie), ma zamiar dać widowisko na dochód mającego się założyć ogrodu Zoologicznego w parku Aleksandryjskim na Pradze. Jakoś z tym zwierzyńcem nie idzie zupełnie tak, jakby powinno. Potrzebę i pożytek jego uznają wszyscy i mówią o nim; popiera go prasa, a szczególnie *Kuryer Codzienny*, redakcye przyjmują składki, a z tem wszystkiem składki wpływają powoli; popiera je Warszawa, kraj bardzo mało, i rzecz idzie w odwłokę. Dziwna rzecz! Bywamy czasem niezmiernie hojni, ale tylko pod wrażeniem chwili. Niech kto potrafi do nas przemówić rozczulającemi słowy, niech zdoła chwycić za serce, łzę wycisnąć z oka, a posypią się szybko pieniądze i grube pieniądze nawet. Gdy jednak działamy nie pod wrażeniem, ale pod wpływem przekonania — oho! idzie daleko trudniej. Co innego uznawać potrzebę ogrodu, a co innego wyłożyć nań gotówkę. Tam wprawdzie mówią: «Przyjmujemy choćby najmniejsze składki», ale nam wstyd jakoś wydaje się posłać parę groszy. Niejeden myśli nawet: niewarto. Tym sposobem ogród idzie w odwłokę, a niedźwiedzie pana Bartelsa napróżno mruczą na niewygodne dotychczasowe pomieszczenie.

Od jednego ogrodu przejdźmy teraz do dru-

giego, nie zoologicznego, albo zoologicznego, tylko o tyle, o ile złośliwe języki mówią, że od rana do wieczora pełno w nim gawronów. Mówię o ogrodzie Saskim. Rozgłoszono, że tego roku nie będzie w nim loteryi fantowej. Tymczasem wieść ta, którą zresztą sam na cztery strony świata trąbiłem, okazała się fałszywą. Loterya będzie i nietylko że będzie, ale odbędzie się niezadługo, podobno zaraz w pierwszych dniach bieżącego miesiąca. Nie wybiegał się jednak staruszek. Patrzcie: nie wybiegał się! — Miłosierdzie publiczne musi pootłukiwać mu drzewa, podrapać ławki, podeptać trawniki, poobrywać bzy, zakopcić fajerwerkami liście, powystraszać wróble, zaśmiecić papierkami z losów ulice, oszpecić płóciennemi budami aleje. Inaczej się nie rozczuli. Dziwne miłosierdzie! W zimę przynajmniej nie bywa takie drapieżne. Chce tylko tańczyć — w lato chce niszczyć — wtedy bywa hojne, inaczej nie da ani grosza.

Na zakończenie jeszcze jedna, grubo efektowna nowina.

Nazywam ją grubo efektowną, albowiem będę mówił o jednej z najgrubszych istot, pod jakiemi kiedykolwiek od najdawniejszych czasów uginała się ziemia. Oto przyjechała z Wiednia niejaka panna Marie, która przechodzi wszystko, co dotąd w tym rodzaju gawroni wszystkich miast kiedykolwiek podziwiali. Ten mamut ro-

dzaju żeńskiego waży podobno tyle, ile dwunastu przeciętnych frantów warszawskich; wypija niezliczoną ilość piwa, zjada niezliczoną ilość zrazów, bułek, a przytem chętnie każe sobie płacić po rubelku tym, którzy mają tak mało rozumu, że chodzą ją oglądać. Przyjechała tu, bo słyszała, że tu jej niezawodnie będzie się powodziło. Po drodze wstępowała do Krakowa (Honny soit...). Mówi przytem, że spodziewa się, iż Warszawa będzie umiała jej postępowanie, zarówno jak i jej tuszę ocenić. Dlaczego nie! Brano się tu na drobne rybki, dlaczegóż nie wziąć się na taką grubą? Nie pierwszy i nie ostatni raz.

Nie udało się tylko jednemu Ruchwaldemu. Drugiego przedstawienia już wcale nie było. Przekonał się, że jesteśmy barbarzyńcami, dla których niepotrzebnie porzucił Indye, w których wszystko, poczynając od wróbli, daleko bardziej jest ucywilizowane. Wróble nawet szczególnie, bo jedzą plewę, której nasze nie chcą, i na którą się, jak wiadomo, nie łapią. Mądre wróble!

Pan Ruchwaldy więc wyjechał, ale mamy natomiast coś innego, co także Indye przypomina. Oto rozłożyli się w Łazienkach obozem cygani — błędne dzieci Hindustanu; mężczyźni, kobiety, dzieci — mężczyźni trochę pracują, trochę żebrzą, kobiety warzą krupy, wróżą

i żebrzą. Jakieś dziewczę między nimi iskrzy oczyma, świeci białą piersią, żebrze jak inni i inne, a czasem dźwięcznym głosem zawoła na przechodnia:

— Paniczu sokole! hej sokoliku, daj rękę. Powiem co cię czeka: czy złoty pierścień od lubej, czy skarby, czy bogactwa, czy dola, czy niedola, czy może śmierć na wojence, sokole! Daj białą rękę: wywróżę.

Poezya w łachmanach!

Gazeta Polska, 1875, Nr. 115 z dnia 31 maja.

XXI.

Ponęty Warszawy. — Afisze. — Karnawał pod gołem niebem. — Ciemne strony sezonu. — Jeszcze, i bez końca, o pożarach. — Dobro ogólne i jego miłośnicy. — Przeciętni. — Skutki platoniczności. — Towarzystwa. — Wycieczka członków Tow. Osad rolnych. — Obietnice poprawy. — Wycieczka do Jablonny. — Obniżanie się mieszkań. — Jarmark wełniany jako ostatnia nadzieja. — Wyjazdy za granicę. — Sport. — Wyścigi. — Młodzi lordowie. — Trenowanie. — Różne poty.

Kto się chce bawić, niechaj przyjeżdża do Warszawy. Sezon ogórkowy, sezon upałów, kurzu, ogólnego omdlenia, ogólnego próżniactwa i senności rozpoczął się, ale zarazem przyniósł nam takie mnóstwo wszelakiego rodzaju rozrywek, że aż wybierać trudno. Ni mniej ni więcej tylko jedenaście afiszów, rozlepionych co rano na wszystkich ulicach Warszawy, zaprasza zmęczoną całodziennym upałem publiczność, aby wieczorem śpieszyła do ogrodów i ogródków, gdzie uszy jej paść będą muzyką i śpie-

wem, oczy przedstawieniami teatralnemi, wdziękami artystek rozmaitych trup aktorskich, słowem, tem wszystkiem, co w mniej więcej rozkoszny lub szalony sposób pomaga do zabicia czasu od godziny ósmej wieczorem do dwunastej w nocy, o której to godzinie każdy dobry i stateczny obywatel wraca do domu z rozpiętą dla chłodu kamizelką i kapeluszem w ręku, ocierając przytem spocone czoło chustką. Krótko mówiąc, jest to karnawał pod gołem niebem. Nad głową gwiazdy i szmer liści trącanych ciepłym powiewem, a przed oczyma światła gazu, śpiewy, pląsy, wyróżowane twarze, wyczernione brwi i kolorowe pończochy, które także stanowią jedną z cech letniego sezonu.

Jednem słowem, wesoło byłoby w Warszawie, gdyby... ach, niestety, gdyby nie długa i bardzo długa lista ujemnych stron letniego życia: gdyby nie ogony damskie, gdyby nie próżne nawoływania o obcięcie tychże ogonów; gdyby nie bezskuteczność rozporządzeń o polewaniu ulic, po których każdy wiatr pędzi takie tumany kurzu, że ani oddychać, ani patrzeć przed siebie niepodobna; gdyby nie platoniczne westchnienia za dezynfekcyą; gdyby nie równie obfite, jak bezskuteczne rozsypywanie proszku karbolowego; gdyby nie kwaśne owoce; gdyby nie epidemia, która rok rocznie wyciska z nas większe lub mniejsze pogłówne; a nakoniec,

gdyby nie pożary, świadczące o naszem niedołęstwie, lenistwie, i o bezwładności przysłowia: «Mądry Polak po szkodzie».

Albowiem dziś już faktem jest, że to przysłowie, niestety, jest fałszywe. Roku zeszłego ponieśliśmy szkody na kilka milionów rubli — i zmądrzeliśmy po niej? Gdzież są — woła wielkim głosem cała prasa — obywatelskie straże pożarne? gdzie są narzędzia do gaszenia? gdzie są domy przedzielane drzewami? gdzie są rezerwuary z wodą, mogące być na każdy wypadek użyte? gdzież są te wszystkie instytucye, urządzenia i środki, o których tyleśmy nagadali i napisali i na których potrzebę i konieczność zgodziliśmy się wszyscy? Tak jest; nagadaliśmy i napisali. Pisaliśmy, jak mówi pewien felietonista, artykuły malownicze, uczuciowe i rozumowane; zepsuliśmy mnóstwo papieru, piór i atramentu, i czy wiecie, o mili współobywatele, co stąd za wniosek? Oto, pisząc artykuły uczuciowe, rozumowane i malownicze, zrobiliśmy swoje — zrobiliśmy to wszystko, co do nas, jako do prasy, należało. Ale teraz wy, mili współobywatele, co zrobiliście ze swej strony? Doprawdy, mam ochotę umieścić po tem zapytaniu parę wierszy kropek dla lepszego odmalowania ciszy, bo ciszą tylko możecie na powyższe pytanie odpowiedzieć. Coście tedy zrobili dla zapobieżenia złemu? My, to jest ja i koledzy

moi po piórze, doprawdy, nie mogliśmy zaciągnąć się do straży prowincyonalnej, nie mogliśmy zrobić nic więcej, tylko pisać i pisać, ale wy?... Oto spalił się Międzyrzec, spaliła się Libertowa Wola, spaliły się Szopy Niemieckie, spaliły się roku zeszłego Siedlce, spalił się Opatów, i Bóg wie, co się nie spaliło, a jeżeli tak dłużej potrwa, spali się napewno jeszcze niejedno miasteczko, niejedna wioska, niejeden dziesiątek tysięcy rubli pójdzie z dymem, z czego nie może być nawet i tej pociechy, że zmądrzejecie po szkodzie.

Ale może was nudzą morały? Kwestya to, powiecie, która niejednokrotnie była już podnoszoną i aż do znudzenia powtarzaną. Możebyście życzyli sobie, abyśmy przestali o tem mówić? Nie obiecujemy poprawy. Nudzić was będziem choćby co tydzień, powtarzać choćby codzień. Nudźcie się, zżymajcie, oburzajcie, krzyczcie, pisujcie do redakcyi listy pełne wyrzutów, ale się poprawcie. Zbudźcie się! Kropla wody, spadająca ustawicznie, nawet w kamieniu otwór czasem przewierca. Przebóg! czyżby nasze słowa miały padać na twardszy od kamienia materyał?...

To byłoby już źle, w całem znaczeniu tego wyrazu.

Nie tracimy jednak nadziei, «bo bez nadziei jakżeby żyć», że z czasem będzie lepiej, że przyjdzie chwila, gdy każde miasto będzie miało swoją straż ogniową, złożoną z dzielnej i ener-

gicznej młodzieży, swoje narzędzia pożarne, słowem, to wszystko, czego potrzeba, by rok rocznie nie puszczać z dymem milionów.

Ach! gdybyśmy się raz nakoniec nauczyli miłować naprawdę to, co przez termin: dobro społeczne, oznaczamy. Miłujemy je wprawdzie niby bardzo, a bardziej jeszcze lubimy o tem rozprawiać, ale niestety! uczucia te są natury czysto platonicznej. Znam pewnego obywatela, który całe życie nie trudni się niczem innem, tylko wypalaniem pięknej piankowej cygarniczki, a który miłuje przytem dobro społeczne. Cóż chcecie: powiada, że miłuje, i może nawet naprawdę. Platonik! Prawda, że przy tak bezinteresownej miłości dobro społeczne mogłoby utopić się, być zjedzone przez psy, rozbić sobie głowę o kamień, połamać ręce i nogi, niemniej jednak nie przestałoby być kochane. Gdyby naprzykład wpadło w wodę i krzyczało w niebogłosy: «Topię się!» — pomieniony obywatel swoją drogą nie wlazłby dla ratowania go do wody, ale natomiast — jestem pewny jego serca — swoją drogą powtarzałby ze łzami w oczach: «Jaka szkoda! topi się, a takie piękne dobro społeczne!» Gdyby rzuciło rękawiczkę, nakształt pięknej Marty z Szyllerowskiej ballady, między dzikie zwierzęta, taki obywatel postąpiłby wprost przeciwnie niż sławny Emrod, to jest po rękawiczkę

wprawdzieby nie poszedł, ale też i kochać dobra społecznego by nie przestał.

A teraz, mili czytelnicy, chcecie wiedzieć, jak się taki platoniczny wielbiciel wdzięków dobra ogólnego nazywa? Mogę zdradzić tajemnicę, albowiem po pierwsze: nikt mnie o sekret nie prosił, a powtóre: choćby to był sekret, wygadałbym się z nim umyślnie. Taki obywatel nazywa się: p r z e c i ę t n y. Jest to, na nieszczęście, doskonale skoligacona, a przytem i najliczniejsza rodzina. Tak jest, przeciętny. Gdyby nie on — gdyby nie ta platoniczna rodzina, natenczas ów znany wiersz, że dla dobra ogółu każda smakuje trucizna, ten wiersz bez psów, liszek i czajek, nie byłby «najlepszą z Krasickiego bajek». Gdyby nie ta «przeciętna» a nieszczęśliwa rodzina, chora jednocześnie na krewkość w zamiarach, a niedołęstwo w czynach, na gadatliwość i lenistwo, łatwowierność, na pychę, łakomstwo, słowem, na wszystkie siedm grzechów głównych, wówczas nie płonęłyby nasze miasta, nie świeciłyby gołymi pieńkami nasze lasy, a golemi piętami nasi przyszli potomkowie, nie waliłyby się nasze domy. Ach, gdyby nie ta rodzina, nasze stowarzyszenia nie potrzebowałyby ogłaszać drukiem melancholicznych ód do zalegających z opłatą członków; nasza spółka jedwabnicza, poparta jak należy przez ogół, sprzedawałaby już jedwab na wszystkich tar-

gach sąsiednich; w Studzieńcu stałby już budynek i uczyłyby się już moralności występne dzieci; nasz Merkury nie byłby najchudszym i zdychającym z głodu Merkurym; tanie kuchnie nie potrzebowałyby grać roli dziada z szopki, występującego z woreczkiem na końcu przedstawienia, i proszącego «o talary i o zboże, i o wszystko, co być może»; — wy zaś wszyscy, tj. ja i wy, mili czytelnicy, nie potrzebowalibyśmy każdego nowego roku kończyć rachunków z roku ubiegłego w ten sposób: zero od zera, zero — nie mogę: pożyczam... od Żyda.

Mówię, «bom smutny i sam pełen winy», powiada Słowacki, ja zaś powtarzam za nim. Powtarzam nie dlatego zresztą, żebym, doszedłszy matematycznej prawdy, że zero od zera jest zero, miał już pożyczać od Żyda. Nie, do tego jeszcze nie doszło! Ale, że pod pewnym względem należę i ja do tej p r z e c i ę t n e j rodziny, jako dowód posłużyć może choćby i to, że obowiązkiem moim jest dostarczyć felietonu na poniedziałek, a piszę go na wtorek, skutkiem czego stosunki moje z redakcyą pozostawiają w tej chwili wiele do życzenia, a nawet spowodowały wymianę niezbyt dyplomatycznych not między mną a pomienioną redakcyą, która nie omieszkała wystosować do mnie pewnego dość nieprzyjemnej natury *ultimatum*, którego tylko dlatego za *casus belli* nie uważam, że nie jestem dosta-

tecznie uzbrojony. Co do mnie jednak, przyrzekam sobie, że odtąd stale odcinek mój będzie gotowy nie na wtorek, ale na poniedziałek; a oprócz tego, rozważając wszystkie grzechy rodziny przeciętnej, bijąc się w piersi i powtarzając *Mea culpa!* wzywam ją, aby uczyniła toż samo. Na dowód zaś, że poprawa moja jest szczerą, zamierzam sobie zaraz nazajutrz zapłacić dwie raty, które zalegam w Tow. zachęty sztuk pięknych, jedną w Tow. muzycznem, jedną w Tow. osad rolnych, a kilka w innych Towarzystwach. Prócz tego pragnę poprawę swą, czyli reformę, przeprowadzić w całej obszerności, t. j. wygluzować w charakterze swym wszelką bezkrwistą platoniczność względem dobra ogólnego; przyrzekam sobie również, że nie wezmę udziału w sielskiej i gotującej mnóstwo lirycznych wzruszeń wycieczce do Studzieńca, jaką Towarzystwo osad rolnych przygotowuje dla swych członków na dzień 10 czerwca, po ukończeniu dorocznego walnego posiedzenia. Wiem, że ofiara ta wiele kosztować mnie będzie, ale krzepię się nadzieją, że będzie mi to właśnie kiedyś policzone i położone na szali przeciwnej tej, na której będą spoczywały moje nieprawości. Wiem, że pozbawiam się przejażdżki koleją do Rudy Guzowskiej, drogi wśród brzezinowych lasów na wózku pana Sobańskiego do Studzieńca, wielce prawdopodobnego

obiadu w Studzieńcu, toastów, mówek w duchu wzajemnego przyznawania sobie zasług i równie skromnego jak szlachetnego nieprzyznawania się do tych zasług; dalej mówek w duchu ogólnego powinszowania sobie pięknych skutków i usiłowań, mówek, poczynających się drżącym głosem od słów: «A teraz pozwól, szanowny...» lub «a teraz pozwólcie, szanowni»... Nakoniec: wyrzekam się mówki, którą sambym może powiedział, co w przyszłości mogłoby nawet korzystnie wpłynąć na podwyższenie honoraryum w redakcyi, na zyskanie mi znajomości, protekcyi, na ewentualne otrzymanie płatnej posady w jakiem Towarzystwie lub banku, któraby pozwoliła pokryć moje niedobory literackie, a wreszcie i na podtrzymanie mej sławy, jako mówcy, która to sława wogóle niezbyt świetna, została ostatecznie przyćmioną od czasu reform i wyborów w Tow. muzycznem, na których zjawiły się pierwszorzędne gwiazdy, zaćmiewające wszystko dokoła.

Otóż, wyrzekam się tych wszystkich wyżej wymienionych rozkoszy, w celu, aby raz dowieść, że umiem nietylko platonicznie miłować dobro ogółu. Rozumuję bowiem, że dowiodę tego stanowczo, jeżeli pieniądze, jakiebym musiał na wspomnianą wycieczkę wydać, ofiaruję Towarzystwu osad rolnych bezpośrednio na same osady. Będzie to coś nierównie pozytywniejszego,

nie prawdaż? Co większa, sądzę nawet, że jakkolwiek wycieczka będzie obfita we wzruszenia, jakkolwiek ewentualny obiad, o który, mówiąc nawiasem, niektórzy członkowie już dziś rozpytują się półgębkiem, będzie bardzo smaczny, toasty i mowy bardzo podniosłe i jednoczące serca członków — to przecież ja - prosty śmiertelnik i lichy pracownik boży, sądzę, powtarzam, że gdyby wszyscy członkowie te pieniądze, których pod firmą «na piwo» udzielają fornalom pana Sobańskiego, dalej te, które wyjść mogą w samym Studzieńcu, czy to na obiad, czy na podwieczorek, czy na cokolwiek, oddali wprost na osady, to byłoby prościej, ale i lepiej. Ot możnaby za to czy wybudować parę pokoików więcej, czy założyć jaki ogródek, czy kupić jakie narzędzia naukowe, czy książki, czy utrzymać jednego więcej przestępcę małoletniego, czy zabezpieczyć silniej byt i pożytek instytucyi. O! byle były pieniądze, znalazłby się na nie sposób. Warto się nad tem zastanowić. A zresztą do uznania każdemu: co do mnie, postanawiam wyprzeć się kuzynowstwa z przeciętnymi, z ich zamiłowaniem efektów i z ich platonicznością raz na zawsze.

A teraz, kiedy już mowa o majówkach i przejażdżkach, wspomnę więc jeszcze o jednej, o której zresztą brak mi szczegółowych wiadomości. Chcę mówić, że w Harmonii ma się odbyć

składkowa wieczerza, a potem przejażdżka do Jabłonny. Będzie to zapewne również niezmiernie liczna wycieczka z towarzyszeniem różnych rzniętych i dętych instrumentów, a przytem groźnych basów, czułych tenorów, wstydliwych sopranów i wszelkiego rodzaju głosów i odgłosów, na jakie tylko gardło ludzkie zdobyć się może. Wszystko to są jednakże tylko przypuszczenia, powiedziałem zaś, że bliższych informacyi o tej wycieczce nie mam, albowiem nie wiem nawet, o ile słowiański język będzie na niej uprawniony. Niegdyś, pamiętam, że wybuchały z tego powodu w łonie zgromadzenia pewne niesnaski, które zaogniały się z dziwną uporczywością przez czas dość długi.

Trudno wiedzieć, jak jest dziś, i o ile ludzie, nie posiadający iglicówek, filozofii pesymizmu, kiszek grochowych, skłonności do anneksów, do sentymentalizmu i do piwa, mogą być i są w powyższem towarzystwie tolerowani, a zwłaszcza wtedy, jeżeli używają takiego języka, jaki niezbyt mile wpada w wydelikacone przez walce konchy uszne stałych członków zgromadzenia. Zarówno nie jestem pewny, czy na owej składkowej wieczerzy i wycieczce do Jabłonnej zajdą, prócz muzyki, śpiewów i spożycia pewnej ilości kiszek grochowych, jakiekolwiek fakty, któreby jako następstwa powyższych czynności zasługiwały na taką przynajmniej felietoniczną

wzmiankę i uwagę, na jaką zasługują innego rodzaju zamiary, a raczej obietnice, których przyszłość wcale dla nas, t. j. dla Warszawy, nie szczędzi.

Mają się tu bowiem dziać rzeczy wcale niespodziewane, których nikt się nie spodziewał, a które każdy z radością powita. Słychać, że mieszkania np. spadają, a wkrótce spadać zaczną na łeb, na szyję. Jest to możliwe. Już dziś na wszystkich domach widać karty z powywieszanymi pustymi lokalami, których posiadacze, coraz to zachodząc z ołówkiem w ręku, zmieniają ceny, zmniejszając potrosze dawne, a wpisując nowe, mniejsze. Na ulicy Wielkiej jest dom, w którym czterdzieści pokojów stoi dotychczas pustkami. Po pokojach owych chodzi zamyślony gospodarz, monologując z sobą po hamletowsku, coraz głośniej, coraz gwałtowniej i coraz wyraźniej. Ludzie słyszeli podobno — czy też zdaje im się, że słyszeli wyraz: przeholowałem! Tak jest, przeholowałeś, miły gospodarzu, a raczej przeholowaliście, co się srodze da wam wszystkim we znaki. Przyznajcie, że milej jest wziąć za mieszkanie trochę taniej, niż potem odbywać długie spacery, z rękoma w tył założonemi, po pustych pokojach, gwiżdżąc, kiedy się płakać chce. Przeholowaliście, moi panowie, teraz monologujcie sobie, co dusza raczy. Często zaiste: wynająć lub nie wynająć, — jest równe? co:

być albo nie być. Z czegoż będziecie płacili podatki? z czego wyślecie żony swoje i córki za granicę? Liczycie jeszcze na jarmark wełniany. He! nadzieja matka głupich. Lepiej się nie łudzić: hotele dla szlachty wystarczą, a gdyby nawet nie wystarczyły, ileż to mieszkań prywatnych jest do najęcia po rodzinach, które wyjeżdżają na letnie mieszkania lub za granicę! Jest jedna tylko rada, powiem wam do ucha: obniżcie ceny.

Istotnie, w czasie wełnianego jarmarku umeblowane mieszkania po rodzinach, które wyjeżdżają za granicę, stanowią potężną konkurencyę dla pustych lokalów, które trzeba odnajmować na czas dłuższy, a takich mieszkań wszędzie jest mnóstwo; któż bo latem siedzi w Warszawie?

Napróżno rozlepiają jedenaście afiszów co rano; napróżno teatrzyki przesadzają się w ofenbachiadach, aby dorównać choć w tem zagranicy; napróżno Fliege daje koncerty, złożone z utworów miejscowych, faszerowanych niemiejscowymi, kompozytorów; napróżno w cyrku siłacze francuscy gną w ręku siłaczów warszawskich; napróżno panna Guerra roztacza wdzięki swej budowy, budzącej we wszystkich gołowąsach oskomę, dorównywająca chyba wstrętowi, jaki w nich budzi książka, atrament, pióro, ołówek, słowem, wszystkie materyały do czytania

i pisania; napróżno panna Czesia stara się przekonać sceptyków, że nie jedna Guerra ma takie ramiona na świecie, i że miłość ulokowana na koniu łatwiej może kark skręcić, niż umieszczona na tragicznych koturnach; napróżno wiedeńska Marie, po cenach zniżonych, a przynajmniej mających być zniżonemi, roztacza swe obszary przed zdumionemi oczyma i wykrzywionemi z podziwu gębami nielicznej publiczności; wszystko to napróżno: każdy kto może i ma na to, opuszcza miasto i śpieszy za granicę wynieść co prędzej i wydać latem połowę tego, co przez całą zimę zarobi.

Do czasu zostają jeszcze zwolennicy sportu. Wyścigi konne za pasem, bo niespełna za tydzień. Między tutejszo-krajowymi lordami ruch tedy ogromny. Czy wiecie, co też teraz robią? Oto pocą się. Wielka rzecz, powiecie, to i my się pocimy. Nie, przepraszam: my się pocimy, bo upał; bo nam przyrzekli polewać ulice, a nie polewają, bo... bo... jednem słowem, my się pocimy niechcący, a oni naumyślnie. Mówiąc żargonem, nazywa się to: trenują się. Trenują się panowie, trenują dżokeje, trenują konie. Niektórzy z nich jednak, gdy nadejdzie święty Jan, znowu będą się pocić, ale już nie trenować, tylko poprostu pocić nic tyle z gorąca, ale skąd tu wziąć na spłatę kapitałów, zaciągniętych na dżokejów, lokowanych na hipotekach, a prowa-

dzących młodych rycerzy pod staro-rycerskie godło, bo pod włócznię, co razem wzięte, po łacinie «subhastatia» się nazywa.

Od takich potów broń nas, Boże, mili czytelnicy; broń Boże każdego, broń Boże i was, młodzi lordowie. Mamy dosyć tych ruin i tych subhastacyi.

Gazeta Polska, 1875, Nr 122 z dnia 8 czerwca.

XXII.

Wyprawa do Studzieńca. — Widok Studzieńca. — Przyszłość. — Wpływ pracy i natury. — Platoniczni członkowie. — 2.168 i 600. — Pochwała sześciuset. — Żyrardów. — Nasze skłonności. Jarmark wełniany. — Ruchliwa chwila. — Tendencya. — Wyścigi. — Służba z «towarzystwa». — Bohater wyścigów. — Zarobki a zarobki. — Głowa i nogi. — Nasze rasy.

Byłem i ja w Studzieńcu. Mimo przyrzeczeń uczynionych sobie i czytelnikom w zeszłotygodniowym odcinku, że nie pojadę, a pieniądze potrzebne na kupno biletu złożę na rzecz Osad rolnych, musiałem jednak pojechać, do czego zresztą popchnęła mnie nie tyle chęć spożycia zastawionego w lesie obiadu, ile obowiązek sprawozdawcy i obfitość spostrzeżeń, jakie spodziewałem się poczynić.

Jakoż niema tego złego, coby na dobre nie wyszło — mówi przysłowie. Naprzód przekonałem się, że wycieczka do Studzieńca, obok błogich skutków hygienicznych, jakie przejażdżka

na świeżem powietrzu i wśród lasów wywrzeć musi na cenne zdrowie tak członków Towarzystwa, jak i reprezentantów prasy, obok wzruszeń natury filantropijnej i poetyczno-sielskiej, miała także swoją racyonalną podstawę, o której z całą powagą mówić mi przyjdzie. Oto Zarząd Towarzystwa chciał przedstawić tak reprezentantom prasy, jak i swoim członkom materyalne dowody swej działalności, a przytem dać im sposobność do czynienia uwag i spostrzeżeń, które, według słów jednego z przedstawicieli zarządu, przyjmowane będą zawsze najchętniej, brane pod uwagę najskrupulatniej.

Przekonaliśmy się tedy wszyscy naocznie i namacalnie, że wszystko idzie dobrze, że zarząd z godną uznania gorliwością i energią wywiązuje się ze swego zadania, że wszystko już jest prawie gotowe, i że w tych osadach dla małoletnich przestępców, prócz maloletnich przestępców i niektórych wewnętrznych urządzeń, niewiele już brakuje.

Urządzenia jednak wewnętrzne wprowadzone będą wkrótce, albowiem zarząd posiada dostateczne, a co lepsza, ciągle zwiększające się fundusze, które na ten cel odpowiednio będą użyte; małoletni przestępcy znajdą się, gdy nastąpi promulgacya rozporządzenia ministra, nakazującego sądom wydawanie ich w ręce Tow. osad rolnych.

Wkrótce więc osady zawrą ruchem i życiem. Dziś jeszcze spokojnie tam, a ciszę przerywa tylko gwar robotników: mularzy, stolarzy, kowali, cieśli, zajętych wznoszeniem nowych budowli, lub ostatecznem urządzeniem już wzniesionych. Widok Studzieńca, tak jak on dziś się przedstawia, jest jeszcze dosyć posępny. Na obszernej polanie stoi w dwóch szeregach 6-piętrowych z czerwonej cegły murowanych domów, a w środku wielkie podwórze. Na podwórzu znać ślady gorliwej pracy koło budowli. Tu i owdzie leżą jeszcze wióry stolarskie, gdzieniegdzie czerwienieje kupka cegieł, w środku wznosi się skrzypiący żóraw tymczasowej studni; drewniane, po części wzniesione już sztachety otaczają i domy i dziedziniec, a za sztachetami las, szumiące szeregi drzew i zwykła cisza leśna.

Miejsce to samotne, odosobnione od świata, takie właśnie, jakiego na osady rolne potrzeba. Ostatecznem jego urządzeniem i ozdobą zajmą się już sami przestępcy. Za jaki rok lub dwa, obszerny, porosły chudą trawą dziedziniec zamieni się w klomby, pełne krzewów; koło domów zazielenieją płonki drzew, za sztachetami zniknie las, a miejsce wykarczowanych zarośli zajmą uprawne pola, na których powiew wiatru będzie latem kołysał kłosy wszelakich zbóż. Wszystkiego tego dokonają już własnemi dłońmi

przestępcy. W samej osadzie wzniosą się nowe domki i zabudowania folwarczne; stanie kapliczka, której dzwonek będzie o rannej zorzy wzywał do modlitwy i pracy, a o wieczornej do modlitwy i snu pod skrzydłem bożem. Latem praca w polu i lesie z pługiem, broną, rydlem, motyką i siekierą; zimą, gdy śnieg z chmurnego nieba zasieje pola i gęstwiny leśne, przewagę weźmie praca w warsztatach. Życie rozłamie się tu wyłącznie na pracę i modlitwę, popłynie całkowicie owemi źródłami uspokojenia. Troskliwa, iście rodzicielska opieka ułatwi, uczyni prawie konieczną poprawę, a nakoniec dobroczynny wpływ natury uszlachetni te młode, za wcześnie pod palącem tchnieniem występku zdziczałe dusze.

«Trzeba ziemię poprawić przez ludzi, a ludzi przez ziemię» — powiedział jeden z największych naszego czasu myślicieli. Wielka to prawda. Ludzi poprawia ziemia, to jest praca i natura. Wyobraźmy sobie dziecię, zrodzone wśród zatrutej atmosfery miejskiej, w ciemnych szynkowniach, wśród gwaru i gorączki występków, ciemne, zepsute od najmłodszych lat, popychane do złego przykładem starszych, zdziczałe, rozprózniaczone — wyobraźmy sobie, mówię, takie dziecię wyrzucone z tych piekielnych warunków, a przeniesione naraz w czystą atmosferę pól i lasów wiejskich, w ciszę i pogodę natury.

Nie zaznało opieki, tu znajduje opiekę; nie zaznało pracy, tu znajduje pracę; nie zaznało modlitwy, tu znajduje modlitwę. Tam co krok spotykało się z szatanem — tu co krok spotyka się z Bogiem. Rankiem w mieście budziły je ze snu przekleństwa starszych złoczyńców, tu budzi je śpiew ptasząt. Wieczorem w mieście usypiała je wódka, tu po modlitwie usypia je szum sosen leśnych, który sam wydaje się modlitwą i który każdą niezepsutą lub niewyschłą do dna duszę przepełnia pełną słodyczy ufnością i spokojem.

A teraz powiedzcie, moi czytelnicy, czy wierzycie, aby wobec powyższych warunków dziecię owo mogło się nie poprawić? Czy nie widzicie, jak powoli ta biedna duszyczka, niby roślina zwiędła, rozwija się, podnosi, ożywia i poczyna żyć życiem pełniejszem, bardziej naturalnem, życiem prawdy, prostoty i nakoniec wyrasta na pożytecznego pracownika tej gleby, na której wszyscy w pocie czoła pracujemy?

Ufam, czytelnicy, że to widzicie równie jasno, a może i jaśniej ode mnie, dlatego też rozumiecie dobrze, czem są Osady rolne. Założenie ich jest wielkim czynem filantropijnym, którym wszyscy chlubić się możemy; popieranie ich jest obowiązkiem, który wszyscy powinniśmy wypełniać.

A jednak!!...

A jednak co? — spytacie — alboż to w sprawozdaniu odczytywanem w Studzieńcu nie słyszeliśmy pochwał, skierowanych do ogółu?... dalej sprawozdawca pochwalił 2168-miu członków, należących do Towarzystwa osad rolnych, ale widocznie zapomniał jeszcze, czy też może nie chciał wymienić 600, wyraźnie sześciuset członków platonicznych pomienionego Towarzystwa, to jest członków takich, którzy, zapisawszy na liście swe nazwisko, nie wnieśli jeszcze należnych składek rocznych. Miło mi uzupełnić umyślne czy mimowolne przemilczenie sprawozdawcy i uczcić słowami należytego uznania wspomnianych mężów, którzy, obiecawszy płacić po 5 rs. rocznie, rozumują słusznie, że czyste uczucie, jakiem serca ich płoną dla małoletnich przestępców, więcej jest warte niż nietylko pięć, ale nawet niż dziesięć rubli rocznie. Powtóre, taki idealny udział w Osadach rolnych pozwoli im zapisać się na tych samych warunkach nietylko do tego jednego Towarzystwa, ale do wszystkich innych, jakie tylko kiedykolwiek powstać mogą, a w ten sposób uszczęśliwić nieograniczoną liczbę wszelkiego rodzaju przestępców.

Mój Boże! czemuż to zatwardziali pesymiści i sceptycy narzekają na brak bezinteresownych ludzi na świecie, skoro na 2168 członków jednego towarzystwa mamy aż sześciuset zu-

pełnie bezinteresownych, że gdyby wypadkiem licho porwało całe towarzystwo wraz ze wszystkimi członkami, domami i nieletnimi przestępcami, jeszczeby to ich nie zainteresowało ani trochę. Sądzę nawet, że to już jest kraniec bezinteresowności, z którą w porównanie iść może chyba tylko skromność rzeczonych filantropów. «Niech nie wie lewica, co czyni prawica» — oto jest ewangeliczna zasada, którą posuwają do tego stopnia, że gdybym naprzykład ku zbudowaniu innych bliźnich, chciał wymienić nazwiska owych sześciuset, wiem, że wspomniana wyżej, a wrodzona im skromność i chrześcijańska pokora żadną miarą nie chciałyby się na nic podobnego zgodzić, a nawet zgaduję, że stałbym się powodem świątobliwego oburzenia nietylko samych filantropów, ale i ich najbliższych krewnych.

Czułem się jednak w obowiązku wypowiedzieć tych kilka słów gorącego uznania: raz, że pomienieni filantropowie w zupełności na nie zasługują, a powtóre, że skoro ci niebezinteresowni, bo opłacający roczną składkę członkowie, którzy byli w Studzieńcu, usłyszeli odpowiednie pochwały i podziękowania, zdawało mi się rzeczą słuszną oddać sprawiedliwość i tym, o których zamilczano.

Ale widzę, że czas już skończyć o idealnych i realnych członkach, o towarzystwie, o prze-

stępcach, i powrócić ze Studzieńca do Warszawy. Zanim jednak to uskutecznię, pozwólcie, czytelnicy, że zatrzymamy się na chwilę po drodze, jak to uczyniła większość gości, a przynajmniej prawie wszyscy reprezentanci prasy, którzy, korzystając z godziny czasu między powrotem ze Studzieńca a odejściem pociągu do Warszawy, obrócili ową godzinę na zwiedzenie położonego tuż obok Rudy Guzowskiej Żyrardowa.

Ach! miły czytelniku, jakież cuda oglądały nasze oczy! cóż to za fabryka!! Sale tam tak rozległe, że stojąc na jednym końcu zaledwie rozeznasz rysy ludzi pracujących na drugim. Olbrzymie, straszliwe potwory parowe, rycząc groźnie i wywijając z piekielnym rozmachem żelaznemi ramionami, nadają ruch wszystkiemu. W przędzalni tysiące mniejszych i większych kół, o smoczych kształtach, kręcą się z przerażającą szybkością na osiach; wszędzie huk, łoskot i burza taka, że ani jednego słowa nie dosłyszysz. Ściany budynku drżą. Zda się, że wszystkie te machiny żyją i mają dusze; zda się, że jakaś niepojęta wściekłość ogarnęła te żelazne potwory. Patrzysz na nie, i wydaje ci się, że lada chwila wyciągną się ku tobie jakieś straszne ramiona, i porwawszy, rzucą cię na owe zęby, haki i pasy, które rozerwą ciało twe na atomy, zmielą je, uprzędą i zrobią z ciebie łokieć płótna. Przemienić się nagle w ręcznik — co za

niemiła metempsychoza, nie mówiąc już o innych kształtach, na wypadek, gdyby się było przerobionym na cieńsze płótno! Powoli jednak prawidłowość tych ruchów uspokaja wzburzone nerwy i chłodzi rozbujałą fantazyę. Widzisz, że ów potwór, który ci się przed chwilą wydawał wściekłym, piastuje w swych objęciach subtelne, jak pojęcie, włósienko, niteczkę; snuje i nie zrywa jej. Wówczas to dopiero poznajesz, że istotnie ożywia go przezorny rozum — potężny i więcej tu niż gdziekolwiek tryumfujący nad ślepą siłą rozum ludzki, dla którego te smoki są posłusznymi na każde skinienie niewolnikami.

Przędzalnie i sale warsztatów tkackich, farbiarnia, blichownia, to prawdziwe muzea. Ostatnia, t. j. blichownia, jest to sobie ni mniej ni więcej tylko olbrzymia, otoczona wysokim parkanem łąka, przestrzeni kilku morgów, która, na pierwszy rzut oka, wydaje się być pokryta śniegiem. Po bliższem przypatrzeniu się poznajemy dopiero, że ten śnieg stanowią wszelkiego rodzaju płótna, poddane tu podwójnemu działaniu: słońca i wody. Płótna te pójdą potem na cały kraj, do Rosyi, do Niemiec i Austryi nawet. Trzy tysiące ludzi pracują w tych olbrzymich zakładach. W Żyrardowie zakładają się powoli sklepy, wznoszą się potrosze budowle i domy fabryczne. Osada powiększa się wolno, ale stale. Działalność fabryki wzrasta z dniem każdym;

obroty roczne miliony rubli wynoszą, jak również miliony przynoszą na czysto szczęśliwym, ale zarazem pracowitym i energicznym przedsiębiercom, właścicielom. Zwiedzanie tych wszystkich cudów ułatwia niezmiernie uprzejmość właścicieli, którzy chętnie i z pewną dumą oprowadzają wszędzie zwiedzających. Z dumą, bo — byli to podobno ludzie za młodu ubodzy, którzy szli w świat o własnej sile i własną siłą się wybili; z dumą, bo kiedy obejmowali fabrykę, wszystko było w rozstroju i upadku: dziś ład i porządek w niej wzorowy, a rozkwit niebywały.

Tak jest: ład, porządek i rozkwit. Patrząc na to wszystko, zadumałem się mimowoli. Ach! czemuż to dotykalne przykłady samopomocy są wiecznym grochem, rzucanym na ścianę dla naszych s k i c h i w i c z ó w! czemuż, przychodząc na świat, przynosimy już niejako z sobą więcej gustu do «kwaszonych ogórków», do żółtych najtyczanek, do wielmożności, do karczowania lasów, do głównych, biernych ról w dramacie, zatytułowanym: «Subhastacya», do wielkiej polityki, streszczającej się w słowach: «na wiosnę», do pachciarzy, do parcelacyi, do utyskiwań na złe czasy, do ciężarów hipotecznych, do zwykłego «jakoś to będzie!» czemuż, niestety, powtarzam, przynosimy więcej skłonności do tego wszystkiego, niż

do wytrwałej, upartej a organicznej pracy, która sprawia, że mrowisko, choćby dziesięć razy na dzień nogą przechodnia rozrzucone, wznosi się i staje znów całe — odbudowane!

Czyż istotnie rodzimy się słabsi? czy słowiańska rasa nasza, jak tego jeden głupi Francuz dowodził, a jedno mądre pismo nasze za nim powtórzyło, rodzi się wątlejsza, żyje słabiej i wymiera prędzej od sąsiedniej germańskiej?...

Było się nad czem zadumać.

Ale nie. To nie prawda! Nie rodzimy się słabsi, nie natury więc wina; umieramy słabsi — to nasza wina.

Było się nad czem zadumać.

Nagle dumania moje przerwał świst lokomotywy: trzeba było wracać do Warszawy.

— A co tam słychać w Warszawie? - spytacie.

Ha! mamy jarmark wełniany. Na placu targowym leżą wańtuchy, przybyłe z różnych okolic kraju, ale niewiele tam tego. Podobno remanentu więcej, niż dotychczasowych transportów. Teraz tam wszystko ważą. Waga bankowa pracuje od rana do wieczora. Rozmaite instytucye kredytowe ogłaszają się z gotowością dawania zaliczek do trzech części wartości przywiezionej wełny — i oto wszystko. Kto ma wełnę, będzie miał pieniądze.

A ceny?

Nie moja to tam rzecz, ale podobno wcale nieszczególne. We Wrocławiu szło niebardzo, w Poznaniu, ba i bardzo — dopiero w końcu ceny jakoś podskoczyły. Tak to tam przynajmniej mówią, nie wiem, czy nie strachy na Lachy. Przecie bardzo źle nie będzie, jakkolwiek słychać znowu, że kupców zagranicznych zjechało niewielu. Et! co tam! jeszcze ich się nazjeżdża! trzymajmy się ostro!

Ogólny nastrój jarmarku ma już swój techniczny termin. Nazywa się to t e n d e n c y a. Aha! t e n d e n c y a! Dopytują się tedy wszyscy: jaka jest t e n d e n c y a jarmarku? Co do mnie, sądzę, że jest taka, żeby jeden drugiego okpił, ale zdania swego nie narzucam nikomu; ogłoszę je albowiem tylko na mocy tradycyi o dawniejszych jarmarkach, i na mocy własnych spostrzeżeń, jakie robiłem w Baranowie nad Wieprzem, gdzie jak tylko jest jarmark, na który schodzą się Żydzi aż z Łysobyków, naówczas bez najmniejszej wątpliwości tendencyą ich jest okpić wszystkich chłopów, przyprowadzających woły, krowy, barany etc. etc. Sądzę, że nietylko w Baranowie, lub w Łysobykach — myślę nawet, że i w Warszawie tendencye kupców hurtownych, jakkolwiek mogą być szlachetne, nie byłyby przeciwne przyjęciu wełny, nawet za darmo, gdyby tylko obywatele wiejscy najmniejsze darowania jej tendencye objawiali.

W chwili, kiedy to piszę, jarmark urzędownie jest już rozpoczęty, Konferencye gospodarskie, jakie się zeszłego roku podczas wystawy rolniczej odbywały, zmieniły jego termin, przeniósłszy go z 15 na 19-ty — dawniejszy zwyczaj jednak zwyciężył. Nowy termin miał przytem tę złą stronę, że wypadał w dzień jarmarku berlińskiego, który odciągał kupców. Konferencye wyszły wprawdzie z zasady, że jarmark głównie na tutejszych kupców liczyć powinien, ale jarmark, nie wdając się widocznie w teoretyczne dowody, co powinien, a czego nie powinien, rozpoczął się — i rób z nim co chcesz!

Zjazd wieśniaków już wyraźnie daje się czuć w Warszawie. Hotele pełne, po restauracyach pełno, ruch po sklepach zwiększa się; ogródki przepełnione. Miasto ożywia się i, gotując coraz nowe zabawy, radośnie oczekuje pieniężnego żniwa, jakie mu jarmark wełniany zawsze przynosi. Tymczasem odbywają się wyścigi. Wyścigi! Ach, wyścigi. Mógłbym cały odcinek o nich napisać. Jest to także jarmark, ale jarmark próżności ludzkiej, albo inaczej mówiąc: warszawsko angielskiego szyku. A odbyły się, a raczej, odbywają się w tym roku z wielką uroczystością. Przeszło sześćdziesiąt koni zapisało się do gonitw. *All right!* Ten angielski wykrzyknik, za którego ortografię nie zaręczam, ale którego sposób wymawiania szczęśliwie przez pilne

uczęszczanie na wyścigi posiadłem, stanowi jedyny i całkowity zasób angielszczyzny większości naszych dżentelmenów, uczęszczających na wyścigi. Zauważyłem nawet, że niektórzy z nich nie są dokładnie poinformowani, coby ten wykrzyknik miał znaczyć, co jednak nie przeszkadza im używać go z całą powagą jak najczęściej.

Pięknych kobiet, pięknych powozów i pięknych koni na pierwszych niedzielnych wyścigach było mnóstwo. Piękności kobiet, ich barw, kolorów, opisywać nie będę, za słabe bowiem moje pióro. Co się tycze powozów, zauważyłem kilka oryginalnych zaprzęgów, między którymi odznaczała się szczególnie piękna, dobrana, nieledwie że bliźniacza, gniada czwórka, zaprzężona do lekkiej amerykanki. Dziwiła mnie tylko jedna rzecz, t. j. równie dobrani stangret i lokaj, obaj byli bowiem tak podobni do orangutangów, że słusznie można ich było poczytywać za ewentualny w przyszłości, a bardzo cenny nabytek do mającego się w Warszawie założyć zwierzyńca. Zdziwienia swego nie potrafiłbym może i ukryć, gdyby nie pewien dżentelmen, imieniem Coco, który przestrzegł mnie, że to jest *mauvais genre*, drugi zaś dżentelmen, imieniem Joco, objaśnił, że to nie są orangutangi, ale dwaj Anglicy, starannie dobrani umyślnie, albowiem właśnie bardzo z towarzystwa

jest, aby służba popierwsze: była angielska, a podrugie, żeby szczęśliwie łączyła w swych fizyognomiach wyraz twarzy idyoty i małpy; wyścigi tedy odbyły się w całym wymaganym porządku. Emablowano damy w powozach, ważono dżokiejów, ważono konie, zakładano się, wygrywano i przegrywano, rozmawiano we wszystkich językach europejskich, z wyjątkiem polskiego, — unoszono się nad łydkami dżokiejów, które rzeczywiście przypominały patyki, poobszywane w łosiową skórę; słowem: bawiono się z zapałem. Prawdziwym jednak bohaterem dnia tego był szlachetny syn pewnego wysoko urodzonego Anglika i równie wysoko urodzonej Angielki, lord Przedświt, którego polskie imię tem się tłómaczy, że urodzony był w Galicyi. Zapewnieście ciekawi, kto jest Przedświt? Otóż jest to nader piękne zwierzę ciemno-gniadej maści, z lekką, białą strzałką na czole, o szerokiej piersi, nogach sarny i ciemnych, łagodnych, pięknych oczach. Jest to zresztą indywiduum, posiadające sławę europejską: jest to ni mniej, ni więcej tylko zwycięzca ze Lwowa, podobno z Pesztu, z Pragi czeskiej, a nakoniec wielki pogromca wszystkich austryackich i nieaustryackich koni z wielkiego Derby wiedeńskiego. Jest to własność pana Tarnowskiego. W Warszawie stanął do biegu z nader dzielnym biegunem Fripponierem i raczył go łaskawie zwyciężyć

bez oblania się jedną kropelką potu. Amatorowie żałują niezmiernie, że ten czworonożny bohater nie może stanąć do biegu o nagrodę dwóch tysięcy rubli, jako przeznaczoną wyłącznie dla koni, zrodzonych w Królestwie i Cesarstwie. Nagrodę tę wziął zatem inny koń, nazwiskiem Lanerkost, szczęśliwy, że pochodzenie uwolniło go od mierzenia się z tak strasznym przeciwnikiem.

Przedświt ma obecnie lat trzy, i jakkolwiek wychowanie jego niemało musiało kosztować, opłaciło się jednak nauczycielom, gdyż, jak słyszymy, w samym Wiedniu miał prócz zakładów zarobić panu swemu okrągłą sumkę dwanaście tysięcy rubli — nie licząc tego, co zarobił w innych miastach pomniejszych.

Dwanaście tysięcy rubli! Ładna sumka. Mój Boże, jakże też nierówno są rozdzielone sposoby zarobkowania! Oto, dajmy na to, jakiś uczony profesor uniwersytetu musi kilkanaście lat pracować głową na to, co Przedświt zarabia w ciągu dwóch minut i siedmiu sekund nogami. Jak wam się, mili czytelnicy, to porównanie podoba? Czy lepiej być człowiekiem z głową, czy koniem z nogami? Nie przesądzam kwestyi, ale wiem tylko tyle, że niejeden człowiek z głową, który całe życie biedę klepie, jak Lazarus, oddałby bardzo wiele, żeby tak raz w życiu koło

świętego Jana mógł się zmienić w takiego Przedświta, Grand Daniela lub coś podobnego.

Dwanaście tysięcy rubli, to nie żart. Ha! w Paryżu płacą po sto tysięcy franków, w Anglii pono jeszcze więcej.

Wyścigi trwać będą jeszcze trzy dni. Ile jeszcze który z czworonożnych bohaterów zarobi tysięcy rubli, nie omieszkamy wam donieść.

To są grube fakty. Cóż chcecie? Słyszałem ubolewających dżentelmenów nad tem, że u nas nagrody takie małe. Zapewne! Tacyśmy bogaci! Możemy sobie pozwolić.

Wyścigi wszakże to rzecz arcy-pożyteczna. Przyczynia to się do polepszenia ras krajowych. Istotnie, że wyścigi przyczyniają się do polepszenia ras krajowych, o tem nie wątpimy ani chwili, widząc, jak pod wpływem tej modnej zabawy szlachta krajowego pokroju zmienia się na świeżo wypieczonych baronetów i lordów angielskich. Jeżeli tę przemianę uważacie, mili dżentelmenowie, za poprawę rasy krajowej, to chętnie przyznamy wyścigom wpływ niepośledni; jeżeli jednak idzie o konie, to zupełnie inna sprawa.

W dorożkach naszych chodzą szkapy, Boże odpuść; w omnibusach naszych każde konisko przypomina chudością Barbarę Ubryk; chłopi nasi mają chmyzy tak małe, że się trawestacyą prawdziwych koni nazwać mogą; fornalki nasze

ledwie nogi włóczą wiosną za bronami. Gdzież więc znać wpływ waszych folblutów? Konie angielskie mogą poprawić nasze: nie spieram się o to; mogą i powinny, ale na to potrzeba hodować niejedną rasę biegunów, do niczego nie zdatną prócz wyścigów.

Powiedzcie, że wyścigi są szlachecką zabawą, zachowującą jeszcze odcień rycerskości — zgoda, o ile sami jeździcie, ale o pożytku ich niema co mówić.

Gazeta Polska, 1875, Nr 128 z dnia 15 czerwca.

XXIII.

Jeszcze wyścigi. — Wzruszenia. — Połamane nogi. — Z przeszkodami. — My i Anglia. — Gorzka prawda. — Fakty. — Piękne projekty. — Szosy Miechowskie. — Czego brak Miechowianom? — Przyszłość projektu. — Bajka o szpitalu. — Posiedzenia spółki jedwabniczej. — Jedwabnictwo i proboszcze wiejscy. — Miliony przyniosła fantowa loterya. — Upadek zabawy. — Ostatnia.

Oto i tydzień wyścigowy skończony. Nie przeszedł on bez dramatycznych wypadków. Aż dwa rumaki padły ofiarą własnej szybkości. W hipodromie rozlegały się strzały rewolwerowe, którymi usiłowano w humanitarny sposób skrócić cierpienia padłych na torze walki klaczek. Piękne damy znalazły sposobność do czułych wzruszeń, do okazania czułości serca, manifestującej się nazewnątrz w tkliwych francuskich wykrzyknikach: *O mon Dieu! o ciel! o pauvre Isaura!* do żałosnych ubolewań nad słabością swych nerwów i nakoniec do nieśmiało wypowiedzianych nadziei, że i następne, przypadające za dwa dni

wyścigi z przeszkodami, nie przejdą bez pewnych wypadków, które, mój Boże! bądź co bądź, urozmaicają jednak zabawę.

Tymczasem wyścigi z przeszkodami nadeszły i nie sprawdziły tych nadziei. Do wielkiego stiplczezu stanęły trzy konie, a po przesadzeniu kilku przeszkód, wszystkiego jeden biegał w szrankach bez jeźdźca, co nie zdołało rzeczywiście zadowolić głodnej wzruszeń ciekawości. Za to mniej zapalonym amatorom sportu dały wiele do myślenia wyścigi chłopskie, kończące, jak wiadomo, tę szlachetną zabawę. Otóż z wyścigów tych okazuje się po najskrupulatniejszem obliczeniu czasu, jakiego na obieżenie szranek potrzebują konie angielskie i domorosłe chmyzy chłopskie, że różnica na korzyść pierwszych wynosi zaledwie kilkanaście sekund na wiorstę. Tak jest, kilkanaście sekund, a jednak dla tych kilkunastu sekund ileż to zachodu i starań, ile hałasu, ile przeróżnych ceremonii, ile starterów, chorągiewek, meldowań, wagi, ile angielskiego szyku! Tworzą się dyrekcye, sprowadza się dżokiejów, zapuszcza się angielskie faworyty, nosi się angielskie paltoty, wyłamuje domorosłe szczęki na angielski sposób po to, ażeby mówić angielszczyzną, którą każda inna narodowość łatwiej rozumie niż angielska; chowa się całe stada długonogich rumaków, wybiera się z pomiędzy nich te, które mają nogi

najdłuższe, trenuje się je, ludzie i konie pocą się jak nieboskie stworzenia, wyrzuca się rocznie miliony złotych... i wszystko to dlatego, żeby potem przelecieć wiorstę o kilkanaście sekund prędzej niż to robi, naprzykład, niejaki Stacho Kałduniak z pod Wilanowa.

Ależ Stacho Kałduniak jeździł na swoim chmyzie cały rok, — dżentlemeni na swoich folblutach nie jeździli; Stacho orał nim, dżentlemeni nie orali; Stacho bronował, Stacho woził drwa do Warszawy, zboże na targ, słowem Stacho użytkował, dżentlemeni ze swoich nie użytkowali — nakoniec, Stacho, mimo, że nie rozumie co znaczy: *all right!* mimo, że dżokiejów nigdy inaczej nie nazywa, tylko «poganami», mimo nakoniec, że na swego folbluta arcy po mazowiecku «hetta!» woła i prętem lub postronkiem go popędza, jest jednym z najracyonalniejszych krajowych sportsmenów. Drugi wniosek zaś jest taki, że owe kilkanaście sekund większej szybkości koni angielskich są sekundami najkosztowniejszemi ze wszystkich sekund, z jakich składa się nasze ogólne życie, co przy równie ogólnej biedzie, przy powszechnych narzekaniach, przy długach, przy wiecznych terminach etc., jest wydatkiem podobno absolutnie naszą możność przechodzącym. Co do mnie, ostatecznie sądzę, że jeżeli mamy dość powodów zazdroszczenia Anglii wielu rzeczy, które nieprędko u nas

z dziedziny pragnień i pożądań do dziedziny istotnych faktów przejdą, to wcale nie mamy powodów do zazdroszczenia jej sportu, który tam przedstawia się zresztą jako wynik zbytnich, wiodących do ekscentryczności, bogactw, u nas zaś jest wypływem chęci naśladownictwa, rozpowszechnionej, prawda, wszędzie, ale nie obfitującej w jakiekolwiek realne owoce.

Nie potrzebujemy owijać w bawełnę prawdy, że zacofani jesteśmy w stosunku do Zachodu pod każdym względem. Nadewszystko jesteśmy goli w porównaniu z tąż zagranicą, jak Łazarze. Przemysł nasz jest żaden; na drodze handlowej stawiamy pierwsze kroki; nasi lordowie wraz z całymi ich majątkami mogliby być plenipotentami lordów zagranicznych; nasi posiadacze ziemscy, stanowiący jądro społeczne, wegetują raczej na swych gospodarstwach; nasi włościanie nie umieją czytać i pisać; nasi Żydzi, mimo wszelkich, czysto jednostronnych czy obustronnych usiłowań, są jemiołą na dębie. Tu gromady ludzi ciągną dwa za krótkie końce celem powiązania ich z sobą, a gdy który się urwie, przewracają się głowami na dół, a nogami do góry; tam znowu łapią rzeszotami wodę; ówdzie rzucają groch na ścianę, ówdzie budują domki z kart; gdzieindziej kręcą bicze z piasku; tam znów pracują, jak owa przysłowiowa Barbara, która, co w dzień uszyje, w nocy

rozpara; a wszędzie więcej — Bóg widzi — o wiele więcej «przygotowań niż dyalogu».

Ach, gdyby to projekty były faktami, czegóżby to nam brakło! Jeżeli piekło jest istotnie zabrukowane dobremi chęciami i pięknymi projektami, tedy zapewniam was, mili współobywatele, że my, którzy mamy najgorsze w świecie bruki w Warszawie, dostarczymy ich jak najwięcej i w jak najpiękniejszym gatunku dla Lucypera. Ile tam już tego materyału jest na składzie, tego nikt i porachować nie potrafi.

Dixi! Ale gdy chodzi o fakty, odpowiedź nie tak łatwa, a zamiast odpowiedzi: «cisza i cisza pośród błękitów!» Co u licha! czyliż nic się takiego nie dzieje, o czem mógłbym wspomnieć z całem uznaniem?... Czekajcie, niech sobie przypomnę. Aha! budują szosy w Miechowskiem; budują wcale nawet nie na żarty, bo za 300.000 rubli. Fakt to niemały, a nawet w dziejach samopomocy powiatowej niesłychany; zachodzi jednak ta drobna okoliczność, że jeżeli istotnie je wybudują, to popierwsze: nie będą mieli czem po nich jeździć, a powtóre: nie będą mieli co po nich wozić! — Jak to? spytacie. Tak to, mili chrześcijanie, widzę w tej chwili żabę, która z całem zaufaniem wyciąga nogę, prosząc, by ją okuć. Jeżeli jeszcze nie zrozumieliście o co chodzi, tedy powiem wam, ale do ucha, tak, aby mnie Miechowiacy nie usłyszeli, że w całem Miechow-

skiem kto wie, czyby znalazł 300.000 rubli gotówką; że nie mają na szosy pieniędzy, a choćby mieli na wybudowanie, nie będą mieli na utrzymanie ich, czyli na konserwacyę. Powiem wam dalej, że nie mają szpitali, nie mają szkółek, nie mają kas obywatelskich, nie mają straży pożarnych, nie mają żadnej rzeczy, która jego jest, a przedewszystkiem: nie mają pieniędzy. Powiem wam dalej, że projekt, jako absolutnie przechodzący fundusze gmin i obywateli, jest poprostu niemożliwy. Słyszałem raz, a nawet słyszałem napewno, że w pewnym powiecie złożono dość znaczną sumę na wybudowanie szpitala. Cel piękny! Ależ oto, kiedy suma już była, poczęto się spierać, jak wielki ma być szpital. — Jak największy! — wykrzyknął pewien więcej filantropijny niż ćwiczony w czterech działaniach arytmetycznych przewodnik przedsięwzięcia. Owóż postawiono szpital wielki, bardzo wielki, tak wielki nawet, że nie starczyło już pieniędzy na dach, na urządzenie wewnętrzne i na chorych. Są więc mury, niema tylko dachu; jest szpital, ale niema w niem łóżek i chorych. Ten przykład niechaj objaśni wam, dlaczego, mówiąc o szosach miechowskich, nie mogę wstrzymać się od sceptycznego uśmiechu, i dlaczego przychodzi mi mimowolnie na myśl, że przedsięwzięcie owo nie wygląda o wiele więcej seryo niż owo budowanie mostu za fant w grach towarzy-

skich, przy którem się mówi: Buduję most, potrzeba mi arkady, a tą arkadą jest pan ten a ten.

Otóż i jeden fakt ze społeczno-powiatowego życia. Chciałem wam przytoczyć go jako pocieszający; po bliższem jednak rozpatrzeniu się w nim, zgadzam się z tymi, którzy go pocieszn ym nazywają. Przechodzę teraz do drugiego faktu. W mieście naszem szum, hałas, zjazd, ludzi jak mrowia; ale działalność społeczna uśpiona, dlatego fakty śmiało mogę liczyć na palcach, bez obawy, że mi ich do końca felietonu zbraknie. Owóż tym drugim faktem było posiedzenie Spółki Jedwabniczej, odbyte dnia 17 czerwca we czwartek. Zebrała się garstka akcyonaryuszów, zagajono posiedzenie, i sejmik zawrzał życiem.

Stara to historya te posiedzenia: zawsze powtarza się na nich jedno i toż samo. Przedewszystkiem członkowie zaznaczają brak czasu, następnie ułatwiają sobie uprzejmie tracenie tegoż czasu przez spory i rozprawy o szczegółach całkiem podrzędnej wagi. Występują rozmaici mówcy, wspominają o upałach, o Adamie i Ewie, nieco o czasach starożytnych, przerywają sobie wzajemnie, przepraszają się, nazywają się «znanymi z gorliwości», napomykają o prasie peryodycznej, o wdzięcznej potomności, o spóźnionej godzinie, o nieprzyjemności uczu-

cia głodu i o wielu rzeczach, tak dobrze jedwabnictwa tyczących, jak i nie tyczących. Nieraz się zdarza, że dwóch mówców mówi odrazu, a wówczas jeszcze odzywa się dzwoneczek prezesa, co wszystko razem tworzy interesujące trio, osnute na temat przyszłego dobra jedwabników. Posiedzenie ostatnie dowiodło tej niezbitej prawdy, której dowodzą wszystkie posiedzenia, jakie się tylko u nas odbywają: że dziwnie nas Pan Bóg obdarzył płynnością słowa, która z lada powodu wzbiera i rozlewa się niepomiarkowanie szerokiem korytem.

Spółka Jedwabnicza naznaczyła roczne swe posiedzenia na 17-ty czerwca, dlatego, że jest to «sezon wełniany». Poprostu chodziło o danie możności ziemianom uczestniczenia w posiedzeniach, obznajmiania ich ze sprawą jedwabnictwa i skutecznego jej popierania. Otóż czy wiecie, czytelnicy, ilu też ziemian brało udział w posiedzeniu? Ani jeden. Czy wiecie, ilu ziemian liczy się między akcyonaryuszami? Łatwo zgadniecie. Czy wiecie, ilu interesuje się jedwabnictwem? Ani jeden.

A jednak jakże to ważna gałąź krajowego przemysłu! Mój Boże! gdyby mniej filisterstwa, gdyby mniej kiwania ręką nad każdą rzeczą, która jest nowością; gdyby mniej tego: «a! co tam!» gdyby mniej przechodzenia do porządku dziennego, którym jest obracanie wielkich pal-

ców na mniej więcej wydatnym żołądku, — jakież to kraj mógłby odnieść z tego z czasem korzyści! Gdyby, naprzykład, nasi proboszczowie wiejscy, między którymi większość ożywiona jest jak najlepszemi względem społeczeństwa chęciami, chcieli wziąć do serca tę sprawę i zająć się poważnie hodowlą jedwabników! Hodowla rzecz to łatwa, rzecz to nawet przyjemna. Zamiast łupić po nieszporach w maryasza z miejscowym wikarym, zamiast politykować o tem, co Francuz będzie robił na wiosnę, zamiast nakoniec sypiać po obiedzie i chrapać z pod kolorowej chustki, którą się od much twarz nakrywa, — czyż nie lepiej zająć się jedwabnictwem, ocieniać plebanię morwowemi drzewkami, krajowi zapewniać miliony w przyszłości, sobie jednać cichą wdzięczność potomnych i słodkie jeszcze za życia przeświadczenie, że się dla dobra bliźnich działa?

Powtarzaliśmy już nieraz i jeszcze powtarzamy, że gdy we Francyi zaprowadzano jedwabnictwo — wszyscy pseudo-rozsądni opierali się temu co sił: mówiono, że klimat niewłaściwy, że drzew niema, że to zabawka, że się to na nic nie zdało; słowem: mówiono to wszystko, co i u nas mówią ospalcy — a jednak dziś Francya ma setki milionów franków rocznie z jedwabiu i jedwabniczego przemysłu.

Mówicie, że niema u nas przędzalni, niema

fabryk. Bądźcie spokojni. Miejcie tylko jedwab, a znajdzie się to wszystko. Przędzalnie założą choćby p. Hille i Dittrich w Żyrardowie — byle tylko było co prząść i z czego materye wyrabiać. Poparcia zatem, poparcia, czytelnicy, dla spółki! Członkowie jej mogą sobie na posiedzeniach rozprawiać nawet i o potopie, a swoją drogą sprawy spółki idą teraz lepiej, raźniej, energiczniej; w kasie nie taka pustynia, jak dawniej; Towarzystwo nie rozwiązuje się, nie upada, nie kona. Owszem żyje i zamierza rozszerzać działalność; mają pouczać pragnących się uczyć, dostarczać morw, wydawać broszurki, założyć pismo. Był nawet projekt, aby członkowie puścili się w apostolski pochód po wioskach i miasteczkach dla nauczania, ale projekt ten niewielki wzbudził w członkach entuzyazm.

Popierajcie więc jedwabnictwo i spółkę! Nie o osobisty jeszcze teraz interes chodzi, choć wkrótce z interesem ogółu zapewne i osobiste korzyści się połączą. Tymczasem chodzi tylko o dobro ogółu, dla którego — jakkolwiek grzeszni, leniwi, niedbali — często gotowiśmy jeszcze wiele zrobić.

O czemże jeszcze napiszę wam, czytelnicy? Chciałbym już zakończyć ten odcinek, gdyby nie to, że o wzmiankę doprasza się jeszcze fan-

towa loterya, która trwała aż dwa dni, w sobotę i niedzielę. W niedzielę sprzedawano jeszcze bilety nierozebrane dnia poprzedniego i wydawano fanty. Wszystko tak, jak było. Kolorowe namioty; damy, jak kwiaty w namiotach; białe płótna, barwne chorągwie, muzyka, światła; deszcz nawet, ten nieodstępny towarzysz każdej loteryi, dopisał i tym razem; słowem: wszystko było, jak dawniej, brakło tylko takich tłumów, jakie bywały dawniej. Zabawy te spowszedniały do wysokiego stopnia i przestały być zabawami. Dawniej brał w nich udział cały wielki świat, tłumy zaś przychodziły oglądać ten wielki świat. Dziś wielki świat ani się pokaże, mamy nie przychodzą; kto przyjdzie, ten gra lub nie gra, jak chce, ale nudzi się, czy chce, czy nie chce. Ludzie pytają się siebie wzajemnie: co tu robić? Czy zabawa ma polegać na przypatrywaniu się sobie wzajemnem? Ależ wszyscy czynią to od rana do wieczora! Jeśli chodzi o piękne kobiety, więcej ich jest u Fliegego — krótko mówiąc: niema co robić! Tak rozumuje ogół. Fanty już nie nęcą. Opatrzyło się wszystko. Młodzieniec, wygrywający pończoszki, młoda panienka, wygrywająca brzytwy, nie robią już wrażenia. Możnaby wprawdzie powiedzieć, że na loterye nie chodzi się dla czego innego, tylko dla ubogich. He! niedostateczna odpo-

wiedź. Wiadomo przecie, że Warszawianie wtedy tylko są hojni, kiedy się bawią.

Loterya więc nie poszła zbyt świetnie.

A jednak była to już ostatnia loterya.

Gazeta Polska, 1875, Nr. 134 z dnia 22 czerwca.

XXIV.

Święty Jan dawny i teraźniejszy. — Termin. — Wianki. — Zamieranie obyczaju. — Posiedzenie akcyonaryuszów drogi Warsz.-Bydgoskiej. — Dwie koleje. — Oponent z zasady. — Nowe koleje. — Mój pesymizm. — Smutna rzeczywistość. — Przykłady naszej zaradności. — Popis przemysłu i rolnictwa w Kaliszu. — Z Sandomierskiego. — Straże pożarne. — Historya z beczką. — Drągi do bosaków. — Przy kolei Terespolskiej. — Trójpolówka. — Drewniane schody. — Miejscowe zwyczaje. — Wycięte lasy. — Historya o Icku Popycku i pewnym magnacie. — Icek psycholog. — Tow. Kredytowe. — Jubileusz. — Nasze winy. — Wakacye. — Przyszłość.

Nie tak to *illo tempore* bywało — mówi staroświecka piosenka, i ma wielką słuszność. Czasy zmieniają się; stare zwyczaje idą w poniewierkę, rozpływają się w falach zapomnienia, nikną, a odległość i różnica między przeszłością a chwilą obecną coraz większa.

Gdybym był poetą, wyśpiewałbym w pięknych rymach swój żal za poetyczną przeszłością; zauważyłbym w melancholiczny sposób

znikanie z życia poezyi, romantyzmu i miłości; a na dowód, że to wszystko znika istotnie, przytoczyłbym dzień Ś-go Jana i obchód wianków.

Czemże bowiem była dawniej, a czem jest dziś ta uroczystość Ś-go Jana?

Poeci prawią, że w dawnych, zamierzchłych czasach, w dzień ten, gdy słońce kryło już złotowłosą głowę za sosnowe bory, gdy powoli ciemniała różowa zorza wieczorna, a od surowego wschodu wytaczał się na widnokrąg srebrny miesiąc z rojami gwiazd - służebnic, wówczas cały kraj zmieniał się w jedno czarodziejskie koło nadzmysłowych złudzeń i omamień. Na wzgórzach błyskały światła sobótek; po rosie, z łąk i zielonych dąbrów, echo niosło głosy pastuszych ligawek i słowa pieśni i okrzyków: «Hej Kupała! hej wielki Kupała!» Źródła i strumienie szemrały uroczyście jakoś i tajemniczo. Czasem zaszumiał wielkim głosem bór i umilkł, jakby przerażony. Czasem przelotna chmurka przesłoniła blady księżyc, a wówczas w lesie wśród próchna i paproci połyskiwały niewidzialne nigdy światła. Stare sosny i buki zdawały się gadać prawie ludzkiemi słowy, jakby marzyć, jakby coś sobie przypominać. Tajemnicze szepty kończyły się ciszą. Naokół słyszałeś niby westchnienia, z poza światowych piersi wydobyte. W gęstwinie śmiały się leśne wile. Dziwożona, kołysząc się nad przepaścią, zwieszona

z gałęzi olchy, śpiewała: «Pójdź tu do mnie, chłopcze młody!» Po stawach i jeziorach wabiły świtezianki; z trzcin dochodziły wycia topielców. Dusze zmarłych obsiadały, niby kawki, samotne polne grusze. Na murach cmentarnych kwiliły duszyszki zmarłych bez chrztu dzieciątek. Po bagnach podskakiwały błędne ogniki. Wszędzie tajemniczo, straszno! Każda gałązka, złamana nogą zabłąkanego przechodnia, zdawała ci się mówić: «Nie chodź dalej!» Z ciemności boru wiało na nią przerażenie. Gałęzie krzaków chwytały za odzież, jakby broniąc dostępu do cudownego kwiatu paproci, o który, mimo widm, przestrachów i larw, kusili się goniący za skarbami, za szczęściem i za miłością młodzieńcy.

W takie to noce, ponad chłodne strumienie, ocienione wierzbą i kaliną, porosłe niezabudką, tatarakiem, warzęchą i płaskiem liściem lilii wodnych, wychodziły przy świetle pochodni, ubrane w bieli dziewice rzucać wianki na fale. I wianek wówczas unosił się lekko na drżącej toni, a za wiankiem rozlegał się plusk wioseł i wyciągały ręce młodzieńcze. Srebrny księżyc i czerwone pochodnie oświecały uroczystość. Czar chwytał wszystkie serca. Rzeczywistość zmieniała się w jeden fantastyczny poemat. Wszystko kochało i odwzajemniało miłość: dzie-

wice były niewinne, młodzieńcy cnotliwi, stali w miłości i mężni.

Tak to podobno było dawniej, a przynajmniej mówią poeci, że tak było. Ile w tem wszystkiem prawdy, a ile poetycznego zmyślenia, trudno przesądzać; to tylko pewna, że dziś czasy się zmieniły. A naprzód borów i lasów, w których działy się te świętojańskie cuda, już ani śladu: popłynęły do Gdańska, a w zamian sterczą czarne pniaki, na których najpowiewniejsze duchy, gdyby nawet chciały hasać, połamałyby sobie nogi z pewnością. Dalej, w duchy już dziś nikt nie wierzy. Świtezianki i rusałki, ubrane podług żurnalów, w biały dzień spacerują na wysokich korkach po Saskim ogrodzie, wabią nawet chłopców po dawnemu, ale ród ten dziwnie jakoś zmądrzał, i dziś już ani śpiewem, ani niezabudką nikt go nie wywiedzie w pole, «jeno mu trzeba posag położyć na stole». Dziwożony zmieniły się także niepomału. Jeżdżą na lato do wód, dzieci oddają bonom francuskim, a choć ciągną nieraz do przepaści... własnych mężów, czynią to w sposób arcy nowożytny, z pomocą rachunków od Włodkowskiej, Penkali i Thonnesa, z pomocą balów, koncertów, sezonów letnich i zimowych, wód, mody i kwaśno słodkich wysileń dobroczynnych, w których co grosz na ubogiego, to tysiąc na tualetę.

Tak jest, czasy się zmieniły, a z nimi zmie-

niła się i czarodziejska uroczystość Ś-go Jana. Nie wiem, czy paproć kwitnie jeszcze, czy nie kwitnie, jak dawniej o północy, ale wiem, że Święty Jan to dziś przedewszystkiem termin. Tak, mój miły czytelniku! Zamiast iść chwytać wieńce dziewicze, musisz iść płacić ratę w Towarzystwie Kredytowem wiejskiem i miejskiem. Taka to teraz uroczystość. Na Święty Jan eksspirują twoje sola weksle; na Święty Jan wręczają ci pozwy; na Swięty Jan różne kasy przemysłowe przysyłają ci swoje awizacye; na Święty Jan kłania ci się Bank handlowy; na Święty Jan modlisz się napróżno do Dyskontowego; w ten dzień gospodarz podnosi ci komorne; w ten dzień płacisz sługi; rzemieślnicy nachodzą ci od rana mieszkanie; słowem: wszędy termin i termin, prawdziwa *dies illa, dies irae.*

Oto jest różnica dzisiejszego Świętego Jana od dawniejszego Kupały. Łatwo zrozumieć, iż wobec tych warunków, wobec tych arcy prozaicznych potrzeb i kłopotów, znikł dawny poetyczny charakter tej uroczystości. Najlepszy tego dowód mamy na obchodzie wianków. Kto dziś chodzi je puszczać? kto je chwyta i czego dziś one są symbolem? Mój Boże! mówią, że: niewinności. *C'est possible!* ależ skoro rycerska młodzież nie bierze już w tej zabawie udziału, czyż opłaci się puszczać na wodę taki symbol po to, ażeby go złapał przewoźnik? Z drugiej

strony, choćby prócz przewoźników brała udział w uroczystości i młodzież rycerska, to niejeden znów rozumuje, że nader małą jest satysfakcyą, zamiast dziewiczego, schwytać np. wieniec warszawskich rzeźników lub piekarzy. Nakoniec, jeżeli wieńce mają być symbolem niewinności, dlaczegóż puszczają je na wodę stolarze, rzeźnicy i piekarze? Ci ostatni, nie wiem napewno, czy puszczają, w każdym razie mogę wam zaręczyć, że jeśli wieniec ten składa się z bułek ich własnego wyrobu i pieczywa, tedy ryby mogą go, co jest nawet najprawdopodobniejsze, nie chcieć skonsumować; na wypadek przecież, gdyby go skonsumowały, niema obawy, żeby się która udławiła: wielkość bułek uspokaja nas zupełnie.

Owóż więc, wracając do wianków, zwyczaj ten traci swoje poprzednie znaczenie i coraz bardziej słabnie. Dawniej brały w nim udział nawet i wyższe klasy; dziś i średnie brać nie chcą. Któż zatem, prócz stolarzy etc., puszcza dziś wianki? Dziewice? Zapewne... Sądzę jednak, że jeśli dystyngowani młodzieńcy nie gonią za nimi po wodzie, to dlatego, żeby ich i na lądzie przyjąć nie chcieli. Zwyczaj był niegdyś piękny i poetyczny; dziś jest to blade jego odbicie. Na moście zbiera się gromadka ludzi, kręci się, poziewa. Zachodzące słońce pozłaca całą tę ceremonię ostatnimi promieniami i znika za da-

lekiemi drzewami. Ludzie ciskają kilka niby wieńców na wodę; rozchodzą się, nie rozumiejąc co robili, dlaczego i na jaką pamiątkę to robili — i nakoniec idą pokrzepić się w poblizkich restauracyach, co, jak się zdaje, dziś stanowi właściwy cel zabawy.

Dziś niewdzięczny to materyał nawet dla felietonisty, sławiącego z zasady stare zwyczaje; wolę więc przejść na inne pole, które i dla was, czytelnicy, może będzie ciekawsze. Powiem wam na ucho, że byłem na posiedzeniu akcyonaryuszów drogi żelaznej Warszawsko-Bydgoskiej. Mówię wam to na ucho, dlatego, że na takich posiedzeniach nie wolno bywać nikomu więcej prócz samych akcyonaryuszów — ja zaś... Mniejsza o to, nie lubię dotykać tej materyi; dość, że na posiedzeniu byłem, byłem przez ciekawość, która jest moją obowiązkową wadą, i dla zdania wam sprawy, jak się podobne posiedzenia odbywają.

Nakoniec byłem jeszcze i dlatego, bo sądzę, że tak, jak dobrze jest być widywanym pod rękę z pryncepsami rodu lub pieniędzy, tak również dobrze pokazywać się na zgromadzeniach akcyonaryuszów kolei żelaznych. Co chcecie? znałem człowieka, który tak często chwalił się wysokiemi znajomościami, że gdy ktoś przy nim pewnego razu narzekał na upał, ów odpowiedział: Istotnie jest gorąco, powiadam wam,

że dziś takeśmy się spocili z Branickim, że to okropność! — Mój drogi, spytał go ów k t o ś, dlaczego ty się nigdy z kim innym nie pocisz, tylko zawsze z Branickim? Nie było odpowiedzi, ale łatwo się jej było domyślić. Ot wolał się pocić z Branickim, niż z kim innym chłodzić. Tak i ja: wolę być na posiedzeniu akcyonaryuszów niż gdzieindziej. Jak się człowiek o akcyach nasłucha, zdaje mu się, że sam ma akcye.

Owóż takie posiedzenie, to jest rzecz arcy poważna. Chodziło na niem o to, czy droga Warszawsko-Bydgoska ma mieć wspólny zarząd z Wiedeńską, czy też swój własny. Pewien akcyonaryusz drogi Bydgoskiej oskarżył Wiedeńską, jakoby ta Bydgoską wyzyskiwała. Obraziło to akcyonaryuszów drogi Wiedeńskiej, którzy też zaprojektowali rozdział. Wtedy padł strach na Bydgoszczyków; trzeba wam bowiem wiedzieć, że droga Bydgoska niewielka jest, zysków nie przynosi, trzeba nawet do niej dokładać; gdyby zaś miała oddzielny zarząd, oddzielną stacyę, oddzielne warsztaty mechaniczne, potrzebaby było dwa razy tyle dokładać. Padł więc, mówię, strach. Pokazało się, że stosunek drogi Wiedeńskiej do Bydgoskiej jest taki, jak mamki do dziecka. Niewczesny opiekun sądził, że dziecię urosło, że może samo chodzić, aż tu pokazało się, że za pierwszym krokiem prze

wróci koziołka. Opiekun sądził, że samo na chleb zarobi, a pokazało się, że samo do ust pokarmu zanieść nie zdoła. Trzeba było na to zaradzić; stąd wynikła konieczność obgadania. Owóż akcyonaryusze drogi Wiedeńskiej, obrażeni insynuacyami wyzyskiwania, uradzili, żeby się po upływie oznaczonego terminu rozłączyć; akcyonaryusze zaś bydgoscy uchwalili, żeby się nie rozłączać. A opiekun? Dziwny to zaiste fakt. Występując przeciw drodze Wiedeńskiej, opiekun występował niby w obronie interesów akcyonaryuszów bydgoskich, a jednak ciż sami akcyonaryusze uznali jego wystąpienie za bezzasadne i na rozwagę nie zasługujące. O niewdzięczności akcyonaryuszów! I cóż wam szkodzi, że ktoś protestuje dlatego, żeby protestować, że ktoś sztukę dla sztuki uprawia? Napozór sądzićby można, że wszelka opozycya powinna mieć powody realne, natury czysto przedmiotowej. Pokazuje się, że to fałsz. Pokazuje się, że można urodzić się oponentem, tak, jak flegmatykiem, sangwinikiem i tym podobnie. Jest to sobie temperamencik taki sam, jak i każdy inny. Achilles, jak to wiemy z «Pięknej Heleny, urodził się «wrzący - zacięty, wrzący - zacięty» — i z góry wchodząc na scenę, sam to zaznacza. Kogóżby więc to, o akcyonaryusze, dziwić mogło, gdyby ktoś, urodziwszy się opo-

nentem, wchodząc na posiedzenie, również z góry zapowiadał:

Jestem oponent z zasady, ponent z zasady,
[ponent z zasady,
Jestem negatywny, tywny, tywny mąż,
Da-rem-ne wszelkie obrady, wszelkie obrady,
[wszelkie obrady,
Ja protestuję, tuję, tuję, tuję wciąż.

Nie można zmienić własnej natury tak samo jak nie można płynąć przeciw wodzie. Wyobraź sobie, o czytelniku akcyonaryuszu, że masz taką negatywną naturę, i że jesteś na posiedzeniu, na którem o godzinie południowej zapada jednozgodna uchwała akcyonaryuszów, że jest widno. Cóż wówczas robisz? Rzecz bardzo prosta, oto wstajesz i mówisz:

«Proszę o głos, albowiem uważam, że się ściemnia i protestuję przeciw światłu». Nie dziwcie się więc, gdy kto protestuje, skoro w ten sposób oddaje dług wymaganiom swej natury. Nie dziwcie się także, gdy ktoś przerywa kwestyę w taki sposób, jak ten, który w nocy przyszedł oświadczyć komuś, poszukującemu przez gazety towarzysza w drogę do Krakowa, że do Krakowa nie ma zamiaru wyjechać. Wszystko to zależy od natury, a w najgorszym razie dowodzi odwagi cywilnej.

Akcyonaryusze owóż kolei Bydgoskiej uchwalili, mimo opozycyi członka-oponenta, żeby się

z Warszawsko-Wiedeńczykami nie rozłączać. Prócz tego, dla wytrzymania konkurencyi z przyszłą drogą Nadwiślańską, ciż akcyonaryusze polecili Radzie zarządzającej, aby przedsięwzięła gdzie należy starania o uzyskanie prawa budowania jeszcze kilku niewielkich, ale nadzwyczaj ważnych linii (Ostrowiec, Słupca) kolei, zmieniających drogę Bydgoską w najkrótszą odległość między Moskwą a Berlinem, czyli między całym Wschodem a całym Zachodem. Podzielamy w zupełności życzenia akcyonaryuszów i poświęcamy im (to jest życzeniom, nie akcyonaryuszom) kilka gorących westchnień. Żebyż! ach, żebyż! Każda kolej to linia, po której biegną nie tylko lokomotywy, ale i bogactwa, nietylko bogactwa, ale i światło. Podniosłaby się zamożność ogólna i umysłowość ogólna.

Mój Boże! pomawiają mnie o pesymizm, o umyślne przesadzanie w ciemnych barwach ile razy dotykam stosunków miejscowych. Pominąwszy już źródło tego pesymizmu, które, Bóg widzi, czyste jest i przejasne, osądźcie sami, czy ja mam zbyt zakopcone szkła na oczach, czy też rzeczywistość ciemna jest i smutna. Czytujemy korespondencye z prowincyi. Oto w Kaliszu był np. rodzaj wystawy pod nazwą: «popis przemysłu i rolnictwa». Wszystko udało się wybornie. W żywe oczy postawiono dowody, że okolica zamożna jest, dobrze uprawna i pod rol-

niczym, równie jak i przemysłowym względem wysoko posunięta. Śliczne były okazy fabryczne i rolnicze. Śliczne były rasy bydła, owiec, śliczne zboża, bajeczne jarzyny, a wszystkiego w bród. Bogdaj tak wszędzie! — powiecie czytelnicy, ale nim dokończycie okrzyku, zawołam: Bogdaj tak nigdzie!

Co znowu? spytacie zdziwieni. — Słuchajcie! Była na tej wystawie jedna dziwna i bardzo dziwna strona. Oto między większością przepysznych okazów rolniczych, między temi świadectwami inteligencyi, bogactw i pracy, kryły się okazy wprost przeciwne. Kryły się po kątach, jakby wstydząc się same za siebie: marne, ubogie, wątłe, również prawdziwe świadectwa ubóstwa i obliczonej z dnia na dzień wegetacyi. A teraz, czy wiecie, czyje były te okazy? Pierwsze były niemieckie, drugie nasze. A! więc to nie mój pesymizm, czytelnicy, to rzeczywistość, którą oglądały oczy wszystkich obecnych, o której pisali korespondenci do wszystkich pism — rzeczywistość tak bolesna, że nawet szydzić z niej nie można, ale ubolewać razem z wami wypada. Majątki tam najlepsze w rękach obcych, inteligencya w głowach obcych, wytrwałość w duszach obcych, pieniądze w workach obcych. A żywioł swoich? Ustępuje powoli. Miejsce naszych wielmożnych, zajmują obcy przybylce, nie poczynający gospodarstwa od

czwórek, «mości dobrodzieju, dobranych», od «koczyka, mosterdzieju, dla imości, wiedeńskiego» — ale też i nie kończący na westchnieniach o radcostwo w Tow. Kredytowem, z symulacyjnego dziedzictwa, przez dobroć łaskawych sąsiadów.

Dlaczego wam mówię to, czytelnicy, skoro wiem, że wam słyszeć boleśnie? Mnie równie boleśnie, ale nie o to tu chodzi. Mówię prawdę, bo trzeba, żebyśmy ją sobie mówili, nie oszczędzając się wzajemnie. Mówię prawdę i ostrzegam. To nasza — prasy — rola.

Ale biorę inną korespondencyę do ręki, z innych okolic kraju, z Sandomierskiego. Słuchajcie.

«Nasze fortuny — mówi mniej więcej w tych słowach korespondent — toczy jakby jakaś ukryta wewnętrzna choroba, jakiś rak, na którego niema już środka. Ziemia tu wyborna, życia nad stan nikt nie prowadzi, a jednak Tow. Kredytowe raz w raz wystawia na przymusową sprzedaż najpiękniejsze fortuny. Kulturtregerzy jeszcze nie przedarli się do nas, ale etc....»

Przyjdzie i na to czas. Piękna pociecha.

A teraz jeszcze jeden przykład naszej zaradności i troskliwości obywatelskiej.

— O! bardzo się obecnie obawiam o nasze miasteczko, mówił jeden z moich znajomych.

Żydzi poubezpieczali się wysoko: może być źle. O pożar łatwo.

— Powiedz mi, dlaczego nie założycie ochotniczej straży pożarnej?

Mój znajomy wziął się za boki i począł się śmiać długo i serdecznie.

— I któż będzie do niej należał? Ja jeden.

Pytałem, czy przynajmniej mają narzędzia pożarne: beczki, topory, bosaki do zdzierania dachów i tym podobne? Odpowiedziano mi, że tak jest. Przed laty kilku kupiono beczkę. Na nieszczęście, z jednego jej końca spadła obręcz. Zawołano więc bednarza, żeby ją nabił. Ale na nieszczęście, gdy ją nabijał na jednym końcu, spadła druga obręcz na drugim końcu. Bednarz, który nad pierwszą napracował się cały dzień, odłożył drugą na dzień następny. Przyszedł dzień następny, bednarz nabił drugą, ale spadła pierwsza, trzeciego znów druga, czwartego znów pierwsza — i tak już od kilku lat: co jednego dnia nabije z jednej strony, to zleci z drugiej. Skutkiem tego, poczciwy bednarzyna ma już od kilku lat robotę, i jeżeli pójdzie tak dalej, i klepki się wreszcie rozlecą, będzie ją miał do końca życia. Ale co będzie w razie pożaru? Co się tycze innych narzędzi, do bosaków nie mają wprawdzie jeszcze okuć, ale mają już kije. Pogniło to tam wprawdzie trochę, bo raz osunęło się ze ściany, o którą było oparte,

i wpadło do kałuży przed zajazdem, która i podczas największej suszy nie wysycha, a jak wpadło przed czterema laty, tak nikomu nie przyszło jakoś do głowy wydobyć.

Podobne, z małemi zmianami, środki przeciw strasznemu żywiołowi są w rozporządzeniu mieszkańców każdego powiatowego miasteczka, możemy więc spać spokojni. Bo i dlaczegóż to się obawiać? Jak kogo nieszczęście ściga, może wyszedłszy poważnie na ulicę nogę złamać, a kto inny, choćby po stołach skakał, nie złamie.

Wyrwało mi się nietrafne porównanie: przepraszam! Jeżeli kto łamie nogę na naszych ulicach i naszych brukach, nic to dziwnego.

I to przykład wrodzonej nam zaradności.

Źle się dzieje w miastach, źle i po wsiach. *A propos* wsi. Wyjeżdżałem niedawno koleją Terespolską, dosyć daleko, na Międzyrzec i Białą. Czy też wiecie, czytelnicy, że w tamtych błogosławionych stronach jeszcze drewnianemi sochami orzą, a na trójpolówkach gospodarują? Oto co się nazywa zachowywać stare obyczaje! Wszystko, jak było za króla Ćwieczka. W czytanie i pisanie oczywiście nie bardzo się tam bawią, są to bowiem pomysły zamorskie. Czytają kalendarze; prócz tego, w jednym inteligentniejszym domu znalazłem dzieło pod tytułem: «Święta Genowefa, czyli niewinność ucie-

miężona na puszczy. Anno 1756». Co do pisania zauważyłem jedną okoliczność, którą prawdopodobnie miejscowym zwyczajom przypisać należy. Oto wyraz wtorek, piszą powszechnie przez *f*.

Między majątkami jest tylko jeden, zagospodarowany świetnie i urządzony na płodozmian; ale to tam mówić nie warto: właściciel ma nazwisko niemieckie.

Ale, ale, zapomniałem: byłbym skrzywdził tamte strony. Widziałem jedną rzecz postępową: wycięli swoje lasy.

Wycięli: widać całe obszary pokryte pniakami. Wycięli i sprzedali Żydom, którzy sprzedali tam jeszcze komuś i t. d. Nie było nas, był las...

A teraz opowiem wam małą historyę o Icku Popycku. Historya nie z Bajarza, ale z rzeczywistości. Tego Icka Popycka nawet znacie. Dzisiaj to milionowy pan; zrobił ogromną fortunę na lasach, w jaki zaś sposób ją zrobił, właśnie prawić zamierzam.

Był szlachcic-pan, ale to pan całą gębą. Dobra krew, ogromna fortuna, ogromna fantazya; słowem: wszystko Bóg dał, niczego nie odmówił. Ożenił się z córką magnata, wziął dobra ogromne i wyjechał za granicę.

W dobrach tych szczególniej cudne miał

lasy: starodrzew! sosny gubiły w niebie wierzchołki, a dęby, a buki, a wszelki rodzaj drzewa!

Wśród tych lasów była fabryka, co lasom nadawało olbrzymią wartość, w tych bowiem czasach jeszcze kamiennego węgla nie używano.

Otóż Icek Popycek postanowił sobie kupić te lasy.

Kupić? Łatwo powiedzieć. Ale jak kupić? Właściciel bogaty jak Krezus, siedzi za granicą i ani myśli sprzedać.

Jak ktoś czego nie chce sprzedać, to napozór zdaje mi się, iż tego kupić poprostu niepodobna.

Wszelki rozum wobec takiej alternatywy przestaje działać.

Tak, wszelki, ale nie Icka Popycka.

Wyobraźcie sobie zdziwienie naszego szlachcica-magnata, gdy pewnego poranku otwierają się drzwi pysznego numeru w Grand Hôtel na Bulwarach w Paryżu i wchodzi kto? Icek Popycek.

Tak, tak, Icek Popycek w Paryżu, z pejsami, w chałacie i z fajką porcelanową, wyglądającą wygiętym cybuszkiem z tylnej kieszeni.

Uradowała się dusza naszego magnata. Zobaczyć w Paryżu coś tak *par excellence* swojskiego, któżby się nie uśmiał i nie ucieszył! Zerwał się:

— Icek, jak się masz?!

— Paam do nóg Jasnege Pana.

— Co ty tu robisz?

— Ja za interesami. Ot jak zwiczajni Zid.

I rozmowa potoczyła się żwawo; aż po niejakim czasie Icek mówi:

— Ja mam do Jasny Pana wielgą prośbę.

— Co takiego?

— Ja mam tu 200 tysiąców franków, co odebrałem po żonie; tego po jej krewnych. Tyle pieniędzy! ja się boję. Tu same złodzieje i rozbójniki. Niech Jasny Pan mi to schowa. Ja może za pół roku, może za rok przyjadę znowu i odbiorę.

Jasny pan nie chciał, nie chciał, wzdragał się, wreszcie ustąpił i pieniądze schował.

Icek Popycek wyjechał z Paryża, i wkrótce pan o nim zapomniał. W Paryżu, jak w Paryżu, jest dużo wrażeń, robi się wiele znajomości. Nasz magnat porobił nawet znakomite, poznał się bowiem z członkami świty zmarłego cesarza Napoleona III.

Byli to dżentlemeni, niektórzy wysoce urodzeni, wszyscy bogaci, świetni, wspaniali; używali życia, podróżowali, uwodzili kobiety i polowali; jeździli na wyścigi, grali.

Grali nawet gracko.

Raz nasz rodak, skuszony może widokiem

złota, może chcąc szczęścia próbować, usiadł z nimi do gry.

Przegrał.

Przegrał 800.000 franków i zapłacił częścią swoją gotówką, częścią Icka.

Na drugi czy trzeci dzień zjawia się Icek.

— Paaam do nóg Jasnege Panu.

— A! to ty. Co powiesz?

— Chciałem Jaśnie Pana prosić o swoje pieniądze. Trafia mi się geszeft na las. Ech! ce, ce, ce, co za geszeft. Jaki las, drugi raz się taki nie zdarzy: miliony zarobię.

Magnat przechodził się szybkim krokiem po pokoju. Nagle stanął.

— Co? co?

— Eh, jaśnie panie, co za las! Ce! ce!

— Czego ty masz kupować u obcych? Kup u mnie.

— No, jeśli jaśnie pan tanio sprzeda...

Reszty domyślacie się, czytelnicy. Psycholog Icek Popycek znał grunt, na którym budował. Icek Popycek był wielkim dyplomatą, wielkim, w swoim małym rodzaju, wodzem. Wygrał ogromną kampanię, zrobił ogromną fortunę i dziś cieszy się wielkiem uznaniem, tych zwłaszcza, którzy jeszcze mają lasy do sprzedania.

Z drugiej strony historya ta maluje i nas doskonale. Byle pieniądze w rękę, oho! Mówi się sobie: pójdą na wkłady gospodarcze, na ulep-

szenia, na spłatę długów etc. etc. A w rzeczywistości idą... gdzie? Ot, do ludzi. Rozłażą się. Część się przeżyje. Teraz już tego mniej: zbytków po wsiach i życia nad stan już niewiele, a jednak...

...A jednak dzisiaj na dobrach szlachcica.

Ciężą przeważnie te listy zastawne!

Towarzystwo niedawno właśnie obchodziło swój pięćdziesięcioletni jubileusz. Potężna to instytucya, jakże pożyteczna, jak zbawienna, a jednak... echo powiada:

«Ciężą przeważnie te listy zastawne!...»

Listy jak listy — dziś niejeden podjąłby się ten ciężar dźwigać — ale raty! Dawniejsze to jeszcze często grzechy, często grzechy ojców, którym się jako zmarłym, a zmarłym nie bez zasługi także, nic wymawiać nie godzi. Hej, cóż to i robić? Pracować i pracować.

Na zakończenie odcinka jeszcze jeden fakt z naszego ogólnego żywota. Rozpoczęły się wakacye: całe setki i tysiące naszych dzieci porzuciły na kilka miesięcy ławy szkolne. Domy winny dopełniać teraz tego, czego szkoła dać nie może. Niema szkół na świecie, któreby wpływ domów, szczególniej wpływ matek, czyniły zbytecznym. Sądzę nawet, że bez tego wpływu, wiedza sama pozostaje tylko siłą, która zarówno na złe, jak na dobre może być użytą.

Niechaj więc wie to młode pokolenie, że prócz wiedzy, trzeba jeszcze i innych czynników społecznych, że aby służyć społeczeństwu, potrzeba wszystkich cnót teologicznych: wiary, nadziei i miłości.

Gazeta Polska, 1875, Nr. 140 z dnia 30 czerwca.

XXV.

Dzieci wiejskie. — Bez opieki. — Ochrony wiejskie i znaczenie ich w społeczeństwie. — Egzaminy i popisy. — Instytut muzyczny. — Instytut głuchoniemych. — Cisza letnia. — Czasy ogórkowe. — Różne choroby. — Wyjazdy za granicę. — Rewolucya w bibliotece. — Wieści. — Urzędnicy kolei Terespolskiej. — Kółko czytelnicze. — Inni urzędnicy. — Kąpiele. — Nurki.

Zdarzało się wam zapewne nieraz, czytelnicy, przejeżdżając latem przez pierwszą lepszą wioskę, widzieć całe girlandy dzieci wiejskich, siedzących pod ścianami chałup, pod karczmą, albo poprostu na środku drogi, bez zajęcia, ot tak poprostu na woli Bożej. Te zgrzebne koszulki, poprzepasywane czarną krajką, konopiaste główki jak makówki i niebieskie oczy, wytrzeszczone nawpół ciekawie, nawpół lękliwie, na świat Boży — rzecz to znana, która chyba tylko przybysza miejskiego zająć może. Spytacie: co robią takie dzieci? Wioska pusta, bo rodzice wyszli w pole; przed chatami, prócz dzieci,

tylko psy drzemią i wróble świergocą pod strzechami, więc dzieci robią co chcą. Przepalają sobie głowy, przewracają się po piasku, łapią ryby w kałużach; ciągną dla zabawy za ogony psy miejscowe; otwierają kołowrot, gdy kto przejeżdża, kłusując potem boso koło bryczki za datkiem — ot i czas schodzi. Starsze często przytem skazane bywają na niańczenie młodszych. Nieraz chłopak ośmioletni cały dzień dźwiga jakiego roczniaka lub roczniaczkę, bo tak «matula kozeli», a co gorsza, przywiązali płachtą dzieciaka do opiekuna tak, że ten ostatni, choćby chciał, nie może razem z innymi wyprawiać się na cudzy groch przy drodze, lub na gruszki do dworskiego ogrodu, którego Żydzi pilnują. Bo trzeba wam wiedzieć, że te dzieciaki o konopiastych główkach kradną. Tak jest, dlaczegóżby zresztą kraść nie miały? Nie oduczy ich tego matka, bo matka świtaniem wychodzi do roboty, a nauczy ich tego każdy wróbel, żyjący cudzem ziarnem, zachęci każde jabłko, zwieszające się ponętnie przez parkan ogrodowy. Wstrzymuje ich tylko strach, ale zarazem pobudza nadzieja, że nikt nie patrzy, a choćby też im kto powiedział, że Bóg patrzy, nie miałoby to żadnego znaczenia, bo trzeba wam i to jeszcze wiedzieć, moi religijni, wykształceni i humanitarni czytelnicy, że dzieci te żyją bez Boga. Tak jest, bez Boga. Są to bezwiedni ateiści. Kiedy trochę

podrosną i poczną chodzić do kościoła, wówczas dowiedzą się o piekle i niebie, ale przedtem?... Jeżeli matka znajdzie nawet czas i ochotę do wyuczenia dziecka pacierza, dziecko powtarza mechanicznie wyuczone słowa, i na tem koniec.

Co chcecie? każde z nich jest tak dorosłym indyferentystą, że zawstydziłoby niejednego głośnego filozofa. Chowają się na łonie natury, tak, jak dzieci... Hotentotów. Same rozglądają się po szerokim świecie. Same zwolna poznają, co jest złe a co dobre. Uprawiają filozofię eksperymentalną. Złem, wedle nich, jest dać się złapać na uczynku, dać sobie zabrać czapkę grochu, dostać w skórę; dobrem — najeść się cudzego grochu, nie dać sobie zabrać czapki, nie dostać w skórę. Żal za złe popełnione jest żalem, że się nie udało. Gdy Franka, Walka lub Krzycha złapią na gorącym uczynku kradzieży gruszek, wówczas wsadza palec w usta, wytrzeszcza zawstydzone oczy, robi minę kozła w kapuście i żałuje... zgadnijcie czego? — gruszek! Naturalnie, że gruszek.

O biedny, płowowłosy Krzychu, widzę jak na dłoni twoją przyszłość! Jak nie umiesz teraz czytać i pisać, tak nie będziesz umiał do śmierci, niebożę! Gdy wyrośniesz, będziesz nocami jeździł w szkodę w cudzy owies z końmi. Sąd gminny sądzić cię będzie za to, żeś z siekierą w cudzy las pojechał, a ty do śmierci nie bę-

dziesz mógł zrozumieć, żeby między «wzion» i «ukradł» nie było żadnej różnicy. Potem, o Krzychu! zasmakujesz w wódce, nauczysz się przeklinać i wzywać «siarczystych», będziesz tłukł swoją babę, aż będzie w niebie słychać; będziesz wadził się z sąsiadami; Żyd będzie cię wyzyskiwał całe życie, bo cię rachować nie nauczono. Będziesz ciemny, obywatelu, jak tabaka w rogu; będziesz głupi i zły całe życie — boś był bez opieki za młodu, bo matula nie mogli, nie chcieli i nie umieli nauczyć cię bojaźni Bożej i miłości do ludzi. Będziesz wprawdzie jęczał nieludzkim głosem w kościele, gdy ksiądz głos podniesie, a po mszy pójdziesz do karczmy i pobijesz się z drugim, takim samym jak ty biedakiem. A potem, Krzychu, postarzejesz: włos się posrebrzy, ramiona się ugną od pracy, ręce drżeć poczną, i czy wiesz, Krzychu, co się stanie? Oto syn, którego także nie uczyłeś bojaźni bożej, ani miłości do ludzi, wypędzi cię z chaty i każe pójść żebrać po świecie. Sprawisz kosztur z jeżem, broda wyrośnie ci siwa, i z piosnką o Maryi Częstochowskiej i o Dzieciątku Jezus puścisz się w świat szeroki. Aż wreszcie przyjdzie niemoc, uczujesz zimno jakieś, i smutek jakiś, i niby wołanie jakieś z niezmiernych głębin. To śmierć twoja, Krzychu. Miłosierdziu boskiemu oddaję twoją biedną duszę, bo choć grzeszny byłeś, ale ciemny. Niechaj ci świeci

światłość wiekuista. Wrzosem pokryje się twoja mogiła, i ani śladu wkrótce nie będzie po tobie i po tysiącach takich, jak ty.

Kto zna nasz lud, ten wie, że obraz to życia chłopskiego nie przesadzony. Dziś może już jest lepiej, boć zamożność ich wzrosła, a za wzrostem zamożności wzrasta moralność i światło; ależ mimo wszystkiego, jakże nizko jeszcze stoimy! Jak nizko stoimy np. w porównaniu z sąsiadami naszymi. Któż nie wie, że w starszem pokoleniu włościan, prawie nikt nie umie czytać, a w młodszem jeszcze mało kto! Któż nie wie, jak nizko stoi poziom moralny, jak słabe jest poszanowanie cudzej własności, jak nierozwinięte pojęcia o dobru ogólnem! Chcecie przykładów? Dobrze. Czy sądzicie, że zwyczaj wyprawiania starych rodziców na dziady jest czemś nadzwyczajnem? Nie, to rzecz codzienna, zwyczajna, to prawie zwyczaj. Chcecie dowodów na to, że nie szanują cudzej własności? Spytajcie pierwszego lepszego wiejskiego posiadacza o szkody, jakie mu robią. Nakoniec, że nie mają pojęcia o dobru publicznem, na dowód pokażę wam drzewka przydrożne. Zasadź dziesięć razy: zniszczą, połamią, jakby przez umyślną złośliwość.

Ale czyż można się temu dziwić? i czy to ich wina? Spojrzyjcie na te dzieciaki płowowłose — oto wytłómaczenie zagadki. Bez matki,

bez Boga w dziecinnych latach, chowane same przez się, zdziczałe, zatępione, skąd mają być innemi później? To jedno słowo: bez opieki, tłómaczy wszystko. Duchowni, działając na natury już stwardniałe, i działając ogólnie, zastąpić matki nie mogą; nie mogą sprawić, by imię Boże, by pojęcia o dobru, o uczciwości zrosły się tak z naturą dziecięcia, żeby jeden niejako organizm z nim utworzyły. Nie, duchowni wiele mogą, ale tego nie mogą, bo taką pracę potrzeba niemal od niemowlęcych lat zaczynać. Na to niedosyć jest nauczać — trzeba wychować. Ale czego chcesz? — spytacie i do czego dążysz? — Nie chcę tym felietonem nawracać matek wieśniaczych, by zamiast chodzić w pole, wychowywały dzieci. Nie, jest inna na to rada. Matki muszą pracować, ale niemniej dzieci muszą i powinny być wychowywane. Na to jest jedna rada:

Ochronki.

Nie mówcie, że w zakładaniu ochronek trafia się na jakiekolwiek przeszkody. Tak jest, trafia się na ospałość, na lenistwo, na obojętność, ale na nic więcej. Władza pozwala zakładać ochronki. Znam wioski, gdzie one istnieją, kwitną, przynoszą moralne korzyści. Inna rzecz szkoła, inna ochronka. W wioskach tych, gdy ojcowie i matki wychodzą na robotę, dzieci od najmłodszych do kilkunastoletnich zbierają się

w umyślnym budynku, gdzie znajdują troskliwą opiekę, gdzie czuwają nad ich zdrowiem i nad ich moralnością, gdzie je zajmują robótkami i tym podobnie. W okolicach, w których niema szkółek ludowych, które zresztą mało gdzie się znajdują, ochronki takie są prawdziwem dobrodziejstwem dla dzieci. Wzrasta ich moralność i oświata, zmniejsza się śmiertelność. Te skutki starczą za wszystko. Ochrony takie i ochroniarki powinny być utrzymywane przez dwory. Powiecie, że dwór nie ma obowiązku zajmować się losem sąsiadów włościan. Być może. Nie ma obowiązku płynącego z wzajemnych stosunków, ale ma obowiązek chrześcijański i obywatelski. Budynek, a raczej pierwsza lepsza obszerna izba na wsi, niewiele kosztuje. Utrzymanie i pensya ochroniarki może się wrócić choć w części przez usługi, jakich poza ochroną, w godzinach wolnych, można od niej wymagać.

Mógłbym przytoczyć dwory niezbyt bogate, gdzie podobne zakłady istnieją, i istnieją kosztem dworów. Włościanie z początku patrzali na to, jak na każdą nową rzecz, nieufnie. Dziś przekonali się. Dawniej nie chcieli dzieci posyłać; obecnie na zebraniach gminnych sami uchwalają zapomogę dla ochron.

To są fakty, które lepiej od słów mówią.

Żyjemy w czasach szkolnych egzaminów, popisów i ciągłych wizyt w ochronach war-

szawskich, które to wizyty skłoniły mnie do wypowiedzenia słów powyższych. Co do innych zakładów, mieliśmy niedawno popis Instytutu muzycznego, który to fakt tyle tylko pewną ma doniosłość, że Instytut popisuje się bardzo często. Z natury rzeczy wypada, że instytucya ta, jako muzyczna i muzykalna, musi być głośniejsza od innych.

Odbył się także popis w Instytucie głuchoniemych i ociemniałych, który to zakład prowadzony jest u nas w ten sposób, że nietylko dorównywa podobnym zakładom zagranicznym, ale je nawet przewyższa. Istotnie, tam dopiero można się było przekonać, co wychowanie i system zrobić mogą. Dość powiedzieć, że między wychowańcami Instytutu jest młodzieniec z natury głuchoniemy, którego wykształcenie posunięto do tego stopnia, że może czytać każdą książkę, nie wyjmując i filozoficznych. Sądy jego o poezyi są tak trafne, że podpisałby się na nich niejeden z recenzentów estetycznych. Trudno prawie uwierzyć w to wszystko, co się tam widzi i słyszy. Uczniowie, opuszczający Instytut, wychodzą jako ukończeni rzemieślnicy; każdy z nich może zapracować sobie na kawałek chleba, każdy może stworzyć kółko rodzinne, żyć w społeczeństwie ludzkiem, z którego sama natura pragnęła go wyłączyć, i być

tegoż społeczeństwa prawdziwie pożytecznym człowiekiem.

Z tych to powodów żadna prawie instytucya naukowa nie cieszy się taką sympatyą publiczności jak powyższa, i można śmiało rzec, że gdyby wszystkie w równym stopniu spełniały swe zadanie, wówczas wychowanie stałoby u nas tak, że pozazdrościćby nam mogli wszyscy. Kiedy spojrzysz na jej pupilów, wówczas zdaje się, że świadectwo doskonałości zakładów wyryte jest nawet na ich twarzach. Natura stworzyła je smutnemi — rozweseliła je praca; natura, odebrawszy im potężny zmysł wzroku lub słuchu i pozbawiwszy wrażeń, skazała je na bezmyślność — rozjaśniła je inteligencya, rozbudzona miłosierną i umiejętną dłonią, niby iskra przygasła w ognisku; wchodzą tam jako ciężar społeczny, wychodzą jako dzielni i cnotliwi pracownicy na społecznej niwie, i stąd to zapewne ta rezygnacya, a nawet cicha radość, która opromienia ich czoła.

Tyle o Instytucie. A teraz chętniebym przeszedł do nowych faktów, gdybym miał równą ich obfitość, jak przed czasem bardzo jeszcze niedawnym. Ale na nieszczęście, osławione czasy ogórkowe zbliżają się. W mieście pusto i cicho. Skończyły się egzaminy szkolne, ucichły wymowne posiedzenia rozmaitych akcyonaryuszów rozmaitych spółek. Jeżeli się zaś nawet jakie

gdzie trafi, tedy przechodzi szybko a bezbarwnie, znużony bowiem akcyonaryusz daje co prędzej zarządowi swe *placet*, byle jak najprędzej uciec z dusznej sali i w domu uciąć drzemkę aż do wieczornych chłodów. Kto może, wedle wkorzenionego zwyczaju, ucieka za granicę do wód. Wywożą się za granicę suchoty, katary żołądka, osłabione nerwy, tęsknoty panieńskie, posagowe pożądliwości kawalerskie i pieniądze. Ta ostatnia choroba najuciążliwsza ze wszystkich, chroniczna, a przytem nieuleczalna. Żaden doktor, to jest przeciwnie, każdy doktor pomaga do... jej rozwoju, a lekarstwem na nią jest chyba także choroba, ale jeszcze od niej gorsza i nieporównanie przykrzejsza: suchoty kieszeni.

Po redakcyach również sucho; w jednej tylko *Bibliotece Warszawskiej* zaszła zmiana, której koniec może być dla tego pisma wcale smutny. Oto panowie: Korzon, Lubowski, Pawiński, Struve i Szyszło usunęli się od współpracownictwa stanowczo. Do tej pory wiadomo było wszem wobec i każdemu z osobna, że pismo tak byt swój, jak i zaufanie u publiczności, zawdzięczało głównie pracy tych ludzi. Co teraz będzie? Co to będzie? Co to będzie? Istnieją obawy, że będzie to, co Osiński ironicznie na powyższe pytanie, trawestując je, odpowiedział. Tymczasem krążą najrozmaitsze wieści. Obawiają się, że w przyszłości zapanuje w piśmie tem anielski zapach, podobny do tego,

jaki wydaje znana u nas «autentyczna», prosto z pompy woda, wówczas, gdy nabierze pewnego *haut goût*, cenionego szczególniej przez nosy, które za pierwszem powąchaniem umieją odróżnić to, co jest w dobrym duchu, od tego, co jest w złym. Czy jednak tak będzie w istocie, trudno dziś sądzić. Nowy skład redakcyi nie zdaje się zapowiadać kierunku ultramontańskiego, a niepodobna znów nikogo posądzać, żeby dla pary pantofli chciał zostać «Turkiem dla Abdul-Medżida». Powiem raczej, że nowy skład redakcyi dotychczas nic jeszcze nie zapowiada, a co zapowiada zobaczymy w przyszłości.

W każdym jednak razie, szkoda dawnej redakcyi. Był czas, że *Biblioteka* już, już przymykała oczy, a główny redaktor dawał jej wąchać piżmo — oni ją podnieśli, ożywili — podtrzymali upadający kredyt u publiczności, i jakoś tam szło, nienazbyt świetnie, ale i nie najgorzej. Teraz nowa redakcya będzie żyła czas jakiś artykułami nagromadzonemi przez starą, ale potem... Potem będzie przednówek i czas żniwa... we mgle przyszłości.

Ruch umysłowy nie zamiera jednak u nas latem zupełnie. Oto otrzymuję wiadomość, że urzędnicy drogi Terespolskiej zamierzają utworzyć kółko czytelnicze. Jest to myśl, która, jak się poetycznie wyraził jeden z jej promotorów, «kiełkuje» dopiero w głowach; kiedy zaś roz-

winie się ta roślina i wzrośnie, zależy to zapewne od urodzajności gruntu, na którym została posadzoną. To tylko jest faktem, że takie kółko, lub jakakolwiek inna figura geometryczna czytelnicza, koniecznie w okolicach Terespolskiego banhofu jest potrzebna, dowiedzieliśmy się bowiem, że Nowa Praga, wskutek nader szczególnego położenia geograficznego, całkowicie jest od ogólno warszawskiej cywilizacyi odcięta. Wystawcie sobie, czytelnicy, że niema tam ani księgarni, ani czytelni, ani kantoru do, któregoby można pisma peryodyczne przesyłać. Pocztą oczywiście także nie można, bo za blizko; a wiadomo jest, że poczta potrzebuje pewnego rozpędu: słowem, niema sposobu. Owóż trudność o książki, trudność o gazety i o każde drukowane słowo. Mieszkańcy, z wyjątkiem urzędników, widocznie nie czują potrzeby pisania ani czytania, kiedy się dotychczas nawet o kantor w pierwszym lepszym sklepie nie postarali. Prawdopodobnie wyrobili oni sobie pewien nowopraski pogląd na świat i pewien nowo-praski rozum, który na dni powszednie wystarcza, a na dni świąteczne zgoła nie jest potrzebny, albowiem, jak wiadomo, są to dni odpoczynku. Urzędnicy jednak innego są zdania, i wskutek tego pozwolili zakiełkować myśli stworzenia czytelni, która jak raz zakiełkowała, tak już i kiełkuje sobie w najlepsze.

Gdybyż to i inni urzędnicy, a zwłaszcza urzędnicy po małych miasteczkach, chcieli pójść śladem urzędników kolei Terespolskiej i pozwolili chociaż kiełkować podobnym myślom! Gdyby zamiast po całych dniach grać w bilard, domino i szachy w miejscowej cukierni, zamiast się dzielić na arystokracyę nie wiadomo czego i demokracyę nie wiadomo jaką, zamiast pisywać wiersze do miejscowych piękności, zamiast się obmawiać wzajemnie, chcieli zakładać czytelnie! Byłaby to rzecz arcy zbawienna. Nie sztuka nosić głowę wysoko tylko dlatego, że rzeczy lżejsze w połączeniu z cięższemi zajmują położenie górujące; nie sztuka udawać arystokratę dlatego, że się ma dwieście złotych pensyi więcej, albo wyższe obcasy od innych. Nauka brata ludzi z sobą. Poważne czytanie zbliżyłoby do siebie ludzi, wytworzyłoby obyczajne i cne życie towarzyskie, podtrzymało uczucie obywatelskie, sprowadziło wymianę myśli, podniosło poziom umysłowy i moralny, nakoniec umiliło życie, często w małych miasteczkach dość jednostajne i smutne. Dlaczegóż urzędnicy terespolscy mają być lepsi od innych?

O czemże wam jeszcze powiem, czytelnicy? Byliśmy, a raczej mówiliśmy przed chwilą o Pradze, spojrzyjmy więc na Wisłę. — Źle! woda mała: wszędy wystają zaspy piasku, żegluga utrudniona — jedne tylko kąpiele od praskiego

brzegu kwitną doskonale. Kąpie się, kto żyje. Z powodu tych kąpieli stworzono złośliwy dowcip. Mówią, że najwięcej ze wszystkich kąpią się kupcy o podszarganym kredycie i kantorowicze. Czy wiecie dlaczego? Oto wprawiają się w dawanie nura. W razie potrzeby — jakby znalazł.

Gazeta Polska, 1875, Nr. 145 z dnia 6 lipca.

XXVI.

Kłopoty felietonisty. — Kwestye, o których była już mowa. — Historya o proboszczu i o pijanym chłopie. — Prasa. — System kukania. — Synteza obozów. — Jeszcze kwestya pożarna. — Mińsk i jego przyszłość. — Konin. — Straż konińska. — 98 : 2. — Złota młodzież konińska i jej charakterystyka. — Rozmowa z wieśniakiem. — Ogród zoologiczny. — Co się zrobiło? — Odezwy. — Statek na piasku. — Moje marzenia i rzeczywistość, czyli Wisła przyszłości i teraźniejszości. — Znak życia. — Trochę o panu Bartelsie. — Niejasna kwestya. — Przenosiny czy wynosiny. — Niedźwiedzie i wilki na ulicy. — Ich przyszłość. — Teatry. — Antokol i jego położenie. — Francuzi w Dolinie Szwajcarskiej. — Teatr warszawski. — Urlopy. — Pustki.

Tyle razy zdarza mi się poruszać jedne i te same kwestye, że doprawdy czasem obawiam się, żeby nie znudzić czytelników. Powiedzcie jednak sami: cóż mam czynić? Wiem, że gdy czasem zdarzy mi się wyczytać nieśmiało: Reżyseryo, prosimy o nowe sztuki! — reżyserya daje np. «Gracza», sztukę przed pięćdziesięciu

laty już przestarzałą, a teraz robiącą wrażenie wyróżowanej staruszki, która, przypomniawszy sobie nagle, że w szesnastym roku życia była przez kogoś kochaną, zabiera się z przerażającą zimno krwią do odwzajemnienia tej miłości. Wiem także, że wskutek mych jeremiad na temat wyścigów, nazwany zostałem demokratą, i to demokratą w złym duchu, co raz na zawsze zamknęło mi wstęp na arystokratyczne herbatki z deklamacyą, z sardynkami i z kanapkami.

Wiem jeszcze, że to, co pewnego razu napisałem o Sochaczewie, Płońsku i Łukowie, zjednało mi w powyższych miastach opinię arystokraty. Pewnego razu wspomniałem, że jedwabnictwo powinni popierać proboszcze wiejscy, co sprawiło, że ogłoszono mnie za ateusza, a zarazem dostarczyło jednemu z dotkniętych materyału do równie obszernej, jak budującej nauki na temat, że kacerstwo, snycerstwo i inne niegodziwości rozwielmożniają się coraz bardziej w naszem pobożnem dotąd społeczeństwie, że zmieniają ludzi na ateistów, kancelistów i pozytywistów, co wszystko razem wzięte, prowadzi przez wolnomularstwo i jedwabnictwo wprost do piekła. Innym razem, wskutek arcy niewinnego zresztą przemówienia się z Zarządem gminy ewangelickiej, nazwany zostałem ultramontaninem i stałem się powodem pewnej kwaśnosłodkiej wymiennej korespondencyi, w której

nie szczędzono mi rad, o czem mi pisać nie wypada, a zarazem dano do zrozumienia, że każdemu wolno wygładzać swoje paznogcie w sposób, jaki uzna za najstosowniejszy.

Wobec tego wszystkiego, czyż nie przyznacie sami, moi czytelnicy, wy, którzy nie jesteście ani reżyseryą, ani mieszkańcami miasta Sochaczewa, ani sportsmenami, ani nieprzyjaciółmi jedwabnictwa, ani interesowanymi w sprawach jakiejkolwiek gminy, ale tylko prostymi obywatelami miejskimi lub wiejskimi, że pozostaje mi tylko kilka kwestyi, natury *par excellence* niewinnej, do których z konieczności ustawicznie powracać muszę. Zresztą czynię to trochę umyślnie, pamiętając tę prawdę, że kropla wody, spadająca ciągle, nawet i w kamieniu otwór z czasem wybije. A przytem byłoby dobrze, gdyby nasze nawoływania i projekty urzeczywistniały się choć w dziesiątej części i doprowadzały przynajmniej do takich rezultatów, do jakich doprowadziło kazanie pewnego proboszcza, o którem zaraz wam opowiem. Raz na wsi, pewien duchowny miał kazanie: mówił przeciw pijaństwu, a mówił z energią i uczuciem, płakał i rzucał gromy, groził niedolą za życia, piekłem po śmierci — porwał za sobą słuchających prostaczków, rozczulił ich i wycisnął łzy prawdziwej skruchy. Po kazaniu i po sumie wraca do siebie do plebanii, nagle na drodze

spotyka chłopa, ale pijaniuteńkiego jak bela. Zatacza się Bartek niebożę, na prawo, na lewo, czapka ledwo że mu się na lewem uchu trzyma, a on rozkłada ręce i mówi:

— Ech, dobrodzieju, cóż to za kazanie, co za kazanie! A to ino się dusza w człeku trzęsie, a to gorzalisko, żeby ją wciórności...

— Wstydź się! — powiada z oburzeniem proboszcz: — to ja mówiłem przeciw pijaństwu, a tyś już pijany?!

— Ech, dobrodzieju, żeby nie to kazanie, albobym to ja był tak pijany! jabym, dobrodzieju, już w rowie do tej pory leżał. Niech mię paralus!...

Westchnął poczciwy proboszcz, posmutniał i odszedł do domu.

A teraz, wy, czytelnicy, którzy narzekacie na projektomanię prasy, na poruszanie wiecznie jednych i tych samych kwestyi, na artykuły wstępne, na odcinki, na łapanie wody sitem, na nawoływania, odezwy i zachęty i tym podobnie, czy sądzicie, że bez tego nasze wady, nasza niezaradność, nasze lenistwo, obojętność o dobro ogółu, słowem, to wszystko, o czem mówimy w modlitwie: «Przed oczy Twoje, Panie, winy nasze składamy!» — czy sądzicie, mówię, że te braki i niedostatki nasze i wasze, które sprawiają, że w porównaniu z innemi społeczeństwami jesteśmy ubodzy i ciemni, nie byłyby

jeszcze większe? Ileż jednak mógłbym naliczyć, czy to przedsięwzięć, czy instytucyi, bądź społecznych, bądź dobroczynnych, które, poprostu mówiąc, wykukała prasa tem kukaniem ciągłem, ustawicznem, które i wam nieraz się znudziło, i dla niej nieraz było gorzkiem. A przytem pamiętajcie, że jeżeli mówi się tu i owdzie rzeczy dla naszej miłości własnej niemile, to nie płynie z przesadzonego pesymizmu, z nienawiści lub pogardy, ale z nader czystego źródła: z całej pełni serca rozżalonego, że gorzej jest u nas, niż gdzieindziej. Prawda, że dzienniki często swarzą się z sobą, często walczą w imię wiedzy, czy w imię środków do różnych celów prowadzących, czy nawet — co jest nagannem — z powodu osobistych jakichś niechęci — ale można rzec jednak, że, wedle francuskiego przysłowia, pierzemy naszą bieliznę w domu. Spory istnieją, obozy istnieją, ale niemasz ani jednego — wyraźnie mówię: ani jednego dziennika, któryby w zasadzie ogólnej nie dobru społecznemu chciał służyć. Właśnie owe nawoływania, owo poruszanie jednych i tych samych kwestyi, najlepiej tego dowodzi.

Nie dziwcie się więc, że i ja podniosę w dzisiejszym odcinku sprawę, o której mówiłem już kilkakrotnie. Chodzi tu znów o straże pożarne w miastach prowincyonalnych. Czy to wskutek szkód, jakie rok rocznie czynią pożary, czy

wskutek nawoływań prasy, dość, że tu i owdzie poczynają się ludzie krzątać koło owych straży. Wprawdzie Mińsk nie zdołał jeszcze naprawić owej sławnej beczki nie — Danaid, która naprawiona z jednej strony, natychmiast psuje się z drugiej; wprawdzie nie wyciągnięto jeszcze z kałuży drągów do bosaków, które tam spoczywają od lat kilku; mówią jednak po mieście, że municypalność tamtejsza ma zamiar namyślić się nad «wysadzeniem» ze swego łona komisyi, któraby wysadziła z kolei ze swego łona komitet, mający znowu namyślić się nad sposobami naprawienia beczki i wyciągnięcia drągów z kałuży, jako też nad sposobami oparcia ich o ścianę, aby wyschły. Przytem municypalność żywi niepłonną nadzieję, że nim owe kłopotliwe wysadzania z łona się spełnią, nim beczce przestanie brakować tego, czego, mówiąc nawiasem, brakuje niejednej głowie, uważającej straże pożarne za niepotrzebne wymysły, nim nakoniec drągi zostaną wyjęte z wody — ludność miasta tak dalece się powiększy, że nie zbraknie i ochotników do przyszłej straży. W ten sposób Mińsk, jakkolwiek może się jeszcze ze trzydzieści razy spalić, ma jednak przed sobą przyszłość, wprawdzie daleką, ale różową.

Mniej rachującym na przyszłość, a więcej dbałym o teraźniejszość okazał się Konin, w którym, jak mi piszą, straż pożarna jest już urzą-

dzona, a narzędzia kupione. Do straży należy przeszło stu ochotników z miejscowej młodzieży, umundurowanych, czujnych i gotowych na każde skinienie ruszyć na ratunek tam, gdzie potrzeba. Narzędzia pożarne nie mają jeszcze stałego pomieszczenia, spoczywają więc w tymczasowej szopie, która, gdyby się wypadkiem zapaliła, narzędzia spłonęłyby niechybnie, tembardziej, że poustawiane są tam, z powodu ciasnoty, prawie jedne na drugich, zatem nie łatwo niemi poruszać. Jest jednak nadzieja, że wkrótce stanie osobny budynek, na który fundusze uzyskane będą drogą bądź koncertów, bądź przedstawień teatralnych lub fantowych loteryi.

Ale ciekawszym od tego wszystkiego jest narodowościowy stosunek ochotników do straży pożarnej zapisanych. Ktoby uwierzył, że na stu ochotników, poczuwających się do obowiązku służenia, jest dziewięćdziesięciu ośmiu Żydów i Niemców, a tylko dwóch (gdzie jest mój bicz satyryczny? podajcie mi mój bicz!), wyraźnie tylko dwóch nie-Niemców i nie-Żydów. Stosunek to piękny, nie prawda? i pięknie świadczący o patryotyzmie i odwadze nie-żydowskiej i nieniemieckiej młodzieży, zamieszkującej wspomnione miasto? Ale sądzić będziecie może, że tam prócz Niemców i Żydów niema nikogo więcej?

Przyznam się, że i ja tak sądziłem, ale myliłem się równie jak wy, czytelnicy. Widziałem,

niestety! całe dziesiątki rosłych, zdrowych i młodych dżentelmenów konińskich. Widziałem ich wygładzających paznogcie, ziewających, palących papierosy, przypatrujących się pod światło końcom piór z takiemi minami, jakby zasiadali co najmniej na konferencyach brukselskich, zachowujących się względem interesantów w ten sposób, że mimowoli popadałeś w wątpliwość, czy tabakierki zostały stworzone dla nosów, czy nosy dla tabakierek. Widziałem ich także w miejscowej cukierni, w restauracyi przy bilardach, i wierzcie mi, o zarozumiali Warszawianie! że moglibyście być ich uczniami w piramidkę. Idę także o zakład z wami, Łęczycanie, że w walce z nimi o wypitkę nie utrzymalibyście swego piskorskiego honoru. Gotówem dalej trzymać trzy przeciw jednemu, że żaden wikary na świecie nie gra tak w preferansa, jak pierwszy lepszy z tych brylantów konińskich, o których chyba tylko wyrafinowana złośliwość mogła powiedzieć, że mają głowy tak twarde, iż możnaby niemi tłuc orzechy. Również nie widzę, coby w tem miało być złego, że się trochę za mocno pomadują. Zbytnie używanie pomady przyczynia się wprawdzie do wypadania włosów, że jednak na mocy pewnego znanego przysłowia o łysinach i głowach, młodzież konińska nie potrzebuje się obawiać łysin, zarzut więc ten okazuje się równie płonnym, jak i wszystkie inne,

któremi ją, to jest tę młodzież, obarczają. Jak widzimy, zanadto ważnych obowiązków leży na tych pięknych ramionach, aby obciążać je pożarnemi drabinami; zanadto darów rozsypała natura na te oblicza, aby narażać je na osmalenie dymem i sadzą; zanadto pomady wychodzi na czupryny, aby przyprószać je popiołem. Zresztą, kto codzień wypił taką a taką ilość kufli piwa, ten w nocy potrzebuje spać, nie latać z beczkami do ognia. Nakoniec, komu Pan Bóg nie dał odwagi, skądże jej ma wziąć u licha i po co się ma na nią zdobywać, skoro ci, którzy jej mają dosyć, to jest jak np. w Koninie, Żydzi i Niemcy, potrafią go zastąpić?

Tchórzostwo jest to rzecz nerwów. Rzecz ta dawnemi laty była u nas wprawdzie bardzo mało rozpowszechniona, ale widać Konin daje inicyatywę. I to zasługa. Jest wiersz, który mówi: «Szanuj zdrowie należycie, bo jak umrzesz, stracisz życie». Wiedziano o nim dawniej, ale nie stosowano się do przestrogi w nim zawartej. Młodzież konińska daje nam pierwsza ładny przykład, jak trzeba być oszczędnym.

Co powiedziawszy szeroko i długo, mam honor zostać jej uniżonym sługą. Wątpię, aby na skutek słów moich, liczba ochotników pożarnych zwiększyła się choć o jednego człowieka. Przypuszczam nawet, że dżentelmani konińscy nie będą się zapisywali do niej umyślnie, aby prze-

konać wszystkich, że wyżsi są ponad wszystkie drobnostki i że kiedy chcą, umieją postawić na swojem, choćby na złość... Na złość?! Komu? A prawda! «Na złość matuli niech mi uszy marzną». Znana anegdotka! Niech więc wam marzną lub opalają się, jak wolicie, szlachetni Koninianie! Będą mniejsze.

Jakie to szczęście, że Chwila Obecna nie jest kroniką ściśle warszawską, pozwala mi to bowiem robić częste wycieczki na grunt prowincyonalny. Pozawiązywałem nawet w tym celu pewne stosunki, które mi pozwolą powiedzieć wam w następujących odcinkach, co się dzieje i w innych miastach. Czuję nawet, iż wypada mi to uczynić, choćby dlatego, żeby Konin nie sądził, iż go faworyzuję na niekorzyść jego sióstr i braci.

A teraz wracam na grunt warszawski.

Właściwie jednak mówiąc, rzecz, którą chcę opowiedzieć, działa się nie na bruku warszawskim, w ścisłem znaczeniu tego słowa, ale na moście. Pewnego razu wybrawszy się do kąpieli, szedłem sobie, myśląc o niebieskich migdałach, gdy nagle zatrzymał mnie głos jakiś:

— Przepraszam pana! — spytał mnie jakiś z wiejska wyglądający, a mówiący silnym litewskim akcentem jegomość — przepraszam pana, duszo! którędy tu się idzie do ogrodu zoologicznego — a?

— Dokąd? dokąd?

— Do ogrodu zoologicznego!

— Pan dobrodziej z prowincyi?

— A tak. I zdaleka: z pod Grodna.

— Niema u nas żadnego ogrodu.

— Jak to niema? A ja już tak dawno czytałem, że mają go założyć, że część jakiegoś portu już jest na to przeznaczona, że składki się zbierają. Toż myślałem, że choć z połowę już zrobili i że choć połowę obaczę.

O! pomyślałem sobie, o przybyszu z głębokiej prowincyi, jakże ty nas znasz mało, jeżeli sądzisz, że tak zaraz od słów do czynów przechodzim! Jakżeś zacofany, biedaku, jeżeli nie wiesz, że naprzód potrzebujemy z rok jaki pogadać, potem przestać gadać, potem przypomnieć sobie znowu, potem ogłosić składki, potem je zbierać, potem nie wiedzieć, co z niemi robić i jak ich użyć, potem naznaczyć kilka posiedzeń, mieć na nich kilka mów i mówek: wybrać naszych znanych, naszych powszechnie szanowanych na przewodników, potem rozejść się do domów i razem z naszymi znanymi, powszechnie szanowanymi i światłymi opuścić ręce i czekać na zmiłowanie Boże.

— A proszę-ż pana, — mówił dalej wieśniak — boć to przecie był jakiś komitet opiekuńczy, co miał się tem zajmować — a? Cóż on dotychczas zrobił — a?

— Niech nie wie lewica, co robi prawica.

— Co pan mówi?

— Mówię, że prawdziwa zasługa jest skromna i nie lubi się chwalić.

— No, ażeby ją fakta pochwaliły. Na seryo, powiedz pan co zrobił?

— A? na seryo to nic nie zrobił.

— Ależ tu już był jakiś początek, tu były już zwierzęta.

— O to co innego. To był i jest zwierzyniec pana Bartelsa. Zwierzyniec ten ma być uważany jako zarodek przyszłego ogrodu, ale kiedy to wszystko nastąpi, Bóg jeden wie.

Rozstaliśmy się, i każdy poszedł w swoją drogę. W powrocie jednak począłem nad tą kwestyą rozmyślać. Rzeczywiście był uformowany komitet, miał się zaopiekować sprawami zwierzyńca, rzeczywiście posypały się składki: zebrały się jakie takie, lubo niewielkie jeszcze fundusze, i... cicho, jak makiem siał. Nie wie nikt i nie słyszał nikt o niczem. Jakoś jeszcze w siedemdziesiątym czwartym komitet wydał drukowaną odezwę, w której spodziewa się, że etc... że szanowna publiczność poprze etc... słowem, odezwę zachęcającą, i na tem się skończyło. Trzebaby raz dać jakiś znak życia, trzebaby coś o sobie i o ogrodzie, i o pieniądzach publiczności powiedzieć. Niech wie, czego się trzymać: czy będzie ogród, czy nie będzie? czy

się jeszcze czeka? czy też sprawa odłożona *ad calendas graecas?* Odezwy są to zapewne rzeczy bardzo piękne, ale jeśli prowadzą do czegoś więcej, niż do zadrukowywania welinowego papieru. Dziwna rzecz, że komitet nie daje znaku życia!

Tak rozmyślałem, wracając o zmroku już z Pragi do domu, a rozmyślań tych nie zdołał przerwać nawet widok statku parowego, który osiadł sobie w najlepsze na piasku i ani na prawo, ani na lewo ruszyć się nie mógł. Kobiety i mężczyźni, stojący na pokładzie, spoglądali z utęsknieniem na brzeg warszawski; narzekali, skarżyli się, niektórzy klęli, komin sapał i oddychał kłębami dymu, jakby ze wściekłością, para gwizdała przeraźliwie, a koła poruszały się, tłukąc o piasek. Stanąłem i patrzalem. Upłynęła godzina, ściemniło się. Saska Kępa osnuła się mgłą; na niebie błysła gwiazda jedna, druga; światła po brzegach, odbijając się w wodzie, zaczęły błyszczeć długiemi kolumnami; na bulwarku od strony Pragi jakiś rybak czy przewoźnik zanucił wcale pięknym głosem:

Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą,
A ja doliną!

Statek ciągle sapał i zgrzytał, z komina poczęły się sypać snopy złotych iskier. Ale z miejsca ani rusz! Mała woda! mała woda — wszędzie zaspy piaszczyste, płytko, nieledwie możnaby

przejść w bród całą Wisłę. Tam coś czerni się zdaleka: to tama Daniszewskiego. Nie rozpłynęła się, stoi sobie tak, jak ją postawiono wbrew mądrości niektórych naszych inżynierów, ale jedna taka tama to nie dosyć. Zapomniałem o ogrodzie zoologicznym, a zacząłem marzyć o uregulowaniu brzegów Wisły. Tak: marzyć — podobne życzenia bowiem są dotąd, a może i długo będą marzeniami tylko, i to zuchwałemi marzeniami. Myślą przeniosłem się w daleką przyszłość. Widziałem potężną rzekę, toczącą głębokie, żółtawe fale, zwarte w kamiennych wysokich brzegach, na niej ogromne parowce, przybyłe aż het od Gdańska, galary ze zbożem i owocem, komiegi, berlinki, krypy, wielkie łodzie żaglowe: jedne przywoziły produkt zagraniczny, inne za granicę wiozły krajowy; wszędy ruch był ogromny, mnóstwo ludzi, statków; znać, że to potężna arterya bogactw i handlu ta rzeka... alboż i ten gród na lewym brzegu, co to za wielkość, co za potęga!...

Nagle ocknąłem się. Statek parowy cudem jakimś właśnie wydostał się z piaszczystego podścieliska. Przede mną była rzeka nie zwarta w kamień na brzegi, ale rozlana na wszystkie strony, nawpół wyschła: nie było na niej ani parowców, ani galarów, ani łodzi, ani handlu; na lewym brzegu był wprawdzie gród, ale ciemny, źle wybrukowany, źle zabudowany —

na dobitkę wiatr powiał od miasta i uderzył o mój nos zapachem, który wszelkie marzenie na temat potężnego i pachnącego grodu uczynił niemożliwem.

Przestałem więc marzyć stanowczo, i przez parę następnych dni zająłem się krzątaniną około materyału do niniejszego odcinka. Nie spodziewałem się, że znowu przyjdzie mi wrócić do zoologicznego ogrodu. Oto czy uwierzycie? Komitet dał znak życia. Zdumiałem się.

Nie tyle zdziwiło mnie to, że komitet dał znak życia, boć skoro raz istniał, trudnoż mu było chodzić na palcach, dlatego, żeby nie narobić szmeru; ale wieści, które mnie doszły, były tak dziwaczne, że początkowo nie chciałem w nie wierzyć. Przekonałem się jednak, że są prawdziwe.

Oto komitet nie chce przyjąć zwierząt pana Bartelsa, nie chce uważać ich za zarodek i za dobry początek. Sam pan Bartels przestaje należeć do komitetu: słowem, jakieś poruszenia wewnętrzne, jakieś *bellum civile*, jeszcze niezupełnie jasne, ale złowróżbne.

Na dziś dosyć o sprawach zwierzyńca. Powrócimy o nich prawdopodobnie w następnym odcinku, wówczas gdy się wyjaśnią — obecnie zaś musimy przejść do dalszego ciągu kroniki i wspomnieć coś o teatrach.

Mnożą się jak grzyby po deszczu. Obecnie

jest ich już ośm, licząc w to niemiecki i francuski. W ostatnich czasach otworzono nowy na Pradze, w ogrodzie zwanym Antokol. Nie wyobrażajcie sobie wcale czytelnicy, żeby to była jaka szopa bez dachu, bez podłogi i o sosnowych ławach — wcale nie! Teatrzyk urządzony schludnie, nad głowami widzów rozciąga się dach płócienny, siedzenia wygodne, kryte płótnem, scenka stosunkowo obszerna, wszystko zaś razem przypomina, lubo w skromniejszym zakresie, Eldorado. Co jednak stanowi wdzięk prawdziwy tego teatru, to ogród. Ogród to niewielki, ale prawdziwy. Drzewa wyrosłe i cieniste. Powietrze świeże, zdrowsze, niż gdziekolwiek w Warszawie. Ogród i teatrzyk leżą nad samą prawie Wisłą, tuż za wałem. W czasie chwil ciszy na scenie, gdy jednocześnie woda jest wzburzona, słychać szum fali. Od rzeki ustawicznie dochodzi chłodny powiew wiatru: słowem, na ogół wziąwszy, nie brak w tem wszystkiem pewnych dogodności, a nawet pewnego poetycznego wdzięku, który sprawi zapewne, że teatrzyk ten będzie licznie odwiedzany tak przez Prażan, jak i przez Warszawian. Pierwsze przedstawienie odbyło się w niedzielę. Z tego przedstawienia nie można jeszcze sądzić trupy, wogóle jednak poszło wcale nieźle.

Nakoniec francuska trupa przeniosła się do Doliny Szwajcarskiej, i daje dzisiaj pierwsze

przedstawienie. Jeżeli pogoda dopisze, jeżeli wieczory będą jasne, a ciche, a ciepłe, Francuziska, którzy zresztą grają wybornie, zrobią majątek — ale jeżeli niebo będzie tak płakało wieczorami, jak to już od kilku dni czyni, będzie źle.

Qui vivra... — mówi sobie p. Keller.

W teatrze stałym pustki. Wszystko, co żyje, wyjeżdża, wszystko na urlopach, które rozdawano niezwykle szczodrze. Z pomiędzy naczelnych sił niema prawie nikogo. Reżyserya prawie nie wystawia nowych sztuk. Do teatru mało kto chodzi, mało kto się nim zajmuje.

Pusto! cicho!... nudno!

Gazeta Polska, 1875, Nr. 151 z dnia 13 lipca.

XXVII.

Sesye i sesyjki. — Narady o zwierzętach. — Na śmierć! Skóra na niedźwiedziu. — Projekty. — Projekty na urlopie. Muzeum przemysłowo-rolnicze. — Co myślą organizatorowie. — Historya o Radziwille i o pewnym Żydku karczmarzu. — My i projektodawcy. Komitety sanitarne. — Zjazdy sanitarne. — Znowu projekty. — Ornaty i francuszczyzna. — Czytelnia dla kobiet. — Paul de Kock i nowy przekład jego dzieł. — Offenbach. — Powódź ofenbachiad. — Teatr. — Piąty akt «Fausta». — Panna Deryng. — Obietnice i zawody. — Zdumienie. — Scena lwowska i dyrekcya teatrów warszawskich.

Sesye i sesyjki — to nasza słabość. Dowodem tego choćby komitet opiekuńczy, którego zadaniem było rozwinięcie zwierzyńca pana Bartelsa na ogród zoologiczny warszawski. Wprawdzie o ogrodzie dotąd ani słychu; wprawdzie zwierzęta p. Bartelsa wyrzucił komornik na ulicę; wprawdzie niedźwiedzie i wilki zabrali uprzątacze uliczni; wprawdzie podobno już je zabili; wprawdzie część czworonogów i ptaków rozkradziono; wprawdzie pan Bartels wydał

ostatnie fundusze na utrzymanie reszty; wprawdzie, gdy nikt nie przychodził mu w pomoc, zmarnowało się, bo i musiało zmarnować się wszystko; wprawdzie, pomimo żem w zeszłym odcinku zaklinał w rozczulający sposób komitet, aby odezwał się choć słowem, komitet nie odezwał się ani słowem; wprawdzie nikt nic nie wie, jak sprawa ogrodu dziś stoi — ale za to komitet swego czasu miewał sesye.

Sesya i sesya przedewszystkiem. Dowiedziałem się nawet drogą uboczną, że na tych sesyach nietylko narzekano na zimno w czasie zimy; nietylko wachlowano się chustkami w czasie upałów; nietylko bito rękoma muchy siadające na głowach obradujących; nietylko uskarżano się na odciski; nietylko obdarzano się zaufaniem całego ogółu *à discretion;* nietylko, nakoniec, zużyto wielką ilość przymiotników takich, jak: «szanowny», «wielce poważany», «głęboki» (w znaczeniu umysłowem), ale nawet — o dziwo! mówiono o zwierzętach.

Mówiono! Ten, który mi to opowiadał, zaklinał się na mamę, że mówiono. Były to już czasy, kiedy zwierzyńcowi p. Bartelsa trzeba było koniecznie przyjść w pomoc; członkowie obradowali więc, w jaki sposób przynieść pożądaną ulgę. Uradzono nakoniec, że najprostszym sposobem ulżenia panu Bartelsowi, jest... zgadnijcie też, mili czytelnicy, co? — oto zabicie

zwierząt. Żeby zaś pan Bartels zbyt na tem nie stracił, komitet postanowił wspaniałomyślnie zapłacić za skóry zabitych zwierząt, za skóry, które jeszcze wówczas nie były zdarte. Było to więc prawdziwe kupno skóry na niedźwiedziu. Jak na komitet, mający za zadanie rozwinięcie i założenie zwierzyńca, to nieźle. Nie prawda? Trudno bo i nawet temu uwierzyć, a jednak tak podobno było. Nie przesadzam nic a nic. Co do mnie, ciekawym tylko, coby komitet robił z temi skórami, gdyby pan Bartels przyjął tę wspaniałomyślną propozycyę. Zapewne trzebaby było złożyć jeszcze parę sesyi dla naradzenia się w tym tak ważnym przedmiocie. Może wypadałoby skórki sprzedać choćby naszym «handlom» warszawskim. Powiększyłby się przez to ogólny fundusz, na założenie przeznaczony.

Jak na teraz tedy, sprawa tak stoi, że jest trochę pieniędzy, które przez dobrowolne ofiary ciągle się jeszcze powiększają, a z którymi nikt nie wie, co ma robić i kto się ma zająć; dalej, że zwierzyniec pana Bartelsa już zmarniał; dalej, że mimo iż człowiek ten dał inicyatywę i że pozwolenie władzy istnieje na jego imię, usunięto go już dawno od wszystkiego; nakoniec, że ogród zoologiczny jest dotychczas ideą platońską w niebie, a projektem z nieograniczonym urlopem na ziemi.

Już nasz taki zwyczaj, że jak tylko powstaje jaki projekt, natychmiast dajemy mu nieograniczony urlop. Niech tam jedzie sobie z Panem Bogiem, byle nam nie zawadzał. Jako przykład weźmy np. projekt muzeum przemysłowo-rolniczego. Kiedy ten projekt powstał, już nawet nie pamiętam; wiem tylko, że miał dosyć czasu, by się «ucukrować jak figa, uleżeć jak tytuń», lub jak ulęgałka. Piszą o nim, mówią o nim. Oto *Wiek* np. donosi, że organizatorowie jego myślą przedewszystkiem o założeniu pracowni chemicznej; dalej, że myślą założyć zbiory technologiczno-chemiczne; dalej, urządzić systematyczne wykłady etc. etc.; słowem, że trudniejby było powiedzieć, o czem to ci organizatorowie nie myślą.

Pocieszająca wiadomość, ani słowa, ale co do mnie, to ja *simplex servus Dei*, wolałbym, żeby mniej myśleli, a więcej robili; żeby nareszcie zrobili choć cokolwiek. Obecnie, te wyliczenia: pracowni chemicznej, zbioru chemicznego, zbioru technologicznego, odczytów, przypominają mi powiastkę o Radziwille Panie Kochanku, który, przyjechawszy raz głodny jak wilk do jakiejś karczmy żydowskiej, krzyknął, żeby mu co prędzej jeść podawali.

— Możeby Jaśnie Książę kurę pozwoli? — spytał Żyd.

— Dobrze żydzie, dawaj kurę.

— Cóż kiedy niema!

. . . . . .

— A możeby Jaśnie pan jajecznicy?

— Dawaj jajecznicę!

— Cóż kiedy niema! A możeby Jaśnie Książę tak coś zimnego... półgęsek.

— Dawaj, trutniu!...

— Cóż kiedy niema.

Te żarty źle się podobno nawet skończyły dla dowcipnego syna Izraela. Ale powiedzcież teraz, czytelnicy, czy z nami nie tak samo postępują, jak z Radziwiłłem? Raz w raz przychodzi ktoś i pyta:

— Możebyście chcieli mieć muzeum?

— Dobrze!

— Cóż kiedy nie macie! A może ogród zoologiczny?

— I to dobrze.

— Cóż kiedy nie macie! A może komitet zdrowia?

— Owszem.

Co do komitetów zdrowia, mamy już zatwierdzoną i mianowaną komisyę sanitarną, która oby sprawiła, żeby nasza Warszawa przestała zatruwać Wisłę, nasza Wisła Warszawę! oby pomyślała o ściekach, kanałach, zdrowszych mieszkaniach dla ubogich, zdrowych pokarmach na targach!

Przed kilku dniami doktor Strzyżewski nade-

słał do naszej redakcyi list, w którym porusza nader ważną kwestyę urządzenia peryodycznych zjazdów sanitarnych. Wiadomo czytelnikom, że w większych miastach naszych istnieją tak zwane komitety zdrowia, których zadaniem jest, jak sama nazwa wskazuje, czuwać nad sanitarnymi warunkami tych miejscowości, w których mają siedlisko. Ale, żeby działalność komitetów przynosiła istotnie owoce, potrzeba, żeby ludność zapoznawała się z pewnemi wymaganiami hygienicznemi nowych czasów. Otóż o tych wymaganiach ogół nasz zarówno wiejski, jak i miejski, nie ma najmniejszego pojęcia. Dość spojrzeć, jak żyją nasi chłopi po wsiach, jak leczą wszelkie choroby wódką, jak dzieciaki wiejskie przepalają głowy na słońcu, jak najadłszy się dzikich gruszek, idą się kąpać, jak w chatach brak światła, powietrza i t. d. Dość spojrzeć, jak żyje proletaryat żydowski w większych i mniejszych miastach, w izbach zaduszonych, po kilkanaście osób w jednym alkierzu, w brudzie i niechlujstwie. Znam te obrazy, i nie trzeba się zbyt wysilać, żeby je czytelnikowi przypomnieć. Zadaniem tedy komitetu jest obznajmiać ludność z wymaganiami hygieny, a zarazem wymagania to objawiać. Komitetom może przychodzić czynnie w pomoc prasa, i prasa też pomaga, jak może, ale wpływ jej nie jest dostateczny, ta bowiem większość,

która najmniej do wymagań hygieny się stosuje, nie trzyma i nie czytuje zarazem gazet. Potrzeba tedy wszelkimi sposobami wytwarzać masę nowych nawyknień, a łamać utarte. Otóż dr. Strzyżewski jest zdania, że obok wytrwałości, tylko połączone i zgodne siły mogą przynajmniej po niejakim czasie cel osiągnąć. Z tych powodów dr. Strzyżewski poleca szczególniej urządzać peryodyczne zjazdy sanitarne, sądząc bardzo słusznie, że nietylko jednostajność postępowania w wielu wypadkach, ale nawet prędsza sankcya tej lub owej uchwały mogłaby być skutecznie na takich zjazdach przeprowadzona.

Mojem zdaniem, takie zapatrywanie się na znaczenie zjazdów jest słuszne i usprawiedliwione. Miałyby zjazdy te jeszcze i tę dobrą stronę, o której również projektodawca nie przepomniał, że rozwijałyby większą energię w działaniu komitetów, byłyby naturalną ich kontrolą, i nakoniec, że uchwały, stanowione na zjazdach, nabierałyby większego moralnego znaczenia.

Co do mnie, zgadzam się zupełnie, a sądzę, że i czytelnicy nie będą przeciwnego zdania w tej mierze.

Zarzucić można temu projektowi chyba to tylko, że jest... projektem.

Ale czyż damy mu, jak i innym, urlop? Niestety! znając nasze usposobienia w tym wzglę-

dzie, nie śmiem się nawet łudzić, aby miało być inaczej.

Czuję, że znowu ściągam na siebie zarzut pesymisty, ale mniejsza już o to. Gorsze jest to, że przed chwilą narzekałem na projekty, a teraz sam o nich piszę. Cóż robić? cóż robić? Gdybym chciał mówić nie o zamiarach, ale o czynach, przyszłoby mi chyba pisać o ornatach, wyhaftowanych rękoma naszych arystokratycznych dam dla rozmaitych wielebnych i przewielebnych, odznaczających się paryskim akcentem i paryskimi ruchami i umiejących ze szczególniejszą pokorą chrześcijańską zbierać kożuszki z kawy na poobiednich przyjęciach.

Musiałbym chyba wymówić się z tem, co usłyszałem w sekrecie, że pewne arcypobożne bractwo damskie podało do swego duchownego przewodnika adres, aby na posiedzeniach tygodniowych podawał swej wiernej trzódce obrok duchowy po francusku. Czegóż bo to zresztą dowodzi? Można umieć i po francusku i po polsku. Że nasze damy umieją, o tem nigdy nie wątpiłem, a teraz wątpię jeszcze mniej, niż kiedykolwiek, ponieważ sam byłem świadkiem, jak pewna arystokratyczna dama, po stosunkowo krótkim namyśle, przypomniała sobie jak najszczęśliwiej, że pies po polsku nazywa się: pies! Czegóż tu chcecie więcej? I posądzają jeszcze takie damy o kosmopolityzm!

Ale wracam do moich projektów — nie dlatego nazywam je moimi, żebym ja je sam uczynił, ale że mam zamiar o nich pisać. Co do mnie, stworzyłem tylko jeden projekt w życiu, ale był tak niedorzeczny, że oczywiście natychmiast upadł. Oto, wyobraźcie sobie, zaprojektowałem zakładanie ochron wiejskich. Wprawdzie miałoby to ogromne znaczenie, podniosłoby moralność ludu, oświatę ludu, zastąpiłoby nawet szkółki tam, gdzie ich niema, ale... Jak się zdaje, nietylko że posłano go na urlop, ale dano mu najformalniejszą dymisyę.

Wracam więc do tych, co do których jest mniejsza lub większa nadzieja, że się urzeczywistnią; oto jeden z przystojniejszych literatów zakłada czytelnię dla kobiet. Projekt ten prawie napewno przyjdzie do skutku. Książki będą przeważnie polskie, francuskich powieści bardzo mało — prawdopodobnie nawet nic; za to wiele dzieł poważnych, naukowych i popularnych, wiele spokoju i ustronnej ciszy, wiele ułatwień do pracy, a już od was, piękne czytelniczki zależy, czy wiele także i pracy.

Wspomniałem o powieściach francuskich, niechże więc wolno mi będzie powiedzieć choć parę słów o starym jej przedstawicielu, o Pawle de Kock, który w popularnym języku naszym zwykle Pawłem z Kocka się nazywa. Wkrótce wyjdzie w Warszawie nowa edycya, a raczej

nowy przekład dzieł tego pisarza. Zgadzamy się w zupełności z wydawcą, że dzieła jego mają niepospolitą wartość literacką, zgadzam się nawet, że ten stary Paweł z Kocka, pod lekką warstwą zepsucia, jest pisarzem w gruncie rzeczy moralnym, poczciwym, pełnym humoru i werwy mieszczaninem, kochającym prawdę i cnotę. Zgadzam się, że na ludzi myślących, wykształconych i dojrzałych, książki jego złego wpływu nie wywrą, ale czynię tylko jedną uwagę. Ludzie dojrzali, myślący i wykształceni już te jego dzieła znają. (Powiem w nawiasie, że miałbym ich za safandułów, gdyby ich nie znali). Ci więc znają. Któż tedy nie zna?

Młode pokolenie.

Kto będzie czytał?

Młode pokolenie. Uczniowie gimnazyum naprzód, a potem kontrabanda przekradnie się na jedną i drugą pensyę żeńską — i oto gotowi czytelnicy. A to rzecz zmienia. W ręku takich czytelników pan Paweł jest znów arcy niemoralnym i szkodliwym pisarzem. Jest sobie w swoim czasie tem, czem dziś w muzyce jest Offenbach. Dobrze się przypatrzywszy, znajdziesz tam i pewną moralność, i satyrę, i trochę poezyi — ale na pierwszy rzut oka widać przedewszystkiem podkasane spódniczki.

Ach, ten Offenbach! Spytacie: co grają w Eldorado? — Offenbacha. W Alhambrze? — Offenbacha.

W Dolinie? — Offenbacha; słowem, wszędzie i na wszystkie strony Offenbacha. Smakuje, bo trafia w owo uczucie sceptycyzmu, nurtujące dziś wszystkie głowy i serca, nawet te, które same o tem nie wiedzą. Smakuje — a jednak trochę go za dużo — i z każdą chwilą może się rozpocząć reakcya. Jeden tylko warszawski teatr najmniej nim nas częstuje. Co prawda, to ten warszawski teatr niczem nas nie trakuje, bo nikogo niema. Kto żyw, na urlopie. Artyści herboryzują. A jednak, mimo tych pustek, wczoraj, t. j. w poniedziałek, teatr ten z powodu wystąpienia panny Deryng był napełniony. Specyalny recenzent oceni zapewne obszerniej grę młodej artystki, ja zaś maluję tylko wrażenie publiczności. Dzienniki, lubo bez hałasu, zapowiedziały jednak, że panna Deryng należy do artystek, cieszących się już niemałem na lwowskiej scenie uznaniem; spodziewaliśmy się więc ujrzeć artystkę dobrą, jeżeli nie znakomitą, to przynajmniej wyrobioną. Tymczasem cóż ujrzeliśmy w istocie? Oto młode dziewczę, z potężną skalą głosu dźwięcznego jak srebro — grające z werwą i zapałem, przechodzącym niemal w egzaltacyę, poetyczne w swoich uniesieniach i posiadające wszelkie dane na genialną w przyszłości artystkę. Publiczność nie spodziewała się poprostu tyle, dlatego na twarzach wszystkich czytałeś pewne zdumienie. Cały teatr

zdziwił się tem zdziwieniem prawdziwie artystycznem, połączonem z odcieniem zachwytu, a przechodzącem z szybkością błyskawicy w burzę oklasków, która, niby dobra wróżba, długo huczała nad młodocianą głową dziewicy artystki. Co do nas, podzielając uczucie wczorajszych widzów w zupełności, nie mogliśmy oprzeć się myśli, która mimowoli przyszła nam do głowy: jakże wyborną szkołą jest ta scena lwowska wraz z krakowską, skoro zdołały wyrobić takie artystki, jak p. Modrzejewska, p. Popiel i p. Deryng!

Z drugiej strony, dyrekcya teatrów warszawskich, która takie artystki sprowadza i zatrzymuje, dowodzi prawdziwej dbałości o dobro sceny i zasługuje na zupełne uznanie.

Gazeta Polska, 1875, Nr 158 z dnia 21 lipca.

XXVIII.

Zgliszcza i pustka.

Rankiem we czwartek doszła nas przerażająca wiadomość o pożarze w Pułtusku; nazajutrz, t. j. w piątek, wyruszyłem z Warszawy, ażeby naocznie przekonać się o klęsce i dać wam najdokładniejszy jej opis.

W Serocku, gdzie zatrzymałem się dla przeprzęgu koni, opowiadano mi najsprzeczniejsze wieści. Według jednych, spaliło się wszystko do szczętu; według innych, klęska nie doszła do tak kolosalnych rozmiarów. Umysły były wzburzone, rozgorączkowane i przejęte śmiertelną obawą. Zeszłej nocy ogień pokazał się i w Serocku. Nie wiedziano dokładnie, czy z podpalenia, czy z nieostrożności, powszechnem jednak było przekonanie, że pożar się powtórzy. Miastu brak straży ogniowej, brak sikawek, brak narzędzi pożarnych, a wreszcie brak i otuchy. Kiedy się mówi o obronie, kiwają rękoma: —

Nic nie pomoże, musimy się spalić. Oto zdanie, które usłyszysz z każdych ust. Rozpacz, ale zarazem i apatya doszły tu do najwyższego stopnia. Blizkie sąsiedztwo Pułtuska wzmaga tylko przerażenie i straszną pewność nieuchronnego losu.

O godzinie mniej więcej siódmej wieczorem opuściłem Serock. W miarę, jak zbliżaliśmy się do Pułtuska, ruch na szosie zwiększał się coraz bardziej. Od czasu do czasu przemknęła szybko ekstrapoczta, głosząca trąbką przejazd; tu i owdzie trafiałeś na bryki i wozy, wiozące rzeczy pogorzelców: pościel, łóżka, sprzęty domowe i tym podobnie. Za wozami szły zwolna gromady włościan, wracających od ratunku. Twarze ich były poczernione dymem. Jedni mieli wiadra, inni siekiery, topory, bosaki lub długie tyczki. Chcąc z nimi pomówić, kazałem pocztylionowi się zatrzymać.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków.

— A co tam w Pułtusku?

— Oho, panie! Niema już Pułtuska, a co jest, to się dopala — odpowiedziano mi gromadnie.

Ze ściśniętem sercem kazałem jechać dalej. Słońce zachodziło zwolna za lasy i bory. Pogodny wieczór letni palił się łagodnem, purpurowem światłem na szczytach drzew i na dachach chat przydrożnych. Powietrze dziwnie przezro-

czyste pozwalało rozróżniać dokładnie nawet bardzo oddalone przedmioty. Ptactwo zabierało się do snu i z cichym świegotem obsiadało gałęzie drzew, rosnących przy szosie. Spokój i cisza rozlane były wszędzie, z wyjątkiem na twarzach ludzi.

Nagle oczy moje uderzyło odległe bardzo i obszerne płaskowzgórze, wznoszące się nakształt tarasu nad równiną. Wśród atmosfery, przesyconej różowem światłem zorzy, płaskowzgórze owo było pokryte jakby białawą, nieprzezroczystą mgłą, przedsłaniającą znajdujące się na jego szczycie przedmioty.

— Co to widać? — spytałem pocztyliona.

— To Pułtusk, panie! — odpowiedział.

— A ta mgła, czy też chmura, tam nad nim?

— To nie mgła, to dym z pożaru.

Istotnie był to dym, który prawdopodobnie do dziś dnia unosi się jeszcze nad miastem. W miarę jak zbliżaliśmy się do miasta, na tle tego dymu przedmioty poczęły występować coraz wyraźniej. Widać było zręby murów, dachy, wieże i krzyżyki kościelne. Na pozór nic nie zapowiadało wczorajszej klęski. Zdawało się, że cichy i spokojny gród, otuliwszy się w mgłę wilgotną, układa się do snu; zdawało się, że lada chwila sygnaturki zadzwonią jeszcze na Anioł Pański, ludziska pomodlą się po znoju dzien-

nym, potem błyśnie jedno okienko, drugie, dziesiąte, gwar ustanie, a potem nastąpi cisza, przerywana tylko szczekaniem psów lub echowem nawoływaniem: «Czuwaaaj!» stróżów nocnych.

Tymczasem bryczka pocztowa zatętniła po bruku; wjechaliśmy między pierwsze, ale odosobnione jak placówka domy miasta. Niestety! mimo pięknych pozorów, ślady klęski były już tu widoczne. Droga biegła tuż koło łąki. Na łące tej błyskały wszędzie chwiane lekkim oddechem wiatru światełka. To Żydzi szabasowali pod gołem niebem. Dziwny, a powiem: rozrzewniający widok czyniło to uroczyste obozowisko. Na stołach lub wprost na ziemi migotały mosiężne świeczniki, których blask omdlewał w walce z ostatnimi promieniami zorzy. Stoły puste, bez zwykłej uczty szabaśnej; naokolo tylko widać rozmodlone twarze i pełne łez, wzniesione w niebo oczy. Nie słychać zwykłego gwaru i wrzasku modlitw. Cisza! Widocznie przerażenie pozamykało tym ludziom usta, i modlą się tylko milczeniem rozpaczy, i łzami, i głodem jutrzejszym, i dolą przyszłą, twardą jak kamień i ciężką jak kamień.

— O Adonaj! zmiłuj się nad nami.

Bryczka zatrzymała się przed miejscową pocztą. Zasięgnąwszy nieco wiadomości, natychmiast wraz z towarzyszem moim pobiegliśmy do miasta. Pióro wypada mi z ręki, gdy pomyślę,

jaki widok uderzył nasze oczy. Na niebie był już mrok: resztki rozpierzchłego światła walczyły z cieniami nocy, a wśród tych szarych tonów powietrza, jak okiem zasięgnął, patrzała na nas pustka. Zręby murów, stosy gruzu, zwalone jedne na drugie, gromady okopconych cegieł, poczerniałe, sterczące sylwetki kominów, rysowały się w dziwnie fantastycznych kształtach na tle mroku. Zdaleka, rzekłbyś: kamienie i skały, rzucone chaotycznie ręką natury. Nigdzie ani śladu ulic. Wszędzie zwaliska, jak okiem dojrzysz, tylko szeregi kominów, zdające się iść w dal bez końca. Rozpalona powierzchnia gruntu parzyła nasze nogi, gorąco i woń spalenizny tamowały oddech w piersiach. Wszędzie duszno a pusto, ani jednej żywej istoty, wszyscy pouciekali stąd, jakby z miejsc przez Boga przeklętych. Słowa brzmią tu dziwnie jakoś, echowo i straszno. Czasem tylko wśród gruzów zabrzmi przygłuszony łoskot. To przepalona cegła upada gdzieś do piwnic. Zresztą cisza, ta cisza zgrozy i okropności, przejmująca stokroć większem przerażeniem, niż huk dział i piorunów.

Błądziliśmy w ten sposób między rumowiskiem i szkieletami kominów przeszło pół godziny. Błądziliśmy milcząc, gdy nagle przytłumiony szept uderzył nasze uszy. Na skręcie dawnej zapewne ulicy spostrzegliśmy dwoje ludzi, mężczyznę i kobietę.

Oboje byli młodzi. Kobieta wątła, blada, opierała się silnie na ramieniu mężczyzny, który w ręku trzymał mały koszyczek włóczkowy, naszywany szklanemi paciorkami.

Zbliżyliśmy się do nich.

— Państwo tutejsi?

— Tak, panie. Mieszkaliśmy tu od roku.

— I spaliliście się także?

Kobieta poczęła szeroko opowiadać swoją i męża historyę. Pobrali się od roku. Mieli w Pułtusku dom, żyli szczęśliwie, aż naraz:

— Oto co nam zostało z całego gospodarstwa — kończyła ze smutnym uśmiechem, wskazując na niesiony przez męża koszyczek.

— Zdajecie się państwo czegoś szukać?

— Chcieliśmy choć jeszcze raz popatrzeć na dom, w którym przeżyliśmy rok razem, ale nie możemy znaleźć nawet ulicy. Chcieliśmy...

Urwała nagle, bo łzy tłumiły jej słowa w piersiach.

Mąż nie odezwał się ani razu w czasie całego opowiadania. Na twarzy jego malowała się niema rozpacz.

Nie mieli dachu nad głową; nie mieli ani grosza majątku; byli głodni; nie wiedzieli, co począć, gdzie się podziać.

Szliśmy przez jakiś czas w milczeniu. Ściemniło się już zupełnie; nagle krwawa łuna błysnęła w końcu miasta.

— Co to pali się jeszcze? — spytałem.

— To szpital.

Pobiegliśmy tam natychmiast. Duży piętrowy gmach palił się istotnie okropnie. Na podwórzu gromadka ludzi. Jedni stali nieruchomie, a łuna pożaru odbijała się w bezmyślnych ich źrenicach. Inni pracowali koło sikawek, biegli po wodę, przeklinali, wrzeszczeli. Sikawki pracowały słabo. Nikt nie dowodził. Woda, wlewana w małych ilościach, podniecała tlenem pożar, zamiast go gasić. Czerwony płomień huczał ponuro wewnątrz gmachu, lub wychodził przez drzwi i okna na zewnątrz, liżąc potwornie długimi językami białe ściany, jakby się chciał w nich rozsmakować przed pożarciem.

Na podwórzu między gromadami ludzi stało kilka zakonnic. Łuna pożaru rzucała jaskrawe blaski na białe ich kapelusze i blade, ale spokojne twarze. Ten spokój i rezygnacya wśród ogólnego ruchu i zamętu, wśród wrzasków i przekleństw, miały w sobie coś prawie świętego.

— Co się stało z chorymi? — spytałem jednej z nich.

— Wyratowałyśmy wszystkich chorych — mówiła słodkim głosem siostra. — Leżą w pralni, która nie zapaliła się jeszcze. Niech Panu Bogu będzie chwała! Trzech jednak umarło nam z przerażenia — dodała, zwiesiwszy smutnie głowę.

— A panie gdzie mieszkacie?

Podniosła oczy ku niebu.

— Pod gwiazdami — wyszeptała z uśmiechem.

— Jak to? i sypiacie pod gołem niebem?

— My nie spałyśmy wcale od środy. Widzi pan, trzeba chorych pilnować i czuwać nad pralnią.

— Musicie upadać ze znużenia?

— Bóg nam dodaje sił.

O, tak, poznaję was! zawszeście jednakie, o szare anioły miłosierdzia. Niechaj was Bóg błogosławi!

Szpital tymczasem gorzał, wypalał się zwolna. Mówiono mi potem, że gdyby jaki taki ratunek, nie byłby się zapalił wcale; ale ratunku nie było żadnego, wojsku na początku pożaru kazano wyjść za miasto. Miejscowi mieszkańcy, przerażeni, nawet nie próbowali tłumić ognia. Każdy ratował rzeczy, jakie mógł wyratować, i życie. Resztę zdawał na wolę Boga i ognia. Niedaleko szpitala paliło się również gwałtownie miejscowe progimnazyum. Ognia nie było prawie znać na zewnątrz, okna tylko gorzały jaskrawem światłem. Zdaleka patrząc, rzekłbyś, że to jakaś uroczystość rozwidnia tak okna. Ratowała je garstka żołnierzy, którymi dowodził jakiś starszy. Rąbano kraty w oknach, które długo nie chciały ustąpić. Dach już się był zapadł

paliły się tylko ławki, okna, podłogi i sufity. Wkrótce w jednej z komnat sufit zapadł się z trzaskiem. Ratunek był i tu próżną już tylko robotą. Nie rozpoczęto go dość wcześnie. W chwili, o której mówię, ściśle biorąc, dopalało się już tylko.

Od progimnazyum udaliśmy się do kościoła po-Benedyktyńskiego. Był to najpotężniejszy gmach w całym Pułtusku. Pożar tu już wygasł, wewnątrz jednak tliło się jeszcze. Zbliżyliśmy się do samego wejścia. Wnętrze kościoła mroczne było i ciemne, w głębi tylko świeciły jeszcze rozżarzone węgle, niby oczy jakichś nadprzyrodzonych istot, patrzących z pośrodka ciemności. Straszne było to wysokie, czarne wnętrze. Z głębi jego dochodził niby jakiś szmer, niby jakieś pozaświatowe szepty, niby westchnienia. Zdawało się, że tam jest pełno duchów, które wyszły z podziemi kościelnych, zdziwione, że ktoś zakłócił im sen odwieczny.

Przy kościele spaliła się i biblioteka. Podczas pożaru wicher porywał palące się książki i roznosił je, niby ogniste ptaki, na miasto i po za miasto. Palące się kartki papieru leciały aż za Narew, roznosząc postrach i pożar na wszystkie strony.

Kościoła prawie nie próbowano ratować, gdyż pierwej jeszcze zapaliły się otaczające go budowle. Gorąco było tu tak straszne, że gdy wreszcie zapłonął i kościół, ci, którzy nadbiegli go

ratować, zaledwie zdołali unieść życie, zostawiwszy na pastwę pożaru beczki z wodą i wszelkie narzędzia pożarne.

Naprzeciw kościoła stała ochrona dla starców. Obecnie sterczą po niej tylko trzy kominy i stos gruzów, z pomiędzy których przeświecają jeszcze żarzące się węgle.

Ogrom klęski przechodzi wszystko, co sobie można wyobrazić.

Od kościoła udaliśmy się z towarzyszem na rynek, aby od jednego ze znajomych zasięgnąć szczegółowych wiadomości. Noc już była zupełna. Na pogodnem niebie świecił pogodnie księżyc. Musieliśmy raz jeszcze przechodzić przez część miasta najbardziej spustoszoną, o której wspomniałem wyżej. Przy świetle księżyca wyglądała ona jeszcze straszniej i puściej niż o zmroku. Jednym wyrazem, określającym to miejsce, jest: okropność. Światło księżyca schodzi z jednego rumowiska, a wchodzi na drugie, rozświecając żałobne szczegóły. Wśród tej głuszy i martwoty, wśród fantastycznych rumowisk, wśród ciszy i niewytłómaczonych odgłosów, wśród bladych promieni księżyca i czarnych zwalisk, najodważniejsze serce ściska jakaś niepojęta trwoga. Zda się, że mieszka tu śmierć sama, taka śmierć, jaką przedstawiano nam w dzieciństwie: szkielet z pustemi jamami oczu i złowrogą kosą. Zda się, że wysunie się z pierw-

szego lepszego węgla, spojrzy ci w oczy i porwie cię za sobą w ciemność i nicość.

Jest to prawdziwe miasto śmierci.

Przebywszy je, weszliśmy w ulice, położone blizko rynku. I tu stoją całe szeregi domów spalonych, ale ściany ich trzymają się jeszcze i spoglądają na cię pustemi oknami, niby martwą źrenicą. Niektóre palą się, a raczej tlą jeszcze wewnątrz. Na ulicy stały tu i owdzie gromadki ludzi. Gromadki te rozmawiały z cicha. Spytałem ich, dlaczego nie gaszą tych domów, które się jeszcze nie wypaliły.

— A po co gasić? — odparł jakiś mieszczanin. — Już one i tak na nic. Żebyśmy mieli pomoc, jak się zaczęło palić — to co innego, ale teraz...

— A co zrobicie, jak z tych domów pożar rozszerzy się nanowo i ogarnie to wszystko, co się jeszcze nie spaliło.

— Ha! nic nie zrobimy. Źle mnie, źle i tobie. A zresztą to się i tak spali. Cały Pułtusk się spali. Na to już żadna siła ludzka nie pomoże.

Wszędzie taż sama apatya, taż sama bierna rozpacz i zdanie się na wolę żywiołu. Rynku jedna strona wypalona jest do szczętu, druga ocalała, dzięki szerokości placu. Naszego znajomego zastaliśmy w domu. Z całą uprzejmością udzielił nam wszelkich wiadomości. Prócz szpitala, ochrony, kościoła, biblioteki i progimnazyum,

z gmachów publicznych spalił się jeszcze sąd ze wszystkimi aktami, hypoteka, piękna bóżnica żydowska, dom, w którym mieściła się apteka, dom, w którym mieściła się księgarnia Rafalskiego, z której nie uratowano ani jednej książki, i około 500 innych prywatnych budowli. Pożar wszczął się między ulicą Kotlarską a Waliszewem. O przyczynach pożaru mówią rozmaicie: jedni przypuszczają podpalenie, inni wypadek, który tłómaczy się tem, że mieszkańcy, usunięci z mieszkań dla kwater wojskowych, gotowali jeść w stajniach i chlewach. Inni, nakoniec, twierdzą, że ogień ukazał się w piekarni żydowskiej, między ulicą Kotlarską a Waliszewem położonej. Która z tylu wersyi jest prawdziwą? niepodobna dziś orzec; wykryje to dopiero śledztwo sądowe, które zapewne wyjaśni także, dlaczego w czasie pożaru municypalność chodziła z rękoma w kieszeniach, zamiast ratować, a przynajmniej objąć kierownictwo ratunku.

Szkody obliczają dziś już na miliony rubli. Największe straty ponieśli mieszkańcy w towarach, które były nieubezpieczone, a których wartość wynosiła kilkaset tysięcy rubli. Dla mieszkańców miasta jest to klęska największa. Domy mogą się z czasem odbudować, ale to, co poszło nieubezpieczone z dymem i popiołem, pozbawiło na zawsze chleba niejednego z zamożnych jeszcze przed tygodniem kupców.

Również mniejsza jest strata w gmachach publicznych, niż w prywatnych. Gmachy publiczne, a zwłaszcza kościoły, jako leżące na placach, po większej części ocalały. Został kościół farny wraz z kanoniami, został Reformacki, kościół św. Magdaleny i dawny kościół Panny Maryi, obecnie ewangelicki; dalej ocalały: więzienie, poczta, biuro powiatu, stary ratusz, dawny zamek biskupi, dawny magazyn solny i koszary. Z prywatnych spaliła się za to tak ogromna większość, że o reszcie zaledwie wspomnę. Prócz jednej strony rynku, części miasta, zwanej Rybitwą, i części miasta ku Warszawie spaliło się wszystko.

Takie szczegółowe wiadomości zebraliśmy z towarzyszem moim na miejscu. O godzinie 12 ej wyszliśmy do znajomego znowu na miasto. Mimo spóźnionej pory, przed sieniami domów ocalonych stało mnóstwo ludzi. Wszyscy spodziewają się, że niedopalona reszta zapali się lada chwila, nikt zaś nie chce, żeby pożar zachwycił go podczas snu. Niektórzy bogatsi powysyłali swoje rzeczy z miasta aż za Narew; niektórzy nocują za miastem przy rzeczach, broniąc je od kradzieży. Kradzieży bowiem w czasie pożarów było takie mnóstwo, że niema prawie ani jednego mieszkańca, któryby znakomitej części rzeczy nie utracił. Wszyscy więc czuwają i wszyscy pilnują.

Rynek wyglądał zupełnie jak obóz. Ci, którzy nie pilnują domów po sieniach, ci, którzy nie mają nic do pilnowania, śpią spokojnie, jeżeli spokojnym można nazwać nocleg pod gołem niebem, często nawet bez siennika, a często i bez słomy, poprostu na kamieniach. Tam jedna nędza przytula się do drugiej.

Idąc, musieliśmy ciągle uważać, żeby kogoś nie nadeptać. Widok był dziwny i niezwykły. Tu ludzie śpią jak mogą, a tam się jeszcze miasto pali. Noc stała się ciemniejsza, więc i łunę widać było wyraźniej. Paliły się jeszcze niektóre domy w rynku, palił się jeszcze szpital i progimnazyum. Ale wogóle w mieście mało kto już zajmował się ratunkiem, tak dalece wszyscy byli znużeni. Wyszedłszy z rynku, nie spotkaliśmy już żywej duszy. Słyszeliśmy doskonale trąbkę przejeżdżającej ekstrapoczty, tak wielka była wszędzie cisza. Niedaleko poczty stał oparty o mur pijany człowiek i śpiewał: Ej! ej! ej! Zdaleka dochodziło wycie psów. Obok ruin i wycia psów — śpiew. Śpiew na zgliszczach! Ileż to kontrastów.

Na poczcie nie mogliśmy dostać koni, musieliśmy więc oczekiwać na kuryerkę, która miała przyjść o drugiej, a przyszła, mówiąc nawiasem, o czwartej. Po trosze drzemaliśmy, po trosze patrzali na miasto. Łuna nad szpitalem jaśniała jeszcze. Chwilami ciemniała, chwilami rozpalała

się nanowo. Tymczasem gwiazdy pobladły, latarnie przed pocztą poczęły różowieć i omdlewać. Poczęło szarzeć i świtać. Na wschodzie zabłysnął różowy pasek zorzy. Mogliśmy już wyraźnie odróżnić pobladłe z niewyspania i bezsenności twarze pasażerów, oczekujących na równi z nami na kuryerkę. Rozwidniło się tymczasem zupełnie, nim przyjechała. Wsiedliśmy, ozwała się trąbka pocztarska i — rzuciwszy ostatnie spojrzenie na nieszczęsne miasto, ruszyliśmy w drogę prosto do... redakcyi.

* * *

A teraz stój, czytelniku — jeszcze nie koniec: poczekaj na sens moralny tego opowiadania. Schowałem jeszcze jeden epizod, który *ad usum delphini* zamierzam teraz opowiedzieć. Kiedym, błądząc po zgliszczach i zwaliskach Pułtuska, zapalił cygaro, zbliżył się do mnie jakiś młody jeszcze, ubogo ubrany człowieczyna i tonem rozkazującym polecił mi je zagasić natychmiast. Zdziwiony tem niepomału, spytałem go o powody tego rozkazu.

— Mój panie, — odrzekł mi — mieliśmy dosyć nieszczęścia. Z pańskiem cygarem znowu pan gdzie zaprószysz ogień, i będziemy mieli nowy pożar.

Nie zrozumiałem wprawdzie, jak mogłem, nie zaprószywszy ognia poprzednio, zaprószyć go znowu, jak się wyraził ten człowiek, ale zgasiłem jednak cygaro i wdałem się z moim pogromcą w pogawędkę. Jak to, obywatelu?... każesz mi gasić moje cygaro w chwili, gdy w mieście palą się jeszcze gmachy, gdy słupy iskier tryskają co chwila złotymi strumieniami do góry, a wiatr je niesie i rozrzuca po dachach ocalonych domów? Każesz mi gasić moje cygaro, gdy pod każdym stosem gruzu leży drugi stos rozżarzonych węgli? każesz mi gasić moje cygaro na ulicy, w której nie ma się co palić, w której, gdybym był nietylko palaczem, ale nawet podpalaczem, nie zdołałbym już ognia zaprószyć? Mój Boże, co za ostrożność! co za ostrożność! A czytywałeś ty też, obywatelu «Chwilę Obecną?» a czy pamiętasz, ile razy w imię honoru, w imię poczucia obowiązku, w imię dobra ogółu, zachęcałem ciebie i podobne *animalia mammalia* do formowania ochotniczych straży pożarnych? Czy też w twej zakutej głowie, w której z czasem wróble będą gniazda kręciły, zakręciła się kiedy myśl, że trzeba i należy, że świętym obowiązkiem jest straż taką uformować i z toporem w dłoni biedz na ratunek bliźnim we dnie czy w nocy? — Nie. Zaiste nie! Wolałeś bić muchy na nosie, siedząc po całych dniach w miejscowej cukierni, wolałeś romanso-

wać z miejscowemi lafiryndami, wolałeś czernić wąsy trzygroszowym fiksatuarem, politykować na miejscowej poczcie, wypalać cygara okolicznych obywateli, wygładzać swój cylinder, wyciągać z za rękawów mankiety, czytać «Izabelę» i «Barbarę Ubryk», wolałeś to wszystko, cny obywatelu, obiecujący młodzieńcze, nadziejo na przyszłość, niż włożyć na głowę kawał blachy, zatknąć za pas siekierę i służyć swemu społeczeństwu w sposób najlepszy, w jaki możesz. Oto więc i masz! Kiedy się spali twoje miasto, kiedy kraj miliony straty poniesie, kiedy ty sam zostaniesz bez kawałka dachu nad głową, wówczas dopiero wyrośnie ci rozum, tam, gdzie poprzednio, dziw, że ci niepomiernie uszy nie wyrosły. Pamiętajcie, obywatele Mińska, Kaluszyna, Sochaczewa, Płońska i mnóstwa innych gubernialnych i powiatowych miast naszych, nie formujcie straży ogniowych, póki wam się miasta nie spalą! To tylko próżny wydatek. Bo jak się miasto spali, to przynajmniej jest dowód oczywisty, że straż jest wprawdzie złem, ale złem koniecznem. Wy myślcie sobie o czem innem: o arystokracyi, demokracyi, o biciu szos, o kwestyi wschodniej, o wojnie Anglii z ces. Birmańskiem — takie tylko bowiem sprawy są godne umysłów wielkich, na powagach miejscowych, niezbitych opartych.

Oto i wszystko, co wam miałem powiedzieć.

Naopowiadano mi się o niedołęstwie ratunku tyle, sam wreszcie widziałem tyle, że mam już dosyć. Ale widziałem i skutki tego. Wczoraj ludzie zamożni, dziś wyciągają rękę o kawałek chleba, który szlachcic z okolicy przysyła. Widziałem nędzarzy i żebraków; widziałem ojców rodzin płaczących nad losem dzieci; widziałem matki, które nie mogły karmić niemowląt, bo z głodu pokarmu im zbrakło; widziałem ruinę, zgliszcza, nędzę, rozpacz i łzy — i dlatego grożę jeszcze, i jeszcze ostrzegam, i jeszcze zachęcam, i uderzam jeszcze raz w tę opieszałość i niedołęstwo, której ofiary w Pułtusku miłosierdziu dobrych i kochających bliźniego ludzi polecam.

Gazeta Polska, 1875, Nr 163 z dnia 27 lipca.

XXIX.

Historya Muzeum Przemysłowego. — Ofiarność i jej warunki. — Składki na pogorzelców. — Deszcz. — Jedna szósta. — Stały teatr. — Jak można, wyjechawszy na wakacye, nie tracić dochodu w Warszawie. — Nudy. — Pan d'Auroche. — Fałszywa wieść o biurze streczenia pracy. — Czy most, czy kanalizacya. — Komitet sanitarny. — Syrena. — Deszcz. — Zbiory. — Prawdopodobna ruina. — Kapitał i ziemia. — Videant...

Historya Muzeum przemysłowo-handlowego nie przestaje dotąd być pięknym snem, który śnił się i śni dotychczas prasie, ale który z rzeczywistością nie ma nic wspólnego. W swoim czasie, kiedy projekt ten powstał, zdawało się, że niech tylko przyjdzie pozwolenie, a natychmiast założymy takie muzeum, jakiego dotąd świat nie widział. Mówiono o funduszach, które na ten cel już miały być złożone; w zapale głoszono nawet, że i pozwolenie już istnieje; wcześnie rozrzewniano się bezpośrednim wpływem muzeum na podniesienie handlu i przemysłu

nakoniec pozwolenie przyszło, i na tem się wszystko skończyło. Co większa, pokazało się, że niema pieniędzy, niema lokalu, niema ludzi chętnych do ofiar i pracy, niema okazów w każdem podobnego rodzaju muzeum koniecznych, słowem, jak to mówią, niema tego zrobić ani czem, ani gdzie.

Oczywiście rzecz taka dałaby się przywieść do skutku tylko ofiarami ze strony ogółu, ale cóż robić, kiedy najofiarniejsze na świecie miasto, jakoś niezbyt okazało się pochopnem w tym wypadku. Na nieszczęście dla muzeum, niema w sprawie jego założenia nic, coby wstrząsało nerwy miasta, nic efektownego; jest to poprostu tylko pożyteczne. Najofiarniejsze miasto nie rozczula się w takim razie. Nie było przytem na dochód tego muzeum żadnego balu, na którymby ofiarność kawalerska mogła się wytańczyć z ofiarnością panieńską, a ofiarność ojcowska i macierzyńska przedrzemać na kanapach sali balowej. Niech to nikogo nie dziwi; nasze miasteczko właśnie dlatego nazywa się: najofiarniejsze, że u nas potrafią nawet drzemać na dochód rozmaitych spraw, mających większy lub mniejszy związek z dobrem ogółu. Drzemać na cele publiczne — czyż może być rozkoszniejsza drzemka na świecie, a zarazem czyż może istnieć sytuacya, w którejby miłej było popuścić uczuciom obywatelskim wodze?

Równa się to chyba rozkoszy pożywania publicznych obiadów, wydawanych z okazyi rocznic i jubileuszów rozmaitych instytucyi, na których to obiadach członkowie odkrywają w sobie wzajemnie, a równie niespodziewanie jak szczęśliwie, przymioty, przypominające złoty wiek ludzkości. Ale znowu na nieszczęście dla muzeum, nie było z jego powodu żadnego obiadu. Nikt nikogo nie nazwał naszym znanym, nikt nie wznosił żadnych toastów; tak jest, nie było obiadu, więc nikt nie rozrzewnił się, nie rozpłakał, nikt przy jego końcu nie rozpinał kamizelki, by dać swobodniejszy oddech piersiom rozpieranym przez nawał ofiarno-publicznych uczuć, krótko mówiąc: nie było na dochód muzeum ani balu, ani koncertu, ani obiadu, ani fantowej loteryi, ani odczytów, pogrążających w ciągu jednej godziny głowy słuchaczów razem ż ich uszami w oceanie wszechwiedzy i wszechmądrości — nie było ani tomboli, ani bazaru, więc niema i muzeum. Przepraszam, była jedna tylko rzecz: było w prasie głębokie poczucie potrzeby i pożyteczności takiego muzeum — ale to dla nerwowego miasta nie wystarcza.

Co prawda jednak, należy wyznać, że składki na pogorzelców ostatnich pożarów w Pułtusku, Opolu i Końskiej Woli poszły wcale nieźle. Złożono już dotychczas kilkadziesiąt tysięcy złotych, co zapewne przyniesie niemałą ulgę nie-

szczęśliwym, nie mającym ani dachu nad głową, ani kawałka chleba do zaspokojenia głodu. Dowodzi to jednak, że ogół nasz ma serce, i że zwłaszcza w chwili wzruszenia, gotów jest nie żałować datku. Szkoda tylko, że chwila taka nie trwa nigdy zbyt długo, i że raczej jest uniesieniem na razie, niż spokojnem, ale trwałem poczuciem obywatelskiego obowiązku. Niemałą także, lubo nie tak wielką, jak się spodziewano, pomoc przyniosły przedstawienia w teatrzykach ogródkowych. Na nieszczęście w czasie przedstawień w Eldorado i w Alhambrze padał deszcz, i to deszcz ulewny, co zmniejszyło liczbę widzów. Wystawiać się na niszczące działanie wody dlatego, że Pułtusk uległ niszczącemu działaniu ognia, wydało się Warszawianom zbyt hazardowną igraszką z żywiołami.

Dochód ten byłby nawet nic nie znaczący, gdyby nie to, że ze względu na cel przedstawień, teatrzyki były uwolnione od płacenia jednej szóstej dochodu brutto, opłacanej teatrowi stałemu.

Prawdę rzekłszy jednak, gdyby nie teatry ogródkowe, w Warszawie byłyby takie nudy, że ci wszyscy, którzy jeszcze zostali, pouciekaliby napewno choćby do Łukowa, który, jak dowiadujemy się, wytworzył sobie w tych czasach własny teatr amatorski. Czasy ogórkowe są u nas obecnie w zenicie. Przyjechał wpraw-

dzie niejaki pan d'Auroche, który mówiąc nawiasem, gdyby umiał po polsku, śmiało za Polaka nazwiskiem Dorosz mógłby uchodzić. Ten pan Dorosz pokazuje, jak tworzyła się ziemia, zwierzęta przedpotopowe, rośliny i niektóre inne rzeczy, które były niegdyś i znikły. Rzeczy to już dobrze znane i pokazywane nieraz, ale że w mieście nudno i brak nowin, znajdują swoich ciekawych.

Do wielkich nowin czasów ostatnich należała wieść o uformowaniu się biura stręczącego pracę. Doniósł o niej pierwszy *Kuryer Codzienny*, a powtórzyła i nasza gazeta. Na nieszczęście jednak, wieść ta okazała się zupełnie bezzasadną. Żadne takie biuro nie powstało, i nikt o jego założenie się nie starał. Wieść ta nie była nawet balonem próbnym, ale poprostu racą, która wyleciała w górę nie wiadomo z czyjej głowy, pękła, narobiła huku, dymu i blasku, a potem zgasła. Że jest wielu ludzi, umierających z głodu z powodu braku pracy, że biuro takie byłoby jedną z najbardziej filantropijnych instytucyi, o tem nikt nie wątpi; ale pewniki te nie więcej się dotąd do założenia podobnej instytucyi przyłożyły, niż np. wzdychania do kanalizacyi miasta do zaprowadzenia tejże kanalizacyi.

Przypominamy sobie, że niegdyś, nie bardzo nawet dawno, zawzięcie kłócono się o to: czy

trzeci most, prowadzący z Warszawy na Saską Kępę, czy kanalizacya? Nakruszono z tego powodu niemało piór i rozlano niemało atramentu; otóż rzeczywistość pogodziła nas w ten sposób, że dotychczas nie mamy ani trzeciego mostu, ani kanalizacyi, i że muchy się nawet ani na jedno, ani na drugie nie gonią. Cobyście np. powiedzieli, czytelnicy, o dwóch szczękających z zimna i zaledwie okrytych biedakach, którzyby się pobili o to: czy cieplej jest chodzić w zimie w sobolach, czy w gronostajach? A jednak podobne walki zdarzają się u nas często. Z powyższej odnieśliśmy tę naukę, że lepsze od mostu i od kanalizacyi są pieniądze, o których użycie dość jest kłócić się wtedy, kiedy już są. Obecnie, zamiast mostu, mamy suche koryto Wisły, zamiast zaś kanalizacyi specyalny tutejszo-miejski zapaszek, który kręci nas za nosy, jak sam chce, i który sprawi, że świeżo zawiązany komitet sanitarny będzie miał u nas cztery razy więcej roboty niż we wszystkich krajach europejskich.

O komitecie tym, nic więcej prócz tego, że został uformowany, powiedzieć nie można. Jakie będą jego szczegółowe czyny i przedsięwzięcia? przyszłość pokaże. Niektórzy mają nadzieję, że właśnie ów komitet zajmie się przeprowadzeniem, czyli przyprowadzeniem do skutku kanalizacyi. Daj Boże, ale wątpimy. Spodziewamy

się wprawdzie, że komitet ten nie zacznie prac swoich wzorem opiekuńczego komitetu, który miał czuwać nad przyszłym Zwierzyńcem, a który zaczął od tego, że wydał wyrok śmierci na zwierzęta; spodziewamy się, mówiąc wyraźniej, że komitet nie każe zanieczyścić miasta dlatego, żeby miał potem co oczyszczać; ale z kanalizacyą trudna sprawa. Komitet nie przeprowadzi jej przecież za własne pieniądze, a innych niema — chybaby nasza Syrena chciała zaciągnąć na ten cel pożyczkę, co przy jej środkach i kredycie nie jest rzeczą ani łatwą, ani nawet bezpieczną.

Prawdziwe to dziecię natury ta nasza Syrena. Naprzód — niech mi wybaczą czytelniczki — goła jest jak... święty turecki, a przytem, jak większość dzieci natury, brudna tak, że o zakładby pójść można, że brudniejsza Syrena nie egzystowała nigdy na świecie. Sama się myć nie ma zwyczaju — myją ją tylko deszcze niebieskie, te deszcze, które tak obficie w ostatnich czasach skrapiać ją poczęły. Jest to dla niej arcy pomyślna okoliczność, ale i deszcz, jak wszystko na świecie, ma dwie strony. Płócze miasta, to prawda, ale jednocześnie jakże okropnie wypłókuje kieszenie wieśniaków! Zewsząd dochodzą nas niepomyślne wieści. Sprzęt zbóż wogóle był utrudniony, a w wielu miejscach na garściach wszystko porosło. Klęska

nie jest tak wielką wprawdzie, żeby groziła głodem, ale przy dzisiejszym stanie finansowym obywateli wiejskich, najsłabszy nawet cios może zerwać tę wątłą, niby pajęczą nić, na której część majątków jest zawieszona.

Towarzystwo niemal co miesiąc ogłasza długie listy poległych na polu walki z ratami majątków; parcelacya, ta ostatnia dla wielu deska ratunku, utrudniona przez sumy Towarzystwa i hypoteczne; kredyt upadł.

Wogóle jest pewnikiem, że tam, gdzie kapitał użyty do produkcyi większego wymaga do opłacenia procentu, niż go może przynieść sama produkcya — tam ruina jest tylko kwestyą czasu. Ta prosta, a zarazem i straszna prawda zawisła, niby miecz Damoklesa, nad krajem. Niech mnie posądza kto chce o pesymizm, ale powtarzam jeszcze raz, że w tych warunkach rolniczych, przy dzisiejszym stanie kredytu, przy dzisiejszym stosunku kapitału do ziemi, ruina stanie się prędzej czy później powszechną.

Co potem będzie? kto się rozsiądzie w tych białych dworach, które z pośrodka lip patrzą na przechodnia? czyje pługi będą orały urodzajne, ale wysilone skiby ziemi? czyja siekiera przetrzebi do reszty i tak już przetrzebione lasy nasze? — łatwa odpowiedź. Kto jej nie może znaleźć, niech spojrzy na sąsiednią nam prowincyę Poznańską.

Ale jakaż jest rada? czy zło istotnie jest nieuleczone? Kredyt przy dzisiejszym procencie od kapitału trudny jest i niebezpieczny. Parcelowanie ziemi z innych względów niebezpieczne, często niemożliwe, zawsze najeżone przeszkodami; oszczędność, zaparcie się wygód, potrzeb, zaparcie się niejako własnej osoby — może już za późne — może to tylko półśrodek.

Kwestya to paląca, warta najgłębszego namysłu i najściślejszej dyskusyi. Co do mnie, nie pragnąłem jej wyczerpać. Nie tu czas ani miejsce. Pragnąłem jej dotknąć — i uczyniłem to. Pragnąłem zwrócić na nią uwagę.

Gazeta Polska, 1875, Nr 169 z dnia 4 sierpnia.

XXX.

Urodzaj na komitety. — Najnowsze pogorzelowe. — Miejscowy i warszawski. — Widowisko w cyrku. — Widowisko w Eldorado. — Członek zbyt gorliwy, czy zbyt ostrożny. — Nawał zajęć. — Nie można dwóch srok naraz chwytać. — Bis dat, qui cito dat. — Pomoc i jej warunki. — Historya o wróblach. — Filantrop i biedak, czyli ludowa logika. — Marudztwo. — Nienowa historya. — Pożar wczorajszy. — Straż i strażacy. — Ich zabawy. — Opowiadanie pułkownika. — Ratunek. — Kolej konna i publiczność, czyli coś nigdzie nie bywałego. — Nasze ultimatum. — Zabawa na Pradze. — Szpital na Pradze. — Warszawa. — Wielki człowiek w przejeździe. — Bitwa pod Sedanem i miejscowe komentarze. — Koniec.

Komitety mnożą się w ostatnich czasach u nas jak grzyby. Niedawno zawiązał się komitet sanitarny; również niedawno wspominaliśmy o sławnym komitecie opiekuńczym, który miał za zadanie założyć ogród zoologiczny, a który pozytywną działalność rozpoczął od wyroku śmierci na zwierzęta p. Bartelsa; obecnie mamy znów komitet pogorzelowy, którego zadaniem

jest uorganizowanie pomocy i rozdział funduszów zebranych przez redakcye na korzyść pogorzelców Pułtuska, Opola i Końskowoli. Pamiętam, że podczas mej bytności zaraz po pożarze powszechne były skargi na brak ratunku; myślę więc, że skoro nie ratowano miasta, kiedy się paliło, niechże więc przychodzą mu w pomoc, gdy się już spaliło. Istotnie, lepiej późno niż nigdy. Jest to przytem to, co Francuzi nazywają robieniem dobrej miny w złej grze. Wprawdzie gorliwość ta wydałaby o wiele zbawienniejsze owoce, gdyby była wcześniejsza, obecnie jednak trzeba pić takie piwo, jakiego się sobie nawarzyło.

Co do widowiska w cyrku, przyniosło ono plon obfity, odbyło się zaś tak, jak odbywają się wszystkie podobne widowiska. W środku cisnęła się strojna i hojna publiczność; grano, śpiewano, zbierano oklaski, wsławiano się; w sieni sprzedawały się programy, które znajomi, dostrzegani czujnem okiem dam sprzedających, musieli kupować. Staranność widowiska była wielka, koszt przedstawienia, dzięki zabiegłości komitetu i dobrej woli ludzkiej, prawie żaden, więc też i zyski znaczne. Mniej sprawności okazano w czuwaniu nad widowiskami dawanemi w teatrzykach ogródkowych. W Eldorado naprzykład, w dzień przedstawienia przybył jeden z członków i, ze zbytku gorliwości zapewne,

w kontrolowaniu sprzedaży biletów, zabrał je wszystkie z sobą, i tłómacząc się, że jak każdy człowiek, tak i członek ma swoje zajęcia, poszedł z nimi do domu, czy też do biura. Tymczasem przychodzili ludzie, rozpytywali się o bilety, a tu członka jak niema tak niema. Przyszedł wreszcie wieczorem, ale kasa została przez to otwarta zbyt późno. Wiele z tych osób, które przychodziły w chęci kupienia biletów, nie powróciło już po nie raz drugi, godzi się bowiem przypuszczać, że te osoby, jakkolwiek nie piastujące może honorowych urzędów w żadnym z istniejących u nas komitetów, miały także swoje zajęcia, nie pozwalające im latać po kilka razy po jedne i też same bilety. Skutkiem tego i całe przedstawienie wypadło mniej pomyślnie, niż mogło wypaść, tembardziej, że wieczorem zachmurzyło się niebo i groźba deszczu zawisła nad pogorzelców widowiskiem. Zbyt ostrożny i zbyt przeciążony zajęciami członek zwichnął sprawę. Miło jest wprawdzie należeć do komitetu; miło jest pomyśleć sobie: «Jestem mężem zaufania i cały ogół ma na mnie zwrócone oczy»; miło jest być nazywanym: nasz znany z dobroczynności i poświęcenia; miło jest ujrzeć po śmierci z nieba swój portret, wyryty w ilustracyi na ziemi, z obszernym życiorysem; milej jeszcze jest ujrzeć swój portret nie drzeworytowy, ale olejny, zawieszony w salce

Towarzystwa Dobroczynności, który miejscowe, tuczone zupą rumfordzką muchy pstrzą, jak im się tylko podoba, a okazowe dziady i baby podziwiają z palcem na ustach; miłe, powiadam, jest to wszystko, ale właśnie dlatego, nie trzeba się zbyt przeciążać zajęciami. Kto dźwiga na sobie ciężar miłosierdzia publicznego, niechże go dźwiga obu ramionami. Nie można jedną ręką podtrzymywać upadającą ludzkość, a drugą chwytać za ogon własną, czysto prywatną srokę. Skutek tego taki, że i sroka ucieknie i upadająca ludzkość rozbije nos o kamienie. Taka jest moja rada i takie moje obawy. Nie będę się sprzeczał, że każdy człowiek ma swoje zajęcia, kto ich jednak ma tyle własnych, że nie pozwalają mu zająć się jak należy publicznemi, niech dla platonicznego tytuliku ich nie tyka, inaczej i jedne i drugie na szwank narazi.

Ale to jeszcze nie wszystko. Łacińskie przysłowie mówi: *Bis dat, qui cito dat,* co się da także na język polski przełożyć i w ten sposób, że wszelka pomoc, aby była skuteczna, musi być natychmiastowa, inaczej nic nie warta. Tymczasem, ile wiem, pieniądze uzbierane z widowisk i składek, pościel, bielizna i ubiory, ponadsyłane przez prywatnych, w chwili, gdy piszę te słowa, nie są jeszcze odesłane na miejsce. Zwłoka ta jest, co prawda, dla mego prostac-

kiego umysłu niezrozumiała, sądzę nawet, że podobny ràtunek jeśli nie jest natychmiastowy, jest poprostu chybiony. Gdy już każdy z pogorzelców utuli się, gdzie kto będzie mógł, gdy już każdy przyodzieje się, jak będzie mógł, gdy ten i ów znajdzie jaki taki zarobek, gdy większość opuści z głodu i chłodu zgliszcza rodzinnego miasta i rozejdzie się po okolicy, wówczas pomoc będzie albo musztardą po obiedzie, albo co gorsza, wykałaczką do zębów, ofiarowaną równie litościwie jak wspaniałomyślnie temu, kto nie jadł obiadu. Znamy dobrze historyę o dwóch wróblach: jeden zdychał z głodu, a drugi poleciał dla niego po wiśnie, ale że jakoś się zamarudził, więc gdy wrócił, zastał przyjaciela do góry brzuszkiem leżącego. Zalewałem się nieraz łzami nad losem nieszczęsnego wróbla; otóż obawiam się, aby nam nie przyszło zalewać się łzami podobnie nad losem niejednego Pułtuszczanina. Kołdra jest okryciem bardzo miłem i ciepłem, ale tego, kto zmarł z zimna, można już śmiało zostawić w letnim kostiumie. Tak, moi panowie, a zarazem i łaskawi czytelnicy! Budować owczarnię dla owiec, które poprzednio wilki wydusiły — jest przedsięwzięciem, przypominającem chyba filantropijną budowę szpitala miechowskiego, w którym jest wszystko, tylko na utrzymanie chorych nie starczyło. Gdyby upusty komitetowego miłosierdzia otwierały się

co każde sto rubli, jakie skutkiem składek napływały, sądzę, że tej chłodzącej wody więcej spragnionych mogłoby się napić. Składki płynęłyby swoją drogą, i w miarę jakby się zbierały, możnaby je stopniowo odsyłać na miejsce. Lubimy marudzić, to nasza wada. Jak będziesz się uczciwie sprawiał, to nie będziesz goły i będziesz syt — mówił pewien filantrop do pewnego mizeraka, który chudy był jak treść niektórych prelekcyi dobroczynnych i świecił łokciami nakształt dyetaryusza naszych prywatnych i publicznych instytucyi. — Nie, proszę pana — odpowiedział on nieborak — jak nie będę goły i będę syt, to się będę dobrze sprawował. — Nazywa się to w ludowym języku: przewrócić barana do góry nogami. Jak się więcej zbierze, więcej dostaniecie — mówimy Pułtuszczanom. — Nim się więcej zbierze, pomrzemy z głodu - mogliby nam odpowiedzieć; nim się więcej zbierze, spali się jeszcze jakich kilka miast, i mniej dostaniemy. Och! odpowiedziby nie zbrakło. Tak! lubimy marudzić. Historya podobna nie pierwszy raz trafia się w Warszawie. Pamiętam, parę lat temu była powódź, Wisła wylała; od tej powodzi szczególniej ucierpiała Praga. Składki były znaczne, znakomite nawet; utworzył się jakiś komitet, nie pamiętam już z kogo złożony, i pomoc doszła powodzian akurat jakoś w pół roku, mniej więcej wtedy, kiedy zapomniano już o po-

wodzi, choćby dlatego, że woda na Wiśle była starej gęsi po kolana, jak mówi przysłowie. Pamiętam, że z miesiąc po powodzi mieszkańcy domów pobrzeżnych gnieździli się w jakichś konarach czy czemś podobnem, jeden na drugim, po stu w jednej izbie. Właśnie wtedy komitet składał sesye.

Wspomniałem o możliwości nowych klęsk ogniowych. Nie przesadziłem nic a nic, moi czytelnicy. O pożar latem łatwo. Nie dawniej niż wczoraj, a raczej dziś, bo z poniedziałku na wtorek, straże nasze były zaalarmowane łuną pożarną. Wywieszono latarnie na wieżach, i wkrótce głuchy turkot pędzących po historycznym naszym bruku wozów oznajmił, że straż bieży na ratunek. Śliczny i malowniczy to widok, gdy wśród nocy dzielna ta straż — to oko w głowie Warszawy i chluba nasza — biegnie do walki z żywiołem. Po ulicach migają krwawe światła kaganków; brzmią okrzyki torujących drogę konnych strażaków; dźwięczą łańcuchy; turkot wozów huczy nakształt podziemnego grzmotu; rozlega się szelest i rżenie koni, a straż cała w złoconych hełmach, z toporami za pasem, w towarzystwie kominiarzy, biegnących niby złe duchy za wozami, pędzi, świeci, krzyczy i znika z przed oczu, jakby jaki orszak piekielny, zarówno gwarny, jak straszny.

Do jakiego stopnia dochodzi odwaga i lekce-

ważenie życia tych ludzi, dowodem niech posłużą ich zabawy i zakłady. Podrzucać pochodnię rozżarzoną w górę i łapać ją jedną ręką, jest dla nich igraszką. Czybyście uwierzyli, czytelnicy, temu, czemu i ja wierzyć nie chciałem, że zdarzyło się, iż o zakład skakali z wieży strażniczej na ziemię. A jednak opowiadał to zmarły zacny pułkownik Majewski, dowódca straży. Przychodzę raz — mówił — i słyszę, że się zakładają o dziesiątkę, kto zeskoczy z wieży. Krzyknąłem na nich: «Dałbym ja temu, ktoby się ośmielił, ktoby spróbował!» Aż tu występuje jeden młody chłopak, sprawny wisus, zgrabny jak kot; występuje, salutuje i mówi: — Panie pułkowniku, to nie trudno. — A próbowałeś? — Albo raz. — Co ty powiadasz, trutniu? — Próbowałem, panie pułkowniku, i jeśli pan pułkownik pozwoli... — Zabijesz się, nie pozwolę. — Nie zabiję się. — Pamiętaj, że licho cię porwie. — Młody strażak chwycił za miotłę z drągiem i znikł. Wkrótce ujrzano go na wieży. — Stój! pójdź tu natychmiast! — zawołał pułkownik! — Według rozkazu idę, pułkowniku! — odkrzyknął strażak, chwycił miotłę silnie rękoma, ścisnął ją kolanami i rzucił się z balkonu. — Pułkownik zamknął oczy i nie śmiał ich otworzyć; aż tu nagle zabrzmiał mu nad uszami znany głos: — Jestem, panie pułkowniku! Dowódca spojrzał:

młody chłopak stał przed nim wesoły, rumiany, uśmiechnięty, z miotłą w ręku.

Dzielny pułkownik dał mu dwadzieścia pięć rubli za nagrodę, i jeszcze kazał dać dwadzieścia pięć... ale nie rubli, żeby zbyt często szczęścia nie próbował.

Sztuka, jak mówił, polega na tem, że spadający uderzał naprzód o ziemię miotłą, odbijał się i spadał już tylko z odbicia, pędem zupełnie osłabionym.

Tacy to są strażacy.

Wczoraj pożar wybuchnął nie w obrębie miasta, ale tuż za rogatkami Belwederskiemi, w cegielni. Spaliła się szopa, pod którą suszą się cegły, a raczej nie spaliła się zupełnie, bo nie pozwolił na to ratunek. Byłem przy ogniu i patrzałem, jak się rzecz odbywała.

Przyjechałem prawie równo ze strażą; ale nim zdążyłem wysiąść z dorożki, już promień wody zalewał buzujące się płomienie, a nad dachem błyszczały topory strażaków. W pół godziny dach był zerwany, sąsiednie dachy zmoczone wodą, jak w czasie największej ulewy; płomienie zalane zgasły, zrobiło się ciemno, czarno. Tylko dymy snuły się nieśmiało i czołgały, jakby obawiające się strażników, przy ziemi. Świeciły tylko kaganki przy beczkach i pochodnie.

Gdyby to tak w Pułtusku, taka straż! gdyby

w Siedlcach, Międzyrzycu, Końskowoli, Opolu *et caetera, et caetera!!!*

W Warszawie o niczem innem nie mówią, tylko o pogorzelcach, składkach i tym podobnie. Fakty te i rozmowy tak dalece pochłaniają wszystkich, że nikt nie zwraca uwagi na nic innego. A jednak dzieją się u nas rzeczy nadzwyczajne, jakie nie dzieją się nigdzie na świecie, godne zarówno kronikarskiego, jak publicznego oka.

Jedną z takich ciekawych historyi jest historya naszych omnibusów kolejowych, czyli kolei żelaznej konnej. Omnibusy te nie dowożą już pasażerów na kolej Terespolską. A czy wiecie dlaczego? Nie. Więc słuchajcie, jak mówi pan Jowialski. Oto pewnego razu omnibus taki jechał z przed Bernardynów do kolei Petersburskiej, a następnie do Terespolskiej. Nagle tuż za mostem omnibus zatrzymuje się, konduktor zagląda przez drzwiczki i mówi:

— Wysiadać.

— Co to jest? my jedziemy do kolei Terespolskiej — wołają pasażerowie.

— Nie pojedziemy do kolei Terespolskiej — odpowiada ze spokojną godnością dygnitarz, zbrojny w blaszaną puszkę.

— Dlaczego?

— Bo na drodze stoją trzy wagony.

— To każ pan odjechać trzem wagonom.

— Trzy więcej znaczą niż jeden. Wysiadać!!

Pasażerowie przekonani z pomocą arytmetyki, wysiadają i śpieszą do owych trzech wagonów, przy których znajdował się jakiś drugi dygnitarz od tejże konnej kolei. Przybiegłszy, pytają o powody.

Pytają o powody!! Co za zuchwalstwo! Dygnitarz wysuwa naprzód wargę i patrzy na suplikantów wzrokiem, w którym maluje się zdumienie. Onby miał odpowiadać! On dziwi się sam sobie, że dotąd nie obrócił w proch zuchwalców. Zastanawia się przez chwilę; następnie obraca ich w proch, i nie odpowiada, bo do prochów, jak wiadomo, niema co mówić.

Prochy jednak skarżą się, dopominają o zwrot pieniędzy, narzekają na zawód.

Dygnitarz wybucha!

— Jak nazwisko tego, który tu najgłośniej krzyczał? — woła z wysokości swego majestatu.

Człowiek, który najgłośniej krzyczał, blednie. «Oho! już po mnie — myśli sobie. — Obrazić takiego człowieka. Któż go tam wie, co to za jeden? Może to... (tu następuje szereg przypuszczeń) takie ma świecące guziki... A nuż każe wziąć do kozy?»

Nieszczęśliwy nie przewidywał, że stanie się nierównie gorzej. Aleksander Macedoński obra-

ził się na mieszkańców Tyru — to wiadomo z historyi Skrzypińskiego — dygnitarz omnibusowy gniew swój przeniósł z jednego mieszkańca na wszystkich mieszkańców Warszawy i postanowił ich ukarać.

Obecnie kara dokonywa się.

Omnibus kolejowy od owego pamiętnego dnia nie chodzi już wcale na kolej Terespolską.

Wszyscy cierpią dlatego, że ktoś ze świecącymi guzikami obraził się na kogoś bez świecących guzików. Niepodobna przypuścić, żeby to były inne powody tej przerwy w komunikacyi, bo przerwa nastąpiła ściśle od dnia obrazy, od owego dnia, który jako *dies irae* długo popamiętamy.

A co? czy nie prawda, że tylko u nas przytrafiają się podobne rzeczy? Myśmy sądzili dotychczas, że magistrat oddał eksploatacyę drogi konnej Towarzystwu drogi Petersburskiej, na warunkach, aby omnibusy łączyły trzy dworce kolei żelaznej; pokazuje się, że myliliśmy się najfatalniej. Widocznie agent wysyłał tylko z łaski omnibus aż do kolei Terespolskiej; widocznie był to wielki filantrop i wielki dobroczyńca kraju, dbał o jego komunikacye — przyczyniał się zatem do rozwoju przemysłu, handlu, a myśmy go obrazili tak niebacznie! Cóż więc dziwnego, że wielki mąż wstrzymał zdrój łask? Pytanie: co teraz będzie?

Na wszelki wypadek, prosimy Towarzystwo drogi Petersburskiej o łaskawą i nie późną, ale natychmiastową odpowiedź.

Inaczej poświęcimy mu wiele jeszcze ustępów, równie pełnych uwielbienia dla porządku panującego w jego przedsięwzięciach. Oto nasze ultimatum.

Jesteśmy na Pradze, więc pomówmy o Pradze. W niedzielę odbyła się tam lot... chciałem powiedzieć nie loterya, ale zabawa kwiatowa w parku Aleksandrowskim, która właśnie miała w sobie to nowego, że nie było na niej loteryi. Mojem zdaniem, zupełnie to słuszne. Loterye, bądź co bądź, zwłaszcza na ludzi prostych, mniej wykształconych, i na dzieci wywierają wpływ do pewnego stopnia demoralizujący; że zaś zabawy podobne mogą się bez nich odbyć, dowodem niedzielna, która, lubo pozbawiona tej przynęty, była jednak dość liczna, i wogóle powiodła się nieźle. Dochód z niej przeznaczony jest na szpital praski, na ten ubogi przytułek wszelkiego rodzaju biedaków, na tę poczciwą gospodę cierpiących, która często bywa dla nich ostatnią gospodą w życiu. Zasiłek to niewielki wprawdzie, nie na długo wystarczy, ale zawsze to coś znaczy. W każdym razie pamięci ludzi uczciwych i prawdziwie, nie na efekt, miłosiernych, polecamy tę pożyteczną prawdziwie i chrześcijańską instytucyę.

Wróćmy do Warszawy. Cóż mam więcej wam o niej powiedzieć? A, prawda! O mało nie zapomniałem. Miasto nasze ma zaszczyt mieć w murach swych wielkiego artystę. Jest nim niejaki pan Clementini, Wenecyanin, który grywa na harmonijce, ale: nie rozchodźcie się! — jak mówią studenci, nie myślcie, żeby na takiej harmonijce, jak u nas stróże grywają co niedziela: «Sułtanem to być los!» — o nie, wcale. Pan Clementini grywa na dwa razy większym instrumencie, a przytem podnosi oczy w niebo, to je zamyka, to rzuca głową w tył, to brodę podaje naprzód, słowem pozwala się w zupełności owładnąć natchnieniu i robić z sobą, co się mu (t. j. natchnieniu) podoba.

Naturalnie, że tak wielki człowiek nie mógł umyślnie przyjechać do tak nędznego, jak nasze, miasta, ale bawi tu, wedle doniesień afiszów, tylko w przejeździe do jakiegoś ogromnego grodu, bodaj czy nie do... Pacanowa. Produkuje się zaś w Eldorado w międzyaktach, gdzie wstrząsa nerwy i dusze słuchaczów utworem własnej kompozycyi, zatytułowanym: «Bitwa pod Sedanem». Słyszałem nader charakterystyczną sprzeczkę, którą jak następuje wam powtarzam.

Artysta wychodzi na scenę. Natchnienie porywa go, skutkiem czego artysta krzywi się jak środa na piątek, wznosi oczy w górę, wzdy-

cha i poczyna grać. Instrument wydaje tony, podobne do odgłosu, jaki sprawia woda deszczowa, ciekąca z rynny.

— Co to jest? — pyta się ktoś za mną.

— Hm! — odpowiada drugi głos: — ja byłem na wojnie, to ci wytłómaczę.

Woda wciąż cieknie.

— Ja myślę, że to żołnierze czyszczą broń — lufy — myślę — czy co? A może to narada jenerałów, tylko nie wiem czy pruskich, czy francuskich.

Woda wciąż cieknie.

Głos pierwszy. Ale to coś długo trwa.

Głos drugi. Prawda.

Instrument sprawia odgłos, jakby ktoś łamał patyki, a potem odzywa się trąbka.

Głos pierwszy. Oho!

Głos drugi. Odwodzą kurki i trąbią. Zaraz będą strzelali.

Instrument strzela.

— Masz tobie, otóż i bitwa. Słyszysz? Teraz słychać bębny. W tej chwili biorą do niewoli Napoleona.

Instrument poczyna sapać, poczem wydaje głos:

— Trrr! trrr! trrr!

— Co to?

— A toż mu dali! To bębny po zwycięstwie. Nie! co ja mówię. To Napoleon. Aha! stchórzył!!

Instrument, jak wyżej.

W ten sposób, człowiek obdarzony silną wyobraźnią może sobie bez żadnego niebezpieczeństwa widzieć bitwę pod Sedanem. Ale dlaczego pod Sedanem? Można sobie i jaką inną wyobrazić. Wszystko jedno. Właśnie to jest dobre w tem wszystkiem, że każdy słyszy to, co chce. Naturalnie, że po takiej bitwie i po w porę zaaplikowanym do uszu słuchaczów wystrzale zrywa się cała burza oklasków, artysta zaś kłania się zlekka, przeświadczony, że oklaski te nie są czczą grzecznością, ale podziwem i zachwytem z głębi serca płynącym.

Dziwi nas tylko, że Eldorado użyło tak wielkiego człowieka tylko do wypełnienia międzyaktów. Eldorado wprawdzie dla siebie dobrze zrobiło, bo kto ma iść na piwo, ten i tak sobie pójdzie, kto zaś chce zostać, ten się w międzyaktach nie nudzi. Zresztą nikt nikogo nie zmusza. Można być jak u siebie. Eldorado więc dobrze zrobiło, tylko jakże można tak pospolitować taką wielkość!

On przecież bawi u nas tylko w przejeździe.

Założyłbym się, że w Pacanowie lepiej go ocenić potrafią.

Tyle jak na dziś spraw bieżących.

Gazeta Polska, 1875, Nr 174, z dnia 10 sierpnia.

KONIEC TOMU PIĘĆDZIESIĄTEGO DZIEWIĄTEGO.

Pisma

Henryka Sienkiewicza

TOM LX

CHWILA OBECNA

CZĘŚĆ III

WARSZAWA
NAKŁAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
(DODATEK BEZPŁATNY)
1903

Дозволено Цензурою.
Варшава, 13 Августа 1903 г.

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM LX

Warszawa. Druk Piotra Laskauera i S-ki.

XXXI.

Sąd królowej. — Kto chudy. — Chuda Dywidenda, nie tłusta i Administracya. — Winy administracyi. — Granicę. — Jedyny fakt. — Pogorzele i pogorzelcy. — Przemysłowcy. — Miłosierdzie jako pole eksploatacyi. — Nieprzyjaciele kieszeni. — Zewnętrzny i wewnętrzny. — Spekulacye. — Loterye. — Ostatnia loterya. — Pożyczka. — Premisy i mikroskopijny napis. — Mały kraszek, który wielkim krachem stać się może. — Moje rady. — Przeciwności. — Pociągi spacerowe. — Odpust w Częstochowie. — Zamieszanie. — Potrzebne środki ostrożności. — Koniec sezonu. — Goście kąpielowi. — Nowe życie i nowy sezon.

Pewnego razu, gdy królowa Opinia zasiadła wedle zwyczaju na tronie, by sądzić i rozstrzygać spory, wytoczyły przed nią sprawę, wśród wzajemnych narzekań, dwie nieszczęśliwe istoty: Dywidenda stowarzyszenia spożywczego «Merkury» i Administracya tegoż Towarzystwa.

Nie potrzebuję mówić, że Dywidenda oskarżała Administracyę. — Wszechwładna królowo! — mówiła Dywidenda, spoglądając na swoje chude

piszczele — wszechwładna królowo Opinio, spojrzyj na mnie: jestem najchudsza ze wszystkich dywidend, jakie kiedykolwiek istniały pod słońcem. Jestem sobie jednostką z ułamkiem — jednostką z trzema czwartemi, jeżeli łaska. Wiem, że ledwo się trzymam na nogach, wiem, że wiatr mną pomiata, wiem, że wyglądam jak śmierć angielska, a akcyonaryusze krzywią się na mnie. [illegible]jaż to wina? Administracyi. Przychodzę więc [illegible]nią ze skargą. Nie mówię, bo nie wiem [illegible]ścią, czy Administracya zjada to, co dla [illegible]zeznaczono, ale jej to opieszałości i bra[illegible]wi energii przypisać muszę swoją nędzę. Z roku na rok wyglądam co raz gorzej; w jedenastem półroczu wyglądałam trochę lepiej, w dwunastem, to jest dziś, myślę się chyba udać do Biura nędzy wyjątkowej. Zlituj się, królowo Opinio, i czyń sprawiedliwość! Administracya jeszcze naigrawa się ze mnie i świszcze przez zęby wesołe aryjki z «Księżniczki Trebizondy», na którą to sztukę uczęszcza regularnie, a mnie tymczasem nawet już łez i sił do narzekania nie staje. Zlituj się więc, królowo, i ukarz Administracyę.

— Administracyo, co masz na swoją obronę? — mówi królowa Opinia.

— Co mam na swoją obronę? — rzecze Administracya. — Niech mnie powieszą, jeżeli nie jestem najnieszczęśliwszą ze wszystkich administracyi na świecie! Gdybym ja była tłusta,

CHWILA OBECNA

CZĘŚĆ TRZECIA

— A potem?...

— Potem, królowo, bywałam na posiedzeniach, na które przychodził prezes, komisya rewizyjna, ja i puste krzesła. Pogawędziliśmy sobie, bywało, o różnych rzeczach, pogadaliśmy o złych brukach w mieście, napadliśmy na rozmaite inne administracye, pogadaliśmy o nowościach teatralnych, o modach, o najnowszych skandalikach, i szliśmy do domu.

— Jak to, nie było nikogo?

— Tak, ani nawet oponentów z urzędu.

— *Tiens!*

— Widzisz więc, królowo, że nie jestem w niczem winna.

— A ja tymczasem umrę z głodu — szepce osłabiona Dywidenda.

— Dywidendzie się słabo robi! krzesła! wody! — wołają jedni akcyonaryusze.

— Niech ją tam!... — wołają inni.

— Pomóżcie jej! — woła Opinia.

— Jej nic już nie pomoże, skoro ja nie pomogłam — mówi Administracya.

— Uspokójcie się! — mówi nakoniec królowa Opinia. — Administracyo, mam z tobą jeszcze pomówić. W sprawozdaniu twem za XII półrocze czytam, co następuje: — «Przy rewizyach w sklepach były ubytki, mianowicie:

W sklepie Nr. 1 rs. 565 kop. 97
« « 2 « 292 « 80

W sklepie Nr. 3 rs. 143 kop. 72
« « 4 « 272 « 25
« « 6 « 118 « 86½

«Że zaś zwykła norma 1½% od ogólnej sumy sprzedaży w sklepach, przewidziana instrukcyą na rozsypkę, wyschnięcie lub uszkodzenie towaru wynosić winna rs. 1.207 kop. 54, —

zatem więcej zabrano na rs. 186 kop. 06.

— Mów Administracyo, skąd ta przewyżka?

— Tłómaczę ją zaraz w następnych wierszach.

— Czytajmy: «Przewyżka ta w niedoborze powstała z deficytu zrządzonego przez sklepową Nr. 1, a nie mogącego się odzyskać z powodu nieodpowiedzialności rzeczonej sklepowej». — Administracyo, pytam co się to ma znaczyć?

Administracya miesza się.

— Dlaczegóż nie pilnujesz swoich sklepowych? — mówi Opinia. — Dlaczego przyjmujesz sklepowe nieodpowiedzialne, a dlaczego w sprawozdaniu nie wymieniasz, z jakiego powodu sklepowa Nr. 1 jest nieodpowiedzialną? Znam akcyonaryusza, który utrzymuje, że ta sklepowa była przystojną, widzę nawet, że niektórzy z twoich członków, o Administracyo! rumienią się, ale nie chcę w to wchodzić. W każdym razie widzę w tem naganne niedbalstwo i opieszałość. Stare przysłowie mówi, że pańskie oko konia tuczy. Trzeba było nie przyjmować takiej sklepowej; przyjąwszy, trzeba było

a Dywidenda chuda, możnaby pomyśleć, że zjadam to, co dla niej przeznaczone, ale niech mnie porwie stu felietonistów, jeżeli nie jestem równie chuda! A jednak wszyscy na mnie. Akcyonaryusze, co posiedzenie, ćwiczą się moim kosztem w wymowie; prasa pomaga akcyonaryuszom. Poszłam w przysłowie. I za cóż to? Jakież są moje winy? Jakież to na mnie wydatki? Wydaję na się 2.445 rubli z kopiejkami. To ledwo na życie starczy. Oszczędzam na materyałach piśmiennych, na lokalu, na świetle, na czem mogę. Trzymam jednego sędziwego konia i jednego furmana, ale nie sama ich używam, wożę niemi tylko towary. Płacę im, to jest koniowi i furmanowi 203 ruble na półrocze, skutkiem czego koń, mimo swego fenomenalnego apetytu, równie jest chudy jak Dywidenda; furman równie jest chudy jak koń i jak ja. Tak, królowo Opinio! Nie moja to wina. Chuda jest Dywidenda, chudam ja, chudy nasz koń, nasz furman, nasi akcyonaryusze, chuda nawet ty jesteś, królowo. Nie moja, nie moja to wina!

Opinia zamyśliła się głęboko.

— Co o tobie mówi prasa? — spytała po namyśle.

— Prasa? Robi sobie ze mnie konika, na którym jeździ przez cały rok. Gdyby to dała mi wskazówki co trzeba robić! Gdyby powiedziała: robisz tak a tak, jest to źle, rób tak a tak.

Gdzie tam! Pozytywnych wskazówek nigdy w niej nie znajduję, a jednak:

> Kto chce tańca uczyć kogo,
> Winien skrzypki nosić z sobą.

— A akcyonaryusze?

— O, akcyonaryusze, którym wiatr po kieszeni chodzi, nie żałują projektów; ale ty wiesz, królowo, co o projektach i o projektomanii trzymać. Gdybym chciała ich słuchać, straciłabym świadomość tego, gdzie mam głowę, a gdzie nogi. Przyjdź kiedy, królowo, i posłuchaj ich mówek. Kiedy który prosi o głos, kiedy mimo dzwonka prezesa nie da nikomu przyjść do słowa, kiedy zacznie dowodzić przeciwnikom, że jakkolwiek uwielbiał zawsze ich rozum, jednakże nie może oprzeć się zdziwieniu na widok całego ogromu ich głupoty; kiedy popuści wodze ironii, fantazyi i wymowie, sądziłabyś, że uszczęśliwi świat cały. Sądziłabyś, że dać mu tylko władzę w ręce, rzucić się w jego objęcia, a zbawi świat po raz drugi, zbierze miliony, napełni kieszenie akcyonaryuszów po sam wierzch, rozszerzy działalność Stowarzyszenia na cały kraj, a nawet po za jego granice. A w gruncie rzeczy, czy wiesz co to jest? — opozycya dla opozycyi, wymowa dla wymowy, sztuka dla sztuki. Taki to jest nasz parlamentaryzm, taki był przynajmniej z początku.

pomocy, dlatego kwestyi tej nie będziemy poruszali raz drugi. Obecnie zdarza się, że z rozbudzonego miłosierdzia publicznego korzystają rozmaite drapichrósty uliczne, wyzyskując je dla swoich celów osobistych. Przed podobnemi nadużyciami, dla których specyalnie już ogłoszono kilka paragrafów przewidujących, ostrzegamy naszych czytelników. Omylić się łatwo, bo zbierający składki wyglądają częstokroć dość porządnie, a nawet szanownie. Jak tu odmówić, gdy taki szanowny drapichróst filantrop wchodzi i, okazując dowody, które sam sobie zresztą zrobił, mówi:

— Na nieszczęśliwych zgłodniałych i spragnionych pogorzelców co łaska...

Czy łaska, czy nie łaska, dajesz co możesz, bo wstyd nie dać; czerwononosy filantrop bierze pieniądze, i istotnie pośpiesza natychmiast zalać ogień trawiący go wewnątrz w najbliższym po drodze szynczku.

Daje się więc na ludzi, których ogień spalił, a korzystają ci, których ogień pali, i to taki ogień, który im więcej się zalewa, tem gwałtowniej wybucha.

Obecnie ukręcono już, jak powiedziałem, na podobnych gorejących filantropów takie narzędzia: §§§. Niech się więc z niemi rozprawią.

Dziwne czasy: ze wszystkich stron czyhają na ludzkie kieszenie. Mniejsza jednak o nieprzy-

jaciela, który stoi zewnątrz nas; przed tym przy pewnej dozie przezorności i rozsądku można się bronić. Groźniejszy jest ten, który mieszka wewnątrz nas i który popycha nas na drogi łatwego zbogacenia się bez trudów i pracy, na drogi spekulacyi pieniężnych, gry, loteryi, i tym podobnie. Z tym nieprzyjacielem groźniejsza sprawa, bo rodzi się z własnej naszej skłonności do próżniactwa i z ogólnej dziś *febris aurea*, a przytem przystraja się jeszcze w zielone szaty nadziei... a nadzieja to... Nie! nie tak chciałem powiedzieć. Nadzieja matka głupich! w tem leży prawda bezwzględna, a mnie tym razem względnej potrzeba: powiem więc, że nie nadzieja, ale łudzenie się to jedna z ważniejszych i bardziej niebezpiecznych naszych chorób.

Drugą jest gorące pragnienie, żeby pieczone gołąbki same wpadły do gąbki; trzecią — skłonność do hazardu. Wyszliśmy na hazardzie tyle razy jak Zabłocki na mydle, że powinniśmy mu nie ufać; a jednak dzieje się inaczej. Nie uogólniając zbyt kwestyi, bo to zaprowadziłoby nas za daleko, postanawiam sobie wypowiedzieć kilka mniej więcej wzniosłych prawd szczegółowszych. I tak: jestem najmocniej przekonany, że gdyby projektowany w swoim czasie dom gry w Ciechocinku przyszedł był do skutku, obecnie połowa z moich wiejskich czytelników nosiłaby papierowe kołnierzyki; gdyby w Warszawie ist-

pilnować. Cóżeś robiła, żeś deficytu nie spostrzegła?

Administracya milczy.

— Co robiła? — mówi Dywidenda. — Wyjeżdżała na letnie mieszkanie.

— Zaczynam podawać łaskawe ucho skargom tego niebożątka, Dywidendy — mówi Opinia. — Ona istotnie nie może się utrzymać na nogach. A jednak, gdyby więcej pilności z twej strony, o Administracyo, gdyby więcej energii, Dywidenda nie byłaby wychudzona jak karykatura. Sklepiki tworzą sklepom stowarzyszonym silną konkurencyę, to prawda; sklepiki dają także kredyt biorącym, to prawda, ale tę konkurencyę mogłoby wytrzymać i zwyciężyć stowarzyszenie, gdyby Administracya umiała się brać do rzeczy, gdyby sama była więcej skłonna do czynu niż do parlamentaryzmu. W jakiż to bowiem sposób Administracya nabywa materyał do sklepów: oto bierze go od Żyda, ten Żyd znowu od Żyda, ten jeszcze od Żyda, a ten dopiero od pierwszego producenta. Gdyby Administracya brała wprost od producenta, bez pośrednictwa, nie opłacałaby tych pośrednictw; towar do sklepów przychodziłby lepszy i tańszy; w stowarzyszeniu więcej osób brałoby udział, powiększyłby się roczny obrót, powiększyłaby się działalność stowarzyszenia, a stąd i dywidenda roczna. Oszczędności również możnaby

jeszcze wiele zaprowadzić; ale ważniejszą rzeczą, niż oszczędność, jest energia, jest rozwinięta czynność Administracyi, pilnowanie dobre i staranne służby sklepowej: słowem, to wszystko, co jak widać ze sprawozdania, stanowi słabą i bardzo słabą stronę administracyi rzeczonego towarzystwa.

Bądź co bądź więc, anemiczna Dywidenda równie słusznie jak wyraźnie oskarża Administracyę. Za granicą podobne stowarzyszenia istnieją, działają pomyślnie i rozwijają się coraz bardziej. Proszę spojrzeć tam na Dywidendę! A czyż tak wielka różnica warunków, wśród których działają nasze i tamtejsze towarzystwa? Zapewne różnice są, ale nie odpowiadają one różnicy w owocach, jakie przynoszą podobne instytucye tu i tam. Więcej zrozumienia rzeczy, więcej biegłości i więcej energii — oto sekret powodzenia, oto klucz od skarbów, do których z pomocą naszego «jakoś to będzie» dostać się żadną miarą nie można.

Sprawozdanie to z czynności Stowarzyszenia spożywczego jest jedynym niemal wybitniejszym faktem, jaki zdarzył się w ostatnich czasach w życiu naszego miasta. Zresztą, nowin dosyć skąpo, a czas ogórkowy trwa w najlepsze. Ustał już ruch, jaki spowodowały pogorzele miast. Zastanawialiśmy się nad niemi w zeszłym odcinku, ubolewając nad brakiem pośpiechu w niesieniu

niała giełda nakształt wiedeńskiej, połowa z moich wiejskich czytelników, zamiast gospodarować na wsi, mieszkałaby «dla edukacyi dzieci» w Warszawie. Chorowalibyśmy na to tak, jak sąsiednia Galicya. Ta gorączka w mniejszym lub większym stopniu wrodzona jest wszystkim klasom naszego społeczeństwa. Czyby kto uwierzył, że zapalano się u nas — oczywiście mówię o niższych klasach — nawet do loteryi fantowych, do owych, jak dowcipnie *Kuryer Świąteczny* nazwał: wydeptalno-figęwygrywalnych zabaw. Zapalano się. Wydawali ludzie nie przez filantropię, ale przez chęć wygrania więcej na bilety niż mogli.

Obecnie już to się skończyło. Adju Fruziu! loteryi już żadnych wcale nie będzie. Oto, do czego prowadziłem.

Pozostaje i pozostanie jednak jeszcze przez dłuższy czas jedna loteryа — a przynajmniej coś arcy podobnego do loteryi: pożyczka premiowa. Kantory nasze sprzedają na nią promesy, na których podobno jest bardzo drobny wprawdzie, mikroskopijny nawet, ale jednak przez silnie powiększające szkła zdrowego rozsądku napis: «Obiecanka cacanka, a głupiemu radość». Napis ten jest podobno we wszystkich językach. Co do mnie, nie czytałem go, bo jak żyję, nie widziałem promesy, a bilety pożyczkowe tylko przez szybę.

Przed niedawnym czasem, bo przed kilka zaledwie dniami, kurs tych pożyczek doszedł do bajecznych rozmiarów. Kupowano je na gwałt u nas, bo nie marnym wymysłem jest u nas bajeczka, kończąca się słowy:

— «Dokądże tak biegniesz, moje biedne?»...
— «Ja nie wiem, lecz przede mną biegnie innych wiele».

Owóż kupowano więc na gwałt. Obecnie zaczęła się degręgalada, jak mówi jeden z moich przyjaciół, któremu dwudniowy pobyt w Paryżu popsuł język, do czego się sam przyznaje, i głowę, do czego się przyznać nie chce. Rozpoczął się kraszek, taki mały kraszek, który jak urośnie, będzie się wielkim krachem nazywał. Obecnie to miłe dzieciątko uśmiecha się i wyciąga rączki do wielu naszych kapitalistów — giełdowiczów i spekulantów, mających tyle kwalifikacyi na bankierów, ile listonosze na dyrektorów poczt.

Gdyby kózka nie skakała,
Toby nóżki nie złamała.

Bądźcie mądrzy, o współobywatele moi, i nie łapcie się przynajmniej na tego robaczka, z którego zbyt wyraźnie ostrze wędki wystaje.

Bądźcie roztropni!

Mój Boże! Żyjemy w wieku samych przeciwności, które spotykają się na każdym kroku

i... pokazują sobie zęby. Z jednej strony materyalizm, chęć złota, użycia, z drugiej natrafiam jeszcze na wiele wprost przeciwnych przymiotów. Spytacie: skąd mi się o nich mówić wzięło? Ach! gdybyście słyszeli tak, jak ja, ilu dyabłów i piorunów wzywają od kilku dni pobożni, śpieszący spacerowemi pociągami do Częstochowy, gdybyście słyszeli, jak klną, nie zwątpilibyście jeszcze o ich gorliwości i mnóstwie innych czysto idealnej natury przymiotów. Zamęt tam, tłok, gwar, nawoływania, prawdziwy sądny dzień, a sceny nieraz dzieją się tak zabawne, że warto ich posłuchać.

— Czego tak strasznie klniesz, obywatelu? — pytam pewnego dżentlemena, ubranego w płócienny, biały kitel, wykrzywione buty, i wydzielającego zdaleka silną woń spirytusu pomieszanego z zapachem wędlin.

— A czegóż się tłoczą? — odpowiada, ściskając różowy bilet do klasy czwartej w brudnych rękach. — Czego się tłoczą? czego się pchają?

— Przecież robisz to samo.

— To co innego. Człek jedzie zrzucić z karku g r z y c h y. Ale się te zbereźniki nawet pomodlić nie dają. A! żeby ich...

Tu następuje staranne i sumienne wyliczenie kolek, paraliżów i innych mniej więcej równie

niewinnych chorób, których mówiący życzy z całego serca tłoczącym się współobywatelom.

— Ależ nie bój się, obywatelu: nie zmieścisz się, to dodadzą wagon. Administracyi wagonów nie zbraknie.

— Ale człeku cierpliwości zbraknie. A żeby... itd., jak wyżej.

Chciałem jeszcze zwrócić uwagę mego dżentlemena, że nieprzyzwoicie jest kląć, kiedy ktoś jedzie modlić się, że to nie zgadza się z podróżą do tak świętego miejsca i z uczuciami, jakiemi każdy winien być przejęty, ale z jednej strony nos mego interlokatora, nabierając coraz piękniejszej fijoletowej barwy, ujawniał coraz większe oburzenie, z drugiej nacisnął nas i rozłączył tłum ludzi, kołyszący się jak fala.

Trudno opisać zamieszanie, jakie panowało w tym tłumie. Członkowie i członkinie rodzin traciły się z oczu i gubiły wzajemnie. Wołania: «Tato! mamo! Józiu! Panie Janie! panie Konstanty! droga żono, żebyś skamieniała! kochany mężu, żebyś skisł!»... itd., rozlegały się na wszystkie strony.

Zamęt i pośpiech gorączkowy nie pozwalał tym ludziom baczyć na nic, byle tylko jak najprędzej wpaść do wagonu. Wreszcie tłum wpadł na platformę; spojrzałem na zegarek: pociąg odchodził akurat za pół godziny. Służba kolejowa przyczepiała spokojnie wagony. Nie

było najmniejszej potrzeby śpieszyć się ani krzyczeć.

A jednak dziwna rzecz: każdemu z pątników wydaje się, że administracya specyalnie rozwija usiłowania w kierunku, aby wszystkich zabrać, a jego zostawić na miejscu. Każdy czuje się prześladowanym osobiście. Stąd też chaos. A jednak administracya powinna przedsięwziąć jakieś środki, by temu zapobiedz, zamieszanie bowiem takie łatwo może być powodem różnych nieszczęśliwych wypadków. Potrzeba zaś wbić tym ludziom w głowę przekonanie, że kto kupił bilet, ten zostać nie może, chyba że na sam dworzec wcale nie przyjdzie.

Obecnie te tłumy wracają już do Warszawy. Powoli ściągają tu i goście kąpielowi, przywożąc z sobą wrażenia i puste kieszenie. Miasto ożywia się powoli, zaludnia. Teatr daje już oznaki przebudzenia, urlopy kończą się. Niezadługo skończy się sezon ogórkowy i zakipi na nowo życie, — to życie pełne ruchu, wesołości i ważnych zdarzeń, — których Chwila o' ena będzie zawsze wiernem zwierciadłem.

Gazeta Polska, 1875, Nr. 180 z dnia 17 sierpnia.

XXXII.

Zimowy sezon. — Niepojęte wieści. — Dramaty o białych wierszach. — «Niewinni». — Artysta i krytycy. — Słówko o akcentach. — Jak należy być królową. — Municypalność. — Most. — Jego prawa i lewa strona. — Licytacya na konserwacyę kanałów i mostków. — Stare nowiny. — Pożar w Przasnyszu. — Sprawozdanie Dyrekcyi Głównej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. — Groźby przyszłości. — Subhastacye. — Kto z nich korzysta. — Towarzystwo jedwabnicze. — Przyszłe skarby. — Proboszcze. — Towarzystwo muzyczne. — Cisza i pustka. — Wielkie wspomnienia. — Mówcy. — Ludzie, którzy nie znoszą spoczynku. — Nowy liść w wieńcu. — Powodzenie felietonistów. — Dziwaczne gusty. — Najnowszy filolog. — Jego groźby. — Jego obawy.

Wykąpani, odświeżeni, odmłodzeni na ciele i duszy, wracają nasi artyści ze wszystkich zakątków kąpielowych na zimowy sezon do Warszawy. Chwile teatrów ogródkowych już policzone. Od Świętej Anki chłodne wieczory, chłodniejsze poranki — mówi przysłowie, a razem z nastaniem chłodów wieczornych, odlatują te wędrowne, bez dachu nad głową, dzieci Melpo-

meny, do miast prowincyonalnych, zostawiając warszawskiemu teatrowi wolne miejsce i rozmiłowaną w przedstawieniach publiczność, i nakoniec jednę szóstą całkowitej swej działalności, którą podczas lata teatr ten trawił zupełnie tak jak wąż boa trawi królika, to jest w stanie błogiej nieruchomości i ubezwładnienia.

Ale jakkolwiek trzymając się filozoficznej zasady, wygłoszonej przez Konfucyusza: «Lepiej leżeć niźli siedzieć — niźli leżeć lepiej spać», teatr nasz leżał, siedział i spał. Przecież te piękne dni skończyły się już stanowczo. Teraz zapowiadają w nim mnóstwo nowości, które, jak tylko właściwy reżyser powróci, niebawem będą przedstawione.

Alarmiści szerzą wprawdzie rozmaite niepokojące wieści na rachunek przyszłego sezonu, ale można im dać wiarę lub nie, tak jak buletynom z Hercegowiny. Mówią naprzykład, że ma być dane nie w samym teatrze, lecz *extra muros*, przedstawienie pod tytułem: «Wytrwałość uwieńczona», albo: «Nie trzeba nigdy tracić nadziei». Treścią tego dramatu będzie podobno walka hymenu ze sztuką o młodą i pełną talentu artystkę; katastrofą, a przynajmniej katastrofą dla teatru — zwycięstwo hymenu; całość zaś zakończy chór westchnień ze strony widzów. Niektórzy pocieszają się wprawdzie myślą, że dramat ten wisiał już oddawna nad teatrem, jak

kwestya wschodnia nad Europą — słaba to jednak pociecha. Kwestya wschodnia wlokła się, wlokła, aż i wybuchnęła wreszcie. Trzeba być na wszelki wypadek gotowym.

Inne wieści niemniej są niepokojące, ale za to mniej prawdopodobne. Oto prawią niektórzy, że w sezonie tym karmieni będziemy pewnymi dramatami o niesłychanie białych wierszach i astronomicznej osnowie, w których, w dość popularny sposób, wyłożone są poglądy na rozmaite systemy planetarne, zburzone przez Kopernika. Piękna zaiste perspektywa! Co do mnie jednak, krzepię się lepszą nadzieją, albowiem jako z powołania i obowiązków ocierający się o wielkie ołtarze sztuki, słyszałem, że ciężka ta artylerya nie tak zaraz wystąpi i, że przedewszystkiem ujrzymy na scenie «Niewinnych».

Zapewne słyszeliście czytelnicy moi o tym dramacie; wiecie zapewne także, że dobrze myślące sumienie sędziów krakowskiego konkursu cofnęło się przed przyznaniem nagrody sztuce tak niebezpiecznych tendencyi, że starano się obniżyć jej wartość, że wreszcie narobiła ona niemało hałasu i wywołała wiele świętobliwego oburzenia. Zwabiony rozgłosem, postarałem się ją przeczytać tak dla własnej ciekawości, jak i dla podzielenia się z wami wrażeniami; mogę więc kilka słów o niej powiedzieć. Treść jej bardzo prosta, tendencya bardzo sub-

telna. Jest sobie dwoje ludzi, mąż i żona, których wzajemne pożycie i szczęście, podkopane lekkiem przeniewierstwem męża, kruszy się jak uschła gałązka. Rozchodzą się — cierpią jedno zdala od drugiego. Ona nie chce przebaczyć — on odtrącony i oburzony surowością małżonki, posądza ją o brak serca i stara się zapomnieć — wreszcie godzi ich jednak miłość drzemiąca pod osłoną obojętności, wspomnienia dawnego szczęścia, i nakoniec dziecię. Oto i treść. Na pozór zdawaćby się mogło, że autor idzie tu śladem Dumasa syna, ale tak nie jest. Autor nie ma bynajmniej zamiaru pisać kodeksów małżeńskich, — dowodzić, że wiara małżeńska lepszą jest od wiarołomstwa, lub wreszcie rozstrzygać, kto komu powinien głowę ukręcić. Fakt przeniewierzenia się, przyjmuje autor jako spełniony. Przeniewierstwo służy mu tylko za powód, wywołujący katastrofę, który to jednak powód, względnie do samej tendencyi utworu, mógłby być w ostatnim razie zastąpiony przez każdy inny, byle psychologicznie równie silny. Tendencya sama leży w tej prawdzie, że ilekroć jakaś katastrofa połamie stosunki ludzkie, wówczas na pytanie: kto winien? — niema odpowiedzi. Niema przynajmniej wtedy, jeżeli z pojęciem winy łączymy pojęcie wolnej woli ludzkiej, czyli inaczej mówiąc, winne same stosunki ludzkie, winne charaktery ludzi, winne temperamenty, winne

okoliczności, słowem: winna konieczność, winien ów nieubłagany łańcuch przyczyn i skutków, których wola jest wynikiem, ale nie władzą.

Nie wdając się w rozbiór, o ile ta gorzka tendencya jest lub nie jest ponurą prawdą, należy wyznać, że autor przeprowadził ją w swym utworze z żelazną konsekwencyą. W całym rozwoju sztuki, w słowach i czynach bohaterów nie dostrzeżesz nic, coby zbaczało z wytkniętego gościńca. Zdaje się, że prawda życiowa, rozwijając się przed oczyma widzów, mówi tu sama za siebie: Burzę dotychczasowe pojęcia, ściskam serca, jestem grozą, ale niemniej jestem prawdą. Stąd potężne wrażenie, jakie to niepospolite dzieło sprawia na umysłach widzów. Wrażenie jednak jest posępne, prawie rozpaczliwe. Autor zmusza cię, żebyś spojrzał w otchłań, którą starannie omijałeś, by sobie nie zatruwać we dnie jawy, a w nocy snów. Spoglądasz i widzisz ciemności, w których nie oświeca cię nawet prawda, bo i ona jest ciemną. Myśli te przychodziły ci nieraz w życiu do głowy, ale odwracałeś się od nich, jak od gościńców, o których wiesz, że wiodą na manowce. Zresztą przychodziły ci w formie abstraktów — autor stawia ci je przed oczyma w formie konkretów, w wypadkach, bijących życiem, w faktach, w których czujesz gorączkowe uderzenia pulsów ludzkich i głosy ludzkiej niedoli. Tu już nie możesz się cofnąć — spo-

tykasz się więc oko w oko z niebezpieczeństwem i czujesz, jak drży ci przestrachem serce.

I oto cel autora, jako artysty, dopięty.

Jako artysta, autor chciał wywołać wrażenie; jako myśliciel, poruszył kwestyę. Znajdujesz w nim i jednego i drugiego — a myśliciela więcej jeszcze może niż artystę. Wydaje się tak zwłaszcza w czytaniu, gdy słowa, nie poparte giestem i intonacyą głosu, rażą częstokroć zbytniem wyrafinowaniem i subtelnością, a zawiłość psychologicznego zagadnienia przesłania akcyę. Ci jednak, którzy widzieli już ten utwór na scenie, mówią, że w przedstawieniu zawiłość ta ginie; mówią, że kwestya nie traci na wadze, a artyzm staje się wybitniejszym. Chwalą szczególniej, jako sceniczne, dwa pierwsze akty, które rzeczywiście są znakomite.

Otóż taki to utwór ma rozpocząć zbliżający się zimowy sezon teatralny. Potem przejdziemy do białych wierszy, różniących się tem od poezyi, że są podobne do prozy, od prozy zaś, że mają jednaką długość. Ale nie rozpaczajmy! jeżeli bowiem utwory takie podobne są ze względu na długość i ciężkość do dział Kruppa, różnią się jednak od nich dobroczynnie tem, że huk ich nie przeszkadza spać.

A teraz, nim z obowiązku przejdę do innych faktów, nim poczne opowiadać nowiny miejskie, nim złożę całotygodniowy ukłon municypalności

i jej sprawom, niech mi chwilę jeszcze wolno się będzie zatrzymać nad teatrem. Chodzi po mieście wieść, że jedna z prymadon naszej nieszczęśliwej opery ma wezwać przez gazetę krytyków, którzy jej zarzucali brak dystynkcyi w roli królowej Nawary, żeby jej pokazali, jak trzeba grać tę rolę. Krytyk w roli królowej Nawary na scenie, byłoby to zaiste arcy nowe widowisko! Słyszałem ja raz wprawdzie pewnego staruszka emeryta, człeczynę otylego i z nosem czerwonym, jak chorągiew Komuny, który po przedstawieniu «Zbudziło się w niej serce», kiedy zachwycano się powszechnie grą panny Popiel, rzekł: — Ja gdybym grał tę rolę, tobym inaczej zagrał niż Popielówna. — Wierzę, — odpowiedziałem — ale co do mnie, nie radzę panu próbować debiutu! — i co prawda, nie chciałbym wtedy być w teatrze. Co innego jednak ochota staruszka, a co innego rola krytyków. Krytycy nie są od tego, żeby występowali na scenie; na wszelki wypadek mogą dać artystce pewne instrukcye, pewne maleńkie wskazówki, które, jeżeli nawet ze względu na przysłowie o owsie i ryżu, nie zmienią artystki w królowę, mogą jednak być jej arcy pożyteczne. Oto te wskazówki: Popierwsze, kiedy się gra królowę, bierze się mankietki czyste, mankietki dlatego, żeby z pod sukni nie wyglądał między rękawiczką a rękawem kawałek golej ręki, a czyste dla

tego, że królowe, jako osoby zamożne, mogą choćby codzień zmieniać białe drobiażdżki; powtóre, grając królowę, nie należy nigdy siadać w pozycyi, w jakiej się nawdziewa kalosze, stawać tak, jak się staje do nakręcenia wysoko wiszącego zegara, a chodzić tak, jak się chodzi oglądając pajęczynę po kątach.

A teraz porzucam teatr i wszystko, co ma z nim związek, i przechodzę do spraw bieżących, do municypalności, do projektów, mających uszczęśliwić w niedalekiej przyszłości nasze miasto, *et caetera, et caetera.* Słyszeliście, czytelnicy, że naprawiają most żelazny. Ponieważ na prawej stronie zdarł się bruk żelazny, więc go wyjmują i przekładają na lewą, jak się na lewej zedrze, przełożą go znów na prawą, a potem znów na lewą i tak do nieskończoności, a raczej aż do całkowitej skończoności bruku, na którym, ponieważ wkrótce rzadkim wypadkiem będzie, żeby jaki koń nogi nie złamał, lub karku nie skręcił, municypalność śmiało będzie mogła twierdzić, że wszystko jest dobrze, albowiem wypadki zdarzają się rzadko.

Przyzwyczajeni jesteśmy, że tak, jak młode siostry dodzierają suknie po starszych, tak w naszem mieście poboczne ulice dostają częstokroć flizy kamienne po główniejszych. No! to przynajmniej zasada sprawiedliwa. Naprzewracali się na tych flizach mieszkańcy tamtych ulic,

mówi municypalność, spróbujcie teraz i wy. Tak! to przynajmniej, to sprawiedliwie, ale z mostem inna historya. Dwie strony mostu, dodane do siebie, stanowią jeden most, żadna z nich nie jest ani gorsza, ani lepsza, żadna nie jest nawet ani prawa, ani lewa, bo i to zależy od tego, z której strony nań patrzymy; nie rozumiemy więc, dlaczego bruk, który jest zły dla jednej strony, miałby być dobry dla drugiej. Ale my wogóle nie rozumiemy wielu rzeczy. Zapominamy oto, że municypalność jest opatrznością miasta, a wyroki opatrzności są niezbadane.

Ogłosił w tych dniach, t. j. nie to, żeby ściśle w tych dniach, ale może przed tygodniem — ogłosił, mówię, Magistrat licytacyę na konserwacyę kanałów i mostków miejskich. Niepotrzebny zachód! Wszakże i bez wszelkich licytacyi konserwują się u nas nietylko kanały, ale i to wszystko, co jest w kanałach. Tak jest, konserwuje się i marynuje wszystko, jak samo chce. Konserwują się kanały, mostki, bruki, latarnie, a ten konserwatyzm stanowi przedewszystkiem charakterystyczną cechę Warszawy, różniącą ją od innych miast, których mieszkańcy i magistraty zbyt radykalnie sądzą, że wszędzie powinno być zarówno widno i czysto.

Ale dajmy temu pokój, stara to historya. To tylko pytanie: skąd wziąć nowych? Spalił się Przasnysz — to rzecz nowa chyba dla Prza-

snysza, dla nas również stara, jak inne. Wypisałem już tyle piór i atramentu, mówiąc o potrzebie straży ogniowych, że nie chcę poruszać tej kwestyi. Głową tego muru nie przebiję — przechodzę więc do spraw innych. Oto Dyrekcya Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego ogłosiła niedawno roczne sprawozdanie, z którego dowiadujemy się, że w ciągu pół roku, ni mniej ni więcej, tylko 1.465 majątków ziemskich było wystawionych na sprzedaż przez publiczną licytacyę. Prawda, że i to nie nowe. Trafia się to codzień. Dyrekcya myśli podobno o urządzeniu gospodarstw wzorowych i stacyi doświadczalnych w każdym powiecie. Myśl dobra i mogąca przynieść w przyszłości owoce, ale dla wielu za późno. Na razie pomogłyby chyba jakieś ulgi, jakieś umorzenia rat zaległych, ale niestety to niezawodnie rzecz równie nieprawdopodobna, jak gorąco przez wielu pożądana.

Nie myślimy jednak ganić projektu zakładania stacyi doświadczalnych. Mogą one znakomity z czasem przynieść pożytek, zwłaszcza jeżeli zdołają połączyć z praktyką i teoryę, t. j. jeżeli, jak projektuje p. U. w liście nadesłanym do naszej redakcyi, zmienią się w prywatne szkoły rolnicze. Wówczas to każda taka stacya podniesie niezawodnie poziom gospodarstw w całym powiecie, a wyraz «subhastacya» przestanie być chmurą wiszącą nad ogromną większością po-

siadłości. Towarzystwo posiada znakomite fundusze, które, lokowane w stacyach, mogą przynieść odpowiedni procent.

Po tych smutnych refleksyach czuję się w obowiązku donieść czytelnikom coś weselszego. Pomówimy parę słów o jedwabnictwie, które coraz piękniejsze dla przyszłych bogactw kraju rokuje nadzieje. Towarzystwo jedwabnicze daje widoczne ślady życia i działalności. Spółka postanowiła kupować kokony: tu i owdzie zakładają już przędzalnie, tu i owdzie sadzą morwy. W ostatnich czasach, kokony przychodzą coraz w większych partyach do sklepu p. Rodkiewicza, który podjął się pośrednictwa między spółką a hodowcami. Zdaje się, że powoli poczynają się ludzie do tego przemysłu przekonywać. Co do mnie, poruszałem już tę kwestyę. Twierdziłem i twierdzę, że jedwabnictwo miliony z czasem krajowi przynieść może; odwoływałem się na historyczne przykłady, poczerpnięte z dziejów tego przemysłu we Francyi, gdzie w początkach patrzano na rzecz całą z nieufnością, opierano się wprowadzaniu morw i jedwabników z całą siłą głupoty, jaką każdy bezwzględny konserwatyzm cechuje, a jednak dziś jedwabnictwo dla tej samej Francyi jest jednem z najgłówniejszych źródeł dochodu.

Towarzystwo ma nadzieję, że i u nas z czasem będzie to samo. Ożywieni tą myślą człon-

kowie Towarzystwa nie żałują ani pracy, ani czasu, ani nawet pieniędzy na propagandę. Zakupują, jak już wspomnieliśmy, kokony, jeżdżą z prelekcyami, urządzają przędzalnie, słowem: robią wszystko co mogą i, jeżeli tylko starania ich znowu nie trafią na mur, którego żadna głowa ludzka nie przebije, to kto wie, czy za lat kilka lub kilkanaście własnemi oczyma nie będziemy oglądali owoców ich działalności.

Najpotężniej mogliby u nas poprzeć działania Towarzystwa proboszcze wiejscy, którzy wogóle niewiele mają do roboty. Sobie otworzyliby źródło znacznych dochodów, a krajowi w przyszłości wielką korzyść.

Tyle o Towarzystwie jedwabniczem, dla którego od czasów nowego zarządu jedwab niczem być przestał.

A teraz z pomocą *salto mortale*, dozwolonego tylko felietonistom, przeskakuję raczej, niż przechodzę, do innego towarzystwa, nie mającego z poprzedniem innego związku, tylko ten, że oba są towarzystwami. Chcę mówić o Towarzystwie Muzycznem. Mój Boże! ileż materyału dostarczała mi w swoim czasie ta meliczna instytucya razem ze swemi partyami, Narwickiemi, Kleonami, rewolucyjkami antikomitetowemi, ze swemi agitacyami wyborczemi, wyborcami rodzaju męskiego, żeńskiego i nijakiego! Teraz tam cisza. Pająk przędzie sobie po kątach szare płócienko.

Członkowie po wsiach lub kąpielach; komitet herboryzuje, a mówcy — przepraszam, a nasi znakomici mówcy i agitatorowie — czyż także w upojeniu i ciszy wiejskiej zachwycają się kwaśnem mlekiem, razowym chlebem, czerwononogiemi pasterkami, muchami lub grzybobraniem? Czyż spoczywają na laurach, czy może wyzyskują w sposób liryczny sławę, jaką w oczach płci pięknej zyskały im mowy i piątkowe deklamacye, w których jako nowatorowie zawsze i wszędzie, jako geniusze, torujące nowe drogi przyciszali głos tam, gdzie należało go podnieść, a podnosili, gdzie należało zniżyć! Czyżby zawiesili na muzykalnem uchu jakich skrzypiec lub basetli swą niestrudzoną działalność? Nie, stokroć nie! Te dzielne natury nie mają pokoju — te zarówno ambitne, jak wielkie, dusze, nie mogąc dążyć do sławy przez muzykalne piątki, dążą innemi drogami. Oto wyjeżdżają do Ciechocinka i pisują echa kąpielowe. Ach! są to nowe listki do laurowego wieńca, jakim ludzkość niezawodnie ozdobi ich głowy, skoro tylko nie będzie miała nic pilniejszego do roboty. Do sławy mówców dodają sławę felietonistów, świeżo wypieczonych wprawdzie, a stąd trochę niestrawnych. Wierzajcie mi jednak, że i ich felietony, chociaż również świeżo wypieczone i również niestrawne, chętnie są jednak spożywane przez młode panienki, żywiące cichą skłonność

do autorów, jeszcze od czasów, gdy ci byli tylko mówcami. Co chcecie, młode panienki mają tak dziwne gusty: jedzą kurz, kredę, węgiel i ołówki! Kto pisał to tak dowcipne echo kąpielowe? — pyta melancholicznym głosem młoda panienka, rzucając długie spojrzenie na domniemanego autora. — Ja — odpowiada z cicha autor, starając się przybrać minę, jakby nic wielkiego nie zrobił. — Ty!... Pan...

Niech czuły słuchacz w swej duszy dośpiewa.

Gazeta Polska, 1875, Nr. 187 z dnia 25 sierpnia.

XXXIII.

Nowy wynalazek. — Nowa maszyna. — Kto będzie korbą kręcił? — Pociągi mężowskie. — Nowy obyczaj lokowania pasażerów. — Moje wspomnienia. — Welocypedy. — Królowa welocypedu. — Przedsiębierczy impresario. — Ostatnia loterya fantowa. — Jej program. — Komitet loteryjny. — *Pro* i *contra*. — Instytucye dobroczynne. — Żebractwo. — Przyczyny żebractwa. — Groszowe miłosierdzie. — Groszowość wogóle. — Posiedzenie członków Stowarzyszenia spożywczego «Merkury». — Merkury starożytny i nowożytny. — Klęski. — Pożary. — Miłosierdzie usypia. — Przyzwyczajamy się. — Precz z apatyą!

Mówią po Warszawie, a nawet już piszą i drukują, że pewien urzędnik kolei żelaznej wynalazł nową maszynę, która ma zastępować dzisiejsze parowozy, a której ruch nadaje korba. Piękny wynalazek, ani słowa; ale ciekawy tylko jestem, kto będzie tą korbą kręcił, zwłaszcza podczas lata, gdy spacerowe pociągi, wiozące kochających mężów do utęsknionych w Ciechocinku i na letnich mieszkaniach żon, mają średnio po wiorście drogi długości?

Zadanie to komplikuje się i wikła tembardziej, że obecnie, pominąwszy już długość mężowskich pociągów, panuje na kolei zwyczaj pomieszczania w każdym wagonie dwa razy większej liczby osób, niż ta, jaka się umieści zwyczajnie. Ale widocznie zarząd jest zdania, że mężowie już i tak powinni się czuć uszczęśliwieni, że mają jakikolwiek pociąg do żon; jaki zaś on jest, i w jaki sposób się nim jedzie, mniejsza już o to, byle naprzód. Z drugiej strony, tenże sam Zarząd słusznie sądzić może, że nie mówiąc już o podwyższonej transpiracyi i restauracyjnych obiadach, sama tęsknota do połowic tak dalece już może i powinna panów małżonków wychudzać, że bezpiecznie można ich pakować dwóch w miejsce, które dawniej jeden całkowicie wypełnić był zdolny. Który zaś z panów mężów nie schudł ani odrobiny, ten dowiódł tem samem obojętności, tem samem niewierności, tem samem bałamuctwa podczas słomianego wdowieństwa — i nie wart, żeby się nim zarząd zajmował.

Oto są powody, z pomocą których tłómaczy się jasno panujący obecnie, a sprzeczny z ogólnymi kolejowymi przepisami, zwyczaj układania pasażerów warstwami. Nie wierzącym w istnienie tego zwyczaju polecamy podróż pierwszym lepszym pociągiem, choćby nie dalej niż do Pruszkowa. Nie wierzyłem ja w niego sam, do-

pókim nie przejechał się od jednej ze stacyi do Warszawy na poręczy między dwoma siedzeniami, w postawie człowieka, jadącego konno, mając po obu stronach dwie damy i polując mniej więcej szczęśliwie na równowagę podczas całej drogi.

Nauczyłem się wówczas prawdziwie cenić i uwielbiać porucznika Zubowicza, który jak wiadomo, konno przebył drogę z Wiednia do Paryża. Losy nasze były dziwnie podobne. Jemu ofiarowano ucztę, do której zasiąść nie chciał i nie mógł — między nim zaś a mną ta tylko była różnica, że po powrocie nikt nie zastawił mi uczty — zresztą wszystko było jednakowo.

Wracając do owego wynalazku, ma on tę przynajmniej praktyczną doniosłość, że każdy będzie mógł mieć własny wózek, i nikt nikomu nie będzie siedział na karku, a ponieważ lubimy się kręcić, więc i kręcenie nawet przydłuższe korbą nikogo nie zdoła odstraszyć. Obawiamy się nawet, że liczba krętaczów wzrośnie wówczas do niesłychanej wysokości.

Mamy dziś wprawdzie welocypedy, ale welocypedy, jako środki komunikacyi, nie okazały się praktycznymi. Jak wiadomo, welocypedowa podróż, przedsięwzięta śladem i szlakiem Zubowicza, nie udała się. Tak przynajmniej doniosły telegramy. Dziś welocyped służy tylko jako środek do popisywania się pięknymi kształ-

tami i siłą nóg. Kto nie wierzy, niech idzie do Alhambry do Trapszy.

Popisuje się tam obecnie królowa welocypedu. Jest to sobie tłusta, a nawet kolosalnie tłusta Niemka, o nogach tak wielkich, że słusznie można do niej zastosować to, co pewien korespondent o wszystkich jej rodaczkach powiedział, iż żyją na tak wielką stopę, jak nikt w Europie. Ta, o której mówię, zaiste żyje na olbrzymią stopę, i chyba z powodu swojej stopy jest królową, bo zresztą nikt nic wie, czy gdzie, kiedy i na jaki tron wstąpiła. Ale ponieważ tak ją nazwał pan Trapszo, trudno się więc z nim spierać; niech sobie będzie królową, zwłaszcza w jego trupie, która widocznie wyczerpała już swe artystyczne zasoby, skoro się pod takie berło pójść zgodziła.

Niektórzy widzieli w tym nowym nabytku pana dyrektora brak uszanowania dla swego zawodu, dla swoich zresztą wcale dobrych artystów i nakoniec dla sztuki samej. Ale widocznie przedsiębierczy impresario trzyma się zasady: *quaerenda pecunia primum est.* Tym celem nie powinien odrzucać życzliwie udzielonej mu rady, by sprowadził jeszcze jaką maleńką menażeryjkę. Wrzask papug, ryk niedźwiedzi i wycie wilków, głuszyłyby może przedstawienia sceniczne, ale przedstawienia byłyby wówczas tylko dodatkiem do rzeczy głównej; karmienie zwierząt

i śmiałe wizyty w klatkach, to rzeczy pełne efektu. Napędziłyby one niejedną złotówkę do kieszeni przedsiębiercy, a jak się zdaje, o to głównie mu chodzi. Niech się bawią ludzie, jak chcą, byle płacili! Oto jedyna zasada, na której się zawieść nie można.

A propos publicznych zabaw, będziemy mieli niezadługo loteryę fantową. Będzie to, jak mówią, już ostatnia, poczem niedola Saskiego ogrodu skończy się raz na zawsze. Posiedzenia komitetu odbywają się już od dni kilku i jeszcze parę dni potrwają. Są to sobie małe sesyjki, na których zajmują się rozkładaniem rozmaitych obowiązków na członków komitetu i obmyśleniem ogólnego planu zabawy. Co do tego ostatniego zadania, zaprawdę niema się nad czem namyślać i głowy sobie łamać. Plan zabawy! — nic nad to prostszego. Ustawia się kilkanaście namiotów i sklepów, sprowadza się z pomocą afiszów wielki tłum ludzi, pozwala mu się napawać *à discrétion* wonią starego łoju płonącego w iluminacyjnych lampach, deptać również *à discrétion* trawniki, kupować mnóstwo zwiniętych kartek, rozwijać je z ciekawością i przedłużać miny na dwa łokcie, na widok, że są puste. Do namiotów zaprasza się przytem piękne damy, ozdabia się kolorowemi wstążeczkami butonierki kilkunastu młodziutkich galopantów, którzy podczas trwania uroczystości sądzą, że równowaga

europejska spoczywa na ich barkach, a wieńce miłosierdzia i obywatelskiej zasługi nad ich głowami — ot i wszystko! Cały plan tej ślicznej zabawy gotów. Po co sobie głowę łamać? — dość wypełnić powyższy program.

Spyta ktoś: dlaczego tak nieprzyjaźnie odzywam się o loteryach, kiedy celem ich jest dobroczynność? Wyznaję, że zabawy te nie cieszą się ani moją, a jak obecnie — niczyją sympatyą. Przedewszystkiem loterya nie jest zabawą, bo się wszyscy na niej najkapitalniej w świecie nudzą. Powtóre, loterya jest klęską dla własności publicznej, za jaką godzi się uważać ogród Saski; nakoniec loterya, choćbym przypuścił, że jest zabawą — jest zabawą niemoralną, budzi bowiem, w niższych zwłaszcza warstwach naszej ludności, a przedewszystkiem w dzieciach, chęć do gry wogóle, chęć do hazardu, do pieczonych gołąbków, do nabywania bez pracy i tym podobnie. Kto wie, jak bujną rolą dla każdego ziarna są serca prostacze i dziecinne, ten bez wahania zgodzi się na moje zdanie.

Z drugiej strony, loterye owe nie są już dziś tem, czem były niegdyś. Dziś znudziły się wszystkim. Matki prowadzą wprawdzie na nie jeszcze swe córki, ale to tylko dlatego, żeby nie mieć sobie nic do wyrzucenia. A nuż Fibcia lub Bibcia wpadnie komu w oko! — Jest to logika, dowodząca albo pedantycznego zamiłowania w myś-

liwstwie, albo prawdy przysłowia, że tonący brzytwy się chwyta. Chodzą dalej na one igrzyska i młodzieńcy, bo pomiędzy nimi w Warszawie są przynajmniej trzy części takich, którzy nie wiedzą, co po czarnej kawie robić ze swoją osobą, ze swemi binoklami, ze swymi papierosami i ze swemi minami z głupia frant. Chodzą wreszcie dzieci, rzemieślnicy, klasy służebne, dla tego, żeby coś wygrać. Wogóle jednak liczba amatorów tych tratujących rozkoszy, zmniejsza się coraz bardziej, i loterye, ani pół tego nie przynoszą dochodu, co dawniej. Dodajmy, że deszcz, który raz na zawsze wziął dni loteryi w arendę, narobi o zakład trzy razy więcej szkody w ubraniach, niż wynosi cały dochód z rozprzedaży biletów; dodajmy jeszcze, że dochód ten, rozdzielony na części wedle wyznań, wcale nie jest dla Towarzystw Dobroczynności pojedyńczo wziętych znakomitą i niezbędną pomocą, a zgodzimy się, że w tem wszystkiem skórka za wyprawkę nie starczy, i że jak na tak wiele przygotowań, zwykle za mało bywa dyalogu.

Swoją drogą, skoro jeszcze jedna loterya jest już rzeczą postanowioną, niechże więc komitet czyni wszystko, co do niego należy, niech się namyśla, niech sobie głowę łamie, niech składa sesye, posiedzenia, wnioski — owszem: może to robić tem gorliwiej, że robi po raz ostatni.

Jakkolwiek miasto nasze nazwałem niegdyś, ku wielkiemu zgorszeniu lirycznie usposobionych jego mieszkańców, więcej nerwowem niż dobroczynnem, jednakże muszę wyznać, że, nie wchodząc w to, dlaczego — dużo się u nas robi dla ubóstwa. Mamy Towarzystwo Dobroczynności, mamy różne dobroczynne bractwa, mamy pożyteczne ze wszech miar Biuro wyjątkowej nędzy, które niewiele o sobie mówi, ale wiele robi; mamy kwaśno-słodkie Przytulisko, które dla równowagi może więcej mówi niż robi; mamy przytułki, schronienia etc. etc., a jednak dziwna i smutna rzecz: żebractwo mnoży się u nas i powiększa z dnia na dzień. Są miasta, które mają więcej proletaryatu, ale mało jest takich, któreby miały więcej różnej płci i wieku żebraków. Włóczą się po domach, dzwonią do mieszkań, nie dają ci pokoju na ulicy, w kościele, w restauracyi, na przechadzkach, słowem: chwytają cię za poły wszędzie.

Nie masz ani chwili spokojności, ani jednej chwili, w którejbyś, wyszedłszy na miasto, nie był zaklinany, przeklinany i błagany to przez jaką nieszczęśliwą wdowę, która od pięciu lat nie ma za co pochować męża; to przez kogoś wypuszczonego ze szpitala, który przez dwa miesiące nie miał nic w ustach; to przez rozmaite tym podobne indywidua, nieraz zdrowe,

silne i młode, żebrzące z próżniactwa i posuwające bezczelność do najwyższego stopnia.

Przed niedawnym np. czasem chodził po mieszkaniach młodzieniec lat dwudziestu kilku, zbudowany jak dąb, zdrów jak ryba, przystojny i wcale nieźle ubrany, który wiecznie wyjeżdżał za granicę dla kształcenia się w zawodzie artystycznem; a że również wiecznie brakło mu do wyjazdu tylko dwóch złotych, więc żebrał. Indywiduum to odznaczało się nawet pewnym dowcipem, a nawet humorem. Kiedy raz oburknął się ktoś nań, że człek taki młody i zdrowy nie powinien żebrać, odpowiedział:

— O panie, ja nie należę do żebraków.

— A do kogo, jeśli łaska?

— Ja należę do... do... aha! do wstydzących się żebrać.

A że, jak wiadomo, kategorya ta zasługuje na szczególniejszą litość, dostał więc hojny datek. Gdy mu ktoś przeczył, że należy do wstydzących się żebrać, odpowiadał: — Skąd państwu wiadomo, że ja się nie wstydzę? Owszem ja się wstydzę, ale to moja rzecz, to jedno drugiemu nie przeszkadza.

Podobnych sztuczek trafia się codziennie zbyt wiele, żeby się o nich rozpisywać. Jest to jednak smutne i bardzo smutne. A jakież to przyczyny? Z góry zapowiadam, że nie myślę ich wyczerpywać, nie myślę rozważać ze stanowiska ani humanitarnego, ani ekonomicznego, ani żad-

nego innego. Zostawiam to równie lapidarnym, jak głębokim artykułom wstępnym. Nie do mnie należy wymyślać maści na choroby społeczne. Czasem tylko, ale to gwoli skłonnościom osobistym, przystawiam wizykatorye. A zresztą, zwracam tylko uwagę i poprzestaję na tem. Biję w bęben na alarm i wnet zaczynam na inną nutę. Jest to mój przywilej, którego wyrzekać się nie myślę, i wreszcie wyrzec nie mogę.

Obok więc wielu przyczyn żebractwa, ekonomicznych i społecznych, obok braku oświaty, a zamiłowania w próżniactwie, obok braku opieki nad małoletnimi, pozbawionymi rodziców i opiekunów, sądzę, że jest jeszcze jedna ważna przyczyna, powodująca wzrost żebractwa, a jest nią groszowe miłosierdzie.

Czujemy węża w kieszeni, kiedy bez zabaw, tańców, prelekcyi, bez koncertów i tym podobnych miłosierno-artystycznych zabaw, przychodzi dać odrazu rubla lub dwa na jakąś instytucyę dobroczynną. Ale w groszowy sposób dziadom, babom i wogóle wszelakiemu żebractwu na ulicy, nie żałujemy dać miesięcznie dwa i trzy razy tyle. Daje się, żeby uniknąć natręctwa, nudzenia, albo zresztą i z popędu serca, które nie rozumuje i dlatego błądzi; takie bowiem groszowe miłosierdzie podsyca żebractwo, zachęca je i ośmiela, a przez to czyni daremnymi wszelkie dla ukrócenia go przedsiębrane środki.

Nie wchodzimy, czy ubóstwo jest prawdziwe, czy kalectwo nie zmyślone; nie zastanawiamy się, że dajemy może pijakom, kosterom, oszustom, widrwigroszom i t. p. Kopiejka nie wielka rzecz, więc ją dajemy. Trzeba się będzie od tego odzwyczaić. Trzeba się koniecznie odzwyczaić dla dobra ogółu, któremu się przez to szkodzi. Wogóle wszelka groszowość tam, gdzie o ogół chodzi, do niczego nie służy.

A jednak groszowość w najobszerniejszem znaczeniu, to jedna z kapitalnych, a dotychczas cierniem satyry niekłótych jeszcze wad naszych. Ma to swoje nader ujemne pod względem moralnym znaczenie. Iluż to mamy groszowych miłośników dobra publicznego, groszowych sentymentów dla wielkich idei, groszowych poświęceń, groszowej filantropii, groszowej energii, groszowych działań wobec wielkich zadań!

A iluż to między nami po groszu trwoni skarb życia na rzeczy małe, liche i marne, i bankrutuje w końcu na rozumie, uczuciu i woli, wydając wszystko po groszu!

Ot! mógłbym tu powiedzieć razem z poetą: «Żeby też jedna pierś»...

Niepodobna ukrywać. Owo zdrobnienie intelektualne i moralne daje się widzieć w wielu i w bardzo wielu objawach. Kto się umie patrzeć, ten dostrzeże je łatwo... Hej! hej! co się to znaczy?!

Ale otóż poczynam moralizować, zamiast was bawić, czytelnicy. Wy wolicie fakty, niż morały. Od loteryi i posiedzeń komitetowych zapędziłem się tak daleko... Wracam więc do nich, wracam ku większemu waszemu zadowoleniu. O czemże tu wam prawić?

Aha! Już mam. Dziś właśnie odbywa się posiedzenie członków Stowarzyszenia Spożywczego «Merkury». Żałuję, że dopiero dziś, bo nie mogę wskutek tego donieść wam bliższych szczegółów. Radzą tam członkowie, co zrobić na przyszłość z dywidendą. Zaiste, ta suchotnica zasługuje, a raczej potrzebuje na gwałt ratunku. Jest się nad czem namyślać. Daleko to trudniejsze, niż urządzenie fantowej loteryi w Saskim ogrodzie. Znana wymowa i głęboka erudycya członków znajdzie tu najobszerniejsze do zastosowania pole. Mój Boże, jakże się ta pogańska starożytność myliła! Ogłoszono Merkurego na równi z innymi bogami nieśmiertelnym, a temu biedakowi przyszło na to w naszej Warszawie, że podobno już wącha piżmo. Radźcie więc, panowie członkowie, radźcie! *Damus vobis potestatem sanandi, purgandi* etc. etc. Tylko jeżeli chory umrze, nie mówcie: «Myśmy tylko dopomagali naturze», jak mówił ów doktor w «Pickwicku» Dickensa, kiedy dziecko, któremu puścił krew, umarło.

Pamiętajcie, że śmierć chorego byłaby i dla was klęską.

Brzydkie i straszne to słowo ta klęska, a jednak jakże często spotykamy się z niem w ostatnich czasach! Palą się nasze miasta jak stosy wiorów. Co tydzień niemal słychać o nowej klęsce, o nowym pożarze. O Pułtusku prawie już zapomniano. Nowe pożogi zatarły pamięć dawniejszych. Ledwo jako tako zasypano jedną przepaść nędzy i rozpaczy, a już przed naszemi oczyma otwierają się nowe. Co gorsza, to miłosierdzie i ofiarność publiczna poczynają usypiać. Poczynamy przyzwyczajać się do tych wypadków, tak, jak oblężeńcy forteczni do pękających pocisków. Pożary nie robią już wrażenia. Po felietonach mniej więcej dokładnych i malowniczych, jakie ja i koledzy moi po piórze umieściliśmy o klęsce pułtuskiej, ofiary posypały się hojnie i szybko; setki rubli gromadziły się, codzień prawie dawano widowiska, i publiczność zapełniała je bez względu na porę dnia i pogodę. Widocznie nerwy świeżo były wstrząśnięte. Dziś wrażenie minęło. Spalił się Przasnysz, w którym klęska niewiele była mniejsza, spalił się Kleczew, dawniej jeszcze Końsko-Wola i Opole — dziś znów krąży pogłoska o spaleniu się Makowa, a składki nie płyną już z taką energią jak dawniej. Płyną jeszcze, ale są to niby krople po ulewnym deszczu: kapią tylko. Dziś nawet już zabawy na dochód pogorzelców nie ściągają dostatecznej liczby ciekawych. Ot nie dalej szu-

kając, odbył się w niedzielę koncert pod dyrekcyą p. Lanckorońskiego w ujeżdżalni przy ulicy Królewskiej. Dzień był dobrze wybrany, pogoda sprzyjała jako tako, a jednak grano czterem pustym ścianom i pustym ławkom — a dochód nie pokrył nawet kosztów przedstawienia. Widocznie na pożary poczynamy patrzeć apatycznie. Nie należy poddawać się temu uczuciu, czytelnicy! Im bardziej przygniata nas ciężar klęsk, tem niech silniej natęża się nasze ramię, by go z piersi zrzucić. Nauczmy się patrzeć oko w oko niebezpieczeństwu i nie ustawać w walce z przeciwnym losem. Owszem, niech w nas to budzi coraz większą energię, niech wywołuje coraz gorętszą walkę. Społeczeństwo prawdziwie żywotne nie poddaje się z obojętnością mahometanina klęsce, ale przeciwnie: wówczas rozwija największe siły oporne. Do ostatniego tchu! — oto co powinno być naszem zdaniem i hasłem w walce z pożarami.

Zima się zbliża, i ostatni pogorzelcy bardziej jeszcze cierpią, bez dachu nad głową, niż Pułtuszczanie. Cierpią od chłodu i głodu!

W imię więc społecznych obowiązków i miłosierdzia rzucajcie na tacę wasz grosz wdowi!

Gazeta Polska, 1875, Nr. 192.

XXXIV.

Ostatnie zebranie członków Stowarzyszenia Spożywczego «Merkury». — Dlaczego zebranie nie odbyło się? — Złośliwości i potwarze.—Przezorność i mądrość członków.— Trudności uruchomienia. — Niebezpieczeństwo pod sufitem. — Pożądane *consilium facultatis*. — Instytucye ekonomiczne. — Nasi filistrzy. — Historya pana Cymbałkiewicza.—Jak ostał się znakomitym.—Nekrolog.—Opinie.—Teatry ogródkowe.—Zawiedzione nadzieje.—Prasa i przedsiębiercy teatralni.—«Czarne widmo nędzy».—Wilkońska i jej ostatnie chwile. — Puste strzały. — Sezon polowania. — Myśliwcy miejscy. — Deputacye zajęcze. — Grubsza zwierzyna. — Uprzejmość Warszawiaków. — W jaki sposób powraca się z polowania ze zwierzyną.

Przyszło kilka osób, pokręciło się po pustej sali; jedni drugim uścisnęli ręce; zauważono, że czas, jak na początek września, jest dosyć znośny; wynurzono sobie wzajem nadzieję, że pogoda, jeżeli deszcz jej nie przerwie, potrwa zapewne dni kilka; potem spojrzeli jedni na drugich, potem na zegarki; potem jeszcze wy-

rażono obawy, że prawdopodobnie nikt nie przyjdzie, i uradzono jednozgodnie, żeby każdy poszedł w swoją stronę do domu. Oto jak odbyło się ostatnie posiedzenie członków Towarzystwa Spożywczego «Merkury».

Inaczej mówiąc, posiedzenie to nie odbyło się wcale, z powodu, jak donosi oficyalne sprawozdanie, «niezebrania się dostatecznej liczby członków». Co stanęło temu zebraniu się na przeszkodzie, trudno powiedzieć; to tylko pewna, że próżniactwa, obojętności na dobro Towarzystwa, safandulstwa i zbytniej miłości do rozkoszy szlafrokowych członkom zarzucać nie można. Wprawdzie dziś złośliwość, brak uszanowania dla uznanych powag i chęć szkalowania wszystkiego, co prawdziwie wielkie, doszły do tego stopnia, że podobne paszkwile, wymierzone przeciw członkom, bardzo są prawdopodobne i do przewidzenia łatwe. Niechaj jednak paszkwiliści pamiętają, że wszelkiej prawdziwej powagi, inaczej niż z przymrużonemi oczyma nawet wyobrazić sobie niepodobna; jeżeli więc ojcowie członkowie przymrużają oczy na pozór zbyt często, to wcale nie dlatego, żeby im się chciało drzemać i spać pod rodzinnemi pierzynami, ale dla tem większego skupienia ducha i dla tem skuteczniejszego przyjścia w pomoc «Merkuremu», który, mówiąc nawiasem, robi bokami nie

już jak jaki mieszkaniec Olimpu, ale jak pierwszy lepszy koń furmański.

Z drugiej strony inteligencya ojców—członków takie obejmuje obszary i po takich jest rozrzucona przestrzeniach, że dla uruchomienia jej nierównie więcej potrzeba czasu niż nawet dla uruchomienia niezwyciężonych armii najznakomitszych mocarstw; nic więc dziwnego, że pierwsze w bieżącem półroczu posiedzenie nie przyszło do skutku. Inteligencye nie zostały na czas uruchomione — i kwita. Rozważając rzecz z każdej strony, może to się nawet i lepiej stało; działanie bowiem tych inteligencyi, wziętych *en masse*, jest tak silne, że parcia ich mogłyby nie wytrzymać ściany Resursy Obywatelskiej, w której, jak wiadomo, odbywają się posiedzenia. A cóżby to się dopiero stało, gdyby tak na głowy najznakomitszych członków zawalił się sufit? Najtęższe tutejszo-krajowe mózgi przestałyby odrazu funkcyonować i żadne towarzystwo ubezpieczeń nie zdołałoby nam tej straty wynagrodzić. Zostalibyśmy sami i nie mielibyśmy nawet tej pociechy, żeby tak nagle a niespodzianie zgasłym członkom wystawić pomnik na którym z placów publicznych. Tak jest, powtarzam, nie mielibyśmy nawet tej pociechy! Gdyby bowiem pomnik ten miał być tak wysoki, jak wielkiemi były ich zasługi dla kraju, musielibyśmy wybudować nową wieżę Babel, skutkiem czego Pan

Bóg pomieszałby nam języki, a że już i tak nasi hrabiowie mówią po francusku, nasi kupcy mniejsi po żydowsku, więksi po niemiecku, nasi fabrykanci również po niemiecku, powstałby więc stąd chaos, z którego nie wyszlibyśmy do końca świata.

Takie to okropne skutki mogłyby wyniknąć ze zbytniego naprężenia inteligencyi członków naszego Stowarzyszenia «Merkurego».

Są wprawdzie ludzie dość bezczelni, by twierdzić, że gdyby sufit zapadł się na głowy obradujących, najmniej stosunkowo ucierpiałby na tem sam Merkury. Na szczęście prosta logika wskazuje, jak niedorzeczne jest to twierdzenie. Członkowie bez Merkurego mogliby istnieć, ale Merkury bez członków jest czemś niezrozumiałem. A przecież biedak ten głównie dlatego kuleje, że nie ma dostatecznej liczby członków. Prawdopodobnie nawet i umrze z tego.

Ale nim umrze, dla przyzwoitości samej potrzeba, żeby zebrało się choć jedno posiedzenie, choć jedno jeszcze *consilium facultatis*. Niech mu przynajmniej nad grobem powiedzą, że, wziąwszy na się rolę bożka rozumnej oszczędności, miał dobre chęci, że w zasadzie mógł być pożytecznym. Niech mu przyznają, że umiera w kwiecie wieku, że w swoim czasie był dziecięciem pełnem nadziei, i że gdyby nie paraliż, który znieczulił mu większość członków, istnie-

nie jego nie byłoby tak bezowocnem, a śmierć tak wczesną.

A cóż, spytacie, po śmierci chorego stanie się z jego członkami? — Niech was tak o to głowa nie boli, jak mnie nie boli. Umrą jako członkowie Merkurego, umrą jako rajcy Merkurego, ale pozostaną w innej postaci. Pozostaną jako ludzie i... zapiszą się zapewne do innych Towarzystw; może założą nowe instytucye spożywcze lub spożywające cierpliwość społeczną w ogromnych dozach; może założą nowe spółki, a potem...

A potem stara historya powtarzać się będzie bez końca. Będą głosowali, obierali prezesów, tytułowali się radcami, radzili od... siedmiu boleści, prosili o głosy, dzwonili, słowem, będą przez czas jakiś zachowywali wszelkie parlamentarne formy podobnych stowarzyszeń na całym świecie.

A jeszcze potem?

Jeszcze potem wypuszczą pewnego pięknego poranku na świat sprawozdanie, z którego pokaże się, że instytucya upada. Naznaczą posiedzenie. Tymczasem nadejdzie dzień może trochę słotny, trochę wietrzny, więc na posiedzenie nie przyjdą, i z instytucyą stanie się to, co ze starą beczką, z której pozlatywały obręcze.

Zresztą, po co tu długo rozprawiać? Zapewniam was, że każdej instytucyi będą służyli

z równą gorliwością i równie skutecznie, jak Merkuremu.

O Stowarzyszenia nasze! o spółki połączonej pracy! o Towarzystwa! i wy wszystkie inne, mniej więcej pięknie nazwane i tytułowane wytwory ekonomicznego rozbudzenia się lat ostatnich, czy wy myślicie, że celem waszym służyć społeczeństwu wedle ducha waszych ustaw? Pokój z wami! — dobrze myślicie! Ale jakże często jesteście tylko ciepłem pierzem dla safandułów, jakże często bywacie przytułkami dla paralityków, albo warsztatami, w których nasze filistry z głupich przerabiają się na szanownych, bardzo szanownych, zasłużonych i bardzo zasłużonych. Znane to drogi, o miłe filistry! Jesteś niczem, a pragniesz być czemś. Zapisujesz się więc na członka jakiego Stowarzyszenia, nie dlatego, żeby mu służyć, ale że członek to już jakiś tytuł. Z początku należysz do opozycyi, bo nie rozumiesz, jak zarząd, w którym ciebie niema, może dobrze kierować instytucyą. Tymczasem nadchodzą wybory. Agitujesz wraz ze swymi przyjaciółmi. Obierają cię do komisyi rewizyjnej, a potem i do komitetu. Zyskujesz stanowisko i wpływ. Stajesz się głośnym. Znajomi tytułują cię radcą. Dotąd byłeś poprostu tylko Cymbałkiewiczem, teraz słyszysz w publicznych miejscach, jak nazywają cię «Cymbałkiewiczem z komitetu». Oczywiście stajesz się konserwatystą,

choć dobrze nie wiesz, co ci konserwować wypada, i człowiekiem zasad, choć nie koniecznie zdajesz sobie sprawę, jakich zasad. Powoli zdobywasz opinię człowieka zacności i człowieka niezachwianej prawości. Nie robisz nic a nic, a ludzie sądzą, że wszystko na twych barkach spoczywa, i twoją biedną łysinę, która na dobrą sprawę za grzechotkę ledwo służyćby mogła, mają za ministeryalną głowę. Obchodzisz jubileusz czterdziestoletniej działalności na polu... okręcania koło siebie wielkich palców dla konkokcyi na żołądku. Wreszcie «wśród powszechnego żalu ziomków», syt lat i sławy, oddajesz ducha — ale uspokój się! Sława twoja dłużej żyć będzie od ciebie. Oto widzę twój portret w jakiejś efemerycznej ilustracyi, oto w twym nekrologu czytam, co następuje:

«Ze śmiercią Cymbałkiewicza społeczeństwo nasze straciło jedną ze swych podpór. Był to mąż etc... Wieki potomne... etc.

A wreszcie zakończenie:

«Śpij, śpij, Cymbałkiewiczu!... Po życiu pełnem trudów i syzyfowej pracy, niechaj sen drogi będzie twoim udziałem; niechaj ci ziemia lekką, a spoczynek wiekuistym będzie! Śpij, o Cymbałkiewiczu!»

Ależ duchu pobożny! całe życie nie robiłeś nic innego. Amen!

Lam, znany felietonista, powiedział niegdyś

przez usta jednego ze swych komicznych polityków: że murzyni dlatego są murzynami, że nie mają arystokracyi, a ja twierdzę, że murzyni jeszcze bardziej dlatego są murzynami, że nie mają tego rodzaju «szanownych» i «zasłużonych», jak Cymbałkiewicz. Pod tym za to względem, niema społeczeństwa, mającego bielszą skórę, niż nasze. Tak jest! Pod tym względem jesteśmy, co się nazywa, ucywilizowani. Niestety jednak, żarty żartami a liczba Cymbałkiewiczów coraz bardziej się u nas mnoży. Czemże bowiem, jeśli nie Cymbałkiewiczostwem, podszywającem ego izm i próżność, wytłómaczyć można ową obojętność na sprawy społeczne, owo chromanie ekonomicznych instytucyi krajowych, owo rozmijanie się ich z celem, marną działalność i wreszcie rozpadanie się ich po kilku latach nędznego żywota.

Należy powiedzieć prawdę. Dla próżności, dla pozycyi towarzyskiej wielu ubiega się o tytuły członków, radców etc., ale jakże niewielu dzielnie i energicznie spełnia swe obowiązki; jakże niewielu, nie poczuwając się do innej odpowiedzialności, prócz odpowiedzialności przed własnem sumieniem — boi się jej i unika, jak najstraszniejszego sądu.

Winna temu i opinia publiczna: chwiejna, kapryśna, grymaśna, ale miękka, naiwna, jak dziecko; leniwa i pełna bojaźliwości, jak filister,

a pozwalająca się wodzić na pasku nawet.. Cymbałkiewiczom.

Dziwnie bo też brak nam we wszystkiem szczęśliwej ręki. Wszystko rozmija się u nas z właściwym celem. Ot nieraz powstaje jakaś instytucya potrzebna, pożyteczna: przysiągłbyś, że przyniesie błogie skutki, ale niechże pożyje lat kilka, w praktyce okazuje się zupełnie co innego. Na dowód wezmę teraz inny przykład; wezmę np. nasze teatry ogródkowe.

Pamiętam, a wraz ze mną pamiętają wszyscy, że kiedy przed kilku laty zawitały do nas po raz pierwszy te teatry, cała prasa powitała je z niekłamanym zapałem. Cieszyliśmy się wszyscy, że teatrzyki rozbudzą w niższych warstwach naszego społeczeństwa szlachetniejszy smak, że nauczą je myśleć, rozwiną lepsze instynkty, oderwą od kufla i grubych zabaw, że wreszcie będą szkołą moralności, uczciwych zasad i tym podobnie.

Teraz przekonali się wszyscy, że teatrzyki istotnie są szkołą, ale szkołą... zepsucia. Uważamy wszycy Paryż za drugi Babilon; znając ze słyszenia taki Jardin Bulier, lub inne podobne miejsca zabaw, wyobrażamy sobie, że są to przybytki najokropniejszego zepsucia, a nie wiemy, że np. nasze Eldorado śmiało i zwycięsko pod tym względem rywalizować z niemi może. W takim Jardin Bulier tylko tańczą — w tea-

trzykach zaś grają też same rzeczy, co i u nas, t. j. Ofenbachiady, tylko że tam słucha jej specyalna, iż tak rzeknę, publiczność, tu wszyscy, t. j. cały ogół osób rozmaitego stanu, płci i wieku — zostających pod doświadczonem i biegłem dowództwem kantorowiczów. Kantorowicze nadają ton przedstawieniu; oni dają inicyatywę oklaskom, oni wywołują aktorów, polując przytem jak wyżły na dwuznaczniki. Należy to przyznać dyrekcyi pomienionego ogródka, że przez wybór odpowiednich sztuk do takiej biegłości doprowadziła swą publikę w rozpoznawaniu dwuznaczników, że nawet najmniejszy nie ujdzie jej ucha i refleksyi. Tam nawet, gdzie człowiek ukształcony i obyty zarówno ze zwrotami myśli, jak i grą wyrazów, nie dopatrzy nic dwuznacznego — kantorowicze potrafią uchwycić i odczuć tendencyę, a wreszcie stworzyć ją nawet w tych miejscach, w których nie myślał o niej ani aktor, ani autor. Zaiste nader stąd mała zasługa spada na ową przesławną dyrekcyę, dla której prócz względów kasowych widocznie żadne inne nie istnieją. Mniejsza zresztą o kantorowiczów — i tym podobną hałastrę — ale chodzi nam o to, że za tymi przywódcami idzie cały ogół publiczności; że ilustrując w podobny sposób każde wyrażenie, przywódcy owi psują publiczność, która przyszedłszy do ogródka dla zabawy,

znajduje w nim moralną na każdym kroku truciznę.

Ale są powody dla nas ważniejsze nad prostą moralność, dla których ów kierunek bachiczno-offenbachowski, w jakim stale trwa dyrekcya Eldorado, jeszcze szkodliwszym się okazuje. Mniejsza już o to, że np. małoletni, uczęszczający, za wyrwane Bóg wie skąd złotówki, do tego ogródka, za wcześnie trochę dowiedzą się o bezużyteczności pośrednictwa bocianów w sprawach, tyczących się przyrostu ludności w naszem mieście. Offenbachiady stokroć są szkodliwsze ze względu na ów sceptycyzm ogólno życiowy, jakim są wszystkie przepełnione. Dla człowieka wykształconego są one tego sceptycyzmu tylko wynikiem, ale dla prostaczka są elementarzem, na którym uczy się czytać, że wszelkie ideały, wszelkie potężne i chleb duchowy dla społeczeństw stanowiące ideje są to rzeczy, z których się tylko śmiać, a nie wierzyć w nie, wypada. Prostak uczy się z nich, że trzeba tylko jeść, pić, używać i kochać piękne dziewczyny, a głupstwem i śmiesznością jest szanować, co dotąd szanował, wierzyć, w co dotąd wierzył, pragnąć, czego dotąd pragnął i spodziewać się tego, do czego dotąd tęsknił. — Inaczej jeszcze da się ta nauka wyrazić: Bądź takim, jakim ci w danych okolicznościach i wa-

runkach być najdogodniej; baw się dobrze i nie zawracaj sobie głowy niczem ważniejszem!

Niebezpieczna nauka, zgubna, zobojętniająca masy i zmieniająca je w zwierzęta!

Ale przedsiębiercom idzie o kasę, a kasa pełna.

Mniejsza o wszystkie inne zarzuty. Czy biorą sztuki do grania bez pozwolenia autorów, czy nie; czy płacą za nie, czy się od tego wykręcają — to rzecz ich uczciwości prywatnej, i nie na takie sprawy prasa powinna zwracać uwagę. Jeżeli zasługują na chłostę, to powinni ją otrzymać za to, że rozwydrzyli publiczność, że rozmiłowali w brudny sposób i dla własnych korzyści w Offenbachiadach. Niech się nie tłómaczą, że publiczność takie tylko sztuki lubi. Nie trzeba ich było dawać, a nie miałaby sposobności polubić. Mogliście się stać nauczycielami, staliście się demoralizatorami.

To, co mówiłem tu o jednym ogródku, stosuje się mniej więcej i do innych. Najmniej stosunkowo grzeszyło Tiwoli, najwięcej Eldorado — niechaj jednak wszyscy panowie przedsiębiercy pamiętają, że Dyrekcya Teatrów Warszawskich, mimo opłacania jednej szóstej z dochodu, zaledwie ich dotąd tolerowała. Pozwolenie więc, które otrzymali dotąd na przedstawienia letnie w Warszawie, winni w znacznej części naciskowi, które na ich przewidywaną pożyteczność kładła prasa i zabiegom ludzi życzliwych, którzy równie jak

prasa sądzili, że, popierając ich sprawę, oddają przysługę społeczeństwu. Dziś opinie pod tym względem się zmieniły, i prasa całym swym potężnym wpływem gotowa jest raczej poprzeć Dyrekcyę Teatrów Warszawskich, niż zezwalać na podobne dotychczasowym nadużycia.

Teraz nadchodzi właśnie koniec sezonu, czas więc namyślić się i wejść na jedyną, jaka pozostaje drogę — drogę poprawy.

Wzywamy do tego, nie w imię obywatelskich uczuć, bo tych nie szukać w ludziach, którym kasa wszelkie inne sprawy przesłania, ale w imię dobrze zrozumianego własnego interesu.

Biedny ojciec ogródków, Russanowski, którego życie było jednem pasmem nędzy, nie sądził zapewne, że jego posiew tak niezdrowe wyda ziarno.

A propos życia w nędzy i śmierci w nędzy. Wiadomo wam, czytelnicy, że niektóre pisma ogłosiły, jakoby p. Wilkońska, żona Au. Wilkońskiego, umarła w wielkiem ubóstwie. Użyto nawet nader efektownego wyrażenia, jakoby «czarne widmo nędzy unosiło się nad jej grobem». Mniejsza już zresztą o samo wyrażenie, ale mogę was z dobrego źródła zapewnić, że tak źle nie było. Zbierano wprawdzie składkę w czasie jej choroby, ale bez wiedzy chorej, po której śmierci okazały się dość znaczne fundusze.

Bliższe szczegóły doniosą zapewne dzienniki, tymczasem zaś przytoczę wam niektóre szczegóły z listu, pisanego przez jednego z krewnych nieboszczki i rzucającego wiele światła na całą tę sprawę.

Śp. Wilkońska nie umarła w biedzie — pisze autor listu; — zostawiła majątek, wynoszący około 20.000 talarów, taki przynajmniej jest podany szacunek przez sąd w Poznaniu do opłaty stempla.

Mieszkała bardzo dostatnio, płacąc za trzy pokoje 350 talarów. Mieszkanie jej, chociaż nie po pańsku, było jednak wygodnie urządzone i umeblowane. Dalej znaczny zbiór sukni, okryć aksamitnych i wszelkich ubiorów, otaksowano przeszło na tysiąc talarów.

Po śmierci jej znaleziono przeszło 2.000 talarów gotówką, t. j. w papierach publicznych i pewnych wekslach, a na parę dni przed śmiercią, dozorująca ją osoba zmieniła na 5.000 rs. listów zastawnych u bankierów Hirschfelda i Wolfa. Dowody i potwierdzenie tych faktów można w każdym czasie naocznie zobaczyć w sądzie poznańskim.

Widzimy z tych słów, że owo «czarne widmo nędzy» nie było tak straszne, jak nam je odmalowano; rozczulania się nad losem nieszczęśliwej autorki za wczesne, a liryczne wyrzuty społeczeństwu, które pozwoliło żonie ulubionego

pisarza umierać w niedostatku — zbyteczne. Był to strzał ślepym nabojem. Dziennikom trafia się od czasu do czasu dać ognia w taki nagły a niespodziewany sposób. Niema w tem nic dziwnego; kto ma obowiązek dawać nowiny codzień, poluje na co może i strzela do pierwszej zwierzyny, jaką ujrzy. Czasem trafi, czasem chybi. To zależy od myśliwca.

Wogóle jednak, pominąwszy już dzienniki, Warszawiacy nie należą do zbyt celnych strzelców. Co krok, to spotyka się zapalonych myśliwców Warszawiaków. Pełno ich na każdym pociągu kolei żelaznej. Ze strzelbą przez ramię i marsową fizyognomią śpieszy Warszawiak na wieś, korzystając skwapliwie z krótkich przystanków na stacyach kolejowych, by wysiąść choć na chwilę, spojrzeć w wiszące po banhofach lustra i ocenić całą grozę i zamaszystość, wiejącą z jego postaci. A potem: wśród opok, i jarów, i klonów, i głogów, pudłuje z zaciętością do każdej kuropatwy, lub strzela dąstem do jakiej babiny, rwącej len i odwróconej niegrzecznie do myśliwca. Gdyby zające znały zwyczaj pisania adresów, lub wysyłania deputacyi, niezawodnie wysłałyby adres lub deputacyę do Warszawskiego Towarzystwa opieki nad zwierzętami ze skargą, nie na morderstwa wprawdzie, bo te trafiają się chyba wypadkiem, ale na ciągłe i daremne pukanie po lasach i polach.

Nie dozwala im to odetchnąć spokojnie i przerywa w niemiły sposób poobiednie drzemki, jakie z całą ufnością w dobre serca Warszawiaków, urządzają sobie wobec myśliwców, pod choiną i krzakami jałowcu; a natomiast rozstraja okropnie nerwy. Dziki i wszelka uzbrojona jako tako zwierzyna nie ma podobno zupełnie powodów do skarg na Warszawiaków; owszem, podobno, zwłaszcza dziki i wilki, zachwycone są uprzejmością i prawdziwie dżentlemeńską grzecznością, z jaką miejscy myśliwi ustępują im z drogi, nie pozwalając na najmniejsze ceremonie. — Donoszą mi jednak, że kiedy idzie o śniadanka myśliwskie, naprzykład o bigos, wódeczkę i coś tak na zimno — nie dajemy się wcale wieśniakom pobić. Przecież i my nie jacy tacy!

Nie myślcie jednak sobie, panowie wieśniacy, że my wracamy do domu, do naszych żon i córek, bez zwierzyny. A od czegóż Stępkowski? a Wróbel? — kupi się parę kuropatw, a że tam jedna lub druga ma trochę *haut gout*, zapaszek, to się tłómaczy żonie, iż ze strachu tak skruszała — i koniec!

Gazeta Polska, 1875, Nr. 198 z dnia 9 września.

XXXV.

Idę za modą. — Hacfiro. — Czem będzie. — Przypuszczenia. — Pismo poświęcone strzyży owiec. — Gorzka prawda najlepsza w cztery oczy. — Hacfiro jako organ konserwatyzmu. — Obawy konserwatyzmu. — Wyłomy. — Skąd brać prenumeratorów? — Hebrajszczyzna. — Zjazd kolejników. — Hrabina. — Panna Cholewicka i dyrektorowie kolei niemieckich. — Program zjazdu. — Jeszcze Hrabina. — Moniuszko. — Pomnik dla Moniuszki. — Pierwotne projekty. — Wątpliwości. — Rada i syndyk.

Ponieważ dziś między młodymi filologami stało się modą obrzucać błotem swoich profesorów, jako filolog więc, a przynajmniej jako niegdy uczeń filologicznego wydziału, pozwolę sobie niniejszem wynurzyć lekceważenie i głęboką pogardę dla mego profesora języka hebrajskiego. Nie przypominam sobie wprawdzie dokładnie, czy taki profesor za czasów byłej Szkoły Głównej istniał, ale jestem przekonany, że pod względem naukowo-hebrajskim wyszedłem z owej wszechnicy takiem samem niemowlęciem, jakiem

do niej wszedłem. Wyobraźcie sobie, że utnij głowę — a nie wiem, co znaczy Hacfiro; jako felietonista zaś powinienem wiedzieć, choćby dlatego, że wy, czytelnicy, nie wiecie. Udałbym się nawet, dla dowiedzenia się, do czytelni, istniejącej przy Bibliotece głównej, w której przylepianie białych kartek na grzbietach książek, po kilkoletniem mozolnem mazaniu klajstrem rzeczonych grzbietów już się nareszcie skończyło; ale na nieszczęście wiadomość o Hacfiro zaskoczyła mnie niespodzianie, i do słownika udawać się jest już za późno.

A jednak niezrozumienie wyrazu Hacfiro nie przeszkodzi mi, jako felietoniście, zapatrującemu się na piękne przykłady moich współtowarzyszów, mówić o Hacfiro i puścić się na obszerne pole domysłów i przypuszczeń.

Zresztą ignorancya moja ma swoje granice. Nie rozumiem wprawdzie, co znaczy Hacfiro, ale wiem, czem będzie Hacfiro. Otóż będzie to dziennik, wydawany na większą cześć i chwałę izraelskiej tradycyi i separatystowsko-ultra-izraelskich interesów w języku hebrajskim. Czy to będzie dziennik polityczny, czy społeczny, czy poświęcony sprawom krajowego handlu, jest to jeszcze tajemnicą tak wielką, jak i to, kto go będzie prenumerował, czytał i rozumiał. To pewna, że dziś krążą najrozmaitsze przypuszczenia. Niektórzy twierdzą, że będzie to pismo

poświęcone specyalnie sprawom sprzedaży promes od premiowych pożyczek; ponieważ zaś tak sama sprzedaż i kupno, jak i skutki ich są tego rodzaju, że lepiej nie wtajemniczać w nie głupiej gawiedzi, przeto język hebrajski okazuje się najodpowiedniejszym, bo rozumieć go będą tylko wybrani. Jest to dobrze pomyślane, ani słowa! Gdyby tak owce rozumiały mowę ludzką i umiały mówić po polsku, wówczas w czasie strzyży, zamiast pozwalać robić z sobą strzygącym, co się tylko podoba, zawracałyby im mniej więcej wymownie głowę. Ale ponieważ owce nie umieją mówić po ludzku, przeto nie zawracają nikomu głowy, a jeżeli okazują nawet w czasie strzyży swoje nieukontentowanie, czynią to w sposób wprawdzie niezupełnie *bon genre*, ale zgoła niewinny i nikomu nic nie szkodzący. Otóż podobny stosunek potrzebny jest pomiędzy sprzedającymi a kupującymi promesy pożyczek premiowych, z czego względnie do Hacfiro taki wniosek, że jeżeli istotnie dziennik ten będzie temi sprawami się zajmował, będzie to sobie poprostu pismo, poświęcone sposobom ułatwionej strzyży owiec, a zatem w gospodarstwie krajowem nader pożyteczne i pożądane.

Jest to jednak tylko przypuszczenie, za którego publikacyę tylko, nie zaś za wiarogodność biorę na siebie odpowiedzialność. Istnieją wreszcie i inne przypuszczenia. Mówią naprzykład

także, że ponieważ «Izraelita» mówi współwyznawcom swym same tylko komplementy, ponieważ całe złe, jakie istnieje w stosunku Żydów do nieżydów przypisuje tylko ostatnim, ponieważ, słowem, uważa współwyznawców swych za społeczność jedynie wybraną, doskonałą i świętą, za wiecznie uciśnioną niewinność, przeto Hacfiro ma stanowić odwrotną stronę medalu. Hacfiro ma mówić gorzkie prawdy w oczy swym współwyznawcom, a ponieważ francuskie przysłowie mówi: *Il faut laver son linge en famille*, dlatego Hacfiro będzie wychodził (czy też wychodziło) w języku hebrajskim.

Trzecia z kolei wieść mówi, że Hacfiro ma być objawem konserwatyzmu, oburzonego nieopatrzną postępowością «Izraelity», która to postępowość, zgubna dla czystej tradycyi, już w samym języku pomienionego organu się przebija, a z czasem mogłaby doprowadzić do zupełnego rozpuszczenia się pierwiastku izraelskiego w miejscowym. Coby to była za szkoda! A jednak niebezpieczeństwo jest blizkie, i ultratradycyjni konserwatyści wszędzie dopatrują jego śladów. Wieść niesie, że mężowie owi szczególnie są przerażeni takimi wyrazami, jak: pudełkies, szczotkies, mebles i «Twarde strasse», które mimo swej antykoszerności, nawet za Żelazną bramą, w owej Wandei tutejszo-izraelskiej, już się upowszechniły. Przeklęte wyrazy,

raz zrobiwszy wyłom w pięknym, lubo także nie hebrajskim żargonie, gotowe są skazić i sam hebrajski, do tej pory trzymający się jeszcze jako tako, przynajmniej w literach na szyldach sklepów, sprzedających kawę, herbatę i inne niepokalane napoje na Grzybowie.

Nakoniec są i tacy, którzy w ewentualnem zjawieniu się Hacfiro dopatrują związku z założeniem pierwszego kantoru wekslowego przez pierwszego intruza między wybranymi — przez p. Porazińskiego. Co to będzie, jak i inni pójdą torem tego śmiałka? Co to będzie, gdy publiczność zacznie w takich katorach sprzedawać i kupować? Kantory wekslowe, to przecie do tej pory był zwyczajny monopol — aż tu przychodzi ktoś i zadaje gwałt zwyczajom! Co tu robić? Ha! W razie wielkich niebezpieczeństw potrzebne są wielkie środki. Na Filistynów potrzeba Samsonów, więc, według ostatniej wieści, Hacfiro będzie tym Samsonem, mającym choćby z pomocą pierwszej lepszej oślej szczęki gromić nieprzyjacioły swego plemienia.

Wszystko to jednak są, jak to już powiedziałem, przypuszczenia. Ciemno wszędzie, głucho wszędzie, a co to będzie? — nie wiadomo. Najpodobniejsze do prawdy jest, że Hacfiro przybierze charakter kościelny, talmudyczny. Zobaczymy to podobno zresztą niezadługo, zobaczymy to nawet, sądzę, prędzej, niż prenumeratorów

tego pisma. Szkopułem, o który się pismo może rozbić, jest hebrajszczyzna. Kto dziś z Żydów, prócz rabinów, rozumie ten język? A przecież nie przypuszczam, żeby na podobieństwo napisów sklepowych, przyszłe pismo używało tylko liter hebrajskich, języka zaś żargonowego. Na tem skończymy o Hacfiro.

Przed kilku dniami mieliśmy zjazd kolejników. Przybyli dyrektorowie uradzili zrana pewne zmiany w taryfie przewozowej, w południe spożyli obiad u Bocquerella, wieczorem skonstatowali fakt, że panna Cholewicka, uważana ze stanowiska kolejowego, z powodu swej nadzwyczajnej lekkości, nawet bez żadnych zmian w taryfie, mogłaby, jako nie przenosząca czterdziestu funtów, odbywać darmo podróże wszystkiemi kolejami niemieckiemi. Przedstawienie w teatrze Wielkim ułożone było umyślnie w ten sposób, żeby niemieccy dyrektorowie nie siedzieli na niem tak, jak my siadujemy na niemieckiem kazaniu. Dawano jeden akt «Hrabiny» i balet pod tyt. «Twardowski». Niemcy zachwycali się podobno mistrzowską grą Żółkowskiego, a zarazem podziwiali zręczność i małe nóżki baletniczek, które to nóżki, po niemieckich systemu Kruppa nogach, mogły istotnie wydać się nadelbiańskim i nadreńskim gościom czemś zasługującem na podziwienie. Wogóle jednak, o ile się zdaje, obiad u Bocquerella, przedstawienie

teatralne, nóżki, zachwyty, toasty i wynurzenia wzajemnych sympatyi, zajęły większą część programu tego zjazdu, niż narady. Była to sobie raczej prosta sąsiedzka wizyta, nie zaś obfity w przewozowo-taryfowo-kolejowe następstwa zjazd kolejników. Przynajmniej dotąd nie słyszeliśmy o bezpośrednich jego skutkach. Mogą one okazać się później. Wszelkie zjazdy mają to do siebie, że zbliżają ludzi z sobą, przyczyniają się do zacierania wzajemnych uprzedzeń, ułatwiają stosunki, rozbudzają zajęcie się kwestyą i gorliwość uczestników, umacniają związki i wzajemne ugody. W ten sposób rozumiany zjazd, nawet z «Twardowskim» i p. Cholewicką, jako z głównemi częściami programu, może być pożyteczny.

Większego i bardziej bezpośredniego znaczenia ani przypisywać mu, ani żądać od niego nie można.

Wspomniałem, że w program przedstawienia teatralnego dla dyrektorów weszła i «Hrabina», niechże więc wolno będzie pomówić o autorze jej, Moniuszce. Wiadomo wam zapewne, czytelnicy, że p. Cypryan Godebski wykonał pomnik dla zgasłego artysty, obecnie znajdujący się w sali rzeźby na Wystawie Tow. Z. S. P. Losy tego pomnika tak są dziwne, a okoliczności towarzyszące tym losom tak każdego dobrego chrześcijanina budujące, że zamierzam bliżej

poznajomić z niemi czytelników. Był ów pomnik pierwiastkowo przeznaczony do jednego z naszych kościołów. Tymczasem któż zdoła przewidzieć przyszłość? — właśnie teraz dopiero rozpoczęły się szkopuły. W chwili, kiedy wyszukiwano najodpowiedniejszego miejsca na pomnik, dostrzeżono: z jednej strony straszną odpowiedzialność, jaką na siebie ściągano, umieszczając pomnik w kościele, a z drugiej okropne skutki, jakie dla całego warszawskiego katolickiego świata z umieszczenia owego wyniknąćby mogły. Czy to herezya, czy nie herezya? czy profanacya, czy nie profanacya? — oto pytanie, które jak Hamletowskie: «być albo nie być?» powstało nagle w umysłach. Zmarły był wprawdzie genialnym i przez cały ogół ukochanym artystą, ale czy był takim, jak to rozumieją nasi modlący się z francuskich książek wychowańcy tutejszych salonów: czy był dostatecznie przekonany, że czarny pilśniowy kapelusz o nadzwyczajnie szerokich skrzydłach jest widocznym znakiem największej doskonałości chrześcijańskiej? czy zgadzał się zawsze ze świątobliwemi zasadami dzieła zatytułowanego: «Życie nie jest życiem, czyli wielki błąd dziewiętnastego wieku»? słowem: czy wierzył w powyższe i wiele innych najnowszych prawd, bez których żaden warszawski wyznawca nie może być w opinii dobrze urodzonych pań i panów zbawionym? Wszystko

to były rzeczy niepewne, nierozstrzygnięte, albo też zgoła wątpliwe. Wobec tego, umieszczać jego pomnik w kościele równało się dobrowolnemu narażaniu własnej osoby na ewentualne nieprzyjemności na sądzie szczegółowym, jaki arystokratyczne damy dla rozrywki przy szyciu ornatów składają nad każdą duszą, jeszcze za dni jej śmiertelnego żywota. Zresztą kościół nie jest to muzeum, zatem pomników dla wielkich ludzi niema ani potrzeby, ani obowiązku umieszczać.

Ten ostatni argument szczególniej przyczynił się do rozproszenia resztek wątpliwości, zwłaszcza, że zauważono, że jakkolwiek muza ta jest od stóp do głowy pokryta szatą, jednakże pewne jej kształty są zbyt plastyczne, co sprzeciwia się stanowczo doświadczonym zresztą w tych rzeczach poglądom, a zatem żadną miarą nie może być w kościele cierpiane. Ale jeżeli tak jest, zwracam uwagę na kłopotliwe położenie tych osób, które porównanie z muzą pod względem plastyki wytrzymać mogą. Cóż winny te nieszczęśliwe istoty, i czy rzeczywiście dla tak niezależnych od siebie, jak zależnych od rozmaitych gustów przyczyn, mają być źle widziane? Potrzeba koniecznie uspokoić te strapione dusze, a zatem jedno z dwojga: albo powiększyć dotychczasowe plastyczne *maximum*, albo zgodzić

się raz na zawsze, że owo *maximum* stosuje się tylko do muz pogańskich.

Tymczasem jednak nie wiem, co będzie dalej, wiem tylko, że muza nie została wpuszczona nawet do przedsionka kościelnego, jakkolwiek na pomniku obok muzy, która zresztą tak dobrze za chrześcijańskiego anioła smutku, jak i za pogańską muzę może uchodzić, znajduje się także i krzyż. Towarzystwo muzyczne, które chciało się zająć tym pomnikiem, nie wie teraz, jak i gdzie go umieścić. Co do mnie, sądzę, że skoro grobowiec naszego kompozytora nie znalazł ostatecznie miejsca w żadnym z naszych kościołów, należy umieścić go na Powązkach. Potrzeba tylko, dla ochronienia go przed deszczami, dać dach wsparty na czterech słupach, i oto wszystko. Lepiej mu tam będzie i stosowniej, niż w salce rzeźb na wystawie, gdzie pokrywa go kurz i pajęczyna.

Jedna tylko rzecz nie może mi się w głowie pomieścić. Dlaczego naprzykład we Włoszech, w kościołach przechowuje się tyle posągów, bez porównania bardziej plastycznych, a jednak nie cierpi na tem ani przyzwoitość publiczna, ani powaga kościoła? Dość przytoczyć kościoły rzymskie, gdzie wiele posągów przerobionych zostało na chrześcijańskich świętych ze statui bożków pogańskich. Dość przytoczyć grobowiec Medyceuszów we Florencyi, w którym kobieta,

przedstawiająca noc, również jak i mężczyzna przedstawieni są plastycznie.

Ale pocóż szukać włoskich kościołów? Wszakże rycerz rzymski w pomniku Włodzimierza Potockiego ubrany jest nader lekko: wszakże takiż rycerz w grobowcu w Warszawie u Fary jest prawie nagi; wszakże Rzymianka na tym samym grobowcu, równie plastycznie, a więcej odkryte, niż muza p. Godebskiego, ma kształty!

Należy pamiętać, że Moniuszko był człowiekiem wielkiego dla naszego ogółu znaczenia, należy pamiętać, że był, jest i będzie chlubą naszą, i że sam jeden więcej jest wart, niż pięć tysięcy dewotek razem z ich pobożnymi galopantami i z całym tym kwaśno-słodkim taborem, na którego wszelkich ćwiczeniach pobożnych Pan Bóg niewiele zyskuje — ale i dyabeł z pewnością niewiele traci.

Jeżeli więc każdy, prywatny nawet człowiek ma prawo do umieszczenia swej tablicy grobowej i swego krzywego nosa na grobowcu w kościele — dziwną i zaiste dziwną rzeczą jest, że nie może tam znaleźć przytułku grobowiec takiego człowieka, jak Moniuszko.

Gazeta Polska, 1875, Nr 209 z dnia 23 września.

XXXVI.

Rozmowa. — Żargon handlowy. — Giełda i giełdowicze. — Czy będziemy mieli własny język handlowy? — Wziętość cudzoziemszczyzny. — Giełda zbożowa. — Zasługi projektodawców. — Moje projekty. — Magazyny zasług i składy projektów. — Czem mogę. — Tanie kuchnie. — Fartuszki. — Milczenie. — Urzędnicy Lombardu. — Historya o armacie czyli salto mortale felietoniczne. — Nowe budowle. — Styl warszawski. — Nasza oryginalność. — Sława. — Sacher Masoch i jego zdanie o nas. — Kwestya wewnętrzna. — Kruszę kopię. — Czytelniczki i czytelnia p. Jeleńskiego.

— Mooorgen!
— Mooorgen!
— Czy reflektujesz?
— Nie reflektuję.
— Jakaż tam dziś tendencya?
— Chwiejna.
— A jednak trasowania idą dobrze.
— Mam długi Berlin.
— Wolę krótki Gdańsk.
— Wogóle panuje stagnacya w tranzakcyach.

— Wartości pruskie mają słabą fizyognomię.

— Londyn poprawia się. Remitenci godzą się na 32 i pół.

— A jakże tam ze zbożem?

— Interes w grochu mocny, aber zresztą ganc abszajlich.

— A w okowicie?

— W okowicie mięknie — und das ist nicht gut.

— Od czasu ostatnich nadużyć panuje w handlu tym produktem panika.

— Przeciwnie: krańcowe notowania są niezłe.

— Co słychać na innych targach?

— Pszenica spokojna; owies spokojny; jęczmień słaby.

— Hm! hm! A zobaczmy żelazo.

— Ooo! Patrzaj; czytam: żelazo: mixed, membres warrants 69 sh. p.

— Niema dziś interesu, niema!

Głosy ze wszystkich stron:

— Ts! ts! Aj waj! aj waj! wues?

Czy reflektujesz — to się znaczy — czy rozumiesz z tego choć jeden wyraz, czytelniku? Nie. A jednak przemówiłem do ciebie polskim językiem, a raczej polsko-niemiecko-gieldowym żargonem, jakiego używają nasi kupcy, nasi przemysłowcy, nasi wekslarze, nawet nasze organy handlowe, słowem, ci wszyscy, którzy w jakimkolwiek pośrednim lub bezpośrednim

z giełdą stoją związku. Ten język to pieniądze — ten język to język nowożytnych i szczególnie w dzisiejszych czasach czczonych bogów. Mówią nim na Olimpie, to jest na giełdzie, i w okolicach Olimpu, to jest na Placu Bankowym, za Żelazną Bramą i w okolicach jej przyległych. Cóż więc dziwnego, że nam, prostym śmiertelnikom, którym wiatr chodzi po kieszeniach, a szuflady w biurkach obiecują niezagrożone przez żadnego wielbląda, ani przez żadne ucho od igły, wejście do Królestwa Niebieskiego; nam, dzisiejszym, co do imienia, nie co do siły, Goliatom, których lada błogosławiony Dawidek z łatwością za pomocą procentowego kamyka na miejscu zabija; nam, biblijnym ptakom bożym, które nie orzą, bo nie mają czem, nie sieją, bo nie mają czem, nie zbierają, bo nie mają co, a jednak żyją — sami nie wiedząc po co — cóż dziwnego, powtarzam, że nam język ten wydaje się niezrozumiałym, dziwacznym i śmiesznym nawet? Nie rozumiemy go i kwita, ale rozumować nam nie wolno — bo biada ułomnemu człowiekowi, który tajemnice bogów do gruntu poznać i zbadać pragnie! Zresztą tym wszystkim, którzyby w nieograniczonej zuchwałości, właściwej ludzkiemu plemieniu, chcieli ten język bluźnierczo nazwać obrzydliwą mieszaniną poprzekręcanych wyrazów, należących do wszystkich języków europejskich, oświadczam, że bo-

gowie giełdowi używają go tylko czasami, zwykle zaś mówią językiem czystym i pięknym — językiem Laskera, Strousberga, radcy Wagnera, słowem, językiem niemieckim. Używają więc czystego niemieckiego, a nie używają tylko czystego polskiego, bo ten jest nie dość europejski, nie dość ucywilizowany i zgoła barbarzyński. Najlepszym dowodem tego jest, że kto tylko w jakikolwiek sposób głową nad tłum wystaje, zaraz rzeczony język porzuca, albo przynajmniej stara się go przyozdobić i wyszlachetnić rozmaitemi zagranicznemi przekładaniami. Dzieje się tak, począwszy od giełdowiczów, a skończywszy na młodocianych gąskach arystokratycznych, których dusze, nie zmącone jeszcze najlżejszem tchnieniem złego tonu, są tak czyste i tak niepokalanie białe, jak ich majteczki. Znałem pewnego młodzieńca, który, umiejąc jeden tylko wyraz francuski: *jamais*, śpiewał go cały boży dzień w Saskim ogrodzie, na większą cześć i chwałę własnej dystynkcyi, rzucając przytem pół zabójcze, a melancholiczne naokoło spojrzenia. — *Jamais, jamais!* — nucił pełnym uczucia głosem, skoro tylko dostrzegł przechodzącą jaką młodą i przystojną a samotną «ptaszeczkę», której mąż wyjechał, dajmy na to na wodną kuracyę do Nowego Miasta. I czy uwierzycie, że owo uczuciowe *jamais* tak wielkie jednak sprawiało wrażenie, że

niejednokrotnie na *souvent* w praktyce się zamieniało.

Wracamy do giełdy: ci, którzy wspomnianym wyżej giełdowym żargonem się posługują, tłómaczą się, że używać go muszą, bo niema innego. Nie istnieje polski język handlowy, cóż więc czynić? co czynić? Stworzyć go. Do niedawna, medycyna np. posługiwała się w nazwach chorób wyrazami przeważnie łacińskimi — dziś dobra wola kilku ludzi stworzyła piękne i czyste słownictwo lekarskie. Toż samo uczyniono w zakresie prawa i w zakresie nauk ścisłych; toż samo więc można uczynić i w handlu. Piękny, bogaty, a na podziw obfity język nadaje się do wszystkiego i sam na oznaczenie nowych pojęć nowe wytwarza wyrazy. Potrzeba tylko chcieć; potrzeba trochę dobrej woli, trochę mniej skłonności do małpiarstwa i trochę zamiłowania do mowy przodków. Ale czy prędko taka dobra wola się znajdzie? czy prędko postara się ktoś oczyścić język handlowy od wstrętnych naleciałości, od tej zbieraniny wyrazów rodem ze wszystkich końców świata? Ha! może nastąpi to wówczas, kiedy do handlu rzuci się więcej «skich» i «wiczów». Dziś, prócz nazwisk dyrektorów niektórych domów i instytucyi handlowych, jedno tylko na giełdzie znalazłem nazwisko kończące się na «ski»: Bank Polski. *Sapienti sat.*

Handlują więc na tej naszej giełdzie pie

niędzmi, sprzedają, kupują i szwargocą co dusza raczy, tem warcholskiem narzeczem, którego małą próbkę dałem wam na początku niniejszego odcinka. W swoim czasie obiecywano nam złote góry z powodu założenia nowej giełdy, równie ważnej, a dla nas może jeszcze ważniejszej — giełdy zbożowej. Miała giełda owa regulować ceny zboża, miała usunąć dowolność kupujących, miała usunąć zgubne dla sprzedających pośrednictwo drobnych faktorów, słowem: miała być jedną z najpożyteczniejszych instytucyi; ale jak zwykle, skończyło się na słowach, które wiatr rozwiał. Dowodzono konieczności takiej instytucyi; cieszono się, że już prawie przyszła do skutku, głoszono, jako o fakcie ogromnej doniosłości, o uzyskaniu odpowiedniego pozwolenia rządowego; winszowano przyszłym domniemanym jej założycielom szczęśliwego pomysłu, wsławiano ich obywatelskie zasługi; cieszono się, że jeszcze mamy takich ludzi, którym warto stawiać posągi; nie wiem napewno, czy nie noszono już ich fotografii w broszkach i spinkach, czy nie przygotowano ich klisz do drzeworytów w naszych ilustracyach i t. d. Tymczasem domniemani założyciele, wydawszy na świat projekt, tak dalece wyczerpali płodne skądinąd umysły, że na rozwinięcie go jak należy w praktyce widocznie ani sił, ani ochoty im nie stało.

masz w tem nic dziwnego. Skoro już wydanie na świat projektu stanowiło ch opinii tak wielką zasługę, to oczy- rozwinięcie go w życiu stanowiłoby jeszcze ą, a nawet tak wielką, że barki pojedyń- obywateli nie zdołałyby jej udźwignąć, aby chyba urządzać osobne *ad hoc* ma- dla pomieszczenia przewyżki ciężaru elskich zasług i obywatelskiej nieśmier- i. Wystawienie takich magazynów przy- łoby co prawda magistratowi niemało , ale kto wie, czy nie byłoby pożyteczne; bowiem przewyżki zasług możnaby w nich , choć na strychu, wszelkie niedonoszone y, któreby tam tak dojrzewały, jak ulę- a słomie. Z drugiej strony, ponieważ co- produkcya owych projektów znacznie ższa ich zapotrzebowanie, możnaby tedy rok ogłaszać na nie licytacyę, albo jar- ak na welnę. Inne, mniej pomysłowe mia- omieszkałyby zapewne przysyłać kupu- tak więc wyświadczylibyśmy dobrodziej- bie i całej ludzkości, a przytem otwo- śmy sobie nowe pole handlu z zagranicą, podnieśli ogólny dobrobyt etc. etc. etc. ponieważ zgodziliśmy się raz na zawsze, nienie projektu stanowi obywatelską za- oświadczam zatem wszem wobec i każ- osobna, że projekt założenia magazy-

nów, mających przynieść ulgę zbyt przeciążonym zasługami obywatelom, jak również mających służyć za skład pomysłów, podałem ja, nie kto inny. Mam nadzieję, że będzie mi to porachowane. Nie naraziłem się nigdy nikomu niczem, w odcinkach swoich zawsze chwalę kogo mogę, nie pomijając nawet i «Izraelity», który też wzajem, jak uważam, żywą ku mnie pała sympatyą — spodziewam się więc, że jedno przy drugiem zdoła zapewnić mi pewną popularność, która z czasem uczyni mnie osobą niezbędną. Tuszę sobie, że wszelka nowo powstająca instytucya będzie ubiegała się o zaliczenie mnie do grona członków założycieli, tembardziej, że zdrowie moje nie jest do tego stopnia zniszczone, abym narzekał na bezsenność. Przeciwnie, na wszelkich sesyach, dążących do uszczęśliwienia ludzkości, bądź to przez rzeczy spożywcze, bądź przez gotówkę, bądź przez tanie kuchnie, bądź przez rumfordzką zupę — mogę być mężem zaufania tak dobrze, jak i każdy; mogę asystować przy obcinaniu wszelkiego rodzaju kuponów; mogę być człowiekiem, któremu się mówi: «Panie prezesie!» lub: «Panie radco dobrodzieju!» mogę grać: tra la la! na trąbce obywatelskich uczuć. Tak jest: przysięgam, że mogę być tem wszystkiem — co większa, mogę z czasem zostać nawet konsulem jakiego państwa — jeżeli współobywatele moi zostawią mi na to czas i z jedno

państwo — choćby wyspy Fidżi lub Dahomej, które, ile wiem, nie mają jeszcze swych pełnomocników, wybranych w pośród grona współobywateli naszego grodu.

Wspomniałem o tanich kuchniach. Jakoś ucichło o nich, a że to, bądź co bądź, instytucya publiczna, pozwolicie zatem, czytelnicy, że w imieniu waszem i swojem narobię hałasu i spytam: co tam z niemi słychać? Radzibyśmy ujrzeć jakieś sprawozdanie, radzibyśmy wiedzieć, jak tam idzie: w górę, czy na dół? czy instytucya się wzmaga i rozwija, czy opada i kiśnie, tak, jak wszystko u nas? Również ciekawi jesteśmy: co się dzieje z dyżurami dam? czy to była moda chwilowa tylko, która przyszła, przeszła i znikła, czy poczucie obowiązku?

Co do mnie, nigdy nie chciałem wierzyć złośliwym językom, które twierdziły, jakoby damy nasze przyjmowały dyżury tylko dlatego, że z tej okazyi można się było ubrać w kupiony u Penkali lub Thonnesa biały gosposiowaty fartuszek z kieszonkami. Wiem wprawdzie, że jeden taki fartuszek kosztował tyle, że możnaby za niego kupić tani obiad dla trzydziestu przynajmniej wyrobników; wiem, że nieczuli mężowie, nie uwzględniając wysoce filantropijnych celów, w jakich były kupowane fartuszki, ani poświęcenia małżonek, kręcili głowami i krzywili się, jak środa na piątek, na wydatki, jakie

cała ta, jak ją po grubijańsku nazywali,
czynna komedya zwykle za sobą poci
Wiem, powtarzam, to wszystko, a jedna
trzałem na rzecz zawsze z najlepszej s
Co chcecie? lubiłem zawsze fartuszki, a
dotąd przyjaciele nazywają mnie, z powo
słabości dla płci pięknej, Fartuszkiewiczem. A
tem, komuż nie rozpływało się serce na
tych dam, przyzwyczajonych do zbytku
gancyi, a uwijających się z talerzami w
szczebiocących wesoło po francusku, i tak d
nie a lekko i niewinnie przedrwiwających
nijery» i złe ułożenie tych, którym posług
Nieraz zdarzało się, że jakiś nieokrzesan
rowaty robotnik, nie wiedząc do kogo mó
wracał przez plecy głowę do dyżurującej
i wyjąwszy na chwilę z ust drewniany
szek, wołał: «Panno! prosiłem już o kawał
dzia za trzy grosze!» A niewzruszona
dama, z wyrazem anielskiej cierpliwośc
zygnacyi, zwracała piękne oczy do otacza
ją i «robiących jej kurę» galopantów —
głosiwszy zarówno głębokie, jak pełne ch
jańskiej wzniosłości zdanie: *Ça est inévita*
kazała robotnikowi podawać śledzia za trz
sze. Czy te obfite w budujące przykłady
minęły już bezpowrotnie, czy niema już
nich kuchniach ani dam, ani filantropijn
cuszczyzny, ani fartuszków, ani galopant

tej eleganckiej atmosfery, która mimo zapachu smażonej słoniny i rozmaitych sosów, przypominała czasy czerwonych obcasów — nie wiem i dlatego pytam; a objaśnienie uważam za tem potrzebniejsze, iż jak wspomniałem, złe języki mówią, że była to tylko moda, chęć pokazania się w nowym kostiumie, która przyszła i przeszła, jak ulotny sen buduarowy.

Wogóle, do czego się to zdało milczenie! Publiczność powinna zawsze wiedzieć co się dzieje w każdej i z każdą instytucyą, a każda instytucya powinna się publiczności przypominać. Choćby nie dalej szukając, bierzmy przykład z urzędników naszego Lombardu. Ci, choć o sobie nie piszą (co zresztą wcale nie pochodzi, jak twierdzą niektórzy, z niepohamowanego wstrętu do ortograficznych nowości), a jednak dają o sobie wiedzieć. Niech tylko przyjdzie jaki biedak w celu zastawienia ostatnich może gratów, a zaraz przyjmą go tak, że nietylko sam ich popamięta, ale jeszcze dziesięciu innym opowie. W ten sposób instytucya zyskuje rozgłos, każdy o niej wie i każdy, jeżeli zechce, może z jej uprzejmości korzystać, co wychodzi i na korzyść interesantów, bo ci, znając rodzaj tej uprzejmości, korzystają z niej w ten sposób, że nie nadużywają jej zbytecznie, — i na korzyść urzędników, bo ci mają mniej do roboty. Wpraw-

dzie wilk w ten sposób nie zawsze bywa syty, ale za to koza bywa cała. Jedno za drugie.

Sam teraz nie wiem, jak od pochwał Lombardu przejść do innych spraw bieżących, nader pośredni tylko z Lombardem mających związek. Pójdę chyba za przykładem tego jegomości, który, umiejąc jedną jedyną dykteryjkę o armacie, wiecznie ją opowiadał; ale że to tak trudno trochę wprowadzać ni w pięć ni w dziewięć na stół armatę, skoro o niczem, mającem jakikolwiek z artyleryą związek nie było mowy, rzeczony więc jegomość radził sobie, jak następuje:

— Przepraszam państwa — mówił, przerywając choćby najciekawszą rozmowę - przepraszam: tssst! cicho!...

— Co takiego? — pytacie się wszyscy.

— Zdaje mi się, że słyszałem wystrzał armatni.

— Ech! śni się panu chyba.

— Ale bo to *à propos* armat, opowiem też państwu doskonałą anegdotę...

I opowiadanie się rozpoczynało — już teraz bardzo *à propos*.

Otóż zdaje mi się, że słyszałem, a przynajmniej czytałem niedawno wielkie uniesienia i zachwyty nad naszem miastem, że się tak wznosi, rozszerza, zabudowuje i przybiera coraz bardziej wielkostołeczny i wielkomiejski charakter.

Powiecie, że nic czytacie nic podobnego. Nic? Ale *à propos* tego opowiem państwu następującą rzecz, która wiem, że będzie dobrze widziana, przynajmniej przez tych, którzy się do owego rozrostu miasta czynnie przykładają.

Jesteśmy nawskroś oryginalni i samodzielni, a nasze miasto jest jednem z najoryginalniejszych miast na świecie.

Za granicą naprzykład, gdy ktoś wybuduje nową kamienicę, stara się, by rozmiary jej i styl harmonizowały przynajmniej, mniej więcej, z otaczającemi ją budowlami; każdy, prócz względu na własną korzyść, pamięta jeszcze o jednej rzeczy, która zresztą osobistych korzyści wcale nie zmniejsza. Oto stara się za jedną drogą upiększyć rodzinne miasto. U nas dzieje się inaczej; jesteśmy daleko oryginalniejsi. U nas każdy z osobna wzięty filister ma swój, nie grecki, nie romański, nie gotycki, nie włoski, ani żaden inny, ale własny filisterski styl, wedle którego wznosi budowle. Bo zresztą i dlaczegóż miałoby być inaczej? Mamy przecie swój osobny warszawski rozum, częstokroć bardzo od każdego innego różny; dlaczegobyśmy własnego warszawskiego stylu mieć nie mogli? A że odznacza się on rozmaitością, że właśnie polega na tem, iż co kamienica, to różnica — tem lepiej dla niego. Już raz wspomniany przeze mnie pan Cymbalkiewicz ma swoje pomysły, a pan Sa-

fandulski swoje. Bank handlowy może być
i mieć dwadzieścia cztery razy tak wielkie
jak zwyczajne domy miewają, a kamienic
przeciwko może być sobie wysoka, mieć gu
kolumny, chińskie wieżyczki, po cztery s
do kupki i mały gołębniczek. To jedno dru
nie przeszkadza. Wielka kamienica oto
małemi, wygląda jak kura z kurczętami —
sty obraz sielskiej natury.

Powtarzam: jesteśmy nawskroś orygi
Albo te nasze brudne, odrapane, z pokrz
nymi dachami i powybijanymi dymnikam
mieniczki, stojące obok wspaniałych, wyla
wanych i wyzłoconych gmachów. Niech n
pokaże gdzieś za granicą coś podobnego!
dnało to nawet również oryginalną sławę
kto nie wierzy, niechaj weźmie np. *Re*
deux mondes i przeczyta, jak nas opisuje,
wiastce pod tytułem: «Hassarababa», pa
cher-Masoch. Uczony ten pisarz, którym zac
cają się Francuzi, a który, mówiąc nawi
korzystając z licencyi poetyki i prozaiki,
nosi Kołomyję z posiadłości austryackich
indziej, nazywa nas jednym z najbrudniej
narodów na świecie. Już to, co prawda
Sacher-Masoch w nieograniczonej sympat
nas, nie szczędzi barw, byle tylko wszystk
szło plastycznie i wyraziście. Opisując
terkę swej powieści, Polkę, mówi np., że wzi

atłasową suknię, zdobną kwiatami i brylantami, zawdziała ją, jak to jest zwyczajem u Polek, na brudną spódniczkę i niemniej brudne pończoszki. Pozwólcie, piękne czytelniczki, abym uderzył kopią w jego twarz w waszej obronie. Otóż zdaje mi się, że nie przesadzę, twierdząc, że uczony powieściopisarz-geograf nie zna i na oczy nie widział tych rzeczy, które tak śmiało opisuje. Jeżeli zna Polki, to mam nadzieję, że zna je tylko pozornie. Tak jest: Pan Sacher-Masoch nie zgłębił wewnętrznej strony kwestyi, którą to kwestyę nieraz widzieć można jak najpiękniej wypraną, suszącą się na podwórzach naszych kamienic na sznurkach, o które zrzucamy sobie kapelusze z głowy, lub z nosa binokle. Pan Sacher-Masoch jej nie zna i bredzi co mu się na język nawinie. Krótko mówiąc, na bieliźnie zna się tyle, co na geografii. Zda się, że dosyć ma za swoje!

A propos czytelnika i czytania. Wspominana poprzednio czytelnia dla kobiet pana Jeleńskiego przychodzi, a raczej przyszła już do skutku. Mieści się ona na Nowym Świecie w redakcyi *Niwy*. Za kilka lub kilkanaście dni będzie otwarta do użytku publicznego. Mieliśmy niejednokrotnie sposobność oglądać nagromadzone tam książki. Wybór ich jest staranny; obok powieści zawiera mnóstwo książek poważnych, treści ściśle naukowej. Najważniejszą jednak podług mnie no-

wością jest dział książek dziecinnych. Zamiast kupować za gotowe pieniądze lekkie zwłaszcza powiastki dziecinne, które po przeczytaniu na nic nie służą, można je będzie abonować, a skutkiem tego, za mniejszy stosunkowo wydatek, zapewnić ciekawym główkom dziecinnym możność korzystania z większej liczby utworów.

Gazeta Polska, 1875, Nr 219 z dnia 5 października.

XXXVII.

Koleje konne. — Czy dawne spełniały swe zadanie. — Po co ludziom na złość robić? — Powody, dla których jestem przeciwny kolejom. — Komitet zoologiczny. — Pytania i odpowiedzi. — Co za naukę stąd brać mamy. — Dzień siódmy. — Coby zostało po przesianiu. — Lata nieurodzaju. — Przyszli historycy. — Niesłychany wypadek czyli kąpiel w okowicie. — Rozbitkowie i opinia. — Jak należy nazwać rzecz po imieniu. — Moje obowiązki. — Ja i *Gazeta Handlowa*. — Nie rozumieją mnie. — Pytanie: co jaśniejsze? — Treść i prawda. — Prace Herkulesa. — Redaktor Herkules. — Moje sympatye. — Przemawiam językiem zrozumiałym. — Jeszcze o «Hacefirze». — Nowe pytanie. — Podwójna rola. — Kalendarze. — Kolęda autorki 365 obiadów. — Wyjątki. — Koniec. — Słówko *pro domo sua* — Mój podpis.

Uważać można za pewnik, stanowczo przez historyków stwierdzony, że jak w danem społeczeństwie pewna liczba obywateli co rok się urodzić, umrzeć naturalną śmiercią, powiesić się, zastrzelić, utopić i ożenić, tak w temże samem społeczeństwie i w tymże samym czasie,

musi być wypowiedziana pewna liczba grubijańskich wyrażeń, bez których wypowiedzenia życie społeczne nie było prawidłowem.

U nas ciężki ten obowiązek spełniali, w znacznej przynajmniej części, niektórzy konduktorowie kolei żelaznej konnej, a spełniali z takiem przejęciem się wielkością swego posłannictwa i tak sumiennie, że wcale nie widzę potrzeby zakładania nowych linii i sprowadzania nowych konduktorów dla ulżenia pracy dotychczasowym.

Jeżeli w tego rodzaju instytucyach chodzi głównie o gadanie przejeżdżającym niegrzeczności, tedy istniejąca dotychczas linia między dworcem kolei żelaznej Wiedeńskiej a Petersburskiej, zupełnie jest wystarczająca; częstokroć bowiem zdarza się, że podróżnik, płacący groszy dziesięć, usłyszy niegrzeczności za daleko większą względnie sumę; jeżeli chodzi o nieregularny przyjazd na stacyę, tedy nieregularność dotychczasowych linii może zadowolić najbardziej nawet fantastyczne natury; jeżeli wreszcie głównem zadaniem instytucyi jest zbieranie dziesiątek i walka przeciw prawom fizycznym, opiewającym, że dwa ciała nie mogą się w jednem miejscu znajdować, to i tak istniejąca kolej konna zadanie swe spełnia należycie, bo dziesiątki zbierane bywają namiętnie, a podróżnych układają jak śliwki w solówkach.

nietylko te względy skłaniają mnie do
pienia przeciw nowym projektowanym
Wiadoma rzecz, że założenie ich obni-
ceny mieszkań, ludność bowiem przesta-
ię tłoczyć do środka miasta. Po cóż więc,
robić na złość właścicielom domów?
dzić jedynej gałęzi przemysłu, rozwiniętej
elką skalę, to jest obdzieraniu ze skóry
rów, środek miasta zajmujących? Skoro
garbarstwo krajowe kwitnie, skoro nasza
awa nietylko wytrzymuje pod tym wzglę-
współzawodnictwo innych stolic europej-
ale nawet pomienione stolice przewyższa,
zykładajmyż dobrowolnej ręki do obalenia
o samo wzrosło i rośnie jeszcze co kwar-
k na drożdżach. Zresztą nowe linie to
ziwe pantofle Diderota. Będą koleje, na-
ast Towarzystwo gazowe musi się posta-
nowe rury; będą nowe koleje, wnet i dla
palności kłopot, bo zagorzali postępowcy
zaczną w niebogłosy krzyczeć o lepsze
tychczasowe bruki; okaże się potrzeba
prac, nowych usiłowań, wydatków, i tym
ych rzeczy, które prowadzą tylko do nie-
nych wysileń miejscowych inteligencyi
ozwalają ludziom spać spokojnie.
zakładajmy więc kolei, mili współoby-
na co nam one? wzrośliśmy i wycho-
ę na chwałę i pożytek społeczeństwa bez

nich? na co nam nowe bruki? ojcowie nasi łamali sobie nogi i rozbijali nosy na takich, jakie istniały dotychczas; każdy więc kamyk w nich jest dla nas pamiątką, którą powinniśmy umieć szanować; na co nam wreszcie nowe rury? — mamy ich i tak dosyć, i wierutnem kłamstwem jest, jakoby inne miasta miały nas przewyższać pod tym względem.

Co się tycze kolei, błagam moich współobywateli, żeby nie próbowali ich zakładać jeszcze i z innych względów. Oto zależy nam wszystkim na tem, żebyśmy nie potrzebowali się później wstydzić. Pamiętacie, jak to zakładaliśmy ogród zoologiczny w Warszawie? Coby to się teraz stało, żeby tak kto przyszedł odrazu do nas i spytał:

— Powiedzcie-no, co tam słychać z waszym ogrodem?

— Ha! założyliśmy komitet; spytaj pan komitetu.

— Dzień dobry, panowie komitetowi. Pukam w wasze okienko. Powiedzcie: coście uczynili z ogrodem zoologicznym?

Cisza! ach jaka cisza! Najmniejszej odpowiedzi. Przyszli historycy gotowi będą utrzymywać, że komitet nigdy nie istniał, i że wieści o nim należy uważać za takie baśnie kronikarskie, jakiemi są podania o smoku na Wawelu. Jeden kronikarz bajkę stworzył, drugi ją powtó-

rzył — stąd przeszła na usta ludzkie i oto jej początek. Zresztą kto wie, jakie tam kiedyś, kiedyś, krążyć będą o tej sprawie podania! Jak tu nawet zapobiedz tym możliwym w przyszłości przypuszczeniom? Chyba *pro aeterna rei memoria* i dla nauki przyszłych pokoleń ułożę całą tę sprawę w pedagogiczne pytania i przedstawię ją metodą księdza Putyatyckiego w sposób następujący:

Pytanie. W którym roku był założony w Warszawie komitet zoologiczny?

Odpowiedź. W roku 1874.

P. Jaki był cel tego komitetu?

O. Założenie ogrodu zoologicznego.

P. Co zaś uczynił komitet?

O. Zjadł pana Bartelsa i zawiązek ogrodu zoologicznego.

P. Co za naukę stąd brać mamy, że komitet zjadł p. Bartelsa i zawiązek ogrodu zoologicznego?

Co za naukę stąd brać mamy? Teraz ja wam odpowiem, czytelnicy. Stąd, że komitet zjadł p. Bartelsa i zawiązek ogrodu zoologicznego, brać mamy, jak na dziś, tę naukę, żebyśmy do komitetów nie wybierali ludzi z fenomenalnym apetytem; ci bowiem przedewszystkiem jedzą, potem śpią, potem znów jedzą, a w końcu zjedzą i nas. Zjedzą nas — przysięgam wam, razem z naszem zaufaniem do mężów zaufania,

razem z naszą czcią dla miejscowych wielkich ludzi z jubileuszami czterdziesto i pięćdziesięcioletniej obywatelskiej ospałości, jakie rzeczonym wielkim ludziom wyprawiamy, razem z albumami fotograficznymi, które ofiarujemy im w podobnych okazyach, ażeby patrząc na nasze krzywe nosy, rozpływali się nad prostemi drogami, jakiemi przez całe życie chodzili; słowem, zjedzą nas całkowicie tak, jak p. Bartelsa z całym jego inwentarzem.

Powtóre, stąd, że komitet zjadł pana Bartelsa i zawiązek ogrodu zoologicznego, brać mamy jeszcze tę naukę, żebyśmy o zamiarach naszych nie trąbili na wszystkie strony świata, nim będziemy mieli jakąś pewność, że zamiary owe kiedykolwiek w czyn się zmienią; żebyśmy sobie nie winszowali obywatelskich zasług i uczuć na mocy chęci tylko, nie zaś czynów. O tak! z tej jednej sprawy wiele naraz brać powinniśmy nauk. Powinniśmy nauczyć się mówić sobie prawdę w oczy; powinniśmy zrozumieć, że niektóre nasze popularności są to nadęte powietrzem pęcherze, na które, gdy jaki istotny ciężar obowiązków spadnie, wnet się dziurawią, robią wiele huku i puku, a pozostaje tylko trocha dymu i lichy szmat, na owinięcie palca nawet nie zdatny. Powinniśmy wyznać sobie, że nie umiemy nic zrobić porządnie, że jedni chcemy iść do lasa, drudzy do Sasa, że ruch spo-

łeczny, który zdawał się chwilowo ożywiać i wzrastać, osłabł znowu, że brak wybitniejszych osobistości, że widocznie żyjemy w dniu Sabbatu, bo jak mówi poeta:

«Dziś dzień siódmy; Bóg rękę na rękę założył,
«Odpoczywa po pracy — nikogo nie stworzył».

Tak! tak! mili czytelnicy. Gdyby nas jaki olbrzym zebrał wszystkich razem potężną dłonią i popróbował przesiać choćby przez najdrobniejsze sito — przelecielibyśmy wszyscy napewno razem z naszemi znakomitościami. W sicie pozostałoby chyba tylko kilka czapek, ponieważ każda czapka, jako obejmująca głowę, musi być od niej większa, — kilka grubszych projektów i spora ilość ogromnych zamiarów, z którymi olbrzym ów nie wiedziałby co robić, bo się nawet na podpałkę w piecu nie zdały.

Przyszli historycy nazwą znowu czasy nasze latami nieurodzaju. A jednak — co sprawiedliwe, to sprawiedliwe! — przyszły historyk, który dobrze się wpatrzy w naszą epokę, dostrzeże kilka zdarzeń tak dziwnych, że może nawet w prawdziwość ich nie uwierzy i do cudów je policzy. Powiedzcie naprzykład, co sobie pomyśli przyszły kronikarz, gdy dojdzie go wieść, że za naszych czasów mieli niektórzy ludzie zwyczaj kąpać się w okowicie, i gdy pewnego razu zanurzyli się zbyt głęboko, utopili

w owem morzu wódczanem tak potrzebne człowiekowi przedmioty, jak uczciwość i honor obywatelski. Co się z temi rzeczami stało, już dziś krążą najrozmaitsze wieści. Nie wiem, czy szukano ich, ale wiem, że choćby szukano, toby już nie odnaleziono. Przesiąkły widocznie okowitą i poszły jak kamień na dno. Nie wiem także, czy i kąpiący się już ostatecznie wypłynęli — ale wiem znowu, że dla takich rozbitków niema portu, że muszą, powinni się rozbić o skały! Rozumiecie mnie, czytelnicy, a jeżeli nie rozumiecie, powiem jasno i bez przenośni: prąd opinii publicznej powinien koniecznie się zwrócić przeciw takim nadużyciom — choćby dlatego, żeby okazać jasno wszem wobec i każdemu z osobna, że ogół nie jednoczy się z niemi, ani też z niemi współczuje. Nadużyć tych nic nie tłómaczy i nikt nie potrafi ich obronić. Kto obchodzi prawo, i nie płacąc od produktu, sprzedaje go z zyskiem sto na sto — i o sto procent taniej od swych współobywateli i sąsiadów, ten wyciąga im gotowy grosz z kieszeni, ten łupi ogół — ten wzbogaca się kosztem publicznym.

Tym razem, wobec opłakanego stanu majątków ziemskich, wobec swych interesów, w których każdy z posiadaczów ziemskich siedzi jak w bagnie po uszy, występek to tem cięższy. A przytem opinia ludzka tem się odznacza, że często winę jednego na cały ogół

składa. Nie mówią ludzie: taki to on! — lecz: tacy to oni wszyscy! W ten sposób, w wypadku, o którym mowa, łupież grosza cudzego stała się jeszcze obdzieraniem z dobrej sławy współbraci. Cóż im wreszcie zostanie? W poczuciu, iż są głową ogółu, mimo biedy, mimo ciężkich czasów i cięższych jeszcze interesów, nosili dotąd czoła wysoko — czyż ma im je teraz wstyd pochylić?

Nie! Co do nas, dalecy jesteśmy od rzucania kamieniem na wszystkich, ale właśnie dlatego pragnęlibyśmy, aby ci, których ta sprawa najbardziej bezpośrednio dotycze, nie wahali się nazwać jej właściwem imieniem; pragnęlibyśmy, aby opinia wyrobiła się w tym względzie jednozgodna, i aby wypowiadana była zarówno głośno, jak stanowczo.

Oto są nasze życzenia. Co do mnie, z obowiązku muszę mówić częstokroć nagą, choć przykrą prawdę, choć nie dbam o skutki, jakie to za sobą pociąga. Kto nie chce prawdy słuchać, niech sobie uszy zatka, albo niech udaje, że nie rozumie, tak, jak to uczyniła *Gazeta Handlowa*. Biedny niedomyślny organ! nie zrozumiał o co mi chodziło, gdym opisywał giełdę i giełdowo-handlowy język. A jednak zdawało mi się, żem się wyraził po polsku. Powiedzcież sami, czytelnicy, czy może być coś jaśniejszego? Oto powiedziałem: Panowie giełdowicze mówicie po nie-

miecku, albo szwargoczecie, jak ostatnie szajgecy, zamiast mówić czysto i poprawnie po polsku. Zdaje mi się, że to dość jasne, że to jaśniejsze nawet od telegramów *Gazety Handlowej*, od jej «słabych tendencyi», od jej «powściągliwych eksporterów», od «Standard white w miejscu», od «Mixed. numbres», od «forsownych usposobień», od «reflektantów», a nareszcie od wszystkich interesów stojących w pszenicy, mocnych w życie, słabych w okowicie, spokojnych w owsie i t. p. A jednak *Gazeta Handlowa* nie zrozumiała mnie! Mamże to sobie tłómaczyć niedokładną znajomością języka, którym przemawiam? Co większa, powiedziano mi, że nie uwzględniam treści i prawdy. Przepraszam i uwzględniam. Treścią w zeszłym moim odcinku było: szwargoczenie na giełdzie, a prawdą nietylko było, ale jest do tej pory: szwargoczenie na giełdzie. Kto się chce o tej treści i prawdzie przekonać, niech pójdzie i przekona się sam, tak, jak ja się przekonałem. Gotówem mu nawet towarzyszyć w tej wycieczce, jakkolwiek, ile uważam, zdołałem sobie zyskać tylko nader średnią sympatyę pomiędzy mężami, zajmującymi kurulne krzesła w sali giełdowej.

Ha! cóż robić? Przykro mi to bardzo, ale jeszcze więcej przykrości sprawia mi to, że nie zrozumiała mnie *Gazeta Handlowa*. Ogarnia mnie nawet z tego powodu pewna melancholia, bo ro-

zumując sobie, że jeśli mnie nie zrozumiał organ giełdowo-handlowy, który powinien być wyskokiem giełdowo-handlowej inteligencyi, to cóż dopiero mówić o giełdowiczach! Wszystko więc co powiedziałem było grochem rzuconym na ścianę! A jednak *Gazeta Handlowa* mogłaby najdzielniej wpłynąć na wyrobienie czystego języka handlowego i na oczyszczenie tych giełdowo-augiaszowych stajni. Praca to wprawdzie herkulesowa, ale dlaczegóżby redaktor gazety nie miał zostać Herkulesem?

Ale o czem tu nawet i mówić! Wszystko może byłoby dobrze; gazeta podjęłaby się misyi; redaktor jej możeby spróbował być Herkulesem, gdyby... gdyby rozumiał o co mi chodzi. Cóż jednak czynić? Nie rozumie! Prawdziwe to nieszczęście. Ponieważ jednak chodzi mi niezmiernie, żeby mnie zrozumiano; powtóre: ponieważ nie zrozumiano mnie, gdym mówił po polsku, nie pozostaje mi więc nic innego, tylko przemówić językiem, który w świecie handlowo-giełdowym jest najpowszechniejszy i najlepiej zrozumiały:

A zatem:

Meine Herren! Man muss nett polnisch sprechen, sonst ich werde Ihnen hundert mal sagen, dass sie so plaudern wie auf die Wołowa Gasse. Verstehen sie mir jetzt?

Ale przebóg! co widzę! zamiast nauczyć

giełdowiczów swego języka, ja sam zaczynam pisać po niemiecku. Dam temu pokój, choćby ze względu na to, żeby mi się nie przytrafiło napisać coś taką niemczyzną, jak owemu szlachcicowi z nad Sanu, który, pisząc do reichsratu o pewnym projekcie, wyraził się: *Mein Nachbar von Psia wólka hängt die Hunde auf diese Projecte.* Dopierożby biegli w tym języku panowie z giełdy *hängten und auf mich die Hunde!* Przecież niedawno spotkała mnie surowa wymówka redaktora *Hacfiro* za to, że nie wiedziałem co znaczy Ha-zefira czy też *Hacfiro.* Wprowadziłem was mimowoli w błąd czytelnicy. *Hacfiro* znaczy Jutrzenka, i nie będzie to pismo poświęcone ani sprzedaży promes od pożyczek premiowych (czytaj: strzyży owiec), ani sprawom dogmatycznym, ani mówieniu gorzkich prawd w oczy współwyznawcom, tylko naukom przyrodzonym i filozofii. Nie wiedziałem także, kto je będzie czytał, ale *Izraelita* zapewnia, że jest wielu Żydów nie znających innego języka, tylko hebrajski. Wprawdzie *Izraelita* nie donosi nam, gdzie się znajdują i przedewszystkiem czem się trudnią takie egzemplarze — ale musimy wierzyć, że są, skoro nam za to zaręczają. Nie rozstrzyga to wprawdzie jeszcze kwestyi ostatecznie, a raczej tworzy nową; wiemy bowiem teraz, kto będzie czytał *Hazfira;* ale znów pytanie: kto będzie do niego pisał? Prawdopodobnie

ciż sami. — Redaktorowie, będą zarazem prenumeratorami. Czasem zdarzają się na świecie takie podwójne role. Znałem np. małego chłopczyka, który galopując po pokoju, poganiał się zarazem biczykiem i słowami; był więc jednocześnie jeźdźcem i koniem.

Otóż i mój odcinek ma się już ku końcowi. Chciałem jeszcze pomówić z wami czytelnicy o kalendarzach, które się już na rok 1876 ukazują, ale ponieważ nie mam jeszcze wszystkich pod ręką, poprzestanę więc na wzmiance o jednym, to jest o kalendarzu czyli kolędzie (nie zaś jak napisano: k o l e n d z i e) dla kobiet przez autorkę 365 obiadów. Gospodynie nasze dowiedzą się z tego kalendarza, jak szyć, prać, prasować, gotować, słowem: wyłożono tu dokumentnie, na czem polega praktyczna strona babizmu, nie takiego perskiego, o jakim niedawno było w gazecie, ale zwyczajnego, naszego gospodarsko-domowego babizmu, którego bezpośrednim skutkiem jest, że mąż przedstawicielki babizmu bywa nakarmiony, dzieci umyte i uczesane, mieszkanie utrzymane schludnie, a rachunki gospodarskie porządne i dokładne. Są to wszystko rzeczy arcy praktyczne, ale oprócz nich mogą się czytelniczki dowiedzieć wielu jeszcze innych. Czy wiecie np. piękne panie, co głównie mamy do zawdzięczenia wojnom krzyżowym? Może zbliżenie Europy z Azyą? Nie to.

Może zbogacenie wiedzy skarbami nauki arabskiej? Nie to. Może upadek feudalizmu, wzmocnienie się władzy królewskiej, wzrost miast? Jeszcze nie to. Zajrzyjcie do książki autorki «Trzystu sześćdziesięciu pięciu obiadów», a na stronicy 46 znajdziecie wyjaśnienie następujące:

«Wyprawom krzyżowym zawdzięczamy, że francuscy krzyżowcy z piaszczystych pól wojny w Askalon przywieźli... szarlotki do europejskiej kuchni». Przytaczam dosłownie; moim dodatkiem są tylko przecinki, z którymi autorka zdaje się żyć w stosunkach, pozostawiających wiele do życzenia.

Ale mniejsza o to. Parę wierszy dalej, czytamy znowu:

«Za Leona X-go powstalo *fricandum*.

Albo jeszcze dalej:

«Przeszło 5500 lat potrzebowała ludzkość na odkrycie *fricandum* i użytek widelcy.

Autorka liczy widocznie lata od stworzenia świata, tak jak *Hacfiro*. Biedna ta ludzkość! co też ona musiała ucierpieć przez 5500 lat, aż do tej chwili!

Prócz tego kalendarza, ma jeszcze wyjść, może już wyszedł drugi, nakładem p. Wiślickiego. Nie mając go obecnie pod ręką, wzmiankę o nim odkładam na przyszłość.

* * *

Teraz już skończyłem. Pozwólcie tylko, że powiem jeszcze parę słów *pro domo sua.*

Trafia się czasem, że po wyjściu mego odcinka, zwłaszcza jeżeli mi się zdarzy kogo zbyt pochwalić, zgłaszają się do redakcyi rozmaite osoby, niestety prawie zawsze rodzaju męskiego, i wypytują się z nader zresztą podejrzaną troskliwością, kto pisuje tę rubrykę. Owóż pragnę zadowolić ciekawość tych osób. Pójdę utartym śladem Trębeckiego, który przyparty raz przez zbyt ciekawych, a nawet prześladowany przez rozmaite pisma, zarzucające mu na swój sposób nieuwzględnienie treści i prawdy, odpowiedział:

«Żadnych gróźb się nie boję, ani dbam o łaski,
Chrzestne imię me: Józef — rodowe: Biela(w)ski».

Ja pisywałem jeszcze, lubo z pewnemi przerwami: «Bez tytułu» — teraz «Chwilę obecną» prowadzę już pono drugi rok, nazywam się zaś:

Litwos.

Gazeta Polska, 1875, Nr 228 z dnia 15 października.

XXXVIII.

Kwestya wschodnia. — Powody polityczne. — Nowe drogi, karetki, omnibusy, pocztylioni *et tutti frutti.* — Lombard i moje dobre chęci. — Kilka słów poważnych o Żydach a humorystycznych o niektórych organach. — Dawidek. — Z giełdy do salonu. — Moja galerya. — Kawaler Zielonogłowski i marszałek Nadymalski. — Mam takich więcej. — Przejście do spraw poważniejszych. — Niewinni. — Rozmowa. — Obraz. — Ziarnko piasku. — **Moje powody i moje rady.**

Czy wiecie, czytelnicy, co to jest kwestya wschodnia? Otóż na bruku warszawskim kwestyą wschodnią nazywa się to, gdy długobrody wyznawca zasady: sto od sta, uchwyci pod filarami teatralnymi, za angielskie poły od surduta, złotego młodzieńca i, trzymając w ręku wydzierającą się ofiarę, biegnie za nią, ile mu sił wystarczy. Że zaś dla osadzenia na miejscu złotego młodzieńca, uciekającego przed wierzycielem, siły jednego człowieka nie wystarczają — bywa więc tak, że tego, który trzyma,

łapie z tyłu solidarny z nim drugi, tego znów trzeci, tego z kolei czwarty, piąty, i cała ta kawalkada, podobna do pociągu kolei żelaznej, w którym lokomotywą jest dłużnik, a wagonami wierzyciele, przebiega przed oczyma zdumionych i przestraszonych widzów tem śpieszniej, że lokomotywa dokłada wszelkich sił, żeby otrzymać najwyższą możliwą dla pośpiesznych pociągów szybkość.

Otóż to nazywa się w języku i na bruku warszawskim: kwestyą wschodnią. Nasza złota młodzież, na wzór Anglii, radaby jej nie poruszać nigdy, wschodnie zaś żywioły dążą do rozwiązania jej, ile razy zdarzy się dobra po temu sposobność. Co do mnie, wyznam szczerze, że nie lubię kwestyi wschodniej, i jeżeli wspominam o niej, to tylko dla uspokojenia moich czytelników. Złe języki rozpuściły wieść, jakoby przyczyną długiej nieobecności «Chwili obecnej» były właśnie takie politycznej natury powody, o jakich wspomniałem przed chwilą. Otóż niema w tem ani za grosz prawdy. Podróżowałem, oto wszystko. Tem się tłómaczy moje milczenie. Podróż moja trwała wprawdzie o wiele dłużej, niż pierwotnie zamierzałem, nie stało się to jednak z mojej winy.

Ponieważ w omnibusie, którym jechałem, jeden koń był kulawy, drugi ślepy, pocztylion zaś miał febrę — co wiorsta więc odpoczywał

koń kulawy, co dwie zatrzymywaliśmy się z powodu paroksyzmu, jakiego dostawał powożący, a co trzy dlatego, że każdy koń czy ślepy, czy nie ślepy, musi przecie w drodze mieć chwilę wypoczynku. Przez cały ten czas rozmyślałem nad kwestyą, czy w sumie, wyznaczonej na polepszenie naszych dróg bitych, przewidziane są pozycye wydatków na tak względne przedmioty, jak nogi i oczy dla koni, a chinina dla powożących, przyczem zauważyłem, że jeżeli nie są przewidziane, tedy wpływ chininy na szybkość komunikacyi jest faktem, który ja pierwszy odkryłem, i za który należy mi się niewątpliwie patent wynalazku.

Ileżby to prawdopodobnie znaleziono takich wynalazków w ciągu długich godzin podróży, gdyby nie wstrząśnienia, które zna dobrze każdy, komu zdarzy się choć raz odbywać drogę w karecie pocztowej, a które sprawiają, że mózg nieszczęśliwego śmiertelnika, odbijając się o ściany własnej czaszki, jak ziarnko grochu o ściany blaszanej grzechotki, nuży się łatwo i zawiesza, aż do bardziej sprzyjających warunków, swe czynności.

Nasze szosy nie pozwalają myśleć. Cóż na to poradzić i co stąd wnioskować? Poradzić nie umiem; co zaś do wniosków, to pierwszy, jaki przychodzi mi do głowy, jest: że ponieważ zarząd naszych szos z obowiązku musi po nich

jeździć, co, jak wiadomo, niepodobnym czyni proces myślenia, nie może więc, choćby nawet chciał, o nich myśleć; trzeba zatem dać pokój krzykom i wrzawie przeciw stanowi dróg wyżej wzmiankowanych. Powtóre, owe wstrząsania głowy mają swoją dobrą stronę, o której nie należy zapominać. Komu głowa lata na wszystkie strony w karetce, mózg w głowie, a myśli w mózgu, ten porządnie myśleć nie może. To było już dowiedzione, ale zapominamy, że kto nie myśli, ten się nie nudzi, kto się nie nudzi, ten się bawi, kto się zaś bawi, ten nie ma powodu narzekać ani na stan szos, ani na zarząd, który nad stanem owym czuwa.

Czy tak więc, czy owak, widzicie, czytelnicy, że nie mogę inaczej skończyć, tylko na pochwałach dla zarządu szosowego. Czy pochwały te będą zrozumiane należycie i czy zdołają obudzić w sferach zarządu odpowiednią dla mnie sympatyę, o tem, pouczony smutnem doświadczeniem, pozwalam sobie wątpić. Niedawno zdarzyło mi się pochwalić grzeczność i uprzejmość urzędników naszego Lombardu w obchodzeniu się z interesantami. W pochwałach tych nie szczędziłem różowych barw w tej myśli, że naprzód jestem z uwielbieniem dla samej instytucyi, a powtóre, któż mi może zaręczyć, czy prędzej czy później nie wejdę z nią w bliższe bezpośrednie stosunki? Co prawda, w stosunki te

już nawet wszedłem, ale na nieszczęście jakże dalekie są one od takich, o jakich marzyłem! Co powiecie? Zrozumiano najfałszywiej moje piękne zamiary. Obrażono się na mnie, obrażono najniesłuszniej; cóżem ja bowiem winien, iż Lombard sądzi, że wszelkie pochwały o nim wypowiedziane nie mogą być czem innem tylko ironią. A jednak tak sądzi sam Lombard, tak sądzą jego urzędnicy, przewodnicy i wszyscy święci, jacy tylko z instytucyą tą związek mają. «No! przecież na seryo chwalić mnie nie można, — rozumował sobie Lombard — był to więc złośliwy żart, jeżeli zaś był to żart, więc wytoczmy żartującemu sprawę». Wyznaję chętnie, że rozumowanie takie dowodzi zarówno idealnej, ewangelicznej skromności, jak i pozytywnej trzeźwości umysłowej. Tak jasnego poglądu na rzeczy dawno nie zdarzyło mi się spotkać. Co do mnie jednak, powtarzam raz jeszcze, że chwaliłem szczerze, tak, jak i teraz szczerze wynurzam moje uznanie dla władz umysłowych i bystrości rozumowania filarów pomienionej instytucyi. *Suum cuique!* Zrobiłem może nieostrożnie, zamiast bowiem sam przekonać się, o ile pochwały są słuszne, zaczerpnąłem je z pism innych.

Na wszelki wypadek jednak, mogę wskazać pierwotne źródła.

Oto i wszystko. Teraz dopiero przekonywam

się, jak źle jest wyjechać na pewien czas z Warszawy i dać sposobność «najserdeczniejszym» do rozpuszczania o sobie wieści. Wyobraźcie sobie, czytelnicy, ogłoszono mnie tu za żydożercę, a ja nie mogłem się nawet od tego ludożerczego przezwiska jak należy obronić.

Nie, moi panowie! Tak nazwa sama, jak i cały zaszczyt, jaki przynosi polemika z wami, spotkał mnie niezasłużenie.

Pierwszej wyrzekam się dlatego, że mi się nie podoba, drugą raczcie uszczęśliwić kogo wam się podoba, byle nie mnie — a przedewszystkiem nie narzucajcie się jako obrońcy tym, którzy obrony waszej nie potrzebują i którzy w danym razie, na mocy zasady: «Strzeż mnie Boże od moich przyjaciół i t. d.», żleby na niej wyjść mogli. Kto Żydom wogóle powiada, że źle mówią i piszą po polsku, czyni to nie w chęci połknięcia ich, jak się połyka ostrygę, ale w tym celu, by przestali źle, a zaczęli dobrze mówić i pisać. Kwestya wyznania i pochodzenia są to rzeczy zgoła inne, leżące zawsze poza obrębem żartów i przycinków. Co więcej powiem, dla mnie kwestya żydowska, w związku z narodowością i pochodzeniem, nie istnieje — istnieją tylko obywatele, którym należy prawdę mówić w oczy. Postawiłem tę sprawę jasno już w poprzednim odcinku i stawiam ją raz jeszcze, w nadziei, że otworzy ona

oczy tym wszystkim, którzy chcą patrzeć trzeźwo. Chodziło mi i chodzi o język i o nic więcej; tymczasem postarano się wmówić w ludzi, że młodzieńcom semickim zarzucam nietrafny wybór narodowości w chwili ich przyjścia na świat, że mam wrodzoną antypatyę do Starego Testamentu, że obrzucam błotem całą narodowość, i że kto wie, czy nie jadam befsztyków z niemowląt izraelskiego pochodzenia.

Otóż, ani takich befsztyków nie jadam, ani do innych wyżej wymienionych potworności się nie posuwam. Organowi handlowemu, który począł na cztery strony świata krzyczeć: — Zabił! zabił! — chodziło o reklamę i o nic więcej. «No, słuchaj, Izrael — ja ciebie bronię, a ty mnie prenumeruj!» — oto była tendencya tych występów, a zarazem fakt tłómaczący niezwykły zapał, z jakim mnie wzięto w obroty i z jakim przypisano mi myśli i intencye, o których ani mi się śniło.

Powiedz bo wreszcie sam, czytelniku, cobyś powiedział o tem, gdybym naprzykład napisał, że adwokaci nasi źle mówią po polsku, a ktoś wyciągnął z tego wniosek, że napadam na wyznawców religii chrześcijańskiej? A jednak taki wniosek wyciągnął organ handlowy. Ja mówiłem, że na giełdzie po większej części szwargocą z niemiecka, Bóg wie, po jakiemu, a organ handlowy wyrozumował, że napadam na wyznaw-

ców Starego Testamentu. Cóż chcecie, jest to taż sama logika, która pozwala wnosić, że ponieważ od czasów Piastowskich, aż do początków dziewiętnastego wieku, ciągle wychodziły prawa ochraniające majątki i osoby Izraelitów w Polsce osiadłych, zatem Izraelici byli pozbawieni wszelkich praw. O logiko! otworzono ci nowe drogi, ale ja ci radzę poprostu i szczerze: nie wchodź na nie, bo niedaleko zajdziesz.

O tej przeszłości i o tych dawnych prawach dałoby się wiele powiedzieć, ale znaczyłoby to polemizować wprost z naszym organem handlowym, czego pragnę uniknąć. Polemikę tę pozostawiam pismom humorystycznym, które z tak wdzięcznego materyału nie omieszkają pewno skorzystać.

Niechaj jednak nikt nie wyciąga stąd wniosku, żebym osobiście żywił jakąś niechęć tak do organów handlowych, jak i do ich podpisanych przedstawicieli. Owszem, przeznaczam im specyalne miejsce w sercu mojem, a życząc im amelioracyi językowych, zastrzegłbym sobie wyraźnie, że na cały ogół za rozeschnięty język jednego indywiduum napadać nie myślę.

Skończyłem. Wprawdzie, gdybym chciał odpowiadać na wszelkie repliki, zeszłym felietonem moim wywołane, nie mógłbym pominąć listu, pewnego jedenastoletniego Dawidka z Franciszkańskiej ulicy, wspomnę jednak o liście i auto-

rze, dla pociechy czytelników, kilku tylko słowami. W liście owym, który, mówiąc nawiasem, jest do obejrzenia w redakcyi, jedenastoletni Dawidek pyta mnie przedewszystkiem, dlaczego zaczepiam Żydów we wtorek (skąd się wziął wtorek, Bóg widzi, nie wiem), następnie więcej tragicznie, niż ortograficznie grozi mi okropnymi skutkami, jakie z tej mojej zuchwałości wypłynąć mogą, a w końcu w sposób zupełnie już liryczny oświadcza, że codzień po obiedzie ma zwyczaj wychodzić na przechadzkę.

Ostatni ten zwyczaj, lubo trudno wyrozumieć, w czem bezpośrednio może on mnie dotykać, pochwalam w tobie, Dawidku. Przechadzka po obiedzie służy zdrowiu i zapobiega gnusności. Mniej natomiast podoba mi się to, że mając lat jedenaście i będąc uczniem, zamiast się uczyć, pisujesz listy do redakcyi. Widzisz, jak się będziesz uczył, to nauczysz się: popierwsze, lepiej rozumieć zawsze o co chodzi, a powtóre, nauczysz się pisać i nie pomieszasz wtorku, felietonów i poobiedniej przechadzki, jak grochu z kapustą. Byłbym odesłał twój list do *Gazety Handlowej*, która wydrukowałaby go niezawodnie, ale właśnie nie chciałem cię wbijać w pychę, pragnę bowiem, żebyś jeszcze trochę urósł, nim zostaniesz szermierzem czyjej sprawy. Tymczasem ucz się, a gdy nauka rozświeci ci w główce, gdy wyrośniesz na pożytecznego pracownika

społeczeństwa, którego jesteś członkiem, gdy nauczysz się czytać i poprawnie mówić i pisać po polsku, wówczas będziesz taki dobry, jak i każdy inny, wówczas — (nie obawiaj się za wcześnie) — nikt nie będzie na ciebie napadał i każdy chętnie wyciągnie do cię rękę, bez względu na twe pochodzenie i wyznanie.

Spodziewam się, że sprawa stoi jasno, i przechodzę do czego innego. Będę wam teraz, czytelnicy, opowiadał anegdotki z wielkiego świata, a czynię to tem chętniej, że potrącę o francuszczyznę, która dla naszych salonów jest tem samem, czem język niemiecki dla naszej giełdy. *Enfin nous pouvons le lire!* — wykrzyknął pewien dystyngowany młodzieniec, imieniem Toś — dowiedziawszy się, że Kraszewskiego mają przekładać w «*Revue des deux mondes*» na francuski. *Enfin nous pouvons le lire!* — powtórzyło z zadowoleniem całe równie dystyngowane towarzystwo: księżna Bibi, hrabianka Mimi, pani Dziurdziulewiczowa z córkami, radca Cymbałkiewicz, *chevalier de* Zielonogłowski, marszałek Nadymalski i *l'abbé* Wyliżalski. Toś mi zaręczał, że z tego powodu była wielka i długotrwała uciecha. No! proszę! proszę! I pomawiają tu nasze salony, że się nie zajmują literaturą krajową. Mylicie się, demagogowie! salony nasze żywo obchodzi literatura krajowa, potrzeba umieć ją tylko podać z odpowiednim sosem. Że to się źle czyta po

polsku, nic dziwnego, bo się źle rozumie po polsku. Ot, naprzykład, *chevalier de* Zielonogłowski, cóż on winien, że nie zna dobrze swojego języka? Od najmłodszych lat miał guwernera, bardzo zresztą dystyngowanego i w dobrym duchu człowieka, niejakiego Monsieur d'Orangoutang, który, jako cudzoziemiec, nie mógł go wyuczyć tutejszo-krajowego języka; następnie, doszedłszy do lat młodzieńczych, chodził w Paryżu do szkoły Mabile... chciałem powiedzieć: centralnej, której jakkolwiek nie skończył, nabrał za to manier w Bulier... chciałem powiedzieć foubourg S. Germain — i bądź co bądź dał piękny przykład, że w dzisiejszych czasach najbogatszy nawet i najlepiej urodzony człowiek musi mieć jakąś specyalność, choćby polegającą na umiejętnem wygładzaniu i utrzymaniu paznogci. Mówię to wszystko dlatego, że mimo tak cudzoziemskiej edukacyi, *chevalier* ucieszył się jednak razem z innymi, że będzie mógł czytać Kraszewskiego. Wogóle zapewniam was, czytelnicy, że całe to towarzystwo, w które was wprowadziłem, oddycha jak najlepszemi chęciami. Prócz tego wszystko to są tak mili ludzie, że pewno nie oprę się chęci poznajomienia was w następnych odcinkach szczegółowo z każdą wyżej wymienioną przeze mnie osobistością. Dziś tego uczynić nie mogę, zabrałoby mi to bowiem zbyt dużo czasu, dlatego poprzestanę na powie-

dzeniu wam kilku słów o marszałku Nadymalskim.

Co mnie w tym człowieku zawsze szczególnie zachwycało, to ta godność osobista, która bije z każdego jego gestu i słowa. Nie dziwcie się, że marszałek z lada kim wdawać się nie będzie. Nie pozwala mu na to ani pozycya socyalna, ani nazwisko. Jak jednak umie przeczuć z samego brzmienia nazwiska, z kim można zrobić znajomość, a z kim nie, niech wam tego dowiedzie następujący wypadek.

Na pewnych wodach zagranicznych, przy tabldocie siedziało polskie towarzystwo, w którem znajdował się i marszałek. Marszałek nie znał nikogo, ale wiedział z kim ma do czynienia, dlatego zachowywał się ostrożnie i milcząco. Gniewało go już to, że ci, którzy zwracali się do niego w rozmowie, nazywali go tylko poprostu: panie dobrodzieju — nie był więc i w humorze. Rozmawiano o muzyce, o operach, wymieniano rozmaite nazwiska, o których marszałek nigdy nie słyszał i nie wiedział, co są zacz — wreszcie ktoś zwraca się do marszałka i pyta:

— Pan Dobrodziej lubi muzykę?

Marszałek kiwnął lekko głową, co znaczyło, że jeżeli jej nie lubi, to przynajmniej jej pobłaża.

— A zna Pan Dobrodziej Hugonotów?

Marszałek z samego brzmienia nazwy domy-

dził się, że to jakaś nieszczególna szlachta, może i nie szlachta, która, jak sądził, bawi właśnie na wodach, dlatego odrzekł sucho:

— Nie znam i nie życzę sobie!

Co za takt! co za przezorność prawdziwie polityczna! I pomyśleć tu sobie, że ten człowiek, któryby na szerszej arenie politycznej znalazł dopiero sposobność do rozwinięcia wszystkich swych świetnych przymiotów, musi ograniczać się na sprawach jednego powiatu!

Jeżeli jednak sądzicie, demagodzy, że mało mamy tu w Warszawie takich Nadymalskich, takich Zielonogłowskich, Tosiów, takich matron, jak pani Dziurdziulewiczowa z córkami, takich dam, jak księżna Bibi i hrabianka Mimi, to się mylicie. Na większy wstyd wasz, a chwałę naszego grodu mamy takich postaci dosyć. Poczekajcie: niech przyjdą czasy filantropijnego przebierania nogami, koncertów, żywych obrazów, a w następnych odcinkach będę wam je wytrząsał jak z rękawa.

* * *

A teraz spytacie, czytelnicy, co słychać poważniejszego w Warszawie?

Doprawdy niewiele więcej, niż wam już powiedziałem, a przytem może i nie o wszystkiem wiem, bo jak wspomniałem, parę tygodni nie

byłem w mieście. Wróciwszy, zastałem Warszawę, a raczej towarzystwa warszawskie, deklinujące na wszystkie sposoby wyraz: «Niewinni». Doprawdy, nie myślę wcale wkraczać w dziedzinę zazdrosnego o swoje prawa naszego recenzenta teatralnego, sądzę jednak, że sztuka ta nie musi być pospolitą miernością, skoro tyle zdołała wzbudzić rozpraw, sporów i gorących za i przeciw. Pamiętam, że po przedstawieniu jej udałem się do jednego z naszych artystyczno-literackich salonów. Nie rozmawiano o niczem więcej, tylko o tej sztuce. Między zwolennikami jej tendencyi odznaczała się szczególniej pewna piękna i młoda dama, której następnie towarzyszyłem w drodze do domu. Wyszedłszy z towarzystwa, była jeszcze pod wpływem sztuki i rozpraw o niej. Rozmowa nasza snuła się dalej na tejże samej kanwie, było to jednak zarazem jakby badanie się wzajemne dwu umysłów, które się nie znają, a poznać pragną. Jeśli dwie dusze zespolisz z sobą na długie lata, wówczas póty będą się do siebie naginały, aż znajdą pewną linię wspólną dla swych charakterów, usposobień i wyobrażeń, po której dalej już pójdą ręka w rękę. Ale przy pierwszem zetknięciu się, nim w świecie jednakich myśli i pragnień nastąpi porozumienie, zawsze odbywa się pewna jakby próba, podczas której, co jeden duch pochyli się ku drugiemu, to drugi cofa się

znowu, jak trwożliwy ślimak w skorupę. Takiem też próbowaniem i cofaniem się wzajemnem była początkowa nasza rozmowa, porozumienie jednak nadchodziło szybko. Towarzyszka moja co chwila stawała się szczerszą. Noc i cisza późnej godziny usposabiała ją do otwartości. Była to dusza przejasna, wrażliwa, nawskroś artystyczna, ale zmęczona trochę. W chwilach takich duchowego zmęczenia pospolity filister wpada w apatyę, poczyna palić fajkę, kupuje sobie orzechów i gryzie je bezmyślnie, albo też obraca oczy naokoło siebie, wielkie palce rąk złożywszy na żołądku, mrucząc i zrzędząc trochę na porządek tego świata. Ale dla istot uczuciowych i wrażliwych, a obdarzonych bujną wyobraźnią, stan zmęczenia duszy jest stanem strasznego zwątpienia o wszystkiem i bezdennej duchowej rozpaczy, która im głębiej nurtuje, tem większym na zewnątrz pesymizmem się objawia. Towarzyszka moja właśnie była w takiem usposobieniu — które na nieszczęście nie wydawało się chwilowem tylko. Zaprzeczająca wolnej woli tendencya «Niewinnych», pod której wrażeniem zostawała i z którą się zgodziła, nasunęła jej cały szereg myśli i konsekwencyi, tak pesymistycznych, jakby całe życie chowała się na filozofii rozpaczy Hartmanna.—Niema więc wolnej woli, mówiła do mnie, jesteśmy tylko igraszką

własnej krwi, własnego temperamentu i zewnętrznych warunków otoczenia.

— Straszna myśl, a jednak prawdziwa. Ale wobec tego cały ten świat, tak piękny i rozumny, jest tylko zlewem ślepym sił, najgorzej zresztą połączonych. A człowiek jest potępieńcem, z góry skazanym, żeby żył bez jednej chwili szczęścia, rozmotywał, cierpiąc, poplątane nitki życiowych zawikłań i umierał bez nadziei świadomego odpoczynku w grobie. Nie zaprzeczaj pan, żeby mnie po cieszyć—mówiła dalej.—Nadto rozumiem konsekwencye z tej jednej zasady płynące: tłem życia ludzkiego jest rozpacz, a dogmat Kalwina o z góry potępionych — prawdziwy, byle tylko nie do połowy, ale do całej ludzkości go stosować.

— Jednakże, pani, są w życiu błogie chwile, trzeba tylko umieć pochwycić w lot przelatującą wizyę szczęścia.

— W życiu są tylko złudzenia, a na to, by nie cierpieć, trzeba chyba nie myśleć.

— Więc, według pani, ludzie prości, którzy mniej myślą...

— Cierpią tylko fizycznie, nie mniej jednak cierpią. Zmienia się tylko rodzaj cierpienia, ale nie stosunek jego do człowieka.

— Więc, według pani...

— Więc, według mnie, odpowiedziała szybko, autor «Niewinnych» dotknął tylko jednej z ca-

łego szeregu prawd, dających się streścić w słowach, że wszystko jest jak najgorzej...

— A czy pani ośmieli się pójść o jeden wniosek wyżej?

— O! gdybym miała choć cząstkę wszechmocy, — zawołała głosem, w którym drgały łzy — rozkazałabym natychmiast całemu światu, żeby był szczęśliwym!

Tak rozmawiając, doszliśmy do bramy, przy której trzeba było nam się rozstać. Pociągnąłem za dzwonek, ale zamiast ociężałego chodu stróża, inne jakieś odgłosy doszły nas z ulicy. Mimowoli dreszcz jakiś przeszedł nas oboje. W odgłosach tych było coś przerażającego, coś, od czego włosy powstawały na głowie. Było to jakby echo odległych miarowych kroków, w połączeniu z głuchym i zimnym szczękiem żelaza. Wkrótce, w pomroku ulicy poczęły błyskać mdłe światła dwu latarek i rysować się czarne sylwetki postaci ludzkich. Złowróżbny ten korowód zbliżał się coraz bardziej i wreszcie sunął niby wąż obok nas. Był to konwój więźniów zbrodniarzy, prowadzony przez kilkunastu żołnierzy, a dźwięki, które słyszeliśmy zdaleka, pochodziły z uderzeń o siebie łańcuchów. Wśród ciszy nocnej, te ponure światła latarni, odgłos kroków, brzęczenie łańcuchów — ów półmrok, półświatło, w którem z dantejską posępnością zarysowały się postaci ludzkie, podobne do czar-

nych mar piekielnych, wszystko to ściskało serce lodem i przejmowało drżeniem; jakiś dziwny niepokój zdawał się panować w całej naturze. Powietrze było ciężkie i przesycone wilgocią; po niebie przelatywały z niepojętą szybkością drobne białawe chmurki, które, to przysłaniając, to odsłaniając tarczę księżyca, rzucały co chwila posępne cienie. Zdala dochodziło bicie wieżowego zegaru.

Gdy ostatni szereg przesunął się już koło nas, spojrzałem na moją towarzyszkę. Księżyc oświecał jasnem światłem grecki jej profil, a oczy były zalane łzami.

— Oto ilustracya do słów moich — wyszeptała z cicha, a po chwili rzuciła jeszcze jeden wyraz: — Niewinni!

Pożegnałem ją i oddaliłem się zwolna, ale w duszy pozostało mi na długo niezatarte niczem wrażenie. Zaiste, kto byli ci ludzie, których prowadzono wśród nocy? z jakich przyszły na świat rodziców te dzieci błędu, łez i nędzy, ci straceńcy życia? Czy składał kto za dziecinnych dni maleńkie ich dłonie do wieczornego «Ojcze nasz»? czy choć jedna łza miłości stoczyła się z macierzyńskich powiek na ich czoła? czy mieli choć jedną chwilę jasną w życiu?

Stracone pytanie bez odpowiedzi.

A teraz spytasz mnie, czytelniku: dlaczego rzuciłem ci przed oczy ten obraz? Uczyniłem

to z wielu powodów. Miłosierdzie publiczne troszczy się o małoletnich przestępców, o kaleków, paralityków, wreszcie o biedaków, nie mających kawałka chleba dla obrony od głodu, ani szmaty, zabezpieczającej od chłodu. Niechże więc to miłosierdzie pamięta, że obok kalek fizycznych są i kalecy moralni, tem trudniejsi do uleczenia, że z kalectwem już zrośli, ale tem nie mniej potrzebujący ratunku. Dostarczcie im to czasem książki poczciwej, wlewającej pociechę w duszę, to czasem ciepłego słowa, to wreszcie materyalnej pomocy. W krajach zachodnich opinia publiczna żywo zajmuje się więźniami — my mamy wprawdzie osady rolne dla małoletnich, ale o pełnoletnich, prócz właściwych władz, nikt się nie troszczy. Na to właśnie chciałem zwrócić uwagę. Wszystko zrozumieć jest to wszystko przebaczyć.

Oto już jeden powód, dla którego podzieliłem się z wami wrażeniem, ale jest i inny. Towarzyszkę, o której wam pisałem, spotkałem potem raz jeszcze. Mówiliśmy o wrażliwości artystycznej.—Wrażliwe dusze a artystyczne, mówiła do mnie, są jakby konchy perłowe: gdy wpadnie w nie ziarnko piasku, oddają je w postaci perły światu.

Otóż w czasie tej nocy i na widok tych nieszczęśliwych, na duszę upadło mi ziarnko piasku — więc je oddaję wam jak umiem, czytelnicy.

Trzecim, nakoniec, powodem jest kilka słów dobrej rady, jakich zamierzam wam udzielić. Że w życiu ludzkiem często pod uśmiechem łza bolu się kryje, jak wąż pod kwieciem, że więcej jest dni posępnych niż wesołych, że wiele jest nędzy i ciernistej niedoli, że wreszcie lata, w których wierzy się w możność zdobycia osobistego szczęścia szybko przechodzą — są to prawdy, z któremi walczyć nie myślę. Ale jest sposób, by życie mimo wszystkiego znośnem, a nawet powabnem się stało. Sposób to bardzo prosty: kochać ogół, pracować dla niego, kochać wielkie ideje, literaturę, sztukę... i ani się człek opatrzy, jak nadejdą wieczorne dni żywota, i spracowana głowa sama do snu i wypoczynku się skłoni.

Co widzę?... skończyłem coś jakby kazaniem, a wyście może śmiechu chcieli? Wybaczcie!

Litwos.

Gazeta Polska, 1875, Nr 251.

Ad usum Delphini.

Wspomnienia z teatru we Lwowie.

Była może godzina dziesiąta rano, gdy idąc Hetmańskimi wałami od Maryackiego placu ku ulicy Teatralnej, ujrzałem przed sobą po raz pierwszy wyniosłe mury Skarbkowskiego teatru we Lwowie. Gmach to ogromny, mało co mniejszy, a może i nie mniejszy od naszego teatru w Warszawie, a jakkolwiek styl jego nie odznacza się niczem osobliwem, całość jednak imponuje ogromem i powagą. Zabudowany w czworokąt, bokami wychodzi na cztery ulice, wewnątrz zaś obejmuje dwa wielkie dziedzińce, salę przedstawień prawie większą, a przynajmniej pakowniejszą od naszej, scenę, garderoby, kancelaryę zarządu teatralnego, olbrzymią kawiarnię i mnóstwo mieszkań, rozrzuconych po dwóch piętrach w dziedzińcach.

Gdym wszedł do wnętrza, owiała mnie chłodna atmosfera, jaka zwykle panuje w wielkich gma-

chach i ogarnął półmrok, półświatło. Godzina, jak wspomniałem, była ranna, więc lampy nie paliły się w przedsionku. Nie było jednak tak ciemno, żeby nie można było odróżnić otaczających przedmiotów. To też po chwili, gdy oczy moje przyzwyczaiły się do owego poważnego mroku, ujrzałem wprost siebie biały kamienny posąg Skarbka, fundatora teatru, w dali ciemne, korytarze, na prawo zaś szklane okienko kasy, przy którem stał jakiś człowiek, rozmawiając z kasyerem.

Miałem interes do dyrektora, dlatego zbliżyłem się do rozmawiających, pragnąc rozpytać ich o jego mieszkanie, do którego w tym labiryncie gmachów, korytarzy, drzwi i balkonów nie spodziewałem się trafić bez dokładnych wskazówek. Jakież więc było moje zdziwienie, gdy w młodym mężczyźnie, stojącym przy okienku, poznałem samego dyrektora, znanego mi już poprzednio z Warszawy.

Po pierwszych wykrzyknikach powitania, uprzejmy dyrektor zamówił dla mnie miejsce na wieczorne przestawienie, poczem oświadczył, że jakkolwiek źle trafiłem, bo na melodramat, jednakże mogę to sobie wynagrodzić bytnością na próbie «Niewinnych», która właśnie odbywała się w tej chwili.

Zgodziłem się najchętniej, i przez ciemny korytarz udaliśmy się do sali. Dyrektor odsunął

zcicha drzwi loży, do której weszliśmy obaj, po chwili jednak opuścił mnie i udał się na scenę, gdzie obecność jego była potrzebna. Artyści byli już zgromadzeni. Właśnie próba rozpoczęła się przed chwilą. Jakiż to dziwny, a zarazem i uroczysty charakter ma każda próba poważnej sztuki! Przed sceną migotało posępnie kilkanaście lamp, których światło osłonione od strony sali, nie mogło rozproszyć panującego w niej mroku. Niemasz nic bardziej ponurego, niż sala teatralna, widziana w czasie dnia. Ta poważna cisza, zalegająca mroczne głębie, te puste rzędy krzeseł, czerwonawy mrok, walczący z bladem, wdzierającem się tu i owdzie światłem dziennem, ten ogrom posępny i martwy, od którego wieje chłodem i pustką — wszystko to prawdziwie przejmujące sprawia wrażenie. Na oświetlonych czerwonawem światłem deskach scenicznych stali lub siedzieli artyści, recytując półgłosem swe role. Twarze ich zaledwie można było rozróżnić. Echo, drzemiące w głębiach sali, donosiło do uszu moich ich słowa, zaledwie dosłyszalne, stłumione, ale dźwięczące dziwnym akcentem prawdy. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek doznał tak silnego złudzenia rzeczywistości. W czasie przedstawienia, wobec tłumów zgromadzonej publiczności, wobec tysięcy świateł, gorącej atmosfery, muzyki i deklamacyi, człowiek, zwłaszcza otrzaskany ze sceną, nie

zapomni nigdy, że jest w teatrze i że widzi przed sobą mniej więcej dobrze napisaną i graną sztukę, nie zaś istotne zdarzenie życiowe. Ale na próbie nie widzisz ani świateł, ani muzyki, ani kostiumów, ani deklamacyi, ani wreszcie aktorskiej pozy. Żaden z artystów nie deklamuje ci z koturnu, żadna artystka nie uwydatnia efektów, stąpając gorączkowym, tragicznym krokiem. Jednem słowem, nie widzisz tego, co się nazywa aktorstwem. Spoglądasz na zwyczajnych ludzi, ubranych jak wszyscy, czujących i okazujących uczucia tak, jak się wypowiada, czuje i okazuje w życiu. Wieczorem muszą pamiętać, że gra ich ma zrobić wrażenie z odległości, i dlatego uwydatnianie jaskrawsze efektów jest wtedy tak potrzebne, jak róż i bielidło na twarzy. Odległość i światło gazowe mają swe prawa, o których trzeba pamiętać. Na próbie względy te nikną. Artyści grają tylko dla siebie. Chodzi im więcej o umocnienie roli w pamięci, oszczędzają się więc, zachowując siły na później. Próba niema nigdy tej precyzyi, jaką musi posiadać przedstawienie, ale właśnie ten brak dokładności, ten pewien nieład życiowy i oszczędzanie efektów, na człowieku obytym z teatrem, sprawia większe wrażenie rzeczywistości. Cisza panująca w sali, mrok, pustka, migotliwe światła lamp, echa wiszące pod ciemnem sklepieniem, powiększają jeszcze moc tego wrażenia. Przy-

sięgłbyś, że między tymi ludźmi zaszło coś istotnego, że jakieś prawdziwie bolesne a tajemnicze zdarzenie powikłało ich stosunki i otoczyło niby siecią pajęczą, z której wszelkiemi siłami usiłują, a nie mogą się wyplątać.

Takie wrażenie zrobiła na mnie próba «Niewinnych». Wrażenie to upamiętniło się dla mnie tembardziej, że pierwszy raz wtedy widziałem panią Nowakowską. Artystka ta jest jednym z filarów sceny lwowskiej, a przynajmniej jest zań przez tamtejszą prasę i publiczność uważana. Przedewszystkiem *con amore* grywa czarne charaktery niewieście, które oddaje z niewypowiedzianą namiętnością i siłą. Głos jej silny, ruchy swobodne, rysy regularne, ale do wysokiego stopnia charakterystyczne, dobrze nadają się do wyrażania gwałtownych uczuć, lub do grozy i majestatu. Artystka posiada przytem wiele wrodzonej lub nabytej dystynkcyi, która zapewnia jej powodzenie w rolach salonowych. Wreszcie repertuar jej, jak prawie wszystkich tamtejszych artystów, jest nader obszerny. Miejscowa krytyka, przyznając tej artystce niepospolite zalety, przyznając, że w niektórych rolach nie ma sobie równej, zarzuca jej jednak pewną manierę w głosie i sposobie traktowania. Trudno mi powiedzieć, o ile zarzut ten jest uzasadniony, i o ile, jako wada, możebny do usunięcia. W roli Julii w «Niewinnych» artystka podobała mi się.

Rola to trudna, wymagająca przedewszystkiem gry temperamentowej, gry nerwów; postać Julii, mojem zdaniem, jest najwadliwszą ze wszystkich wchodzących do «Niewinnych», dlatego nie sądzę, aby artystka mogła z niej wyjść zupełnie zwycięsko, miała jednak sposobność do okazania owych zasobów siły i namiętności, które najcelniejszą jej zaletę stanowią. W każdym razie jest to niepospolity temperament sceniczny, jaki nie łatwo zdarza się spotkać.

Zbyt mało ją jednak widziałem, abym mógł stanowcze o niej wydać zdanie, wspomniałem zaś o niej tylko dlatego, że pragnąc zaznajomić naszą publiczność z najwybitniejszemi osobistościami sceny lwowskiej, nie mogłem o niej przemilczeć.

Zresztą próba «Niewinnych», o której wspomniałem, nie była wcale ostatnią; niektórzy artyści prawie nie grali, ale powtarzali swe role tylko pamięciowo, brakowało więc artystce odpowiedniego otoczenia. Właściwe przedstawienie, jakkolwiek innej sztuki, miałem ujrzeć o kilka godzin później, dlatego też wprost do niego przechodzę.

O siódmej wieczorem, bo we Lwowie przedstawienia rozpoczynają się o siódmej, byłem już w teatrze. Grano sztukę p. d'Ennery i Cornon p. t.: «Dwie sieroty»; jest to dość jaskrawy melodramat, który wygląda tak, jak gdyby prze-

robiony był z jakiej powieści w rodzaju «Tajemnic Paryża» Eug. Sue'go. Dwie siostry, a raczej dwie koleżanki, z których jedna ociemniała, przyjeżdżają do Paryża. Starszą z nich na samym wstępie porywa młody i bogaty, a rozpustny szlachcic — ociemniała zaś wśród ogromu Paryża pozostaje sama jedna i opuszczona. Rozmaite, a pełne przerażających przygód koleje tych dwóch sióstr stanowią dalszą część dramatu. Starszą siostrę grała panna Deryng. Artystkę tę poznałem już poprzednio w Warszawie, gdy nakształt ognistego meteoru przeleciała po naszem teatralnem niebie i znikła, pozostawiwszy po sobie jedynie jasne wspomnienie. W Warszawie wystąpiła tylko w piątym akcie «Fausta» — dalsze bowiem jej występy, z powodu wielu rozmaitych, a od niej niezależnych okoliczności, nie mogły się odbyć. Jakkolwiek z tego już wystąpienia można było sądzić o wielkim jej talencie, jakkolwiek tak krytyka, jak i publiczność lwowska uważa ją za najpierwszą artystkę miejscowego teatru, wyznaję jednak, że z pewnym niepokojem wewnętrznym szedłem na przedstawienie, na którem miałem ją widzieć raz drugi. Obawiałem się poprostu, czy artystka utrzyma się na wysokości opinii, jaką Warszawa z owego przelotnego wystąpienia o niej powzięła. Tymczasem sala powoli zaczęła się napełniać. Damy wielkiego miejscowego świata zajmowały zwolna

loże, nie spóźniając się, na wzór naszych mm. Dziurdziulewiczowych o pół godziny na przedstawienie. W krzesłach pokazywano mi tamtejsze znakomitości literackie i polityczne. Z ciekawością przypatrywałem się tej zupełnie nieznanej dla mnie publiczności. Publiczność jest rzeczą równie ciekawą, jak i przedstawienie. Każda ma właściwy sobie temperament, właściwy sobie sposób sądzenia, odmienny w wielu razach smak. Co się podoba we Lwowie, nie zawsze podobać się może w Warszawie, chyba że całkiem już wychodzi z granic zwyczajności.

Znalazłem wielkie różnice między publicznością warszawską a lwowską, dlatego tem ciekawiej przypatrywałem się tej drugiej. Warszawska nie zaciekawia mnie już; znam ją na wylot, nietylko w ogólności, ale nawet i w szczegółach. Wiem z góry, kto w jakiej loży usiądzie. Wiem, że dwie najbliższe sceny zajmą dżentelmenowie o przeogromnych białych gorsach — nasze gogątka, przezywające się między sobą Zizi, Pipi, Bibi, Trutra, Joujou. Widzę z góry te fizyognomie, wyrażające wiecznie niewysłowioną radość z tego, że przyszły na świat, dziękujące każdem drgnieniem Bogu Ojcu, że je stworzył, Synowi Bożemu, że je odkupił, a nie mające najmniejszej pretensyi do Ducha świętego, że ich nie oświecił. Widzę je już przykładające lornetki do oczu, ukazujące zdumionemu światu guzy u rękawów wielkości

deserowych talerzyków. Zdaje mi się, że słyszę pięknego kawalera Malgrétout, jak w najgłupszych miejscach sztuki gładzi swą piękną czarną brodę i powtarza: *Comme idée — c'est sublime!* Słyszę zarówno, jakim nizkim arystokratycznym basem śmieje się comte Łyku-Łyku, z jakim zachwycającym hałasem wschodzą do lóż panie N., X., Z., jak szeleszczą sukniami, wachlarzami; widzę, jak wdzięcznie zwraca się ku mamie powszechnie uwielbiana niewinność, panna Funia i w miejscach dwuznacznych pyta naiwnie: «Z czego się śmieją? *je n'y comprends rien*»; słyszę, jak w tychże dwuznacznych miejscach pierwsze rzędy krzeseł z iście marsową werwą stukają o podłogę, wołając nieco ochrypłymi głosami: brao! brao! Wiem, że na dole spotkam opartego o filar młodego lorda Havelock, o niesłychanych kołnierzykach, niewidzianych faworytkach, bladej twarzy i bajronicznej czuprynie, który wiele cierpiał w życiu... na odciski i który ujrzawszy mnie, uściśnie dłoń moją i wykrzyknąwszy: *„Ol rajt!“ (all right!)*, znowu potem zapadnie w zadumę; wiem nakoniec, że w krzesłach zaczepi mnie znany polityk, publicysta, ekonomista, estetyk, felietonista, doktor — co chcecie wreszcie, i musnąwszy iście przedpotopowe wąsy, powie:

— Wiesz pan, wzywają mnie koniecznie na

Dyrektora do wiedeńskiego Burgu. Zgadnij też pan, ile listów odebrałem?

— No, ile?

— Piętnaście!

Ni mniej ni więcej. Bagatela! ale nie o to mi idzie. Chcę tylko powiedzieć, że w warszawskiej publiczności niemasz nic dla mnie tajemniczego, i że ta zupełnie od lwowskiej różna. Warszawska o wiele jest żywsza i wrażliwa: oklask tu zawsze jak burza, entuzyazm dłuższy. Spojrzyjcie na tę czarną, zbitą masę głów, pochyloną z paradyzu na scenę. Oczy tu mało nie wypadną z orbit; dech w piersiach zatamowany, każde słowo, łowione w locie tysiącem uszu, twarze odbijają każde wrażenie jakby zwierciadła. Miło jest mówić do publiczności, która tak umie słuchać; dlatego artyści powinni czuć i czują dla niej wdzięczność. Oczy każdego wywołanego artysty i każdej artystki biegną tu przedewszystkiem ku górnym sferom teatru; dla nich najprzyjemniejszy uśmiech i dla nich najserdeczniejsza podzięka. I słusznie. We Lwowie jest inaczej. Inicyatywę do wywoływań i oklasków daje tam nie paradyz, ale parter, na którym panują studenci uniwersytetu, a w szczególności bujny i rej wiodący naród techników. Z tem wszystkiem masy, jako masy, daleko tam obojętniejsze, oklaski brzmią tam jakby znudzone i mdleją zaraz po urodzinach: podwójne

lub potrójne wywoływania aktora jest już dowodem najwyższego uznania; nasze cyfry, dochodzące siedmiu lub ośmiu razy, nie są tam znane. Cały wreszcie teatr wygląda posępniej, bo jakkolwiek nowa dyrekcya powiększyła już liczbę świateł, przecie i teraz jest jeszcze ciemno, nawet tak ciemno, że rysów osób siedzących naprzeciw, bez szkieł dokładnie rozeznać nie można.

Ale wracam do przedstawienia i do panny Deryng. Mówię, że zjawienia się jej oczekiwałem z pewnym niepokojem, bo bałem się rozczarowania. Tymczasem zadzwoniono; kurtyna się podniosła i rozpoczęło się przedstawienie. Pierwsze sceny przemknęły jak błyskawica; nakoniec wyszła i panna Deryng w towarzystwie znanej warszawskiej publiczności Zimajerowej. Po kwadransie gry, którą studyowałem zarówno pilnie jak krytycznie, począłem formułować sąd. Nie zawiodłem się. Obawa rozczarowania odleciała jak posępny ptak nocny przed światłem. Postać wysmukła, wiotka, ale gibka, rysy wyraziste, z łatwością odbijające wrażenia, głos donośny, pełen owych głębokich drgań, płynących z duszy i trafiających do duszy, a przytem giętki i dźwięczny — oto przymioty, które w tej artystce najpierwej każdego uderzają. Później widziałem ją jeszcze kilkakrotnie, dlatego mogłem dokładne sobie o niej zdanie wy-

robić. Gra jej wywiera zawsze niepospolite wrażenie. W grze tej niema misterności, niema drobiazgowego rzeźbienia szczegółów i zwykłych aktorskich efektów. Sposób traktowania szeroki a potężny. Widzisz w nim i czujesz prawdę. Technice możnaby to i owo czasami zarzucić, ale owe niedostatki, łatwe zresztą do usunięcia, nagradza pełnia uczucia i niepospolita twórczość. Ta twórczość stanowi, można powiedzieć, szczególniejszą cechę, a zarazem i najwyższy przymiot jej gry. Artystka posiada wprawdzie zadziwiającą jak na wiek swój rutynę sceniczną, ale patrząc na grę jej poznaje się odrazu, że rutyna ta jest tylko środkiem, ułatwieniem i niczem więcej, istotę zaś gry — duszę jej — stanowi owo twórcze uczucie, którego gdzieindziej, prócz w sercu, w wielkiej a potężnej miłości do sztuki i w zapale młodzieńczym — szukaćby było próżno. Mniejsza o to, że gra jej jest często doskonałą pod względem zewnętrznym — przedewszystkiem jest natchnioną. Doskonałość techniczną można wyrobić — natchnienie... Odpowiem wam wierszem poety.

«Jak wietrzyk, co listkami po gałązkach dzwoni,
«Lub po modrem zwierciadle mały żagiel goni,
«Nie jest własnością drzewa, ni żaglowej łodzi,
«Bo Ten, co mu wiać każe—Ten i wiać przeszkodzi;
«Tak natchnienie, co w niebo skrzydlatą myśl wzbija,
«Bóg daje — bo natchnienie to własność niczyja».

Istotnie: skąd się bierze ta siła niebieska, przyprawiająca skrzydła do ramion, a potężna jak bóstwo, bo jak bóstwo twórcza? czy rzeczywiście zlatuje w postaci błękitnego płomienia z obłoków? — nie tu miejsce rozprawiać; to tylko pewna, że artystka, o której mowa, siłę tę w wysokim stopniu posiada. Może później, gdy rozczaruje się, gdy się wystudzi, gdy niepodsycana znikąd karmią dla umysłu i serca, przywyknie do owego głodu wrażeń i wyschnie pod jego zabójczym wpływem, może później, powiadam, pozostanie jej tylko sama rutyna, sama doskonałość zewnętrzna. Ale dziś jeszcze do tego daleko: artystka czerpie z duszy, nie z wprawy; potrzebaby jej tylko szerszego koła działalności, innych warunków życia — i może szerszej, a przedewszystkiem żywiej czującej publiczności.

Dziś jeszcze młodość i zapał zastępuje owe warunki zewnętrzne. Jak dalece artystka przejmuje się swemi rolami, miałem dowód, gdy w czasie antraktu zaszedłem za kulisy powitać ją, jako znajomy z Warszawy. Upłynęła zaledwie chwila po zapuszczeniu zasłony. Artystka była tak wzruszona odegraną niedawno sceną, że zaledwie zdołała odpowiedzieć na moje powitanie. Zdawało mi się, że drży na całem ciele, nie ochłonąwszy jeszcze z przedewilowych uniesień. Na twarzy, pokrytej, jak zwykle na scenę, grubą warstwą bielidła i rużu, znać było sku-

pienie wewnętrzne i wewnętrzną pracę ducha; podczernione jej oczy świeciły fosforycznie. Rozmowa nasza nie mogła trwać długo, bo urzędowe kaleczenie uszu domorosłemi Polkami nie jest w zwyczaju we Lwowie, a muzyka antraktowa i same antrakty trwają daleko krócej niż u nas. Z rozmowy tej jednak dowiedziałem się, z jak żywą wdzięcznością wspomina artystka nasze miasto i przyjęcie, jakiego po swym przelotnem występie ze strony publiczności doznała. Czy zobaczy jeszcze artystka naszą publiczność, a publiczność artystkę?—trudno powiedzieć. Jeżeli to nastąpi, nastąpi zapewne nieprędko. Tutejsze najznakomitsze artystki, dalekie zarówno od uczuć zazdrości, jak i od bojaźni współzawodnictwa, chętnie ujrzałyby między sobą nową koleżankę, chętnieby nawet, gdyby to od nich zależało, pomogły młodemu, rokującemu takie nadzieje talentowi. Nie mam zwyczaju mówić nic nigdy na domysł, więc i powyższe zdanie wypowiadam dlatego, że słyszałem je z ust osób, o których mowa. Oznacza to zarówno szlachetne, koleżeńskie uczucia, jak i głębokie zamiłowanie do narodowej sztuki.

A teraz pytanie: czy panna Deryng byłaby tu istotnie potrzebną? Któż na nie odpowie przecząco? Posiadam, a przynajmniej uzurpuję sobie przywilej *d'un enfant terrible*, pozwalającego sobie wypowiadać rozmaite takie prawdy, które się

wprawdzie czuje, ale o których się z różnych względów nie mówi. Zresztą nie ja jeden trzymam się w naszym organie tej taktyki; dlatego powiem wam, że prócz pani Modrzejowskiej, panny Popiel i dwóch może starszych artystek do ról matek — nie posiadamy innych, któreby na to miano zasługiwały. Poprostu komedyopisarz czuje się nieraz w kłopocie, i jeżeli dwie te panie nie chcą, lub nie mogą grać, woli sztuki wcale nie wystawiać. Jakże tu bowiem i wystawić sztukę, skoro z góry jesteś przekonany, że zamiast: hrabia i margrabia, będą ci mówić — hrebia i mergrebia, zamiast — matka: metka, zamiast: ród mężczyzn — ród meszczyzn, zamiast: mojemi uczuciami — memy uczuciamy, i tym podobnie! Słyszysz z góry te głosy gardłowe, od których zimny pot zjawia ci się na skroniach, «żal duszę ściska, serce boleść czuje», widzisz te artystki, jak grając dystyngowane damy, sznurują usta i poruszają w nadprzyrodzony sposób turniurami, sądząc widocznie, że prawdziwa dystynkcya właśnie na takiej nadprzyrodzonej turniurowej gimnastyce polega. *Eheu! eheu!* — więc jeżeli jesteś komedyopisarzem, chowasz napisaną sztukę do szuflady, mówiąc jej: «Śpij dziecię i nie pokazuj nosa na świat, bo artystki zjedzą twe ciało, a krytycy kości, i nie zostanie z ciebie nawet popiołu». — Niema kto grać, i skończyło się.

Luka po Bakałowiczowej jeszcze nie zapełniona, i Bóg wie, kiedy będzie zapełniona, a z tej luki wieje chłodem i pustką. Ale nie mówiąc już o pannie Deryng, której talent wart zresztą czegoś lepszego od łatania nim szczerb, chcę jeszcze ukazać jedną organiczną różnicę między teatrem lwowskim a naszym. U nas jest tak: albo znakomitość, o której można tylko powiedzieć: perfekcya! albo już «polizeiwidrig», jak mówią Niemcy, — o czem nie mówi się nic, bo wreszcie przykro mówić. We Lwowie jest inaczej. Są tam znakomitości, są i mierności, ale przepaść między niemi daleko lepiej wypełniona, więcej tam tych sił, które nazywają się: pożyteczne, a o które tu bez powodzenia dotychczas *de profundis* wołamy.

A jednak, wiemy skądinąd, że dyrekcya nasza pragnie tym niedostatkom zaradzić, ale są powody, dla których uczynić tego nie może. O powodach tych mógłbym i ja coś także powiedzieć, ale musiałbym dotknąć nader drażliwej kwestyi, bo tyczącej pensyi, *feu* i t. p. Jak o Ryczywole zamilczeć wolę.

Przechodzę teraz do Ładnowskiego. Jest to także jedno ze świateł sceny lwowskiej. W swoim czasie artysta ten próbował sił u nas, ale próbował nieszczęśliwie. Pewien krytyk radził mu nader serdecznie, żeby lepiej założył skład węgli kamiennych, lub fabrykę szuwaksu. Ale artysta

wolał scenę. W roku — nie pamiętam dokładnie którym — udał się do Krakowa, gdzie występował w rozmaitych rolach. Nie szło. Krytyka milczała, albo ganiła; duszę samego artysty może już toczył robak wątpliwości. Przyszłość — jasna i uśmiechnięta zrazu — zachmurzyła się ciemno. Artysta wahał się. Na szczęście, był człowiek, który weń wierzył nawet wtedy, kiedy on sam w siebie wierzyć przestał. Był to ówczesny dyrektor teatru krakowskiego, Jasiński. Stary weteran sztuki spostrzegł, czego młodemu artyście potrzeba: spostrzegł, że brakło mu pola, wielkich ról, że dusza to zamknięta w sobie, ale pełna wewnętrznych sił, które, nie mogąc przez ciasne role wybuchnąć z całą swą potęgą, wykrzywiają je tylko lub rozrywają na strzępy. Powierzył mu wtedy główną rolę w tragedyi zmarłego Szajnochy: «Stasio». Było to oryginalne przedstawienie: w krzesłach i lożach widziałeś uśmiechnięte niedowierzająco lub ironicznie twarze; rozmawiano półgłosem, przepowiadając sztuce wobec takiej obsady upadek; krytycy ostrzyli zęby i pióra, a tymczasem w ciemnej teatralnej garderobie jedna biedna dusza ludzka wiła się w śmiertelnym niepokoju, miotana to przejasnymi błyskami nadziei, to ostatecznem zwątpieniem. Wreszcie zasłona podniosła się, artysta wszedł na scenę. W sali zapanowało nagłe milczenie, które przechodząc stopniowo w podziw, z po-

dziwu w zachwyt, wybuchło nareszcie w wielką i długo trwającą burzę oklasków. Artysta zwyciężył. Odtąd datuje się jego sława. Po pewnym czasie, z wielkim żalem Krakowian, przeszedł na scenę lwowską, na której pracuje do dziś dnia. Grywa role charakterystyczne i tragiczne od Otella i króla Leara aż do Hamleta. Tamtejsza publiczność zachwyca się nim stale.

Gra jego ma jednak pewne właściwości, do których trzeba przywyknąć, żeby przestały razić. Artysta ma naprzykład właściwe sobie ruchy głowy, które co najmniej wydają się zbytecznemi; postać jego pochylona, jakby pod ciężarem nieszczęść; głos pozbawiony nizkich tonów i wogóle dość suchy. Artystę potrzeba koniecznie widzieć i słyszeć kilka razy, nim się dostrzeże, że mimo tych powierzchownych niedostatków, jest w nim coś, co je zastępuje i wynagradza; jest jakaś siła wewnętrzna, jest niezmiernie głębokie, a jakby zamknięte w sobie i tłumione uczucie, które wybucha od czasu do czasu, jak płomień wulkanu — jest nakoniec charakterystyka nietylko powierzchowna, a zawsze zgodna z życiem i jego prawdą.

Za pierwszym razem Ładnowski nie podobał mi się zupełnie, za drugim więcej, ale nie zupełnie. Mogę powiedzieć nawet, że całkowite moje uznanie zdobył dopiero wtedy, kiedy już wyjechałem ze Lwowa, i kiedy we wspomnieniach

moich przedstawił się w rolach swych zawsze jako postać sztuki, nigdy jako aktor.

Widziałem go np. w sztuce Kazimierza Zalewskiego «Przed ślubem», która takiem powodzeniem cieszy się we Lwowie, a która wkrótce ma przejść cięższą ogniową próbę wobec naszych krytyków. Grał wybornie. Rzekłbyś, że spotkałeś już gdzieś w życiu tę postać starego satyryka, pod którego zimną i ironiczną powłoką bije gorące, pełne miłości serce. Gra taka trwałą zostawia po sobie pamiątkę. Co do innych jego ról, sądzę, że najwłaściwszą dla niego i najbardziej zgodną z jego talentem jest rola Hamleta. Ładnowski jest człowiekiem milczącym, zamkniętym w sobie, jakby przygnębionym i pełnym wewnętrznej refleksyi, która szczególniej cechuje takie natury, jak Hamlet. Zresztą repertuar jego jest nader różnostronny, na nieszczęście nawet zbyt różnostronny. To samo powiem i o pannie Deryng. Dziś, kiedy specyalizuje się wszystko, specyalizuje się i role; tymczasem w takich teatrach, jak lwowski, albo nawet, jak i nasz warszawski, jest to niepodobieństwem ze względu na zbyt małą liczbę artystów. Granie ról zbyt rozmaitych nie pozwala się skupić, nie pozwala wytężyć wszystkich sił na niektóre tylko kreacye. Cóż jednak robić? Lepiejby było, gdyby było inaczej, ale są to *pia desideria.*

Oprócz panny Deryng, Nowakowskiej i Ład-

nowskiego, czwartym filarem tamtejszej sceny jest Stanisław Dobrzański. Pełni on zarazem obowiązki dyrektora teatru. Jest to aktor szczególniej przez publiczność ulubiony. W swoim czasie tak, jak i Ładnowski, był w Krakowie. Twarz ściągła, wyraziste rysy, czarne brwi, zatoczone jednym łukiem nad oczyma, zdawały się szczególniej zalecać go do ról tragicznych, do czarnych charakterów. W Krakowie też z początku powierzano mu podobne role. Ale gdy się komu chce śmiać, trudno go przymuszać, by ryczał ze wściekłości; gdy kto nie ma usposobienia do czarnych charakterów, trudno mu takim na żądanie dyrektora zostać. Artysta psuł tedy powierzane mu czarne role. Czując w sobie zapas talentu, szukał ról sobie właściwych i wreszcie znalazł je: były to role komiczne. Odtąd stale przerzucił się do tego kierunku, który aż do obecnej chwili z wielkiem powodzeniem uprawia. Głos jego, cokolwiek flegmatyczny, szczególniej nadaje się do wywoływania komicznych efektów. Widziałem go w «Przezornej mamie» Blizińskiego, w tej roli, którą u nas grywa Żólkowski. Publiczność trzęsła się od śmiechu. Istotnie, ten radca, wielki pantofel swojej Basi, bijący ustawicznie muchy i odpędzający konkurentów od ręki córki przez najniezgrabniejszą w świecie dyplomacyę, mógł wycisnąć z oczu łzy śmiechu. Dobrzański posiada

niepospolity humor i werwę. Zdaje się, że jego samego bawią grywane przezeń role. Bystry dar dostrzegawczy, dar chwytania rozmaitych cech komicznych na gorącym uczynku, pozwala mu tworzyć prawdziwe swego rodzaju typy. Rozumie swoje role doskonale, wielka zaś mimo młodego wieku rutyna sceniczna nadaje mu ową swobodę, tak nieodzowną w rolach komicznych.

Porównywać go z Żółkowskim nie chcę. Żółkowski stoi już w pełni geniuszu na szczycie rozwoju i sławy, Dobrzański przebył dopiero pierwsze szczeble tej wysokiej drabiny. Zresztą jest między nimi zasadnicza różnica temperamentu: Żółkowski żywszy jest, bardziej krwisty, Dobrzański powolny i głównie przez swą powolność komiczny.

W każdym razie ma przed sobą piękną drogę, a że idzie po niej wytrwale, więc jest pewność, że do celu dojdzie.

Nie wspomniałem w niniejszym artykule o wielu jeszcze artystkach i artystach, którzy istotnie na to zasługują: o Zamojskim, grywającym tam role naszego Ostrowskiego, o p. Aszpergerowej do ról matek, o Wolańskim do kochanków, i tak dalej. Są to talenty pracowite, prawdziwie pożyteczne i wypełniające z korzyścią ową niewypełnioną u nas przepaść między znakomitościami a absolutną miernością. Wogóle cały tamten teatr dobre na mnie zrobił wrażenie,

Życie tam pracowite i mozolne; nowe sztuki wystawiają co parę niemal dni, bo publiczność mniej liczna opatruje się szybko. Autorowie nie czekają od rannych dni żywota aż do siwych włosów na przedstawienie swych sztuk tak, jak u nas, gdzie, nim przedstawią sztukę, musi pierwej myszką trącić. Artyści pracują ciężko; latem nie rozlatują się, jak wiosenne kwiecie drzewne, na cztery strony świata; długich urlopów nie znają, chyba tylko najznakomitsi i najbardziej zapracowani — tak mija dzień za dniem, miesiąc za miesiącem, a życie płynie w prawdziwym, nie malowanym trudzie.

Zapomniałem jeszcze wymienić jedną cechę, znamionującą tamtejszych artystów. Oto gdy którego z nich dotknie krytyka, dotknięty stara się zastosować do jej wskazówek i nie podnosi krzyku, jakby kogoś żywcem ze skóry obdzierano.

Litwos.

Gazeta Polska, 1875, Nr. 260.

XXXIX.

Pociecha. — Bukowiec. — Warszawa. — Różnica między komunikacyami lądowemi a wodnemi. — Towarzystwo oparte na wzajemności. — Szosy. — Bronię go. — Dwa sposoby ułatwienia komunikacyi. — Pozytywiści i idealiści. — Sielanka. — Zasługi sielankowe. — Los koni. — Coby się stało. — Moje rady prasie. — Doświadczenie. — Ostrożność. — Okropne skutki płochości. — Komitet zoologiczny. — Turecczyzna. — Komitet i publiczność. — Burza w teatrze. — Komu postawić pomnik. — Inde irae. — Verdi. — Zapał dla znakomitości. — Panna Donadio i miła z nią rozmowa. — Uwielbienie dla cudzoziemszczyzny. — Ucywilizowane polowanie. — Skok felietonowy. — Nowy sposób egzekucyi. — Ze słyszenia i na własne oczy. — Pan Eysmont i tragikomedya. — Jej treść. — Wartość. — Dyalog. — Zakończenie.

Na trakcie, tak zwanym po staremu: Krakowskim, wielce zwykle ruchliwym, leży niedaleko już Warszawy karczma Pociecha, niezbyt sobie napozór okazała, nie mniej jednak dla ruchu handlowego między Michałowicami, Radomiem i Kielcami a stolicą ważna. Nazywa

się ona Pociechą dlatego, że tu woźnice wedle słów starej piosenki: «Pije Kuba do Jakóba, Jakób do Michała» pocieszają się po trudach odbytej drogi; tu jest ostatni przystanek; tu koniom zasypuje się obrok, zmieniają się zużyte podkowy, opatrują się bryki, towary, słowem, czynią się wszelkie zwykłe przygotowania przedstołeczne.

Takie znaczenie miała dotąd Pociecha, ale znaczenie to w ostatnich czasach podniosło się niesłychanie — raz dlatego, że Pociecha stała się na większą cześć i chwałę naszego zarządu szosowego ostatniem miejscem, do którego szosa, wiodąca do Warszawy, jest... jakby tu powiedzieć... spławną, a powtóre, że w niej utworzyło się pewne towarzystwo na wzajemności oparte, którego działalność dowodzi jasno naprzód tego, czem podobne stowarzyszenia być powinny, a następnie tej wielkiej, a tak mało jeszcze rozpowszechnionej u nas prawdy, że ręka rękę myje, noga nogę wspiera.

Istnieje rzeczywiście ogromna pomiędzy komunikacyami lądowemi a wszelką wodą — różnica. Oto na drogach wodnych, im woda głębsza, tem komunikacya łatwiejsza, na lądowych zaś im błoto większe, tem komunikacya trudniejsza. Skutkiem tej prawdy, ponieważ błoto na szosie od Pociechy do Warszawy jest jednem z najcelniejszych i najgłębszych błot na

świecie, zatem bryki frachtowe, powózki i powozy prywatne zgoła nie mogą jej przebywać i muszą innej sobie szukać drogi.

Napozór stanowi to pewną niedogodność, ale właśnie ten stan rzeczy wywołał owo towarzystwo, oparte na wzajemności, o którem wspomniałem wyżej. Skoro przyjedzie do Pociechy jeden furman z czterokonną bryką, czeka na drugiego, następnie we dwóch czekają na trzeciego, następnie we trzech na czwartego, i dopiero kiedy się zbierze szesnaście koni, zaprzęgają je wszystkie razem do każdej po kolei bryki i omijając najstaranniej szosę, na której: *lasciate ogni speranza,* brną przez prywatne grunty i Mokotowskie pola do Warszawy.

Słupy więc wiorstowe na szosie, kamienie przydrożne, budki strażnicze służą za znaki bezpieczeństwa. Znaczy to wszystko: Ostrzega się, żeby tędy nie jeździć! Na owych gruntach prywatnych i na polach także błoto po uszy i lgną bryki po osie i wyżej osi, ale jednak w szesnaście koni przejechać jakoś można. Za to cóż za ożywiony krajobraz: ten ruch, nawoływania woźniców i przekleństwa ich, świst batów, rozlegający się ustawicznie w powietrzu, te szczątki wozów i bryk, rozrzucone tu i owdzie we wdzięcznym nieładzie; połamane dyszle, koła, osie; te konie z powyprężanymi grzbietami o bokach zapadłych, na których możnaby wszyst-

kie żebra policzyć, a przytem poprzecieranych do krwi postronkami — wszystko to stanowi przepyszny rodzajowy obraz. Zaraz poznasz, że nie jesteś za granicą, w żadnych tam Niemczech, ani Belgii, gdzie szosa twarda jest jak stół i jeszcze wysadzona owocowemi drzewami, ale u nas, u siebie, wpośród swoich, blizko poczciwej Warszawy!

Są dwa rodzaje komunikacyi: pozytywny i negatywny. Pozytywny polega na tworzeniu dróg, po których można jeździć — ujemny na wskazywaniu miejsc, przez które przejazd jest niepodobny. Otóż nasze szosy odpowiadają tej drugiej metodzie. Czy ona jest zła czy dobra, odpowiednia lub nieodpowiednia, to już należy do specyalistów; ale czyż podobna winić kogo, że wyznaje taką, nie inną zasadę naukową? Że nie wszędzie są pozytywiści, to może i tem lepiej. Mamy pozytywistów i tak dosyć; szlachetnego idealizmu, pojmowanego tak, jak właśnie pojmuje go zarząd, polegającego np. na urozmaiceniu krajobrazów, na widokach prawdziwie sielskich, które szczególniej leżą w słowiańskiem usposobieniu, coraz mniej. «My, Słowianie, my lubim sielanki» — mówi literat w «Dziadach» Mickiewicza. Ja powtarzam toż samo. A przytem wiadomo już skądinąd — choćby z nieomylnych ust wspomnianego już raz przeze mnie *l'abbé* Wyliżalskiego — że po-

żagrobowa przyszłość pozytywistów będzie jednym ciągiem płaczu i zgrzytania zębami, z czego wniosek, że zarówno doczesna lojalność, jak i troskliwość o przyszłe szczęście, wobec którego wszystko tu jest marnością, nie pozwala członkom zarządu oddawać się zbytecznie udogodnianiu życia doczesnego tak sobie, jak i swym bliźnim. Jest to dopiero dobrze rozumiana miłość bliźniego, boć jeśli przyszłe szczęście ma być nagrodą za przebyte tu na ziemi cierpienia, to niema najmniejszej kwestyi, że żadne na świecie drogi nie prowadzą ludzi bezpośrednio, jak nasze szosy, do nieba. Oto krótki a nader logiczny wywód, którym każdy z członków może się zasłonić przed rozbójniczymi napadami pewnych organów naszej prasy, napadających ze szczególną zaciętością od niejakiego czasu na szosy, tak, jak gdyby prasę, zobowiązaną pilnować spraw publicznych, mogły obchodzić do tyla prywatne sprawy, jak: że ktoś złamał tam sobie pod Lublinem nos, rękę, nogę, biodro, żebro lub inne prywatne części swego organizmu. Są to prywatne rzeczy, moi panowie, i my do tego mieszać się nie powinniśmy, a zresztą prawdziwy mędrzec zawsze jest ze swego losu zadowolony. Dlaczego nie zajmujemy się rzeczami ogólniejszej natury? dlaczego stosunkowo tak mało piszemy o terpentynowych pigułkach doktora Clertana, o proszkach burzących Kwizdy i in-

nych t. p. powszechno-europejskich, kosmopolitycznych wynalazkach, a tak drobiazgowo zajmujemy się tem, co się dzieje u nas za piecem? Czyż chcemy być prasą z Zapiecka? Rzeczy ogólne — panowie! — oto pole, na którem możemy okazać zarówno naszą inteligencyę i oczytanie, jak rozwinąć potoki wymowy, w której tak skąpiemy czytelników, że aż się będą krztusili. Przedewszystkiem nie zaczepiajcie instytucyi i ludzi — bo inaczej trafiać się wam będzie to, co trafiło się mnie niedawno — to jest, że pewien dygnitarz z Lombardu wezwał mnie, żebym się zjawił i wytłómaczył z tego, com pisał i myślał o pomienionej instytucyi.

Zjawić się tam wprawdzie nie zjawiłem, choćby dlatego, że jestem sobie zwyczajnym śmiertelnikiem, złożonym z ciała i kości, nie zaś żadnem *spectrum*, ubranem w białe prześcieradło — ale nie mniej wziąłem naukę do serca i postanowiłem sobie, że jeżeli odezwę się kiedykolwiek o jakiejkolwiek instytucyi, uczynię to zawsze z najwyższem dla niej i osób w skład jej wchodzących uwielbieniem.

Tą właśnie myślą natchniony, dałem wam sielankowy obraz i odmalowałem, wedle sił, krajobraz drogi, wiodącej od Pociechy do Warszawy. Nie mogę jednak ukryć, że w obrazie tym są dwa cienie, psujące ogólną jego harmonię. Pierwszym z tych cieniów jest nietrwałość

krajobrazu. Cóż bowiem stanie się wówczas, gdy właściciel Rakowca, któremu furgony rozjeżdżają szerokim szlakiem posiane oziminą pola, nie pozwoli w końcu na takie pożytkowanie w celach publiczno estetycznych ze swych gruntów? Co zrobią wtedy furmani? co zrobi Warszawa, pozbawiona komunikacyi z Radomiem i Kielcami? a Radom i Kielce, pozbawione komunikacyi z Warszawą? Wszystko, jak widzimy, polega na patryotyzmie jednego właściciela ziemskiego. Ale nie trzeba zapominać, że bywają natury prozaiczne, które wolą kilkanaście marnych korcy oziminy, niż najpiękniejszą i najbardziej charakterystyczną panoramę, złożoną z żydowskich fur, tonących w swojskiem błocie. Pytam jeszcze raz: co będzie, jeżeli właściciel Rakowca okaże się niegodnym zaufania i zatamuje przejazd przez oziminę — do czego, mówiąc nawiasem, ma najzupełniejsze prawo?

Drugim cieniem, niezgodnym z ogólną harmonią, jest dola koni, zmuszonych, dla uniknięcia większych otchłani szosowych, ciągnąć bryki przez mniejsze otchłanie rakowieckie. O Towarzystwo opieki nad zwierzętami, które tak skutecznie czuwasz w Warszawie! wyślijże którego ze swoich członków, aby własnemi oczyma ujrzał, co się dzieje z nogami, grzbietami i bokami koni pracujących pod Rakowcem! Zapewniam, że wszystkie na świecie Towarzystwa

opieki nad zwierzętami nie liczą w łonie swem tylu czynnych, rzeczywistych, urojonych i honorowych członków, ile uderzeń bata rozlega się codziennie w tych miejscowościach. Gdyby konie umiały mówić i przeklinać, niezawodnie powstałoby między nimi przekleństwo: «Żeby cię Pociecha nie minęła!» Teraz, gdy mrozy ścisnęły, a błoto stwardniało trochę, owe uderzenia batogu mają już wprawdzie znaczenie prowizoryczne, ale zapewne dla każdego osobno wziętego konia, wszystko jedno jest, czy ćwiczą go w sposób prowizoryczny, czy nieprowizoryczny, czy dla szczególnej potrzeby, czy dla ogólnej zasady.

Co to znaczy ostrożność i jak wielkie czasem z powodu braku jej mogą wyniknąć nieporozumienia, mam przykład na sobie. Nie jestem pewny, czy wiecie, czytelnicy, że wielki obywatel znaczy po turecku: safanduła. Otóż mając zamiar pisać w niniejszym odcinku o komitecie, wydelegowanym do założenia ogrodu zoologicznego z powodu ostatniej sesyi tegoż komitetu, i chcąc uczcić jak należy mężów do jego składu wchodzących, o mało nie popełniłem wielkiego głupstwa. Pragnąłem poprostu nazwać ich wielkimi obywatelami, bo — z ręką na sercu — jużci im się to należy, ale, że z drugiej strony wiem, że prawdziwa wielkość zawsze ze skromnością w parze chodzi — chciałem to tak jakoś

zgrabnie zrobić, żeby owej skromności nie obrazić. Myślę więc sobie: nazwę ich po turecku. Termin — może się utrze — oddam co komu należy, a przytem wzbogacę trochę język (niechże i ja mam jaką taką zasługę!) — więc tedy i nazwałem ich po turecku. Nagle przyszła mi do głowy pewna wątpliwość. Nuż moje dobre chęci nie będą zrozumiane i ocenione jak należy — mój Boże, świat jest tak zepsuty i złośliwy! nuż będzie jakie nieporozumienie, a stąd nowe kwasy, albo, co gorsza, nowe wezwania o »zjawienie się!» Przekreśliłem więc turecki wyraz i wolę poprostu, nie uciekając się do turecczyzny, i bez względu na czyją skromność, nazwać wielkim obywatelem, nie zaś safandułą, każdego, kto na to zasługuje.

Czy zaś komitet, mianowany do założenia ogrodu zoologicznego, na to zasługuje? Ktoby o tem wątpił, ten pozwoli mi także powątpiewać o swoich zdrowych zmysłach, poczytalności prawnej, o wybieralności na członka krajowych resurs, o posiadaniu książeczki legitymacyjnej, regularnem opłacaniu tak zwanej karty pobytu i innych kwalifikacyach, które odróżniają każdego porządnego i statecznego obywatela od pierwszego lepszego «demagoga z brodą», nie wierzącego w nic, nawet w wielkość przeznaczeń pana Eysmonta, autora Tragikomedyi, o której na końcu tego odcinka zamierzam po-

mówić. Mówią np., że komitet zgubił pana Bartelsa i zwierzęta jego. Nie prawda. Do upadku i wyginięcia zwierząt przyczyniła się piosenka: «Tańcowała ryba z rakiem, a pietruszka z pasternakiem». Było to tak: jedno prawo pozwala niepłacących komornego wyrzucić na ulicę, a że zwierzęta nie płaciły, więc je wyrzucono; drugie nie pozwala trzymać zwierząt na ulicy. Oba są słuszne, ale jak poczęły z sobą tańczyć, tak i zwierzęta odegrały w tej walce dwóch legalności równie mimowolną, jak tragiczną rolę wiórów, które musiały padać dlatego, że drwa rąbano. Zresztą niewielkie to nieszczęście. Nie mamy zwierząt, ale mamy komitet; «wziął didko babu, ale kozu ostawił» — pocieszał się pewien chłop po stracie żony — tak i my możemy się pocieszać: został nam komitet. Ale mówią znowu, że nic nie robi. I to nie prawda. Niedawno była sesya, o której doniosły dzienniki, a na której członkowie komitetu postanowili, że jak zajdzie bardzo nagląca potrzeba, to złożą drugą sesyę, następnie trzecią, czwartą, i tak aż do końca dziewiętnastego stulecia.

Jak zaś dalece mają owe sesye potężne dla przyszłego ogrodu znaczenie, dowodem jedno z pism, które oznajmiło swym czytelnikom, że teraz mogą już wpuścić do serc swych cichą, ale głęboką radość, bo chwila otwarcia ogrodu i silnych zoologicznych wrażeń jest blizką, dla-

tego właśnie, iż komitet odbył jedno posiedzenie i oznajmił, że nic nie stoi na przeszkodzie, ażeby nie miał ich jeszcze odbyć dwudziestu pięciu. Ale jest jedna okoliczność. Oto ludzie małej wiary nie rozumieją: jakim sposobem otwarcie to może być tak blizkie, skoro sam komitet oznajmił, że wszystkiego ma trzy tysiące rubli, a na budowę tylko szop w parku Aleksandryjskim potrzeba siedmiu tysięcy rubli. Niema więc pieniędzy, co jest winą publiczności, boć przecie dotychczasowa działalność komitetu powinna była natchnąć ludzi jak największem zaufaniem tak do jego dobrych chęci, jak i do jego zamiarów na przyszłość. Gdyby zaufanie to istniało, gdyby czemkolwiek, czy to zmianami wewnątrz łona samego komitetu, czy też całkowitą jego reformą, czy wreszcie jawnem oznajmieniem i opublikowaniem dalszych planów działania było wskrzeszone, składki posypałyby się niezawodnie nanowo. Ale z naszą publicznością trudna rada. Sceptycyzm, ta fatalna choroba naszego wieku, ogarnął ją tak dalece, że nie dość jej sesyi — wymaga czynów. Fatalne czasy!

Na wszelki wypadek jednak, gdyby komitet, zniechęcony brakiem zaufania ze strony tak publiczności, jak i prasy, powziął zamiar rozwiązania się i powierzenia w inne, mniej może godne ręce przyszłych losów przyszłego ogrodu,

ja pierwszy proponuję, ażeby ze względu na dotychczasową jego działalność wyrażone mu było publiczne podziękowanie — samego zaś komitetu proszę o zachowanie w pamięci, iż wtedy, kiedy wszyscy powstawali na niego: bij zabij! we mnie jednym znajdował zawsze gorliwego poplecznika i obrońcę.

Piszę to wszystko *ad usum Delphini*, t. j. dla dobra komitetu, dodaję zaś natychmiast objaśnienie do tego łacińskiego wyrażenia, z tego powodu, że już raz powstały wątpliwości, co ono ma oznaczać. Słyszałem, że jakkolwiek zeszły mój odcinek, poświęcony wspomnieniom lwowskiego teatru, zrobił w naszych sferach teatralnych wogóle jak najlepsze wrażenie, to jednakże dopytywano się ciekawie, dlaczego artykuł ten, mówiący o Lwowie, został zatytułowany w Warszawie: *Ad usum Delphini*, co znaczy po polsku: do użycia wewnętrznego. Można to zresztą było wymiarkować z samego skutku, jaki artykuł w sferze, o której mowa, wywołał. Wspomniałem już, że skutek ten szczególniej objawił się w nadzwyczajnej sympatyi, jaką między naszemi artystami *minoris gentis*, równie nagle, jak niespodziewanie, zdołałem sobie pozyskać. Słyszałem nawet od jednego z nich, że wdzięczny ów drobiazg chce mnie uczcić pomnikiem. Powoli, moi panowie i panie — powoli! macie ważniejsze obowiązki. Jeżeli koniecznie

chcecie stawiać pomnik, postawcie go autorom, w których sztukach występowaliście bez współudziału waszych znakomitszych kolegów. Ja, z mojej strony, dorobię — jeżeli pozwolicie napis do tego pomnika. Będzie on brzmiał tak: «Nieszczęśliwym, żywcem pogrzebanym — wdzięczni grabarze». Jeżeli zaś i ten projekt wam się nie podoba, to, ponieważ teatr, ze względu na schronienie, jakiego wam udziela, jest instytucyą do pewnego stopnia filantropijno-ochronną — uczcijcie więc waszą *alma mater* jaką owacyą, a ja zdaleka będę was błogosławił — ciesząc się myślą, że istnieją zakłady, w których nietylko kalecy fizyczni znajdują spokojny, choć skromny kącik do śmierci.

Żarty pominąwszy, dziwię się burzy, jaką mój zeszły odcinek o teatrze lwowskim w naszym warszawskim teatrze wywołał. Dziwię się jej z dwóch powodów: raz, że tak rozgniewana dyrekcya, jak i śmiejąca się publiczność wiedzą dobrze, że napisałem najczystszą prawdę. Powiedziałem, że brak nam zupełnie sił średnich, że pomiędzy znakomitościami tej skali, jak nasi pierwsi artyści, a zerami tego wagomiaru, jak nasi ostatni, istnieje niezgłębiona przepaść, która sprawia, że najlepsze nawet sztuki, jeżeli tylko nie biorą w nich udziału siły naczelne, upadają na głowę bez ratunku. Potrzeba nam sił średnich, teatrowi potrzeba środka, bo ma tylko

głowę i pięty. Powiedziałem to, i *inde irae* — jak mówi Tacyt, ale co do mnie, dbam o owe *irae* tak mało, że gotówem tyle razy to powtórzyć, ile razy uznam za potrzebne i stosowne — tymczasem zaś przechodzę do dalszego ciągu mego odcinka, tak, jak gdyby nikt za mną ani przede mną nie krzyczał w niebogłosy.

Ma podobno przybyć do nas Verdi w przejeździe do Petersburga. Radość z tego powodu w królestwie naszych melomanów ogromna i szykują się nadzwyczajne owacye; tu obecna trupa włoska da zapewne cały szereg przedstawień, które wielkiemu maestro przypomną ojczyznę, nas zaś ostatecznie utwierdzą w przekonaniu, że nie warto dbać o swojską operę, skoro za niewiele większe pieniądze można poznać prawdziwie włoskie chrypki i katary, takie, o jakich u nas, mimo zimniejszego klimatu, ani mowy być nie może. Na nieszczęście, Verdi zapewne je zna dobrze, obawiam się więc, że zamiast zatrzymać go, przyśpieszą one jego wyjazd z naszego miasta i nie pozwolą wielu ciekawym poznać znakomitego kompozytora. Zapał, cześć i uwielbienie dla znakomitości wszelkiego rodzaju są wprawdzie dziś już u nas mniejsze, niż były dawniej, kiedy Liszt raz grał w Kijowie, czy Berdyczowie, i kiedy jakaś dama trzymała go przez cały czas koncertu z pobożnem uniesieniem za obcas, powtarzając tylko nawpół

ze łzami: «Mistrzu!» Ale nie szukając takich Liszt-ów lub Verdich, był czas, że i u nas dzielono się, jak relikwiami, strzępkami z chustek od nosa Apolinarego Kątskiego, lub zachowywano troskliwie talerze z resztkami, jakie wielki, jak na owe czasy, skrzypek pozostawił. Dziś to już minęło, ale jednak i dziś należy jeszcze do dobrego tonu być w zażyłych stosunkach nie już z domorosłemi wielkościami, ale z olbrzymami talentu z za granicy. Gdy bawiła tu panna Bianka Donadio, nasza złota młodzież ubiegała się choćby o parę słów rozmowy z czarodziejką. O! ja poznałem doskonale pannę Donadio! chwalił się raz pewien młodzieniec. — Poznałeś pan, no i jakże? — rozpytywano go ciekawie. – Ogromnie miła kobieta — odrzekł: — przedstawiają mnie, a ona zaraz powiada: Ah! monsieur! tam coś, tego... — powiada — ogromnie miła kobieta!

Istotnie, wnosząc z powyższej rozmowy, uprzejmość panny Donadio wyrównywała przynajmniej inteligencyi i umiejętności narracyjnej owego młodzieńca. Mogę was jednak zapewnić, że ów niedługi wprawdzie, ale serdeczny stosunek z panną Donadio, opowiedziany przytem z taką naturalnością, ujął za serca tych, którym go opowiadano, i podniósł w oczach wszystkich i tak już niemałą wartość rzeczonego młodzieńca. Bądź co bądź, dla zwyczajnego filisterskiego domu miło jest widzieć u siebie mło-

dzieńca, któremu panna Donadio powiedziała: Monsieur, coś tego i t. p. Daje to pewien ton, a dla tonów, zwłaszcza zagranicznych, warto przecież coś poświęcić. Niedawno np. jeden z moich znajomych dostał zaproszenie na polowanie po pewnego obywatela, nad granicą pruską zamieszkałego. W liście zapraszającym obywatel ów pisze, że ponieważ będzie miał zaszczyt między zaproszonymi mieć kilku oficerów pruskich, zatem językiem użytym tak podczas polowania, jak i w czasie śniadań, obiadów itp., będzie język niemiecki, ponieważ zaś polski mógłby zrobić zagranicznym gościom przykrość, przeto uprasza się, ażeby się go wystrzegać. Jest to budujący przykład rzadkiej już gościnności, która rozumie, że barbarzyńskie dźwięki krajowej mowy raziłyby ucywilizowane uszy zakordonowych sąsiadów; z drugiej zaś strony odczuwa cały zaszczyt, jaki spływa na zwyczajnego sobie hreczkosieja z przyjmowania w domu swym walecznych przedstawicieli niezwyciężonej armii i jednego prawdziwie ucywilizowanego narodu. Cześć ludziom, umiejącym zarówno cenić godność osobistą, jak i wyższą kulturę zagraniczną.

A teraz pozwólcie czytelnicy, ażebym, porzuciwszy granicę pruską, skokiem prawdziwie felietonowym przeniósł i siebie i was aż w powiat Miechowski, w którym uważny dostrzegacz nie-

jedną rzecz ciekawą i gdzieindziej niebywałą z łatwością zauważyć zdoła. W swoim czasie słyszeliście wiele, a może nawet i za wiele o budowie dróg w tamtych stronach; słyszeliście także, że na projekcie tym środki miały się tak do wielkości zamiarów, jak się mają, nie przymierzając, panieńskie posagi do kawalerskiej pożądliwości. Owóż te drogi budują się jednak, a budują się przy pomocy gmin i większych właścicieli ziemskich, którzy obowiązani są płacić na ten cel odpowiedni z dymu podatek. Pewien obywatel, wezwany do zapłacenia rzeczonego podatku, odesłał go, biorąc za normę zwykłe podymne. Po niejakim czasie odbiera od swego wójta list, pisany nader fantastyczną ortografią, w którym poczciwina donosi mu, że: «ponieważ wielmożny pan przysłał tylko szesnaście rubli z kopiejkami, a należy się ośmnaście z kopiejkami, przeto kwotę nadesłaną, jako niewystarczającą, odsyłam, więc wielmożny pan nie zapłacił podatku, a ponieważ wielmożny pan nie zapłacił, choć powinien był zapłacić, zatem pożyczam na rachunek wielmożnego pana od Icka Mordki rubli srebrem ośmnaście z kopiejkami, które mu wielmożny pan wraz z procentami w terminie nie przymierzając zapłacić». List ten widziałem na własne oczy i brzmienie jego prawie dosłownie podaję. Przyznacie, że jest to jeden z najoryginalniejszych

sposobów egzekwowania należytości. Sposób ten poczciwego wójta ma jeszcze tę dobrą stronę, że i dla egzekwowanego jest dogodny, wyrabia mu bowiem kredyt, ile się zdaje, nieograniczony i mimowolny, a w naszych ciężkich czasach kredyt to rzecz niemała. Pytanie tylko, jak na tę sprawę zapatrywałyby się sądy, gdyby tak ów obywatel, któremu bez jego wiedzy otworzono kredyt u Icka Mordki, nie chciał temu ze wszech miar szanownemu kapitaliście «nie przymierzając» zapłacić. Mordko dał, więc chce odebrać — obywatel nie brał, więc nie chce oddać — wójt pożyczał, ale nie dla siebie i nie na porękę, więc także nie ma racyi płacić; każdy ma trochę za sobą słuszności. Byłby to prawdziwy galimatias, chociaż jednak zdaje się, że ten sposób płacenia podatków tak się tamtejszym miejscowym ziemianom podobał, iż gotowi są prosić, aby list wójta uważany był za prejudykat i aby wszelkie należności zawsze z pomocą Icka Mordki, lub jemu podobnych, były regulowane. Gdyby tak jeszcze i Towarzystwo kredytowe chciało w tenże sam sposób swoje raty egzekwować, wówczas ów wiersz w Obrazach Litewskich Chodźki: «Jeśli rajem jest Warszawa, ja wieś nazwę niebem», przestałby być najlepszą z Krasickiego bajek, i ja sam, zamiast pisywać odcinki, kupiłbym sobie wioskę, orałbym, bronował, siał, a ciężary zdał

na Mordka. Dźwigaj Mordko, niebożę, i czekaj tatka latka, aż ci zapłacę, bo choćbyś mnie nawet pozwał, wygrał i uzyskał wyrok z prawem natychmiastowej egzekucyi, to sekwestrator, na mocy prejudykatu, nie miałby innego sposobu nad zaciągnięcie na mój rachunek nowej pożyczki od innego Mordki dla spłacenia twoich pretensyi. Nie, mój dobry Mordko, zdaje się, że nie znalazłbyś innego sposobu nad pisywanie do mnie listów, w którychbyś wyrażał do woli swoje zdziwienie. Nie byłoby to zresztą nic nowego, bo i owo dziwienie się rzecz to równie znana, jak stara. Znałem w Warszawie pewnego młodego chłopaka, właściciela ładnej wioski, który miał tę wadę, że wydawał trochę więcej, niż mógł, a skutkiem tego wchodził w zbyt liczne i uciążliwe tranzakcye z ludem Izraela. Zauważyłem, że odbiera mnóstwo listów ze wszystkich stron, tak miasta, jak prowincyi, i rzekłem: Ach! szczęśliwy Dyoniziu, pewno to od pięknych kobiet? — Czytaj, rzekł mi, zapalając z zimną krwią cygaro. Otworzyłem skwapliwie list, i począłem czytać. List brzmiał jak następuje: Dżywuję się bardzo, że wielmożny pan nie odsyła mi tych sto pięćdziesiąt... Nie czytałem dalej, i wziąłem list drugi. Drugi brzmiał: Dżywno mi bardzo... Rzuciłem drugi i rozpieczętowawszy trzeci, czytam znowu: Dżywi mnie niezmiernie, że dług, jaki mam u WPana i t. d.

Reszty nie czytałem, bom wiedział na pamięć, co zawierają.

— A to tu tylko sam podziw dla ciebie, szczęśliwy Dyziu! — mówię, nie mogąc ukryć dobrego humoru.

— Ach, mój drogi! — odparł z niezachwianą zimną krwią Dyzio — jakim ja szczęśliwy, że już nie wolno przysyłać listów niefrankowanych. Teraz przynajmniej dziwią się na własny koszt — dawniej ja musiałem całe zdziwienie opłacać.

Owóż, gdyby sposób egzekwowania należności, wynaleziony przez nieboraka wójta, znalazł ogólne zastosowanie, sądzę, że cały kraj rozdzielilby się wkrótce na dwa obozy: dziwiących się i będących przedmiotem podziwu. Co do mnie, zapewniam moich czytelników, że podziwianoby mnie daleko więcej, niż moje felietony. Bodaj to pomysłowość!

Pomysły takie, będące dowodem naiwności, teraz już są rzadkie, bo raz, że lud przywykł już trochę do urządzeń gminnych, a powtóre, na wójtów bywają dziś już wybierane osoby z większem stosunkowo wykształceniem. Ale z początku, kiedy reforma dopiero co była wprowadzona, więksi posiadacze ziemscy stali całkowicie poza obrębem gminy, a nawet średnio wykształconych było między włościaństwem bardzo mało, podobne rzeczy trafiały się daleko

częściej. Słyszałem np. o paszporcie, wydanym przez wójta (było to za czasów, kiedy paszporty wydawali jeszcze wójci), który brzmiał tak: «Nasza Jaśnie Pani chce jechać do Warszawy — co jej ta przeszkadzać, — niech se ta jedzie. Franciszek Burok». Jak się nazywa ta Jaśnie Pani, skąd była, i na jak długo jechała, tego dokument nie opiewał. W Lubowskim powiecie znowu sam widziałem list jednego wójta do drugiego, kończący się w następujący sposób: «bo jak nie przyśleta na czas tego zbereźnika, to pan N. da wam po karku, czego sobie i wam życzę. Amen». Poczciwina wójt uważał widocznie wyrażenie: «czego sobie i wam życzę. Amen» za zwykłą formułę, jaką powinny się kończyć wszystkie listy, — słyszał, że tak ksiądz kończy kazania, uważał więc takie zakończenie za dobre, tak co do ducha, jak i co do formy, i nie zauważył, w jaki sposób z poprzednią obietnicą licuje.

Dziś, jak wspomniałem, takie rzeczy są rzadsze, dziś korespondencye wójtowskie noszą bardziej urzędowy charakter. Że jednak trafiają się i dziś jeszcze pewne zboczenia, dowodem egzekucyjny pomysł wójta z pod Miechowa.

* * *

Byłby to już koniec odcinka, gdyby nie to, że wspomniałem o tragikomedyi pana Eysmonta i obiecałem szerzej o niej przy końcu pomówić. Silnych tragicznych wrażeń nie obawiajcie się, czytelnicy — będziecie się raczej śmiać. Pan Eysmont jest to wieszcz młody, nawet nader młody. Napisał tragikomedyę pod tytułem: «Walka idei», w której nie mówi wprawdzie o żadnych ideach, ale za to poświęca ją wylewowi najszczerszego uwielbienia dla... siebie. Gdyby taka pozycya nie sprzeciwiała się całkowicie zasadom ekwilibrystyki, sądzę, że młody wieszcz upadłby sam sobie do nóg z uwielbienia. Na początku utworu wieszcz, bohater sztuki, wyrzeka na niejakiego pana Benona, swego przyjaciela, który, mówiąc nawiasem, jest osobą żyjącą i który pisuje wiersze — jakkolwiek nie olbrzymiego polotu, ale zawsze lepsze od pana Eysmonta. Po kilku scenach wieszcz daje zlekka do zrozumienia, że jest istotą doskonałą, którą pan Benon haniebnie zdradza — dalej jeszcze, że jest istotą niebiańską, a pan Benon potworą hypokryzyi, uosobieniem siedmiu grzechów głównych i nieskończonej ilości powszednich. Na tem kończy się część pierwsza.

W części drugiej dowiadujemy się, że młody wieszcz chciał założyć jakieś pismo; następnie, że je założył. Potem pokłócił się z kolegami, bo pan Benon okropnie intrygował. Nagadano mu

(t. j. wieszczowi) wiele niegrzeczności, skutkiem których nie sypiał dobrze w nocy. Złożono sąd koleżeński, studenciki się zebrały — była wielka narada, i wielki ów areopag uwolnił go od wszelkiej odpowiedzialności, słowem: a! a! co to było! Szczęściem cnota została nagrodzoną, występek ukarany; panem Benonem powszechnie pogardzono, a wieszcza uwielbiali wszyscy za życia i rozmyślali tylko nad tem, gdzieby mu postawić pomnik. Podczas gdy się o tem wszystkiem dowiadujemy z opowiadań osób do akcyi wchodzących, wieszcz stoi udrapowany w płaszczu i oparty o skałę (bo rzecz się dzieje w Panieńskich Skałach pod Krakowem) — pozwalając się podziwiać panu Dołężnemu, staremu literatowi, który zresztą powinien słuszniej Niedołężnym się nazywać, i dwom młodym gapiom, którzy patrzą na porywy wieszcza z otwartemi ustami i z rękoma w kieszeniach. To miejsce powinien pan Eysmont polecić ilustrować. Porywy owe, równie nagle, jak niespodziewane, dowodzą właśnie głębi uczuć i otchłani myśli wieszcza. Wyobraźcie sobie, czytelnicy, kogoś, kto np. roześmiał się nagle bez żadnego widocznego powodu, potem również bez powodu wpadł w rozpacz, potem się znowu roześmiał dzikim śmiechem, potem się rozpłakał, potem ucichł, żeby na nowo wybuchnąć — a będziecie mieli wieszcza. Powiedzcie teraz, co sobie o nim my-

ślicie. Ruszacie ramionami, stukając się palcem w czoło. To! to! I ja tak myślę. Cóż tu robić? mówią, że zimna woda na takie rzeczy dobra. Patrzcie: oto teraz pan Naprej (imię wieszcza, a może tragikomiczny pseudonim) został sam; chodzi niespokojnie, po chwili staje i śpiewa. Pieśń jego rozbiłem na dyalog między nim a czytelnikiem i podaję ją, jak następuje:

Wieszcz.

«Znam siebie. Znam myśli moje.
«Znam uczuć mych siłę.
«Chciałbym pieśń jedną wyśpiewać,
«Jedną tylko, zanim mnie złożą w mogiłę».

Czytelnik.

Ale nie fatyguj się pan dobrodziej! Proszę, jak o największą łaskę: nie fatyguj się pan dobrodziej!

Wieszcz.

«Ach resztę życia oddałbym,
«Żebym tylko mógł wyśpiewać».

Czytelnik (na stronie).

Bogu dzięki, że mu coś zawadza; ale jakoś wysila się, aż potnieje. Oj! gotów naprawdę zaśpiewać. (Głośno): Zlituj się pan!

Wieszcz.

«Ja muszę śpiewać,
«Muszę! póki życie wre w łonie».

Czytelnik.

Litości! łaski! Ratunku! Hej, ratunku!

Wieszcz.

Muszę! muszę!

Czytelnik (omdlewającym głosem).

Litości!

(Słania się i pada).

To pewna, że takimi utworami wieszcz zawsze pobije słuchacza i czytelnika. Więcej wierszy nie cytowałem i nie będę wam cytował. Są jak najgorsze. Forma niewyrobiona, słaba, talentu za grosz! Ale nie o to mi chodzi. Co powiecie na ten nędzny egoizm młodzieńca? Dziś, gdy wszystko garnie się w imię szerszych i potężniejszych idei do pracy, kiedy każdy połowę duszy oddaje w służbę ogółowi, a oddałby i całą, gdyby zaszła potrzeba, gdy i od poezyi wyczekuje się i wymaga, aby pieśnią otuchy, piękną, zacną a ogromną, towarzyszyła ogólnej pracy — ów niedowarzony młodzieńczyk siedemdziesiąt pięć stronnic papieru i druku poświęca własnym lichym sentymencikom, błahym myślątkom, rozczulaniu się nad sobą i wmawianiu w ludzi, że jest wielki! Nigdzie o niczem ani słowa, tylko o sobie. Cóż to za niebywały, wygórowany egoizm i jakiż upadek szlachetniejszych porywów! Zaiste to śmieszne, ale i smutne.

Doprawdy, gdyby mnie kto chciał przerazić groźbą, że szyderstwami albo wzgardliwymi wyrazami uduszę w zarodku ten kiełkujący talent, tak, że pogruchoce harfę na wieki i weźmie się do książki — gdyby, mówię, ktoś mnie zapewnił o tem, czułbym się bardzo szczęśliwy i sądziłbym, żem oddał prawdziwą przysługę społeczeństwu.

Gazeta Polska, 1875, Nr 267 i 268.

XL.

Szkółka przy ulicy Pięknej. — Potwarze i paszkwile. — Moja obrona. — Sprawy Resursy Obywatelskiej. — Zasada matematyczna. — Przysięga. — Potrzeba sali. — Powtórzenie. — Przytulisko. — Żywe obrazy. — Biuro wyjątkowej nędzy. — Obrona. — Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. — Jaka sztuka, taki komitet. — Występuję przeciw panu C. G. — Usprawiedliwienie. — Przekłady. — Consuelo. — Pan Breslauer. — Dawne wydawnictwa.

Istnieje tu w Warszawie szkółka dla dziewcząt pod opieką bractwa Matek chrześcijańskich, a z powodu której niegodziwość ludzka i antychrześcijański duch sceptycyzmu, rozszerzający się coraz bardziej na większą chwałę piekła w naszem społeczeństwie, dużo wypuściły na świat paszkwilów i potwarzy, co wszystko razem wzięte tak dalece przebrało miarę, że zmusza mnie nareszcie, abym, uchwyciwszy za pióro, wystąpił w obronie pokrzywdzonych. Ludzie, słusznie podejrzewani o bezpośrednie związki z szatanem, rozpuszczają np. wieści, że kiedy dawniej, dzięki

gorliwości Matek chrześcijańskich, szkółka miała aż nadto wystarczające fundusze, i elewki, zamiast wychowywać się na służące, wychowywały się na wielkie damy, dziś też same uczennice nie mają co jeść, w co się ubrać i za co się uczyć. Faktu tego nie zaprzeczam wprawdzie, bo, raz, że jest rzeczywisty, a powtóre, sądzę, że z wielką chwałą dla bractwa Matek chrześcijańskich potrafię go usprawiedliwić. Niegodziwcy ci mówią jednak dalej, że dawna hojność Matek chrześcijańskich tłómaczyła się nie litością prawdziwie chrześcijańską dla biednych sierot, ale niesłychanie poprawną francuszczyzną widomej głowy pomienionego zakładu, która to głowa umiała przez francuszczyznę trafić i do ich kieszeni. Od czasu zaś, jak zabrakło głowy, zabrakło i pieniędzy. Co się tycze francuszczyzny, to przecie wszystkim wiadomo, że ludzie w dobrym duchu i dobrych zasad powszechnie nie używają innego języka, zatem francuszczyzna była tylko jedną więcej gwarancyą i kwita. Ale jest jeszcze jedna kwestya, na którą, jako człowiek w dobrym duchu, również czuję się w obowiązku odpowiedzieć. Ludzie rzekomej dobrej woli, chcąc podeprzeć upadające fundusze szkółki, urządzili w Dolinie Szwajcarskiej widowisko sceniczne, amatorskie. Sądzono, że miłosierne osoby rozkupią wszystkie bilety co do jednego, że przyjdą naprzód Matki chrześcijańskie i ciotki

chrześcijańskie z córkami i siostrzenicami chrześcijańskiemi i z galopantami chrześcijańskimi; sądzono, że jedni drugich popchną, że każda należąca do bractwa Matek «zelantka» (nowy wyraz; znaczy: gorliwa) przyprowadzi swego zelanta, i że widowisko przyniesie jaki taki dochód, który pozwoli przynajmniej w szkółce palić codziennie w piecu, uczennicom zaś zapewni ciepłą odzież i naukę. Tymczasem cóż się stało? Omylono się. Biletów nikt nie kupił, nikt nie przyszedł, i widowisko zaledwie powróciło koszt przedstawienia. Owóż różni natychmiast rzucili się na zelantów i zelantki; posypały się artykuły, wskutek których kilka zelantek dostało ataków nerwowych; kawaler Zielonogłowski zauważył słusznie, że «tańcujemy na wulkanie», radca Cymbałkiewicz odgadł w tem wpływ wolnomularstwa i naftofilów, świątobliwy zaś l'abbé Wylizalski przepowiedział na siedmnasty grudnia roku przyszłego koniec świata, w którem to przekonaniu utwierdza go stanowczo uwaga pobożnej hrabiny Bezikiewiczowej, że liczba sług Antychrysta coraz wzrasta, i że nawet *Kuryer Warszawski* już zostaje pod ich wpływem.

Wobec tych wszystkich nietylko prawdopodobnych, ale i pewnych nieszczęść, patrzajcie, synowie Beliala, do czego zatwardziałość wasza was przywiodła, i przygotujcie się do wypicia tego piwa, któregoście niebacznie nawarzyli!

Jak to? i wy chcieliście, żeby Matki chrześcijańskie śpieszyły do Doliny Szwajcarskiej na światowe widowiska, a jeszcze podczas takich mrozów, jakie panowały niedawno? Czy zapomnieliście, że kto jest Matką chrześcijańską, ten na pogański teatr narażać się nie może i nie powinien? Nie wypada, panowie, nie wypada! A z drugiej strony, czy sądzicie, że tylko pieniędzmi można przyjść w pomoc sierotom? Otóż druga straszna omyłka. Zelantki postanowiły nie przychodzić z pomocą materyalną szkółce, właśnie dlatego, że świat ten nie jest niczem innem, tylko padołem płaczu i nędzy, i że nic tak nie pomaga do otrzymania szczęśliwości wiekuistej, jak cierpienia doczesne. Jeżeli więc sieroty będą szczękały zębami z zimna i głodu, wyjdzie im to na dobre, tembardziej, że w każdym razie mają zapewnioną pomoc duchową zelantek.

Jeżeli jednak, o zmateryalizowani synowie wieku! chodzi wam już tak koniecznie o dobro zakładu, które zresztą niczem innem nie jest, tylko marnością, jak to codziennie powtarza l'abbé Wylizalski, poglądając na białą kawę z tłustym kożuszkiem, przyrządzaną mu umyślnie w poobiedniej porze przez pulchne ręce hrabiny Bezikiewiczowej — jeżeli więc, mówię, chodzi wam o dobro materyalne, tedy bądźcie spokojni, albowiem drugie z kolei widowisko sobotnie przyniosło trochę więcej dochodu, niż pierwsze.

Ludzie, którzy zajmowali się sprzedażą biletów, nie wskórawszy nic u Matek chrześcijańskich, udali się do ojców izraelskich, którzy bilety rozkupili, choćby ze względu na zaszczyt dopełnienia pomocą materyalną pomocy duchowej zelantek. Przytem ceny zniżone biletów odegrały również niemałą zapewne rolę — i o dochód, a zarazem o przyszły los Zakładu możecie być przynajmniej na czas jakiś spokojni.

Spodziewam się, że te słowa prawdy, że ta krótka moja mówka, jaką w obronie zelantek powiedziałem, zdoła rozproszyć moce piekielne i wykaże w całej świetności wielkie zasługi niezasłużenie krzywdzonych. Paszkwilem wojować jest łatwo. Czernić białość dlatego właśnie, że jest białością, jeszcze łatwiej, — ale ja, pokorny kronikarz, rozumiem swój obowiązek w ten sposób, że powinienem bronić prawdziwej zasługi uciśnionej niewinności i zdmuchywać sadze z białości wszędzie, gdzie tylko zdarzy mi się po temu jakakolwiek sposobność.

Powodowany temi zasadami, przechodzę wprost do spraw Resursy Obywatelskiej. Krzyczą po wszystkich rogach ulic w Warszawie, że Resursa tonie w falach obojętności, że naznaczają dla uratowania jej posiedzenia, a na te posiedzenia przychodzi zaledwie trzecia część członków, skutkiem czego obrady nie prowadzą do niczego. O obywatele moi mili! przychodzi trzc-

cia część członków, to prawda, ale gdyby przychodziło tylko trzech, to byłoby widocznie także wszystko jedno. Widocznie członkowie znają siebie doskonale, a zarazem nie zapomnieli jeszcze matematyki i wiedzą, że zero, zero a zero, wypadnie zawsze zero. Ja, co prawda, byłem zawsze jak najgorszym uczniem matematyki, skutkiem czego nawet po każdym przyjeździe na wakacye do domu miewałem pewne hałaśliwe zajścia z rodzicielską powagą, o których wolę zamilczeć, ale przecie rozumiem niebywających na posiedzeniach członków, bo jeszcze takie proste rzeczy pamiętam. Otóż powiem wam, że ci, którzy nie przychodzą na mocy tej zasady: 0+0+0=0, czynią to z przekonania, że czy na posiedzenie przyjdą, czy nie przyjdą, obrady zawsze wypadną jednakowo. Umysły tych członków, jak wszystkich znakomitych myślicieli, spokojne są i ciche, niż woda. Gdy jaka kwestya, np. kwestya bytu lub niebytu Resursy, uderzy o ową wodę, zrobi się kilka kółek, dziwnie także do rur podobnych, coraz większych, coraz słabszych, i znów uspokoi się wszystko. Cóż może być piękniejszego, niż spokój? — nie mącić więc spokoju członków! niech lepiej Resursę dydko porwie! Choć z drugiej strony, jeżeli twierdzicie, że ci członkowie nie myślą zupełnie o sprawach Resursy, tedy krzyknę: Kłamstwo! — aż mnie od morza do morza usłyszą.

Powiedzcie bowiem: gdzie się grywa w preferansa? Przecie w Resursie, a zatem preferans jest także sprawą resursową, zatem kto myśli ciągle o preferansie, myśli i o Resursie. Otóż ja, klnę się wam na geniusz naszych wielkich, na dobre chęci Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, na Komitet zoologiczny, na żywe obrazy Przytuliska, na porządek w naszem Towarzystwie Dobroczynności, na zakład pana Łojki, na uprzejmość Lombardu, na gorliwość zelantów względem zelantek i zelantek względem zelantów, na pożyteczność dla społeczeństwa naszych dobrze urodzonych, słowem: na to wszystko, co w mieście naszem mamy najpiękniejszego, najwznioślejszego i najbardziej szanowanego, że znam członków, którzy niczem innem nie zajmują się, tylko Resursą. Użyłem przysięgi wielkiej i strasznej, ale nie myślcie, żeby rzecz nie była tego warta, boć tu przecie chodzi o znakomitą ilość naszych równie znakomitych obywateli. Zajmują się Resursą — bo preferans i Resursa to jedno i to samo. Znam pewnego członka, który każdego nowo poznanego człowieka pyta w ten sposób: «Panie! (mówi) cobyś pan grał, żebyś pan miał tak: asa, damę, dwie młódki karo, asa, króla, waleta pik?» i t. d. — Czy słyszałeś pan, pytam go raz, że podobno Verdi ma przyjechać do Warszawy i że wystąpią na jego cześć w Resursie Obywatelskiej? — Verdi, rze

cze członek, Verdi w Resursie? Ciekawybym też był, coby on grał, żeby miał tak: asa, damę, dwie młódki karo i t. d. — Co to jest przejąć się jakąś myślą do głębi duszy! — przejdzie człowiekowi w krew i opanuje go całego.

Ojcowie Resursy! ratujcie jednak waszą córkę, jak umiecie. Róbcie, co wam się podoba z akcyami i obligami subrogacyjnymi; z długiem pani Zamarajewowej i z innemi wierzytelnościami, których ciężar lepiej niż kto inny oceniam — ale ratujcie córkę. Konduita jej (powiedzieć p r o w a d z e n i e s i ę, nie byłoby w dobrym tonie), konduita jej tedy nie była bez ale. Mój Boże! pamiętam wieczory w Resursie. Tańcował, kto chciał, choćby kozaka, a mazura prowadził: nie jeden taki, za kim na wyścigach konnych latali paupry z całego miasta, tak wpadał w oczy białym strojem, a w czasie gonitw zlatywał z konia akurat tyle razy, ile się ścigał. Wszyscy kantorowicze za nim; w salach przed każdym lustrem stał któryś z nich i, przyczesując włosy, poprawiając krawat, myślał o spustoszeniach, jakie porobił w sercach wygorsowanych aniołów, i o tem, że pryncypał głupi stary, bo z pewnością nie dostrzeże, ile tam brak w kasie kantoru. W czasie maskarad tajemnicze maski z niewypowiedzianym dowcipem powtarzały: «Ej ty bałamucie, bałamucie!» Słowem: smak onych zabaw bywał trochę pieprzny, nawet tak pieprzny,

że aż przestał smakować ludziom — stąd pustki, małe dochody, deficyt i śmierć blizka. Ale mimo tej konduity, mimo preferansa, bezika i innych tego rodzaju zabaw, na których sprawdzano angielskie przysłowie: «Czas to pieniądze» (bo przecież nie grywano darmo), nie mogę zapomnieć, że tam odbywały się także prelekcye, tam na spragnione wiedzy główki dziewicze padały nasiona wiedzy, tam serca młodych pozytywistek pochylały się ku przystojniejszym prelegentom. Słowem: była sala — jakakolwiek sala, ale lepsza od sali w dawnym teatrze Rappo, gdzie Ochorowicz mówił o sprzecznościach wiedzy o wszechświecie i godził je, a jednocześnie dziki Indyanin ryczał, niedźwiedzie mruczały, hyeny wyły, a pewne małe, nader wysoko skaczące istotki, wyprawiały rzeź ogólną, co tłómaczyło, w sposób zgoła naturalny, nienaturalny niepokój słuchaczek, wobec kwestyi, przez prelegenta podnoszonych, i entuzyazm ich, gdy się prelekcya skończyła. Sala w mieście takiem, jak nasze, ma bardzo wielkie znaczenie, jest rzeczą niemal niezbędną, dotychczas zaś niema innej i nie zanosi się na nią wcale. Sama Resursa zresztą, gdyby była prowadzona jak należy, gdyby była miejscem rozrywki tanecznej nawet, ale niezbyt pstrej i nie bezikowo-preferansowej — ale trochę i umysłowej, Resursa, powtarzam, taka, jak obywatelska, dostępna dla szerszych kół warszaw-

skiej publiczności, byłaby instytucyą zarówno pożądaną, jak pożyteczną.

Życzę jej więc pomyślnej przyszłości, lubo: *utinam sim falsus vates* i lubo nie mogę się jeszcze raz wstrzymać od powtórzenia uwagi, że powodem, wstrzymującym członków od uczęszczania na posiedzenie, jest zasada matematyczna: 0+0+0=0.

Tę samą zasadę mógłbym powtórzyć bez wielkiego szkopułu i bez wielkiej złośliwości administracyi Merkurego, administracyi tanich kuchni i wielu innym administracyom naszych instytucyi publicznych, ale nie mogę bez krzyczącej niesprawiedliwości powtórzyć jej Przytulisku. Przytulisko wie dobrze, że jedna panna, *plus* druga panna, *plus* trzecia panna, *plus* kilku *circum*-fatygantów, *plus* lew u sklepu futrzanego, *plus* kilka kostiumów kąpielowych, pomnożonych przez talent wielkiego artysty, równa się żywemu obrazowi, a kilka obrazów, dodanych do siebie, stanowi widowisko, a widowisko to dochód. Całą tę tak na pozór złożoną, a jednak tak prostą kombinacyę matematyczną Przytulisko powtarza z tem większą wprawą, że powtarza ją rok rocznie. «Była to czapla na czerwonych nogach, chodziła sobie po rozstajnych drogach, siadła na desce, ogonem kleszcze — powiedzieć ci jeszcze?»

— Powiedz — odpowiada publiczność, a Przy-

tulisko z dobrą wiarą zaczyna: Była to czapla etc. Będziem mieli tedy znowu żywe obrazy. Do bab, hodowanych na większą cześć tego zakładu, znowu przybędzie kilka okazów, a Biuro wyjątkowej nędzy, patrząc na wszystko to z boku, pomyśli sobie, że lepiej jest być biurem wyjątkowej pożądliwości na dochody i wyjątkowej ruchliwości w nogach, niż wyjątkowej nędzy, i że miłosierdzie publiczne jest starym bałamutem, który otwiera kieszeń wtedy, kiedy traci głowę, a traci głowę zawsze na widok ładnych twarzyczek.

Nie wszystko piękne, co się podoba, ale też nie wszystko brzydkie, co się nie podoba. Tak twierdzi przynajmniej redakcya *„Kłosów“* w polemice z panem C. G., do której kronikarz nie chce palca wścibić. Z mojej strony przeto dodam tylko, że co się tycze pana Godebskiego, to ja sam mam mu za złe, że zamącił spokój Komitetu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Konfucyusz, mędrzec chiński, mówi:

«Jeśli prawdę chcecie wiedzieć,
«Lepiej siedzieć, niżli stać,
«Lepiej leżeć, niżli siedzieć,
«Niżli leżeć, lepiej spać».

Otóż co panu C. G. to szkodziło, że Komitet chciał «prawdę wiedzieć», a dowiedziawszy się jej, stosował w życiu i postępował tak, jak według Konfucyusza jest najlepiej. Dziś tak

mało kto ma zasady! Po co zmuszać do zbytnich wysileń komitetowe inteligencye, zbyt szanowne, aby się na takie wysilenia mogły narażać? O cóż chodzi? o sztukę? Wielka mi sztuka! Mnie chodzi o coś ważniejszego, o Komitet, o spokój tych prawdziwie transcendentalnych umysłów. Ileż to razy zresztą słyszałem, że sztuka nie z tego świata bierze swój początek; cóż więc dziwnego, że i Komitet, wierząc głęboko w nadziemskie pochodzenie sztuki, ziemskimi jej losami zajmować się nie chciał i nie umiał, w tem przekonaniu, że choćby na całym świecie ogólnie, a u nas szczególnie, licho ją porwało — przecie jako nieziemska idea żyć będzie wiecznie w platońskiem niebie, wiecznie równie piękna i nieśmiertelna.

Nakoniec, o co chodzi? sztuka, według większości znawców, powinna być idealną — otóż i Komitet był idealny. Dalej: sztuka jest sobie sama celem — otóż i Komitet był sam sobie celem. Panowie, na miłość Boską, czegoż my od tego Komitetu chcemy?

Ha! ja nic nie chcę, ja go bronię, ale p. Godebski chciał, by zajmował się sztuką całą duszą i sercem: by pilnie baczył na jej rozwój, by budził miłość dla niej w narodzie, by przygarniał artystów, jak kokosz przygarnia pisklęta, by rozpowszechniał znajomość pięknych utwo-

rów malarzy, słowem: by czuł, żył i działał, jak człowiek na jawie, nie jak lunatyk.

Nowalie to, nowalie! nadsekwańskie wymysły! W naszem mieście tego nie bywało, a pomimo tego proszę zajrzeć w księgi stałe i niestałe, czy nie rośliśmy i nie mnożyliśmy się, jak żyto na piasku?

Że ja też zawsze muszę kogoś bronić!

Cóż robić! z natury jestem optymistą i wszystko widzę w różowych kolorach, zacząwszy od energii moich współobywateli, z jaką myślą o założeniu szkół wieczornych, a skończywszy na bazarze, w którym komedya pod tytułem: «Kupno i sprzedaż», już ujrzała światło lamp gazowych. Oto krótki jej program: Akt I: posiedzenie Komitetu, uprzyjemnione lekką, jak omlet, a porywczą, jak krytyki „*Kłosów*“, rozprawą społeczno-filozoficzno-ekonomiczną o nędzy, o ilości stopni mrozu, o termometrach, o panu Piku i miłosierdziu. Akt II. Bazar gotowy; panie zachęcają do kupna, panowie nie mruczą. Akt trzeci: panowie kupują: słychać zgrzytanie zębów. Akt czwarty: Joasia się śmieje, Jaś płacze, czyli panie się śmieją, panowie klną. Epilog: pustki w kieszeniach.

Drugą komedyę pod tymże tytułem mają przedstawić niezadługo w teatrze Rozmaitości. Autorem jej jest Zacharyasiewicz. Zapewniam was, że będzie zabawniejsza.

Ale nie o tem chcę mówić, tylko o moim optymizmie i różowym sposobie widzenia rzeczy. Otóż, jakkolwiek wszystko uniewinniam, jestem nawskroś oburzony i nie posiadam się z gniewu, który podzielicie niezawodnie wraz ze mną, czytelnicy, jak tylko dowiecie się, o co idzie. Wyobraźcie sobie, wyrządzono u nas w Warszawie publiczną zniewagę kobiecie, i to cudzoziemce, autorce, sławnej na cały świat, znanej wszędzie i czytanej wszędzie. Mówię ni mniej ni więcej, tylko o George Sand. Wyrządzono jej u nas krwawą obelgę, albo inaczej mówiąc, pan Breslauer wydał tłómaczenie jej powieści «Consuelo» na język pol..., nie, chciałem powiedzieć na język *sui generis*. Takiego przekładu dawno mi się już nie zdarzyło czytać. Podług mnie, pani Sand powinna pozwać pana Breslauera o ciężkie pokaleczenie biednej «Consuelo», skutkiem czego młoda śpiewaczka, okazawszy się podrapaną, poczochraną, pokrwawioną, wydała się brzydką, a nawet wstrętną. Dla przykładu zacytuję wam kilka tego rodzaju «omyłek zecerskich», jak zapewne powie pan Breslauer. Zobaczmy:

Stron. 1, Rozdz. I.: «Lękam się, aby nazwawszy ją, nie utraciła tej rzadkiej cnoty. Czy to ma znaczyć: nazwawszy cnotą? Nie: to nauczyciel lęka się, aby wymieniwszy imię uczennicy, nie wbił jej przez to w pychę».

Stron. 9-ta: «Druga (drugi rodzaj brzydoty)

prostoduszna, na nic nie zważająca, umiejąca się znaleźć w swoje położenie».

Str. 16-ta: «Był zajęty nadziewaniem piękne muszle».

Str. 22-ga: «Śpiewali przed kaplicamy».

Przypomina to wszystko trochę ów wierszyk, jaki w swoim czasie podały *Kolce*, zaczynający się od słów: «Moje Róże, daj mi buże».

Biedna pani Sand!

Przytoczyłem tych kilka przykładów dla śmiechu; ale ma to i swoją stronę smutną. Dziś, kiedy wszyscy zwracają nadzwyczaj baczną uwagę na czystość naszego przepysznego języka, taki przekład, wydany w Warszawie, wydany zapewne w niemałej liczbie egzemplarzy, jest czemś tak dalece wstrętnem, że nie umiem słów znaleźć na napiętnowanie tego rodzaju wydawnictwa-spekulacyi.

Czy słyszeliście: książka, zamiast podtrzymywać i oczyszczać język, psuje go; zamiast rzucać perły, rzuca śmiecie do skarbca! Jest to w innym zakresie taka sama zaraza, jaka wiała od Barbary Ubryk, Izabeli, Eugenii etc., których to wydawnictw również p. Breslauer był nakładcą.

Gazeta Polska, Nr. 282 z dnia 21 grudnia 1875 r.

KONIEC TOMU SZEŚĆDZIESIĄTEGO.

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM LVIII

Warszawa. Druk Piotra Laskauera i S-ki.

Pisma

Henryka Sienkiewicza

TOM LVIII

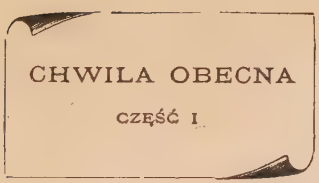

WARSZAWA
NAKŁAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
(DODATEK BEZPŁATNY)
1903

Дозволено Цензурою.
Варшава, 13 Августа 1903 г.

CHWILA OBECNA

CZĘŚĆ PIERWSZA

Дозволено Цензурою.
Варшава, 13 Августа 1903 г.

CHWILA OBECNA

CZĘŚĆ PIERWSZA

I.

Wiejskie nudy i warszawskie rozkosze. — Młodzi i starzy. — Odrodzenie Resursy kupieckiej. — Towarzystwo Muzyczne. — Członek z kalendarza. — Powinszowanie noworoczne. — Zapis Staszica. — Trąd piśmiennictwa. — Saltabadil i Sparafucile. — Gololedź paryska. — Opera. Kuryer Świąteczny i Rozyna. — Epilog.

Niejedno dziewicze serduszko, niejeden spragniony uciech życia umysł młodzieńczy, spędzając smutne wieczory gdzieś na ustroniu wiejskiem, słuchając jednostajnego świstu wiatru, widząc przez okna piętrzące się zaspy śnieżne, zamarzy tęsknie o hucznym karnawale warszawskim, o jaśniejących światłem salach balowych, o strojnych wdziękach, o skocznej muzyce Lewandowskiego, o wesołym gwarze maskaradowym. Westchnie i pomyśli sobie: szczęśliwi ci Warszawianie, wszystko dla nich, oni się bawią, weselą; a dla nas co: krosienka, pasyans, lub maryasz z proboszczem.

Tak jest; zazdroszczą nam, uprzywilejowanym mieszkańcom wielkiego miasta, opływającym w zabawy i uciechy wszelkiego rodzaju. O! bo jest i czego pozazdrościć! Na szarem tle nędzy, dokuczliwym zwiększonej mrozem, odbija się jaskrawo kilka rozweselonych postaci, które za zadanie poczytują przechować u nas tradycyę o karnawale. Nie chcemy przecież, by nas pomawiano o zamiar strofowania tych, którzy pragną ubawić się — uchowaj Boże! Młodość ma swoje prawa, — próżność swe dążności, — lekkomyślność swe nałogi; a zresztą, wesołych i swobodnych chwil w życiu tak mało, że nie należy unikać tych, które się wydarzają.

A wszelako musimy zaznaczyć, że dawniejsza cecha zimy w Warszawie, skłonność do zabaw, powoli zacierać się zaczyna. O balach, wieczorach «tańcujących» i innych rozkoszach zimowych, mało słychać. Co się do tego przyczynia, czy brak środków, czy ogólny zwrot umysłów ku poważniejszym sprawom, czy przesycenie starszego pokolenia, a brak rzeźkości i młodzieńczości w młodszem? — tego rozbierać nie będziemy; dość, że okrzyczana z wesołości Warszawa tegoroczną zimę niemal za nieistniejącą uważa.

Więc nie bawią się tak, jak ongi. Znajdujemy się w położeniu człowieka, który lubo do-

tknięty organiczną chorobą, nie uważa na ostrzegające napady; podczas ich trwania leczy się na gwałt uśmierzającymi środkami, a skoro przeminą, na nowo życie różnorodnemi uciechami przeplatać zaczyna. Aż nareszcie wybija godzina fatalna, w której niemoc ogólna ogarnia; wtedy dopiero uznaje się konieczność radykalnego leczenia — ustają uciechy, wesele, rozkosze i rozpoczyna się sumienna auskultacya. Doszliśmy, jak się zdaje, i my do tej chwili, czujemy w organizmie niedostatek. Braki i ułomności, spowodowane głównie anemią pieniężną, widoczniejszymi coraz się stają, a poczucie ich wprowadza nas w pewnego rodzaju marazm, który się w tej chwili na tegorocznym karnawale uwydatnia.

Biedne to młode pokolenie! Dotąd nic nie zawiniło; w grzechach społeczeństwa przeciwko oszczędności udziału nie brało, — pragnęłoby żyć i bawić się, tak jak starsi, za młodu, i żyli i hulali, — a tymczasem przychodzi pokutować za nieswoje winy. Może smutne to doświadczenie zbawiennie wpłynie na losy przyszłych pokoleń, którym obyśmy nie pozostawili w puściźnie przykrego naszego «Katzenjammeru!»

Z życia warszawskiego trudno zbierać materyały do felietonu, przeznaczonego na rozrywkę dla czytelnika, który szuka wytchnienia, po spożyciu więcej lub mniej poważnych kwe-

styi, w górnych strefach dziennika traktowanych. Wątpimy bowiem, by czytelników, za obrębem Warszawy zamieszkałych, bardzo interesować mogły sprawy obu Resurs, skoro nawet mieszkańcy miasta żadnego zajęcia nie okazują. Do odbycia bowiem, w końcu zeszłego roku, wyborów do komitetu Resursy Kupieckiej zebrała się szczupła bardzo liczba członków. Rezultat wykazał prawdziwość francuskiego przysłowia: *L'on revient toujours à ses premières amours.* Rzeczy do pierwotnego prawie wróciły się stanu, — co zresztą wszystko jedno; Resursa Kupiecka należy już bowiem do zabytków archeologicznych. Już dziś gmach resursy, wieczorem zwłaszcza, sprawia na przechodniu wrażenie dawnego, opuszczonego zamku, w którym coś przeszkadza.

Resursa Obywatelska mało daje znaków życia na zewnątrz. Instytucya ta nigdy nie miała pretensyi do znaczenia publicznego; uważać ją przeto musimy za stowarzyszenie czysto prywatnej natury; a jako takie, dla pióra felietonisty jest nietykalne.

Inaczej się rzecz ma z Towarzystwem Muzycznem, którego lista członków, co do obszerności, rywalizować może z księgami ludności miasta Warszawy. Wobec rozpowszechnionego zamiłowania do muzyki, znawstwa, zdrowego sądu o sztuce, szczerego zajęcia się nią, prawdzi-

wego poświęcenia ze strony jej wyznawców, pomijania postronnych względów, z których to zalet Warszawa słynie — wobec tego wszystkiego, powtarzamy, Towarzystwo Muzyczne, a raczej jego Zarząd, podpada pod kontrolę opinii publicznej. Otóż, z przykrością przychodzi nam wyznać, że Zarząd Towarzystwa widocznie ciężko musiał zgrzeszyć, skoro ściągnął na siebie zarzuty grube w tegorocznym kalendarzu Jana Jaworskiego, zarzuty tem donioślejsze, że podpisane są przez jednego z członków Zarządu. Zła wola i niedołęstwo — oto co kalendarzowy członek komitetu Towarzystwa Muzycznego sformułował, nie wyjaśniwszy, czy wobec takich danych pozostał nadal w komitecie, czy też z niego wystąpił. Winniśmy to ostatnie przypuścić, — takby przynajmniej nakazywało proste i elementarne pojęcie o przyzwoitości, — inaczej bowiem, jeżeli kalendarzowy członek komitetu do składu jego nadal należy, cały ciężar sformułowanych zarzutów wyłącznie na siebie samego, jako ze świadomością działającego, przyjąć winien. Ale któż to o przyzwoitość dba? Utylitaryzm *sui generis* wykazał nicość tych zastarzałych przesądów!

Spostrzegamy się w tej chwili, że i my niezupełnie zastosowaliśmy się do wymagań warszawskiej przyzwoitości. Zapomnieliśmy bowiem rozpocząć pierwszy nasz tegoroczny felieton od

powinszowania czytelnikom, a następnie, zwyczajem przyjętym, przystąpić do małego wstecznego przeglądu roku minionego. Lecz szarpniętych już dni jedenaście zwalnia nas od powyższego obowiązku, — z czego tem skwapliwiej korzystamy, iż, dalibóg! nie dużo pocieszych rzeczy przywieśćby wypadało.

Pozostawił nam upłyniony rok w puściźnie znaczną ilość niezałatwionych dotąd kwestyi. Na pierwszym planie stoi kwestya zapisu Staszica, w której liczne projekty podniesione zostały. Nie jest rzeczą felietonisty wdawać się w rozbiór projektów tych, — nie możemy wszelako nie wyrazić zdziwienia naszego, że w całej tej sprawie najmniej się uwzględnia głos, zdaniem naszem, najbardziej stanowczy, a mianowicie: głos zapisodawcy. Jego myśl, jego wola, tak jasno i zrozumiale określone, przedewszystkiem poszanowane być winny, zarówno dlatego, że potrzeby kraju równie dobrze, a może i lepiej, niżeli dzisiejsi szermierze, zrozumiał, — jak też i dla tej przyczyny, że fundusz pozostawiony stanowił jego własność, a więc rozporządzenia jego w żaden sposób krzyżowanemi być nie winny. Tylko w razie radykalnych zmian w stanie rzeczy, niemożności wykonywania rozporządzeń zapisami objętych, wreszcie i uznanej ich szkodliwości wolno społeczeństwu odstąpić od wykonania wyraźnego brzmienia zapisu, —

gdzie zaś nie zachodzą okoliczności uniemożebniające wykonania, tam wola zapisodawców święcie poszanowaną być winna, — a nikomu nie służy prawo zmieniać przeznaczenia zapisów. Jest to przeciwne i moralności i pojęciom o nietykalnych prawach własności.

A tymczasem dyskusya jeszcze długo potrwać może, i pożytek z zapisu płynący na długie lata jeszcze się odroczy. Znowu kilka pokoleń wymrze; kapitał się wzmoże — co prawda, ale gdzież korzyść z niego?

Rok miniony, jeżeli dodatnich stron wiele nie przysporzył, to za to jedną z bardzo ujemnych silnie uwydatnił. Felietonista *Gazety Warszawskiej*, w przeglądzie roku zeszłego, mówiąc o działalności prasy peryodycznej, ze słusznem oburzeniem wspomniał o paszkwilach, które nazwał «trądem piśmiennictwa».

Tak jest! trąd ten, objawiający się sporadycznie, dziś już przybrał cechę choroby częstszej, coraz bardziej wpływem swoim społeczności zagrażającej.

Wiktor Hugo w dramacie «*Le Roi s'amuse*» wprowadza osobistość, która tylko w ustroju społecznym średnich wieków wyrodzić się mogła. Jest nią Saltabadil, najemny oprawca, którego rzemiosłem, za dobre wynagrodzenie wygadzać zemście lub widokom prywatnym. Ponieważ podówczas prasa peryodyczna jeszcze nie istniała,

przeto Saltabadil obowiązki swoje wykonywał — w domu, na ulicy, na rynku publicznym, a nie będąc piśmiennym, używał sztyletu. Dramatu tego nie widzieliśmy na naszej scenie, ale treść jego znana jest publiczności, choćby z opery Verdiego «*Rigoletto*», w której opisana powyżej postać, pod nazwą Sparafucile, zgrozą słuchaczów przejmuje.

Minęły czasy średniowieczne, inny nastał porządek społeczny, kodeks karny i uorganizowana siła zbrojna, czuwająca nad porządkiem publicznym, zepsuły najzupełniej interesa takim Saltabadilom i Sparafucilom; ale złe namiętności przetrwały, i zdaje się, póty trwać będą, póki się ludzkość nie wyanieli, co zapewne nigdy nie nastąpi.

Saltabadilowie przeto zmuszeni byli szukać innej formy, z wymaganiami dzisiejszego stanu społecznego zgodnej, dla wykonywania swego zacnego a zapewne intratnego rzemiosła.

Cyncynat, jako prawy obywatel, zamienił miecz na lemiesz, i nie mogąc walczyć za kraj, uprawiał go. Saltabadil zaś, jako na drugim krańcu społeczności stojący, z najemnika przedzierzgnął się w spekulanta, schował sztylet i wziął pióro do ręki; a nie mogąc zabijać, obsługuje kundmanów swoich zniesławianiem bliźnich. I widocznie rzemiosło to musi być korzystne, skoro, rozgałęziwszy się szeroko po

świecie, i u nas zwolenników znajduje. Smutna to rzecz, ale zdaje się, że nowy ten sposób do życia wielkie ma tutaj widoki powodzenia. Przy usposobieniu do wzajemnej podejrzliwości, stanowiącej coraz wybitniejszą cechę naszego społeczeństwa, każde szarpnięcie cudzego dobra i mienia, każde pokuszenie się na cudzą sławę, czy to piórem, czy ołówkiem, czy też na deskach scenicznych, znajduje poklask i uważane jest przez wielką część ogółu za dowód odwagi i bezstronności. Śmiejąc się z cudzej krzywdy, nikt nie pamięta, że sam każdej chwili pokrzywdzonym być może!

A jakąż wtedy opiekę znajdzie? gdzie się o krzywdę upomnieć zdoła? Czy na drodze satysfakcyi honorowej? — trudno! albowiem zadosyćuczynienia honorowego żądać można tylko od ludzi kierujących się poczuciem honoru, — a do tych Saltabadile nie należą. Czy na drodze prawa? jest to droga niepewna, gdyż w materyi tak drażliwej, jak honor, pojęcia kodeksowe do ustanowienia istoty czynu nie wystarczają; jest to droga długa, gdyż, jak nam wiadomo, są sprawy o potwarz, które ciągną się rok przeszło; jest to wreszcie droga niebezpieczna, gdyż pokrzywdzony a skarżący, przy przedstawieniu sprawy, skazany jest na milczenie, wtenczas gdy oskarżony ma obronę swobodną i do wyrządzonych zniewag jeszcze nowe dorzucić może!

Cóż więc na to robić? Czy milczeniem pogardy zbywać takie obrzucanie błotem? Nie, stokroć nie! paszkwil jest brudem społecznym, a kto milczeniem pogardy pomija brud, sam wkrótce przezeń opanowanym zostaje. Wymieść ten brud, tępić wszelkimi środkami ohydne robactwo, które, zagnieździwszy się u nas, coraz szerzej się rozsiada, — coraz zuchwalej głowę podnosi, — dla którego wszystko, co jest zacnem, uczciwem, jest tylko przedmiotem do oplwania dla zarobku, a które siedząc w brudnej kałuży, uważa ją za zwierciadło, odbijające świat i jego stosunki.

Paszkwile należy karcić; i wszyscy uczciwi ludzie, pragnący uchronić społeczność od wkradającej się gangreny, powinni poczuwać się do solidarnego obowiązku karcenia tych zuchwałych i bezczelnych objawów. Jeżeli uczciwi ludzie zdołają należycie upomnieć się o swe prawa, to pierwszy omłot da miarę dalszej wydajności panów paszkwilistów.

Ślizka to droga, po której oni postępują, a pomimo to żaden dotąd szwanku nie poniósł, gdy tymczasem, na ulicach warszawskich, któremi ludzie najniewinniejsi są zmuszeni chodzić i jeździć, codziennie prawie wydarzają się wypadki. Niedawno kronika miejscowa *Gazety Polskiej* obejmowała opis nieszczęśliwego zdarzenia,

któremu uległy niektóre osoby, od tego czasu znowu kilka ofiar przybyło, a zaradzić temu dotąd się nie dało. Pocieszamy się myślą, że u nas jeszcze nie tak źle, jak n. p. w Paryżu, gdzie w zeszłym tygodniu, gdy mróz niespodzianie wszystkie chodniki gołoledzią pokrył, naliczono kilkaset złamanych nóg, rąk i obojczyków.

Za tyle zmartwień Paryżanie dostali nową Operę, w której mogą szukać pociechy. Nam zaś dostała się w udziale niepocieszna Opera Włoska, która może w tym roku ostatecznie wyleczy nas z upodobania w słuchaniu muzyki niewłoskiej, wykonanej na sposób nowowłoski, t. j. bez głosów. Słusznie ktoś zauważył, że publiczność warszawska corocznie zadowalać się musi trupą, składającą się z artystów, albo jeszcze nie umiejących, albo już nie mogących. Chodzimy na operę po to, by odgadywać przyszłość, lub domyślać się przeszłości, ale teraźniejszości, któraby łączyła w sobie umiejętność z możnością, nigdy doczekać się nie możemy. *Si jeunesse savait, si vieillesse pouvait!*

Mówiąc o operze, możemy śmiało, bez ubliżenia zasadom harmonii stylowej, przejść do koncertów, tem bardziej, że wypada nam odeprzeć niesłuszny zarzut, uczyniony przez jedno z tutejszych pism humorystycznych znakomitemu artyście, panu Mikołajowi Rubinsteinowi, dyrektorowi konserwatoryum w Moskwie. *Kuryer Świą-*

teczny pomawia go o przybycie do Warszawy dla podniesienia rocznego podatku, jaki od lat kilku na Warszawę nakłada. Otóż *Kuryer* grubo zbłądził. Pan Mikołaj Rubinstein przyjechał raz jeden tylko do Warszawy, przed dwoma laty, i przyjechał umyślnie po to, by dać koncert na korzyść rodziny ś. p. Moniuszki. Dochód przeto z koncertu tego otrzymany, nie był, jak *Kuryer Świąteczny* twierdzi, podatkiem na rzecz p. Rubinsteina ściągniętym, ale pozostał w kraju i posłużył na ulżenie bytu rodziny nieodżałowanego mistrza naszego. Odtąd pana Rubinsteina nie słyszeliśmy tutaj; a zatem zaśpiewaćby można *Kurycrowi Świątecznemu* to, co Bartolo w Cyruliku Sewilskim do wychowanicy swej śpiewa: «Więc skłamała Rozyneczka!» My tego nie śpiewamy, bo lubimy wyrażenia oględne, — ale cytujemy dla uwydatnienia ukrytej naszej myśli.

Skończywszy sprawozdanie nasze z wrażeń w obecnej chwili odniesionych, pragnęlibyśmy, dla zaokrąglenia formy, użyć formuły na końcu wszelkich sprawozdań i protokółów używanej, a która brzmi: «Na tem protokół ukończono». Jeżeli więc czytelników formuła ta zbytecznie nie razi, gotowiśmy, jak na dzisiaj, korzystać z niej, i oświadczamy, że «na tem dzisiejszy felieton ukończono».

Gazeta Polska, 1875, Nr 7 z dnia 11 stycznia.

II.

Kotylion i operetka. — Opera włoska. — Woda. — Hydropatya i skutki zimnych kąpieli. — Paszkwil, jako nowa roślina pastewna. — Wydatki karnawałowe. — Czwartkowe przedstawienie w teatrzyku dobroczynności. — Maskarada.

Doszła mnie z Paryża przerażająca ze względu na rozpoczęty sezon karnawałowy wiadomość. Oto ni mniej ni więcej miał być zniesiony na wieki wieków kotylion.

Jeden z humorystów francuskich napisał nawet mowę pogrzebową, której wyjątki, o ile zapamiętałem, przytaczam: «Żegnaj (mówi ów humorystyk), o ty najgłupszy z tańców! Byłeś tem w sztuce przebierania nogami, czem operetka w sztuce dramatycznej. Dziś przeżyliście się oboje. Tobie przeznaczono iść za nią — żegnamy cię więc: idź do dyabła!»

Na szczęście, nekrolog okazał się zbyt wczesnym. Nie umarła ani operetka, ani kotylion. O tak, mili czytelnicy, nie umarło ani jedno,

ani drugie — żyją. Tak jedno jak drugie nadto jest głupie, aby mogło umrzeć w naszych czasach.

Dziś zabawy godne Niniwy więcej cenimy, niż zabawy godne Aten. Taki nasz gust i cała rzecz. Dowcip nie stanowi najcelniejszego przymiotu zabaw. Dowcip to rzecz bardzo przyjemna, ale ma tę niedogodność, że wymaga pewnego natężenia umysłu, a właśnie cechą naszego wieku jest, że nie lubi natężać umysłu. Otóż czy np. «Życie paryskie« jest dowcipne? — nie, ale żyje i żyć będzie, bo jest dostatecznie niedorzeczne. Więc bądźcie spokojne, o piękne czytelniczki, i o kotylion. Francuski humorysta ożenił go z operetką najsłuszniej w świecie. Czyż od aryi: «Na plecach lufcik ma», od szwajcarskich admirałów, od generałów sardyńskich z pudełkami od sardynek zamiast orderów, nie proste przejście do orderów kotylionowych, do pukających cukierków, do inekspymąbli z angielskiej bibuły, do głów oślich, lisich i kocich, w które kotylion tak chętnie ubiera głowy tancerzy, że, spojrzawszy po sali, może się nam wydawać, że jesteśmy w menażeryi. A przytem ileż to wątku do rozmów, które zyskały nawet osobną nazwę kotylionowych! Wyobraź sobie, czytelniku, salę balową, pełną światła, przepychu, pięknych kobiet, francuszczyzny, białych krawatów, matek siedzących na kanapach, i wszystkiego tego, co właściwie istotę balu stanowi.

Posłuchajmy, o czem rozmawiają w chwilach odpoczynku pary tańcujące. Ach, niemasz nic trudniejszego, niż rozmawiać z tancerką, którą się pierwszy raz w życiu widzi; ale kotylion wszystko ułatwia. Oto dowody:

— Ach, pani — mówi młodzieniec, przybrany w oślą głowę z angielskiej bibułki. — Te wyroby, te ordery, te cacka kotylionowe, my na nieszczęście sprowadzamy z Berlina, nie z Paryża. Wszystko to niemieckie wyroby.

— Francuskie daleko lepsze? — pyta dama.

— Bez porównania — mówi dalej młodzieniec. — Naprzykład ktoby poznał, że ta głowa, którą mam na sobie, ma wyobrażać osła?

— Ach, poznać jednak można.

— Z trudnością — odpowiada młodzieniec. — Przecież wiem dobrze, jak wygląda prawdziwy osieł — dodaje, spoglądając ukradkiem w zwierciadło. — Doprawdy, mam to ochotę zdjąć: sądzę, że będę lepiej wyglądał.

— Ależ przeciwnie, bardzo z tem panu do twarzy! — kończy dama.

I takiemi lub podobnemi rozmowami brzmi cała sala. Umysł nie potrzebuje się wysilać. Milczenie, owo milczenie kłopotliwe, zapadające w zwykłych rozmowach między młodzieńczem pytaniem: «Czy pani lubi tańczyć?» a dziewiczą odpowiedzią; «O tak, panie!» — owo milczenie, podczas którego młodzieniec kręci szapoklak,

robi sobie w duszy uwagę, że wypada coś jeszcze powiedzieć, i poprzestaje na tej uwadze, zastępując słowa uprzejmem chrząkaniem, przy kotylionie się nie zdarza. Niechże więc żyje ten taniec, ułatwiający na gruncie zoologicznym stosunki płci obojej, dekorujący papierowymi orderami klapy fraków i sprowadzający Offenbachiadę ze scen teatralnych do salonów!

Od operetek przechodzimy do obecnie nam śpiewającej opery włoskiej. Autor Pokłosia w ostatnim numerze *Kłosów* wspomniał, że skutkiem mrozów, jakie panowały u nas w ostatnich czasach, Włochom pozamarzały głosy. Może być w tem część prawdy, choć z drugiej strony inne wieści głoszą, że właśnie personelowi owej opery winniśmy ustanie mrozów. Jak wiadomo, panuje u nas zwyczaj wyliczania łysych dla zawstydzenia mrozu; otóż pomiędzy wyliczonymi miało się znajdować kilku kochanków tejże opery, co miało szczególnie podziałać skutecznie na zmniejszenie się zimna; mróz bowiem zawstydzony tu był potrójnie: raz, że mroził łysych, jako łysych; drugi raz, że mroził łysych, jako synów Italii, do cieplejszego przyzwyczajonych klimatu; a nakoniec, że mroził łysych kochanków, którzy młodość swoją i łysiny swoje i talary swoje oddają na usługi naszej sceny.

Mróz więc sfolgował; śnieg taje, na ulicach jeziora, a sanki jeżdżą po gołych kamieniach.

Ma to jednak swoje dobre strony. Jak wiadomo, w ostatnich czasach szczególnie weszła w modę hydropatya; otóż teraz nie potrzebujemy wyjeżdżać do zakładów hydropatycznych za granicą, ani nawet do Nowego Miasta nad Pilicą, mamy bowiem u siebie, w domu, w naszej poczciwej Warszawie ogólną, bezpłatną kuracyę wodną. Może być nawet, że hydropaci innych krajów do nas wysyłać będą swoich pacyentów. Dość, niech chory wyjdzie na ulicę, pierwszą lepszą, jaka mu się będzie podobała, i przejdzie chodnikami kilkadziesiąt kroków, a za kołnierz tyle mu naleci najzimniejszej w świecie wody, że wystarczy to na uśmierzenie choćby najuporczywszej gorączki. Że zaś czasami z wodą zleci mu z wysokości trzeciego piętra na głowę jaki kawałek lodu, ważący koło czterdziestu funtów, albo mniej więcej pół fury śniegu — no, to przynajmniej cierpienia jego skończą się raz na zawsze.

Woda, woda i woda wszędzie: mokro nam w głowę, mokro nam w nogi, a niezadługo mokro nam będzie nawet i w krzesłach teatralnych, woda bowiem zdołała się podobno i tam dostać! Jak się to stało?... A ot tak, sobie!... poprostu przez dach. Zaczęło lecieć i leci. Ot cała rzecz. I kto tu winien? Pewnie, że nie zarząd gmachu teatralnego. Naturalnie! Owszem. Sam zarząd długo nawet zastanawiał się nad tą kwestyą,

czy winien śnieg, dlatego że stopniał, czy dach, dlatego że był dziurawy? Kwestyę poddano nawet dyskusyi publicznej, boć raz trzeba przecie, żeby w logice było coś pewnego. Wprawdzie woda tymczasem będzie leciała: «A deszcz jak pada, tak pada», jak mówi Szekspir, ale z czasem znajdzie się i na to rada. Już nawet zaczęto zrzucać śnieg z dachów, a zresztą czyż to zima wieczna? Przyjdzie słońce i wszystko wysuszy.

Mają wreszcie te wszystkie kąpiele jedną dobrą stronę: oto chłodzą, a dla nas to potrzebne i bardzo potrzebne. Kto wie, może skutkiem tych zimnych kuracyi ustaną kłótnie i spory, wstrząsające łona rozmaitych naszych instytucyi.

Może ustaną! Ale nim ta chwila błoga nadejdzie, ileż się jeszcze przeleje atramentu! Dziś wojna i wojna wszędzie. W Towarzystwie Muzycznem, po staremu, więcej zaciętych rozpraw, niż prawdziwej muzyki; w teatrze stare kwasy i zawiści, a nakoniec w niektórych kolonijkach piśmienniczych — paszkwil uznano już stanowczo za roślinę, której uprawa najlepiej się opłaca.

Według nas, paszkwil jest rośliną pastewną. Możnaby o niej powiedzieć to, co humorysta Prus mówi o humorze: «Kaleczy dobrze uformowaną gębę, ale niezmiernie smakuje osłom». Nie wiemy i nie chcemy przesądzać, ilu znajduje się w naszem społeczeństwie amatorów

na nowo wprowadzony specyal; zaznaczyć jednak musimy, że podaż jego coraz się zwiększa. Oto świeżo pewne towarzystwo śmieszków, które do tej pory żyło sobie ot tak po cygańsku, wyduszonemi z przechodniów za rozmaite sztuczki dziesiątkami, rozpoczęło teraz uliczną sprzedaż tej smakowitej zieleninki po 5 kopiejek porcya. Dodać należy, że ci biedni ludzie mają władze umysłowe tak słabo rozwinięte, że nie umieją nawet rozeznać, czem handlują, i pytają wszech wobec: czy i to także paszkwil? Tak jest, biedacy! tak! I to paszkwil, tylko w najlichszym gatunku. Jak to! czy już nie umiecie inaczej na chleb zarobić, tylko handlując podobnemi rzeczami? Ależ to rzecz niegodna porządnych, a zwłaszcza uczciwych i szanujących siebie śmieszków, za jakich chcieliście uchodzić dotychczas! Handel paszkwilem to szpetna rzecz. Usłuchajcie powyższych, łagodnych słów, a zdołacie jeszcze niejednego rubla z naszych kieszeni wyłowić.

Ach, to wyławianie rubli, jakże ono teraz rozwielmożyło się na całym świecie! Do czegoby to nawet doszło, tak u nas jak wszędzie, trudno i wyobrazić sobie; na szczęście jednak, znaleźli się obrońcy, którzy nas strzegą od wyławiania rubli przez pozarogatkowych przybłędów. Świeżo mieliśmy dowód takiej gorliwej obrony naszych rubli z okazyi wystąpień pana Rubinsteina.

Patrzcie: przyjechał i wyławia ruble! Wprawdzie za owe ruble dał nam swój talent, dał nam potężną muzykę, dał nam promienne i nieopla cone chwile oczarowań i uniesień; wprawdzie cała Warszawa biegla na wyścigi na jego koncerty; wprawdzie krytyka odzywala się o nim z zachwyceniem, ale to wszystko marność! Wyławia nasze ruble, więc hajże na niego, bo przyjechał z daleka. Wszakże i za granicą bronią się *unguibus et rostris* od przyjezdnych. Donoszą nam nawet z rozmaitych miast o organizujących się tam krucyatach przeciwko obcym artystom. W Paryżu oburzają się na Mierzwińskiego za śmiałe targnięcie się na tamtejsze franki. W Londynie zwołany jest podobno mityng, dążący do zabronienia Antoniemu Kątskiemu polowania na funty. Ale co najgorsza, że w Wiedniu i Berlinie piorunują przeciw amatorom obrazów Brandta i Gierymskiego, ośmielającym się wydawać pieniądze za dzieła obcych artystów. Podobno promotorowie tych demonstracyi domagają się przyznania im koron obywatelskich.

Co do nas, byliśmy dotąd zdania, że wyławiaczami rubli i franków można nazywać tylko szarlatanów, nie dających za ruble nic prócz bezczelności i blagi, ale nie prawdziwych i genialnych artystów. Przeciwko pierwszym wyławiaczom powstawaliśmy zawsze i obiecujemy

sobie powstawać do śmierci; przeciwko mistrzom — uderzamy się w piersi, mówiąc: *mea culpa* — nie powstawaliśmy dotąd nigdy i przyznajemy się, mówiąc jeszcze raz *mea culpa*, że z tego rodzaju zatwardziałością w grzechu niepodobna nam będzie się rozstać.

Że wreszcie w naszej poczciwej Warszawie co krok trzeba się chwytać za kieszeń, o to nie myślimy się spierać; przyznajemy również chętnie, że karnawałowe mrozy, mgły i odwilże najsilniej na epidemiczne szerzenie się kieszeniowych suchot wpływają. Istotnie czas karnawałowy jest dla kieszeni fatalny: klęska jednak uderza w nas na dobre dopiero wtenczas, kiedy zaczyna się bawić miłosierdzie. Niemasz wyrazów, przejmujących większą trwogą ojców i mężów, niż dwa te maleńkie wyrazy: bawiące się miłosierdzie. Bal na dobroczynność! — jakże tu żonom odmówić; bal matek chrześcijańskich — jakże tu wymagać, aby córki chrześcijańskie nie wyhasały się na takiem zebraniu; bal na szpital dziecinny — czy to bilety takie drogie? Ee! Ee! dzieciństwo: wcale nie drogie! Żywe obrazy: oj! oj! już były tyle razy. Hola! hola! Wreszcie i nie żal wydać pieniędzy, gdy cel piękny i ludzki, a choćby i było żal, nie podobna odmówić. Gdyby to bilety były sprzedawane w kasach, no, to można nie pójść; ale rozprzedają się zupełnie inaczej. Przychodzi kuzynek domu,

albo jaki ktoś znajomy, z takich poważniejszych znajomych: człowiek miły, poważany, i tak sobie ot, zwyczajnie zaczyna rozmowę o przyszłym najbliższym balu, a potem mimochodem dodaje: — Ach! wklepali we mnie aż dziesięć biletów do rozprzedaży. (Tu ojciec familii chrząka niespokojnie). Opierałem się... wiecie państwo, to taka przykra rzecz zmuszać kogoś, a z drugiej strony... Tak... rzeczywiście bal będzie świetny, młodzieży mnóstwo (tu dwie córki domu zaczynają słuchać uważniej, mówiący zaś wydobywa z kieszeni bilety i zaczyna się nimi bawić), całe dystyngowane towarzystwo się wybiera (tu matka domu rzuca na ojca domu znaczące spojrzenie), tak jest! ale państwo...— dodaje gość podniesionym głosem — ale państwo pewno nie znajdziecie na to czasu?

— Hm, hm! — mówi na to ojciec domu.

— Tak, to jest, hm, hm! — dodaje matka.

Rzecz napozór się kończy. Gość chowa bilety i mówi o czem innem.

Po chwili jednak, młodsza z panienek podchodzi do papy i całuje go w rękę.

— Czy chcesz czego, moje dziecko?

Nie; ona nie chce niczego; ona tak sobie!... Przyszła się popieścić... koteczka! Ona zupełnie niczego nie chce... ale sama nie wie, skąd jej przyszła myśl... że ten bal, o którym właśnie

pan wspominał... to pewno będzie bardzo ładny. Nie prawda, papo?

Tu gość uśmiecha się tryumfalnie, ojciec wzdycha, starsza córka podbiega z drugiej strony i caluje drugą rękę papy.

Zapewniam was, czytelnicy, że rzecz jest skończona!

Z kawalerami robi się, oczywiście, dziesięć razy mniej zachodu. Poprostu pani domu, której powierzono bilety, wydobywa je i mówi:

— Pan zapewne będzie?

— O tak, pani. Z największą radością. E! he! he! he! z największą przyjemnością. (Tu zaczyna się gorączkowe dotykanie dłoniami wszystkich kieszeni). Z największą przyjemnością... ale to jest... zdaje mi się... bo to właśnie...

— O już to drobnych pan u mnie nie znajdzie. Z góry zapowiadam, że reszty nie zdam.

— A to ja jutro chyba odeszlę.

— Naturalnie, wszystko jedno.

Zapewniam was, czytelnicy, że rzecz jest skończona.

W taki to sposób, sługa wasz, pełniący zaszczytne i wysokie obowiązki felietonisty, był na czwartkowem przedstawieniu w teatrzyku dobroczynności. Tak kazały fata, uosobione w matce nie dwóch, ale aż trzech pięknych córek. Fata te zwyciężyły nawet pustki jego portmonetki, w której na razie, prócz biletów

ban... chciałem powiedzieć: wizytowych, biletu towarzystwa muzycznego, kartki posłańca, papierosów i całej tej miłej, prawdziwie felietonicznej rozmaitości, znajdowało się tylko... Eh! nie warto o tem mówić.

Zresztą czwartkowe przedstawienie warte było wydatku. Amatorowie i amatorki, wprawiwszy się na pierwszem przedstawieniu, grali pewniej, bieglej i daleko lepiej. Gra p. Kotarbińskiego, jakkolwiek wykazywała nie dość wprawne jeszcze stosowanie teoryi, zresztą wyborowych teoryi w praktyce, oznaczała się jednak tak wysokimi przymiotami, że mógłby mu ich pozazdrościć niejeden rzeczywisty artysta. Powierzchowność młodego amatora przyjemna, głos pełny, głęboki, dźwięczny, składały razem wzięte do wysokiego stopnia pokaźną całość. Drugi amator, grający w tej samej sztuce, pan Piramowicz, przewyższał nawet poprzedzającego rutyną. Równie doskonałą, a zarazem do wysokiego stopnia inteligentną, była gra pani D., bohaterki sztuki. Wogóle, w pierwszej sztuce przemagały wdzięki, w drugiej talenty, w obu zaś litością zdejmowały serca dekoracye. Boże! cóż za dekoracye! Nie wiem, czy w Pacanowie, gdzie kozy kują, w Kiernozi, gdzie jest środek ziemi, i w Łysobykach, sławnych z jarmarków na gęsi, są teatry; ale gdyby były, niezawodnie dekoracye miałyby lepsze. Panie nie mogły wy-

chodzić przez drzwi. W pierwszej sztuce topole, otaczające dom, nie dochodziły do cylindra kochanka Zdzisława; dom Orgona wyglądał jak budka strażnicza; kurtyna wreszcie, w chwili, gdy ją przed drugą sztuką podnoszono, podniosła się na łokieć! i dalej ani rusz. Publiczność widziała cztery pary nóg, poruszające się niespokojnie i kawałek podłogi. Poczęły się śmiechy. Dopiero wspólne usiłowania służby, a może i członków dobroczynności, zdołały skłonić staruszkę, że skrzypnąwszy, stęknąwszy, namyśliła się okazać oczom publiczności nietylko buty i trzewiczki, ale i głowy grających. Oto ważniejsze sprawy tygodnia.

Nakoniec słówko jeszcze o wczorajszej maskaradzie. Tradycya głosi, że za szczęśliwego panowania króla Ćwieczka, maskarada była zebraniem się osób, zwykle do wyższych warstw społeczeństwa należących, wykwintnych i dowcipnych. Dowcip w takiem zebraniu miał tryskać na wszystkie strony, skrzyć się i błyszczeć. Cięte szyderstwa krzyżowały się wzajemnie jak szpady, sypały się słynne *bons-mots*, powtarzane później przez całe miasto, a czasem pod czarną maską szukała szczerszej chwili miłość — czy to zbyt lękliwa, czy nie wyznana jeszcze, czy zabroniona, czy to nakoniec niewzajemna.

Dziś się czasy zmieniły. Dziś maskarada jest zebraniem, na którem się popychają, gniotą, łokciują, depczą, pocą i nakoniec nudzą. Tak zwane «towarzystwo», a przynajmniej damy z towarzystwa, zarzuciły tego rodzaju zabawy, co też odebrało im dawny wykwintny i elegancki charakter. Dziś nawet dobrze wychowani mężczyźni niewiele sobie robią z zaczepiających ich masek. Bo zresztą i pocóż robić ceremonie, gdy dama, która cię intryguje, może być dziewczyną z restauracyi, w której jadasz obiad, albo twoim własnym, przebranym za damę fryzyerczykiem, który cię co rano goli? Francuszczyzny coraz mniej daje się słyszeć na tych zebraniach; to jednak wcale nie dowodzi, aby damy nasze, przejęte poczuciem obowiązku mówienia po polsku, porzuciły nadsekwańską mowę. Damy z «towarzystwa» parlują po dawnemu, a damy maskarady po dawnemu parlować nie umieją! Co większa, często i polszczyzna maskaradowa, a zwłaszcza sposób wymawiania kuleje na obie nogi: — Kogo szukasz, piękna maseczko? — pyta maski przechodzący młodzieniec. — Czebie — brzmi uprzejma odpowiedź.

I cóż można więcej o wczorajszej maskaradzie powiedzieć? Tłok, gorąco, brak dowcipu, brak ożywienia i nudy — oto jej cechy. Ale nic to nowego. Tak było przeszłego roku, tak będzie

przyszłego, tak było na trzeciej, na której przyrzekliśmy sobie, że już póki życia na maskaradę nie pójdziemy, i tak będzie na czwartej, na którą wybieramy się na przyszłą niedzielę.

Gazeta Polska 1871, Nr 12 z dnia 18 stycznia.

III.

Lenistwo felietonistów. — Katastrofa tytułowa. — Jej następstwa. — Zmiana pojęć karnawałowych. — Bez maski w masce. — Obiady balowe. — Serce i żołądek. — Ulice Warszawy. — Opera włoska. — Kuryery i kuryerki.

Zwyczajem felietonistów, którzy do ostatniej chwili natchnienia szukają, i wtedy dopiero biorą się do pisania, gdy ich spotka poważne, lecz goryczą nacechowane wypomnienie dyspozytora drukarni, lub gdy sumienie ich ruszy pod naciskiem łzawego i pełnego niemych wyrzutów wejrzenia zecera, który także pragnąłby przy niedzieli zobaczyć, jak tam świat Boży wygląda, — zwyczajem więc, powtarzam, tradycyonalnych leniuchów, w których poczet, niestety! i ja się zaliczam, zabrałem się onegdajszego wieczoru do roboty. Szukałem zaczęcia, a raczej zacięcia, bo o to zwykle najtrudniej, gdy nagle drzwi z łoskotem się rozwarły, i wpadł chłopak z drukarni, blady, drżący.

— Co się stało? mów czemprędzej!

— Panie, pękła!

— Kto pękł? gadaj żywo, bo głowa mi pęknie!

— Klisza tytułowa pękła, dziś, przy biciu gazety.

— Co! mój piękny, nowy tytuł, taki wdzięczny, zaokrąglony, trochę na bakier z fantazyą ustawiony, pękł? Co za nieszczęście! O znikomości rzeczy ludzkich! Zaledwie dni kilka nowem cieszył się życiem, dumny był z naczelnego stanowiska, jakie mu losy od urodzenia przeznaczyły. Poznał mróz, poznał błoto, a przed pierwszym powiewem wiosennym marnie zginął. Nie zdołał znieść dłuższego nacisku prasy. Codziennie mu dokuczała, parła go, gniotła; wychodził codziennie zwycięsko, aż tu przyszła chwila słabości, nie mógł dłużej się oprzeć — i już go niema! Biedny ty mój tytule, dziecię dziewiczej mojej fantazyi, czemuż to nie zdołałem natchnąć cię moją wytrwałością, moją siłą oporu, mojem przekonaniem, że ciśnienie wszelkie, a zwłaszcza prasy, jest tylko przemijającą rzeczą, potrzebną, a nawet konieczną do dokładnego a trafnego rozpowszechnienia myśli! Tak pięknie jaśniałeś i błyszczałeś, póki cię czarną nie powlekli farbą: to cię zraziło, straciłeś wiarę w siebie, i z żałości pękłeś. Bierz cię licho! już cię nie żałuję — brzydzę się mazgajami, którzy ofiarą własnej słabości padają!

Tak deklamując, zapomniałem o obecności chłopaka z drukarni, który przysłuchiwał się z rozdziawioną gębą, aż nareszcie, korzystając z przerwy, zapytał nieśmiało: co dalej robić?

— Ha, wrócić do dawnego tytułu, niema rady!

Oto, mili czytelnicy, macie usprawiedliwienie zmiany, jakiej wierzch gazety uległ. Zmiana ta, zapewnić was mogę, pozostanie bez wpływu na położenie polityczne Europy; kurs listów zastawnych i innych papierów publicznych ani się podwyższy, ani spadnie, giełda żadna się nie zachwieje, — co najwyżej, ważny ten fakt spowoduje spłodzenie kilku mniej lub więcej udatnych konceptów, posłuży za przedmiot kilku mniej lub więcej życzliwych uwag po cukierniach, a może zaintryguje niektóre badawcze umysły i każe im szukać myśli ukrytej pod tą nagłą zamianą łuku na linię prostą. Łuk — i linia prosta — dalejże panowie koncepciarze! — jest się czem popisywać; zrzekam się pomysłu na waszą korzyść.

Będzie przeto gadania nieco przez jedną dobę, a potem wszystko pójdzie w zapomnienie, i okrągły tytuł gazety zaliczy się do minionych rzeczy.

Gdyby to wszystko tak łatwo przeminąć mogło, bez pozostawienia po sobie śladów i wspo-

mnień przykrych; gdyby wspomnienia były pozostałością tylko przyjemnych wrażeń, jakżeby dola ludzkości szczęśliwą była! Ale ponieważ tak nie jest, przeto rzeczy należy brać jak są. Tak więc i tegoroczny karnawał bierzemy w dzisiejszym jego objawie. Objaw ten jest bardzo ciekawy i dowodzi nowego zupełnie zwrotu w pojęciach o zabawie, nawet przeniesienia siedliska tych pojęć do innych sfer, niekoniecznie wyższych, — raczej znacznie niższych, fizycznie rzeczy biorąc. Karnawał, z przeznaczenia historycznego, jest epoką szału ludzkości, która krępuje przez rok cały swe namiętności, poddając je pod regularną organizacyę społeczną; ale za to raz jeden do roku, tak, jak wszystkie machiny, czuje potrzebę podniesienia klapy bezpieczeństwa i wypuszczenia na świat nagromadzonej w ciągu dziesięciu miesięcy pary, wydobywającej się z przyciśnionych namiętności. Precz przeto w epoce szału z rozumem, wszystkie ruchy, myśli, porywy i żądze w karby biorącym! Precz z przeszkodami, tamującemi wybryki usposobienia ludzkiego! precz z przymusowemi formami, które jak okowy swobodę ruchu ścieśniają! I dziwny objaw ta swoboda przybrała! Wówczas, gdy maskę, pod którą życie codziennie nasze uplywa, zdzieramy, — wówczas maską twarz zasłaniamy; — czyliżby to miało oznaczać, że indywidualność się zaciera, lecz

za to górę bierze ogólna cecha ludzkości, a mianowicie pewna skłonność do bezrozumnego szału? (Proszę nas nie obwiniać o przechylanie się ku Darwinizmowi). Bądź co bądź, indywidualizm, chcący brykać, ukrywa się pod wspólną całemu rodowi maską, — godność osobista się salwuje, a powstrzymane przez cały rok szanowaniem siebie samego muskuły ruchami skocznymi odrywają się od padołu płaczu, choćby na chwilę, choćby na tyle czasu, ile trwa blask błyskawicy.

Wszystko to nie stosuje się wprawdzie do Warszawy, w której zwykle szał karnawałowy stosunkowo bardzo niewinne objawy przybiera. Cóż to za szał? — tańczyć, choćby do upadłego, dowodzi ruchliwości, sprężystości w nogach, ale nie namiętności; — pójść na maskaradę dowodzi bezsenności, albo upodobania w złej kolacyi w towarzystwie jakiejś Karmen lub innej karoterki, ale to jeszcze nic wspólnego z namiętnością nie ma; — wybrać się na bal do Tiwoli lub któregokolwiek z przyjacielskich miejsc, dowodzi złego gustu i głowy na podrabiane szampańskie wino wytrzymałej, — ale gdzież ta namiętność! Nie wiem, co się dzisiaj dzieje z maskaradami i przyjacielskimi balikami: może tam dawny splendor się utrzymał; — w domach prywatnych zaś wielka w roku tym zaszła zmiana. Powiedzieliśmy, że szał karnawałowy zmienił

siedlisko: miał on je w głowie, a obecnie przeniósł je... nie do serca — do żołądka! Tak jest — *le grand chic* w tym roku jest — nie tańczyć, ale jeść!

Balów, wieczorów «tańcujących» niema, ale za to codzień obiad, codzień saturnalie żołądkowe. To już ostatni cios, zadany poezyi życia warszawskiego. Rozogniona mazurem, rozmarzona walcem, wreszcie rozkołysana kadrylem tancerka, z biciem serca, ze wzruszeniem słuchała szeptów miłosnych tancerza, w którym wir tańca wszystkie uczucia spotęgował! Było życie w tańcu, była poezya, ale jakże to będzie z obiadami! O szóstej zbierają się balownicy, wszyscy znudzeni, bo głodni, — w duszy wyklinają każdego spóźniającego się. Nareszcie nadchodzi upragniona chwila, — gospodyni podaje rękę najbardziej siwemu, łysemu lub najbardziej udekorowanemu gościowi, gospodarz zaokrągla ramię i podaje je najpokaźniejszej damie, — inni goście muszą się kojarzyć, nie podług woli, życzenia i sympatyi, ale tak, jak im nieubłagane fatum przez usta gospodyni nakazało.

Serce przeto musi milczeć i ustąpić miejsca żołądkowi. Ale gdyby nawet los przychylny obdarzył sąsiedztwem zachwycającej partnerki, to i wtedy trudno odezwać się sercu wobec rozgorączkowanej działalności żołądka. Czyż podo-

bieństwo słodkie słówka półgłosem do ucha pięknej sąsiadki wpuszczać, kiedy w tej chwili lokaj również słodziutkim głosem do ucha szepce: «Lafitte, czy Yquem?» Czyż uchodzi powiedzieć komplement o łabędziej szyi i śnieżnej białości ramionach, kiedy jednocześnie półmisek, objęty w lokajskie szpony, nicianemi rękawiczkami okryte, przedstawia zgłodniałemu oku jakiś *suprême de volaille aux truffes?* Po obiedzie zaś romansować nie można: kawa, likiery i cygaro rozdzielają dwie połowy rodzaju ludzkiego. Ostatni kłąb dymu z ust wypuszczony zwiastuje początek trawienia; jakże tu kochać, kiedy chciałoby się drzemać? Słowem, obiady karnawałowe zupełnie chybiają celu. Ale ponieważ są przyjęte, ponieważ w tym roku są na dobie i zastępują tańce, przeto należałoby nadać im pewną formę, przypominającą zwykłe dzieje balowe. Dobrzeby było tego rodzaju rozmowy obiadowo-balowe zaszczepić:

— Czy pani raczy nie odmówić mi następnej kuropatwy?

— Przepraszam, kuropatwę już przyrzekłam, ale combrem służyć mogę.

— Stokrotnie pani dziękuję, więc comber ze mną.

Albo:

— Panie X., chcesz być moim *vis à vis* do Château Margaux?

— Do wszystkich czerwonych win już jestem zamówiony, ale chętnie będę służył do wszystkich białych.

— Zgoda; do likierów zaangażował mnie pan Alfons, który jest niezmordowany.

Panie mogłyby używać tabliczek do notowania zamówień, dla zapobieżenia nieporozumieniom i wyniknąć stąd mogącym krwawym spotkaniom.

Na takiej tabliczce dałoby się czytać: «Zupa z hrabią O., ryba z panem Adolfem, poncz rzymski z księciem; jarzynka — chciałabym z panem Adolfem, ale to za dużo — coby świat powiedział?

Podczas obiadów odbywałyby się w miarę zamówienia: *chaîne de dames, chassé croisé,* do kieliszka *cavalier seul.* Możeby się i niejednej obiadniczce wydarzyło usłyszeć takie np. zdanie: «Pani! wspomnienie tego łososia nigdy w sercu mem nie wygaśnie», albo też: «O, gdybym wiecznie przy boku pani mógł taki *salmis aux truffes* zjadać!» Tym sposobem zastąpienie tańców karnawałowych jedzeniem nie wydałoby się kochliwej młodzieży zbyt dotkliwem. Karnawałby istniał — w innej formie, lecz z takiemi samemi następstwami, — i niejednoby małżeństwo pod wpływem żółwiowej zupy skojarzyć się dało.

Dotąd tak jeszcze nie jest, i zabawa towa-

rzyska na tem cierpi. Panie się nudzą, a panowie rozmawiać z niemi nie chcą, czy też nie umieją. Wrócić trzeba czemprędzej do dawnego sposobu bawienia się, bo na tej drodze zatraci się tradycya miłości, której epoka karnawałowa zawsze najobszerniejsze przedstawia pole.

Nie przesądzam zresztą kwestyi — może i na tej drodze dojść można do upragnionego dla serca celu. Wszak przysłowie mówi, że wszystkie drogi wiodą do Rzymu. Czy tak jest w istocie, nie wiem; ale co pewna, że jeżeli drogi te podobne są do linii komunikacyjnych warszawskich, to z pewnością życie ludzkie na dojście do Rzymu nie wystarczy. Jest to jedna z oryginalności warszawskich, że ulice, któremi największy ruch się odbywa, należą do najciaśniejszych. Senatorska od placu Teatralnego do Zygmunta, Wierzbowa, Żabia i Graniczna, są głównemi arteryami ruchu miejskiego, tamtędy wloką się wszystkie wozy, powózki, furmanki, fury z drzewem, z ciągłymi przystankami. Dla mieszkańców zaś Warszawy, którzy koniecznie tamtemi ulicami za interesami swymi zdążać muszą, przebycie wymienionych ulic jest rzeczą prawie niemożliwą. Nie mówię o wyjątkowym czasie, gdy lody rozrębują po odwilży, bo wtedy wszelkie usiłowanie przejazdu przez jedną z rzeczonych ulic jest połączone z niebezpieczeństwem życia; ale i w zwykłej, normalnej epoce,

każdy Warszawiak, dbały o drogi czas, poświęcony jest dla pierwszego lepszego «chama», któremu to dogadza wlec swoją furę najkrótszą drogą. Inne ulice, szerokie, wygodne, przez cały dzień nie usłyszą skrzypnięcia koła; wszystko sznurem idzie tamtędy, gdzie najciaśniej. Na to jeden tylko sposób: dla wszelkich transportów, tranzytowo na kołach przez Warszawę idących, powinny być wskazane ulice, któremi im iść nie wolno; co zaś do furmanek i wozów, które szeregiem idąc, ładunek swój odbierają lub składają w mieście, tym winno być nakazane zachowanie odstępów dostatecznych dla przejścia lub przejechania pomiędzy nimi. Zdarza się bowiem często, że na skręcie ulicy, do czterdziestu furmanek nieprzerwanym szeregiem się wlecze, a biednemu mieszczuchowi nic innego nie pozostaje, tylko upatrywać chwili, w której bez narażenia się na szwank na drugą stronę przedrzeć się zdoła.

Najgorszym punktem jest bez wątpienia Senatorska ulica od Miodowej do Zygmunta. Tam zawsze pełno fur, wozów, omnibusów, karet; czasem przyjdzie czekać i kwadrans, a może i pół godziny, zanim się przedostać można. Przy projektowaniu nowych komunikacyi miejskich czyżby nie racyonalniej było ulicę Miodową przedłużyć do Krakowskiego Przedmieścia, aniżeli tworzyć ulicę Włodzimierską, którędy raz

na miesiąc zaledwie ktoś przejeżdża? A jakieżby stąd nadzwyczajne wynikło udogodnienie dla ruchu miejskiego, koncentrującego się w tych okolicach!

Może w bieżącym roku rozmaite niedogodności usunąć się dadzą. Już dawno obiegają pogłoski o rozszerzeniu ulicy Wierzbowej, przez zniesienie oficyn pałacu Brühlowskiego; ponawia się wieść o zniesieniu szpetnych pawilonów na placu Saskim — a nawet, — do jakiego to stopnia fantazya nowiniarzy się rozbujała! — mówią o przebudowaniu gmachu, przez komendanturę zajętego, na teatr przeznaczony dla opery i baletu. W takim razie dzisiejszy Wielki teatr mieściłby w sobie dramat i komedyę, a sala Rozmaitości obróconąby została na dogodną salę koncertową.

Tymczasem w teatrze Wielkim produkuje się dotąd Opera włoska, która nareszcie ożywiła się nieco przybyciem pani Casanova-Cepeda. Jest to nietylko dobra śpiewaczka, ale i artystka. Wprawdzie głos jej nie odpowiada wysokim partyom, w jakich pani C. tu występuje. Ma ona mezzosopran, i dlatego siła cechująca śpiew w średnim rejestrze, zupełnie znika, gdy wypada przenieść się w wysokie strefy. Dramatyczności pani Cepeda posiada dużo, intonacya pewna, i słucha się jej z tym błogim spokojem, jaki wzbudza przekonanie, że się ma przed sobą

wytrawną artystkę. Ale reszta personelu, — żal się Boże! Oprócz pana Pavaniego, który się świetnie oszczędza i panny Meeoeei, której zasoby od zeszłego roku gwałtownie się rozwinęły, i wreszcie oprócz pana Sovestre'a, któryby się bardzo spodobał, gdyby go można dosłyszeć, cały pozostały skład trupy mógłby śmiało znaleźć pomieszczenie w tutejszych chórach. Szkoda rzeczywistej i sumiennej pracy tak zdolnego dyrektora, jak pan Trombini!

Dla takiego składu opery, zawsze z wyjątkiem wymienionych indywidualności, jedna tylko pozostaje szansa: wyjechać na prowincyę i dawać tam przedstawienia. Możeby to się już i zrobiło, gdyby nie przykra wiadomość, że z powodu nagromadzonych śniegów i zepsucia dróg, komunikacye z prowincyą przerwane; albowiem, jak pisma donoszą, kuryerki przestały chodzić. Wiadomość ta, źle zrozumiana i źle tłómaczona, okropne wrażenie na niektóre umysły wywarła. Sam zaczepionym zostałem przez jednego jegomości, który z najżywszym niepokojem zapytał mnie:

— «Panie, czy to prawda, co pisało o kuryerkach?

— «Najzupełniejsza prawda.

— «I to te śniegi i odwilże temu winny — ktoby się tego był domyślił! To chyba chłopaki latać nie mogą po mieście, bo drogi zepsute.

— «Co za chłopaki?... nie rozumiem.

— «A — te — roznosiciele!

— «Cóż u Pana Boga, co za związek między roznosicielami a kuryerkami?

— «Jak to?... to pan chyba w kantorze prenumerujesz — mnie chłopak codzień do domu przynosi. Ale teraz, — tu westchnął — kiedy kuryerki przestały wychodzić, to już nic nie będę czytał».

Wyjaśniło się *qui pro quo*. Uspokójcie się, czułe dusze! Śniegi miną, błoto się ulotni, wiosna ulice i drogi wysuszy — a póki gród nasz stać będzie, nie przestaną kursować kuryerki, które stanowią najważniejszą komunikacyę umysłową dla mieszkańców Warszawy.

Gazeta Polska, 1875, Nr 18 z dnia 25 stycznia.

IV.

Bal w Ratuszu. — Kontramarkarnia. — Złośliwość losu. — Wypadek w Łukowie. — Dziwy. — Konkurs krakowski. — Rodzina Pempuchonów. — Impresaryo z Krakowa. — Przytulisko i żywe obrazy. — Portrety w *Muszе*. — Piąta maskarada.

Od czegóż zacząć, jeżeli nie od ostatniego balu w ratuszu? Odbył się i udał w całem znaczeniu tego wyrazu. Było wszystko: świetne towarzystwo, świetne ubiory, piękne kobiety, światła, muzyka, upał, ścisk, a nakoniec koła tańczące tak zaciskane mnóstwem widzów, że kadryl odbywał się na szerokości dwóch kroków, a kontredansowe balanse były prostem przestępowaniem z nogi na nogę, jakby z powodu bólu odcisków.

Na dole bawiono się, robiono «kurę» damom, rozmawiano po francusku, tańczono, gnieciono, obrywano, wachlowano, szeptano miłe słówka, a odbierano milsze jeszcze uśmiechy. Strojne damy w obłokach gazy, tiulu, koronek i atłasu,

iskrzące brylantami, zarumienione, z falującą piersią i jasnemi oczyma, obok zbite szeregi młodzieży; nad tem wszystkiem potoki światła; gorąca atmosfera balowa, ruch, gwar, a wreszcie wśród gwaru i nad gwarem pół smętne, pół poetyczne tony walca — oto i bal piątkowy.

Ale to wszystko działo się na dole. Na dole bawiono się — na górze pocono się i obmawiano. Tualety dam! Cóż to za niewyczerpana kopalnia rozmów, uwag i złośliwych krytyk. Toż to będą się schodziły dobre znajome i udzielały sobie wzajemnie spostrzeżeń? A ileż to wywiąże się z tego powodu sprzeczek? Czy pani M. lub S. miała podpięcia z kwiatów czy z koronek? a jak pani X. była wygorsowana — czy zanadto, czy nie? — i co mianowicie jest zanadto, a co w samą miarę? jakie szarfy zdobiły suknię pani Z. — lila czy niebieskie? Otóż lila! Otóż niebieskie! Ależ mylisz się, duszko. Ależ pozwól, kochanie. Mężu, powiedzże sam! Aniołku, powiedz i ty! Że też ten mężyczek nigdy nic nie wie! Że też ten aniołek zawsze o czem innem myśli! — i t. p. Podczas balu, na galeryi widzieliśmy młodą panienkę, zapisującą w podręcznym katalożku, jak która z pań była ubrana. Do tej więc osóbki, a raczej do jej katalożka, jako do dzieła źródłowego, odsyłamy nasze czytelniczki.

Piątkowy bal miał jednak i swoją stronę od-

wrotną. Tą stroną odwrotną była kontramarkarnia. Widocznie wesołość, panująca w sali głównej, udzieliła się pod postacią niedobitków z butelek mężom pilnującym rzeczy w przedsionkach. Lica tych dostojników pokryły się rumieńcem, rozjaśniły się ich wejrzenia, rozwiązały się języki, a niestety rozwiązały się i rzeczy, których mieli pilnować. W sali głównej brzmiała muzyka, a w kontramarkarni poczęły się śpiewki. Wiadomo, że kiedy człowiek jest w dobrym humorze, to mu się czasem i chce zaśpiewać. Zresztą, że tam sobie ktoś mruknie przez zęby: «Wiwat kawalerski stan», albo: «Sułtanem być to jest los», to znowu nic złego. Gorzej już, gdy na pytanie: — Gdzie moje futro? — odbiera się odpowiedź: — Niech mi pan głowy nie zawraca! — A podobno trafiało się i tak. Zresztą przy wyjściu był prawdziwy zamęt. Moje futro! a mój paltot! a moje kalosze; a laska! a parasol! Takie coraz rozpaczliwsze okrzyki wydzierały się z piersi wychodzących. Jeden nic nie dostał, drugiemu ofiarowano zamiast paltota salopę damską. Innemu dostał się w podziale jeden tylko kalosz, a gdy nieszczęsny dopominał się o drugi, odebrał odpowiedź: Czy ja panu stworzę kalosz? Istotnie! Stworzyć kalosz niełatwo, zwłaszcza po pijanemu; ale w jednym kaloszu chodzić, zwłaszcza po trzeźwemu, nie uchodzi. Byli jednak i tacy szczęśliwi, któ-

rym *ad libitum* podawano po dziesięć futer, ale takich było niewielu. Wogóle wszczął się płacz i zgrzytanie zębów. Ojcowie córkom, mężowie żonom, narzeczeni oblubienicom nie mogli dostać ani futer, ani okryć, ani szalów, ani żadnej rzeczy, która ich była, przynosząc za to z łatwością bardzo wiele rzeczy, które nie ich były. Damy nie chciały owych rzeczy przyjmować; stąd nieukontentowanie, stąd suche uwagi, że są czasem między mężczyznami istoty tak niezaradne, że nawet, kiedy idzie o rzeczy, — nie można na nie rachować; stąd rozpaczliwe usiłowania, stąd powiększenie zamętu, stąd hałaśliwe zajścia, stąd dygotanie od zimna, i — *utinam sim falsus vates!* stąd gorączki, bóle gardła etc. etc. etc.

Los okazał się, jak zwykle, dziwnie złośliwym. Widziano mężczyzn przypominających wzrostem grenadyerów pruskich, wracających do domu w paltocikach, przypominających długością kurtki myśliwskie. Wiatr szarpał na ulicy zwieszone smutnie i niczem nie nakryte, a widoczne z pod krótkich kaftaników, poły ich fraków; o jakże szarpał je, jak kręcił niemi, jak rozdzierał je i łączył lub podnosił niby żagle, dmąc w nie swobodnie! Przyczyniało się to może do szybszego powrotu do domu; ale co było chłodno, to chłodno. Małych oczywiście tenże sam złośliwy los obdarzył paltotami, które im miejsce szlafroków zastąpićby mogły,

a że było ślizko — łatwo więc wystawić sobie, że takie asyryjskie szaty, przydeptujące się za każdym krokiem, nie przyczyniły się wcale do silniejszego trzymania się na nogach. Ale powoli gmach ratuszowy począł opróżniać się coraz bardziej; coraz mniejsza liczba nieszczęśliwych poszukiwała swoich ubrań, aż wreszcie ucichło wszystko, światła pogasły, ciemność otuliła gmach cały, i na pobojowisku pozostało kilka tylko podobno mundurów z wojska, kaloszy i jakich kilka futerek, których właściciele się nie znaleźli.

Właściwie mówiąc, czy właściciele się nie znaleźli, czy właściciele ich — to jest tych rzeczy nie znaleźli, to kwestya, ale już mniejsza o to. Po każdym balu pozostają takie niewytłómaczone pozostałości. Zresztą od czasu jak w jednem znakomitem mieście naszego kraju, mianowicie w Łukowie (proszę się nie śmiać), po walnym balu, danym przez... nie pamiętam kogo, na korzyść nie pamiętam czyją, lokaj zamiatający na drugi dzień salę balową, znalazł zgubiony — frak, wyraźnie: frak! — od tej, powiadam pamiętnej chwili, nie warto się dziwić nikomu. Zgubić krawat — no! takie rzeczy zdarzają się, równie jak np. zdarzyło się jednemu z młodzieży z pod Zakroczymia, że na balu w Warszawie zjadł fiksatuar leżący u pani domu na gotowalni, sądząc, że zjada czekoladę.

Zgubić rękawiczki — to trafia się jeszcze częściej, ale zgubić frak i wyjść niepostrzeżonym, i nie zwrócić niczyjej uwagi, to rzecz, która w rocznikach balowych trafiła się zapewne raz jeden i ostatni.

Co do mnie, wolałem nie łamać sobie głowy i nie dociekać, w jaki się to sposób zdarzyć mogło; jest bowiem wiele tajemnic niedocieczonych na świecie. Gdyby wam kto np. powiedział, czytelnicy, że Gedymin za dni swoich zrobił majątek na cukrowniach, zapewne ze stanowiska historycznego trudnoby wam było w to uwierzyć; a jednak jest podobno jeden dramat, między nadesłanymi na konkurs do Krakowa, gdzie napisano to czarno na białem.

A teraz pozwólcie mi, czytelnicy! powiedzieć parę słówek. Zawsze lubiłem Warszawę; mimo naszych bruków, mimo latarń i omnibusów, mimo sił wokalnych naszej opery, mimo brzydkich kobiet, mimo starej i młodej prasy, mimo pseudo-pozytywistów i pseudo-idealistów, mimo amatorów-prelegentów i amatorów-koncertantów, mimo utworów niektórych naszych autorek, mimo broszurek w sprawie emancypacyi kobiet zatytułowanych: «Kilka słów etc.», albo: «Jeszcze słówko w sprawie etc.», albo «Kilka uwag etc.» — mimo dowcipów niektórych naszych humorystów, słowem: mimo tego wszystkiego, co jest u nas najrozpaczliwsze, nigdym nie żałował,

żem się tu wychował, i że się tu kołaczę — nigdy, z wyjątkiem chwili obecnej.

Wiecie dlaczego? Oto w chwili obecnej w Krakowie jest konkurs dramatyczny. Boże! gdy spojrzę okiem felietonisty na całą nieprzebraną kopalnię felietonicznego materyału, jaki zawierają owe nadesłane na konkurs utwory, a przynajmniej większa ich część, gdy spojrzę na to wszystko, i gdy pomyślę, że pisząc tam, cytowałbym, trawestował, że napisałbym nie wiem ile daleko lepszych niż niniejszy felietonów — żal mnie ogarnia — «serce boleść czuje». W Krakowie, wiedziałbym treść wszystkich tych utworów, w Warszawie dowiedziałem się treści jednej tylko sztuki, ale i tą pośpieszam się z moimi czytelnikami podzielić.

Otóż rzecz się ma tak, jak następuje: Onemi czasy (właśnie nie wiem dobrze jakiemi) istniał, a może istnieje dotąd, jeden z najznakomitszych, najbogatszych i najbardziej historycznych rodów — ród Pempuchonów. Przedstawicielem rodu tego, w chwili, o której opowiada sztuka, był stary kasztelan Pempuchon (dziwne to czasem bywają nazwiska!), pan dumny jak król i ceniący przedewszystkiem swoje nazwisko. (Nie to ładne, co ładne etc.). Otóż o pannę Pempuchonównę, córkę kasztelana, począł się starać pewien młodzieniec, absolutnie źle urodzony. Naturalnie, ojciec panny ani rusz nie

chce pozwolić! (inaczej nie byłoby tragedyi). Idź precz! (powiada), człowieku źle urodzony. Gdybyś to miał miliony, to co innego! idź precz! Tak powiedział kasztelan. Panna w płacz, on (ten młody) w płacz, ale potem ociera oczy i idzie (imaginujcie sobie państwo) do zbójców, aby zdobyć wymagane dwa miliony. Węzeł dramatyczny, zawiązany okropnie, ale rozwiązanie jeszcze okropniejsze. Oto jedzie się starać o pannę książę Gedymin, który zrobił ogromny majątek na cukrowniach (o czem już było). Młody człowiek (źle urodzony) napada na niego, zaczynają się bić. (A a!). Nadbiega kasztelan, nadbiega jego córka, wszyscy się zabijają; kto się nie zabija, ten bierze i umiera; sam sufler, bierze i ucieka ze strachu, a publiczność bierze i płacze.

Taki to jest ten okropny dramat. Czy myślisz, czytelniku, że to żarty! Dramat przysłany przecie na konkurs! Alboż to zresztą jeden taki? Jest tam i drugi, w którym św. Stanisław Szczepanowski nie zostaje zabity, bo jest potrzebny na końcu sztuki, jest tam zapewne i więcej podobnych, wobec czego doniesienie *Kuryera Warszawskiego* o impresaryu, przybyłym tu z Krakowa, nie ma w sobie nic nieprawdopodobnego. Impresaryo ów przybył tu, celem namówienia którego z artystów do wystąpienia w rolach gościnnych, w pewnym dramacie, w którym

czarny charakter dostaje dwieście kijów na scenie. Przynajmniej istnienie takiego dramatu ma być najzupełniej autentyczne.

O takiej to sztuce można przedewszystkiem powiedzieć, że «na raz sztuka», zdaje się bowiem, że artysta, któryby sumiennie chciał się z roli czarnego charakteru wywiązać, wywiązałby się z niej raz na zawsze, i choćby najserdeczniej wywoływany, nie potrafiłby się pokazać publiczności.

A propos publicznych przedstawień, przewidzieliśmy w zaprzeszłym felietonie, że przyjdzie nam się spotkać z przedstawieniem Przytuliska. Tym razem będą to żywe obrazy, a że przeszłym i zaprzeszłym razem były także żywe obrazy, więc zdaje się, że aż do końca będą to żywe obrazy. Do końca? ale do jakiego końca? Tak jest, to złe wyrażenie. Miłosierdzie tej wysoce filantropijnej instytucyi jest bez końca, dopominania się o ogłaszanie szczegółowych sprawozdań drukiem publicznie powtarzało się także bez końca, żywe obrazy będą bez końca, więc chyba jedna cierpliwość publiczności... ale nie! i ta jest także bez końca! Przepraszamy za wyrażenie.

Układem obrazów zajmie się p. W. Gerson, i swoją drogą będzie to pewno rzecz ładna. Oby się lepiej udały, niż np. portrety *Musze!* Tekst *Muchy* jest dowcipny; ryciny wewnętrzne

i na ostatniej karcie również niezle; ale co do portretów na karcie tytułowej, to już drugi wcale się nie udał. Nie bez pewnej słuszności powiedział ktoś, że portret p. R. Popielówny przedstawia nie twarz, ale potwarz, ozdobioną (?) śmiałym pod względem formy wierszem, którego początek brzmi jak następuje:

> Tę artystkę oblewa wielkich pochwał topiel,
> I kto żyje ten uwielbia Romanę Popiel.

Co lepsze? sens czy kadencya? Przypomina to trochę: «wlazł na gruszkę, rwał pietruszkę». Cenimy *Muchę*, jako pismo, po pierwsze, redagowane z talentem, a powtóre z godnością; ale swoją drogą co brzydkie, to brzydkie zawsze i wszędzie. Lepiej już było zostawić miejsce na twarz próżne, niechby czuły widz w swej duszy ją dośpiewał, albo dorysował. Lepiej, ponieważ to czas maskarad, było dać maskę; niechby czuły widz mocą wyobraźni ją odchylał. Ale tak, jak jest, to istotnie nie twarz, ale potwarz.

Wspomnieliśmy o maskach, powiedzmy więc cokolwiek i o piątej maskaradzie. Tak! tak! już piąta; karnawał ucieka, a blady post stoi za pasem. Na onej maskaradzie był taki stosunek kobiet do mężczyzn, że na jednego mężczyznę przypadała jedna trzydziesta kobiety. Gdybyż przytem te ułamki, w których, jeżeli mowa o posagu, mianownik jest zawsze większy

od licznika, t. j. zawsze ów posag większym mianują, niż się go można doliczyć, — gdybyż powtarzam te ułamki obdzielały przynajmniej równo zgromadzonych. Gdzie tam! Iluż to młodzieńców napróżno przebiegało salę, wyglądając jakiego maskowego zmiłowania. Inni za to cieszyli się dwiema i trzema naraz intrygantkami. Jacy to byli — czyż trzeba mówić. Jak byli intrygowani? To inna kwestya. — Tak mnie (opowiadał jeden z wybrańców) jakaś maska intrygowała. — Cóż ci powiedziała? — Między innemi, żem ograniczony. — No, a tyś coś odpowiedział? — Mnie bardzo zadziwiła jej przenikliwość.

Na ogół: niedowcipnie było jak zwykle, nudno jak zwykle, ale pusto i zimno niezwykle.

Gazeta Polska, 1875, Nr. 24 z dnia 1 lutego.

V.

Ocean zapomnienia i krytycy. — Adam i Lewandowski. — Miodowe miesiące. — Operacye małżeńskie. — Panna na hypotece. — Stroje i łokciowe rachunki. — Specyfik na zaprowadzenie oszczędności. — Wyścigi matrymonialne. — Nowożytny Grek. — Poezya i cywilizacya. — Współczucie. — Gra do puli. — Teatr amatorski. — Biuro nędzy wyjątkowej. — Panem et circenses. — Trupa końska.

Jeszcze tylko jedna doba, jeszcze dwa wieczory — i skończy się wszystko. Karnawał r. 1875 zginie w «oceanie zapomnienia». Niechaj was ten «ocean» nie zrazi, mili czytelnicy, — wprowadziłem go jedynie dla przebłagania niektórych z pomiędzy zacnych moich kolegów pióra, którzy stanowczo uważają mnie za intruza w dziedzinie publicystyczno-literackiej, — dlatego głównie, iż brak mi pretensyi do wyrównania im pod względem formy. Pochlebiam sobie, że «oceanem zapomnienia» zdołam ich przejednać, gdyż użycie komunału stylowego wzniesie mnie do wysokości poziomu, przez surowych arystarchów zajmowanego.

A zatem, wracając do wielkiej i pięknej myśli, — karnawał już... — jak się wysłowić, bo wyrazy «dogorywa» lub «kona» już obiegły wszystkie felietony, przeto z mojej strony byłyby tylko plagiatem. Więc nie dokończę zdania — czytelnicy już się domyślą sami, co się z karnawałem dzieje.

A był on sobie dosyć mizerny w tym roku; poznać to było można po zwarzonej minie Lewandowskiego, którego dzielny i ożywczy smyczek tej zimy w pochwie rdzewieje. W sprzeczności ze słowami poety:

> Kto miłości nie zna, ten żyje szczęśliwy,
> I noc ma spokojną etc. —

Lewandowski twierdzi, że niespokojne noce i bezsenność szczęście stanowią. Silne więc musiały być pobudki odrętwienia Warszawian, skoro ono nie ustąpiło nawet przed Orfeuszowskimi dźwiękami naszego mazurowego Straussa. Nawet liczne zastępy pielgrzymów, które z rozmaitych stron przybyły tutaj dla poznania zimowych rozkoszy nadwiślańskiej Kapui, nie zdołały rozbudzić gwarnego i gorączkowego życia, którem dotychczas ukochany Syrenopolis wrzał.

Wszakże znajdowały się wyjątki. Oprócz kilku balów większych rozmiarów, które, że tak powiem, całe życie tej zimy w sobie skoncentrowały, — wydarzają się tu i owdzie, ci-

chaczem odbyte pląsy półświatkowe, którym łatwość pożycia i niepotrącanie się o legalność stosunków widocznie szczególnego powabu dodają. Opowiadano mi, że na jednej z takich «agap» odznaczał się szczególną wesołością młodzieniec świeżo z prowincyi przybyły. Znajomy Warszawianin, spotkawszy się z nim, zapytał go, co w Warszawie porabia.

— A widzisz, mój drogi, ożeniłem się zeszłego tygodnia i przyjechałem do Warszawy na miodowe miesiące.

— A gdzież żona?

— Żonę zostawiłem w domu przy matce.

Praktyczne to pojmowanie miodowych miesięcy może się rozpowszechni, przy coraz więcej rozkrzewiającem się zapatrywaniu na małżeństwo ze strony wyłącznie utylitarnej. Czy to zapatrywanie się jest wytworem nowoczesnym, czyli też ono i dawniej istniało, trudno określić. Zdaje się wszelako, że zrozumienie małżeństwa wyłącznie jako kontraktu cywilnego, lub też jako operacyi, wszelkie inne cele prócz sercowych mającej, nie jest pomysłem nowym. Ograniczało się dawniej tylko w pewnych sferach i na pewnych zasadach. Extra-sercowe pobudki do małżeństwa były albo polityczne, albo zachowawcze. Przy kojarzeniu związków miano na względzie koligacenie rodów i konserwowanie lub powiększenie istniejących majątków ro-

dowych. Tak bywało w arystokratycznych rodzinach. Na Zachodzie, w wielkich rodzinach kupieckich, łączono się także związkami małżeńskimi dla utrzymania majątku pracą długoletnią nabytego, lub wniesienia nowych zasobów, do podtrzymania dawno istniejącej firmy potrzebnych. W domu kupieckim, zdolny, pracowity i uczciwy subjekt, już z samego porządku rzeczy był pretendentem do ręki córki pryncypała; albo też dwie firmy zlewały się w jedną, przy błogosławieństwie kościoła, lubo serce wcale do rady nie należało. Zdarzały się nawet dziwne pod tym względem wypadki. Kupiec, dajmy na to w Hamburgu, liczący sobie dużo konsolacyi, rozesławszy synów w świat dla szukania karyery, wyglądał z niecierpliwością konkurenta dla starszej córki, dobiegającej już do pruskiej pełnoletności.

Zgłasza się do niego usłużny pośrednik małżeński z propozycyą:

— Panie mam zięcia dla pana.

— Kogo? jak się nazywa?

— Tego jeszcze nie wiem, ale jest to człowiek młody, przystojny, z uczciwego podobno gniazda. A co większa, dorobił się już pięknego majątku.

— A gdzież jest? tutaj w Hamburgu?

— Nie, on teraz jest w Berlinie, gdzie od

kilku lat pracuje u bankiera X, który go obecnie do współki przypuścił.

— A niechże pana wszyscy dyabli wezmą, żeby mi proponować własnego syna dla własnej córki!

Więc, mówiliśmy, że dawniej żeniono się dla konserwowania. Dziś zaś konserwacya nie ma przedmiotu, i ludzie chcą się żenić dla zyskania. Małżeństwo jest interesem, jest współką, do której jedna strona, żona zwykle, wnieść ma kapitał, druga zaś — osobę i zdolności. Panna uważana jest najczęściej za nieunikniony dodatek do posagu, *malum necessarium;* tak przynajmniej zrozumiał ów czuły narzeczony, który na oświadczenie teścia, że córkę chętnie odda, ale posag zabezpieczy na hypotece, odrzekł:

— Lepiejbyś ojciec oddał mi pieniądze, a córkę na hypotece ubezpieczył.

Kto takiemu stanowi rzeczy winien, Bóg wiedzieć raczy! Kobiety w strojach dochodzą do przesady i tłómaczą się coraz większą wybrednością mężczyzn. Mężczyźni zaś twierdzą, że kobiety myślą tylko o strojach i zabawie, i dlatego zachodzi potrzeba szukania dużych pieniędzy na zaspokojenie łokciowych rachunków. Mógłbym tu dla ubarwienia felietonu, przytoczyć kilka firm odznaczających się przesadzonemi likwidacyami, — ale lękam się być posądzonym o reklamę, i rozbudzić drażliwości

rozmaite. Gdybym bowiem, wyliczając zakłady, które, okrywając żony, zdzierają mężów, zapomniał wymienić jeden albo drugi, — wnetby się upomniano o pokrzywdzenie; bo żaden z modnych warsztatów nie pragnie uchodzić za tani, u nas, gdzie drogość popłaca, — gdzie nietylko wytwornym i gustownym sprawunkiem, ale głównie wysoką ceną pochwalić się wypada. Panie mniej może dbają o prawdziwą gustowność, niż o autentyczność najświeższej mody, a cechę autentyczności nadaje tylko pochodzenie — i cena!

Tak więc, jak głoszą kandydaci do małżeństwa, najbardziej zatrważającym szczegółem, który największą trudność w utrzymaniu żony stanowi, są stroje. Wszystko inne da się z góry obliczyć. Wydatek na lokal, na opał, światło, — na sztukamięs, chleb i pieczyste, wszystko to da się wziąć pod kredkę i w pewne granice zamknąć; — ale stroje — stroje — ten wydatek nigdy się nie da z góry obrachować, ani ograniczyć, — nie zawisł on bowiem od naszej woli, ale od konkurencyi. Jakże tu bowiem powstrzymać małżonkę od rywalizowania z przyjaciółkami i znajomemi, któreby ją zaćmić mogły? Tem trudniej, że przedmiotem tej szlachetnej emulacyi jesteś ty, o mężu drogi! Tobie się pragnę przypodobać, — w twoich to oczach pragnę być najpiękniejszą, — bo inaczej, — widok innej, ozdob-

niejszej, piękniejszemi koronkami okrytej, większą ilością «dżetu» ugarnirowanej, mógłby cię ująć, zachwycić, sprowadzić z drogi miłości i wierności, o którą tak dbają. Gdybyś ty w zapałach dla prawej towarzyszki ostygł, — cóżby się z nią stało? — ona twą miłością tylko żyje, oddycha, — i dlatego — płać rachunki, kochanku!

Na tej drodze możnaby dojść do oryginalnego wniosku: że wielkiem ułatwieniem do zawierania małżeństw byłby zupełny brak miłości ze strony żony dla męża. Żona, obojętna dla męża, nie dba o przypodobanie się jemu, a że moralność nie dozwala przypodobania się innym, przeto wszelkie preteksty do strojenia się upadają. Radziłbym wszelako powyższego wniosku zbyt na seryo nie brać. Rachuby ludzkie są bardzo mylne, i pod tym względem łatwoby można było dostać się na bezdroża.

Czy dla tych, czy dla innych powodów, o małżeństwach naszych w Warszawskiem «high-life» nic nie słychać; jakkolwiek, podług dochodzących nas wieści, zima tegoroczna sprowadziła do nas kilka dość pokaźnych cyfr posagowych. Konkursy otwarte, kandydatów dużo, wyścigi z przeszkodami rozpoczęte, — wszelako chorągiewka u mety dotąd ani drgnęła, i być może, że wyścigowce się ochwacą, zanim do mety dojdą.

Za to mieliśmy kilku obcych nababów w Warszawie, którzy niemałą sprawili sensacyę. Wiem, że z ciekawością ich oglądano i najprzeróżniejsze o nich opowiadano sobie dziwy. Zdarzyło się, że jedna z pań, — oczytanych, — a tem samem posiadających literacką ogładę, pytała znajomego o pochodzenie przybyłego do nas Monte-Christo. Otrzymawszy objaśnienie, może mylne, że to Grek, — zapytała, dla pokazania eruducyi:

— Grek, — ale wszakże nowożytny?

Biedaczka, — może i jej w Arkadyi pierwszy dzień zabłysnął, i dlatego, spragniona widoku jakiego pięknych i klasycznych form Alcybiadesa, bo do mitologicznych postaci pewno nie sięgała, nie mogła się oswoić z widokiem nowożytno-greckiego skrzywionego nosa i prozaicznego fraka w miejscu purpurowej chlamidy. (Zaznaczam tutaj, że «purpurowa chlamida», pierwszy raz przeze mnie do felietonu wprowadzona, jest ściśle literacką, — i liczę na uznanie moich krytyków, jeśli wyraz «chlamida» nie jest przypadkiem dla nich obcy).

Ale tak to bywa, — czas poezyi minął z nastaniem cywilizacyi; — Alcybiadesi zamienili się na wykrochmalonych zdechlaczków, — szyszaki na sprężynowe kapelusze, — miecze na parasole, — rydwany na dorożki, — saturnalie na baliki przyjacielskie, — Olimpiady na igrzy-

ska z Ujazdowskiego placu, — filozofowie na dziennikarzy. Tych ostatnich zwłaszcza starożytność nie znała, i to się przyczyniło do przechowania ówczesnych pojęć we właściwem i bezstronnem świetle, tak, jak w rzeczywistości istniały i w ówczesnem się krzewiły społeczeństwie. Czybyśmy mogli mieć tak dokładne wyobrażenie o ideach w świecie greckim panujących, gdyby podówczas pisywano artykuły o rzeczach społecznych «na obstalunek», w kierunku zamówionym, taki np., jaki zdarzyło się nam przeczytać w onegdajszym *Wieku* w materyi ubezpieczeń od ognia. *Wiek* uważał za potrzebne odezwać się w tej kwestyi, którą *Gazeta Polska* poprzednio traktowała, — a to naturalnie z przeciwnego zupełnie punktu widzenia. Nie dlatego podobno, żeby takie były przekonania *Wieku*, — bo skądże wziąć przekonania w przedmiocie, którego się nie zna? — ale że tym sposobem można było stanąć w obronie zasady wzajemności, zasady bardzo sympatycznej; a tu idzie koniecznie o trafienie w strunę sympatyczną, — *cela fait bien dans le paysage* — i może się opłacić. Zrobił się też artykuł, w którym, z toni komunałów, wyszło kapitalne zdanie, że erudycya w materyi ekonomicznej, będącej od lat wielu przedmiotem ścisłych badań, jest zupełnie zbyteczną. Że w istocie zupełny brak erudycyi

w pisaniu nie przeszkadza, przekonał nas artykuł *Wieku.*

Wszystko dotąd dobrze; ale skąd ten zwrot od kwestyi ogólnej do *Gazety Polskiej*, — skąd ta dbałość szanownego pisma politycznego, literackiego i społecznego o stanowisko naszej gazety wobec opinii; skąd ta troskliwość o zasłonienie nas od snujących się domysłów? Czy *Wiek* chce nam służyć za przyjaciela i orędownika? Niech nas Bóg od tego chroni! Timeo Danaos! Domysłów, które snuć może złośliwość, zawiść współzawodników, lub też głupota ludzka, nie lękamy się; szanujemy opinię, lecz pomimo to wyzyskiwać słabostki i dąć w popularną trąbę nie naszą stanowi specyalność. Niech używają tego środka ci raczej, którzy widzą się zniewoleni krzyczeć w niebogłosy, że się kierują tylko bezinteresownością, szlachetnością, z pominięciem osobistych korzyści.

Wszystko ma swój czas, — blaga obecnie popłaca, ale i to minie, a prawda, pomimo wrzawy, krzyki i oszczerstwa, wiecznie prawdą będzie!

Co prawda, pragnęlibyśmy polemiki, tak potrzebnej do rozjaśnienia wielu kwestyi, które dotąd należycie roztrząsanemi nie były — ale pragnęlibyśmy ją znaleźć przyzwoitą, uczciwą i na dobrej wierze opartą; — lecz widocznie o to u nas trudno, więc trzeba się jej wyrzec

i poprzestać na odpieraniu zaczepek, czysto osobistością tchnących. My stanowczo uchylamy się od udziału w grze do puli z prenumeratorami, w której zdaniem grających, kozerą jest schlebianie, a sztuką oszczerstwo.

...Po napisaniu powyższego ustępu, przekonałem się, żem jeszcze nie dorósł do wysokości moich krytyków. Nie znalazły się bowiem pod piórem mojem owe jaskrawe, dosadne, straganiarskie wyrażenia, któremi ciż łaskawi krytycy tak hojnie szafować umieją. Może dlatego, żem się ujął za słuszną sprawą, która broniąc się sama, nie wymaga wysileń stylistycznych.

Ale za to potrzeba wysilenia dla wynalezienia zręcznego zwrotu od spraw tylko *Gazetę Polską* obchodzących, do spraw ogólnych i więcej się kwalifikujących do felietonu. Zdaje się, że tam, gdzie przejść nie można, należy przeskoczyć. Więc przeskakuję też wręcz do rozrywek postnych, na których czele ma stać teatr amatorski w sali Dobroczynności. Próby już się odbywają; reżyseryą zajęli się pani Modrzejewska i p. Leszczyński, a zatem spodziewać się można, że teatr, jakkolwiek amatorski, nie będzie zbytecznie amatorstwem zatrącał. Co dalej będzie, niewiadomo dotąd, ale przy urządzaniu koncertów na cel dobroczynny, na których z pewnością zbywać nie będzie, czyżby nie należało także pomyśleć o koncercie dla instytucyi, naj-

praktyczniej, zdaniem naszem, dla ubogich działającej. Mówimy tu o biurze dla nędzy wyjątkowej, które bezpośrednio i natychmiastowo ulgę nędzy, choć chwilowo przynosi. Wiemy, że są milosierne osoby, które datkami zakład ten wspierają, ale dlaczegóżby nie dać mu choć raz na rok większego funduszu do niezwłocznego rozdziału. Pomoc taka, doraźnie i z umiejętnością zastosowana, niejednemu nieszczęściu zapobiedz zdoła. Dziś umiera ktoś z głodu, a jutro lub pojutrze może znajdzie sposobność uczciwego zarobku; trzeba mu przecież dopomódz, żeby dziś z głodu nie umarł.

Dawniej wolano: *Panem et circenses!* — dziś wołać należy: *Panem per circenses!* Wołamy więc: Chleba dla biednych, choćby przez zabawę! — bo tu w istocie powiedzieć można, że cel uszlachetnia środek. Jeżeli więc zarząd biura nędzy wyjątkowej może potrzebować pośrednictwa *Gazety Polskiej,* czy to do urządzenia koncertu, czy to do pobierania składek, znajdzie nas chętnymi i gotowymi do usług.

Mówiąc o «circensach», wypadałoby wspomnieć coś o budującym się przy ulicy Włodzimierskiej cyrku, ale niestety! przyszłość tej końskiej akademii dotąd mrokiem pokryta. Kiedy cyrk będzie gotowy? co w nim za cuda zjawiać się będą? — tego dotąd nie wiemy. Co do składu trupy, tyleśmy dotąd usłyszeli, że wspaniała

skarogniada klacz zaangażowaną została, jako *primadonna assoluta haute école;* sławny rumak pułkownika Zubowicza, który z Wiednia do Paryża bez wytchnienia podróż odbył, zamówiony na *primo tenore di forza* do Wagnerowskich dzieł; ogier Trakeński jako *baritono*, a stary biały koń na *basso profondo.* W orkiestrze ma być przywrócony dawny kamerton, dla przekonania, że zaangażowani artyści — przepraszam — konie, o pół tonu wyżej od innych skakać potrafią. Chóry będą składały się z wyranżerowanych dorożkarskich szkap. Warunki kontraktowe świetne: Prima donna otrzymywać będzie cztery garnce owsa dziennie, tenor i baryton po trzy garnce tylko i trochę siana. Basso profondo dostanie po garncu owsa i siana do woli. Zaś dla chórów sprowadzają się ogromne zapasy otrąb żytnich.

Wyczerpawszy tym sposobem cały zapas wiadomości, widzę, że mi pozostaje tylko pożegnać czytelników i życzyć im wesołych ostatków.

Gazeta Polska, 1875, Nr 29 z dnia 8 lutego.

VI.

Mandaryni, cygara i papierosy. — Logika krain podziemnych. — Moja obrona i reżyserya. — Przedstawienia w teatrze Dobroczynności. — Psia opera. — Żydzi. — Bruki żelazne. — Nasze osobliwości. — Dwie kategorye służących. — Jeszcze historya zgubionego fraka. — Rycerz z Łukowa. — Córka pani Angôt.

Napróżno łamię sobie od niejakiego czasu głowę, dlaczego wielcy mandaryni z komitetu Resursy kupieckiej, którzy, łącznie z ruchliwszymi kolegami swymi, wydali najwyraźniejszy rozkaz, zabraniający palenia cygar i papierosów w bufecie tejże resursy, teraz sami przestępują własne swe rozporządzenia. Powaga i konsekwencya ojców mandarynów powinny być przynajmniej tak wielkie, jak senność sklejająca ich oczy na przydługich posiedzeniach komitetowych; nie wypada więc im przestępować własnych przykazań. Z drugiej strony, dym zaciemniający powietrze, jakkolwiek może być bardzo budującą wskazówką, że wszystko

na świecie, a zatem i resursa, jest marnością, nad którą nie warto sobie głowy łamać; niemniej przeto tamuje swobodny oddech i może spowodować zawrót głów mandaryńskich, gdy tymczasem, raczej działanie wprost przeciwne byłoby zarówno zbawienne jak pożądane.

Co do mnie, nie wątpiłem ani na jedną chwilę, że np. pewne pismo, które za życia Chęcińskiego nie zostawiło na nim suchej nitki, ma prawo po jego śmierci oznajmić, jako pierwsze podnosiło zawsze jego zasługi. Od czasu, jak baron Brambeus w podziemnych podróżach swych odkrył krainy, w których ludzie chodzą na głowach, nie na nogach, i wszystko dzieje się nawspak naszemu światu, prawdopodobieństwo istnienia logiki, używanej przez wspomnione pismo, nie może być dłużej zaprzeczane. Że zaś podobne pismo wychodzi w Warszawie, nie w krainach Brambeusowych, jest to wprawdzie fakt dość dziwny, ale nie należy on do rzeczy; dość, że przyjąwszy raz ową brambeusową logikę, pismo powyższe ma prawo trzymać się jej na zawsze, i dlatego to nie jest moim zamiarem podawać owych praw w wątpliwość.

Nie śmiem jednakże przypuszczać, aby i logika dostojnych mandarynów była nie z tego świata; wolałbym raczej popełnić każde inne wykroczenie, niż pozwolić, aby podobna myśl choć na chwilę postała w mojej głowie. Na

nieszczęście, moje przypuszczenia nie sprawią, ażeby dym, napełniający dolną salę resursy, dlatego tylko był wonniejszym i mniej gryzącym, mniej pobudzającym do kichania i kaszlu, że wychodzi z dostojnych nozdrzy i ust członków komitetu resursy, których zresztą Towarzystwem braci śpiących ani mi się śniło nazywać. Z tem wszystkiem, otwartość nakazuje mi wyznać, że odpowiedź dostojnych członków, którzy zapytani: dlaczego palą? odrzekli uspokajając troskliwość pytających, że mogą palić, bo są już po kolacyi, — owo, że odpowiedź powyższą uważam za zbyt podmiotową, żeby nie powiedzieć: jednostronną.

Nie lubię, gdy ktoś we mnie wmawia (co przy moim zawodzie felietonowym trafia się dość często) rzeczy, których nigdy nie mówiłem i mówićbym się nie ośmielił. Inna jest rzecz myśleć, inna mówić. Gdyby ktoś naprzykład wmawiał we mnie na głos, że «Wit Stwosz», którego podobno niezadługo ujrzymy na scenie, nie jest takiem arcydziełem, za jakie sztukę tę ogłoszono, nie zabrałbym głosu w jej obronie, choćby dlatego, ażeby nie zostać w dyskusyi pobitym, jak mi się to już raz trafiło, gdym w pewnem towarzystwie walczył w obronie wyższości reżyseryi dzisiejszej nad dawniejszą. Nie ja, niech mnie Bóg broni! ale przeciwnik mój, a zarazem i zwycięzca twierdził, że dawna reżyserya da-

wała co tydzień sztuki nowe, kiedy dzisiejsza daje także co tydzień, ale odgrzewane; dalej dziwił się, że dzisiejszą za sztuki odgrzewane wszyscy chwalą, kiedy na dawniejszą, jak na pochyłe drzewo skakały wszystkie kozy z brzega. Prócz tego przeciwnik mój stawiał wiele innych zarzutów, których nie powtarzałbym z pewnością, gdyby nie nadzieja, że reżyserya pomoże mi do zemsty nad przeciwnikiem i dostarczy mi dowodów na swoją stronę, którymi zbrojny będę mógł odnowić walkę i powetować fatalną klęskę, w jej obronie poniesioną.

Pokrzepiony tą nadzieją, mogę przejść do innej reżyseryi, której z pewnością nie będę potrzebował bronić przed nikim, to jest do reżyseryi Teatrzyku dobroczynności. Na samym wstępie muszę nadmienić, że wybór sztuk był niżej wszelkiej krytyki; ale wybór sztuk, ile wiem, nie zależał od tych artystów, którzy podjęli się wyuczyć amatorów. Bądź co bądź, nauka nie poszła w las, amatorowie bowiem wywiązali się ze swych ról, jak prawdziwi artyści. Pierwsza sztuczka pod tyt.: «Niepokój domowy», była odegrana przez pp. Kotarbińskiego, Piramowicza i przez pannę K. M. koncertowo. Wybuchy mężowskiego oburzenia, przekleństwa papy pułkownika, ale przedewszystkiem grymasy młodej żony, były tak naturalne, jakby każde z tych trojga amatorów całe życie nic innego nie ro-

biło. Środkowa operetka liryczna, której libreto stanowi znany poemacik Coppée'go «Przechodzień», ma, mówiąc nawiasem, prześliczną muzykę, i gdyby jeszcze wszystkie arye Zanetta występowały tak dokładnie, jak jego muskuły z pod obcisłego średniowiecznego kostiumu, całe przedstawienie nie pozostawiałoby nic do życzenia. Wiele za to pozostawiała do życzenia nowa sztuka, nie ze względu na grę amatorów, która i tu, jak w poprzednich była bardzo dobra, ale ze względu na treść, która równie błaha jak w pierwszej, tem się jednak od niej różni, że jest do wysokiego stopnia *mauvais genre*.

Nie licowało to ani z aktorkami, ani z widzami; żałujcie bowiem, o czytelnicy, którzy wczoraj nie byliście w teatrzyku Dobroczynności, że nie widzieliście, jak dobrane, wypolitu-rowane, wyfraczone, wyrękawiczone i wykrawacone towarzystwo zbiera się od góry do dołu na owe przedstawienie. My tam nie rozmawiamy inaczej tylko po francusku lub, co jeszcze lepiej, po angielsku, tą piękną angielszczyzną, którą, kiedy pewien galicyjski hrabia, a raczej niepewien jako hrabia, właśnie dlatego, że galicyjski, powitał jednego ze znakomitych mężów stanu angielskich, ten ostatni powstawszy z kielichem w ręku, w zamiarze wypowiedzenia mówki dziękczynnej, wyraził przedewszystkiem żal, że nieznajomość polskiego

języka nie pozwoliła mu zrozumieć słów hrabiego. Ale bądź co bądź, angielszczyzna ta na nasze krajowe potrzeby jakoś od biedy wystarcza, i zresztą w każdym razie podobniejsza jest do prawdziwej angielszczyzny, niż śpiew prymadonny bawiącej obecnie w Warszawie psiej opery, do narodowego hymnu angielskiego.

Nakoniec, skoro taka moda, dlaczegobyśmy nie mieli utworzyć sobie takiego żargoniku angielskiego, do jakiego np. dostarczył materyału naszym Żydom język niemiecki? Zresztą naszym Żydom należy oddać głęboką sprawiedliwość, że niektórzy z nich powoli zaczynają przekonywać się, jak śmiesznie i niedorzecznie jest mówić tak obrzydliwym żargonem, złożonym z niemieckiego, hebrajskiego i polskiego języka — i starają się mówić i pisać czystym i pięknym językiem... niemieckim. — Niemieckim?! Tak: niemieckim! Jest to szyk wrocławsko-berliński. Ileż to zaproszeń na rozmaite uroczystości widziałem drukowanych na eleganckim papierze i zaczynających się, ot tak np.: *Hesene X. giebt sich die Ehre Sie etc. Twarde — Strasle.* Jak to zaraz po europejsku wygląda! — Czy to zaproszenie na wesele? Tak, oczywiście: pan i panna młoda będą mówili po niemiecku; *purece*, które zrodzą się z tej pary, także po niemiecku; no! a jeżeli znajdą się czasem w jakiem polskiem towarzystwie i oświadczą, że

«jeszonowe» powietrze nie bardzo służy ich zdrowiu, toć to przecie nic tak wielkiego.

Czyby choć rubel przybył im do kieszeni, gdyby mówili: jesień, zamiast: «jeszeń»? — «poco to jemu?» Tacy Żydzi wolą się uczyć od Niemców, a tymczasem są rzeczy, których Niemcy od nas uczyć się powinni, a przynajmniej które od nas przejmują. I ktoby to z nas odgadł, co mianowicie od nas przejmują? Oto bruki. Nie krzyczcie ze zdziwienia, o czytelnicy! może wy myślicie, że wezmą sobie nasze bruki raz na zawsze, że nie będziecie już mieli na czem wykręcać nóg, przewracać się w zimie, dziurawić obuwia — nie! — bądźcie spokojni, a raczej nie bądźcie spokojni! Naszych bruków kamiennych nie wziąłby nikt na świecie, choćbyśmy je darowali; chodzi tu o nasze bruki żelazne, które ma zamiar założyć u siebie Hamburg, jako tanie, trwałe i wygodne. Zawsze to dla nas zaszczyt niemały. Daliśmy przykład Europie! hę! Posiadamy rzecz taką, jakiej żadne miasto nie posiada. O bogi! przychodzi mi myśl, że my i więcej takich rzeczy posiadamy, i że to ja pierwszy zwracam na to uwagę. Czyż jakakolwiek stolica europejska posiada np. takie konie, jak te, które chodzą w naszych omnibusach, a które podobniejsze do widm lub szkieletów, nie zdolnych napozór do dźwigania samych siebie, dźwigają jednak ogromny ekwipaż, wraz z sie-

dzącemi we środku osobami? Czyż posiada jakie miasto takie brudne omnibusy? czyż posiada tak dużo projektów kanalizacyi i asenizacyi? czy posiada takie towarzystwo gazowe, które, czuwając nad moralnością mieszkańców, każe latarnie gasić na ulicach jak najprędzej, aby dobrzy obywatele nie mogli włóczyć się po nocach, ale spali raczej w domach swoich, na łóżkach swoich, i na poduszkach swoich, i pod kołdrami swemi? (styl biblijny, w który zawsze wpadam, ile razy się rozrzewniam). Czyż posiada jakie miasto taką spółkę jedwabniczą? taki zakład, jak pana Łojki, któryby umiał tak szczęśliwie połączyć naukę rzemiosł z tajemnicą? — takie stowarzyszenie spożywcze, któreby, spożywszy co rok tyle gorzkich pigułek od prasy i własnych członków, umiało jednak je strawić w tej nadziei, że tem właśnie najlepiej dowiedzie wysokiego stopnia swojej spożywności? Czyż nakoniec istnieje pod słońcem miasto, któreby posiadało — «coby tu jeszcze znaleźć?» — takie służące, jakie posiada Warszawa?

Złośliwość to bowiem, tylko języki twierdzą, jakoby w Warszawie ludzie nie posiadali wcale służących. Złośliwcy ci utrzymują, że są w Warszawie dwie tylko kategorye służących: jedna, która co słowo wzywa dyabła, i ta kategorya za sługi dyabla i dyabła warte uważana być może;

drugą zaś kategoryę stanowią tercyarki, które, w gruncie rzeczy warte tyle, ile poprzednie, mienią się same sługami bożemi. Są więc sługi boże i dyabelskie, tylko ludziom nie ma kto usługiwać.

Może nowo założona szkoła pani Ziemęckiej potrafi temu brakowi zaradzić?

Uf! tyle pochwał wypowiedziałem o Warszawie, że obawiam się, czym nie obraził którego z miast prowincyonalnych, jak mi się to zdarzyło w przedostatnim felietonie, w którym poruszyłem historyę fraka, zgubionego na jednym z balów, wydanych w Łukowie. Łuków zawrzał gniewem i postanowił dać mi uczuć swoje oburzenie, delegując jednego ze swych najwaleczniejszych rycerzy do skarcenia mnie, jak na to zasługuję. Owo więc pierwszy cios, jaki mię dosięgnął, ma postać listu, który leży w tej chwili przede mną, i którego błędy językowe poprawiłem najstaranniej czerwonym ołówkiem. — Cóż to? myślicie sobie, czytelnicy, że Łuków można lekceważyć? Jeżeli tak myślicie, to posłuchajcie tylko, kto jest rycerz, który się za Łukowem ujmuje. Oto naprzód wymienia dawne swe czyny i zasługi. Jeszcze w 72 roku pisał do naszego pisma korespondencyę. (Uważacie!). Ale nie rozumie, dlaczego korespondencya ta została obcięta. (Przypuszczenie, że powodem obcięcia były poprawki językowe, byłoby zuchwalstwem). Ale niewiele on sobie

z tego robi, bo nie lubi się chwalić. Tu idzie o frak.

— W którym roku zginął frak w Łukowie? — mówi, przyciskając mnie do muru. — Odpowiadam: Nie wiem. — Ha! rozmówmy się więc sylogizmem. — Albo (mówi rycerz z Łukowa) zginął frak w roku bieżącym, albo nie w bieżącym. (Cóż mogę na to odpowiedzieć?). — W bieżącym (mówi rycerz z Łukowa) frak nie zginął, więc wieść jest przestarzała, i ogólna niespokojność, jaką doniesienie o tym fakcie wywołało, jest fałszywym, a co najmniej spóźnionym alarmem. Znaleziono wprawdzie po balu frak w sali, ale nie w sali ogólnej, bo «sala łukowska do zabaw (styl majestatyczny) nie jest Salą Murzynów (cóż to my sobie myślimy!), bo ma prócz pokojów damskich, trzy męskie». (To nie tak, jak u nas w Warszawie). «W jednym więc z takich pokojów pewien obywatel włożył żakiet i pojechał was (nas) przywitać, a zostawił frak».

Tak się kończy najbardziej dla mnie zabójczy ustęp listu, traktującego o historyi zaginionego fraka w Łukowie. Cóż mam teraz czynić? Oto, zważywszy, że rozpuszczona przeze mnie lekkomyślnie pogłoska o zgubionym fraku w Łukowie, mogłaby niekorzystnie oddziałać na tutejszą giełdę, sprowadzić nawet popłoch, a przez to dotknąć pośrednio wszystkich innych targów europejskich, — dalej, zważywszy na ogromną wagę

poruszonej lekkomyślnie przeze mnie kwestyi i słuszne oburzenie Łukowa, oświadczam publicznie, że rzecz z frakiem miała się tak, jak to chce mieć mój przeciwnik. Że przytem «pewien obywatel zdjął frak, a włożył żakiet i pojechał nas przywitać» — jest to wieść ze wszechmiar dla nas radosna, za którą rycerzowi z Łukowa składam w imieniu mojem i czytelników publiczne dzięki. W dowód zaś uznania, oznaczam konkurs na zrozumienie pewnego ustępu jego listu. Ustęp ten brzmi jak następuje:

«Drobiazg Łukowski osądził także przy swym prowincyonalnym rozumie, że pisma warszawskie, przytaczając zgubione na swych (pism?) balach dwa damskie fartuszki, chciały mieć *complices facti* w zgubionym fraku, że są niesprawiedliwe i faryzeuszowskie, nie bawiąc się jak kot z myszą, w swoim niedawnym czasie, faktem dobrowolnego wykradzenia jednej z panien».

Ktoby z czytelników zgodził się odnaleźć zaginiony sens słów powyższych i z tego herkulesowego zdania potrafił się szczęśliwie wywiązać, otrzyma oryginał listu, z którego wyjątek przytoczyłem. Wyjątek ten przypomina ów sławny wiersz z «Pięknej Heleny»: «Gdy łańcuchy, świetne zbroje» i coś tam dalej jeszcze: «Muchy..., Troję...» czy coś podobnego.

A propos pięknej Heleny: niezadługo już po-

dobno i bardzo nawet niezadługo, ujrzymy «Córkę pani Angôt». Pan Chodźko czyli: «obcy przybysz», jak go, nader niedorzecznie nazywa jedno z pisemek tutejszych, dokłada wszelkich usiłowań, ażeby przedstawienie przyśpieszyć i raz wreszcie przekonać swoich najserdeczniejszych, że owej pensyi, którą mu tak owe pisemko wymawia, nie bierze za darmo.

Mówiąc nawiasem, na przedstawieniu «Córki pani Angôt» będziesz się wcale dobrze bawił, czytelniku. Wśród powodzi poważnych prelekcyi, jakiemi zawsze post nas karmi, będzie to niby wesoły uśmiech słoneczny. Prelekcye... koncerty... i post. Ach, ten post!! Do widzenia na «Córce Angôt» czytelniku!

Gazeta Polska, 1875, Nr. 35 z dnia 15 lutego.

VII.

Towarzystwo a towarzystwo. — Cechy towarzystwa. — Żywe obrazy. — Przytulisko. — Biuro wyjątkowej nędzy. — Bilanse. — Moje obrony. — Sympatye. — Fama Daniszewskiego. — Ogród Bartelsa. — Za i przeciw. — Nowe wydawnictwa.

— Czy pan dobrodziej dużo tańczył w tym karnawale? — spytałem niedawno znajomego mi wieśniaka na raucie u państwa X.

— Ja, panie,— odrzekł nie bez pewnej dumy — nie zwykłem gdzieindziej tańczyć, tylko w towarzystwie, a ponieważ towarzystwo tego roku się nie bawiło, więc nie tańczyłem.

— To jest... właściwie... o jakiem pan chce mówić?

— Towarzystwo jest tylko jedno i nie może być ich więcej.

«Aha! — myślę sobie: — wieśniak! wioskę ma odłużoną, więc i Towarzystwo mu w głowie».

— He! he! he! — począłem się śmiać — to możeś pan dobrodziej koło Towarzystwa tańco-

wał, i to zapewne nie jeden raz. Takie to teraz czasy!

— Co pan przez to rozumiesz?

— Rozumiem przez to, kochany panie, że teraz prawie wszyscy obywatele tańczą koło Towarzystwa.

— A ja panu powiadam, — odrzekł, marszcząc się, wieśniak — że nie rozumiem pana. Ja zwykłem tańczyć w samem towarzystwie, nie zaś koło towarzystwa, he!

— I! to wszystko jedno!

— Przepraszam, to wielka różnica! — odrzekł.

— Chyba się nie rozumiemy?

— O jakiemże — spytał mnie — towarzystwie pan mówisz?

— Ja mówię o Kredytowem Ziemskiem.

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się wieśniak.

— A o jakiemże u licha pan mówiłeś? przecie nie o Kredytowem Miejskiem?

— Nie! Ja mówiłem o «towarzystwie», jakby tu powiedzieć?... No, pan wiesz, co to jest towarzystwo... Ale nie żadne kredytowe. Jest to, jakby tu powiedzieć, jest to poprostu «świat».

Aha! rozumiem: Świat? O czytelniku! rozumiem doskonale, ale nie wiem, czy ty rozumiesz? Istotnie, tak zwane towarzystwo nie jest to ani Towarzystwo Kredytowe Miejskie, ani wiejskie, jakkolwiek zarówno mieszkańcy wsi, jak miast do niego należą i jakkolwiek tak jedni, jak

drudzy nader często do kredytu odwoływać się muszą. Otóż żeby do tego towarzystwa należeć, potrzeba wiedzieć, co robić; czyli popierwsze: nic nie robić; powtóre: niewiele sobie z każdego bliźniego robić; a potrzecie: wiedzieć, czego nie należy robić. Ostrzegam cię więc, że jeżeli po zjedzeniu zupy kładziesz łyżkę na podstawce obok noża i widelca, a nie zostawiasz jej w talerzu; jeżeli lody jesz łyżeczką, co jest niewygodnie; jeżeli nie wiesz, że gdy kto przyjdzie do ciebie, grzeczniej jest odpowiedzieć mu: żeby sobie poszedł, niż przyjąć go i ugościć; jeżeli nie wiesz, że wychodząc skąd, modniej jest nie kiwnąć głową gospodarzowi ani gospodyni, niż pożegnać ich uczciwie; jeżeli sądzisz, że frak można wziąć przed zachodem słońca; jeżeli tajemnicą dla cię jest, że nowy rok stanowi pod tym względem wyjątek; jeżeli nieszczęsny wdziałeś kiedy inexprymable ciemniejszego koloru od tużurka; jeżeli nie pogardzałeś bliźnim, który wdział je; jeżeli barbarzyństwo twe posuwa się aż do nietłuczenia skorup od jaj po ich spożyciu; jeżeli mówiłeś zawsze czysto po polsku i każdej rozmowy nie kończyłeś wyrazem: enfin, choćbyś po tem enfin miał głupstwo powiedzieć — tedy jesteś prostakiem, i proszę cię bardzo nie kłaniaj mi się w miejscach publicznych. Nie należysz do towarzystwa, i prawdopodobnie nie widziałeś go nigdy, choć mógłbyś

je widzieć, gdybyś był, nie dalej szukając, poszedł na żywe obrazy pani Robaczewskiej, na dochód Przytuliska. Było tam towarzystwo w całem znaczeniu tego wyrazu, i wszystko było w dobrym tonie, bo nawet nudzono się obrazami w sposób zarówno dystyngowany, jak i uprzejmy.

Obrazy były jednak swoją drogą bardzo piękne: Semiramis ciągnięta przez lwy od Pawłowskiego wyglądała wspaniale; biała chrześcijanka, tuląca się do krzyża, zdawała się być jakąś wizyą skrzydlatą; szatan ubrany w kąpielowy kostium ostendzki, a przebity włócznią św. Michała leżał zupełnie jak nieżywy wielbłąd w obrazie; Mahomet był nawet daleko lepszy, niż prawdziwy, bo miał przynajmniej dwa razy dłuższą szyję, o całości zaś, chyba ostatni złośliwcy mogli twierdzić, że przypominała muzeum Gassnera. To nie prawda!

Żarty pominąwszy, układ obrazów istotnie był piękny, nawet tak piękny, że niektóre mniej piękne szczegóły, jak naprzykład nankiny plantatora w uwolnieniu murzynów, nie raziły zbytecznie i nie psuły harmonijnej całości. Inna rzecz, że tego rodzaju obrazy z konieczności muszą być trochę jaskrawe, że oświecenie gazowe odejmuje im koloryt naturalny i prawdziwy. Tych trudności nie zdoła nikt przezwyciężyć. Autor obrazów i amatorowie uczynili co mogli,

uczynili nawet bardzo wiele, i z tego względu należy im oddać wszelką sprawiedliwość.

Na zakończenie pani Rakiewiczowa wygłosiła wiersz Grajnerta pod tytułem: «Natura ciągnie wilka do lasu», poczem wreszcie natura, która z powodu długości przedstawienia (od 1 do 4) dawno już o swe prawa dopominać się poczęła, pociągnęła wszystkich, nie do lasu wprawdzie, ale do Boketów, Stępkowskich, lub do obiadów, przy domowych ogniskach zgotowanych.

Z tem wszystkiem widowisko nie było zbyt liczne. Obrazy opatrzyły się i stały się sposobem zużytym. Nie wiem przytem, czy kiedykolwiek łacińskie przysłowie: *Per angusta ad augusta* sprawdziło się dokładniej, niż przy wejściu do przedsionka, w którym zostawia się futra. Przejście to, i tak wązkie, zastawione było dwoma stolikami, na których sprzedawano afisze. Napróżno, o czytelniku! starasz się zamieszać w tłum, prześliznąć, ukryć; napróżno udajesz krótkowidza, napróżno podnosisz kołnierz futra lub paltota, ironiczny głos: «Proszę afisz!» dojdzie cię, zatrzyma, uchwyci; dama, która sprzedaje afisze, jest twoją znajomą, przypomina cię sobie tak łatwo, jak nigdy; staraleś się zawsze uchodzić w jej oczach za gentelmana; niema więc rady: wyjmujesz portmonetkę, składasz grosz wdowi, i dopiero w przedsionku folgujesz swym wezbranym uczuciom i życzeniom, które

gdyby się sprawdziły, wówczas losy Herkulanum i Pompei, w porównaniu z losami Przytuliska, byłyby dziecinną igraszką.

A jednak, co ci winno Przytulisko, zawzięty człowieku? Że nie wiesz co i kogo ono przytula, to jeszcze nie powód do gniewów, bo i ja nie wiem, a mimo to instytucyi tej nie życzę nic złego. Że Przytulisko nie drukuje szczegółowych i dokładnych sprawozdań, to także nie racya; bo naprzód, iluż to — nie już instytucyi, ale i autorów, nie drukuje tego, co pisze, a powtóre są ludzie, którzy wolą poglądy ogólne nad nudne szczegóły. Nareszcie, jeżeli ci tak o ten druk chodzi, toć Przytulisko drukuje afisze, które cię właśnie w tak zły humor wprowadziły!

O jakże słodko jest bronić dobrej sprawy. Takiego uczucia doznaję właśnie w tej chwili, a doznaję go zawsze, ile razy ktoś z lekceważeniem odezwie się o Przytulisku. Przystaję wprawdzie na opinię, że np. Biuro wyjątkowej nędzy jest instytucyą mniej na pokaz, a sto razy więcej pożyteczną; niemniej przeto rozumiem, że dwie te instytucye wygodnie obok siebie pomieścić się mogą. Że włosy naprzykład są częścią organizmu mniej użyteczną od innych, nie idzie za tem, aby je strzydz przy samej skórze. Nosi się je dla ozdoby, na pokaz. W spole-

czeństwie, jak i w poszczególnym człowieku, musi też być coś zawsze na pokaz.

Co jednak mnie pociesza w dolegliwościach losu mego, to fakt, że stawając często w obronie różnych niewinnie krzywdzonych instytucyi, uważam, iż poczynam sobie zjednywać sympatyę bądź tychże instytucyi, bądź ludzi solidarnie z niemi związanych. Gdybym miał tak mało do roboty, jak miała dotychczas, np. spółka jedwabnicza, albo tak lubił dużo a niepotrzebnie rozprawiać, jak członkowie Towarzystwa muzycznego, wymieniłbym z łatwością kilkanaście takich kółek, w których felietony moje zyskały sobie jakie takie uznanie. Na nieszczęście, nie mogę się pod żadnym względem porównywać do Towarzystwa muzycznego, chyba pod tym względem, że w bilansie moim rocznym tak jest, jak zapewne wkrótce będzie i w bilansie Towarzystwa, to jest rozchody przewyższają zawsze dochody. Ale to ludzka rzecz! a zresztą niema się czem chwalić, i właściwie nie o tem zacząłem mówić.

Zacząłem mówić o pewnych sympatyach, jakie apologie moje mi zjednały. Otóż z prawdziwem rozczuleniem dowiedziałem się, iż zyskałem sobie prawdziwych przyjaciół w osobach niektórych członków komitetu Resursy Kupieckiej. Zrozumieli ci mężowie, że nazwa mandarynów, jaką ich ochrzciłem, a raczej ochińczy-

łem, a która, ile mi wiadomo, przyjęła się już na dobre, nie była żadną aluzyą, ale miała tylko na celu uczczenie ich powagi, którą zawsze uznawałem i uznaję, oświadczając zarazem, że nie ostatni to raz stanąłem w ich obronie i że ilekroć razy będą mnie potrzebowali, tylekroć pióro moje i skromne zdolności zawsze znajdą gotowe na usługi.

Ta sama chęć bronienia zasługi i prawdy powoduje mnie w tej chwili do wystąpienia w obronie przeciwników tamy Daniszewskiego, z których nie wiem dlaczego podrwiwa sobie obecnie kto chce i nie chce. Jeżeli, jak wiadomo choćby z Heleny de la Seiglière, mógł Napoleon I odnosić zwycięstwa wprost przeciwne wszelkim zasadom strategii i taktyki, mogła i tama Daniszewskiego nie rozpłynąć się wbrew wszelkim naukowym teoryom, które przez to nie tracą jeszcze nic na powadze. W każdym razie, wina to tamy, nie uczoności moich przyjaciół, bo jeśli woda zdołała oderwać od niej (od tamy, nie od uczoności) kilkanaście kamieni, tak samo mogła oderwać kilkadziesiąt, kilkaset, a wreszcie zabrać i całą tamę. Tama idzie w kierunku tylko trochę ukośnym pod wodą, uczoność zaś moich przyjaciół poszła wprost pod wodę; nic więc dziwnego, że nie tama, ale uczoność z wodą popłynęły.

Ale my to zawsze jesteśmy skłonni do je-

dnostronności. Wiemy teraz wszyscy i cieszymy się, że grunt koło tamy już się zupełnie zamulił, a nikt nawet nie spyta, nikt nie chce zbadać, jak dalece mogą być zamulone umysły moich przyjaciół, daleko pierwej jeszcze niż tama. *Audiatur et altera pars!* Nigdy nie sądźcie o czytelnicy moi, z pozorów, bo jak wam tego na wielu przykładach dowieść mogę, prawie zawsze przyszłoby wam się omylić.

I tak, naprzykład, głoszą wszyscy jak najęci, że kiedy każde prawie większe miasto w Europie ma swój ogród zoologiczny, służący zarówno do celów naukowych, jak i do rozrywki, my nie mamy nic podobnego. Krzyczą dalej, iż p. Bartels, który już początki ogrodu własnym kosztem założył, niezawodnie prowadziłby i większy zakład tego rodzaju doskonale. Z drugiej strony wiemy, że jeśli sami czegoś nie zrobimy, nikt za nas z pewnością nie zrobi. Dalej łatwo zrozumieć, że gdyby rozpisać składki, gdyby każdy pośpieszył choć z małym datkiem, ogródby stanął, a dalej utrzymywałby się, w znakomitej przynajmniej części z opłat za bilety wejścia. Otóż wiemy to wszystko i cóż? Poprzeć ogród, czy nie poprzeć!?

Napozór rozumną i słuszną zdaje się rzeczą poprzeć, ale z drugiej strony, czy wiecie też, za ile wam rocznie zjadają wilki inwentarzą

w każdej gubernii? Oto mniej więcej za sto tysięcy rubli rocznie.

«No, i proszę acana... — mówił pewien obywatel z pod Płońska, miasta słynnego z inteligencyi mieszkańców, jak starożytna Abdera — no i proszę acana, i ja będę jeszcze płacił, żeby mi rozmaite bestye po ogrodach trzymali, kiedy człowiek i tak swoich rodzonych cieląt nie pewny?!» Prawda, jakie szczęśliwe połączenie faktów i jak się to ma blizko jedno do drugiego? Otóż i druga strona medalu. Poprostu: zamorskie wymysły!

Wreszcie, gdyby się nawet uformowało jakie towarzystwo, popierające myśl założenia ogrodu, i gdyby nasza wrażliwa publiczność ruszyła się do podpisów na członków, czy wiecie, coby było? Oto w drugim miesiącu trzecia część członków jużby nie wniosła opłaty, a w trzecim miesiącu jużby tylko trzecia część wniosła. Kto nie wierzy, niech się o te rzeczy spyta w Tow. osad rolnych, w Tow. muzycznem, albo w jakiemkolwiek innem do wyboru. Cóż robić! taka już nasza fantastyczna natura. Unikamy pedanteryi, gdzie możemy i jak możemy. Zresztą dlategośmy wymyślili przysłowia, żeby przecie coś znaczyły, a czyż to nie mamy przysłowia: «Mądry Polak po szkodzie!»

Nie wadzi jednak czasem być mądrym i przed szkodą.

Jak zaś dalece rozmaite franty wyzyskują tę poszkodową mądrość naszą, podam jeszcze jeden fakt na zakończenie niniejszego felietonu. Oto niejaki pan Breslauer, wydawca wielu pięknych dzieł, jak np. Izabela, Eugenia, i tym podobne, zarówno artystyczne, jak i budujące utwory, zamierza puścić w świat nową seryę podobnych romansów, których treścią główną będą zbrodnie kryminalne. Pan Breslauer ma nadzieję, że zaprawione na Izabeli i Eugenii umysły będą teraz smakowały w podobnej, lubo zapewne pieprzniejszej jeszcze strawie. Czy będą smakowały? nie wiemy; sumienie jednak nakazuje nam ostrzedz, w interesie społeczeństwa, wszystkich, że w zakresie czytania niemasz nic bardziej szkodliwego, nic bardziej zgubnego dla moralności, niż podobne utwory. Z tych to powodów, o ile słyszeliśmy, uczciwe księgarnie mają nie przyjąć komisu, *Kuryery* nie załączą ogłoszeń; wszelkie zaś inne pisma dla wydawcy i promotorów tem mniej będą dostępne, im wyżej na schodach mieszczą się redakcye. Nie chodzi tu o wejście — ale właśnie o zejście, które zwłaszcza przyśpieszone, tem byłoby przykrzejsze, im z większej wysokości przedsiębrane.

Tyle na dziś.

Gazeta Polska, 1875, Nr 41 z dnia 22 lutego.

VIII.

Rodzina Dziurdziulewiczów i jej zasługi. — Jako małe szkody dla wielkich korzyści chętnie ponosić należy. — Komedya pod tytułem: «Posiedzenie». — Arystofanes i jego «Rycerze». — Tow. muzyczne. — Dyabeł kulawy.

Dawno słyszałem, i nie myślę się o to z nikim spierać, że artyści teatralni są najdrażliwszymi ludźmi pod słońcem; ale żeby publiczność posuwała nietolerancyę aż do takiego stopnia, do jakiego posuwa ją na przedstawieniach teatralnych, jest to rzecz zaiste dziwaczna. Mówię tu o zarówno nieusprawiedliwionych, jak i nagannych oznakach niecierpliwości i oburzenia, jakie ze strony mniej dbałej o dobry ton publiki spotykają co wieczór te osoby, które przychodzą w połowie pierwszego, a wychodzą w połowie ostatniego aktu granej sztuki. To trudno! Miło jest słuchać sztuki od początku do końca, ale trzeba umieć uszanować wolność ludzką. Chyba bardzo przewrócona nowoczesnemi zasadami i nawskroś przejęta demagogią głowa nie

chce zrozumieć, że pani «Dziurdziulewiczowa» wraz z synem, młodym «Dziurdziulewiczem», i córką, panną »Dziurdziulewiczówną», nie może przychodzić do teatru o wpół do ósmej, to jest o tej godzinie, o której przychodzą zwykli śmiertelnicy, którym do Dziurdziulewiczów tak daleko, jak stąd do Krakowa. Choćbyśmy zresztą zapomnieli, że Dziurdziulewicze o mały włos nie są spokrewnieni z najznakomitszemi rodzinami kraju, pamiętać w każdym razie należy, że jak wiele innych równie świeżo wyprezesowanych, wydyrektorowanych i wogóle wyobywatelowanych rodzin, tak i Dziurdziulewicze reprezentowanie dobrego tonu uważają za swe dziejowe posłannictwo, — od posłannictwa tego nie odstąpią, choćbyście dziesięć razy jeszcze głośniej sykali, gdy wam przeszkadzają w zrozumieniu początku lub w dosłuchaniu końca sztuki. Wprawdzie, jeżeli nie zrozumiecie początku, nie będziecie rozumieli i dalszego ciągu, gdy zaś nie dosłuchacie końca, nie będziecie mogli zbudować serc i dusz waszych widokiem wynagrodzonej cnoty, a ukaranego występku; macie jednak za te wszystkie szkody znakomitą nagrodę, której dlatego nie cenicie, że się na niej nie umiecie poznać, lubo żeście jej nie warci. O wy, którzy siedzicie w krzesłach, sami powiedzcie, czy na wasze maniery nie wpłynie zbawiennie widok młodego Dziurdziulewicza, na-

krywającego głowę i wychodzącego w chwili, w której kurtynie ani śni się jeszcze zapadać. Depce on wasze odciski, i odciski żon, i odciski córek waszych, to prawda; ale z jakąż to gracyą kołysze się całym korpusem, przeciskając między wyciągniętemi kolanami bliźnich swoich a parapetami! Z jakąż wytwornością i z jakimże akcentem, godnym samego Jardin Bullier, powtarza niezrównanie grasejowane: «pahdon», jeżeli wypadkiem postawi obcas buta swego na nodze któregokolwiek z siedzących. Dwa tygodnie tylko był w Paryżu, a już zepsuł sobie język w tak wykwintnie arystokratyczny sposób, że nawet do psa swego nie mówi inaczej, rzucając mu kawałek sucharka, jak: «Otwórz... jakże się tam nazywa?... otwórz guenbe». O ludzie, ludzie! czy wy myślicie, że młody gentleman Dziurdziulewicz dlatego tylko nosi głowę tak wysoko, że wedle praw natury części lżejsze w połączeniu z cięższemi, zajmują miejsca górujące? Wcale nie! Ale oto dlatego, że nikt nie ma tak głęboko wyciętych kołnierzyków, tak wązkich u góry, a tak szerokich u dołu inekspymablów, i tak dokładnie angielskiego przekosmato-kosmatego paltota z patką na plecach i guzikami, któreby wygodnie, pod względem wielkości, spodki do filiżanek zastąpić mogły.

Ale to jeszcze nie wszystko: jeżeli bowiem

wy, ze względu na to, że z młodego Dziurdziulewicza poznajecie dopiero, czem jest prawdziwa cywilizacya, nie powinniście się nań gniewać za małą dystrakcyę, jaką wam sprawia w teatrze — cóż dopiero mówić o córkach waszych i żonach waszych, które jeśli mają jakiekolwiek pojęcie o tem, co jest dobry ton i dobre ułożenie, winny to bezsprzecznie pani Dziurdziulewiczowej i pannie Dziurdziulewiczównie. Pani Dziurdziulewiczowa przychodzi wpół aktu: — prawda! Ach, czyż która z was, o czytelniczki moje! potrafi odsunąć drzwiczki loży z hałasem tak pełnym godności i przeświadczenia, że cały świat jest dla nas, a nie my dla niego? Jak to zaraz znać osobę, która należy do towarzystwa! Dalej zaręczam, że żadna z was nie zdoła o zakład narobić tyle szurgotania czterema nędznemi krzesłami, tyle szelestu dwiema sukniami, i nie wiem na pewne,— bo i skądże mógłbym wiedzieć? — ilu spódnicami! Tak, tak! moje panie! Chwila, w której p. Dziurdziulewiczowa sadowi wielmożność kształtów i obwodów swoich w ciasnościach loży teatralnej, jest szczytem wielkoświatowej elegancyi, jest chwilą, w której dobry ton podaje obie ręce wytworności, a niekłamany wdzięk rzuca się w objęcia nonszalancyi.

Uczcie się więc, o piękne panie, do rodziny Dziurdziulewiczów nie należące! Wprawdzie, żeby dojść do takiej doskonałości, niemało po-

trzeba; ale dobra wola i dobry przykład wiele mogą. Uczcie się więc, przypatrujcie, nie pozwólcie braciom, mężom i narzeczonym swym sykać w chwili, kiedy Dziurdziulewicze wam i im przeszkadzają, i nakoniec wykrzyknijcie wraz ze mną: Niech żyją Dziurdziulewicze!

A teraz pozwólcie mi, czytelnicy, że ponieważ przed chwilą mówiliśmy o teatrze, teraz powiem parę słów o pewnej komedyi, która nie dawniej niż wczoraj odegraną była, jeżeli nie na samej scenie, to przynajmniej blizko sceny, i którą nietylko że własnemi oczyma (dziś tak często ludzie patrzą cudzemi oczyma, że ten pleonazm się dozwala) widziałem, ale bezpośrednio wmieszany byłem między jej aktorów. Komedyi tej nadałbym tytuł: «Posiedzenie parlamentarne», gdyby nie to, że złośliwe języki posądzają mnie o bezustanną ironię, a w tym razie, wyrażenie: parlamentarne, istotnie na ironię wyglądaćby mogło. Rzecz dzieje się w sali ogrzanej do trzydziestu stopni Réaumura, przy powszechnem uderzeniu krwi do głowy; bohaterami zaś «Posiedzenia» są: Prezes, Komitet, Mówcy, Demos, Stołki, Kartki do głosowania. — «Posiedzenie» poczyna się ożywiać: Jeden z mówców proponuje (zresztą rozsądnie) oszczędności i kończy wnioskiem, by tych oszczędności nie robić na pensyi dyrektora, ponieważ obowiązki jego są ważne i trudne. Głos drugi: A czy dy-

rektor odpowiada swym obowiązkom? (Śmiechy, ogólna radość, Demos uszczęśliwiony bije brawo). Prezydujący: Demosie, nie śmiej się, albowiem jest to głupie i nieprzyzwoite. Demos: Brawo prezydujący! brawo! brawo!.— Po takim objawie radości Demos siada. (Brawo! brawo!). Jeden z mówców: Mówmy o oszczędnościach! Demos: Mówmy o oszczędnościach! Głos z lewej strony: Sądzę, że można skasować trzech woźnych, a miejsce ich zastąpić dwoma. Demos: I ja tak sądzę, skasować dwóch, zastąpić trzema. Głos z lewej: Ależ przeciwnie! Demos: A tak, przeciwnie. Głos z prawej: Mojem zdaniem dwóch to będzie za mało. Demos: I mojem zdaniem będzie za mało. Prezydujący: Demosie, zostaw to komitetowi, jesteś niekompetentny. Demos: Owszem, jestem kompetentny. Głosy z różnych stron: Tak! Demos jest kompetentny. — Nie jest! — Jest! — Nie jest! — Jest! Wrzawa, słychać głosy: Opozycyo, grupuj się!! Demos: Jestem kompetentny i dam tego dowody; niech mowcy mówią. Jeden z mówców: Ja sądzę czarno! Demos: I ja czarno! Drugi mówca: Ja biało! Demos: Hę!? co? i ja biało — Brawo! brawo! — Prezydujący: Demosie, siadaj! Głosy: Opozycyo, grupuj się! (Wrzawa, zamieszanie, widać mówców ruszających ustami, ale głosu ich nie słychać). Prezydujący: Demosie, ucisz się! (Wrzawa i ogólna pantomina mówców). Prezydujący: Demosie, za-

klinam cię, ucisz cię, inaczej będziesz siedział do wieczora bez obiadu, nim zdołasz co postanowić. Głosy: Jeść! Jeeeść! Prezydujący: A widzisz! a teraz słuchaj, jeżeli chcesz czarno, to wstań... (Demos wstaje). Prezydujący: ...ale jeżeli chcesz, biało to siadaj. (Demos siada). Prezydujący: Demosie, Demosie, na miłość boską, zdecyduj się! zdecyduj się! Opozycya: Panowie, grupujmy się! ty zaś, Demosie, powtarzaj za mną: no! czarno! Demos: czarno! Opozycya: czarniej! Demos: czarniej! Opozycya: Krzycz głośniej: najczarniej. Demos wrzeszczy: Najczarniej! najczarniej! najczarniej! brawo! brawo! Prezydujący: Demosie, kiedy więc mówisz czarno, dlaczegóż więc, kiedym ci zaproponował, żebyś usiadł, jeżeli chcesz biało — usiadłeś? Opozycya: Nie rozumiałeś pytania. Demos: Nie rozumiałem pytania. Prezydujący: A teraz rozumiesz? Opozycya: Tak! Demos: Tak! Komitet: Szanowny Demosie! przedstawiam ci tu projekt pewnych zmian w ustawie, bez których, jak ja przynajmniej sądzę, nie możemy dalej istnieć. Najgłówniejsza z tych zmian jest następująca: Wyrzeknij się, o Demosie, zjadania co piątek lekkich i słodkich wprawdzie, ale nie pożywnych blamanżów, które ci nie wychodzą na zdrowie, a ja wzamian będę ci dawał w miarę możności, co dwa tygodnie, uczty co się nazywa. Czy zgoda? Demos: Niech jaki mówca co powie. (Jeden z mów-

ców wstaje, mówi długo, płynnie, i stara się namówić komitet, żeby dawał uczty co dwa tygodnie, ale blamanżów nie odbierał, albowiem, jakkolwiek same przez się nie dość może pożywne, przy posilniejszej jednak strawie służą i pomagają do strawności. Prezydujący: I cóż, Demosie!? Demos: Brawo, braaawo, brawo! Opozycya: Krzycz! krzycz! Demos: A! a! a! o! braaawo! Komitet: Demosie! służyłem ci jak umiałem, nie pobierając za to pensyi, ale ponieważ na blamanże nie mam, podaję się do dymisyi. Opozycya: Krzycz! Demos: Braaaawo! (Komitet wychodzi. Krzyki, wrzawa, zamieszanie, słychać dzwonek prezesa, ścisk, powinszowania. Powoli cichnie jednak coraz bardziej. Demos spogląda wokół siebie, poczyna się dziwić, stopniowo wpada w osłupienie i spogląda na drzwi, któremi wyszedł komitet). Demos: Hę! Co to? Co? Gdzie on poszedł? Co ja teraz będę robił? Aa! a! (poczyna płakać). Opozycya: Idź poproś go, żeby został, póki nie znajdziesz sobie kogo innego. Ja ci będę służyć. Ho! ho! ale nim mnie wybierzesz, idź poproś go.

EPILOG.

SCENA I.

Opozycya sama.

Opozycya: Ha! ha! ha! Zgrupowałam się! Ależ z tego Demosa można wszystko zrobić, jak

z wosku. Poczciwina! poczciwina! No! teraz przyjdzie moja kolej! Poczciwy safanduła! Poczciwina! poczciwina!

SCENA II.

Mówcy sami.

Pierwszy mówca: Mówiłem za Demosem i z głębi duszy jestem przekonany, że miałem słuszność, ależ to brawo komitetowi w chwili, gdy się podał do dymisyi, co za brak taktu! co za brak szlachetności! co za nizkość uczuć! Wiesz, że mnie to boli prawdziwie!

Drugi mówca: Młody jesteś, bracie, i nie miałeś jeszcze czasu zbadać serca Demosa, które on ma dobre, ale jeśli chcesz się przekonać, co warta głowa, przeczytaj co o nim mówi nieboszczyk Arystofanes w «Rycerzach», jeszcze w roku 425 przed Narodzeniem Pańskiem. Przeczytaj! co ci to szkodzi!

Zaciekawiony tą rozmową, a zwłaszcza jej zakończeniem, wróciwszy do domu, wyszukałem w literaturze greckiej wzmiankowanych «Rycerzy» i począłem ich czytać. Ciekawe to rzeczy! Były to czasy wojny Peloponeskiej; lud (demos) w Atenach, wodzony na pasku przez demagogów, szedł ślepo sam, dokąd go ci ostatni

wiedli. I oto jak dwaj dymisyonowani wodzowie, przywódcy również niedawno dymisyonowanej partyi rządzącej, scharakteryzowali przed widzami swego Demosa:

»Otóż, panowie, mamy pryncypała
Gorączkę, mruka, wściekłca, świszczypała,
Starego głucha. — Demos skapryszony,
Wraz na ostatnim targu kupił sobie
Garbarza franta, co w swojej osobie
Wszystkie podstępy połącza i zdrady.
A gdy my z starcem nie możem już rady
Dać sobie, Kteon, ów garbarz przebiegły,
Zbadał go wkrótce, łasił się uległy,
Lizał się, schlebiał, widział w chwały blasku
I na rzemiennym głupca wodzi pasku».

Wczoraj w dniu 28 lutego odbyło się ogólne posiedzenie w Towarzystwie muzycznem warszawskiem. Komitet przedstawił zebraniu projekt, ściągający się do zmiany ustawy, który to projekt został ogromną większością głosów odrzucony. Skutkiem tego, dotychczasowy prezes, dotychczasowy dyrektor, a nakoniec i komitet podali się do dymisyi. Dymisyę tę przyjęto z większą skwapliwością, niż taktem. Teraz więc oczekiwane są w Towarzystwie muzycznem wielkie zmiany. Specyalny nasz sprawozdawca doniesie zapewne czytelnikom szczegółowiej o całym przebiegu sprawy; ja zaś muszę śpieszyć w obronie naszego pisma w inną stronę, skąd

niewielkie wprawdzie grozi niebezpieczeństwo, niemniej jednak należy je zażegnać.

Myślę, że to zażegnanie, jako zażegnanie, tem będzie skuteczniejsze, że się ma do czynienia z dyabłem. Nie lękajcie się, czytelnicy! Jako dobrzy chrześcijanie, możecie dla odpędzenia owego wroga chrześcijańskiej religii położyć krzyżyk na czole, ale bać się niema czego, bo to, jak zobaczycie, wcale nieszkodliwe stworzenie. Cóż to naprzykład może szkodzić komu, że dyabeł ten tem się przedewszystkiem odznacza, że jest niezmiernie kontent z siebie, że lubi dużo mówić, i że mu się jego własne słowa wydają niezmiernie dowcipne, eleganckie, bystre i tym podobne? Nieszkodliwa choroba, i nietylko w piekle na nią chorują. Mój Boże! iluż to u nas choruje na nią miernotek, uchodzących na łonie rodzin za geniusze! a dlatego Warszawa stoi zawsze na jednem i tem samem miejscu! Co tu i mówić? Potrzebaby chyba powtarzać utarte przysłowia lub zdania — zawsze znane, a nie zawsze prawdziwe.

Są bowiem takie utarte zdania, które nie zawsze się sprawdzają. I tak: przywykliśmy wierzyć, że rozum i powaga zawsze przychodzą z wiekiem. Gdzie tam! Szanowne pismo polityczne, społeczne i literackie aż nadto nas przekonywa, że pomiędzy rozumem i powagą a *Wiekiem* czasem nic zgoła niema wspólnego. Oto

jak było. *Wiek* zaczepił niedawno *Gazetę Polską* i dostał odprawę. Po trzech tygodniach głębokiego milczenia, *Wiek*, który może o odprawie zapomniał, gdyż, jak wiadomo, w pewnym «wieku» traci się pamięć i dziecinnieje się wielce, ponowił na nas atak w osobie felietonisty, przystrojonego w nazwę «Kulawego dyabła». Znakomity ten szermierz na polu literackiem ostrzega ludzkość przed stronnością *Gazety Polskiej* w traktowaniu prawie wszystkich kwestyi ekonomicznych, przemysłowych i handlowych, tyczących się kraju. Miejcież się na baczności czytelnicy, ilekroć tego rodzaju kwestya w *Gazecie Polskiej* poruszoną zostanie! Jeżeli pragniecie być spokojni, to szukajcie tego spokoju w szpaltach *Wieku*. Tak jest, my istotnie nie jesteśmy tak dalece bezstronni, abyśmy zawsze i wszędzie nasze własne zdanie umieli poświęcić dla jakiejkolwiek innej opinii, która na razie może się okazać korzystniejszą. Oprócz tego zarzutu, który stanowić miał najefektowniejszy wystrzał z bateryi, przez trzy tygodnie nabijanej, «Dyabeł kulawy», jak się sam chwali, a na co sumienie moje literackie zgodzić się nie pozwala — lekko i elegancko żartuje z *Gazety Polskiej*, której usuwanie się od gry do puli na prenumeratorów, kładzie na karb braku na stawkę i nieszczęścia w grze. Jakkolwiek, widocznie dla wdzięczności i rozkoszności formy,

Dyabeł kulawy przemawiał do *Gazety Polskiej* w drugiej osobie liczby pojedyńczej, przecież nie będę z tej dogodności korzystał, bo poufałość mi nie do smaku. Gdybym przynajmniej miał przekonanie, że przemawia do mnie prawdziwy dyabeł, niechby sobie kulawy, łysy, ślepy czy zezowaty, byle prawdziwy — prędzejbym się na tak poufałe stosunki zdecydował. Ale niestety, wszystko mi się jakoś zdaje, że nie jest to prawdziwy dyabeł, ale ot: taki sobie zwyczajny *pauvre diable*, któremu niema co i rogów przycinać, bo mu Pan Bóg nie dał rogów.

Pauvre diable!

Zaglądając do cudzej kieszeni, czy ma za co grać do puli z prenumeratorami, czy nie ma, — rzecz niezręczna i nieprzyzwoita, niechaj *pauvre diable* przyjmie dobrą radę i nigdy tego nie robi; cały zaś *Wiek* wraz z kulawym nie dyabłem, ale felietonem, niechaj pamięta, że w najgorszym razie lepiej jest nie grać wcale, aniżeli grać na liczmany. Liczmany w żadnym czasie, ani w żadnym *wieku* nie znajdą kursu; kto zaś chce je za prawdziwą monetę podawać, ten sobie samemu winę przypisze, jeśli mu tą samą miarką ludzie odmierzą.

Tą starą prawdą kończę felieton dzisiejszy.

Gazeta Polska, 1875, Nr 47 z dnia 1 marca.

IX.

Złość ludzka. — Ultramontanizm i ciepłe pledy. — Narwicki biały charakter. — Nowi Cyncynaci. Wybory w Towarzystwie muzycznem. — Zosia i Juleczka. — Moja skrucha. — Jeszcze o kulawym dyable. — Odjazd panien Epsteinówien. — Brylantowy podarunek. — Śniadania i śniadankowiczostwo. — Dystrybucye jako szkoła obyczajów i doświadczeń. — Omnibusy warszawskie. — Rauty. — Wiosna.

Od czasu, jak złość ludzka doszła już tego, że w jednem z większych miast pewna liczba «ultramontanizmem związanych owieczek», wyprzedaje się z ciepłych pledów zimowych dlatego tylko, że takie pledy są podczas zimy w modzie u zwolenników *Przeglądu Tygodniowego*, przestaję wierzyć w prawdziwy postęp na świecie, a przynajmniej mniemam, że napróżnoby było go szukać poza szpaltami tegoż *Przeglądu*. Z drugiej strony nie umiem się bronić przykrym przeczuciom co do przyszłości naszego społeczeństwa, które najcelniejszych ka-

planów postępu, to jest zwolenników i współpracowników *Przeglądu*, wynagradza w ten sposób, że podczas zimy, kiedy cały świat otula się w futra lub watowane paltoty, oni, ci krzewiciele światła, ci ofiarnicy wiedzy, muszą za całe ubranie poprzestać na ciepłych pledach. W pledzie, w kapelusiku z małym termometrem zamiast kokardki, nie ma się wprawdzie nic wspólnego ze «zmurszałą» przeszłością, z «zapleśniałym murem przesądów», i z «ultramontanizmem owianemi owieczkami», owszem, wygląda się bardzo demokratyczno-zagranicznie, czyli nader postępowo; ale wszystko to jeszcze nie broni od zimna. Członki najpostępowszego w świecie męża tak samo marzną, jak i członki najsilniej zawianej wiatrem ultramontanizmu owieczki; czyż więc sprawiedliwą rzeczą jest, aby gdy ta ostatnia, to jest «zawiana owieczka», otula się cieplem futrem — postępowy mąż kłapał zębami od zimna?

Od pledów *Przeglądu Tygodniowego* niech mi wolno będzie przejść do Towarzystwa muzycznego. Nie jest to tak wielki przeskok, jakby się komuś zdawać mogło, albowiem od czasu, jak w «Zwierciadłach» odbiła się bohaterska postać «pana Narwickiego», jedynego białego charakteru ze wszystkich, wchodzących w skład dawnego komitetu; od czasu, jak ta bezinteresowna i pełna poświęceń, uciśniona niewinność znalazła

tak obronę, jak i zasłużoną apoteozę w bezstronnych i wolnych od wszelkiego nepotyzmu szpaltach pomienionego pisma — niektórzy twierdzą, że między redakcyą a Towarzystwem zaszedł związek daleko bliższy niż ten, jaki może zajść np. między wspomnionym bohaterem «Narwickim» a przyszłem dyrektorstwem w temże Towarzystwie muzycznem. Niektórzy chcieli nawet związek ten objaśnić stosunkiem kota do mleka, ale porównanie to odrzucam jako trywialne i nietrafne. Wiadomo, że jeżeli nawet redaktor piórem i słowem działał na czyjąkolwiek korzyść, to ani na swoją, ani na nikogo ze swoich; owszem, dawno nie widzieliśmy takiej bezstronności, z jaką redaktor popierał najzasłużeńszego p. «Narwickiego», bez względu na to, że między kandydatami do komitetu występował jego rodzony brat, który skutkiem tego o włos tylko co nie został przegłosowany. Ale tem większa to zasługa redaktora! Umieć poświęcić dla dobra ogółu nawet związki familijne było zawsze cechą dusz wielkich i wspaniałych, a podobnych przykładów sama tylko chyba starożytność dostarczyć może.

Ale wróćmy do samego Towarzystwa. Otóż wybory już skończone. Czytanie i spisywanie głosów odbyło się wczoraj, przy akompaniamencie niespokojnego bicia serc głosowanych kandydatów, przy mroku i rumianej zorzy wieczornej, zaglą-

dającej do okien, i nakoniec przy akompaniamencie głodu, nie żartem dającego się uczuć wielu członkom komitetu wyborczego, którzy nie mieli czasu zjeść obiadu. Małe nieporozumienia, wzniecone przez osoby utrzymujące, jakoby głosy przy niektórych nazwiskach policzone zostały mylnie, przeciągnęły jeszcze posiedzenie. Bądź co bądź jednak, nowy komitet został już wybrany; pisma peryodyczne zapewne podadzą dość długą i dość potężną listę kandydatów, ja zaś kończę wzmiankę o Tow. muzycznem, życząc nowemu komitetowi lżejszego losu, niż miał dawny.

Ale kończę tę wzmiankę jeszcze i z innego powodu. Oto poprostu, z chwilą, jak Zosia i Juleczka, w rozmowie swej, drukowanej w *Kuryerze Codziennym*, z całą prostotą i naiwnością, właściwą młodym latorośłom, hodowanym po naszych pensyonatach, zgromiły moją równie zbyteczną, jak i naganną złośliwość — od chwili, jak przekonałem się, że nazwa «demos», którą ochrzciłem — przyznaję się — całe posiedzenie ogólne, wytłómaczona, lubo nie dość ściśle, przez tatę Zosi i Juleczce, oburzyła i zasmuciła te dwie gołębie duszyczki — od tego czasu, powtarzam, postanowiłem jak najmniej mówić o Towarzystwie muzycznem. Mogłem z całym spokojem znieść swego czasu ciężar gniewu mandarynów Resursy Kupieckiej, mogłem nie ugiąć

się pod świeżymi ciosami *Przeglądu Tygodniowego*, mogłem wytrzymać niezbyt zresztą gwałtowny atak dyabła kulawego z *Wieku*; nie obalił mnie nawet zarzut wielce zagniewanej na mnie wykwintnej rodziny Dziurdziulewiczow, która jednozgodnie wyrzekła, że jestem *mauvais genre*, i która, chcąc pokazać, jak niewiele sobie ze mnie robi, po dawnemu spóźnia się do teatru — mogłem nakoniec, lubo z trudnością, unieść na barkach brzemię niezadowolenia opiekunki Przytuliska, którą tak długo napróżno nudziłem o rachunki tej instytucyi — mogłem, powtarzam, przenieść to wszystko, ale nie jestem tak niepoprawnym i zatwardziałym grzesznikiem, abym się nie miał cofnąć przed mąceniem spokoju dusz czystych, takich, jak Juleczka i Zosia. Dziewiczość ich, nieświadomość złego ni dobrego i prostota, które, mówiąc nawiasem, stanowią ich nieocenione kwalifikacye na współpracowniczki *Kuryera Codziennego*, poruszyły tak dalece uśpioną moją czułość, że odtąd postanawiam być zawsze raczej lirycznym niż złośliwym.

Pod wpływem tej czułości, gotów jestem nie pokropić już nigdy w życiu święconą wodą kulawego dyabła, tembardziej, że chodzą wieści, jakoby ostatni felieton w *Wieku* miał być prawie łabędzim śpiewem tego talentu. Redakcya *Wieku*, lubo zachwycona jego dotychczasową działalnością, postanowiła podobno jednak dla

różnych innych przyczyn, prócz skołatanego jego zdrowia, odebrać mu felietony, a powierzyć natomiast bardziej zgodne z rodzajem jego talentu rubryki: «Przyjechali do Warszawy, Zmarli w Warszawie i Stan wody na Wiśle». Czy się wieść ta sprawdzi, czy nie? — dziś jeszcze na pewno nie umiem powiedzieć; na wszelki jednak wypadek pośpieszam wyrazić mu swe uczucia wraz z nadzieją, że i na tej drodze, jak i na poprzednich będzie pracował z równą chwałą, jak pożytkiem.

Co wyraziwszy, mógłbym przejść do innych faktów, gdybym miał ich tyle na każde zawołanie, ile plotek zdołają sobie w ciągu godziny wypowiedzieć dwie, dobrze ćwiczone w szkole opowiadania dewotki, lub ile niedorzeczności wypowiedzianych zostało na wszystkich zgromadzeniach ogólnych, które w ostatnich czasach się odbyły. Na nieszczęście, jeżeli nic ważniejszego nie stanie się w Warszawie, jeżeli żaden ważniejszy ewenement nie przerwie zwyczajnego życia miejskiego, wówczas chwilami czuję się w ambarasie. Choćbym doniósł czytelnikom moim, że trzy panny Epstein wyjechały z Warszawy, z zamiarem dania koncertu, dajmy na to, w Przytyku, albo w Garwolinie, nie sprawię tem wielkiego efektu, albowiem czuję, że wyjazd panien Epstein tyle obchodzi większą część mieszkańców Warszawy, ile ma-

gistrat to, że ktoś nie dojrzy godziny na ratuszu z powodu złego oświetlenia zegaru, lub że ktoś połamie sobie nogi na ulicy Daniłowiczowskiej z powodu braku na niej latarni.

Gdybym był płocczaninem, tj. gdybym mówił «jeich» zamiast: ich; umięso zamiast: mięso, i phiorun zamiast: piorun, dopierożbym rzucał phioruny na marnotrawstwo *jeunesse dorée* płockiej, która pannę Józefę Czapską uczciła na przedstawieniu «Córki pani Angôt» brylantami, wartującemi koło sześciuset rubli srebrem! Piękny podarek, ani słowa; ale któż ma sobie pozwalać podobnych wydatków, jeśli nie złota młodzież płocka, która nietylko słynie na cały świat z pięknej wymowy, ale, jak widzimy, i z wykwintnego smaku, umiejącego poznać się na tem, co prawdziwie piękne, i należycie uczcić przedmiot ogólnego zachwytu i podziwu. Tymi to tylko przymiotami, tą wykwintnością smaku, da się wytłómaczyć zamiłowanie do przesiadywania w handlach i zamiłowanie w śniadankach, a nakoniec nadzwyczajny pociąg do dobrych cygar, czerpanych obficie w otwartych zwykle na ścieżaj port-cygarach przejezdnych obywateli. Ci ostatni skarżą się nawet, że śniadanka i cygara warunkują zbyt *sine qua non* łatwość, a zwłaszcza pośpiech w załatwianiu interesów, za którymi przyjeżdża się do miasta. Skargi podobne jednak są to zwykle gadania

ludzi, którzy nie rozumieją, że natury prawdziwie i nawskroś estetyczne mają swoje wymagania, swoje instynkty i swoje potrzeby, od których żadną miarą odstąpić nie mogą; jeżeli więc brutalna rzeczywistość do odstępowania od nich w zwykłych warunkach zmusza, chwytają pierwszą lepszą, lub pierwszą gorszą sposobność, żeby do nich powrócić.

Co do mnie, ponieważ owej pożądliwości na cygara i śniadania nietylko nie uważam za wadę, ale wykwintnością i wysokiem estetycznem poczuciem ją tłómaczę, niechaj mi więc będzie wolno powiedzieć, że przymioty te nietylko w Płocku panują, ale trafiają się prawie w równej sile we wszystkich naszych miastach, nie wyłączając i Warszawy. Śniadankowiczostwo stanowi cechę miejską, u nas tak wybitną, jak żadna inna. W ostatnich czasach, a raczej w ostatnim dziesiątku lat, piękna ta cecha zmniejsza się coraz bardziej; nie mniej przeto istnieje i wyróżnia nasze tego rodzaju sfery od zagranicznych. Jak smarujesz, tak jedziesz, mówi przysłowie. Trzymamy się go, trzymamy święcie. Ambicya i godność osobista podejmowanych i częstowanych na tem nie tracą, bo nikt nie może stracić lub zgubić (wedle greckiego przysłowia) tego, czego, jak naprzykład rogów, nigdy nie posiadał. Ambicya więc nie traci,

a żołądek biorącego i interesa dającego zyskują. Po cóż więc starać się o zmianę.

Ale spostrzegam się, że zaczynam moralizować, a tymczasem panna Czapska dostała brylanty i kontenta. Zresztą lepiej jest być zbyt uprzejmym dla płci pięknej, niż za mało. Co do nas, po Francuzach jesteśmy najgrzeczniejszym narodem dla kobiet na świecie, i z tego nikt nie myśli się wyśmiewać. Ale jakże inaczej ma być, jeżeli nawet uczniowie gimnazyum, a już uczą się, jak to z płcią piękną, niby z porcelaną, należy się delikatnie obchodzić! Praktyczne tego rodzaju wykłady prowadzą się po naszych warszawskich dystrybucyach, w których młode panny, o kokach przechodzących zarówno moją, jak i twoją wyobraźnię, czytelniku, otoczone młodzieżą gimnazyalną, uczą ją należytej dla płci pięknej galanteryi. Przy dymie z papierosów i zapachu piżma, jaki wonią szaty tych rusałek, nabiera młodzież przytomności, pewności siebie; tu pierwszy raz doznaje lubych wzruszeń sercowych, tu pierwszy raz doznaje zawodów, zdrad i rozczarowań, tu poznaje, że «ona, która zdawała się być tak kochającą i wierną — ona tak niby niewinna... Boże! tak okropnie zdradziła!» Kobieto, puchu marny! A potem nieunikniony bajronizm siódmoklasowy i — pół dzika romantyczność szóstoklasowa, która jako z natury swej do najwyższego stop-

nia klasycyzmowi przeciwna, pociąga za sobą fatalne kolizye z profesorami łaciny i greckiego, a w następstwie nierównie jeszcze fatalniejsze krępowanie polotu rozmarzonych młodych dusz, dwuletnim pobytem w każdej klasie.

Ej rodzice, rodzice! baczenia więcej, przedewszystkiem baczenia na dzieci! Naukę da im, a przedewszystkiem ma dać szkoła; ale i wasze zadanie nie mniejsze. Do was należy wyrobić zasady, waszą rolą jest stworzyć charakter dzielny, godny prawdziwego męża, a jednolity, nie żaden zlepek jaskrawych strzępków, nie żaden omnibus.

Tak jest. Nie omnibus, a przedewszystkiem nie warszawskie omnibusy. Wierzajcie mi, że gorszych wehikułów niema na całym świecie. Nie unoście się dumą i nie cytujcie mi żelaznych omnibusów kolejowych, albowiem są one, prawda, wygodniejsze, ale za to daleko delikatniejszego zdrowia od zwyczajnych. Tym to stanem zdrowia tłómaczyć sobie należy nadzwyczajną ich kaprysność w przejeżdżaniu i zatrzymywaniu się na stacyi. Proponuję każdemu zakład, że ile razy będzie miał ochotę zastać omnibus na stacyi, tyle razy go nie zastanie. W ostatnich czasach stan zdrowia tych olbrzymów musiał się nawet bardzo pogorszyć, bo był czas, że przestały zupełnie kursować. Dlaczego? Któż zgadnie? Któż zgadnie, dlaczego mamy

najgorsze bruki, najrzadsze i najciemniejsze latarnie? Któż zgadnie, dlaczego może w żadnem mieście Europy o kanalizacyi i asenizacyi nie gadano tak dużo, a nie zrobiono tak mało? Są to właściwości, które, Boże odpuść — wszystkim ludziom szkodliwe, pomagają wszystkim felietonistom, dostarczając im obfitego materyału, jak oto mnie w tej chwili, do żartów i szyderstw. Omnibusy nie chodziły, bo nie chodziły — co tu takie rzeczy badać?... może droga była zła, a może Zarząd był zły na publiczność — kto to może wiedzieć? Zarząd wie, ale nie powie.

A tymczasem nigdy wszelakiego rodzaju wehikuły nie były potrzebniejsze, niż w tej porze błot i spodziewanych odwilży, a późnych powrotów z rautów, których pełno wszędzie w całej Warszawie. Ale już i rauty ze swojemi stojącemi herbatkami, razem ze swemi kanapkami i tartynkami, i z równie posilnemi jak kanapki i tartynki rozmowami skończą się niezadługo. Powszechna wieść niesie, że tego roku «towarzystwo» nudzi się. Rauty trwają za długo; przychodzisz o dziesiątej, a wychodzisz o pierwszej, siedzisz więc trzy godziny — choćbyś tedy był mądry, jak pięćdziesięciotomowe wydawnictwo *Przeglądu Tygodniowego*, w końcu wypowiesz wszystko, co masz do wypowiedzenia, i wzorem tegoż wydawnictwa, nie wiesz, co masz gadać. Tak! tak! czas, aby się i rauty już skończyły.

Mój czytelniku, powiem ci coś na ucho. Wiosna idzie! wiosna idzie zawsze młoda, wonna, uśmiechnięta, stokroć milsza i piękniejsza, niż wszelkie bale i rauty. Wiosna! wiosna! Niezadługo nad szarą rolą zwiśnie w powietrzu skowronek; śniegi stopnieją, popłyną strugi, strumyki i strumienie; potem jedno i drugie ciepła rozkoszne tchnienie, a zakwitnie sasanek, drzewa wypuszczą jasną zieleń pąkowia, po wsiach bydło wypędzą do boru; ozwie się fujarka, jedna, druga, trzecia, dziesiąta: oj dana! oj dana! — ptakom ledwie gardziołka nie popękają od rozkosznego śpiewu, i będzie wesoło, a rzeźwo, a radośnie.

Pod milem wrażeniem — do widzenia!

Gazeta Polska 1875, Nr 52 z dnia 8 marca.

X.

Posiedzenie Tow. Zachęty Sztuk Pięknych. — Nasza opieszałość. — Składka na drzewo. — Muzeum przemysłowe. — Album Napoleona Ordy. — Ptactwo wędrowne. — Opera włoska. — Psy śpiewające. — Muzeum Gassnera. — Konkurs dramatyczny.

Wyobraźcie sobie, czytelnicy, że między posiedzeniami, jakie w ostatnich czasach przypadały w Warszawie, jedno odbyło się zupełnie przyzwoicie i spokojnie. Było to posiedzenie członków Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Zaiste, przypomniawszy sobie posiedzenia Spółki jedwabniczej, Merkurego, Giełdy, a nakoniec przesławne sejmy Towarzystwa muzycznego, nie mogę wyjść z podziwu. Tak odbyło się wszystko cicho i spokojnie! Nikt nie proponował wotum nieufności dla komitetu; nikt nie kąpał uszu słuchaczów w oceanie wymowy, nikt nie pozyskał nieśmiertelnej sławy, któraby go przydomkiem «nasz», przynajmniej na jaki tydzień obdarzyła; nie było ani komitetów wyborczych i agi-

tacyi uprawianej jako sztuka dla sztuki; żadna rodzina białych charakterów nie mąciła wody między publiką, aby potem nałapać ryb w postaci krzeseł kurulnych w komitecie; na miejsce dyrektora nikt nie polował z naganką, co jak wiemy, gdzieindziej nie tylko bywało, ale i na polującego z naganką sprowadziło kompletną, chociaż nieco spóźnioną, naganę opinii, która jak zwykle «mądra po szkodzie», spostrzegła się jednak wreszcie na sztuczkach. Nakoniec: posiedzenie nie wydało swego męczennika, swej «uciśnionej niewinności», alias swego «Narwickiego», któryby poświęcenie dla dobra Demosu posuwał aż do tego stopnia, aby dać się przybić, wprawdzie nie do krzyża, ale do dyrektorskiego krzesła na rok cały.

Owóż więc, brakło tego wszystkiego; natomiast przejrzano rachunki z lat ubiegłych, wskazano bez hałasu drogi, które przebyto; jeden z członków przełożył obradującym kilka projektów na przyszłość, które nowy komitet rozpatrzy i uwzględni — i na tem koniec.

To się znaczy: koniec przynajmniej jednej, jaśniejszej strony medalu, ale niestety jest i druga ciemniejsza. Oto jak wszędzie, tak i tu, zalegają członkowie z opłatą rocznego wkładu, a zalegają tak dalece, że niedobory znakomitą sumę wynoszą. W tem jednem Towarzystwo to nie różni się od innych. I czy wiecie, co tego przy-

czyną? Nie brak zrozumienia rzeczy, bo każdy dobrze rozumie, że żadne Towarzystwo istnieć nie może, jeżeli stowarzyszeni nie wypełniają zobowiązań; nie brak środków, bo któżby się nie zdobył na pięć rubli rocznie — ale głównie: opieszałość. Ach, leniwi jesteśmy i opieszali tak, że możnaby nas za przykład podawać. Towarzystwo osad rolnych skarży się głosem wołającym o pomstę; Towarzystwo muzyczne ledwo już oddycha; a my, czytając ubolewania i jeremiady prasy, powtarzamy z całem zaufaniem w nasze dobre chęci: «Trzeba się będzie jutro wybrać zapłacić». I tak przechodzi dzień za dniem, ale że każde dziś ma swoje jutro, zdaje się nam więc, że każdej chwili można złe naprawić.

Któreś z pism ubolewało, że tysiąc ośmdziesięciu jeden członkom zalegającym w opłatach Towarzystwu osad rolnych, ani razu nie przyszło na myśl w ciągu 365 dni uiścić składkę; a ja zaręczam, że członkom tym chęć uiszczenia składki przyszła 365 razy w ciągu roku, ale za każdym razem odłożyli do jutra. Doskonałym przykładem takiego dojutrkostwa jest także Towarzystwo Dobroczynności. Czy też wiecie, czytelnicy, co się dzieje z poborem składki na drzewo dla ubogich? Jeżeli wiecie coś, to łaskawie mi powiedzcie, bo ja nic nie wiem. A tymczasem mamy dziś już połowę marca,

a za piętnaście dni będziemy mieli kwiecień, dalej maj — i jeżeli pobór tak pójdzie, jak idzie dotąd, to w końcu, pieniądze już nie na drzewo, ale na lody ubogim, lub na inne napoje chłodzące, rozdane być winny; albowiem po ostrej zimie wielkich należy się spodziewać upałów.

Źle, źle, moi mili czytelnicy! Jesteśmy miłosierni jak Samarytanka, ale w imię miłosierdzia lubimy się niemiłosiernie wytańcować. Chętnie chodzimy na bale dobroczynne, koncerty, przedstawienia sceniczne; gotowiśmy zakładać kasy wsparcia dla wszelkiego rodzaju podupadłych panien, wdów i mężatek; gotowiśmy na każdy jęk nieszczęścia ruszyć workiem; gotowiśmy jakiemuś pozbawionemu paltota studencikowi dać dziesięć paltotów, bez względu, że potrzeba mu tylko jednego; gotowiśmy płakać nad flisakiem Swiechem, który utraciwszy ubranie, nie mógł wyjść na ulicę, jak ongi Epaminondas, ale kiedy chodzi o podtrzymanie instytucyi, niema nas; nagadamy się dziesięć razy więcej, a zrobimy dziesięć razy mniej, niż rzecz warta.

Nowym dowodem tego i muzeum przemysłowe. Co się z niem dzieje? Pisano o niem artykuły wstępne, dowodzono pożyteczności takiego zakładu, przekonywano się wzajemnie; za sam papier i atrament, jaki zużyto w tym przedmiocie, możnaby zakupić znakomitą część okazów do muzeum przemysłowego; ale potem przyszła

nowa fala projektów, a muzeum, jak było życzeniem, pozostało wspomnieniem.

Oto są grzechy naszego żywota!

A teraz mówmy o czem innem. Oglądaliśmy w tych dniach ciekawe pod wielu względami wydawnictwo. Jest to album widoków krajowych pana Napoleona Ordy, znanego muzyka i rysownika. Całe album składa się z trzydziestu tablic, litografowanych u Fajansa. Widoki są rzeczywiście wspaniałe, i jak dla nas, pełne rodzimego uroku. Przeważnie są to rezydencye pańskie i szlacheckie, do których przywiązane są wspomnienia historyczne o wielkich mężach stanu, wielkich wojownikach, wielkich poetach lub wielkich zdarzeniach historycznych. Z drugiej strony, widok tych wspaniałych pałaców, jakie nie często i za granicą się trafiają, widok tych bogatych i architektonicznie znamienitych siedzib rodowych, przekonać może łatwo niejednego, że i u nas od dawnych czasów kwitło budownictwo, że nie tak bardzo znów zacofani jesteśmy pod tym względem, iżby dla oglądania czegoś takiego aż za granicę jeździć trzeba.

Album ze trzydziestu kart złożone, kosztuje w każdej księgarni 9 rubli, co sprawia, że pojedyńcza karta po dwa złote wypada. Wydatek niewielki, nabytek dla mało znających gubernie: Wileńską, Grodzieńską, Kowieńską, Kijow-

ską i inne, prawie obowiązkowy, a bez kwestyi korzystny.

Wydaje się tyle pieniędzy na rozmaite zagraniczne sztuki, że na coś tak swojskiego grzech byłoby poskąpić. Na szczęście dla naszych kieszeni, razem z wiosną, podczas której przylatuje prawdziwe nasze ptactwo wędrowne, zagraniczne odlatuje do siebie na zachód i południe. Odjeżdża opera włoska — żegnana bez żalu, choć opuszcza nas na wieki wieków. Wystawiono kilkanaście sztuk znanych jak pacierz, nakaleczono nam uszu, kazano nam patrzeć na prymadonny tak stare i tak zawsze odmładzające się, jak kwestya wschodnia, — aż wreszcie, cała opera, jakby bojąc się nadchodzącej wiosny i jej śpiewaków-słowików, ucieka unosząc z sobą wspomnienia, pieniądze i katary, o jakie pewno we Włoszech nie łatwo.

Od opery włoskiej do mądrych piesków śpiewających przejście może niezbyt dla pierwszej pochlebne, ale cóż robić, kiedy samo jakoś pod pióro przychodzi? Jak wiemy, psy te umiały wcale nieźle rachować, mianowicie mnożyć i dodawać. Budziło to niemały podziw; nie było jednak niczem dziwnem, albowiem pan ich jest to prawdziwy mistrz w rachunku, a zwłaszcza w mnożeniu i dodawaniu w znaczeniu przedmiotowem. Dowodem tej jego biegłości jest, że zarobił u nas wcale nieszpetną sumkę. Dla zu-

pełnego zaokrąglenia jej odkłada swój «nieodwołalny wyjazd», z dnia na dzień, zniżywszy przytem ceny wejścia, które w pierwszej postaci były możliwe tylko wobec nadzwyczajnego entuzyazmu, jaki w publiczności budzili: pierwszy tenor i pierwszy sopran tejże opery.

Ów «nieodwołalny», a ustawicznie na powszechne żądanie odkładany wyjazd, da się chyba porównać z «jeszcze tylko bardzo krótkim czasem», jaki bawić tu już od dwóch miesięcy zamyśla słynne Muzeum Gassnera na Nowym Świecie. «Jeszcze tylko bardzo krótki czas» — mówią afisze na ulicach, powtarza człowiek rozdający przechodzącym programy, i donoszą ogłoszenia pism codziennych. Cóżby to znaczyło? Wprawdzie pojęcie czasu jest rzeczą nader względną; z tem wszystkiem nie sądzimy, żeby p. Gassner dlatego tylko, że jego woskowy żuaw kona codziennie od kilku lat przez 12 godzin dziennie, miał pogląd na czas, tak dalece od naszego różny. Ale ponieważ, jak wiemy, człowiek mimowoli ulega wpływom otoczenia, być więc może, że konwulsyjne robienie bokami woskowego konającego żuawa udzieliło się częściowo i jego panu, który skutkiem tego przewiduje, że «jeszcze tylko bardzo krótki czas» będzie się mógł produkować. Być może także, że podobnymi powodami można sobie wytłómaczyć pożyteczne bardzo, lubo może trochę za

późne obniżenie cen wejścia i gorliwość w rozdawaniu na ulicy programów, czy kto chce je brać, czy nie chce.

Nie wchodząc jednak w te powody, powiemy, iż cieszy nas odlot podobnych ptaków. Bądź co bądź, wszelkie woskowe muzea naprzód źle wpływają na moralność szkolnej zwłaszcza młodzieży, a następnie psują smak publiczny, dając wrażenia grube i wstrętne, zamiast prawdziwie estetycznych. Zbiór mieczów katowskich, średniowieczne tortury, w połączeniu z objaśnieniami w nieistniejącym na świecie języku, składającym się z mieszaniny wyrazów polskich, niemieckich i rosyjskich, w fantastyczny sposób zakończanych, — dalej zbiór półnagich figur, lub woskowe przykłady okropnych skutków płochości, wszystko to razem wzięte, jest przedewszystkiem obrzydliwe. O ile zresztą takie muzea mają być pomocniczemi nauce, o tyle znajdują swoje uprawnienie; ale służąc zabawie, występując w roli rozmaitych ciekawości, ku zbudowaniu młodocianego wieku pokazywanych, więcej niezawodnie szkody niż pożytku przynieść mogą. Niechaj więc jadą jak najprędzej; my zaś skorzystamy z ich odjazdu i skierujemy naszą uwagę w inną stronę. Oto na zakończenie felietonu dobra nowina. Będziemy mieli na pewno konkurs dramatyczny, i to konkurs nie lada. Inicyatywę dał hr. Fredro, prze-

znaczywszy na ten cel rs. 300. Obecnie suma ta zwiększyła się już znacznie, bo przeszło do 500, jest zaś nadzieja, że dojdzie do tysiąca. Będzie to konkurs z wielu względów ciekawy. Najdzielniejsze siły staną oczywiście do walki, i walka pójdzie gorąco. Nie tyle do takich igrzysk zachęca nagroda pieniężna, — ta bowiem nie zrobi nikogo bogatym, ile sława, jaka z palmą pierwszeństwa idzie w parze. Dotychczas podobne konkursy odbywały się w Krakowie; ale tam, sztuki z Królestwa nadsyłane, nie miały powodzenia. A prawda, że podejrzewano wieczyście sędziów o stronność, ale też i prawda, że wszystkie te sztuki z Królestwa nadesłane, a o których dowiedzieliśmy się, że na konkursie były, nie zostały nagrodzone, ani odznaczone, dlatego że nie zasługiwały na to najkompletniej. A i wogóle powiedzmy sobie, że nie licząc kilku ludzi zdolniejszych, poziom naszego komedyopisarstwa stoi bardzo nizko, — krzyczą wprawdzie na krytyków w niebogłosy, że zabijają każdą sztukę oryginalną, ale to przesada. Nie krytycy zabijają, ale sztuka sama rozbija się o deski sceny, jak żółw, który chcąc latać, uniesiony w powietrze, spadł i rozbił się o skałę. Gdy zdarzy się coś lepszego, krytycy umieją i chwalić, jak tego mieliśmy i w ostatnich czasach dowody. Ale też chwalić sztukę, dlatego że swojska, kiedy ze wstydu radoby się ją od-

razu pogrzebać, właśnie dlatego, że tak zła a swojska — chwalić taką sztukę nie leży w mocy sumiennego człowieka. Konkurs nie da wprawdzie talentu tym, którzy go nie mają, ale poruszy do pisania tych, którzy mają a pisać nie chcą. Oto jest najlepsza strona konkursu.

Gazeta Polska, 1875, Nr. 57 z dnia 15 marca.

XI.

Nowy komitet. — Zasługi interregnum. — Córy opozycyi. — Szczęście kobiety. — Nasze niedbalstwo. — Spółka jedwabnicza. — Koncert studencki. — Gimnazya i uczniowie. — Fałszywa wiosna i uniesienia felietonisty. — Ptaki za pieniądze i ptaki za darmo. — Kwesty. — Dyaryusz wielkiego tygodnia. — Jako po burzy następuje zwykle pogoda. — Alleluja!

Nareszcie uformował się nowy komitet Towarzystwa muzycznego. Szło jak po grudzie, ale posiedzenia ogólne i posiedzenia szczegółowe, agitacye wyborcze, wota ufności i nieufności, wnioski, mowy, poprawki, — słowem, cała owa technika parlamentarna, której w ostatnich czasach więcej w Towarzystwie niż muzyki, a która miała pomagać do wytworzenia nowej władzy, zrobiła przynajmniej — może zresztą pomimowoli, tyle, że nie zdołała przeszkodzić uformowaniu nowego komitetu. Jest komitet, a więc będzie i muzyka. Pokrzepieni tą radosną nadzieją, gotowiśmy usprawiedliwić czasy inter-

regnum, to jest okres między rozejściem się jednego a sformowaniem nowego komitetu — owe czasy rzeczypospolitej z domyślnym trybunem Narwickim na czele. Przyszły historyk Towarzystwa muzycznego, jeżeli to tylko nie będzie uprzedzony jaki meloman, któremu przedewszystkiem chodzi o muzykę, potrafi nie tylko usprawiedliwić ową epokę przełomu, ale nawet podnieść te jej zasługi, które niezawodnie położyła kształcąc parlamentarnie niewykształcone parlamentarnie nasze społeczeństwo. Istotnie, otucha wstępuje w serce moje na myśl, ile jednak mamy prawdziwych zdolności, które tak świetnie zabłysły w czasach agitacyi wyborczej; ilu doskonałych mówców, ile głów niewyczerpanych w pomysły, dążące prosto ku uszczęśliwieniu, rozszerzeniu i utrwaleniu wszelkich instytucyi; ile nakoniec wielkości, które niezawodnie więdłyby i marniały zapoznane, gdyby nie owe przewroty muzyczne, obecnie należące już wprawdzie do przeszłości, ale zawsze pamiętne przez wielkie reformy, jakie zdołały przeprowadzić.

Dzięki nakoniec tym przewrotom, życie towarzyskie naszego miasta, które już poczęło było usypiać, ożywiło się znakomicie. I jakże zresztą mogło być inaczej? Czyż salony dam, należących *à tout prix* do opozycyi i biorących gorący udział we wnioskach, poprawkach i agitacyach, mogły pozostać zamknięte dla bohate-

rów agitacyi wyborczych? Byłoby to równie nienaturalnem, jak i nagannem. Salony więc otworzyły się dla bohaterów, tak, jak otworzyły się i serca córek opozycyi: dziewicze serca tych wszystkich niepełnoletnich, pełnoletnich i przepełnoletnich kwiatów, dla których opozycya wywalczyła większe prawa, większe niż dawniej prerogatywy. O piękne kwiaty! o wy, córki opozycyi, nim przyjdzie czas, że zasiądziecie w komitecie i komisyi rewizyjnej, powiem wam na ucho, że nie dziwię się. Dobra jest muzyka, dobre wieczory piątkowe — ani słowa; ale jest coś lepszego od piątków i od muzyki, a tem czemś lepszem jest oddać serce prawdziwie wielkiemu człowiekowi. Ach! być Heloizą Abelarda, być oblubienicą męża, którego nazwiska nikt bez sakramentalnego zaimka n a s z nie ośmieliłby się wymówić; być żoną męża, którego parasol i kalosze potomność pod szklanym kloszem umieści i w muzeach z podziwem i namaszczeniem oglądać będzie; opleść bluszczowemi ramiony wspaniały dąb, który sam nie wie, gdzie się wierzch w obłokach podział; lecieć do słońca wraz z orłem — czyż nie jest największe szczęście dla kobiety? Cóż więc dziwnego, że otworzyłyście serca, i że oczy wasze, patrząc na młodych agitatorów, zdały się mówić: Wejdź, panie! przybytek cichy czeka cię! Wejdź, panie — tu radość, tu szczęście, tu cisza, tu wesele i zapo-

mnienie życia. Niech nikt nie wmawia we mnie, że tak nie jest. Wiem ja dobrze, że stan małżeński ma swoje kłopoty i umartwienia, ale wiem także, że poświęcenie ma swój urok i nie cofa się przed lada przeszkodami, zwłaszcza jeżeli chodzi o poświęcenie serca dla geniuszu, dla prawdziwej a potężnej wielkości.

Tyle jak na dziś, o domorosłych wielkościach, w przyszłości bowiem nieraz jeszcze może do nich powrócimy, a teraz zajmijmy się naszemi sprawami domowemi, o których nie tylko zagraniczne pisma nie piszą, ale i my sami albo niewiele wiemy, albo nie chcemy wiele wiedzieć. Do takich spraw należy niezaprzeczenie Spółka Jedwabnicza. Pomimo ustawicznych nawoływań prasy, pomimo wszelkich wysileń Spółki, sprawa jedwabnictwa krajowego nie zdołała u nas wzbudzić żywszego zainteresowania się w naszej publiczności. Prawda, że dawny zarząd Spółki nie działał z należytą energią, ale kto wie, czy w ten stan apatyi, z którego jedni się naśmiewali, a drudzy ciągnęli osobiste korzyści, nie pogrążyła po części zarządu obojętność publiczna, z której nie umieliśmy się otrząsnąć do dziś dnia: do dziś dnia bowiem wielu, zwłaszcza obywateli ziemskich, uważa sprawę jedwabnictwa za zabawkę w najlepszym razie nieszkodliwą, ale i nieużyteczną. Czy jednak pogląd taki jest słuszny? Owóż, bez najmniejszej wątpli-

wości, zdania podobne nie tylko nie mają za sobą ani odrobiny słuszności, ale nawet są ciężkim grzechem przeciwko ekonomicznym interesom kraju. Jedwabnictwo może poprostu przynieść krajowi w przyszłości miliony, i niema żadnej dobrej racyi, dlaczegoby przynieść ich nie miało. Drzewa morwowe wytrzymują nasz klimat tak dobrze, a może i lepiej, jak gruszki, śliwki, ogrodowe jabłonki lub wiśnie; hodowla jedwabników nie wymaga wielkich nakładów; nie zajmuje wielu rąk, nie wymaga studyów. Rzecz to prosta, którą lada kto potrafi; słowem, jest to jedna z najtańszych a zarazem najkorzystniejszych produkcyi. Dlaczegóż więc mamy przez lenistwo i opieszałość pozbawiać kraj jednego z bardzo potężnych źródeł dochodu? We Francyi, przeszło sto lat wprowadzenie jedwabnictwa spotykało zacięty opór, a dziś przynosi jej miliony. Wszystkie argumenty, jakich dziś przeciwnicy jedwabnictwa u nas używają, były użyte już wówczas. Mówiono, że klimat Francyi nieodpowiedni; że hodowla się nie opłaci; że jest stratą czasu — dziś argumenty te przebrzmiały, a kraj ma miliony. Naprodukujemy jedwabiu, a nie będzie fabryki, któraby go kupiła — mówią dziś niechętni wszelkiej nowości konserwatyści. Naprodukujcie jedwabiu, a znajdą się fabryki — odpowiadamy wsparci doświadczeniem innych krajów. Nie lekceważcie sprawy;

jeśli nie wy, to wasze wnuki i prawnuki doczekają się plonów i błogosławić was będą za wasze prace i niewynagrodzone na razie trudy. Pamiętajcie, że kto dziś zasadza jedno drzewo morwowe, ten w przyszłości rzuca garść złota do krajowego skarbu. Pamiętajcie, że jest to jedna z najważniejszych spraw społecznych, której pomyślne rozwiązanie nieobliczone korzyści przynieść nam może.

Ale sprawa ta, póki nie przejdzie ze szpalt dziennikarskich na pole rzeczywistości zmysłowej, póty pozostanie tylko marzeniem i zbiorem dobrych chęci. Największy obowiązek ciąży tu: na obywatelstwie ziemskiem, które samo tylko może plantacye morwowe wprowadzić i rozpowszechnić — i na duchowieństwie wiejskiem, które, prócz tego, może w hodowli jedwabników znaleźć równie miłą, jak pożyteczną pracę, niezbyt utrudzającą a obfitą w następstwa.

Dalej nie trzeba zapominać, że jeden rodzaj przemysłu, mianowicie przemysł gorzelany, dawniej tak nieproporcyonalnie do innych gałęzi rozwinięty, teraz upada; dlaczegóż więc nie przygotować zwolna pola dla drugiego rodzaju przemysłu. Że zaś gorzelnictwo upada, na to zdaje się nie trzeba dowodzenia. Wysokie podatki akcyzne i brak gotówki, ta epidemiczna choroba obywateli ziemskich, sprowadzą niezawodnie znakomite zmniejszenie się produkcyi

wódki. — Mniejsze gorzelnie upadną jeszcze za dni naszych, a pozostaną tylko większe, jako przedsiębiorstwa fabryczne, na znacznych kapitałach oparte. Otóż, gdyby jedwabnictwo, które nader małego potrzebuje nakładu, zastąpiło z czasem przemysł wódczany, zyskaliby na tem obywatele jeszcze i z tego względu, że nie potrzebowaliby na spłacenie akcyzy zaciągać żydowskich długów, lub też sprzedawać produktu po cenach, jakie brodaty wierzyciel, przy nadejściu terminu długu, bez względu na ceny targowe nakłada.

Energiczny dzisiejszy zarząd spółki z pewnością nie da, na wzór dawniejszego, powodu do znanego żartu, że w naszem towarzystwie jedwabniczem — jedwab niczem. Możemy zaręczyć, że obecnie sprawy spółki będą przeprowadzane z energią i z wytrwałością, które mimo wszelkich przeszkód, nie dadzą nikomu zaspać gruszek w popiele.

Nakoniec i dziennikarstwo winno, choćby aż do znudzenia, zajmować czytelników tą sprawą. Będziemy wołali i napominali bez względu na zarzuty, że się powtarzamy zbyt często. Chcecie, byśmy się nie powtarzali, czytelnicy? Krótka na to rada: sadźcie morwy i hodujcie jedwabniki. Oto czego żądamy.

A teraz możemy przejść do dalszych spraw chwili obecnej.

Posiedzenia wszelkiego rodzaju towarzystw, teatr, koncerty i odczyty oto najważniejsze fakty z dziejów tygodnia. Koncert na niezamożnych studentów uniwersytetu powiódł się jak zwykle znakomicie, przyniósł jak zwykle znaczny dochód i wywołał jak zwykle liczne a pochlebne wzmianki w rozmaitych pismach o gotowości Warszawian w niesieniu pomocy kształcącej się młodzieży, o żywem poczuciu obywatelskich obowiązków, i tym podobne. Nie myślę temu zaprzeczać, ani narażać się moim czytelnikom przez odmawianie im tych grzeczności, na które istotnie zasługują, ale zwrócę uwagę na jedną okoliczność. Wartoby też pomyśleć i o gimnazyach. Studenci uniwersytetu stosunkowo w daleko lepszych znajdują się warunkach. Są starsi, wykształceńsi; łatwiej mogą znaleźć czy to lekcye, czy jakiekolwiek inne zajęcie, gdy tymczasem uczniowie z gimnazyum pozbawieni są tego rodzaju pomocy. Dalej, student, zalegający z zapłatą wpisu, mimo rygoru, jaki przestrzegany jest w uniwersytecie, więcej ma łatwości czy to w przedłużeniu sobie terminu wypłaty, czy to w uwolnieniu się od niej całkowitem, niż uczeń gimnazyum, dziecko jeszcze bezbronne wobec losu i niezaradne. Pomyślmy i o nich. Niektórzy z nich w trudnych i bardzo trudnych znajdują się warunkach. Ileż to się czyta ogłoszeń w obudwu kuryerach

o uczniach, nie mających paltotów na zimę, lub książek do nauki. Prywatne miłosierdzie zapobiega temu jak może, ale nie zawsze może — i zresztą jałmużna prywatna upokarza, upokarza nawet dzieci — które nadto jeszcze młode, by zapracowały na siebie, dość są jednak rozwinięte, by zapłonąć wstydem, gdy obca prywatna dłoń wyciąga się ku nim z jałmużną. W miastach prowincyonalnych miejscowe gimnazya stosunkowo w lepszem są położeniu. Tam co rok albo i częściej odbywają się to koncerty, to teatry amatorskie, z których dochód na wpis i mundurki się przeznacza; w Warszawie uwagę ogólną absorbuje uniwersytet — gimnazya zaś zostawione są same sobie. Pomyślmy więc i o nich; pomyślmy z tą gotowością serdeczną, z jaką myślimy o uniwersytecie, a zachowamy nauce niejeden młody umysł, który nędza od niej odrywa.

Oby te słowa nie były głosem wołającego na puszczy!

Cóż więcej wam powiem, czytelnicy? Opera włoska opuściła nas; zimowe ptaki, śpiewające za pieniądze, i Bóg widzi — za grube pieniądze, odleciały, a wiosenne skrzydlate ptaki, śpiewające po bożemu za darmo, nie przyleciały jeszcze. Ach, ta wiosna! ta wiosna! Nie mogę sobie darować pewnego uniesienia lirycznego na cześć wiosny, jakiego dopuściłem się jeszcze w za-

przeszłym felietonie. Mój Boże: w duszy grały mi już fujarki wieśniacze, ptactwo śpiewało w zagajnikach, słyszałem szelest strumieni, powstałych ze stopniałego śniegu, widziałem zielone pąki na drzewach; gotówem przysiądz, że kreśląc tamte hymny, słyszałem już kukułkę w dąbrowie; a tymczasem, w chwili, gdy piszę te wyrazy, śnieg niesie swoje płatki, zacina wiatr, i mimowoli przypomina się gawędka, poczynająca się od słów:

«Cóż, Michale, tam na dworze?
«Źle — że człowiek wyjść nie może».

Istotnie źle jest, a będzie jeszcze gorzej, bo oto i wielki tydzień. Jeżeli jesteś żonaty, o czytelniku! to wiesz, co to znaczy. Żona zapowiada ci, że nie myśli wprawdzie piec święconego, ale ot... byle tam coś mieć dla gości — i od tej chwili poczyna się w domu jarmark. Zamiast zwykłych rozmów, słyszysz tylko narzekania, że jaja podrożały, że rzeźnicy zdzierają, że trzeba kupić to rodzynków, to fig, to orzechów. Coraz to ciężej wzdychasz i coraz częściej sięgasz ręką do kieszeni. Coraz to częściej słyszysz przytem takie zdania, jak np.: «Ja także jestem oszczędna, i z pewnością nie wydam więcej niż potrzeba, ale przyznam się...» Tu następuje lekkie ruszenie ramionami i pewien grymasik, który rozumiesz tak dobrze, jak i ja. —

Źle: żona w coraz gorszym humorze. Frazes: «Nudzisz, mój drogi!» poczyna stawać się w jej ustach przysłowiem. — Z kuchni dochodzą cię dyalogi tak ożywione i tak smaczne, jak echa *Przeglądu Tygodniowego*. Na dobitkę post. Żona nie da z mięsem. Napróżno rzucasz w przejściu wzrok pełen namiętności na czerwone wzgórzystości szynek i wieńce wonnych kiełbas. A uciekniesz z domu i zjesz w restauracyi z mięsem, to znów wyrzuty sumienia męczą cię. Coraz gorzej! — Ktoś dzwoni: wchodzi rządca domu z listą przesłaną z magistratu, uśmiecha się, jak gdyby coś najdowcipniejszego miał powiedzieć i z niezwykłą tej potworze słodyczą mówi, pokazując mu listę: «Oto nazwisko pana dobrodzieja... pan dobrodziej zechce wpisać, ile ofiaruje na ubogich» A ty odpowiadasz: «Ofiaruję dyab... chcę mówić: dyabelnie niewiele, bo ciężkie czasy» — i ofiarujesz jakiegoś tam rubla, bo mniej dać nie wypada. W wielki piątek, gdy wszyscy mężowie z żonami i dziećmi żon swoich (jak mówi Pismo) idą na groby, idziesz i ty wedle starego obyczaju z żoną i małym Jasiem. Wchodząc do kościoła, starasz się przemknąć między dwoma stolikami, przy których kwestują arystokratyczne damy; patrzysz w sufit sklepienia kościoła i odkrywasz w niem nieznane ciekawości, które nie pozwalają ci zauważyć, że właśnie arystokratyczna dama uderza pierścionkiem w tacę i uśmie-

cha się, spoglądając na ciebie wzrokiem przechodzącym wszelkie pojęcie, jakie o uprzejmości mieć można. Już sądzisz, że dzięki sklepieniom przemknąłeś się między Scyllą a Charybdą, gdy nagle słyszysz głośne: diaaa! swojego Jasia. Co się stało? Jaś poszedł do stolika, dostał od damy obrazek i dziękuje jej. Cóż robić! trzeba i tobie za Jasia podziękować. Wydobywasz trzy ruble. — «Jaki grzeczny pański synek! — słyszysz od arystokratycznej damy — jak się grzecznie kłania!» — Już ja mu się ukłonię, myślisz sobie, jak tylko przyjdziemy do domu, — i wreszcie wracasz do domu zły, bo lekki i głodny.

Wielka sobota: niepodobna w domu wytrzymać! Coś się tam przypaliło czy przyswędziło, czy przydymiło. Jaś łasował rodzynki z brytwanny i sparzył się. W domu krzyk, zgiełk, hałas. Żona nieubrana, nieuczesana, zamączona. Przekonywasz się, że jest to osoba opryskliwa, wychodzisz na ulicę i przychodzisz późno w nocy.

Wielka niedziela: Ranek. Jesteś zły; nie patrzysz na żonę. Idziecie do kościoła. Godzina 1 sza: wracacie. Żona wychodzi do drugiego pokoju i wkrótce wraca, niosąc talerz z jajkiem święconem. Spoglądasz na nią. Cóż to za rozkoszna, milutka i czyściuchna istota! Ciemne jej włosy wiją się ślicznie uczesane nad białem czołem, a w łagodnych niebieskich oczach ma łzy. Padacie sobie w objęcia i rozczulacie się. Godzina

kwadrans na trzecią: zjadłeś święcone, napiłeś się ciepłego bulionu, nakładasz fajkę, siadasz koło żony na kanapie i poczynasz śpiewać:

«Raz gdy w gaiku zielonym
«Korydon ujrzał Palmirę...»

(etc. na nutę: «Było to pod Ciechocinkiem»).

Wesołych a spokojnych świąt, czytelniku.

Gazeta Polska, 1875, Nr. 63 z dnia 22 marca.

XII.

Salamoński i Towarzystwo. — Hrabiowie i siodlarze. — Piekarze i bułki. — Ważność faktów. — Konkurs dramatyczny. — Inne projektowane konkursy. — Pośrednik jako zguba. — Ogród zoologiczny. — Saski ogród. — Wiosna. — Miasto w pierwszy dzień wiosny. — Letnie mieszkania. — Komorne.

Przedstawienia cyrku p. Salamońskiego tak dalece zaprzątają wszystkie dobrze uczesane i dobrze ukapeluszowane głowy, że w towarzystwie prawie nic mówi się o czem innem. Nawet w rozmowie z damami wolno jest spowiadać się z doznanych wrażeń cyrkowych, zwłaszcza gdy się jest młodym i majętnym dżentlemenem, mającym opinię, która w języku salonowym streszcza się w zdaniu: *Il faut que jeunesse se passe.* Ktoby sądził, że w towarzystwie zdanie takie przynosi jakąkolwiek ujmę młodzieńcowi, z powodu którego bywa powtarzane, ten nietylkoby błądził, ale zarazem dowiódłby, że jest prostakiem, nie mającym najmniejszego

o high life pojęcia. Owszem, naprzód i samo zdanie mieści w sobie tyle pobłażliwości, że owa pobłażliwość kipi z niego, jak z przepełnionego naczynia, a powtóre, opinia trochę lowelasa, trochę utracyusza, a razem wziąwszy: znanego i niebezpiecznego pogromcy serc niewieścich — uważa się nawet za coś, z czem młodemu mężczyznie arcy do twarzy, co daje mu pewien ton towarzyski i nakoniec istotnie furtki panieńskich serduszek otwiera. Znałem jednego młodego poetę, który w staraniach o opinię zjadacza serc niewieścich zaszedł tak daleko, że publicznie przepraszał wierszem drukowanym, nie pamiętam w którym z kuryerów, jakąś piękność za jakieś winy, których jakoby się miał dopuścić. «Wybacz (mówi ten młody wieszcz): to nie ja, aniele, byłem winien. To była winna ta noc letnia, cicha, ciepła, księżycowa; winien był szmer bzów, których listki, trącane powiewem, szemrały nad naszemi głowami; winną była kalina i te dwa stawy, w których rozhowor wiodły senne chóry żab; winien był słowik płaczący w olszynie, i ta ławka, na której siedzieliśmy oboje rozmarzeni, zatopieni w sobie. O wybacz, aniele: ja nie wiem, jak się to stało!

I czy myślicie, czytelnicy, że istotnie się coś stało? Gdzie tam! nic się nie stało: nie siedzieli na żadnej ławce, a ten biedaczysko nie dopuścił się żadnej winy, nie dlatego zresztą, żeby

nie chciał... Ot tak! napisał sobie wierszyk, raz że jako poeta, własne dobre chęci i niedoszłe marzenia poczytał za coś spełnionego, a powtóre dla zrobienia sobie skandalicznej sławy. Widzicie więc, że to popłaca. Inny znany mi młodzieniec, posądzony raz (klnę się na bogów piekielnych, że żartem i tylko żartem) o serdeczne stosunki ze znaną z wdzięków osobą, odrzekł skromnie: «Więcej tam ludzie mówią, niż jest», czem zabił wprawdzie w oczach przytomnych temu kobiet opinię wyż wzmiankowanej osoby, ale natomiast tak podniósł swoją, że zbiera dotąd jej owoce. Trzeci nakoniec młodzieniec — niedościgniony wzór szyku i poloru, rozpytywany przez młodą panienkę o cyrk Salamońskiego, rzekł:

— Warto widzieć pannę ***.

— A czy ona jutro jeździ? — spytała panienka.

Mój znajomy oparł się wygodniej o poręcz krzesła, wyciągnął trochę nogi i odrzekł z pyszną niedbałością:

— Mówiła mi, że jutro i pojutrze.

— Jak to, to pan znasz pannę *** osobiście?

Młodzieniec zatoczył szapoklakiem, wydobył z za kamizelki fularową błękitną chustkę, przymknął oczy, i dotykając zlekka chustką ust, na których błądził jakiś nieokreślony uśmiech, odpowiedział:

— To jest... *un peu!... vous savez...* — I tu zaczyna się niby trochę tłómaczyć. Nie może się zaprzeć, że ją zna. Poznał ją na próbach. On wie, że było z tego powodu dużo plotek. Zawsze tylko o nim i o nim. Ale cóż robić! Jest już do tego przyzwyczajony. Nakoniec w pannie *** kochali się za granicą najznakomitsi ludzie z całej Europy, on jeden tylko nie, i może właśnie dlatego... Tu urywa i stara się przejść do innego przedmiotu.

Co do mnie, mam to przekonanie, że mój znajomy nie zna się z panną ***, bo nie bywa na próbach; na próbach znowu nie bywa, bo nie jest ani hrabią, ani siodlarzem, czyli jest człowiekiem bez pozycyi.

W oczach bowiem cyrkowych dwie są tylko kategorye ludzi, z których cyrk żyć może i powinien: hrabiowie i siodlarze. Hrabiowie są to ci wszyscy bez wyjątku, którzy mają pieniądze; siodlarze są to ci, którzy mają siodła. Poza temi więc dwiema kategoryami nikt nie ma ani pieniędzy, ani siodeł, z takimi zaś żyć nie warto.

Co do mnie, nie mam ani pieniędzy, ani siodeł, nie bywam więc na próbach i nic o nich czytelnikom moim donieść nie mogę. Myślę za to, że przedstawienia wieczorne, amazonki, klowny, konie, jelenie *et caetera,* dostarczą mi niejedno-

krotnie jeszcze materyału do pogawędki tak obfitej, że wypełnię nią cały odcinek.

Ale nim to nastąpi, czuję się wprawdzie uszczęśliwionym, gdy w naszej Warszawie stanie się coś ważniejszego nad odebranie Fiszli Monszralowi czterdziestu funtów, czy też bochenków niedopieczonego chleba. Gdyby tak zamiast odebrania, skazano Fiszlę Monszrala na powolne spożycie owych czterdziestu bochenków, kara byłaby o wiele cięższą; ponieważ jednak wiek dziewiętnasty, ba! nawet jeszcze ośmnasty, użycie tortur zniósł raz na zawsze, niepodobna zatem kazać naszym piekarzom, rzeźnikom, restauratorom, mleczarzom i t. p., aby zjadali własny towar, a raczej swoje własne wyroby. Co sami nieraz o nich myślą, za dowód niech posłuży odezwanie się pewnego naczelnika pewnego zakładu jadłodajnego, położonego na jednej z bardziej wprawdzie oddalonych, ale dość odwiedzanych ulic miasta.

— Dokąd pan idziesz? — spytał go raz jeden z gości, widząc, że w porze obiadowej wybiera się na miasto.

— Idę na obiad.

— Jak to na obiad? Przecież pan masz u siebie?

— A cóż to pan sądzisz, że mnie nie stać na lepszy? Truć się przecież dla jakiejś złotówczyny nie będę.

I miał racyę. Truć się dla dziesiątki lub zło-

tówki nie opłaci się, ale natomiast, żeby mieć ową złotówkę, nie należy innych truć i zatruwać. Co się tycze piekarzy, dawno wiemy co o nich trzymać. Ci, zaczepieni o bułki, bronią się. Wprawdzie nie bułkami, ale artykułami w kuryerach. Napisałbym ja i teraz o nich, to jest o piekarzach i bułkach, więcej, gdyby właśnie nie obawa, że mogę obudzić krytyczno-polemiczne zdolności w którymkolwiek z przedstawicieli kunsztu, i dam powód do nowej jakiej burzy w ogłoszeniach obudwu naszych kuryerów.

Dam więc pokój tej kwestyi, a przejdę do czego innego. Mówiłem, że nader szczęśliwy jestem, gdy stanie się w Warszawie coś ważniejszego. Takim ważniejszym faktem jest przyjście do skutku konkursu dramatycznego, którego sędziowie zostali już mianowani, o czem dzisiejsza kronika miejscowa gazety naszej szczegółowo objaśnia.

A propos wszelkiego rodzaju konkursów, żartobliwe języki rozpuściły wiadomość, że reporterowie różnych pism mają zamiar ogłosić drugi konkurs, na odszukanie Towarzystwa: Pośrednik. — Było to towarzystwo mające pośredniczyć w interesach między Królestwem a Cesarstwem. Zadanie, jak widzimy, nie małe, ale też i wypełnienie jego sumienne a mądre mogło było potężne przynieść owoce. Na nieszczęście, Towarzystwo jak w wodę wpadło. Możnaby przy-

puszczać, że zginęło gdzieś na drodze; ale tymczasem jest rzeczą niezawodną, że nie wyruszało z Warszawy. *Imaginez vous*, zginęło więc w Warszawie. Łamią sobie ludzie głowy, co się stać mogło. W Wisłę nie wpadło, bo w Wiśle wody nigdy niema; w kanał nie wpadło, bo kanalizacyi niema; mogło było nogę złamać, bo bruków dobrych niema, rozbić się, zabić, być przejechane, bo latarni dobrych niema — ale tak zginąć bez wieści? I cóż tu robić? Niektórzy przypuszczają, że zasnęło sobie, jak to u nas jest we zwyczaju; położyło się gdzieś w kąciku, by go nie można znaleźć, i śpi jak zarznięte, nie słysząc nawoływań szukających. Ale nie traćmy nadziei: szukajmy, szperajmy i nawoływajmy, póki się czegoś nie dowołamy.

A zatem: hop! hop!

Mówiliśmy, że senność rozmaitych instytucyi, które pocieszają się myślą, że w najgorszym razie «kto śpi, nie grzeszy», — owóż, że senność ta ogarnia częstokroć i całą publiczność, albo że zaczyna się od publiczności, a przechodzi na instytucye. Dowodem tego «zaleganie», wyraz najlepiej ze wszystkich znany wszelkiego rodzaju Towarzystwom, począwszy od Muzycznego, a skończywszy na Pośredniku.

Dowodem jeszcze owej apatyi, jaka przejmuje u nas wszystkich, jest także odwieczna sprawa Ogrodu Zoologicznego w Warszawie.

Pozwolenie jest, grunt zapewniony jest, nawet jakie takie zwierzęta już są, brak tylko poparcia u publiczności. Poruszaliśmy już wielokrotnie ten temat, a da Bóg poruszać jeszcze będziemy nieraz. Redakcye pism chętnie otwierają swe szpalty i pośrednictwo ofiarodawcom. Składki mogłyby być małe, i bardzo małe, byle tylko wielka liczba osób wzięła w nich udział. Dowodzić pożyteczności instytucyi, potrzeby jej, wykazywać, ile zyskałaby na niej Warszawa, a z nią i kraj cały, byłoby powtarzać rzeczy znane i ogadane. Dziwna rzecz: każdy, byle niezbyt z natury ograniczony człowiek, wzięty z osobna, zgodzi się niezawodnie na konieczność ufundowania ogrodu. A tak! to konieczne, to konieczne: oto jest zdanie, jakie usłyszysz z każdych ust. — A więc trzeba dawać składkę? — Trzeba — odpowie każdy, i odłoży przesłanie jej do jutra. I odtąd jutra będą następowały po jutrach, a o składce ogólnej ani słychu.

Tępo idzie i bardzo tępo. — Gdyby tak jaki efektowny artykulik w którym z kuryerów o jakiejś nadzwyczajnej nędzy, pieniądze posypałyby się jak groch. Łatwo się unosimy, łatwo wzruszamy i łatwo zadość czynimy naszym uniesieniom i wzruszeniom; ale gdy chodzi o czyn rozwagi, o ofiarę obywatelską, nie dajemy jej, —

nie przez skąpstwo, broń Boże, nie przez złą wolę, ale przez marudztwo poprostu.

A tymczasem może czas minąć, a sposobność przejść. Śpieszmy się! Ogród jest to rzecz kosztowna i potrzebująca wielkich nakładów, a wartoby, żeby odrazu przedsięwzięto budowy domków, sadzawek, ogrodzeń, wielkich klatek i t. p., przynajmniej na taką skalę, żeby za jakiś rok nie trzeba zwalać i nowych na to miejsce robić! Skromność jest sobie wielką cnotą; ale gdy się coś dokonywa, należy dokonać tego odrazu jak najporządniej, jak najtrwalej i jak najozdobniej.

Park Aleksandryjski, jako miejsce dla ogrodu, wybrany doskonale. Roślinność tu silna, o wodę łatwo i do miasta stosunkowo blizko, a miejsca co nie miara. Brak dotąd wielkich drzew, ale i te z czasem znaleźć się mogą.

Z czasem park może się zmienić w jedno z najprzyjemniejszych miejsc wycieczek, zwłaszcza jeśli się zmieni w ogród zoologiczny. Za kilka lat, zamiast chodzić do ogrodu Saskiego i smażyć się tam w kurzu, gorącu i papierosowym dymie, może tam będzie można znaleźć cieniste schronienie, chłodne wiślane powiewy i pożyteczną rozrywkę.

Niestety, dziś mamy Saski ogród przedewszystkiem.

A już się poczyna napełniać. Drzewa jeszcze

ponuro wyciągają pozbawione liści i pączków, szare, szpetne i wychudłe gałęzie; trawniki nie zielone jeszcze, na ulicach błoto; a jednak już się zapełnia ten stary przyjaciel emerytów, nianiek, dzieci, elegantek i próżniaków. Wczoraj uśmiechnęła się wiosna po raz pierwszy. Ciepłe, prawie nawet gorące oddechy stopiły resztki śniegu. Wreszcie i koniec zimie. Żegnamy ją ze złośliwym uśmiechem, wyciągając ręce ku wiośnie. Witajże, witaj! I rzeczywiście witały ją wczoraj tłumy. Miasto całe roiło się od spacerujących, ogród był pełny, również jak i aleje belwederskie. Każdy poczytywał sobie za obowiązek inaugurować wiosnę. Zjawiły się piękniejsze stroje wraz z weselszemi twarzami. Tu i owdzie otwierano lufciki i okna. Na twarzach ludzkich malowała się już jakby wiara w szczerość pogody. Nie będzie już przynajmniej śniegu! — tak każdy mówił sobie w duszy, rozpinając watowy, za gorący paltot, i ocierając spocone czoło. Tak, śniegu przynajmniej już nie będzie! Kto to wie? Niektórzy myślą już o letnich mieszkaniach, głównie zaś ci, którzy mają je do odnajęcia. Mówią, że mają być tanie. Przynajmniej! Warszawscy właściciele domów znowu popodnosili komorne. Znowu niestety, znowu! *Quousque tandem...* Lecz zdaje się, że popodnosili nie na długo. Z nadejściem wiosny, mnóstwo zamożniejszych rodzin wiejskich wyjeżdża z War-

szawy, gdzie przepędzały zimę; większe mieszkania tu i owdzie poczynają świecić pustkami. Za większemi idą i mniejsze, zajmowane przez mniej zamożne rodziny; ceny spadną, i przyjdzie chwila, w której serca nasze nasycą się zemstą. Zresztą alboż to mało domów buduje się na wszystkie strony! Istotnie mnóstwo, a coraz większe, piękniejsze i coraz obfitsze w drobne mieszkania, które najsowitszy przynoszą dochód. Jest więc nadzieja, że dzisiejsze nadmierne żądania i dowolne podwyżki, od których niema apelacyi, zaczną wychodzić powoli ze zwyczaju, aż w końcu, jako niemożliwe, zupełnie ustaną.

Gazeta Polska, 1875, Nr. 74 z dnia 6 kwietnia.

XIII.

Towarzystwo muzyczne w Kielcach. — Przeciętny Kaliszanin. — Jeszcze o zapisie Walentego Stanczukowskiego. — Bal w Czerwonym domu. — Salon porady prawnej. — Jedenaście źródeł. — Zakłady. — Wisła. — Wiosna. — Pierwsze fijołki. — Kwiaty na ulicach i ich sprzedaż. — Żebractwo i handel. — Żebractwo jako sztuka. — Artykuły wstępne. — Pamiętniki aktora teatru w Gawronowie.

Dowiadujemy się, że Kielce myślą o założeniu u siebie Towarzystwa muzycznego. Zamiar to ze wszechmiar godny pochwały, albowiem lepiej jest słuchać muzyki choćby najgorszej, niż tracić czas w miejscowych knajpach, jak to po większej części czynią urzędnicy w miastach prowincyonalnych. Warszawa niezawodnie nie omieszkałaby dostarczyć Kielcom muzycznych posiłków. Niejedna zawiedziona ambicya, którą ominęło krzesło dyrektorskie w Warszawie, udałaby się do Kielc, powtarzając nie do Kielc wprawdzie zastosowane, ale i w stosunku do

Kielc trafne słowa Cezara: «Wolę tu być pierwszym, niż w Rzymie drugim».

A teraz pozwólcie, czytelnicy, że z Kielc przeniosę was do Kalisza, co zresztą z pomocą imaginacyi daleko łatwiej i bezpieczniej można uczynić, niż z pomocą wszelkich używanych u nas środków komunikacyjnych.

Czy wiecie też, czytelnicy, co to jest «przeciętny» Kaliszanin? Otóż napozór zdawałoby się, że jest to jednostka idealna, wypadła z podzielenia ilości cnót, wad, wszelakich dodatnich i ujemnych cech i czynności przez liczbę mieszkańców — w każdym razie jednostka teoretycznie idealna. Tymczasem cóż się pokazuje? Oto że ta jednostka w teoryi idealna — w praktyce jest — chciałem powiedzieć: dyablo nieidealną — mówię zaś: arcy realną. I tak: gdyby ktoś podzielił ilość wypitych kufli piwa przez ilość mieszkańców, pokazałoby się, że przeciętny Kaliszanin ma doskonałe pragnienie. Dalej, jeżeli podzielimy ilość zjedzonych wołów, bułek, chleba, cebuli, ilość wypitej herbaty, ponczu, ilość zjedzonych korcy kartofli, mleka, masła, przez ilość mieszkańców, okaże się, że apetyt przeciętnego Kaliszanina może wzbudzić prawdziwą zazdrość w duszy przeciętnego mieszkańca każdego innego miasta, położonego bądź po prawym, bądź po lewym brzegu Wisły. Dalej jeszcze: ilość zrobionych przez rok plotek

przez ilość mieszkańców, świadczy wyraźnie, że i przeciętny Kaliszanin prawie dwa razy więcej interesuje się bliźnim niż sobą samym. Męska połowa mieszkańców twierdzi wprawdzie, że zasługa tak świetnego rezultatu co do ostatniej wypadkowej spada głównie na piękną połowę mieszkanek Kalisza, zwłaszcza zaś na te, które poślubiwszy dziewictwo, doczekały w niem wieczornych dni żywota swego. Ale nie o to chodzi; rzecz w tem, że przeciętny Kaliszanin dobrze je, pije jeszcze lepiej, sypia długo i dużo gada. Zobaczmyż teraz, ile przeciętny Kaliszanin czyta. Ponieważ nie mam pod ręką dokładnej cyfry prenumeratorów *Kaliszanina*, ani ilości pism wysyłanych do Kalisza z Warszawy, biorę więc te dane, które wziąć mogę. Oto panowie Heybowicz, Giller i Sp., założyli w Kaliszu tanią czytelnię, sprowadzili do niej kilkaset tomów książek i znaleźli w kilkunastotysięcznem mieście ośmnastu prenumeratorów. Wypada ztego, że Kalisz zażądał w swej czytelni ośmnastu tomów, wyraźnie: ośmnastu tomów, co podzielone przez ilość mieszkańców, daje ułamek tomu na mieszkańca tak mały, że go z tego powodu nie cytuję, albowiem w obliczaniu sum większych, zbyt małe ułomki zwykle się opuszcza.

Przeciętny tedy, czyli w teoryi: idealny Kaliszanin — niezbyt idealnie przedstawia się w praktyce. Że jednak między nieprzeciętnymi miesz-

kańcami pomienionego grodu liczne znajdują się wyjątki, dowodzi tego choćby zapis zmarłego w Kaliszu Walentego Stanczukowskiego, który to zapis niedawno jeszcze silnie zainteresował publiczność. Nieboszczyk, podzieliwszy cały swój majątek, 4.500 rs. wynoszący, na drobne sumy bądź rozmaitym miastom, bądź instytucyom, z warunkiem, aby nie pierwej zostały obdarowanym oddane, niż po latach 120, to jest wówczas, gdy jednostki na tysiące, a dziesiątki na miliony się zamienią. Zacny filantrop i uczciwy obywatel! A jednak cóż powiecie, czytelnicy, że niektórym krytycznym umysłom zapis taki wydał się niezgodnym z zasadami ekonomii, sam zaś p. Stanczukowski niepraktycznym. W istocie był niepraktycznym i wysoce nawet niepraktycznym, słuszną jest bowiem uwaga felietonisty *Niwy*, że nazwanoby go praktyczniejszym, gdyby np. za owe 4.500 rubli kazał nabyć okowity po cenach dawnych, a następnie sprzedawać po teraźniejszych, lub gdyby kupił dom w Warszawie i po każdem podniesieniu o 3 ruble podatków, podwyższał o 30 rubli komorne każdemu z lokatorów. Zaiste taka praktyczność aż nadto często obecnie jest u nas praktykowana.

Ale cóż bo u nas nie jest obecnie praktykowane? Od czasu, jak odbył się bal w Czerwonym domu na Lesznie, nie dziwią się już w War-

szawie niczemu. Ale czy wiesz, czytelniku, co jest Czerwony dom na Lesznie? Jeżeli jesteś kupcem pierwszej lub drugiej gildyi, wiesz to niezawodnie, może nawet empirycznie; jeżeli zaś nie jesteś kupcem, muszę cię objaśnić, że jest to jedyne miejsce w Warszawie, gdzie nietylko nie podnoszą komornego, ale nawet darmo mieszkania dają. — Proszę? — powiesz: — chciałbym w tym domu mieszkać! Co do mnie, przed balem nie radziłbym ci nawet *in effigie*, gdyż jest to, po prostu mówiąc, koza za długi — ale po balu, doprawdy sam nie wiem: radzić czy nie radzić? Bawiono się — słyszałem — tak dobrze, jak na żadnym z rautów ubiegłego karnawału lub postu. Niektórzy nawet wyrażają nadzieję, że w przyszłości dom ten zastąpi dotychczasową Resursę kupiecką; raz dlatego, że w dotychczasowej, coraz większy brak resursu wesołości czuć się dawał, a powtóre, że w nowej wyłącznie kupiectwo nasze ma brać udział. Obawiają się nawet, że natłok kandydatów będzie zbyt wielki, jak na niezbyt rozległy dotychczasowy budynek; optymiści jednak pocieszają się myślą, że właśnie entuzyazm ten kandydatów powstrzyma wielu z nich od nagłych a niespodziewanych wycieczek za granicę, które dotąd tak bardzo bywały w modzie.

Oto i jedna z ważniejszych nowin ubiegłego tygodnia. Drugą taką nowiną jest świeżo zapro-

jektowane założenie salonu porady prawnej w Warszawie. Ma to być coś w guście lecznicy. Rzecz jeszcze jest podobno w powietrzu, ale kto wie, czy nie przyjdzie do skutku. Miałaby ona tę dobrą stronę, że jeżeli nie położyłaby końca pokątnemu doradztwu, to przynajmniej ograniczyłaby je w znacznej części. Za pewną, niezawodnie wielce umiarkowaną kwotę możnaby każdej chwili zasięgnąć rady prawników młodych i pełnych energii. W praktyce, założenie takiego salonu napotka zapewne niemało trudności; spróbować jednak nie zawadzi. Lecznice idą wcale dobrze i przynoszą założycielom czyste zyski, możeby więc i salony porady szły dobrze. W każdym razie wynagrodzenie musiałoby tu być zależne od wielkości sprawy, co zresztą sami prawnicy obmyśleliby dokładnie bez naszej pomocy.

Bądź co bądź, jeżeli rzecz przyjdzie do skutku, to żyć nie umierać, i tylko się procesować w Warszawie. Pokazuje się, że na wszystko będą niezadługo ulepszone sposoby. Będziemy tanio się leczyli, tanio procesowali; słowem, przyszłość uśmiecha się nam i obiecuje bardzo wiele.

Z tych obiecanek pragnęlibyśmy szczególnie, aby jedna nie stała się cacanką. Oto, mamy podobno dostać źródlaną wodę do picia. Pan Kaczkowski wskazał po lewym brzegu Wisły aż jedenaście źródeł czystej jak łza a zim-

nej jak lód wody, którą gdyby tylko jakimikolwiek sposobami sprowadzić do Warszawy, nie pilibyśmy tak wielkiej ilości gliny, mułu i wielu innych mniej jeszcze pożywnych, a przedewszystkiem mniej zdrowych niż glina i muł, ingredyencyi rozpuszczonych w wiślanych falach. Dziś już, ile mi wiadomo, robią ludzie zakłady, czy municypalność sprowadzi te źródła, czy ich nie sprowadzi do Warszawy. Co do mnie, trzymam za tymi, którzy utrzymują, że źródła będą sprowadzone; nie zakładam się tylko o to, kiedy będą sprowadzone, bo tego nikt przewidzieć nie zdoła. W każdym razie winniśmy się cieszyć, że jeżeli nie my sami, jeżeli nawet nie nasi synowie lub wnuki, to przynajmniej prawnuki nie będą tak zależeli od wodociągów, jak my.

Okropna to bowiem sprawa z tą Wisłą i z tymi wodociągami! Kiedy w Wiśle wody mało, w wodociągach niema ani wody ani ciągnienia; kiedy zaś Wisła duża, wodociągi się zatykają, jak to się dzieje w tej chwili — i pijemy żur nie wodę, który sprowadza rozmaitego rodzaju choroby. W takich chwilach woda źródlana byłaby prawdziwem dobrodziejstwem.

Wspomnieliśmy o Wiśle i znacznem jej w ostatnich dniach wezbraniu. Rzeczywiście wysokość wody dochodziła do tego stopnia, że już poczęto obawiać się powodzi. Prawdziwie piękny widok

ujrzeć teraz można z wysokości mostu lub zjazdu. Woda wystąpiła szczególnie od strony Pragi poza bulwary. Domy na Pradze, schowane za wałem ochronnym, zdają się spoglądać jakby z ironią przez wał na fale, tak dawniej dla nich zgubne i straszne. Park praski do połowy prawie pod wodą, która, wcisnąwszy się między aleje, gęste wierzby, jałowiec, potworzyła jakby stojące, mętne, ale spokojne jeziora. Saska Kępa również prawie całkowicie pod wodą: tu wzrok gubi się na tych ogromnych błękitnych obszarach wód, które zalały niedościgłione okiem przestrzenie. Wieczorem, gdy słońce zachodzi pogodnie, wówczas obszary te, odbijając błękit i słońce i zorze wieczorne, stają się jakby drugą zorzą, rozpiętą po ziemi. Czasem przed oczyma przesunie się maleńka łódka rybacka. Zjazd i most roją się mnóstwem ciekawych osób, które albo gubią wzrok w dali, lub przechylone przez poręcz mostu, wpatrują się w ogromne żółte fale, niby szybko i narwisto, a jednak z pewną potężną ociężałością posuwające się naprzód.

Piękna od kilku dni pogoda sprzyja tym ciekawym turystom.

Rzeczywiście pogodę mamy już stanowczo, a raczej wiosna stanowczo już nastała. W dzień, koło południa, bywa nawet gorąco; nakoniec

ukazały się już niezawodne zwiastuny wiosny: kwiaty.

Tak jest, zjawiły się już w formie małych bukiecików sasanków, które owinięte w zielony listek i posypane utartym fijołkowym korzeniem, mają zastępować fijołki. Małe chłopcy, trudniący się sprzedażą bukiecików, latają na wszystkie strony, chwytają niemal za poły przechodniów, proszą, pochlebiają, słowem używają wszelkich możliwych sposobów do spieniężenia swego towaru. Jeżeli idziesz sam, miły czytelniku, łatwo sobie z nimi dasz radę; ale jeżeli towarzyszysz kobiecie, a do tego młodej i ładnej kobiecie, z którą jesteś na stopie ceremonialnej, i której nie bardzo śmiesz kupić i ofiarować bukiecik, wówczas częstokroć bywasz w niemałym ambarasie.

Zaledwo bowiem wszedłeś w jakąś bardziej zwiedzaną ulicę, zdaleka widzisz, jak dąży ku tobie obdarty kwiaciarz i mówi:

— Panie! kup pan bukiecik, nie drogo sprzedaję! dychacza biorę, dulca biorę.

— Idź sobie! — odpowiadasz.

— Panie! jak Stwórcy dobrze życzę, kup pan dla panienki.

W tej chwili nie wiesz co masz robić: uśmiechasz się umiarkowanie w mądry sposób do swej towarzyszki, mieszasz się i dajesz chłopcu nieme,

ale wymowne znaki, żeby sobie poszedł do dyabła.

— Panie! — woła mały psycholog: — taka ładna panienka, jak życzę szczęścia Bogu! ja żebym z taką chodził, tobym nie żałował... Phi! phi!

Mieszasz się jeszcze bardziej; wreszcie chcąc kres położyć sytuacyi, odzywasz się:

— Pani pozwoli?

— Ależ panie!

— Weźmie panienka — wtrąca chłopak: — powzdraga się i weźmie, jak Boga kocham!

Radbyś go za uszy złapał i podrzucił aż do zenitu, ale przy towarzyszce nie wypada. Dałbyś mu wreszcie dwa razy tyle za każdy bukiecik, ale nie śmiesz kupić go dla swej towarzyszki; nie możesz zaś zatrzymywać jej, aby kupić dla siebie. Ale przypuszczam, że towarzyszka twa zgadza się na bukiecik. Otóż naprzykład: pokazuje się, żeś zapomniał w domu portmonetki; albo co gorsza, że nie masz drobnych i dajesz rubla, żądając wydania reszty.

— Reszty? he! reszty? Albo to taka panienka nie warta rubla — woła mały potwór: — jabym dla niej dał dziesięć! hu! hu!

Zrzekłeś się więc i reszty. Ale przypuśćmy, że przyszedł na cię dzień feralny. Oto idziesz dalej i nagle po przebyciu dziesięciu kroków słyszysz:

— Panoczku! daj grosik, trzy dni nic nie jadłem...

Czasem taka odyseja po Warszawie jest godną istotnie opisu. Przyszedłszy nie dalej niż od domu Kronenberga do Teatru, lub od Sto-Krzyskiej do Poczty, możesz być napadniętym przez kwiaciarza, druciarczyka, przez młodą dziewczynę sprzedającą z płaczem (przez 12 godzin) kalendarzyki kieszonkowe; słowem: przez cały legion istot, których zatrudnieniem jest żebractwo pod pozorem handlu. Jeżeliś się nakoniec cudem jakim wymknął nie znudzony i nie oszołomiony, nie mów jeszcze hop! bo możesz łatwo się spotkać z żebractwem bez pozoru handlowego.

Patrz: oto zbliża się młoda i dość przystojna kobieta, nieźle nawet ubrana, i mówi równie płaczliwie, jak szybko:

— Panie, poratuj! jam wdowa, mąż mi umarł; rok tylko z nim żyłam: jedenaścioro biednych sierot z głodu umiera etc.

Czasem to będzie pseudo-emigrant z czerwonym nosem, który dla cywilnych jest emigrantem, dla wojskowych byłym wojskowym, dla Abdul-Medżida byłby Turkiem i czem kto chce wreszcie. Ten nie prosi cię odrazu o jałmużnę, ale przedewszystkiem pyta o mieszkanie angielskiego konsula.

Przypatrujesz mu się, przypominasz coś sobie, wreszcie mówisz:

— Ależ mój panie! pan mnie już przed rokiem pytałeś o to samo.

— Ah! pardon, monsieur!

Z temi słowami znika.

Dziś i żebranina staje się ulepszoną: staje się sztuką, opartą na znajomości serc ludzkich. Dziś, dawny typowy dziad, który to nucił po bramach, a siedząc pod kościołem wyciągał puszkę od szuwaksu, lub glinianą miseczkę, krzycząc, aż się rozlegało: «Wspaniały dobroczyńco!» etc. etc. — dziś taki dziad, mówię, staje się rzadszym. — Trzyma się jeszcze kościołów, pomniejszych ulic, wreszcie głównie Powązek, ale lepsze, bogatsze i piękniejsze dzielnice miasta opuścił, wyparty przez nowy, bardziej ucywilizowany gatunek. Za to ten ostatni rozmnaża się z coraz większą szybkością, eksploatuje domy, ulice, cukiernie, restauracye, ogrody i często, jak słychać, ma się wcale nieźle. Wielka to jednak klęska, czytelnicy, a tem groźniejsza, im szersze przybiera rozmiary. Przyczyną takiego stanu rzeczy jest anormalny stan społeczeństwa, jest... ale pocóż ja wpadam w ten kaznodziejsko-ekonomiczny styl? To rzecz już nie moja, to rzecz artykułów wstępnych. Ja tylko daję obraz — ja wreszcie częstokroć zwracam uwagę, której to uwagi waszej, łaskawi czytelnicy, wstępne

artykuły nietylko na kwestyę, o której traktują, ale czasem nawet na siebie zwrócić nie mogą.

A może chcecie wiedzieć, czyja to wina: czy one, to jest artykuły, nie przedstawiają rzeczy w sposób dość ponętny, czy może wy niedosyć chętnie czytacie rzeczy poważniejsze, przekładając nad nie felietony, choćby tak pobieżnie, jak niniejszy kreślone? Czy chcecie to wiedzieć? Jeżeli chcecie, to czytajcie!... artykuły wstępne, — tam i o tem coś znajdziecie.

A teraz, na zakończenie jeszcze jedna wiadomostka.

Nasze sfery teatralne mocno są zainteresowane pewną książeczką, która niedawno nadeszła z Krakowa do Warszawy. Książeczka ta nosi tytuł: «Pamiętniki aktora teatru w Gawronowie». — Autor kreśli w niej strony *quorum pars magna fuit*, a kreśli z życiem i prawdą, jak człowiek, który patrzał na wszystko własnemi oczyma. — Interes, jaki książeczka budzi, tłómaczy się tem, że pod bardzo przezroczystemi nazwami występują w niej osoby żyjące, dobrze znane i dotychczas występujące na scenie, bądź to w Gawronowie (Krakowie), bądź nawet na naszej. — Pamiętniki odsłaniają życie prywatne i zakulisowe artystów, malują przedstawienia teatralne tak, jak one, nie od strony publiczności, ale od strony wewnętrznej teatralnej się przedstawiają. — Autor prowadzi nas za kulisy,

do garderoby teatralnej, słowem wszędzie, gdzie sam jako artysta ma dostęp. Niektóre postacie (jak np. postać Anny Klonowskiej) kreślone są z psychologiczną trafnością, a nawet z pewnym artyzmem. Przytem pamiętniki te tem się jeszcze od wielu prac tego rodzaju różnią, że nie są wcale paszkwilem, w którym osobista zawiść pragnie poniżyć i oczernić niemile sobie osoby. Przeciwnie, autor chętniej chwali niż gani — wogóle zaś, z wyjątkiem jednej, wspomnianej Anny Klonowskiej, która kreślona jest z pewną osobistą predylekcyą, stara się utrzymać na stanowisku objektywnem.

Wadą tych pamiętników jest zbyteczna w całem opowiadaniu pobieżność, brak proporcyi i nakoniec pośpiech, skutkiem którego język nie zawsze odpowiada wymaganiom poprawności.

Gazeta Polska, 1875, Nr. 79 z dnia 12 kwietnia.

XIV.

Projekty filantropijne. — Kolonie Dobroczynności. — Letnie mieszkania i niektóre trafiające się na nich przygody. — Dom dla sierot w. Ciechocinku. — Inne sieroty, potrzebujące domu. — Dom nagrody dla dobrej służby. — Jaki mamy klimat. — Domy walące się. — Czy komorne zdrożeje, czy spadnie. — Okropne skutki płochości. — Komplementy dla publiczności i koncert na rzecz Tow. wsparcia podupadłych artystów. — Salon koncertowy.

Od niejakiego czasu krąży u nas sporo filantropijnych nowin. Mówią, a nawet piszą o jakichś gruntach pod Warszawą, rozległych a nieuprawnych, będących własnością miasta, które mają być podobno oddane naszemu Tow. Dobroczynności. Towarzystwo wybuduje na nich jeden, dwa lub trzy domy, w których na lato pomieszczać będzie swych pupilów i pupilki. Wyjdzie im to niezawodnie na zdrowie. Zamiast dusić się i pocić w czasie upałów letnich w Warszawie, w tym sławnym gmachu, którego napis: *Res sacra miser*, przypomina nam tylko, jak

wszystko w nim, tak na zewnątrz, jak na wewnątrz, jest mizerne — zamiast więc, powtarzam, dusić się w takim mizernym gmachu, będą sobie dziadowiny i babinki siedzieli na wsi, oddychali czystem powietrzem, herboryzowali i krzepili nadwątlone pobytem w mieście zdrowie. Grunty te mają być oczywiście przez połączone siły starców i babek uprawiane, a w ten sposób kolonia nietylko że nie pociągnie za sobą wydatków z funduszów Towarzystwa, ale z czasem przyniesie gotowe zyski, lub w najgorszym razie opłaci przynajmniej sama siebie. Teraz chodzi tylko o postawienie domów, a letnie Dobroczynności mieszkania będą gotowe.

Ach, te letnie mieszkania! Zbliża się już ich pora, a zarazem pora udręczeń i kłopotów dla ojców familii. Któżby się jednak oparł prośbom i naleganiom żon i córek, które jednocześnie z pierwszym wiosennym uśmiechem słońca, rozpoczynają formalną blokadę serc i kieszeni mężów i ojców. Mężowie ustępują nakoniec, co zresztą starą jest historyą, i oto z początkiem maja ciągną z taborami całe familie do Sielc, Mokotowa, Wilanowa, Grodziska, Jeziorny etc. etc. całe familie, powtarzam, z kuframi, kuferkami, pudełkami i wszystkiem, co tylko ich jest, do czego w mieście przywykły, a czego na wsi dostać nie można.

I wilegiatura się rozpoczyna Mój Boże! co

rok też same gremialne złudzenia i co rok też same rozczarowania — też same kłopoty, też same nieprzewidziane potrzeby, też same utrapienia i też same niewygody, które potem na dobitkę jeszcze Kostrzewski wyrysuje, a ludzie wyśmieją! Co do mnie, właśnie dlatego, że je Kostrzewski rysował, nie myślę ich na nowo opisywać; nie mogę jednak oprzeć się chęci wypowiedzenia uwagi, że los nieraz z dziwną złośliwością prześladuje Warszawiaków, przepędzających lato na wsi, co należytymi a wielu mógłbym poprzeć przykładami.

Ileż to ja razy widziałem całe familie, począwszy od ojca i matki, a skończywszy na najmłodszym synku, dmuchające w jeden samowar, który łatwy zwykle do nastawienia w Warszawie, wpadł na letniem mieszkaniu w niewytłómaczony zły humor; chuchano weń, dmuchano, uderzano o się wzajemnie głowami przy pochylaniu się nad kominkiem, zrywano płuca: nie pomagało nic i nic, nie pomagała nawet cholewa od buta ojca familii, której to cholewy sam zniecierpliwiony ojciec familii zamiast mieszka był użył. I zresztą ona hardość a dziwny upór samowara — nie jedyny to kłopot Warszawiaków, o których podania miejscowe w humorystyczny sposób wspominają. Podania te wspominają np. o pewnym naczelniku wydziału pewnego biura, człeku otyłym a przytem wielce statecznym,

który napadnięty został przez dziwnie złego wielkiego psa w warunkach bardzo mało do obrony przydatnych. Napróżno nieszczęśliwy radca, skulony i uplątany we własne szaty, cofając się na los szczęścia — napróżno, mówię, używał najpieszczotliwszych dla przejednania napastnika wyrazów. Próżno wyciągał ku niemu rękę, cmokał i w palce klaskał powtarzając: «Pieseczek! pieseczek! mój psinko nieduży!» Napróżno głosowi swemu starał się nadać najczulszą i najmilszą intonacyę, próżno przemawiał tonem starego znajomego i dobrego przyjaciela — potwór nie dał się przejednać ani oszukać, i wreszcie kto wie, jakby się cała ona rejterada radcy skończyła, gdyby nie nadeszli ludzie, którzy wprawdzie wyrwali radcę z toni, ale którym też radca dał wielkie i dziwne, a wcale niepoważne z siebie widowisko.

Ale takie wypadki, jak z samowarem, są to wypadki, lubo dość często się przytrafiające, jednak nie koniecznie z pojęciem letniego mieszkania związane. Ale dziurawy sufit nad głową, przez który woda w czas dżdżysty przecieka, ale niemożność dostania jakichkolwiek zapasów żywności, konieczność żywienia się zakwitłymi na zielono serdelkami, przywiezionymi przed pół miesiącem z Warszawy, ale brak drzew i cienia, tak często dający się widzieć na wsi, a budzący w sercach Warszawiaków tak tęskne wspom-

nienia o kasztanach Saskiego ogrodu — oto są ciemne strony wilegiatury, oto szkopuły, o które rozbijają się najpiękniejsze marzenia żądnych sielskich rozrywek Warszawiaków. Istotnie, kto wyjechał na wieś w nadziei oddychania, razem z familią, powietrzem sosnowych lasów, a zamiast tego znajduje smętne szeregi opalonych pieńków, świadczące, że chcąc znaleźć las, trzeba o niego Żydów w poblizkiem miasteczku rozpytać, a do Gdańska za nim pojechać; kto przyjechał na wieś, sądząc, że nakształt sielskich pasterzy będzie się karmił owocami, mlekiem i poziomkami, a zamiast tego musi skupować najstarsze w całej wsi, że nie powiem: aż zdziecinniałe ze starości kury — temu nie można się dziwić, że tem samem «chwała Bogu!» którem pożegnał się z Warszawą, wita z powrotem swoje zakurzone meble i swoje biurko do pracy, i swe zajęcia, i regularny żywot.

Ale dosyć już o letnich mieszkaniach i ich ciemnych stronach; wróćmy do nowin filantropijnych, od których niniejszą kronikę rozpocząłem. Na nieszczęście, wszystkie owe filantropijne przedsięwzięcia nie zeszły jeszcze z pola ideału na niwy rzeczywistości zmysłowej, co, przetłómaczone na mniej figuryczny język, znaczy, że są dotąd pięknymi projektami, mającymi uszczęśliwić ludzkość dopiero w przyszłości. Owóż ma być założony dom dla sierot w Ciechocinku.

Projekt to, jak się zdaje, nie tak daleki urzeczywistnienia, albowiem jest już plac i są pewne fundusze na wzniesienie budynku. Fundusze płynęły z rozmaitych przedstawień amatorskich teatralnych. Wartoby, ażeby rzecz prędzej weszła w wykonanie i nie rozchwiała się, jak wiele innych chwalebnych zamiarów.

Ale o czytelniku! są jeszcze inne sieroty, których los niemniej pożałowania godzien, a które niemniej gwałtownie potrzebują domu w Ciechocinku. Filantropia zagraniczna chciała taki dom wystawić, ale zamiary owe rozbiły się o nieubłagane losy. Mówię tu o sierotach po Homburgu, Baden-Baden, o biednych sierotach po rulecie, po *rouge et noir*, po *trente et quarante*, o tych sierotach, które teraz co lato gorzko między nami opłakują niepowetowaną stratę, jaką tak świeżo poniosły. Jest jeszcze wprawdzie Monaco. — «Monaco i ruleta, to jakby Romeo i Julia» — wykrzyknął z większą kadencyą niż sensem, pewien młody, pełen nadziei felietonista! Prawda! Monaco ma jeszcze ruletę, ale Monaco daleko! Samą podróż nie na dziesiątki rubli, ale na setki trzeba obliczać. Ha! gdyby to tak Ciechocinek! — cóżby było łatwiejszego niż spacerowym pociągiem wymknąć się na jedną chwileczkę — jedną malutką chwileczkę — zagrać, zrobić fortunę, a potem czmychnąć na jaki roczek za granicę, do Paryża, w owe rozkoszne

strony, gdzie Jardin Bullier codzień świeci milionami lamp gazowych, Mabille nęci jak zdradliwa syrena, a wśród drzew, świateł i tonów cudne flerystki tańczą niby hurysy w mahometańskim raju. Ale o czem tu i mówić!... nie ulitował się nikt nad sierotami, i niema domu w Ciechocinku i nie będzie domu w Ciechocinku, a zaś pozostałe w nieutulonym żalu sieroty, wśród wspomnień świetnej przeszłości i wśród goryczy teraźniejszości, jedną chyba również gorzką, a przytem i trywialną muszą się pocieszać maksymą:

Nie graj Wojtek,
Nie przegrasz... czapki.

Trzecim nakoniec, a zdaje się, że i ostatnim z bieżących, projektem filantropijnym jest projekt założenia domu nagrody dla dobrej służby. Nie umiemy donieść czytelnikom naszym, skąd się na uzmysłowienie takiej idei wezmą pieniądze. Wątpię, czy potrzebne fundusze złożą panie zachwycone swemi sługami. Pesymiści twierdzą zresztą, że choćby dom taki był założony, to jednak musi upaść dla braku kandydatek i kandydatów. Ciż sami pesymiści twierdzą, że daleko racyonalniejszym zakładem niż dom nagrody dla dobrej służby, byłby Dom kary dla złej służby. Przynajmniej temu ostatniemu — jak słychać — pupilów i pupilek by nie za-

brakło. Miejmy jednak nadzieję, że i dom Nagrody nie zawsze będzie stał pustkami, w przyszłości; a w teraźniejszości może wpłynie na poprawę sług i służebnic naszych, które istotnie, mówiąc słowami Pisma, w nieprawościach swych przebierają wszelką miarę.

Cóż w tem jednak dziwnego? Takie to już czasy przyszły, że walka toczy się wszędzie, musi więc toczyć się między paniami a sługami. Przyszły filozof kiedyś, gdy nasze czasy będą już odległą przeszłością, może podciągnie ją pod jaką ogólną filozoficzną zasadę i walki o byt miano nada. Ale my, współcześni, wiemy dobrze, że nie jest to walka o byt, ale o niewymyte garnki, o niewyszorowane rondle, o koszykowe, o próżniactwo i o zbytnią skłonność do miłosnych płomieni, których miejscowa straż ogniowa nietylko gasić nie chce i nie umie, ale nawet podsyca je chętnie.

Ależ po co to sobie samemu psuć krew? po co sobie samemu krzywdę wyrządzać? Ha! chyba to już zawsze tak dzieje się na świecie, jak następujący wiersz opiewa:

«Człowiek cierpi, lecz służy sam sobie za kata:
Sam sobie koło tworzy i sam się w nie wplata».

Otóż i my tworzymy sobie rozmaite koła, wplatamy się w nie i cierpimy.

Gdybyśmy tak np. nie uroili sobie, że mamy

klimat ciepły, łagodny, zbliżony raczej do południowego niż północnego; gdybyśmy raz zdołali dojść do przekonania, że normalną porą roku u nas jest zima, że wiosna jest tylko iluzyą, a lato tylko ustępstwem dobroczynnej natury, która nam pozwala pocić się przez kilka miesięcy jedynie po to, byśmy sobie trochę chleba na zimę zebrać zdołali; gdybyśmy, powtarzam, doszli raz do rozważnego i zimnego zapatrywania się na konieczne następstwa naszego położenia geograficznego, tobyśmy nie kwasili się, nie utyskiwali na to, że w kwietniu mróz. Tak jest! nie przeklinalibyśmy jakiegoś tam biednego Szofkego czy Szofki, za jego złowrogie, a niestety, prawdziwe przepowiednie. Natomiast nie przestawalibyśmy w piecach palić, póki trzeba, nie kładlibyśmy na siebie przedwcześnie letnich okryć, a tak zdołalibyśmy ustrzedz się od katarów, kaszlów, zaziębień i innych wiosennych, kwietniowo-majowych przypadłości. Oto jedno koło.

Gorączkowa chęć zrobienia pieniędzy jakimi bądź środkami zaczyna coraz silniej palić się w spokojnych dotąd głowach naszych filistrów i przybierać charakter niepokojący. Gwałtowny symptomat owej *febris aurea* mieliśmy w zeszłym tygodniu, w którym aż trzy stawiające się niedaleko Pawiej ulicy domy, wskutek nieuszanowania fizycznych praw ciężkości, zwaliły się na

głowy robotników. W jednym z nich naliczono sporo ofiar. Późniejsze wieści donosiły nawet o większej liczbie zwalonych domów. Bezpośrednim tego skutkiem będzie — czy wiecie, czytelnicy, co? — oto najprawdopodobniej podniesienie komornego w całej Warszawie. Trzy domy mniej, to znaczy przynajmniej sto mieszkań mniej, mieszkania więc zdrożeć powinny. Dobrze! — mówicie — musimy płacić, ale niechże przynajmniej za to sufity nie zapadają się nam na głowy. O prostaczkowie! prostaczkowie! Właśnie dlatego, że sufit lada chwila może upaść wam i mnie na głowy, musimy drożej płacić. Jeżeli sufit istotnie się zapadnie — to — pominąwszy was i wogóle lokatorów, którzy w rachunek nie wchodzą — gospodarz straci odrazu cały kapitał. Kiedy więc kapitał może stracić, niechże przynajmniej, nim go, t. j. gospodarza, do kozy za zwalenie się domu zaprowadzą, ma przyzwoity procent od swego tak niepewnie lokowanego kapitału.

Ale uspokój się, o czytelniku! jesteśmy pomszczeni. Od dziś dnia żaden gospodarz nie chce w swoim własnym domu mieszkać — każdy więc, będąc gospodarzem, będzie zarazem lokatorem, a zatem będzie, na równi z nami, żywcem ze skóry odzierany. Jeden będzie pożerał drugiego. To nawet dość zabawne! Znacie tę bajkę: Złapano raz szczupaka, w którego żo-

łądku znaleziono jeszcze mniejszego i t. d. Podobna historya się powtórzy. Chyba, że prawo przelamie tę niechęć do mieszkania we własnych domach rozkazem, ażeby każdy właściciel, po wybudowaniu domu, dla wypróbowania go, mieszkał w nim przed wszystkimi lokatorami przez rok jeden.

Ale żarty na bok: wróćmy teraz do owych kół bolesnych, w które każdy dobrowolnie się wplata. Owóż, gdyby właściciele tych zwalonych budowli chcieli byli pomyśleć o stawianiu ich na mieszkanie, nie na spekulacyę; gdyby nie ich ilużye, że budowanie, jak to mówią, na okpisza, może być dobrym interesem; gdyby się nie łudzili nadzieją, że im się uda dom pozornie dobrze wybudowany sprzedać z zyskiem i módz sobie potem powiedzieć: *Après moi le déluge*, gdyby rozumieli, że życie najuboższego robotnika, a nawet biednego lokatora, który do takiej pułapki będzie zmuszony się wprowadzić, warte jest przynajmniej tyle, ile ich napełniona kieszeń — toby może stawiali domy nie na gruz i piasek, ale na czystą cegłę. Kontentowaliby się mniejszym zyskiem przy sprzedaży, a co najważniejsza, nie narażaliby się na przeprowadzenie się z tak ruchomych nieruchomości do stojącego na nieuszkodzonych fundamentach w sąsiedztwie gmachu, który będzie sceną epilogu czy też piątego aktu rozegranego przed

naszemi oczyma dramatu. Za późno, ale nieuchronnie przychodzi rozpamiętywanie. Lepiej było wyrzec się kilku tysięcy rubli, a nie siedzieć tutaj w smutnej ciupie i przez kratę na świat boży i na rozwijającą się wiosnę spoglądać. A któż im winien? Sami winni! Oto i drugie koło!

Grzeszyliśmy i grzeszymy zawsze przesadą w kadzidle dla ogółu, w pieprzu dla jednostek. O tym pieprzu pogadamy, Bóg da, przy pierwszej zdarzonej sposobności, ale na kadzidle złapaliśmy się najfatalniej. Raz w tydzień przynajmniej, któreś z pism doniesie nam ze łzami w oczach, że Warszawa to gród najpełniejszy wszelakich cnót ewangelicznych. Co rusz, to któryś z kuryerów oznajmia wzruszonym, przerywanym głosem, że największą rozkosz dla Warszawian stanowi spełnianie wszelkich dobrych uczynków, tak co do ciała, jak i co do duszy, o jakich tylko katechizm księdza Putjatyckiego wspomina — że byle sposobność się zdarzy wesprzeć jakąś dobroczynną instytucyę, to wszyscy natychmiast z gotowym dla niej śpieszymy groszem. I tak kołysaliśmy się w błogiem przeświadczeniu o naszem miłosierdziu i o naszej gotowości do ofiar. Cóż stąd wynika? Oto, że gdy przychodzi dać dowód istnienia tych chrześcijańskich cnót, każdy z nas, licząc na ogół, o którym tyle czytał i słyszał, powiada

sobie: «Ja tam już niepotrzebny. Warszawa, ta miłosierna, litościwa a hojna Warszawa, pójdzie tam i beze mnie, spojrzy i swoje zrobi. W ten sposób, ani ja straty nie poniosę, ani ubodzy nie ucierpią». Tymczasem, nazajutrz pokazuje się, że w Warszawie sto tysięcy ludzi kombinowało podobnie, skutkiem tego nikt nigdzie nie poszedł, o niczem się nie przekonał i nic nie dał. Ileż to razy podobne wypadki się zdarzały! Nie dalej szukając, tak było w tych dniach z koncertem na dochód Towarzystwa podupadłych artystów. Koncert to był, ze względu na program, ciekawy — ze względu na cel, zasługujący na współczucie i poparcie. Pan Minchajmer i artyści, biorący udział w programacie, zrobili swoje sumiennie i uczciwie, by przysporzyć grosza instytucyi, ale nasza arcymuzykalna i słynna z gotowości do ofiar Warszawa nie zgłosiła się do apelu. Akustyka sali koncertowej zapewne na takim braku przepełnienia zyskała, ale w kasie towarzystwa akustyka zupełnie jest zbyteczną. A jednak owa akustyka w kasie była najwybitniej rzucającym się w oczy rezultatem koncertu. U nas wszystko dzieje się modą, albo poprostu popędem naśladowniczym. Jeżeli koncert na Towarzystwo wsparcia podupadłych artystów zdoła wejść w modę, będzie przynosił tysiące rubli, jeżeli w modę nie wej-

dzie, napróżno pisma pisać będą o jego przeznaczeniu, pięknych celach etc. etc.

Ależ tym razem ambaras nazajutrz w pismach był niemały. Jakże tu gromić publiczność, kiedy się ją zwykle chwaliło? jakże tu jej powiedzieć, że nie jest pochopną do miłosierdzia, ani tak muzykalną, jak jej się zdaje, kiedy rok rocznie, począwszy od św. Fulgencyusza do św. Sylwestra kadzi się jej pod nos, aż biedaczka kaszle i kicha, jak ów szczur na ołtarzu! A jednak za taką obojętność pochwalić jej nie można, usprawiedliwiać nie wypada. I cóż więc? Ha! choćby się narazić na zarzut niekonsekwencyi, trzeba nazajutrz po koncercie wydobyć z redakcyjnego kantorka żmiję monitora i wypowiedzieć *verba veritatis* tej samej publiczności, którą się wigilią koncertu pod niebiosa wynosiło. Przykro, ale samiśmy sobie winni. Jest to także jedno z kół, w które się dobrowolnie wplatamy.

Nakoniec słówko jeszcze o rzeczy, blizki związek z muzyką mającej. Oto na rogu ulicy Hożej i Mokotowskiej ma być najęty, czy też raczej, pobudowany salon koncertowy. Jest to projekt niezmiernie na czasie. Na wszelki wypadek nie będzie się potrzebowało nikogo prosić o lokal Towarzystwa muzycznego; nie będą potrzebowali prosić się koncertanci, a przede-

wszystkiem prelegenci. Kto wie, jak długo muszą np. prelegenci stać u wrót resurs, zanim otrzymają zmiłowanie, t. j. salę, ten zarówno z nami będzie się cieszył z salonu. Jedna z tych resurs, t. j. kupiecka, pogrążona we śnie coraz bardziej do letargu podobnym, pozostaje nieczułą na wszelkie zaklęcia i nie otwiera się nigdy; druga, t. j. obywatelska, otwiera się czasem, ale czyni to z takimi grymasami i z takiem ociąganiem się, że i najcierpliwszemu może cierpliwości zbraknąć. Cóż bowiem odpowiesz, nieszczęsny czytelniku, jeżeli jesteś prelegentem i musisz odpowiadać na podobne zarzuty, jak np. «Podłoga się zadepcze!« Zapewne! od czegóż jest podłoga? «Krzesła się wytrą» itp. Kiedy swego czasu pukały do wrót tych odczyty rzemieślnicze, powiedziano im: Szkoda podłogi. Tak! tak! szkoda podłogi. Podłoga przecie ważniejsza niż oświata, niż rozjaśnienie głów rzemieślniczych. Rzemieślnicy istotnie grube mają obuwie, a podłoga! ho! podłoga, stworzona pod lakierowane lub atłasowe trzewiczki — lub pod stołowe nogi... Niech nikt nic złego nie myśli: te stołowe nogi znaczą stoliki, na których grają w karty, w bezika, w bakara, w wiścika i inne podobne rozrywki. A odczyty? Odczyty przytuliły się w salce Towarzystwa Dobroczynności. Ciasno im tam, zimą chłodno, latem go-

ręco, ale idą po staremu. Z czasem może przeniosą się do salonu koncertowego. Będzie im widniej, przestronniej. Niech im tam Pan Bóg szczęści!

Gazeta Polska, 1875, Nr 84 z dnia 19 kwietnia.

XV.

Wielki magik Buchwaldy. — Sztuka, którą napewno widzieć będziemy. — Cyrk Salamońskiego i lwy. — Pan Texel. — Trochę o pogodzie. — Bruki i latarnie. — Boczne ulice — Oznaki wiosny w mieście. — Saski ogród. — Wszystko tak jak było. — Ogród Botaniczny. — Poetyczne uniesienie, po którem felietonista składa na tydzień pióro.

Zaczynam dzisiejszy odcinek od doniesienia wam, czytelnicy, wielce radosnej nowiny. Przyjedzie do nas profesor Buchwaldy. Nie wiecie kto jest? Dziwię się takiej ignorancyi, albowiem ja wiem już od wczoraj, to jest od chwili, w której nasza redakcya odebrała list i bilet wizytowy rzeczonego profesora. Otóż ten pan Buchwaldy jest wielki magik indyjski, który zgłębił wielkie tajemnice braminów i fakirów. Jest on sobie przytem, ni mniej ni więcej, tylko nadwornym czarownikiem króla syamskiego, który ozdobił go orderem «Pusamala». Otóż taki to mistrz, wsławiony za morzami, ma zawitać do naszego grodu Syreny. Nie martwcie się od-

jazdem śpiewających piesków, nie martwcie się tem, że Gassner daje po setny już raz nieodwołalnie ostatnie przedstawienie. Będziem mieli coś nowego. Profesor Buchwaldy, jako człowiek, przed którego okiem niema tajemnic, wiedział dobrze, dokąd ma się wybrać; odgadł przytem doskonale nasze gusta, prosząc, aby wieść o jego przybyciu umieścić przedewszystkiem w dziennikach francuskich *(sic!)*. Skąd on wiedział o naszej słabości do francuszczyzny? Razem z nim ma przyjechać i jego żona, «brylantowa» (jak pisze profesor) pianistka. Będą więc razem i sztuki magiczne i muzyka. Sztuk tych, które mają być nieslychane i niewidziane nigdzie, wynalazcą jest sam profesor Buchwaldy. Ciekawiście też, co on nam pokaże? Co pokaże? Ja wiem tylko, co pokaże wyjeżdżając. Oto dwie rzeczy: język i figę. Podobne sztuki pokazują nam rozmaici wydrwigrosze tak często, że napewno można się ich i w przyszłości spodziewać. W czasie bytności zaś będzie uprawiał sztukę przeprowadzania pieniędzy z naszej kieszeni do swojej, która to sztuka, lubo również doskonale nam znana, zawsze jest u nas mile widziana, czego dowodem jest choćby nieodwołalnie ostatni raz produkujące się muzeum Gassnera. Czekając tedy na przyjazd p. Buchwaldy, a na wyjazd Gassnera, chodzimy tymczasem do cyrku Salamońskiego, który to cyrk

wkrótce podobno o sześć lwów powiększony będzie. Co owe lwy w cyrku robić będą? — trudno zrozumieć. Wątpimy, aby p. Salamoński tylko dla dowiedzenia, że słowa pobożnej pieśni: «Na lwa srogiego przez (bez) obrazy siędziesz» nie są obiecanką cacanką, rozkazał na onych srogich lwach jeździć swoim woltyżerom. Wątpimy także, aby je, wszystkie sześć naraz, tak, jak swoje ogiery arabskie, wyprowadzał i z wolnej ręki je tresował. Co do nas, nie chcielibyśmy w takim razie siedzieć w pierwszym rzędzie. Mój Boże, znam dżentlemenów, którzy nie mogą we wzmiankowanym rzędzie usiedzieć, nawet gdy konie zbyt rozpędzają się we zwrotach, a cóżby było, gdyby zamiast koni lwy galopowały po arenie!

Trudno powiedzieć, najprędzej jednak nicby nie było, gdyż dżentlemenowie uznaliby zapewne cyrk za zabawę zbyt gminną i nie chodziliby do niego wcale. Otóż zdaje się, że takiego losu pan Salamoński nie zechce dobrowolnie ani sobie, ani swoim woltyżerkom zgotować.

I tak, jeżeli zamierza zostać na lato, z niemałemi będzie musiał walczyć trudnościami i niebezpieczeństwy, gdyż, ile słychać, teatrzyki letnie mają zjechać do nas latem niewątpliwie. Pan Texel obiecuje podobno zrobić prawdziwe Eldorado ze swego Eldorado, pokryć szkłem galeryę, rozszerzyć scenę, powiększyć

trupę; słowem, wystąpić z taką jak nigdy przedtem okazałością. Z góry można powiedzieć, że podobne wydatki opłacą mu się z pewnością; publiczność bowiem, znudzona rozmaitymi śpiewakami węgierskimi, niemieckimi i t. p., chciwie pożąda rozrywki lepszej i szlachetniejszej niż tłuste niemieckie piosneczki i parodyowany z berlińska kankan.

Jak po wsiach przybycie jaskółek i bocianów, tak u nas krzątanie się rozmaitych przedsiębiorców zabaw po ogrodach i wogóle miejscach, leżących pod gołem niebem, zwiastuje zbliżanie się pory cieplej. I rzeczywiście: mimo chmurnych dni, zimnych poranków i wieczorów, sezon ciepły zbliża się i wszędzie czuć się daje. Warszawa poczyna robić zwykłą wiosenną toaletę. Tu i owdzie malują się i odnawiają domy, tam przebrukowywują się ulice; wyrównywają się pozostałe po zimie doły; tu i owdzie kładą nawet asfalt; słowem, wszędzie znać ruch, ożywienie i ów wiosenny przygotowawczy nieład.

Co do bruków, chodników i tym podobnie, ulice nasze podobne są do rodzonych sióstr, a córek niezbyt zamożnej rodziny. Z czego wyrośnie starsza, to dodziera młodsza. Gdy wyjmą bruki lub wyłamią chodnik na której z głównych ulic, niezawodnie położą go na mniej głównej, potem gdy i ta wzrośnie, dostaje znowu strój lepszy, a dawny idzie dla jeszcze podrzęd-

niejszej. Jest to, jak widzimy, zasada dość oszczędna i byłaby nawet niezła, gdyby Pan Bóg dawał mieszkańcom pobocznych ulic zdrowsze nogi, a szewcy warszawscy mocniejsze buty. Na nieszczęście, przynajmniej co do szewców, tak nie jest, wskutek czego wydaje się niesprawiedliwością kazać się potykać i drzeć buty na niegodziwych brukach ludziom, którym, jako uboższym, najbardziej o to chodzi, żeby im owe buty na długo wystarczyły.

Ale jak między dziećmi jednej rodziny są więcej kochane, inne mniej lub wcale, tak i między ulicami są także upośledzone córy, prawdziwe kopciuszki, wiecznie zapominane, lub omijane umyślnie. Bodaj czy nie do takich należy ulica np. Marszałkowska. Ma ona wprawdzie kolej konną, ale bruki jej za to mogą śmiało rywalizować z brukami Płońska, Łukowa, Radomska i innych stolic powiatowych. Cudzoziemiec, który po raz pierwszy jest w Warszawie, siadłszy w dorożkę na dworcu wiedeńskim i jadąc Marszałkowską, na widok owych wybojów, dołów, wzgórzy, wąwozów i t. p. gotów sądzić, że kamienie te ułożone zostały w ten sposób, żeby pewną część miasta uczynić nieprzystępną, a przeto zabezpieczyć ją przeciw jakim nagłym a niespodziewanym nieprzyjacielskim napadom.

Żarty pominąwszy, jak na wielki trzykroćstotysięczny gród, jesteśmy miastem najgorzej

zabrukowanem i najgorzej oświetlonem ze wszystkich wielkich miast europejskich. Gdyby na złe bruki i latarnie naznaczono konkurs, dostalibyśmy pierwszą nagrodę niezawodnie. Latem, gdy po tych brukach ciągną jeszcze tumany kurzu, zasypujące usta i oczy, gdy ścieki nasze, pozbawione wody, poczną ronić woń zabijającą, gdy owa woń w połączeniu z kurzem, dymami etc., zawiśnie ciężką ołowianą atmosferą nad miastem, wówczas słusznie powiedzieć można, że Warszawa, którą ze względu na piękność jej mieszkanek, nazywają rajem dla oczu, ze względu zaś na ilość katarynek i utalentowanych fortepianowo panien — czyścem dla uszu, że ta Warszawa jest piekłem dla każdego nosa, który się w niej nie urodził, w niej nie żył, nie zakatarzał i nie wychował.

A jednak Warszawa podoba się cudzoziemcom. Nie wiem, czy piękność Warszawianek usposabia ich tak dobrze, ale niektórzy chwalą wszystko bez wyjątku. Koło pałaców stoją na pryncypalnych ulicach nawpół rozwalające się chałupy — to rozmaitość miła dla oka. W nocy ciemno — to romantyczne, w dzień brudno — to oryginalne. Ha! widocznie mamy szczęście.

Ciekawyś też może, czytelniku, co porabia Saski ogród, ten stary męczennik, tyle razy deptany, łamany i niszczony? Owóż nie obudził się jeszcze ze snu. Zielona trawka puszcza się

już po gazonach, rosną z dnia na dzień pączki kasztanów; ale ni liści na drzewach, ni kwiatów na trawnikach jeszcze niema. Obrzydliwe posągi stoją w całej nagości swej brzydoty, liściem kasztana jeszcze nie pokryte. Na trawnikach połyskują rydle robotników: sadzą kwiaty i zmieniają trawnik w kobierzec. Niezadługo liście rozwiną się, kwiaty zakwitną, i starzec będzie gotów, strojny, wonny i wyświeżony, jak stary kawaler. Ale na cóż się to wszystko zdało? Przyjdzie jedna fantowa loterya, a podepcą trawniki, pozrywają kwiaty, poobłamują liście drzew, zatrują drzewa wyziewami prochu, dymem, kurzem i będzie po wszystkiem. Zostaną tylko szpetne budy. To u nas w corocznym zwyczaju.

Tymczasem jednak ogród zaludnia się już powoli. Sentymentalne bony, tem mniej zajęte dziećmi, które im powierzono, — im więcej przystojnymi młodzieńcami z Uniwersytetu, — starzy emeryci, spierający się na zabój o Mac-Mahona i Gambettę, a wydziwiający nad ślepotą, z jaką dąży do zguby Bismarck, — młodzi Don Juani, szukający przygód i awantur miłosnych, bronzowe szeregi pensyonarek po bocznych ulicach, — wszystko to staje razem do apelu, obejmuje dawne stanowiska, dawne ławy, dawne aleje, i zwykłe życie zaczyna się toczyć po staremu. Wszystko tak jak było: ci sami ludzie, co

lat zeszłych, też same drzewa, też same ławki, taż sama cukiernia, też same w niej chłopcy, nawet, kto wie, czy nie też same w niej ciastka, które ocalały jeszcze od zeszłego lata; za to zresztą, nie chcąc się narazić na protestacyę ich właściciela, nie zaręczam.

Jakże inny widok przedstawia odleglejszy ogród Botaniczny! Niemasz tu kurzu, o którego potłumienie napróżno prasa kuryerowa w niebogłosy co rok krzyczy; nie słychać zgiełku miejskiego; ogony damskie nie szeleszczą całemi setkami po żwirze; dym z papierosów nie gryzie w oczy; cisza tu większa, powietrze czystsze, zdrowsze; spokojniej jakoś, a lubo ozdobnie, bardziej przecież po wiejsku. Wieczorami, gdy cicha, ciepła noc letnia spada na ziemię, a księżyc, schodząc z jednych alei, wchodzi na drugie, gdy kwiaty i drzewa ronią woń silną, znajdziesz tu wypoczynek i ciszę dla strudzonych turkotem miejskim uszu i odetchnienie dla piersi, i naturę wdzięczną, i trochę poezyi, jeżeli jej jeszcze pragniesz, i trochę marzeń, jeżeli marzyć jeszcze chcesz i umiesz. Wówczas to wśród ciszy usłyszysz plusk fali, lub szelest fontanny w poblizkich Łazienkach; czasem przed tobą przesunie się jaka spóźniona — rozkochana para, wiodąc rozmowę w pół przyciszoną, w pół tajemniczą, a do ogólnego uroczystego nastroju sposobną; a czasem słowik zaświszcze, zakląska,

zapłacze, rozsypie niby szklane paciorki po rosie; za nim drugi, trzeci, dziesiąty, i oto śpiewa cały taki chór, o jakim poeta mówi:

«Że kiedy w nocy zacznie pieśń skrzydlatą,
Myślisz, że w niebo ulatujesz z chatą».

Nie wiem, co myślisz, ale wiem, że lżej staje ci się na sercu i duszy. Czujesz się jakoś młodszym i lepszym. Jeżeli wypadkiem należysz do *esprits forts*, to w takich chwilach, jakieś mgliste, wpół zapomniane, ale słodkie słowa pacierza plączą ci się po sercu i głowie. Na myśl przychodzą ci lata dziecinne; dziecięca prostota i dom rodzinny — i cała miniona już a umiłowana na dnie duszy przeszłość staje ci jakby żywa przed oczyma. Jeszcze o jeden ton wyżej nastrój serce, jeszcze jedno więcej wspomnienie, jedna łza, — a jak za dawnych lat, wyciągniesz niby dziecko ufne ramiona i poczniesz: «Ojcze nasz....»

Ale oto nagle wśród ciszy nocnej, gdzieś na poblizkiej wieży, poczyna bić zegar. Bije wolno: raz, dwa... Słuchasz: uderzenia dochodzą cię wyraźnie i dźwięczą długo w czystej atmosferze. Godzina późna i bardzo późna. Czas rozstać się z marzeniami, czas wracać do miasta.

Ha! wróćmy. Ty, czytelniku, musisz i ja muszę.

Otóż i miasto. Latarnie palą się mdło; księżyc posrebrza dachy; domy kładą długie cienie.

Tak! tak! Otóż i miasto, z jego zgiełkiem, turkotem, i gorączkowym ruchem, z tłumami ludu na chodnikach i błyszczącemi wystawami sklepów. Żal ci twej ciemnej, powietrznej i czystej samotni. Żal i mnie, a tak mi trudno wracać do miasta, tak trudno mówić znów o niem, że chęć mnie bierze odłożyć tę pracę na tydzień. Ha! odłożę.

Gazeta Polska, 1875, Nr 90 z dnia 26 kwietnia.

XVI.

Czy resursa rzemieślnicza czy przemysłowców? — Brak tytułów. — Niemczyzna. — Nasze «jeunesse dorée». — Cyrk Salamońskiego. — Zabawa loteryjno-kwiatowa. — Saski ogród. — Zasługi. — Obcięte konary. — Nieporozumienie. — Tow. muzyczne. — Suum cuique. — Ogród zoologiczny. — Obniżenie lokalów. — Sezon letni. — Teatr. — Nowiny literackie.

Wystawcie sobie, moi mili czytelnicy, że żadną miarą nie może przyjść do skutku projektowana resursa rzemieślnicza. Jakie przekleństwo i przez kogo rzucone ciąży nad tem projektem, trudno zrozumieć; dość, że im więcej o nim mówią, tem dalej do przeprowadzenia go w rzeczywistości. Jedno z pism robi, bodaj czy nie słuszną uwagę, że projekt nosi zarody śmierci, a raczej powody niemożliwości przyjścia na świat, w samej swej nazwie, nazywa się bowiem resursą rzemieślniczą. Tymczasem, jak dowodzi pomienione pismo, rzemieślników u nas niema wcale. Jak to? — spytacie ze zdziwieniem. A ten,

który klęcząc na podłodze bierze mi białym papierkiem miarę od pasa do ziemi? a ten, dzięki któremu mam wieczne odciski? a ten, który sprawił, że drzwi mieszkania mojego nie zamykają się dobrze? a ten, który uczynił meble moje czułymi na wszelkie zmiany powietrza? — a ci wszyscy, którzy obiecawszy coś na jutro — dotrzymują obietnicy za miesiąc, nie są-ż rzemieślnikami? Otóż nie, miły czytelniku. To nie są rzemieślnicy — to są przemysłowcy; ci wstydzą się nazwy rzemieślnika, i do przyszłej resursy nie zechcą należeć, właśnie dlatego, że nazywa się rzemieślniczą. Ale czyż już nie ma uboższych, którzyby się tej nazwy nie wstydzili? Na upartego są. Mieszkają na jakichś ulicach, o których nie słyszeliśmy nigdy; trudnią się łataniem, naprawianiem, odnawianiem i tym podobnemi robótkami. Ubodzy są, aż włosy na głowie powstają. Za lada chorobą kwalifikują się do Biura wyjątkowej nędzy, resursy zaś żadnej nie potrzebują, bo resursy mają na każdym rogu ulicy — do projektowanej zaś stanowczo należeć nie będą, nie dlatego, że ma być r z e m i e ś l n i c z ą, ale dlatego, że ma być resursą. Owóż i losy resursy rzemieślniczej! Jedni nie chcą jej, bo jest rzemieślniczą, drudzy, bo jest resursą; w jednych wstręt budzi przymiotnik, inni z rzeczownikiem pogodzić się nie umieją; skutek zaś tych gramatycznych wstrętów taki,

że tak rzeczownik, jak i przymiotnik prawdopodobnie pozostaną przez czas jeszcze długi w niebie platońskich idei.

Tak się to u nas dzieje z większą częścią projektów. Pomienione pismo radzi, aby dla nieobrażania arystokratycznych uczuć naszych rzemieślników nazwać resursę resursą nie rzemieślniczą, ale resursą przemysłowców — oraz, aby choć kilku hrabiów zostało tejże resursy platonicznymi członkami. Co do ostatniej rady, pouczeni doświadczeniem lat ostatnich poręczamy za jej skuteczność. Możność zasiadania w komitecie resursy pod prezydencyą dziewięcioperłowej korony będzie ponętą zbyt wielką, aby mógł się jej oprzeć jakikolwiek przemysłowiec, wstydzący się nazwy rzemieślnika. Z drugiej strony, jeżeli między innemi zadaniami, celem takiej resursy jest być szkołą uobyczajenia towarzyskiego, w takim razie choćby tylko platoniczny w niej udział indywiduów, uosabiających wielkoświatową wykwintność, może tylko bardzo zbawienne wydać owoce.

W najgorszym razie moglibyśmy oczekiwać znakomitego poprawienia się francuskiego akcentu tych córek naszych przemysłowców, które biorąc nie dość długo lekcye od rozmaitych mm. Cotschcodan, Chifon etc., używają francuszczyzny miejscowego wyrobu.

Zapomnieliśmy jednak, że teraz nie francusz-

czyzna, ale niemczyzna wchodzi u nas w modę, z czego zresztą cieszyć się powinniśmy z całej duszy. Język to praktyczniejszy i potrzebniejszy u nas niż francuski. Zrozumieli to dobrze męscy przedstawiciele miejscowego i okolicznego patrycyatu, pół-patrycyatu i ex-patrycyatu, uprawiając od niejakiego czasu z całą zawziętością język niemiecki. Kto nie wierzy, niechaj pójdzie do cyrku, a naocznie i przekona się, i zbuduje widząc naszych młodych dżentlemenów, uczących się języka niemieckiego od miejscowych t. j. cyrkowych artystek. Doprawdy, nie umiemy znaleźć dość słów pochwały dla tego rodzaju edukacyi, daje ona bowiem znajomość obcych języków, a jednak nie jest zupełnie obca. Przeciwnie, jest nawet swojską, gdyż panny cyrkowe dają tylko młodym dżentlemenom lekcye, ale nad ogólnym kierunkiem ich edukacyi czuwają tutejszo-krajowcy, to jest starsi i wytrawniejsi dżentlemeni, których łysinki, lubo przez skromność starannie zakrywane, świadczą o długoletniem doświadczeniu; zdolności zaś pedagogiczne dowiedzione zostały i niejednokrotnie potwierdzone przez pierwszorzędne takie zakłady wychowawcze, jak Stępkowski, Bokiet, Franciszek etc., etc.

Że tedy młodzi dżentlemenowie, mając tak wytrawnych mentorów, a tak powabne nauczycielki, robią szybkie pod każdym względem po-

stępy, nikogo to dziwić nie powinno. Ktoby zaś chciał się o tem własnousznie i własnoocznie przekonać, niech się przysłucha rozmowom, a przypatrzy uczniom i nauczycielkom w czasie wieczornych cyrkowych przedstawień. Miejscem nauki służą loże — położone blizko wjazdu do stajen. Ileż tam ożywienia, ileż wesołości, jaka gorliwość i uczniów i pedagogów! Wreszcie, jak zwykle w rozumnie obmyślanych systematach pedagogicznych, rozrywka następuje tu po nauce. Po skończonem przedstawieniu w cyrku, wdzięczni uczniowie zabierają nauczycielki i łysych pedagogów i ruszają na wspólną zabawę. Następuje kolacyjka w Europejskim hotelu; puka jedna, druga, dziesiąta buteleczka szampana, wesołość wzmaga się; czarowne sylfidy wydają się jeszcze bardziej czarowne i powiewne niż zwykle, wino otwiera narozcież bramy swobodzie — więc i tańce huczą tak ożywione, że choćby kto kulawy, nie usiedzi na miejscu, i wszystko trwa dopóty, póki blady promień poranka nie zakradnie się przez rolety i nie oświeci bladych twarzy, łysin, zmarszczek, pudru, bielidła, sztucznych zębów, przyprawionych włosów i pustych butelek, pustych głów...

Niektórzy gorszą się tem. Są moraliści, których cała cnota w ponurej twarzy i spojrzeniu kata — śpiewa się w «Pięknej Helenie». Z drugiej strony, że zawsze z wilka można zrobić

barana, dowodem jest, iż pewien stary szlachcic, francuskie przysłowie: *Il faut que la jeunesse se passe*, przetłómaczył na polskie: «Trzeba, aby młodzież spasowała». Co do mnie, nie sądzę. Niech się bawią. Cacy, dziateczki! cacy! — jak mówi Odyniec. Bo proszę też łaskawie mi powiedzieć: do czego istotnie służą pieniądze? Oto do tego, żeby je wydawać. Więc jeżeli ojce zbierali pieniądze, to oczywiście po to, żeby synowie mogli mieć salony w Europejskim hotelu, powozy, konie, groomów, ostrygi, szampana, bakara, tancerki cyrkowe, a na starość...

Ech! ktoby tam myślał o przyszłości. Od czasu jak Hartmann dowiódł, że dla przyszłych pokoleń pracować nie warto, cóż to może komu szkodzić, że tam kiedyś w odległej przyszłości synowie owych dżentlemenów będą z kolei groomami u synów, np. małego Fredego Salamońskiego. Fortuna kołem się toczy. Był szlachcic na wozie, będzie i pod wozem.' W przysłowiu siedzi tak nieruchomie prawda praktyczna, jak mrówka ulepiona przed tysiącem lat w bursztynie. Przysłowia są mądrością narodów; że zaś dżentlemenom mądrość ta nie jest obcą, kto nie wierzy, niech spyta, czy jest między nimi choćby jeden np., któryby nie umiał dokończyć przysłowia:

«Kiedy bieda...»

Zresztą pamiętać, wiedzieć i powtarzać pewne

prawdy, to jeszcze niewielka rzecz. Grunt: stosować je w praktyce. Więc «kiedy bieda», stosują się i w praktyce do przysłowia dżentlemeni. Stosują się, zapewniam was. Co to jednak za szkoda, że starsi i doświadczeńsi z nich, ci zwłaszcza, którym zawistne losy nie pozwoliły objąć roli mentorów przy pieniężnych pupilach, nie ogłaszają drukiem swych życiorysów! Byłaby to wysoka nauka moralna dla tych, którzy dopiero na podobne ścieżki wstępują. Takie np. zamknięcie rachunku z życiem, jak następujące: «Zero z majątku ojczystego, a zero z majątku po wujaszku, jest zero. Posiadam więc majątku zero. Gdy dodam własną osobę, będzie zero, co powiększone przez moje zdolności, chęci i umiejętność do pracy, daje także zero — czyli: *finita la commedia!* Potem się jedzie do krewnych na pomagającego w gospodarstwie i czwartego do wista, albo osiada się w małem miasteczku, albo na cichym pensyonacie Towarzystwa Dobroczynności — i rzeczywiście: *finita la commedia!*

A propos Towarzystwa Dobroczynności, będziemy mieli zabawę loteryjno-kwiatową na jego dochód w parku praskim. Czy też wiecie, mili czytelnicy, dlaczego się tak nazywają podobne zabawy? Oto dlatego, że gra się na nich w loteryę, a wydeptuje się kwiaty. Przynajmniej tak bywało zawsze w ogrodzie Saskim, który i tego lata zapewne podobnego losu nie uniknie.

Dziwne ma szczęście jednak ten ogród Saski. Wprawdzie trawniki wydeptuje publiczność, na zabawach kwiatowych tratują kwiaty, okopcają liście, zanieczyszczają powietrze, ale jakże go kocha i pieści jego własny zarząd? Jakże starannie łatają się wszelkie dziury w drzewach staremi blachami, które poprzybijane za pomocą zardzewiałych ufnali, bronić mają widocznie od zaziębienia i kataru sędziwe kasztany i lipy! jakże ozdobiony ogród tym skręconym np. ślimakowato pagórkiem, usadzonym w tak romantyczny a nagły i niespodziewany sposób w zagłębieniu wyschłej sadzawki, że aż dało to powód do pewnych porównań, dowodzących, jak dalece trywialny cynizm rozszerzył się u nas w ostatnich czasach! Wprawdzie są ludzie, wyśmiewający się z owego źródła dla ptaków, urządzonego we wrębie wyschłej sadzawki, dlatego tylko, że woda w czasie upałów jest w nim ciepła, i że ptaki jej pić nie chcą. To trudno! Nie można latać za wróblami i zmuszać je, aby piły, kiedy im się pić nie podoba; nie można dmuchać na wodę, aby ją ochłodzić w czasie upałów; jak jednak zarząd stara się myśleć o wszystkiem, na to znajdujemy mnóstwo daleko świeższych dowodów. Oto np. na lewo od wejścia ze strony Saskiego placu była aleja doskonale wszystkim znana, najpiękniejsza i najcienistsza ze wszystkich, odznaczająca się szcze-

gólnie tem, że kasztany jej prawie do ziemi zwieszały końce swoich długich konarów, tworząc tym sposobem nad ulicą jakby rodzaj zielonej kopuły. Mówiąc nawiasem, tych kasztanów, a raczej tych zwieszonych konarów mogły nam pozazdrościć zagraniczne ogrody. Starają się tam o takie rzeczy, ale niezawsze z powodzeniem; a u nas, ot, tak sobie jakoś Bóg dał, że samo wyrosło, bez niczyjej pomocy. A teraz cóż czyni zarząd ogrodu? Oto każe obcinać do połowy owe zwieszone cieniste konary. Fakt się już stał. Poobrzynane gałęzie sterczą do góry, niby poobcinane, a wołające o pomstę do nieba ręce. Czy jednak słusznie wołają? Czy i wy słusznie krzyczycie wniebogłosy, mili czytelnicy. A nuż takie duże gałęzie mogły zdrowiu drzew zaszkodzić? A nuż przygłuszały trawę na trawniku, nad którym się zwieszały? Trawa taka mała, a drzewa takie wielkie, można-ż więc było pozwolić na taki akt przemocy mocnego nad słabym? Dlaczegóż było nie wyrządzić sprawiedliwości trawie? Ale wy krzyczycie, że wyrządzając sprawiedliwość trawie, wyrządzono krzywdę waszym głowom, którym teraz słońce będzie dopiekało bezkarnie. Ha! to trudno. Głowy nie są integralną częścią Saskiego ogrodu, a tylko o ogrodzie tu się myśli.

Ale gdyby nawet zarząd nie miał racyi, gdyby nawet sam nie wiedział, dlaczego to zro-

bił, w każdym razie dał dowód, że nie śpi sobie spokojnie, podczas gdy przychodzi wiosna, gdy rozwijają się drzewa, gdy z pączków strzelają liście. Wam wolno obcinać włosy i paznogcie; ma więc zarząd prawo obcinania drzew i gałęzi, jak mu się będzie podobało.

Nie chciałbym, aby słowa moje zrozumiał ktoś inaczej, niż je napisałem, mogłoby to bowiem sprowadzić pewne ochłodzenie stosunków między mną a zarządem — stosunków, które dotąd nie pozostawiały nic do życzenia. Wprawdzie nie znałem zarządu, umiałem jednak cenić jego działalność, czego dowody mógłbym znaleźć w licznych dawniej napisanych felietonach, w których również oddawałem liczne pochwały wielu innym zarządom i instytucyom, poczytującym mnie jednak, nie wiem z jakiego powodu, za swego wroga.

Do takich instytucyi należy np. komitet Resursy kupieckiej, do takich nakoniec i Towarzystwo muzyczne należy, w którem szczególnie odcinki moje nie cieszą się sympatyą ani członków, o których, mówiąc otwarcie, chodzi mi bardzo mało, ani członkiń, o które (a raczej o niektóre) chodzi mi bardzo wiele.

Owóż chcąc już raz opinię prześladowcy Towarzystwa utracić, oświadczam, że w ostatnich czasach działalność tego Towarzystwa na wszelkie zasługuje uznanie. Dyrektor raźno krząta

się koło spraw Towarzystwa, dlatego koncerty idą dobrze, chóry w projekcie już prawie są, orkiestra podobno chce się tworzyć, a członków zapisuje się coraz więcej.

Owóż z tego, co przed chwilą o Towarzystwie i jego teraźniejszym stanie powiedziałem, pokazuje się jak na dłoni, że dla instytucyi tej żywię najszczerszą sympatyę; że zaś swego czasu pozwoliłem sobie napisać parę słówek mniej przyjemnych rodzinie Narwickich i prowadzonemu na sznurku przez Narwickich Demosowi — to rzecz inna. Podobnych wycieczek nietylko na przyszłość się wyrzekam, ale z góry oświadczam, że jeśli nie rozpisuję się obecnie zbyt szeroko, np. o oklaskach bitych ze szczególniejszym a niebywałym dotąd zapałem zeszłego piątku młodej amatorce, czynię to tylko dlatego, że rozumiem, iż niektórzy słuchacze odznaczają się temperamentem zbyt krwistym, skłonnym do uniesień i porywów. Rozumiem zwłaszcza, że porywy tem bardziej zasługują na uznanie, gdy są wyrazem ściślej rozumianej solidarności, pozwalającej oświadczyć po skończonym wieczorze w gronie ściślej temperamentem obdarzonych, że: «dziś zakasowaliśmy śpiewaniem wszystkich. Oj! ej!»

Tego rodzaju uczucia zawsze w najgorszym razie zasługują na jak najszersze felietoniczne uznanie, i poświęciłbym im niezawodnie, ku zbu-

dowaniu moich czytelników, daleko więcej miejsca, gdyby nie to, że mi pilno do nowin następnych.

Do tych nowin należy naprzykład wesoła wiadomość, że składki na ogród zoologiczny w Warszawie, lubo niezbyt pośpiesznie, idą jednak dość regularnie. Co jednak zasługuje na uwagę, a zarazem na najwyższe pochwały, to fakt, że obywatele dalszych prowincyi biorą równie żywy w składkach tych udział, jak obywatele bliżsi. Bądź co bądź, jest już pewność, że projekt przyjdzie do skutku; nie wiadomo tylko, jak długo na urzeczywistnienie jego poczekamy; ale choćby przyszło nam czekać tak długo, jak np. wierzycielom Jakubowskiego na odbiór pozostałej masy, będziemy krzepili się tą nadzieją, którą nie wiem czy się wierzyciele krzepili, że im później rzecz przyjdzie do skutku, tem większe zbiorą się środki, a zatem i tem większy będzie rezultat.

Innych nowin niewiele. Domy przestały się rozwalać, zbrakło więc przedmiotu, który przed tygodniem jeszcze dostarczał najobfitszego materyału do rozmów i artykułów. Owo rozwalanie się domów nazwano arcy dowcipnie wielkiem obniżeniem lokalów. Jużci przyzna każdy, że jak się dom zawalił, to i lokale się obniżyły. Obniżyły się wprawdzie razem z lokatorami; bądź co bądź, może to jednak będzie nauką dla

tych, którzy wśród tysiącznych narzekań na chciwość gospodarzy, szczególnie o obniżenie wołali. Gospodarze biorą się teraz pod boki: Chcieliście — macie!

Co do mnie, wolę już płacić za swój lokal tyle, ile płacę, byle mi go nie obniżano w ten sposób. Jeszcze prostszy jest sposób uciec na letnie miesiące z Warszawy, bo jakkolwiek sposób ten nie zabezpiecza kieszeni, ale chroni przynajmniej życie.

Ale w naszych czasach i uciec nawet niełatwo. Narzekamy i słusznie narzekamy na brak środków komunikacyjnych, który to brak czyni niemożliwemi wycieczki w okolice miasta. A tymczasem sezon tych wycieczek nadszedł już — nadszedł maj, blady wprawdzie, chłodny, smętny, ale pogodny. Sezon letni zaczyna się wprawdzie bez słowików, bez bzów wonnych, bez liści nawet — ale nie mniej zaczyna się. W teatrach gorąco już tak, że trudno wysiedzieć. Wkrótce ustanie ta najpotężniejsza nasza rozrywka zimowa — albo raczej będzie wegetowała tylko w teatrze letnim.

A szkoda, bo rozrywka ta tego sezonu potężniejsza była niż kiedykolwiek. Reżyserya staranna i pracowita wprowadzała wiele nowych sztuk, odnawiała wiele lepszych dawniejszych — słowem: szło wszystko sprawnie i energicznie.

Nie brak także pięknych zapowiedzi; mają grać: Przyjaciół, Młodą wdowę; a oto i p. Kaszewski tłómaczy Aryę i Messalinę Wilbrandta — a i p. Rapacki pisze nowy dramat. Ponętne obietnice!

Gazeta Polska, 1875, Nr 95 z dnia 3 maja.

XVII.

Koncert Fliegego. — Sala koncertowa. — Zapachy. — Koncert niedzielny. — Tow. muzyczne. — Teatr letni. — Kapelusze i cukiernie. — Golarz i szczotkarz. — Wojna. — *Kuryer Codzienny* i Bolesław Prus. — Konkurs pedagogiczny. — Francuskie podręczniki o dobrem dziecku.

Onegdaj zatem, to jest w sobotę, odbył się pierwszy koncert orkiestry p. Fliegego. Pogoda nie sprzyjała mu bynajmniej, bo od rana padał deszcz, z rzadka tylko przerywany wesołymi uśmiechami słońca, po południu zaś zachmurzyło się na dobre. Koncert więc odbył się w sali, co nie wyszło na dobre ani panu Fliegemu ani jego słuchaczom. Nie sądźcie, żeby słuchacze wyszli niezadowoleni z muzyki. Bynajmniej; ale jeśli miło jest słuchać Rossiniego, upajać się Beethovenem, Haydnem i t. p., słowem, jeżeli miło oddawać się wrażeniom i rozkoszom natury czysto idealnej, to tylko wówczas, kiedy wrażeniom tym nie towarzyszą inne, wprost im

przeciwne i arcy poziome. Tymczasem w sali Doliny Szwajcarskiej dziwnie jednocześnie doświadcza się rozmaitych wrażeń. Oto grają np. Wilhelma Tella. Przymykasz oczy i z zachwytem słuchasz dźwięków górskiego rogu, którego echo roztrąca się o skały. Myślą przenosisz się do Szwajcaryi. Widzisz góry — i śniegiem okryte wierzchołki, i przepaści, i dzikie równiny. Słyszysz metaliczne dźwięki źródlanej wody, uderzającej o skały — dochodzi cię huk wodospadu, nad którym kraczą orły. Słońce rozkłada w siedm barw promień w mgle wodnego obrusa. Otacza cię natura i poezya. Marzysz... aż nagle urok pryska. Co się stało? E, nic! to tylko uderzył cię nagle zapach wątróbki cielęcej, którą, jak każdemu wiadomo, przyrządzają z cebulką. Oto właśnie garson stoi na końcu sali przy bufecie, trzymając w ręku dwa mocno dymiące talerze. Niezła to nawet rzecz jest ta wątróbka cielęca, tylko szkoda, że tak mocno pachnie, i że niepodobna jej pogodzić z muzykalno-poetycznymi zachwytami. Zresztą przyjemniej jest spożywać przeróżne sosy, niż za swoje dwa złote wąchać przeróżne sosy. Na to zgodzą się wszyscy. Przytem gorąco jest w sali, duszno, *pianissima* nikną głuszone przez rozmowy, *fortissima* rozsadzają uszy — bogdaj to na świeżem powietrzu! bogdaj uśmiechnięty wieczór letni! — i zielone drzewa, i powiew wiatru, niosący nie

zapach zrazów lub kotletów, ale bzów, jaśminu i akacyi.

Ale wracając do orkiestry Fliegego — kapela to liczna i dobrana. Znawcy specyalni ściślej opiszą wam, mili czytelnicy, jej przymioty i wady. Co do mnie, choćbym chciał to uczynić, Bóg widzi, że nie mogę dla braku wtajemniczenia się, kiedy należy używać i w jakim sensie, mówiąc o muzyce, wyrazów takich, jak kontury, koloryt, cieniowanie, tło itp., które składają dzisiejszy język muzyczny. Gdybym użył tych wyrazów na chybi trafi, napisałbym może potężną recenzyę, ale nie stałbym się od innych zrozumialszy; wolę więc poprzestać na prostej uwadze, że orkiestra jest liczna i że będzie mogła śmiało zastąpić te dobre, które grywały dawniej.

Drugie jej wystąpienie odbyło się już nie w sali, ale na świeżem powietrzu, dlatego zgromadziło przeszło dwa razy tylu słuchaczów, co pierwsze. Bawiono się nieźle, lubo muzykalniejsze osoby narzekały na zbyt niedzielny program, dla profanów, nie dla znawców przeznaczony. Trzeba jednak wyrozumieć, że dyrektorowi więcej o ilość, niżeli o jakość słuchaczów musi chodzić, i że skutkiem tego stara się przemawiać do uszu publicznych językiem, ile można, popularnym.

Nie wątpimy jednak, gdy dłuższy pobyt

w Warszawie przekona go o jej tak wychwalanem znawstwie i muzykalności, obawy jego rozproszą się i zamiast zniżać się do swych słuchaczów, będzie się starał wznieść ich coraz wyżej.

Tymczasem korzystając z bytności muzykalnych sił świeżo do nas przybyłych, Towarzystwo muzyczne rozjedzie się na wakacye, by spocząć po zimowych trudach. Rzeczywiście, należy mu się spoczynek, a raczej, jak każdemu rekonwalescentowi, potrzebny mu jest spoczynek, świeże powietrze i mleko prosto od krowy, które ma własność usuwania niestrawności i łagodzenia uderzeń do głowy, na które tak bardzo w ciągu całego sezonu cierpiało Towarzystwo.

Ale nim wakacye nastąpią, będziem jeszcze mieli dwie środy, to jest dwa większe koncerty. Koncerty te bywają teraz bardzo staranne, niemniej jednak uczęszczanie do sal redutowych staje się coraz trudniejszem. Już to cały ten gmach teatralny odznacza się tem, że byle trochę cieplej na dworze, panuje w nim prawdziwie afrykańska temperatura. Obecnie już w obu salach — prawie niepodobna wytrzymać; na scenie zaś teatru Rozmaitości występujący artyści doświadczają wszelkich błogich skutków kąpieli w łaźni parowej, które to kąpiele, być może, że używane umiarkowanie, służą zdrowiu, ale nadużywane niewątpliwie osłabiają nerwy,

a razem z niemi energię, werwę i nakoniec ochotę. Widocznie nadszedł już czas otworzenia Teatru Letniego. Ma on wprawdzie swoje niedogodności. Wiatr wykręca po nim, jak mu się podoba; fluksye, bóle zębów, reumatyzmy, strzykania w uszach, są najpospolitszemi wrażeniami, jakie się z niego wynosi; ale pominąwszy owe ciemne strony, płynące może ze zbyt ażurowego rodzaju architektury, jest w nim przynajmniej znośnie. Zdaje się, że przeniesienie się do niego nie sprawia wiele ambarasu. Pewnego dnia zjawia się na ulicy Niecałej kilka fur wiozących papierowe drzewa, wody, skały, strumienie i inne części krajobrazów; papierowe ściany kilku, bez zbytniego zresztą przepychu urządzonych pokojów — i oto sprawa załatwiona. Na drugi dzień kochankowie i kochanki, margrabiowie, książęta, czarne i białe charaktery, deklamują już wśród ścian drewnianych, a kochają się, żenią i umierają wobec publiczności, trzymającej kapelusze nie w ręku, ale na głowie. Trzymanie bowiem kapeluszów na głowie jest rzadkim u nas przywilejem Teatru Letniego. Mówimy: rzadkim przywilejem, nigdzie bowiem w Europie odkrywanie głów we wszystkich miejscach publicznych nie jest tak rozpowszechnione, jak u nas. Utrzymują, że może się dzieje to klimatem, ależ klimat u nas bardziej niż gdzicindziej każe zakrywać głowy. Nie wymagamy, aby siedziano w kape-

szach w teatrze, tego bowiem zwyczaju niema nigdzie; możnaby jednak naprzykład po cukierniach śmiało zatrzymywać kapelusze na głowach. Nieraz nie masz gdzie kapelusza położyć, a jeżeli i jest próżny stolik, to niezawodnie świecą na nim nie starte od wczoraj strumyki kawy, śmietanki, błyszczą się lepkie cząstki półrozpuszczonego cukru i tym podobnie. A jednak, jeżeli zostawisz kapelusz swój na głowie, jako na części ciała, która u wielu ludzi po to tylko jest stworzoną, aby mieli na czem nosić tę nieodstępną część ubioru, wnet zbliża się cukiernik, już zdaleka stara się nadać swym oczom wyraz słodkiej i poprawnie paryskiej uprzejmości, pochyla się nad tobą, uśmiecha grzecznie i mówi:

— Pan będzie łaskaw — przepraszam najmocniej — zdjąć kapelusik.

— A to z jakiego powodu?

— Albowiem ciastka... ten! chciałem powiedzieć damy...

— Niema ich.

— Mogą nadejść.

Nie lubisz być upominany, nie zdejmujesz kapelusza, albo wychodzisz zły. Czasem zdarza się, że nie gospodarz zakładu, ale jaki ultrakonserwatywny gość upomina cię w sposób mniej lub więcej szorstki, abyś odkrył i okazał światu wierzch twej czupryny, peruki lub ły-

siny. Odpowiadasz mu, żeby patrzał swej filiżanki z kawą; stąd sprzeczki, stąd ekspens bezpożyteczny wielkich zapasów ironii, a czasem rozwiązanie sprawy jeszcze ostrzejsze. Niedawno z tego powodu, w jednej z najbardziej odwiedzanych cukierni, odbyła się scena następująca. Pewien jegomość, nie zdjąwszy kapelusza, mimo uprzejmych rad gospodarza zakładu, opuścił go wcale nie w różowem usposobieniu. Tymczasem inny jegomość, który poprzednio już, siedząc za pierwszym, mierzył go wzrokiem wyzywającym, zbliżył się do gospodarza i spytał:

— Kto jest ten pan, który wyszedł, a który siedział tu wobec mnie w kapeluszu?

— Jest to fabrykant szczotek — odpowiada cukiernik.

— Gdyby nie był wyszedł, dałbym mu nawet naukę. Kto to jest?

— Fabrykant szczotek.

— Tak? Aha! Jak to zaraz znać człowieka z gminu! Szczotkarz! Dlaczego ja tego nie zrobię?

To mówiąc trzaska drzwiami i wychodzi.

— Kto jest ten młody arystokrata? — pytają wszyscy po odejściu drugiego jegomości.

Cukiernik chwyta się za nos i poczyna palcem prowadzić po twarzy jakby brzytwą:

— Golarz, panie dobrodzieju — odpowiada.

Golarz więc poczytywał szczotkarza za czło-

wieka z gminu. A wszystko to *à propos* kapelusza. Widzimy z tego, że razby już przecie wypadało uregulować tę kwestyę, która już nietylko, od czasu do czasu, prywatne indywidua na się obrusza, ale może się stać powodem niechęci całych korporacyi sławetnych golarzy i szczotkarzy, które tem względem siebie powinny być zawsze bliższe, że zadaniem ich jest utrzymanie porządku w częściach organizmu ludzkiego, tak blizkich siebie jak broda i czupryna.

Ale może to właśnie zazdrość wywołuje emulacyę, która z lada powodu zmienia się w mniej więcej otwartą i mniej więcej zaciętą wojnę.

Kiedyśmy wspomnieli o wojnie, wypada nam zaznaczyć, że horyzont dziennikarski zachmurza się na nowo. Nie mówimy tu oczywiście o «przyciśniętym do muru kalece», którego większość i dzienników i czytelników nie zwykła brać na seryo, i dla którego stan wojenny jest stanem normalnym. Wojna wybuchła gdzieindziej. Oto nieznany jakiś rycerz z *Kuryera Codziennego* uderzył na p. Bolesława Prusa, a uderzył z takim zamachem, że aż sam wyleciał z siodła. Nieznany rycerz stara się w dowcipny sposób zaprzeczyć dowcipu p. Prusowi, twierdząc, że jego rumak bokami robi, a żywi się cierniami. Nie wiemy, co jada rumak rycerza z *Kuryera;* nie chcemy zaś przypuszczać, żeby

za pokarm miały mu służyć rośliny kolczaste, jakkolwiek chodem ociężałym i skłonnością do wierzgania zdradza gatunek, dla którego rośliny kolczaste stanowią niezrównany przysmak. Nie przesądzając jednak tej kwestyi, postawimy pytanie inaczej: Oto, gdyby np. p. Prus chciał pisywać do *Kuryera Codziennego* odcinki, tak, jak pisuje do *Warszawskiego*, czyby pomieniony *Codzienny* nie zgodził się na drukowanie ich u siebie? Nam się zdaje, żeby się zgodził, choćby nawet przyszło przynieść na ofiarę nieznanego rycerza i jego rumaka. Inna rzecz, czy pan Prus, doradzając konkurs pedagogiczny, miał racyę czy nie, a inna rzecz dowcip. Co do nas przynajmniej, znajdujemy, że więcej go jest w jednym odcinku pana Prusa, niż we wszystkich numerach *Kuryera Codziennego*, poczynając od daty wyjścia Nru 1 do dnia dzisiejszego. Co prawda to prawda. Z drugiej strony *Kuryer* może mieć swoje powody i swoje względy, słowem, swoją najzupełniejszą racyę, dla której nie godzi się na konkurs pedagogiczny. Ale też nie wypada z tego, aby konkurs pedagogiczny nie był rzeczą potrzebną i pożyteczną.

Brak naszych podręcznych książek naukowych daje się czuć na każdym kroku; owóż w edukacyi domowej, na którą szczególną powinniśmy zwracać uwagę, posługujemy się najwięcej francuskiemi. I to jakiemi jeszcze, miły

Boże! Tam, gdzie chodzi o Francyę, jej historyę, jej literaturę etc..., ujdą jeszcze, ale gdzie chodzi nie o Francyę, ale np. o nas, tam można znaleźć takie herezye, że włosy na głowie powstają. Ja sam znam francuski podręcznik Alvares'a do literatury powszechnej, uznany przez dewotki i ich kierowników, jako będący «w dobrym duchu», w którym to podręczniku znalazłem np., że między wszystkiemi literatkami polskiemi największym talentem odznacza się madame Windulińska; że Rej był bardzo zdatnym poetą, ale Nagłowic jeszcze zdatniejszym i t. p. Owóż pomyślmy, że nie szukając dalej, książka, o której mówię, stanowi powszechnie używany podręcznik, z którego uczą wszystkie guwernancice francuskie. Łatwo się domyślić, jak będą mądre te dziewice, które w młodych latach kształcą się za pomocą, książek, w tak «dobrym duchu» pisanych. Tak więc np. konkurs pedagogiczny, którego celem byłoby ożywienie ruchu pedagogicznego, zachęcenie do pracy nad dobrymi podręcznikami, o ile celu takiegoby dopiął, byłby prawdziwie pożyteczny. Chodzi tu o coś arcyważnego, bo o edukacyę domową, która ma dopełnić szkolną. Jest to rzecz warta czegoś więcej, niż zbywania jej bajeczką o piekarzach, z których jeden piekł bułki drogie, a drugi miał zamiar piec tańsze. Powtarzam, że nie żądamy od *Kuryera*, aby ogłaszał konkurs pedagogiczny;

rozumiemy powody, dla których tego uczynić nie może; ale śmiemy żądać tak od *Kuryera*, jak i od innych pism, żeby się nad projektem konkursu pedagogicznego chciały zastanowić. Projekt, powtarzamy, wart tego. Publiczność poparłaby go chętnie. Trochę energii tylko a pilności. Wreszcie dlaczego nie spróbować?

Gazeta Polska, Nr. 99, dnia 10 maja 1875 r.

KONIEC TOMU PIĘĆDZIESIĄTEGO ÓSMEGO.

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM LIX

Warszawa. Druk Piotra Laskauera i S-ki.

Pisma
Henryka Sienkiewicza

TOM LIX

CHWILA OBECNA

CZĘŚĆ II

WARSZAWA
NAKŁAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
(DODATEK BEZPŁATNY)
1903

Дозволено Цензурою.
Варшава, 13 Августа 1903 г.

CHWILA OBECNA

CZĘŚĆ DRUGA

XVIII.

Młodzieniec złoty i pozłacany. — Cyrk. — Benefis pani Salamońskiej. — Benefisy przyszłości. — Pani Keller i trupa francuska. — Giroflé i Girofla. — Profesor Ruchwaldy i afisze. — Do Warszawy. — Czy sposób, w jaki gmina ewangelicka zarządza funduszami, może być powodem dyskusyi literackiej. — Panna i znak zapytania. — Berlińskie sposoby. — Pomarańczowa skórka i literat. — Złe obyczaje. — Saski ogród. — Gaz i roślinność. — Święta. — Stary obyczaj i nowy współzawodnik.

Czy mamy złotą młodzież? Nie, mamy tylko pozłacaną. Prawdziwy złoty młodzieniec szalał, hulał, pił, grał w karty, wyrzucał pieniądze, umizgał się do kobiet, słowem, popełniał mnóstwo głupstw i niedorzeczności, ale miał jedną dobrą stronę. Oto posiadał żywe uczucie honoru, które było dla niego tem, czem jest pochodnia dla błądzącego w ciemnościach, tem, czem jest złamek masztu dla rozbitka, rzuconego na rozhukane fale morskie. Trzymał się honoru oburącz, a choć życie rzucało nim jak piłką, nie puszczał się. To był jego *canon*. Czasem też wpa-

herbowej dewizy: łamał się... nie giął się nigdy. Przytem był to zwykle pan z panów; ot! młody orlik z rycerskiego gniazda. Tradycya nie pozwalała mu zbyt zbaczać z drogi, po której chodzili ojcowie. Swoją drogą, jako stateczny obywatel kraju, nie bywał wiele wart, marnował ojcowiznę, ale błądził zwykle głową, nie sercem. Źródłem jego wad, ale zarazem i niektórych przymiotów było, że jak mówi poeta: «Bujnie czuł za trzech ludzi, a więc żył potrójnie». Owóż więc kipiał nadmiarem życia. Owo poczucie honoru nie zawsze umiało go utrzymać na drodze czystej moralności — wcale nie! Nie chroniło go od lekkomyślności, zboczeń i błędów. Bywał wielkim oczajduszą i urwiszem. Biada ci, nieszczęsna a przystojna kobieto, czy to panno, czy wdowo, czy mężatko, jeżeli spotkał cię na swej drodze! Poczucie honoru nie broniło mu usadzać się na twą cnotę. Biada ci także, brodaty Szmulu, Lejbo lub Lejzorze, jeżeli zbyt natrętnie upominałeś się o swoje, krwawą pracą zarobione dziesięć od sta na miesiąc! Często i nie odebrałeś swego na czas, często i nie wyszedłeś na sucho! Jednak toż samo poczucie honoru, tak elastyczne względem następstw buduarowych i Żydów, bywało nader nie elastyczne pod wielu innymi względami. Nie broniło od głupstw, wybryków, szaleństw, błędów, ale broniło od podłości. Złoty młodzieniec splatał głup-

stwo, ale nie cofnął się, gdy przyszło nadstawić głowy. Sam balamucił kobietę, ale dał się posiekać w sztuki, gdy chodziło o jej honor. Przytem w żyłach miał ogień zamiast krwi. Pił dobrze, ale bił się jeszcze lepiej. Strzelał się i rąbał, jak prawdziwy szlachcic. Była to dziwna mieszanina szałaputctwa i rycerskości. Gdy przeważała rycerskość, stawał się poetycznym. Prawdziwy złoty młodzieniec ma swoje dzieje. Historya pamięta go, jak strząsając puder i pył bojowy z żabotów, wołał na Anglików: «Panowie, strzelajcie!» Innym razem brał szturmem działa, których nieglansowane rękawiczki wziąć nie mogły. U nas historya złotego młodzieńca ma swoje wieczorynki «Pod Blachą», ale ukazuje go także na spienionym koniu wśród huku dział, dymu i połysków szabel, jak ranny, ociekły krwią, skacząc w nurty rzeki, szepce umierającemi ustami: «Bóg mi powierzył honor mych braci — Jemu go tylko oddam». Powieść u nas znalazła w nim swego bohatera w osobie hr. Wilczka. Przysłowie mówi: «Krew, jak dobre wino — burzy się za młodu, tężeje na starość». Słowem, złoty młodzieniec ma swoje cechy, swoją tradycyę, swój poetyczny urok, który tem poetyczniejszym się staje, że zwolna pyłem czasu się pokrywa, zwolna zmienia się we wspomnienia, z któremi teraźniejszość i nie idzie, i nie może iść w porównanie.

Albowiem złoty młodzieniec należy już do historyi. Obecnie istnieje tylko młodzieniec pozłacany. A wiecie, czem się różni ten ostatni od poprzedzającego? Oto ma wszystkie jego wady, a nie ma jego przymiotów. Proszę was, czy widzicie tego pseudo-dżentlemena, który oto jedzie na koniu? Kapelusz ma nasunięty na tył głowy, plecy zgarbione, twarz bladą, a nogi tak wysunięte naprzód i tak palcami odwrócone od konia, że zdaje się jakoby nogami blogosławił biedne, chude a długie zwierzę, podobniejsze do przęślnicy niż do bożego stworzenia. Oto dzisiejszy złoty, a raczej pozłacany młodzieniec. Powiedzcież, czy ten dżentlemen ma w sobie coś rycerskiego? Nic! on ma raczej w sobie coś znudzonego. Blady jest, bo nie spał całą noc; nie spał, bo gdzieś w pobliżu Królewskiej grał w karty i przegrał kilka tysięcy rubli. Przytem widocznie jest dziś nie w humorze, może dlatego, że kiedy wstał, to jest o godzinie pierwszej w południe, odebrał jakiś niesmaczny list od plenipotenta dóbr swoich. Jak to, więc on ma dobra? Ma, albo lepiej: miał — i to nie małe. Po ojcach została mu fortuna, co się zowie szlachecka, ale widzicie, jakieś tam trzy części już poszły. Stracił je i, co gorsza, sam nie wie na co stracił. Przegrał wprawdzie sporo, ale nie na grę większa część poszła, ale ot tak, rozlazła się. Żeby był szalał pełną piersią, żeby był wychylił do dna kielich rozkoszy,

ale rozkoszy potężnej, palącej jak płomień, a estetycznej — mógłby przynajmniej kiedyś, robiąc obrachunek z życiem, powiedzieć jak Salomon: Wszystkiegom użył, wszystko widziałem etc. Ale gdzie tam! ten dżentlemen nie umiał nawet i używać. Czy wiecie na kogo tracił i komu zadawał szyku? Oto kelnerom w hotelu, garsonom w restauracyach. Zdarzało się także, że kataryniarzom wyrzucał po sto rubli przez okno. Kosztowali go także niemało guwernerowie, którzy wprowadzali go w życie i obznajmiali z jego tajnikami. Kosztowały go także niemało przedwstępne kroki do serc prymadon baletniczych, które w końcu — o złośliwości ludzka! — wystrychnęły go na dudka. Zresztą sam nie wie, gdzie mu się wszystko jakoś podziewało. Ale prawda! raz musiał dobrze zapłacić skoczka na linie, czy na koniu, od którego, jak twierdzą złe języki, podobno coś oberwał za umizgi do jego żony. I cóż myślicie? Twierdzą, że zniósł to z rezygnacyą! Ha! *tempora mutantur et nos mutamur in illis.* Z jakim przestajesz, takim się stajesz; kto więc żyje za pan brat z klownami, ten się nie obraża o lada co, gdyż, jak wiadomo, klowny nieraz się biją między sobą, a jednak nie obrażają się na siebie. Ale owóż teraz rozumiecie zapewne różnicę między złotym a pozłacanym młodzieńcem. Tamten przy swoich wadach dumny był jak szatan i rycerski, ten

jest mniej dumny i mniej rycerski, a jeżeli jest i rycerski, to chyba względem dam cyrkowych.

Co jednak prawda, to prawda: względem dam cyrkowych jest jeszcze rycerski. Oto jeżeli się zdarzy jaki cyrkowy benefis, to dzisiejszy pozłacany młodzieniec płaci, choćby po sto rubli za lożę. Trzeba się przecie pokazać. *Noblesse oblige*, mówi francuskie przysłowie, a przecie benefisy nie zdarzają się codzień.

Tak jest. Nie zdarzają się one codzień, jednak przy dobrej woli cyrku i publiczności mogą być dosyć częste. Oto naprzykład, mieliśmy niedawno benefis pani Salamońskiej. Na pierwszy rzut oka dziwny to nawet benefis, boć zdaje się, że p. Salamońska, jako żona właściciela cyrku, ma codzień benefis. Bodajże cię! prawda! Jużci dochody z cyrku codzień idą dla p. Salamońskiego i p. Salamońskiej, ale swoją drogą benefis ma tę racyę bytu, że podczas zwykłego przedstawienia płaci się np. loża rubli sześć, a podczas benefisu tak pełnej wdzięków osoby nie wypada szykownej młodzieży dać mniej za lożę, niż rubli srebrem sto. Rozumiane w ten sposób, benefisy wydają się tak racyonalne, że nikt nie powinien się dziwić, jeżeli w przyszłości będzie drugi benefis p. Salamońskiego, trzeci małego Fredego Salamońskiego, a czwarty tych nawet jeszcze mniejszych od Fredego istot, któremi dobrotliwa Opatrzność

może w przyszłości obdarzyć pana i panią Salamońskich.

Tymczasem, nim owe przewidywane benefisy nastąpią, ważne zmiany gotują się w cyrku. Większość osób, składających go do dziś, wyjeżdża, a natomiast przyjeżdżają nowe siły, aby emulować z teatrem, z teatrzykami ogródkowymi i ze wszelkiego rodzaju mniej więcej przyjemnemi i mniej więcej kosztownemi widowiskami, jakiemi obdarza nas corocznie sezon letni.

Z teatrem, a raczej z dwoma, stojącymi naprzeciw ratusza, emulować co lato nie trudno. Dziś już usiedzieć tam niepodobna, a cóż dopiero, gdy nadejdą coroczne upały i poczną wygrzewać grube, ciężkie i zaduszne mury pomienionych gmachów. A jednak znajdują się odważni przedsiębiorcy, którzy chcą przez lato urządzać tam widowiska. Pisma doniosły przed kilku dniami, że przybywa trupa francuska pod dyrekcyą pani Keller i będzie dawała przedstawienia w teatrze Wielkim. Widocznie pani Keller albo nie lęka się gorąca, albo jak większość Francuzów, sądzi, że u nas zima trwa dziesięć miesięcy, a wilki i niedźwiedzie latają po ulicach, napadając niebacznych przechodniów.

Zanim wszakże Francuzi przyjadą, w teatrze — zapewne w letnim — mają niezadługo wystawić buffę Giroflé i Girofla. Nie przesą-

dzając muzyki tej operetki, o której nasz specyalny sprawozdawca muzyczny wyda zapewne sąd odpowiedni, pomówimy o samem librecie sztuki. Donoszą, że jeden z tłómaczów już podobno zajął się przekładem tego arcydzieła, które przed rokiem mieliśmy sposobność oglądać na jednej ze scen zagranicznych. Przypominamy sobie, iż z trudnościąby przyszło między wszystkiemi libretami buff znaleźć choć jedno równie niedorzeczne. Pewni rodzice — ojciec safanduła, matka Herod — mają dwie córki Giroflé i Girofla, podobne do siebie jak dwa ziarnka grochu. Obie panny wychodzą jednocześnie za mąż: jedna za przystojnego Hiszpana, druga za Maura czy Murzyna, prawdziwego afrykańskiego goryla, który ryczy zamiast mówić, wyszczerza zęby, ustawicznie wydobywa z za pasa jatagany; słowem: gotów bić, zabijać, kaleczyć z lada powodu. Tymczasem, natychmiast po ślubie, korsarze porywają oblubienicę goryla. Na szczęście jednak, goryl nic o tem nie wie. Ale rodzice boją się mu powiedzieć, gdyż natychmiast uczyniłby z nich jatki. Cóż się więc dzieje? Oto pozostała Giroflé udaje zarazem i porwaną siostrę. Rodzice szukają porwanej na gwałt, a tymczasem tak manipulują pozostałą, żeby każdemu z nowożeńców zdawało się, że jest w posiadaniu swej małżonki. Hiszpan jednak, który wie, co się dzieje, warunkowo zgadza się tylko na taką rolę dla

swej żony; całem więc staraniem rodziców jest, żeby zastępstwo owo nie wyszło z pewnych nader umiarkowanych granic. Tymczasem innego widocznie zdania jest czarne bydlę afrykańskie, które ryczy na widok nadobnej swej małżonki i nie rozumie, dlaczego ustawicznie ktoś mu wlazi w drogę. Gniew jego wzrasta i już już ma się zmienić w ogólną rzeź, gdy na szczęście zatracona Girofla znajduje się, i wszystko kończy się pomyślnie. Taka to akcya i jej perypetye stanowią treść tej sztuki, którą się Francuzi i Belgijczycy zachwycają, a którą, prawdopodobnie, skłonna do zachwytów Warszawa niemniej zachwycać się będzie, zwłaszcza jeżeli świetność wystawienia dorówna choć w części zagranicznemu.

Co do innych nadzwyczajności, które ustom naszym ani razu przez całe lato nie dozwolą się zamknąć, niepoślednie miejsce zajmuje także słynny magik i czarodziej indyjski, profesor Ruchwaldy, którego przyjazd zapowiadaliśmy naszym czytelnikom w jednym z poprzednich odcinków. Obecnie przyjazd ten zapowiadają już afisze. Na afiszu przedstawiony jest w drzeworycie sam profesor Ruchwaldy, jak trzyma w ręku swoją własną głowę, która to sztuka ma stanowić kwintesencyę jego przedstawień. Sztuka, nie ma co mówić, jest piękna; sądzimy jednak, że wkrótce i my potrafimy jej dokazać. Teraz

profesor trzyma się za głowę, gdy zaś odjedzie, wówczas porachowawszy, ile od nas wyniósł grosiwa, my porwiemy się za głowę, profesor zaś będzie trzymał się za kieszeń. «O miły Albionie mój! — woła, mówiąc o Anglii, Thackeray — kiedyż nauczysz się trzeźwo patrzeć na rzeczy i miotłę poczniesz nazywać miotłą!!» Miła Warszawo! — wykrzykuję i ja śladem Thackeraya — kiedyż nauczysz się trzeźwo patrzeć na rzeczy i nie pozwolisz się wyzyskiwać wszelkiego rodzaju drapichróstom i wydrwigroszom! Oto niedawno kazali ci płacić za słuchanie, jak wyją psy niemieckie przy fortepianie; a gdy się wreszcie za swoje pieniądze przekonałeś, że przy fortepianie wyją tak, jak i bez fortepianu, czyli że przy fortepianie wyją tak samo, jak przy śmietniku na podwórzu — czego zresztą zawsze darmo możesz słuchać, — gdy to mówię minęło, przyjechał Gassner. Gdy ten, dawszy ze dwieście nieodwołalnych przedstawień, wyjechał — przyjeżdża z zapasową głową Ruchwaldy. Widzisz, on ma zapasowe głowy — a iluż z pomiędzy mieszkańców...

No, to znowu inna kwestya, której wolę nie poruszać, w obawie, aby nożyce nie ozwały się echem na jakim stole... choćby redakcyjnym. Nie mówi się o pewnych rzeczach bez niedyskrecyi. Z drugiej strony wiadomo, że np. gdzie panuje epidemia, tam również nie mówi się o niej

wcale, albo przyciszonym głosem, z palcem na ustach. Nie czynię tu żadnych zastosowań, ale wolę być ostrożnym, albowiem od czasu, jak dowiedziałem się, że sposób, w jaki gmina ewangelicka zarządza swymi funduszami, nie może być przedmiotem dyskusyi dziennikarskiej — doprawdy sam nie wiem, o czem mówić wypada, a o czem nie wypada. Patrzcie państwo! A ja właśnie myślałem, że sposób, w jaki gmina nietylko ewangelicka, ale i każda inna zarządza swymi funduszami, nietylko może być, ale i powinien być przedmiotem dyskusyi dziennikarskiej. Rozumowałem tak: gmina otrzymuje zasiłek z loteryi fantowej; na loterye fantowe uczęszczają, bez różnicy, zwolennicy wszelkich wyznań, ani jedno bowiem wyraźnie uczęszczać na fantowe loterye nie zabrania. *Ergo* gminie zasiłek daje publiczność, *ergo* publiczność ma prawo wiedzieć, w jaki sposób gmina zasiłku używa, oraz jakie są najlepsze używania go sposoby. Że zaś, nakoniec, publiczność może dowiedzieć się o tem przez prasę, zatem prasa ma prawo i obowiązek o podobnych rzeczach dyskutować.

Zdaje się, że wniosek prosty i logiczny, a jednak — jak to pozory mylić mogą! Widocznie, jak np. w Miechowie rajcy mają swój własny, miechowski smak artystyczny, który im każe starożytną kościelną kopułę nowożytną statuą

przeciążać, jak w Lublinie i w każdem mieście istnieje miejscowy rozum, tak i w Warszawie każda gmina ma swoją własną logikę, w niczem od ogólnej niezależną. Taka decentralizacya logiczna może mieć nawet swoje dobre strony; dla mnie jednak, jako dla felietonisty, wielce jest niedogodną, nakazuje mi bowiem każdą rzecz inną mierzyć miarą i odbiera zaufanie w felietoniczną wolność mówienia o wszystkiem, o czem mi się tylko mówić podoba.

Onieśmielony w ten sposób, nie wiem np., czy wypada stawić mi pytanie koleżance mej, pannie felietonistce z *Kuryera Codziennego*, dlaczego pisząc bez żartów wcale żywo, ładnie, a będąc przytem panną, podpisuje się znakiem zapytania. Wogóle i panna i znak zapytania, który nie wiadomo, czy przeszłość, czy teraźniejszość, czy przyszłość, czy nakoniec sumę posagową ma wyrażać, jest to kombinacya nadzwyczaj mało sympatyczna i bardzo mało budząca zaufania. W dzisiejszym sceptycznym wieku może to jej, to jest pannie, nazawsze zagrodzić losy, które z pomocą pisania felietonów tylko w nader niedokładny sposób dadzą się ubezpieczyć.

Tak jest! nad nazwą warto nieraz dobrze się zastanowić, albowiem nazwa to rzecz niemała. Gdybyśmy np. nie byli dowiedzieli się uroczyście, że ulica Mazowiecka została przebrukowana na sposób berliński, bylibyśmy pewni,

że jadąc np. po owym bruku dorożką, przycinamy sobie skutkiem trzęsienia zębami język w sposób arcy krajowy, nie zagraniczny. Nie mielibyśmy tej pociechy, którą teraz mamy, że jednak nie rdzewiejemy w pyle, ale idziemy naprzód, wprowadzamy u siebie ulepszenia zagraniczne, które, potykając się na berlińskim bruku, spotykamy i przypominamy sobie na każdym kroku.

A chodzenie po naszych brukach i chodnikach tem obecnie jest niebezpieczniejsze, że zbliża się lato; tanieją pomarańcze, a zatem coraz większa ilość pomarańczowych skórek będzie nam się plątała pod nogami. Oto niedawno z powodu pomarańczowej skórki o mało nie stał się ofiarą wypadku jeden z najstarszych literatów warszawskich. Wywodzi się z tego i piękna nauka moralna, jak to czasem najmniejsza rzecz bywa upadku wielkości przyczyną, i jak okropne są skutki płochości amatorów pomarańcz, którzy, jedząc je na ulicy, nie chowają skórek do kieszeni, czem i gospodarstwu domowemu szkodę przynoszą, i bliźniego upadku mogą być przyczyną. A więc:

Dziatki przestańcie, bo się źle bawicie:
Dla was to jest igraszką, nam chodzi o życie!

a przynajmniej o nogi i nosy, których sobie rozbijać nie mamy wcale ochoty. Zły to zwyczaj,

ale ileż to jest złych zwyczajów, o których poprawę napróżno wołamy *de profundis!* A naprzykład ogony damskie, a rzucanie niedopalonych cygar i papierosów, a wiele innych? W Saskim ogrodzie już od ogonów kurz — całe tumany nawet, a cóż to będzie później, gdy nadejdą upały — gdy resztki wilgoci wyschną — prawdziwe płucobójstwo, wołające o pomstę do nożyc, z pomocą których możnaby się od ogonów uwolnić.

Ach, ten ogród Saski! Wystawcie sobie, mimo wysileń zarządu, mimo starań i najtroskliwszej opieki, mimo odzierania drzew z kory, obijania starą blachą, obcinania gałęzi... rozwinął się i zazieleniał. Że też to jednak przeciw sile natury przy najlepszych chęciach nic poradzić nie można! Zazieleniał, rozwinął się, niezadługo zakwitnie — i cóż z nim zrobisz? Ptaki także zdrowe. Piją wodę jakby nic, a co który cały zapas wypije, to poczekawszy z godzinkę dla drugiego wróbla się nasączy i tak *langsam, langsam, aber gut.* Do zbytku nie trzeba ich przyzwyczajać — po co się mają rozpijać?

W tych czasach przeprowadzają w ogrodzie rury gazowe. Dotychczas Zarząd mniemał, że istnienie rur, a raczej gaz w nich zawarty, niezmiernie szkodzi roślinności; obecnie jednak Zarząd zmienił zdanie, albowiem ktoś zwrócił uwagę Zarządu, że jeśli gaz zamknięty jest w rurach,

tedy z roślinnością nie może mieć najmniejszego ani bezpośredniego, ani pośredniego związku, a zatem nie może jej szkodzić. Zarząd, puściwszy w ruch odpowiednie organy myślenia, doszedł po lekkiem wysileniu pomienionych organów do tego samego wniosku, i obecnie rury złożone w ogrodzie zostaną lada dzień zakopane, a prawdopodobnie byłyby już zakopane, gdyby nie święta.

Owe święta przypominają mi, że wypadałoby zdać jeszcze sprawę naszym czytelnikom z zabaw i uroczystości na Bielanach. Brak jednak miejsca nakazuje nam odłożyć na później sprawozdanie. Miały owe zabawy współzawodnictwo w zabawach Ujazdowskich. Starożytny obyczaj musiał walczyć z nowym, ale jeszcze stary zwyczaj odniósł zwycięstwo właśnie dlatego, że jako starszy, milszym był sercom Warszawian. Czy i w przyszłości tak będzie? Zapewne. Zresztą potem o tem.

Gazeta Polska, 1875, Nr. 105 z dnia 18 maja.

XIX.

Historya wąsów. — Hołdy mazowieckie. — Co będzie dalej? — Ruchwaldy. — Sezon letni. — Ogólna ociężałość. — Ciało kupieckie. — Reprezentanci. — Zarząd szpitala na Pradze i fantowa loterya w parku Aleksandryjskim. — Telegrafiści. — Depesze. — Sezon pożarny.

Kiedy pewnego poranku młody jeden tutejszokrajowy dżentlemen, który udawał angielskiego lorda, to jest bawił się w ten sposób, że się nudził, wyjrzał przez weneckie okno na dziedziniec swego pałacu, ujrzał tam widok, na który zimno go przeszło od stóp do głowy.

A jednak w widoku owym nie było napozór nic okropnego. Na dziedzińcu stangret Jan czyścił spokojnie elegancki angielski powozik. Powozik był jakby prosto z igły, a Jan nie mógł obrazić niczyich oczu. Chłop był rosły, piękny, pleczysty, prawdziwy mazur — do koni sprawny. Na koźle wyglądał jak świeca. Polewał oto sobie właśnie wiaderkiem koła powozu czystą wodą, a polewając nucił po mazowiecku:

Kiedy orzech czerwienieje, czerwienieje!...

Chwilami przerywał robotę, odstępował parę kroków, przypatrywał się z zadowoleniem kołom, a potem śpiewał znowu:

Kiedy orzech czerwienieje! czerwienieje!...

— Dżon! — zawołał po angielsku tutejszokrajowy lord.

Ale Jan dwa dni dopiero był w służbie, nie zrozumiał, że to do niego — chlusnął jakby nigdy nic wodą na koła i śpiewał:

Kiedy orzech czerwienieje! czerwienieje!...

— Jan, do milionset d...

— Słucham jaśnie pana.

— Co to jest? — spytał lord, wyciągając rękę w kierunku nosa Jana.

Jan spojrzał na siebie, na pana i nie wiedział o co chodzi.

— Co to za obrzydliwe wąsy! — mówił dalej lord Goddam. — Zgolić mi to natychmiast! Rozumiesz? Zgolisz, albo ze służby!

Janowi markotno się jakoś zrobiło na duszy. Bo żeby on to przynajmniej zrozumiał, dlaczego mu kazali golić wąsy? No! — ale on obyczajów angielskich nie znał. On sobie myślał, że toć to wstyd, by zasie taki chłop rosły miał gołe jak pięść lice i rozumował sobie po mazowiecku, że «przez obrazy Boskiej» wąsisków

obrzynać nie może. Bah! Ale tu inaczej służbę stracisz, a tu służba dobra. Podrapał się nieboraczysko w głowę — co zresztą było także bardzo *shoking;* skłonił się panu i, nie rzekłszy słowa, odszedł kończyć mycie powozu. Ale kończąc mycie, myślał i myślał. Służba bo to i dobra, ale i obraza Boska także nie żarty. A przytem myślał sobie jeszcze Jan, żeć on to nie żaden «mechanik ni fizyk», by się miał na śmiech ludzki podawać. Ot i ta np. Jagusia, pokojówka od jaśnie pani, co to się tak uśmiecha do niego, że ile razy na nią spojrzy, to mu się tak miło robi, jakby się napił czego gorącego — co ona powie, jak go bez wąsów zobaczy? Wyśmieje chyba, wyśmieje, jak Bóg na niebie! Ha! trudna rada. Niejeden pałac na świecie, niejeden pan i niejedna służba. Niech się więc dzieje wola Boża — myśli — trzeba będzie podziękować za służbę.

Jak pomyślał, tak i zrobił, choć mu żal było. Szczęściem, niedługo poczekawszy, znalazł sobie drugą służbę. Nie była ona tak dobra, jak pierwsza, bo choć równie dobrze płatna, ale, jak miarkował Jan, nie u takiego wielkiego pana, tylko u kogoś innego. Co tu jednak przebierać? Dzięki Bogu i za taką. Myślał już Jan, że się wybawił z kłopotu, aż tu po dwóch dniach wołają go do pana.

— Co ty Jan? — mówi nowy pan do niego. — Co ty Jan? Co ty sobie myślisz z takimi wą-

sami? To nie jest eleganckie. To nie jest żaden szyk, to wcale nie jest po angielsku. Ty Jan musisz mi zaraz takie wąsy ogolić, bo inaczej ja czebie ze służby wypędzę.

W Jana jakby piorun uderzył. Wyszedł z pokoju, grzmotnął czapką o ziemię. Biedak nie wiedział, że nowy pan daleko jeszcze ściślej trzymał się mody niż dawny. Zapłakał mazur nad swoimi wąsami. Ale cóż tu i robić? przecie nie pójdzie kraść, ani żebrać. Przecie z głodu nie może umrzeć. Ha! Raz kozie śmierć, mówi chłopskie mazowieckie przysłowie. Pod wodę nie popłyniesz. Wziął więc Jan czapkę i poszedł do cyrulika.

Cyrulik spojrzał się nań podejrzliwie. Ogolić wąsy? Hm! hm! bardzo dobrze! Kto jednak chce takie piękne wąsy golić, ten dyable musi mieć do tego przyczyny. Po ogoleniu takich wąsów, ani rozpoznasz, że to ta sama twarz, — ale właśnie może o to chodzi, żeby twarzy nie rozpoznać.

Cyrulik rozrobił więc mydło, ale poprzednio szepnął coś chłopcu do ucha, potem uchwycił klasycznie Jana za nos, umalował mu dobrze pół twarzy na biało i począł golić.

Gdy skończył, spojrzał Jan w lustro i aż za głowę się pochwycił. Oj! dolaż jego, dola! A toć on do stworzenia Boskiego niepodobny, a Jagusi to się już i na oczy nie pokaże. Radby zapła-

kał był, ale że wstyd przy ludziach, zapłacił więc, i chce wychodzić, aż tu:

— Stój!

Jezus, Marya! i anieli niebiescy! a toż to policya go bierze. — Jak? co? za co? dlaczego? Prowadzą go — sam nie wie dokąd. Mówią, że kogoś zabił, czy coś podobnego? Nic nie pomoże. Przyszła widać ostatnia jego godzina. Zaprowadzili go do sędziego, aż tam pytania, badania, a potem śmiech, i dopiero cała sprawa się wyjaśnia.

Oto jest historya Jana, za której autentyczność ręczymy. Całą tę sprawę możnaby jeszcze nazwać historyą mazowieckich wąsów, złożonych na ołtarzu mody angielskiej.

Czy wielki magik da jeszcze jakie przedstawienie? godzi się wątpić. Sala w resursie kosztuje, a tu na wypadek wyczerpania się pieniędzy do domu ma daleko; darmo zaś nawet największym magikom nigdzie na świecie jeść nie dają. Powodem jego niepowodzeń jest także, a może przedewszystkiem gorąco, jakie panuje w sali resursy, gorąco bez porównania bardziej indyjskie, niż sztuki pana Ruchwaldy. Magikowi jednak prawdopodobnie mimo tego gorąca zimno się zrobiło na widok liczby widzów.

Sezon letni zbliża się już na dobre. W życiu miasta cechuje się on brakiem faktów, około których snuć można przędzę felietonową i pewną

ociężałością, ogarniającą tak oddzielne jednostki jak i całe, choćby najpoważniejsze korporacye. Czy podobnej ociężałości na skutek upałów uległo ciało kupieckie miasta Warszawy? trudno zaiste stanowczo orzec. Inni twierdzą, że jest to stan normalny ciała, z którego nie wychodzi nigdy. Co do nas, nie chcemy robić z tego wielkich rzeczy. Że z dziewięćdziesięciu reprezentantów tegoż ciała, mających obowiązek brać udział w zgromadzeniach wyborczych, zasiada na owych posiedzeniach tylko po czterdziestu, niekoniecznie dowodzi to jeszcze ociężałości. Dlaczegoż nie mamy przypuścić np., że reprezentanci ciała kupieckiego tak są przeniknięci duchem zgody i jednomyślności, że czy ich przyjdzie na posiedzenie dziewięćdziesięciu czy dziesięciu, rezultat zawsze będzie jednakowy i łatwy do przewidzenia? Jest to nawet tem prawdopodobniejsze, że tylokrotnie rzeczywistość sprawdzała już podobne przypuszczenia. Zdarzyło się raz na pewnem posiedzeniu zbiorowem, że gdy prezes zapowiedział: Panowie, kto się nie zgadza, niech siądzie; kto się zgadza, niech podniesie ręce! — całe zgromadzenie naraz naprzód usiadło, a potem podniosło ręce. Poprostu zgromadzenie zdrzemnęło się odrobinkę i zbudzone dość nagle, sądziło, że trzeba uczynić jedno i drugie. Zresztą weźmy na rozum: jeżeli chodzi o drzemanie na posiedzeniach, to czyż nie wszystko

jedno, czy drzemać czterdziestu ośmiu, czy dziewięćdziesięciu? W niczem nie trzeba pedanteryi, a tu tem więcej, że mniejsza liczba może się również pożytecznie wywiązać z zadania, jak i większa. Jeżeli zaś chodzi o to, żeby nie spać, a zatem tylko poziewać, to tembardziej wszystko jedno, czy dziewięćdziesiąt, czy czterdzieści ust na korzyść się otwiera i zamyka. Przy wyborach kupieckich niema zwykle ułożonego programatu, nie tworzą się komitety wyborcze, na co narzekania odzywają się od czasu do czasu w gazetach. Ależ, moi panowie, ileż to roboty? Czyż nie lepiej i nie wygodniej jest przyjść na posiedzenie, wziąć od kogo listę, podkreślić dwa lub trzy nazwiska, pierwsze z brzegu, a potem wrócić do sklepu, czy do innego jakiego zajęcia, byle być u siebie, nie zaś pocić się w ścisku, w którym gildyi nawet rozpoznać nie można.

Spodziewamy się, że ciało kupieckie, a raczej ci jego reprezentanci, którzy na zgromadzeniach wyborczych nie bywają, których tak obchodzi, kto będzie starszym zgromadzenia lub sędzią trybunału, jak mnie: co myśli Zarząd gminy ewangelickiej o prawach prasy; spodziewam się, powtarzam, że ci będą mi wdzięczni za walkę, jaką w ich imieniu z pewnym, nie dość dyskretnym wyborcą stoczyłem. Spodziewam się również, że nie zaprzeczą mi prawa

mówienia o tem, w jaki sposób odbywają się posiedzenia wyborcze; w takim razie bowiem musiałbym obszerniej praw swych do mówienia o tak ważnym przedmiocie dowodzić, co znowu mogłoby sprowadzić nowe zatargi między prasą a pomienionym zarządem gminy ewangelickiej, który raz już w imieniu podobnej sprawy kruszył kopię.

A propos gminy, szpitala i dobroczynności niechaj nam wolno będzie wspomnieć choć kilku słowy o projektowanej loteryi fantowej w Parku Aleksandrowskim na korzyść szpitala praskiego. Co to jest ten szpital praski? Oto ostatni nieraz przytułek największych biedaków, najuboższych mieszkańców Pragi. Życie ich nieraz głodne a chłodne, jak fale wiślane, zarobek nie częsty, a praca, gdy się zdarzy, to ciężka. Dużo, dużo kryje się prawdziwej nędzy na Pradze, ale że nie tak stoi na oczach, więc mniej o niej wiemy, a co prawda mniej ją wspomagamy. Nawet i pracująca ludność robotnicza uboższa tam jest niż w Warszawie. Gdy przyjdzie choroba, nędza zagląda do izby najpracowitszego nawet robotnika. Wówczas już tylko szpital pozostaje, jako ostatnia na ziemi pociecha, jako ostatnie schronienie. A gdy szpital nie ma miejsca, lub nie ma funduszów, gdy nie może przyjąć chorego, wówczas los jego staje się nad wszelki wyraz twardym i rozpaczli-

wym. Sympatyczny więc to cel loterya na korzyść szpitala, i mamy nadzieję, że Warszawa zechce ją poprzeć. Panie miłosierne mają piękne pole do zużytkowania swego czasu i pracy. Loteryi niezmiernie chodzi o fanty; dowiedzioną jest bowiem rzeczą, że tylko wielka ilość i dobór fantów ściągają liczniejszą publiczność, która pragnie bawić się, ale przedewszystkiem coś wygrać. Owóż więc zbieranie fantów, dostarczanie ich zarządowi loteryi jest największą pomocą, z jaką można mu przyjść w tej chwili. W sam dzień loteryi nie zbraknie zapewne chcących przyjść z pomocą przez kupowanie największej liczby biletów.

Wreszcie sami mieszkańcy Pragi mogliby już dostarczyć niemałego kontyngensu. Urzędnicy drogi żelaznej Petersburskiej, a zwłaszcza Terespolskiej, urzędnicy biurowi, a nakoniec telegrafiści w loteryi najżywszy zapewne wezmą udział.

A propos telegrafistów, ale nie praskich, tylko warszawskich, z ulicy Królewskiej — czy czytaliście w gazecie naszej pochwały, oddawane nadzwyczajnej ich uprzejmości względem interesantów, przychodzących telegrafować! Ta uprzejmość dochodziła już w ostatnich czasach do tego stopnia, że niejeden wolał zrzec się wysłania depeszy, byle nie być wystawionym na dowody tak wielkiej grzeczności, która mi-

mowoli dawała mu do myślenia, czy telegrafowanie czyli wogóle wysyłanie depesz nie jest czasem istotnie czemś nagannem, zasługującem na lekceważenie i pogardę ze strony samychże telegrafistów. Ale mniejsza już o telegrafistów, od których przejdźmy do telegrafów, czyli do depesz o pożarach, jakie z wielu stron poczynają przychodzić z prowincyi. Jesteśmy w sezonie, któryby można nazwać pożarowym. Tu i owdzie, w miejscach aż nadto wielu syczały już płomienie pożerającego żywiołu. Klęska ta, niby zaraza, nawiedza nas teraz corocznie — ale zaraza sama przychodzi i odchodzi — pożogę zaś najczęściej chciwość lub złość ludzka sprowadza. Miliony i miliony idą z dymem corocznie — a ileż to łez i nędzy ludzkiej woła corocznie o pomstę do nieba? Tak, jesteśmy w strasznym sezonie pożarowym. Wiosna uśmiecha się nam z nieba; świeci przejasne słońce, bzy kwitną, wszystko się weseli, odżywia i cieszy — jednocześnie czyha na nas wróg — ogień. Nie zasypiajmy więc i pomnijmy, że tylko czujnością, energią i własną pomocą możemy się od niego wybawić lub spustoszenia jego zmniejszyć.

Gazeta Polska, 1875, Nr 110 z dnia 24 maja.

XX.

Piękne widoki. — Procesye. — Wielkości widziane na odległość. — Na wyżyny! — Teatr letni. — Ciemności i naftowe latarnie. — Poranek dramatyczny. — Kopernik. — Teatry ogródkowe. — Charakterystyka. — Teatry jako szkoły. — Dumas syn. — Do dyrektorów. — Cyrk Salamoński, Warszawianin i ogród Zoologiczny. — Fantowa loterya. — Rozhukane miłosierdzie. — Panna Marie. — Profesor Ruchwaldy. — Cygan w Łazienkach.

Jeżeli dawno, mój czytelniku, nie pasłeś oczu swych pięknym widokiem, tedy daj mi rękę i pójdź za mną. Wejdziemy na jaką wieżę, naprzykład na Świętokrzyską, i z tej wysokości spojrzymy na miasto. A wszak to dziś dzień Bożego Ciała. Na dole w mieście zwykle oczom tak ciasno, piersiom tak duszno, a nudno, a smutno! Dlaczegóż choć raz nie odetchnąć swobodniej, nie potoczyć okiem szerzej?... tam taka samotna, powietrzna wyżyna! Pójdźmy!

Otóż już i jesteśmy. Pod stopami naszemi biegnie łukowato zagięte ku Wiśle Krakowskie Przedmieście. Widać wszystko jak na dłoni. Pod

nami Kopernik z globusem w ręku, jakby z tęsknotą spogląda ku górze — dalej szeregi domów, a dalej jeszcze na końcu ulicy król Zygmunt z mieczem i krzyżem, których już nie rozeznać z odległości. Dziś uroczystość Bożego Ciała, więc na ulicach stoją oltarze; widać ich szereg cały. Strojne w kwiecie i zieloność widnieją niby majowe wysepki. U stóp ich rozlewa się ogromna czarna fala ludu, która kołysze się zwolna, a rośnie i potężnieje z każdą chwilą.

Ach! jakże widać wszystko dokładnie! Oto procesya rusza w tej chwili. Pod czerwonym baldachimem postępuje zwolna ksiądz z monstrancyą. Fala ludu porusza się: widać dziewice w bieli, sypiące kwiaty przed baldachimem; szeregi świateł jarzących migocą błędnymi płomykami, nad ciemną masą ludu wyskakują w górę, niby różnobarwne kwiaty, chorągwie cechowe. Światła, dymy kadzideł, deszcz kwiatów, wołanie dzwonków i dzwoneczków, gwar i uniesienie uroczyste, wszystko to upaja i podnosi duszę ku niebu. Rozkołysano wielkie dzwony, jakby na gwałt; zda się, powietrze samo drży śpiżowymi tonami, a wiatr niesie je daleko, daleko, za Wisłę, na pola okoliczne, na bory, na lasy... Chwilami, jakby zgięty kłos, chylą się przed Sakramentem światła i barwiste chorągwie; z piersi tłumów zerwie się pieśń ogromna: «Do Ciebie, Panie!» Słowa łączą się z biciem

dzwonów, mącą się z dymami kadzideł i niby wielki chorał, złożony ze słów, dymów i śpiżowych dźwięków, na skrzydłach wiatru lecą ku niebu. Chwilami znowu cichną i dzwony i pieśni. Cisza! zda się, że słyszysz szelest trącanych powiewem listków brzezinowej gałązki zdobiącej ołtarz. Nad miastem przelatują drobne pierzaste chmurki, światło słoneczne łamie się na gzymsach murów, ołtarzów, na złoconych dzidach chorągwianych; czasem silniejszy powiew targnie raz i drugi chorągwią — i znów cicho. Są to chwile niby skupienia wewnętrznego, niby pobożnych rozmyślań, albo też pobożnych zachwytów. Wielka kopuła niebieska zdaje się gdzieś, w niezmiernych głębokościach, uśmiechać dobrotliwie, poważnie a kojąco. Dlatego takie chwile ciszy zdają się zarazem chwilami ukojenia i słodyczy, przejmującej wszystkie serca.

Zwolna jednak kończy się wszystko; ludzie poczynają się rozchodzić; bruk, przed chwilą jeszcze zupełnie pokryty stopami ludzkiemi, poczyna się wychylać coraz większymi płatami, chorągwie i światła znikają, ulice puścieją coraz bardziej i wreszcie wszystko poczyna przybierać zwykłą miejską barwę, niezbyt uroczą i niezbyt poetyczną.

Ale nie opuszczajmy jeszcze choć przez chwilę naszej powietrznej wyżyny. Jakże tu

musi być dobrze i pięknie wieczorem, gdy słońce kłoni złotowłosą głowę za krańce widnokręgu, a na ciemnym wschodzie błyska jedna i druga gwiazda! W mieście znów ruch się wzmaga; chodnikami płyną strumienie ludzi, środkiem ciągną w stronę Alei i Łazienek szeregi powozów. Nad ulicami unosi się kurzawa, niby tuman mgły rdzawej albo dymu. Gorąco tam, duszno, parno, a tu tak powietrzno, przestronnie, chłodno, surowo. Zresztą dobrze jest czasem spojrzeć z wysokości na codzienne sprawy ludzkie, a i na ludzi samych. Jakże małemi wydają się naprzykład niektóre nasze znakomitości miejscowe, widziane choćby tylko z takiej wysokości, jak Świętokrzyska wieża; nasi wielcy filantropowie, przytulający wszelaką nędzę z taką siłą, że aż jej oczy na wierzch wyłażą; nasi *patres et conscripti* wszystkich towarzystw i komitetów, głosujący przez zastępstwo, chorujący na niestrawność, a skorzy do dawania rad prasie, co może, a co nie może być przedmiotem dziennikarskiej dyskusyi; nasi powszechnie uznani mówcy zebrań, rozpoczynający zawsze od słów: «Panowie! Zgromadziliśmy się tu» i t. p.; nasze filary postępu, opiewanego wierszem i prozą, nasze tromtadraty literackie, grające na trąbce dobra publicznego pobudkę do «jak najrychlejszego» składania prenumeraty we własnym interesie prenumeratorów; nasze tarany do

bicia zakwestyonowaną zresztą głową w zapleśniały mur ciemnoty; słowem: cały ów nasz panteon, który, widziany z blizka, świat nam przesłania, maleje tak, że go zaledwie gołem okiem rozpoznać można. Pod naszemi oczyma przechodzą w lewo i w prawo te olbrzymy, i o dziwo! wydają nam się robaczkami. Ach! warszawscy moi czytelnicy, na wyżyny wchodźcie — zapraszam was. Na wyżyny jak najczęściej! Stamtąd nietylko nasze mury cuchnące widać, nasze rogatki, nasze małomiejskie kłótnie i burze w łyżce wody. Tam horyzont szerszy, atmosfera jaśniejsza; w blaskach zachodzącego słońca widać Wisłę rodzoną, a tam pola i łąki, i wierzbowe gaje, i lasy i bory, szare strzechy wieśniacze i szeroki szmat kraju całego. Na wyżyny, o czytelnicy moi, na wyżyny!

Co do mnie, choć ze smutkiem, Bóg widzi, zejść muszę, by choć jaką taką zebrać garść nowin do «Chwili obecnej». Muszę zejść w ciemne i duszne ulice grodu naszego, choćby dlatego, że oto rozpoczęły się już przedstawienia w Letnim Teatrze, które się o wzmiankę upominają. Saski ogród stoi tedy do późnej nocy otworem, i po staremu powraca się z teatru, jeśli noc ciemna, od drzewa do drzewa, instynktem więcej kierując się i pamięcią niż oczyma. Czasem, naoślep idąc z wyciągniętemi rękoma, trafisz na głowę bliźniego, idącego przed tobą; czasem

idziesz sobie w najlepsze, aż tu czarna jakaś postać zamajaczy ci niewyraźnie przed oczyma; nagle ktoś łapie cię za nos, i poczuwszy, że miękko, mówi przestraszonym głosem:

— Och, przepraszam, ja myślałem, że to gałąź!

— Hę? co?

— Myślałem, że gałąź. Tak ciemno!

— Ciemno?

— Bardzo przepraszam. Mogliby też już tę drogę oświecić.

— Kiedy to u nas wszystko tak... Jezus Marya!

— Co to?

— Drzewo. Rozbiłem się o drzewo.

Czasem znów, jeżeli z teatru wyszedłeś z towarzyszem lub towarzyszką, przez drogę z całem zaufaniem opowiadasz im jakieś sekrety lub sprawy natury domowej, aż tu przy bramie, gdy światło latarni was obleje, spostrzegasz z przerażeniem, żeś towarzysza zgubił, a szedłeś z kim innym, a co gorsza, może z kim znajomym, który tych sekretów nie powinien był wiedzieć. Źle do licha! Wystawmy sobie młodzieńca, opowiadającego w najlepszej wierze mężowi sukcesy, jakich się spodziewa u jego żony; albo ojca familii, który z całem zaufaniem pochyla się do ucha konkurenta jednej ze swych córek i, sądząc, że mówi do córki, pyta:

— Kiedyż ci się ten cymbał oświadczy?

Bywają położenia drażliwe i *qui pro quo* jeszcze drażliwsze. Zarząd ogrodu, czy też Letniego Teatru, ma zamiar podobno zapobiedz nadal podobnym wypadkom przez zaprowadzenie szeregu latarni naftowych. Dlaczego nie gazowych? Oto wkopanie rur gazowych ma podobno szkodzić roślinności.

Z tem wszystkiem przedstawienia już się rozpoczęły; ludzie po staremu uderzają nosami o drzewa, a latarni jak niema tak niema. Obiecanka cacanka. Jeśli już mają je postawić, dlaczegóż nie zostały postawione przed rozpoczęciem letniego sezonu? Dlaczego?

Odpowiedź nie trudna. Od przeszłego lata — rozumował sobie Zarząd — zapomnieli już ludzie, jak to niemiło wracać po ciemku i przewracać koziołki przez baryery; gdyby więc latarnie postawiono przed rozpoczęciem przedstawień, nie umieliby cenić jak należy dobrodziejstwa, gdy zaś spróbują parę razy wracać po omacku, dopiero potrafią w całej pełni odczuć wyświadczoną sobie usługę.

Odpowiadam w imieniu publiczności: Jużeśmy spróbowali — prosimy o latarnie!

W niniejszym letnim sezonie teatralnym czeka nas jedna nowość. Oto p. W. Rapacki urządza poranek artystyczny, na którym będzie czytany jego dramat p. t. «Kopernik».

Udział w czytaniu weźmie tyle osób, ile ich wchodzi do dramatu; będzie więc to coś w rodzaju próby czytanej. Jest to istotna nowość; do tej pory bowiem nikt podobnego poranku nie urządzał, a nowość ta byłaby nawet pożądaną, gdybyśmy byli pewni, że na porankach podobnych będziemy słyszeli same tylko — ale wyłącznie same arcydzieła, a do tego przeważnie takie, których publiczność nie zna i nie ma poznać ze sceny. Inaczej bowiem urządzenie poranku dałoby tylko zły przykład. Gdy raz wrota się otworzą, posypią się poranki i wieczorki i podwieczorki. Każdy, kto tylko cokolwiek napisze, zechce później odczytywać, a te specyały spożywać będzie nieszczęśliwa publiczność. *Utinam sim falsus vates!* Zresztą, co do «Kopernika», nie przesądzamy sprawy: zobaczymy i mamy otuchę. W każdym razie, czy próba wypadnie źle, czy dobrze, zawsze to woda na felietonowskie koła.

Nareszcie rozpoczęły się już przedstawienia teatrów ogródkowych, a rozpoczęły się pod podwójną dobrą wróżbą, bo przy natłoku publiczności i na cele dobroczynne: na szpital Jana Bożego, na sieroty pod opieką dobroczynności i tym podobne. Teatry te, zwłaszcza Eldorado i Alhambra, urządzone są nietylko wygodnie, ale nawet wykwintnie. Dość wykwintne krzesła, pokrycie nad głową, schludna scena, ocho-

cza publiczność — i czegóż więcej potrzeba? Teatrzyki te dziwny dla publiczności naszej mają urok i ponętę. Ileż to w tem wszystkiem swobody i jakże barwista ich charakterystyka! Teatr i bawar — dramat i papierosy, zachwyty sceniczne i noc gwiaździsta nad głową — cóż to za sprzeczne żywioły! W krzesłach widzowie z kapeluszami, ponasuwanymi na tył głowy; za baryerką publika prostoduszna, zapalna, ciekawa, wołająca co chwila: «Głośniej! głośniej!», nie ustępująca z placu w ciekawszych miejscach nawet w czasie ulewy, skłonna do oklasków, a niecierpliwa. Wreszcie cóż to za mieszanina! Tam młodzi panicze specyalnie przyszli dla brylantowych oczu panny Czesi. Rozmawiają właśnie po francusku, przyczem, niedościgniony w rzeczach szyku *prince* Lolo przeciera binokle, a «rozkoszny» *comte* Joujou schwyciwszy się za stopę jednej nogi, zakłada ją na kolano drugiej, pozwalając przytem podziwiać gawiedzi swoje prawdziwe *fil d'Ecosse* skarpetki; tam kilku szlachty o opalonych, koloru miedzi obliczach i pogodnem wejrzeniu, rozprawia «mościdobrodzieju» o cenach wełny, zamiast o sztuce, i o zasiewach, zamiast o aktorach. Dalej grupa kantorowiczów, poubieranych wedle ostatniej mody, w kołnierzyki, jakie się tylko w *Journal Amusant* widzieć dają, rozmawia z cicha, i tylko od czasu do czasu można usłyszeć w «nacyo-

nalnym langażu» wymówione: «żewu zasiur, Michasz», albo «antrnusuadi, Staszu!» Dalej kilku literatów; dalej urzędnicy. Za baryerą słychać narzecze z Franciszkaner-Gasse. Tam znów komety z demi-mondu, chrzęszcząc sukniami i szczebiocąc, rzucają błyskawicowe z czarno obwiedzionych oczu spojrzenia. Gdzieindziej kilku rzemieślników kłóci się z Żydkiem o miejsce blizko filaru; nad głową szeleszczą liście drzew, od strony bufetu groźne nawoływania; słowem: mieszanina głosów, języków, warstw społecznych, wychowań, usposobień, istna wieża Babel z ludzi, połączonych z sobą tylko nadzieją odpoczynku, swobody i rozrywki.

To jednak pewne, że nikt się nie bawi tak szczerze i serdecznie, jak właśnie owa zabaryerowa publiczność. Teatry ogródkowe mogłyby dla niej być prawdziwą szkołą moralności.

Dyrektorowie jednak powinni pamiętać, że jeżeli z jednej strony należy się do pewnego stopnia do smaku publiczności stosować, to z drugiej strony należy i trzeba koniecznie smak ten w kierunku najszlachetniejszym wyrabiać. Jest to po prostu obywatelski obowiązek. Teatr psuje ludzi, ale i teatr ich podnosi. Za cesarstwa, we Francyi, do rozmiękczenia obyczajów, do upadku moralności, do roznerwowania i skarlenia młodej generacyi, przyczyniły się w znacznej części teatry, które pobłażały złym skłon-

nościom, nie chciały czy nie umiały uczyć, pragnęły bawić tylko, usypiać i głaskać. Zamiast podawać proste i zdrowe ziarna moralności, filozofowały przez usta Dumasa syna, kto, komu, mąż żonie, czy żona mężowi ma prawo w razie wiarołomstwa głowę ukręcić: wołały na męża: «Wal ją, bo to małpa!» — lub: «Przebacz nieszczęśliwej!» Nikczemna to filozofia, przyjmująca wiarołomstwo i rozkład rodzinny, jako fakt w praktyce życia już spełniony. Nikczemna filozofia!!! Szuka niby lekarstwa na wiarołomstwo, a oswaja z niem i zapoznaje tych, którzy go nie znali; poddaje myśli tym, którzy ich nie mieli, i zamiast koić rany społeczne, jeszcze je rozdrażnia i zaognia.

Dlatego też przedewszystkiem zastrzegamy się przed Dumasem synem. Nie znam utworów, któreby na zepsucie smaku ogólnego silniej wpływać mogły, zwłaszcza tam, gdzie trafiają na umysły niewykształcone, proste i łatwo otumanić się dające błyskotliwą szatą paradoksów, wrzekomo szlachetnemi uniesieniami i czynami, pseudo-poświęceniem i pseudo-uniewinnieniem jednostki w imię wadliwego ustroju społeczeństwa.

Wprawdzie dyrektorowie mogą odpowiedzieć, że te sztuki, wedle wyrażenia utartego w teatrach: robią kasę. Prawda, może być; ale wierzajcie mi, o dyrektorowie i niedyrektorowie,

ale wogóle wszyscy czytelnicy moi — mówię wam po prostu, a z ręką na sercu: są rzeczy ważniejsze niż kasa, lepsze niż dochody, bardziej niezbędne niż *quaerenda pecunia:* oto zdrowie moralne, zwarta rodzina, surowy stary obyczaj — ano i przyszłość, która od zdrowia, od rodziny i od obyczaju zależy.

A teraz przebaczcie morał, ale czasem on nie zawadzi: mnie cieplej, gdy wypowiem, a i wam się może czasem przydać, gdy usłyszycie. Nieźle jest sobie czasem wzajemnie przypomnieć rzeczy dobre, choć znane.

A teraz już ani słowa więcej. Wolę przejść do jakiegokolwiek zabawniejszego przedmiotu, choćby np. do cyrku, którego skład zmienił się w ostatnich czasach całkowicie. Ci, którzy byli, odjechali, a na ich miejsce przyjechali nowi. Zostało tylko na ogólne żądanie naszych dżentlemanów kilka piękności, bez których pomienieni dżentlemanowie zbyt głęboko czuliby swoje sieroctwo. Ach! z kimżeby się jadło ostrygi!? Ach! czyichże palców koniuszki całowałoby się przy Carte blanche? Cóżby to były za czasy! Trzebaby chyba w nocy spać a w dzień czuwać, co jest w złym tonie, nie zaś w dzień spać a w nocy czuwać, co jest w dobrym tonie. Wszyscy o tem wiedzą. W cyrku ustały jakoś benefisy pana, pani, małego i t. p., ale natomiast ma być jeszcze jedno przedstawienie na cel,

zresztą o wiele sympatyczniejszy i godniejszy szczerego poparcia niż poprzednie. Oto Salamoński, jako Warszawianin (podobno tak jest w istocie), ma zamiar dać widowisko na dochód mającego się założyć ogrodu Zoologicznego w parku Aleksandryjskim na Pradze. Jakoś z tym zwierzyńcem nie idzie zupełnie tak, jakby powinno. Potrzebę i pożytek jego uznają wszyscy i mówią o nim; popiera go prasa, a szczególnie *Kuryer Codzienny*, redakcye przyjmują składki, a z tem wszystkiem składki wpływają powoli; popiera je Warszawa, kraj bardzo mało, i rzecz idzie w odwłokę. Dziwna rzecz! Bywamy czasem niezmiernie hojni, ale tylko pod wrażeniem chwili. Niech kto potrafi do nas przemówić rozczulającemi słowy, niech zdoła chwycić za serce, łzę wycisnąć z oka, a posypią się szybko pieniądze i grube pieniądze nawet. Gdy jednak działamy nie pod wrażeniem, ale pod wpływem przekonania — oho! idzie daleko trudniej. Co innego uznawać potrzebę ogrodu, a co innego wyłożyć nań gotówkę. Tam wprawdzie mówią: «Przyjmujemy choćby najmniejsze składki», ale nam wstyd jakoś wydaje się posłać parę groszy. Niejeden myśli nawet: niewarto. Tym sposobem ogród idzie w odwłokę, a niedźwiedzie pana Bartelsa napróżno mruczą na niewygodne dotychczasowe pomieszczenie.

Od jednego ogrodu przejdźmy teraz do dru-

giego, nie zoologicznego, albo zoologicznego, tylko o tyle, o ile złośliwe języki mówią, że od rana do wieczora pełno w nim gawronów. Mówię o ogrodzie Saskim. Rozgłoszono, że tego roku nie będzie w nim loteryi fantowej. Tymczasem wieść ta, którą zresztą sam na cztery strony świata trąbiłem, okazała się fałszywą. Loterya będzie i nietylko że będzie, ale odbędzie się niezadługo, podobno zaraz w pierwszych dniach bieżącego miesiąca. Nie wybiegał się jednak staruszek. Patrzcie: nie wybiegał się! — Miłosierdzie publiczne musi pootłukiwać mu drzewa, podrapać ławki, podeptać trawniki, poobrywać bzy, zakopcić fajerwerkami liście, powystraszać wróble, zaśmiecić papierkami z losów ulice, oszpecić płóciennemi budami aleje. Inaczej się nie rozczuli. Dziwne miłosierdzie! W zimę przynajmniej nie bywa takie drapieżne. Chce tylko tańczyć — w lato chce niszczyć — wtedy bywa hojne, inaczej nie da ani grosza.

Na zakończenie jeszcze jedna, grubo efektowna nowina.

Nazywam ją grubo efektowną, albowiem będę mówił o jednej z najgrubszych istot, pod jakiemi kiedykolwiek od najdawniejszych czasów uginała się ziemia. Oto przyjechała z Wiednia niejaka panna Marie, która przechodzi wszystko, co dotąd w tym rodzaju gawroni wszystkich miast kiedykolwiek podziwiali. Ten mamut ro-

dzaju żeńskiego waży podobno tyle, ile dwunastu przeciętnych frantów warszawskich; wypija niezliczoną ilość piwa, zjada niezliczoną ilość zrazów, bułek, a przytem chętnie każe sobie płacić po rubelku tym, którzy mają tak mało rozumu, że chodzą ją oglądać. Przyjechała tu, bo słyszała, że tu jej niezawodnie będzie się powodziło. Po drodze wstępowała do Krakowa (Honny soit...). Mówi przytem, że spodziewa się, iż Warszawa będzie umiała jej postępowanie, zarówno jak i jej tuszę ocenić. Dlaczego nie! Brano się tu na drobne rybki, dlaczegóż nie wziąć się na taką grubą? Nie pierwszy i nie ostatni raz.

Nie udało się tylko jednemu Ruchwaldemu. Drugiego przedstawienia już wcale nie było. Przekonał się, że jesteśmy barbarzyńcami, dla których niepotrzebnie porzucił Indye, w których wszystko, poczynając od wróbli, daleko bardziej jest ucywilizowane. Wróble nawet szczególnie, bo jedzą plewę, której nasze nie chcą, i na którą się, jak wiadomo, nie łapią. Mądre wróble!

Pan Ruchwaldy więc wyjechał, ale mamy natomiast coś innego, co także Indye przypomina. Oto rozłożyli się w Łazienkach obozem cygani — błędne dzieci Hindustanu; mężczyźni, kobiety, dzieci — mężczyźni trochę pracują, trochę żebrzą, kobiety warzą krupy, wróżą

i żebrzą. Jakieś dziewczę między nimi iskrzy oczyma, świeci białą piersią, żebrze jak inni i inne, a czasem dźwięcznym głosem zawoła na przechodnia:

— Paniczu sokole! hej sokoliku, daj rękę. Powiem co cię czeka: czy złoty pierścień od lubej, czy skarby, czy bogactwa, czy dola, czy niedola, czy może śmierć na wojence, sokole! Daj białą rękę: wywróżę.

Poezya w łachmanach!

Gazeta Polska, 1875, Nr. 115 z dnia 31 maja.

XXI.

Ponęty Warszawy. — Afisze. — Karnawał pod gołem niebem. — Ciemne strony sezonu. — Jeszcze, i bez końca, o pożarach. — Dobro ogólne i jego miłośnicy. — Przeciętni. — Skutki platoniczności. — Towarzystwa. — Wycieczka członków Tow. Osad rolnych. — Obietnice poprawy. — Wycieczka do Jablonny. — Obniżanie się mieszkań. — Jarmark welniany jako ostatnia nadzieja. — Wyjazdy za granicę. — Sport. — Wyścigi. — Młodzi lordowie. — Trenowanie. — Różne poty.

Kto się chce bawić, niechaj przyjeżdża do Warszawy. Sezon ogórkowy, sezon upałów, kurzu, ogólnego omdlenia, ogólnego próżniactwa i senności rozpoczął się, ale zarazem przyniósł nam takie mnóstwo wszelakiego rodzaju rozrywek, że aż wybierać trudno. Ni mniej ni więcej tylko jedenaście afiszów, rozlepionych co rano na wszystkich ulicach Warszawy, zaprasza zmęczoną całodziennym upałem publiczność, aby wieczorem śpieszyła do ogrodów i ogródków, gdzie uszy jej paść będą muzyką i śpie-

wem, oczy przedstawieniami teatralnemi, wdziękami artystek rozmaitych trup aktorskich, słowem, tem wszystkiem, co w mniej więcej rozkoszny lub szalony sposób pomaga do zabicia czasu od godziny ósmej wieczorem do dwunastej w nocy, o której to godzinie każdy dobry i stateczny obywatel wraca do domu z rozpiętą dla chłodu kamizelką i kapeluszem w ręku, ocierając przytem spocone czoło chustką. Krótko mówiąc, jest to karnawał pod gołem niebem. Nad głową gwiazdy i szmer liści trącanych ciepłym powiewem, a przed oczyma światła gazu, śpiewy, pląsy, wyróżowane twarze, wyczernione brwi i kolorowe pończochy, które także stanowią jedną z cech letniego sezonu.

Jednem słowem, wesoło byłoby w Warszawie, gdyby... ach, niestety, gdyby nie długa i bardzo długa lista ujemnych stron letniego życia: gdyby nie ogony damskie, gdyby nie próżne nawoływania o obcięcie tychże ogonów; gdyby nie bezskuteczność rozporządzeń o polewaniu ulic, po których każdy wiatr pędzi takie tumany kurzu, że ani oddychać, ani patrzeć przed siebie niepodobna; gdyby nie platoniczne westchnienia za dezynfekcyą; gdyby nie równie obfite, jak bezskuteczne rozsypywanie proszku karbolowego; gdyby nie kwaśne owoce; gdyby nie epidemia, która rok rocznie wyciska z nas większe lub mniejsze poglówne; a nakoniec,

gdyby nie pożary, świadczące o naszem niedołęstwie, lenistwie, i o bezwładności przysłowia: «Mądry Polak po szkodzie».

Albowiem dziś już faktem jest, że to przysłowie, niestety, jest fałszywe. Roku zeszłego ponieśliśmy szkody na kilka milionów rubli — i zmądrzeliśmy po niej? Gdzież są — woła wielkim głosem cała prasa — obywatelskie straże pożarne? gdzie są narzędzia do gaszenia? gdzie są domy przedzielane drzewami? gdzie są rezerwuary z wodą, mogące być na każdy wypadek użyte? gdzież są te wszystkie instytucye, urządzenia i środki, o których tyleśmy nagadali i napisali i na których potrzebę i konieczność zgodziliśmy się wszyscy? Tak jest; nagadaliśmy i napisali. Pisaliśmy, jak mówi pewien felietonista, artykuły malownicze, uczuciowe i rozumowane; zepsuliśmy mnóstwo papieru, piór i atramentu, i czy wiecie, o mili współobywatele, co stąd za wniosek? Oto, pisząc artykuły uczuciowe, rozumowane i malownicze, zrobiliśmy swoje — zrobiliśmy to wszystko, co do nas, jako do prasy, należało. Ale teraz wy, mili współobywatele, co zrobiliście ze swej strony? Doprawdy, mam ochotę umieścić po tem zapytaniu parę wierszy kropek dla lepszego odmalowania ciszy, bo ciszą tylko możecie na powyższe pytanie odpowiedzieć. Coście tedy zrobili dla zapobieżenia złemu? My, to jest ja i koledzy

moi po piórze, doprawdy, nie mogliśmy zaciągnąć się do straży prowincyonalnej, nie mogliśmy zrobić nic więcej, tylko pisać i pisać, ale wy?... Oto spalił się Międzyrzec, spaliła się Libertowa Wola, spaliły się Szopy Niemieckie, spaliły się roku zeszłego Siedlce, spalił się Opatów, i Bóg wie, co się nie spaliło, a jeżeli tak dłużej potrwa, spali się napewno jeszcze niejedno miasteczko, niejedna wioska, niejeden dziesiątek tysięcy rubli pójdzie z dymem, z czego nie może być nawet i tej pociechy, że zmądrzejecie po szkodzie.

Ale może was nudzą morały? Kwestya to, powiecie, która niejednokrotnie była już podnoszoną i aż do znudzenia powtarzaną. Możebyście życzyli sobie, abyśmy przestali o tem mówić? Nie obiecujemy poprawy. Nudzić was będziem choćby co tydzień, powtarzać choćby codzień. Nudźcie się, zżymajcie, oburzajcie, krzyczcie, pisujcie do redakcyi listy pełne wyrzutów, ale się poprawcie. Zbudźcie się! Kropla wody, spadająca ustawicznie, nawet w kamieniu otwór czasem przewierca. Przebóg! czyżby nasze słowa miały padać na twardszy od kamienia materyał?...

To byłoby już źle, w całem znaczeniu tego wyrazu.

Nie tracimy jednak nadziei, «bo bez nadziei jakżeby żyć», że z czasem będzie lepiej, że przyjdzie chwila, gdy każde miasto będzie miało swoją straż ogniową, złożoną z dzielnej i ener-

gicznej młodzieży, swoje narzędzia pożarne, słowem, to wszystko, czego potrzeba, by rok rocznie nie puszczać z dymem milionów.

Ach! gdybyśmy się raz nakoniec nauczyli miłować naprawdę to, co przez termin: dobro społeczne, oznaczamy. Miłujemy je wprawdzie niby bardzo, a bardziej jeszcze lubimy o tem rozprawiać, ale niestety! uczucia te są natury czysto platonicznej. Znam pewnego obywatela, który całe życie nie trudni się niczem innem, tylko wypalaniem pięknej piankowej cygarniczki, a który miłuje przytem dobro społeczne. Cóż chcecie: powiada, że miłuje, i może nawet naprawdę. Platonik! Prawda, że przy tak bezinteresownej miłości dobro społeczne mogłoby utopić się, być zjedzone przez psy, rozbić sobie głowę o kamień, połamać ręce i nogi, niemniej jednak nie przestałoby być kochane. Gdyby naprzykład wpadło w wodę i krzyczało w niebogłosy: «Topię się!» — pomieniony obywatel swoją drogą nie wlazłby dla ratowania go do wody, ale natomiast — jestem pewny jego serca — swoją drogą powtarzałby ze łzami w oczach: «Jaka szkoda! topi się, a takie piękne dobro społeczne!» Gdyby rzuciło rękawiczkę, nakształt pięknej Marty z Szyllerowskiej ballady, między dzikie zwierzęta, taki obywatel postąpiłby wprost przeciwnie niż sławny Emrod, to jest po rękawiczkę

wprawdzieby nie poszedł, ale też i kochać dobra społecznego by nie przestał.

A teraz, mili czytelnicy, chcecie wiedzieć, jak się taki platoniczny wielbiciel wdzięków dobra ogólnego nazywa? Mogę zdradzić tajemnicę, albowiem po pierwsze: nikt mnie o sekret nie prosił, a powtóre: choćby to był sekret, wygadałbym się z nim umyślnie. Taki obywatel nazywa się: p r z e c i ę t n y. Jest to, na nieszczęście, doskonale skoligacona, a przytem i najliczniejsza rodzina. Tak jest, przeciętny. Gdyby nie on — gdyby nie ta platoniczna rodzina, natenczas ów znany wiersz, że dla dobra ogółu każda smakuje trucizna, ten wiersz bez psów, liszek i czajek, nie byłby «najlepszą z Krasickiego bajek». Gdyby nie ta «przeciętna» a nieszczęśliwa rodzina, chora jednocześnie na krewkość w zamiarach, a niedołęstwo w czynach, na gadatliwość i lenistwo, łatwowierność, na pychę, łakomstwo, słowem, na wszystkie siedm grzechów głównych, wówczas nie płonęłyby nasze miasta, nie świeciłyby gołymi pieńkami nasze lasy, a gołemi piętami nasi przyszli potomkowie, nie waliłyby się nasze domy. Ach, gdyby nie ta rodzina, nasze stowarzyszenia nie potrzebowałyby ogłaszać drukiem melancholicznych ód do zalegających z opłatą członków; nasza spółka jedwabnicza, poparta jak należy przez ogół, sprzedawałaby już jedwab na wszystkich tar-

gach sąsiednich; w Studzieńcu stałby już budynek i uczyłyby się już moralności występne dzieci; nasz Merkury nie byłby najchudszym i zdychającym z głodu Merkurym; tanie kuchnie nie potrzebowałyby grać roli dziada z szopki, występującego z woreczkiem na końcu przedstawienia, i proszącego «o talary i o zboże, i o wszystko, co być może»; — wy zaś wszyscy, tj. ja i wy, mili czytelnicy, nie potrzebowalibyśmy każdego nowego roku kończyć rachunków z roku ubiegłego w ten sposób: zero od zera, zero — nie mogę: pożyczam... od Żyda.

Mówię, «bom smutny i sam pełen winy», powiada Słowacki, ja zaś powtarzam za nim. Powtarzam nie dlatego zresztą, żebym, doszedłszy matematycznej prawdy, że zero od zera jest zero, miał już pożyczać od Żyda. Nie, do tego jeszcze nie doszło! Ale, że pod pewnym względem należę i ja do tej p r z e c i ę t n e j rodziny, jako dowód posłużyć może choćby i to, że obowiązkiem moim jest dostarczyć felietonu na poniedziałek, a piszę go na wtorek, skutkiem czego stosunki moje z redakcyą pozostawiają w tej chwili wiele do życzenia, a nawet spowodowały wymianę niezbyt dyplomatycznych not między mną a pomienioną redakcyą, która nie omieszkała wystosować do mnie pewnego dość nieprzyjemnej natury *ultimatum*, którego tylko dlatego za *casus belli* nie uważam, że nie jestem dosta-

tecznie uzbrojony. Co do mnie jednak, przyrzekam sobie, że odtąd stale odcinek mój będzie gotowy nie na wtorek, ale na poniedziałek; a oprócz tego, rozważając wszystkie grzechy rodziny przeciętnej, bijąc się w piersi i powtarzając *Mea culpa!* wzywam ją, aby uczyniła toż samo. Na dowód zaś, że poprawa moja jest szczerą, zamierzam sobie zaraz nazajutrz zapłacić dwie raty, które zalegam w Tow. zachęty sztuk pięknych, jedną w Tow. muzycznem, jedną w Tow. osad rolnych, a kilka w innych Towarzystwach. Prócz tego pragnę poprawę swą, czyli reformę, przeprowadzić w całej obszerności, t. j. wygluzować w charakterze swym wszelką bezkrwistą platoniczność względem dobra ogólnego; przyrzekam sobie również, że nie wezmę udziału w sielskiej i gotującej mnóstwo lirycznych wzruszeń wycieczce do Studzieńca, jaką Towarzystwo osad rolnych przygotowuje dla swych członków na dzień 10 czerwca, po ukończeniu dorocznego walnego posiedzenia. Wiem, że ofiara ta wiele kosztować mnie będzie, ale krzepię się nadzieją, że będzie mi to właśnie kiedyś policzone i położone na szali przeciwnej tej, na której będą spoczywały moje nieprawości. Wiem, że pozbawiam się przejażdżki koleją do Rudy Guzowskiej, drogi wśród brzezinowych lasów na wózku pana Sobańskiego do Studzieńca, wielce prawdopodobnego

obiadu w Studzieńcu, toastów, mówek w duchu wzajemnego przyznawania sobie zasług i równie skromnego jak szlachetnego nieprzyznawania się do tych zasług; dalej mówek w duchu ogólnego powinszowania sobie pięknych skutków i usiłowań, mówek, poczynających się drżącym głosem od słów: «A teraz pozwól, szanowny...» lub «a teraz pozwólcie, szanowni»... Nakoniec: wyrzekam się mówki, którą sambym może powiedział, co w przyszłości mogłoby nawet korzystnie wpłynąć na podwyższenie honoraryum w redakcyi, na zyskanie mi znajomości, protekcyi, na ewentualne otrzymanie płatnej posady w jakiem Towarzystwie lub banku, któraby pozwoliła pokryć moje niedobory literackie, a wreszcie i na podtrzymanie mej sławy, jako mówcy, która to sława wogóle niezbyt świetna, została ostatecznie przyćmioną od czasu reform i wyborów w Tow. muzycznem, na których zjawiły się pierwszorzędne gwiazdy, zaćmiewające wszystko dokoła.

Otóż, wyrzekam się tych wszystkich wyżej wymienionych rozkoszy, w celu, aby raz dowieść, że umiem nietylko platonicznie miłować dobro ogółu. Rozumuję bowiem, że dowiodę tego stanowczo, jeżeli pieniądze, jakiebym musiał na wspomnianą wycieczkę wydać, ofiaruję Towarzystwu osad rolnych bezpośrednio na same osady. Będzie to coś nierównie pozytywniejszego,

nie prawdaż? Co większa, sądzę nawet, że jakkolwiek wycieczka będzie obfita we wzruszenia, jakkolwiek ewentualny obiad, o który, mówiąc nawiasem, niektórzy członkowie już dziś rozpytują się półgębkiem, będzie bardzo smaczny, toasty i mowy bardzo podniosłe i jednoczące serca członków — to przecież ja — prosty śmiertelnik i lichy pracownik boży, sądzę, powtarzam, że gdyby wszyscy członkowie te pieniądze, których pod firmą «na piwo» udzielają fornalom pana Sobańskiego, dalej te, które wyjść mogą w samym Studzieńcu, czy to na obiad, czy na podwieczorek, czy na cokolwiek, oddali wprost na osady, to byłoby prościej, ale i lepiej. Ot możnaby za to czy wybudować parę pokoików więcej, czy założyć jaki ogródek, czy kupić jakie narzędzia naukowe, czy książki, czy utrzymać jednego więcej przestępcę małoletniego, czy zabezpieczyć silniej byt i pożytek instytucyi. O! byle były pieniądze, znalazłby się na nie sposób. Warto się nad tem zastanowić. A zresztą do uznania każdemu: co do mnie, postanawiam wyprzeć się kuzynowstwa z przeciętnymi, z ich zamiłowaniem efektów i z ich platonicznością raz na zawsze.

A teraz, kiedy już mowa o majówkach i przejażdżkach, wspomnę więc jeszcze o jednej, o której zresztą brak mi szczegółowych wiadomości. Chcę mówić, że w Harmonii ma się odbyć

składkowa wieczerza, a potem przejażdżka do Jabłonny. Będzie to zapewne również niezmiernie liczna wycieczka z towarzyszeniem różnych rzniętych i dętych instrumentów, a przytem groźnych basów, czułych tenorów, wstydliwych sopranów i wszelkiego rodzaju głosów i odgłosów, na jakie tylko gardło ludzkie zdobyć się może. Wszystko to są jednakże tylko przypuszczenia, powiedziałem zaś, że bliższych informacyi o tej wycieczce nie mam, albowiem nie wiem nawet, o ile słowiański język będzie na niej uprawniony. Niegdyś, pamiętam, że wybuchały z tego powodu w łonie zgromadzenia pewne niesnaski, które zaogniały się z dziwną uporczywością przez czas dość długi.

Trudno wiedzieć, jak jest dziś, i o ile ludzie, nie posiadający iglicówek, filozofii pesymizmu, kiszek grochowych, skłonności do anneksów, do sentymentalizmu i do piwa, mogą być i są w powyższem towarzystwie tolerowani, a zwłaszcza wtedy, jeżeli używają takiego języka, jaki niezbyt mile wpada w wydelikacone przez walce konchy uszne stałych członków zgromadzenia. Zarówno nie jestem pewny, czy na owej składkowej wieczerzy i wycieczce do Jabłonnej zajdą, prócz muzyki, śpiewów i spożycia pewnej ilości kiszek grochowych, jakiekolwiek fakty, któreby jako następstwa powyższych czynności zasługiwały na taką przynajmniej felietoniczną

wzmiankę i uwagę, na jaką zasługują innego rodzaju zamiary, a raczej obietnice, których przyszłość wcale dla nas, t. j. dla Warszawy, nie szczędzi.

Mają się tu bowiem dziać rzeczy wcale niespodziewane, których nikt się nie spodziewał, a które każdy z radością powita. Słychać, że mieszkania np. spadają, a wkrótce spadać zaczną na łeb, na szyję. Jest to możliwe. Już dziś na wszystkich domach widać karty z powywieszanymi pustymi lokalami, których posiadacze, coraz to zachodząc z ołówkiem w ręku, zmieniają ceny, zmniejszając potrosze dawne, a wpisując nowe, mniejsze. Na ulicy Wielkiej jest dom, w którym czterdzieści pokojów stoi dotychczas pustkami. Po pokojach owych chodzi zamyślony gospodarz, monologując z sobą po hamletowsku, coraz głośniej, coraz gwałtowniej i coraz wyraźniej. Ludzie słyszeli podobno — czy też zdaje im się, że słyszeli wyraz: przeholowałem! Tak jest, przeholowałeś, miły gospodarzu, a raczej przeholowaliście, co się srodze da wam wszystkim we znaki. Przyznajcie, że milej jest wziąć za mieszkanie trochę taniej, niż potem odbywać długie spacery, z rękoma w tył założonemi, po pustych pokojach, gwiżdżąc, kiedy się płakać chce. Przeholowaliście, moi panowie, teraz monologujcie sobie, co dusza raczy. Często zaiste: wynająć lub nie wynająć, — jest równe? co:

być albo nie być. Z czegoż będziecie płacili podatki? z czego wyślecie żony swoje i córki za granicę? Liczycie jeszcze na jarmark wełniany. He! nadzieja matka głupich. Lepiej się nie łudzić: hotele dla szlachty wystarczą, a gdyby nawet nie wystarczyły, ileż to mieszkań prywatnych jest do najęcia po rodzinach, które wyjeżdżają na letnie mieszkania lub za granicę! Jest jedna tylko rada, powiem wam do ucha: obniżcie ceny.

Istotnie, w czasie wełnianego jarmarku umeblowane mieszkania po rodzinach, które wyjeżdżają za granicę, stanowią potężną konkurencyę dla pustych lokalów, które trzeba odnajmować na czas dłuższy, a takich mieszkań wszędzie jest mnóstwo; któż bo latem siedzi w Warszawie?

Napróżno rozlepiają jedenaście afiszów co rano; napróżno teatrzyki przesadzają się w ofenbachiadach, aby dorównać choć w tem zagranicy; napróżno Fliege daje koncerty, złożone z utworów miejscowych, faszerowanych niemiejscowymi, kompozytorów; napróżno w cyrku siłacze francuscy gną w ręku siłaczów warszawskich; napróżno panna Guerra roztacza wdzięki swej budowy, budzącej we wszystkich gołowąsach oskomę, dorównywająca chyba wstrętowi, jaki w nich budzi książka, atrament, pióro, ołówek, słowem, wszystkie materyały do czytania

i pisania; napróżno panna Czesia stara się przekonać sceptyków, że nie jedna Guerra ma takie ramiona na świecie, i że miłość ulokowana na koniu łatwiej może kark skręcić, niż umieszczona na tragicznych koturnach; napróżno wiedeńska Marie, po cenach zniżonych, a przynajmniej mających być zniżonemi, roztacza swe obszary przed zdumionemi oczyma i wykrzywionemi z podziwu gębami nielicznej publiczności; wszystko to napróżno: każdy kto może i ma na to, opuszcza miasto i śpieszy za granicę wynieść co prędzej i wydać latem połowę tego, co przez całą zimę zarobi.

Do czasu zostają jeszcze zwolennicy sportu. Wyścigi konne za pasem, bo niespełna za tydzień. Między tutejszo-krajowymi lordami ruch tedy ogromny. Czy wiecie, co też teraz robią? Oto pocą się. Wielka rzecz, powiecie, to i my się pocimy. Nie, przepraszam: my się pocimy, bo upał; bo nam przyrzekli polewać ulice, a nie polewają, bo... bo... jednem słowem, my się pocimy niechcący, a oni naumyślnie. Mówiąc żargonem, nazywa się to: trenują się. Trenują się panowie, trenują dżokeje, trenują konie. Niektórzy z nich jednak, gdy nadejdzie święty Jan, znowu będą się pocić, ale już nie trenować, tylko poprostu pocić nie tyle z gorąca, ale skąd tu wziąć na spłatę kapitałów, zaciągniętych na dżokejów, lokowanych na hipotekach, a prowa-

dzących młodych rycerzy pod staro-rycerskie godło, bo pod włócznię, co razem wzięte, po łacinie «subhastatia» się nazywa.

Od takich potów broń nas, Boże, mili czytelnicy; broń Boże każdego, broń Boże i was, młodzi lordowie. Mamy dosyć tych ruin i tych subhastacyi.

Gazeta Tols'a, 1875, Nr 122 z dnia 8 czerwca.

XXII.

Wyprawa do Studzieńca. — Widok Studzieńca. — Przyszłość. — Wpływ pracy i natury. — Platoniczni członkowie. — 2.168 i 600. — Pochwała sześciuset. — Żyrardów. — Nasze skłonności. Jarmark wełniany. — Ruchliwa chwila. — Tendencya. — Wyścigi. — Służba z «towarzystwa». — Bohater wyścigów. — Zarobki a zarobki. — Głowa i nogi. — Nasze rasy.

Byłem i ja w Studzieńcu. Mimo przyrzeczeń uczynionych sobie i czytelnikom w zeszłotygodniowym odcinku, że nie pojadę, a pieniądze potrzebne na kupno biletu złożę na rzecz Osad rolnych, musiałem jednak pojechać, do czego zresztą popchnęła mnie nie tyle chęć spożycia zastawionego w lesie obiadu, ile obowiązek sprawozdawcy i obfitość spostrzeżeń, jakie spodziewałem się poczynić.

Jakoż niema tego złego, coby na dobre nie wyszło — mówi przysłowie. Naprzód przekonałem się, że wycieczka do Studzieńca, obok błogich skutków hygienicznych, jakie przejażdżka

na świeżem powietrzu i wśród lasów wywrzeć musi na cenne zdrowie tak członków Towarzystwa, jak i reprezentantów prasy, obok wzruszeń natury filantropijnej i poetyczno-sielskiej, miała także swoją racyonalną podstawę, o której z całą powagą mówić mi przyjdzie. Oto Zarząd Towarzystwa chciał przedstawić tak reprezentantom prasy, jak i swoim członkom materyalne dowody swej działalności, a przytem dać im sposobność do czynienia uwag i spostrzeżeń, które, według słów jednego z przedstawicieli zarządu, przyjmowane będą zawsze najchętniej, brane pod uwagę najskrupulatniej.

Przekonaliśmy się tedy wszyscy naocznie i namacalnie, że wszystko idzie dobrze, że zarząd z godną uznania gorliwością i energią wywiązuje się ze swego zadania, że wszystko już jest prawie gotowe, i że w tych osadach dla małoletnich przestępców, prócz małoletnich przestępców i niektórych wewnętrznych urządzeń, niewiele już brakuje.

Urządzenia jednak wewnętrzne wprowadzone będą wkrótce, albowiem zarząd posiada dostateczne, a co lepsza, ciągle zwiększające się fundusze, które na ten cel odpowiednio będą użyte; małoletni przestępcy znajdą się, gdy nastąpi promulgacya rozporządzenia ministra, nakazującego sądom wydawanie ich w ręce Tow. osad rolnych.

Wkrótce więc osady zawrą ruchem i życiem. Dziś jeszcze spokojnie tam, a ciszę przerywa tylko gwar robotników: mularzy, stolarzy, kowali, cieśli, zajętych wznoszeniem nowych budowli, lub ostatecznem urządzeniem już wzniesionych. Widok Studzieńca, tak jak on dziś się przedstawia, jest jeszcze dosyć posępny. Na obszernej polanie stoi w dwóch szeregach 6-piętrowych z czerwonej cegły murowanych domów, a w środku wielkie podwórze. Na podwórzu znać ślady gorliwej pracy koło budowli. Tu i owdzie leżą jeszcze wióry stolarskie, gdzieniegdzie czerwienieje kupka cegieł, w środku wznosi się skrzypiący żóraw tymczasowej studni; drewniane, po części wzniesione już sztachety otaczają i domy i dziedziniec, a za sztachetami las, szumiące szeregi drzew i zwykła cisza leśna.

Miejsce to samotne, odosobnione od świata, takie właśnie, jakiego na osady rolne potrzeba. Ostatecznem jego urządzeniem i ozdobą zajmą się już sami przestępcy. Za jaki rok lub dwa, obszerny, porosły chudą trawą dziedziniec zamieni się w klomby, pełne krzewów; koło domów zazielenieją płonki drzew, za sztachetami zniknie las, a miejsce wykarczowanych zarośli zajmą uprawne pola, na których powiew wiatru będzie latem kołysał kłosy wszelakich zbóż. Wszystkiego tego dokonają już własnemi dłońmi

przestępcy. W samej osadzie wzniosą się nowe domki i zabudowania folwarczne; stanie kapliczka, której dzwonek będzie o rannej zorzy wzywał do modlitwy i pracy, a o wieczornej do modlitwy i snu pod skrzydłem bożem. Latem praca w polu i lesie z pługiem, broną, rydlem, motyką i siekierą; zimą, gdy śnieg z chmurnego nieba zasieje pola i gęstwiny leśne, przewagę weźmie praca w warsztatach. Życie rozlamie się tu wyłącznie na pracę i modlitwę, popłynie całkowicie owemi źródłami uspokojenia. Troskliwa, iście rodzicielska opieka ułatwi, uczyni prawie konieczną poprawę, a nakoniec dobroczynny wpływ natury uszlachetni te młode, za wcześnie pod palącem tchnieniem występku zdziczałe dusze.

«Trzeba ziemię poprawić przez ludzi, a ludzi przez ziemię» — powiedział jeden z największych naszego czasu myślicieli. Wielka to prawda. Ludzi poprawia ziemia, to jest praca i natura. Wyobraźmy sobie dziecię, zrodzone wśród zatrutej atmosfery miejskiej, w ciemnych szynkowniach, wśród gwaru i gorączki występków, ciemne, zepsute od najmłodszych lat, popychane do złego przykładem starszych, zdziczałe, rozpróżniaczone — wyobraźmy sobie, mówię, takie dziecię wyrzucone z tych piekielnych warunków, a przeniesione naraz w czystą atmosferę pól i lasów wiejskich, w ciszę i pogodę natury.

Nie zaznało opieki, tu znajduje opiekę; nie zaznało pracy, tu znajduje pracę; nie zaznało modlitwy, tu znajduje modlitwę. Tam co krok spotykało się z szatanem — tu co krok spotyka się z Bogiem. Rankiem w mieście budziły je ze snu przekleństwa starszych złoczyńców, tu budzi je śpiew ptasząt. Wieczorem w mieście usypiała je wódka, tu po modlitwie usypia je szum sosen leśnych, który sam wydaje się modlitwą i który każdą niezepsutą lub niewyschłą do dna duszę przepełnia pełną słodyczy ufnością i spokojem.

A teraz powiedzcie, moi czytelnicy, czy wierzycie, aby wobec powyższych warunków dziecię owo mogło się nie poprawić? Czy nie widzicie, jak powoli ta biedna duszyczka, niby roślina zwiędła, rozwija się, podnosi, ożywia i poczyna żyć życiem pełniejszem, bardziej naturalnem, życiem prawdy, prostoty i nakoniec wyrasta na pożytecznego pracownika tej gleby, na której wszyscy w pocie czoła pracujemy?

Ufam, czytelnicy, że to widzicie równie jasno, a może i jaśniej ode mnie, dlatego też rozumiecie dobrze, czem są Osady rolne. Założenie ich jest wielkim czynem filantropijnym, którym wszyscy chlubić się możemy; popieranie ich jest obowiązkiem, który wszyscy powinniśmy wypełniać.

A jednak!!..

A jednak co? — spytacie — alboż to w sprawozdaniu odczytywanem w Studzieńcu nie słyszeliśmy pochwał, skierowanych do ogółu?... dalej sprawozdawca pochwalił 2168-miu członków, należących do Towarzystwa osad rolnych, ale widocznie zapomniał jeszcze, czy też może nie chciał wymienić 600, wyraźnie sześciuset członków platonicznych pomienionego Towarzystwa, to jest członków takich, którzy, zapisawszy na liście swe nazwisko, nie wnieśli jeszcze należnych składek rocznych. Miło mi uzupełnić umyślne czy mimowolne przemilczenie sprawozdawcy i uczcić słowami należytego uznania wspomnianych mężów, którzy, obiecawszy płacić po 5 rs. rocznie, rozumują słusznie, że czyste uczucie, jakiem serca ich płoną dla małoletnich przestępców, więcej jest warte niż nietylko pięć, ale nawet niż dziesięć rubli rocznie. Powtóre, taki idealny udział w Osadach rolnych pozwoli im zapisać się na tych samych warunkach nietylko do tego jednego Towarzystwa, ale do wszystkich innych, jakie tylko kiedykolwiek powstać mogą, a w ten sposób uszczęśliwić nieograniczoną liczbę wszelkiego rodzaju przestępców.

Mój Boże! czemuż to zatwardziali pesymiści i sceptycy narzekają na brak bezinteresownych ludzi na świecie, skoro na 2168 członków jednego towarzystwa mamy aż sześciuset zu-

pełnie bezinteresownych, że gdyby wypadkiem licho porwało całe towarzystwo wraz ze wszystkimi członkami, domami i nieletnimi przestępcami, jeszczeby to ich nie zainteresowało ani trochę. Sądzę nawet, że to już jest kraniec bezinteresowności, z którą w porównanie iść może chyba tylko skromność rzeczonych filantropów. «Niech nie wie lewica, co czyni prawica» — oto jest ewangeliczna zasada, którą posuwają do tego stopnia, że gdybym naprzykład ku zbudowaniu innych bliźnich, chciał wymienić nazwiska owych sześciuset, wiem, że wspomniana wyżej, a wrodzona im skromność i chrześcijańska pokora żadną miarą nie chciałyby się na nic podobnego zgodzić, a nawet zgaduję, że stałbym się powodem świątobliwego oburzenia nietylko samych filantropów, ale i ich najbliższych krewnych.

Czułem się jednak w obowiązku wypowiedzieć tych kilka słów gorącego uznania: raz, że pomienieni filantropowie w zupełności na nie zasługują, a powtóre, że skoro ci niebezinteresowni, bo opłacający roczną składkę członkowie, którzy byli w Studzieńcu, usłyszeli odpowiednie pochwały i podziękowania, zdawało mi się rzeczą słuszną oddać sprawiedliwość i tym, o których zamilczano.

Ale widzę, że czas już skończyć o idealnych i realnych członkach, o towarzystwie, o prze-

stępcach, i powrócić ze Studzieńca do Warszawy. Zanim jednak to uskutecznię, pozwólcie, czytelnicy, że zatrzymamy się na chwilę po drodze, jak to uczyniła większość gości, a przynajmniej prawie wszyscy reprezentanci prasy, którzy, korzystając z godziny czasu między powrotem ze Studzieńca a odejściem pociągu do Warszawy, obrócili ową godzinę na zwiedzenie położonego tuż obok Rudy Guzowskiej Żyrardowa.

Ach! miły czytelniku, jakież cuda oglądały nasze oczy! cóż to za fabryka!! Sale tam tak rozlegle, że stojąc na jednym końcu zaledwie rozeznasz rysy ludzi pracujących na drugim. Olbrzymie, straszliwe potwory parowe, rycząc groźnie i wywijając z piekielnym rozmachem żelaznemi ramionami, nadają ruch wszystkiemu. W przędzalni tysiące mniejszych i większych kół, o smoczych kształtach, kręcą się z przerażającą szybkością na osiach; wszędzie huk, łoskot i burza taka, że ani jednego słowa nie dosłyszysz. Ściany budynku drżą. Zda się, że wszystkie te machiny żyją i mają dusze; zda się, że jakaś niepojęta wściekłość ogarnęła te żelazne potwory. Patrzysz na nie, i wydaje ci się, że lada chwila wyciągną się ku tobie jakieś straszne ramiona, i porwawszy, rzucą cię na owe zęby, haki i pasy, które rozerwą ciało twe na atomy, zmielą je, uprzędą i zrobią z ciebie łokieć płótna. Przemienić się nagle w ręcznik — co za

niemiła metempsychoza, nie mówiąc już o innych kształtach, na wypadek, gdyby się było przerobionym na cieńsze płótno! Powoli jednak prawidłowość tych ruchów uspokaja wzburzone nerwy i chłodzi rozbujałą fantazyę. Widzisz, że ów potwór, który ci się przed chwilą wydawał wściekłym, piastuje w swych objęciach subtelne, jak pojęcie, włósienko, niteczkę; snuje i nie zrywa jej. Wówczas to dopiero poznajesz, że istotnie ożywia go przezorny rozum — potężny i więcej tu niż gdziekolwiek tryumfujący nad ślepą siłą rozum ludzki, dla którego te smoki są posłusznymi na każde skinienie niewolnikami.

Przędzalnie i sale warsztatów tkackich, farbiarnia, blichownia, to prawdziwe muzea. Ostatnia, t. j. blichownia, jest to sobie ni mniej ni więcej tylko olbrzymia, otoczona wysokim parkanem łąka, przestrzeni kilku morgów, która, na pierwszy rzut oka, wydaje się być pokryta śniegiem. Po bliższem przypatrzeniu się poznajemy dopiero, że ten śnieg stanowią wszelkiego rodzaju płótna, poddane tu podwójnemu działaniu: słońca i wody. Płótna te pójdą potem na cały kraj, do Rosyi, do Niemiec i Austryi nawet. Trzy tysiące ludzi pracują w tych olbrzymich zakładach. W Żyrardowie zakładają się powoli sklepy, wznoszą się potrosze budowle i domy fabryczne. Osada powiększa się wolno, ale stale. Działalność fabryki wzrasta z dniem każdym;

obroty roczne miliony rubli wynoszą, jak również miliony przynoszą na czysto szczęśliwym, ale zarazem pracowitym i energicznym przedsiębiercom, właścicielom. Zwiedzanie tych wszystkich cudów ułatwia niezmiernie uprzejmość właścicieli, którzy chętnie i z pewną dumą oprowadzają wszędzie zwiedzających. Z dumą, bo — byli to podobno ludzie za młodu ubodzy, którzy szli w świat o własnej sile i własną siłą się wybili; z dumą, bo kiedy obejmowali fabrykę, wszystko było w rozstroju i upadku: dziś ład i porządek w niej wzorowy, a rozkwit niebywały.

Tak jest: ład, porządek i rozkwit. Patrząc na to wszystko, zadumałem się mimowoli. Ach! czemuż to dotykalne przykłady samopomocy są wiecznym grochem, rzucanym na ścianę dla naszych s k i c h i w i c z ó w! czemuż, przychodząc na świat, przynosimy już niejako z sobą więcej gustu do «kwaszonych ogórków», do żółtych najtyczanek, do wielmożności, do karczowania lasów, do głównych, biernych ról w dramacie, zatytułowanym: «Subhastacya», do wielkiej polityki, streszczającej się w słowach: «na wiosnę», do pachciarzy, do parcelacyi, do utyskiwań na złe czasy, do ciężarów hipotecznych, do zwykłego «jakoś to będzie!» czemuż, niestety, powtarzam, przynosimy więcej skłonności do tego wszystkiego, niż

do wytrwałej, upartej a organicznej pracy, która sprawia, że mrowisko, choćby dziesięć razy na dzień nogą przechodnia rozrzucone, wznosi się i staje znów całe — odbudowane!

Czyż istotnie rodzimy się słabsi? czy słowiańska rasa nasza, jak tego jeden głupi Francuz dowodził, a jedno mądre pismo nasze za nim powtórzyło, rodzi się wątlejsza, żyje słabiej i wymiera prędzej od sąsiedniej germańskiej?...

Było się nad czem zadumać.

Ale nie. To nie prawda! Nie rodzimy się słabsi, nie natury więc wina; umieramy słabsi — to nasza wina.

Było się nad czem zadumać.

Nagle dumania moje przerwał świst lokomotywy: trzeba było wracać do Warszawy.

— A co tam słychać w Warszawie? — spytacie.

Ha! mamy jarmark wełniany. Na placu targowym leżą wańtuchy, przybyłe z różnych okolic kraju, ale niewiele tam tego. Podobno remanentu więcej, niż dotychczasowych transportów. Teraz tam wszystko ważą. Waga bankowa pracuje od rana do wieczora. Rozmaite instytucye kredytowe ogłaszają się z gotowością dawania zaliczek do trzech części wartości przywiezionej wełny — i oto wszystko. Kto ma wełnę, będzie miał pieniądze.

A ceny?

Nie moja to tam rzecz, ale podobno wcale nieszczególne. We Wrocławiu szło niebardzo, w Poznaniu, ba i bardzo — dopiero w końcu ceny jakoś podskoczyły. Tak to tam przynajmniej mówią, nie wiem, czy nie strachy na Lachy. Przecie bardzo źle nie będzie, jakkolwiek słychać znowu, że kupców zagranicznych zjechało niewielu. Et! co tam! jeszcze ich się nazjeżdża! trzymajmy się ostro!

Ogólny nastrój jarmarku ma już swój techniczny termin. Nazywa się to t e n d e n c y a. Aha! t e n d e n c y a! Dopytują się tedy wszyscy: jaka jest t e n d e n c y a jarmarku? Co do mnie, sądzę, że jest taka, żeby jeden drugiego okpił, ale zdania swego nie narzucam nikomu; ogłoszę je albowiem tylko na mocy tradycyi o dawniejszych jarmarkach, i na mocy własnych spostrzeżeń, jakie robiłem w Baranowie nad Wieprzem, gdzie jak tylko jest jarmark, na który schodzą się Żydzi aż z Łysobyków, naówczas bez najmniejszej wątpliwości tendencyą ich jest okpić wszystkich chłopów, przyprowadzających woły, krowy, barany etc. etc. Sądzę, że nietylko w Baranowie, lub w Łysobykach — myślę nawet, że i w Warszawie tendencye kupców hurtownych, jakkolwiek mogą być szlachetne, nie byłyby przeciwne przyjęciu wełny, nawet za darmo, gdyby tylko obywatele wiejscy najmniejsze darowania jej tendencye objawiali.

W chwili, kiedy to piszę, jarmark urzędownie jest już rozpoczęty, Konferencye gospodarskie, jakie się zeszłego roku podczas wystawy rolniczej odbywały, zmieniły jego termin, przeniósłszy go z 15 na 19-ty — dawniejszy zwyczaj jednak zwyciężył. Nowy termin miał przytem tę złą stronę, że wypadał w dzień jarmarku berlińskiego, który odciągał kupców. Konferencye wyszły wprawdzie z zasady, że jarmark głównie na tutejszych kupców liczyć powinien, ale jarmark, nie wdając się widocznie w teoretyczne dowody, co powinien, a czego nie powinien, rozpoczął się — i rób z nim co chcesz!

Zjazd wieśniaków już wyraźnie daje się czuć w Warszawie. Hotele pełne, po restauracyach pełno, ruch po sklepach zwiększa się; ogródki przepełnione. Miasto ożywia się i, gotując coraz nowe zabawy, radośnie oczekuje pieniężnego żniwa, jakie mu jarmark wełniany zawsze przynosi. Tymczasem odbywają się wyścigi. Wyścigi! Ach, wyścigi. Mógłbym cały odcinek o nich napisać. Jest to także jarmark, ale jarmark próżności ludzkiej, albo inaczej mówiąc: warszawsko angielskiego szyku. A odbyły się, a raczej, odbywają się w tym roku z wielką uroczystością. Przeszło sześćdziesiąt koni zapisało się do gonitw. *All right!* Ten angielski wykrzyknik, za którego ortografię nie zaręczam, ale którego sposób wymawiania szczęśliwie przez pilne

uczęszczanie na wyścigi posiadłem, stanowi jedyny i całkowity zasób angielszczyzny większości naszych dżentelmenów, uczęszczających na wyścigi. Zauważyłem nawet, że niektórzy z nich nie są dokładnie poinformowani, coby ten wykrzyknik miał znaczyć, co jednak nie przeszkadza im używać go z całą powagą jak najczęściej.

Pięknych kobiet, pięknych powozów i pięknych koni na pierwszych niedzielnych wyścigach było mnóstwo. Piękności kobiet, ich barw, kolorów, opisywać nie będę, za słabe bowiem moje pióro. Co się tycze powozów, zauważyłem kilka oryginalnych zaprzęgów, między którymi odznaczała się szczególnie piękna, dobrana, nieledwie że bliźniacza, gniada czwórka, zaprzężona do lekkiej amerykanki. Dziwiła mnie tylko jedna rzecz, t. j. równie dobrani stangret i lokaj, obaj byli bowiem tak podobni do orangutangów, że słusznie można ich było poczytywać za ewentualny w przyszłości, a bardzo cenny nabytek do mającego się w Warszawie założyć zwierzyńca. Zdziwienia swego nie potrafiłbym może i ukryć, gdyby nie pewien dżentelmen, imieniem Coco, który przestrzegł mnie, że to jest *mauvais genre*, drugi zaś dżentelmen, imieniem Joco, objaśnił, że to nie są orangutangi, ale dwaj Anglicy, starannie dobrani umyślnie, albowiem właśnie bardzo z towarzystwa

jest, aby służba popierwsze: była angielska, a podrugie, żeby szczęśliwie łączyła w swych fizyognomiach wyraz twarzy idyoty i małpy; wyścigi tedy odbyły się w całym wymaganym porządku. Emablowano damy w powozach, ważono dżokiejów, ważono konie, zakładano się, wygrywano i przegrywano, rozmawiano we wszystkich językach europejskich, z wyjątkiem polskiego, — unoszono się nad łydkami dżokiejów, które rzeczywiście przypominały patyki, poobszywane w łosiową skórę; słowem: bawiono się z zapałem. Prawdziwym jednak bohaterem dnia tego był szlachetny syn pewnego wysoko urodzonego Anglika i równie wysoko urodzonej Angielki, lord Przedświt, którego polskie imię tem się tłómaczy, że urodzony był w Galicyi. Zapewnieście ciekawi, kto jest Przedświt? Otóż jest to nader piękne zwierzę ciemno-gniadej maści, z lekką, białą strzałką na czole, o szerokiej piersi, nogach sarny i ciemnych, łagodnych, pięknych oczach. Jest to zresztą indywiduum, posiadające sławę europejską: jest to ni mniej, ni więcej tylko zwycięzca ze Lwowa, podobno z Pesztu, z Pragi czeskiej, a nakoniec wielki pogromca wszystkich austryackich i nieaustryackich koni z wielkiego Derby wiedeńskiego. Jest to własność pana Tarnowskiego. W Warszawie stanął do biegu z nader dzielnym biegunem Fripponierem i raczył go łaskawie zwyciężyć

bez oblania się jedną kropelką potu. Amatorowie żałują niezmiernie, że ten czworonożny bohater nie może stanąć do biegu o nagrodę dwóch tysięcy rubli, jako przeznaczoną wyłącznie dla koni, zrodzonych w Królestwie i Cesarstwie. Nagrodę tę wziął zatem inny koń, nazwiskiem Lanerkost, szczęśliwy, że pochodzenie uwolniło go od mierzenia się z tak strasznym przeciwnikiem.

Przedświt ma obecnie lat trzy, i jakkolwiek wychowanie jego niemało musiało kosztować, opłaciło się jednak nauczycielom, gdyż, jak słyszymy, w samym Wiedniu miał prócz zakładów zarobić panu swemu okrągłą sumkę dwanaście tysięcy rubli — nie licząc tego, co zarobił w innych miastach pomniejszych.

Dwanaście tysięcy rubli! Ładna sumka. Mój Boże, jakże też nierówno są rozdzielone sposoby zarobkowania! Oto, dajmy na to, jakiś uczony profesor uniwersytetu musi kilkanaście lat pracować głową na to, co Przedświt zarabia w ciągu dwóch minut i siedmiu sekund nogami. Jak wam się, mili czytelnicy, to porównanie podoba? Czy lepiej być człowiekiem z głową, czy koniem z nogami? Nie przesądzam kwestyi, ale wiem tylko tyle, że niejeden człowiek z głową, który całe życie biedę klepie, jak Lazarus, oddałby bardzo wiele, żeby tak raz w życiu koło

świętego Jana mógł się zmienić w takiego Przedświta, Grand Daniela lub coś podobnego.

Dwanaście tysięcy rubli, to nie żart. Ha! w Paryżu płacą po sto tysięcy franków, w Anglii pono jeszcze więcej.

Wyścigi trwać będą jeszcze trzy dni. Ile jeszcze który z czworonożnych bohaterów zarobi tysięcy rubli, nie omieszkamy wam donieść.

To są grube fakty. Cóż chcecie? Słyszałem ubolewających dżentelmenów nad tem, że u nas nagrody takie małe. Zapewne! Tacyśmy bogaci! Możemy sobie pozwolić.

Wyścigi wszakże to rzecz arcy-pożyteczna. Przyczynia to się do polepszenia ras krajowych. Istotnie, że wyścigi przyczyniają się do polepszenia ras krajowych, o tem nie wątpimy ani chwili, widząc, jak pod wpływem tej modnej zabawy szlachta krajowego pokroju zmienia się na świeżo wypieczonych baronetów i lordów angielskich. Jeżeli tę przemianę uważacie, mili dżentelmenowie, za poprawę rasy krajowej, to chętnie przyznamy wyścigom wpływ niepośledni; jeżeli jednak idzie o konie, to zupełnie inna sprawa.

W dorożkach naszych chodzą szkapy, Boże odpuść; w omnibusach naszych każde konisko przypomina chudością Barbarę Ubryk; chłopi nasi mają chmyzy tak małe, że się trawestacyą prawdziwych koni nazwać mogą; fornalki nasze

ledwie nogi włóczą wiosną za bronami. Gdzież więc znać wpływ waszych folblutów? Konie angielskie mogą poprawić nasze: nie spieram się o to; mogą i powinny, ale na to potrzeba hodować niejedną rasę biegunów, do niczego nie zdatną prócz wyścigów.

Powiedzcie, że wyścigi są szlachecką zabawą, zachowującą jeszcze odcień rycerskości — zgoda, o ile sami jeździcie, ale o pożytku ich niema co mówić.

Gazeta Polska, 1875, Nr 128 z dnia 15 czerwca.

XXIII.

Jeszcze wyścigi. — Wzruszenia. — Połamane nogi. — Z przeszkodami. — My i Anglia. — Gorzka prawda. — Fakty. — Piękne projekty. — Szosy Miechowskie. — Czego brak Miechowianom? — Przyszłość projektu. — Bajka o szpitalu. — Posiedzenia spółki jedwabniczej. — Jedwabnictwo i proboszcze wiejscy. — Miliony przyniosła fantowa loterya. — Upadek zabawy. — Ostatnia.

Oto i tydzień wyścigowy skończony. Nie przeszedł on bez dramatycznych wypadków. Aż dwa rumaki padły ofiarą własnej szybkości. W hipodromie rozlegały się strzały rewolwerowe, którymi usiłowano w humanitarny sposób skrócić cierpienia padłych na torze walki klaczek. Piękne damy znalazły sposobność do czułych wzruszeń, do okazania czułości serca, manifestującej się nazewnątrz w tkliwych francuskich wykrzyknikach: *O mon Dieu! o ciel! o pauvre Isaura!* do żałosnych ubolewań nad słabością swych nerwów i nakoniec do nieśmiało wypowiedzianych nadziei, że i następne, przypadające za dwa dni

wyścigi z przeszkodami, nie przejdą bez pewnych wypadków, które, mój Boże! bądź co bądź, urozmaicają jednak zabawę.

Tymczasem wyścigi z przeszkodami nadeszły i nie sprawdziły tych nadziei. Do wielkiego stiplczezu stanęły trzy konie, a po przesadzeniu kilku przeszkód, wszystkiego jeden biegał w szrankach bez jeźdźca, co nie zdołało rzeczywiście zadowolić głodnej wzruszeń ciekawości. Za to mniej zapalonym amatorom sportu dały wiele do myślenia wyścigi chłopskie, kończące, jak wiadomo, tę szlachetną zabawę. Otóż z wyścigów tych okazuje się po najskrupulatniejszem obliczeniu czasu, jakiego na obieżenie szranek potrzebują konie angielskie i domorosłe chmyzy chłopskie, że różnica na korzyść pierwszych wynosi zaledwie kilkanaście sekund na wiorstę. Tak jest, kilkanaście sekund, a jednak dla tych kilkunastu sekund ileż to zachodu i starań, ile hałasu, ile przeróżnych ceremonii, ile starterów, chorągiewek, meldowań, wagi, ile angielskiego szyku! Tworzą się dyrekcye, sprowadza się dżokiejów, zapuszcza się angielskie faworyty, nosi się angielskie paltoty, wyłamuje domorosłe szczęki na angielski sposób po to, ażeby mówić angielszczyzną, którą każda inna narodowość łatwiej rozumie niż angielska; chowa się całe stada długonogich rumaków, wybiera się z pomiędzy nich te, które mają nogi

najdłuższe, trenuje się je, ludzie i konie pocą się jak nieboskie stworzenia, wyrzuca się rocznie miliony złotych... i wszystko to dlatego, żeby potem przelecieć wiorstę o kilkanaście sekund prędzej niż to robi, naprzykład, niejaki Stacho Kałduniak z pod Wilanowa.

Ależ Stacho Kałduniak jeździł na swoim chmyzie cały rok, — dżentlemeni na swoich folblutach nie jeździli; Stacho orał nim, dżentlemeni nie orali; Stacho bronował, Stacho wozil drwa do Warszawy, zboże na targ, słowem Stacho użytkował, dżentlemeni ze swoich nie użytkowali — nakoniec, Stacho, mimo, że nie rozumie co znaczy: *all right!* mimo, że dżokiejów nigdy inaczej nie nazywa, tylko «poganami», mimo nakoniec, że na swego folbluta arcy po mazowiecku «hetta!» woła i prętem lub postronkiem go popędza, jest jednym z najracyonalniejszych krajowych sportsmenów. Drugi wniosek zaś jest taki, że owe kilkanaście sekund większej szybkości koni angielskich są sekundami najkosztowniejszemi ze wszystkich sekund, z jakich składa się nasze ogólne życie, co przy równie ogólnej biedzie, przy powszechnych narzekaniach, przy długach, przy wiecznych terminach etc., jest wydatkiem podobno absolutnie naszą możność przechodzącym. Co do mnie, ostatecznie sądzę, że jeżeli mamy dość powodów zazdroszczenia Anglii wielu rzeczy, które nieprędko u nas

z dziedziny pragnień i pożądań do dziedziny istotnych faktów przejdą, to wcale nie mamy powodów do zazdroszczenia jej sportu, który tam przedstawia się zresztą jako wynik zbyt nich, wiodących do ekscentryczności, bogactw u nas zaś jest wypływem chęci naśladownictwa rozpowszechnionej, prawda, wszędzie, ale nie obfitującej w jakiekolwiek realne owoce.

Nie potrzebujemy owijać w bawełnę prawdy że zacofani jesteśmy w stosunku do Zachodu pod każdym względem. Nadewszystko jesteśmy goli w porównaniu z tąż zagranicą, jak Łaza rze. Przemysł nasz jest żaden; na drodze han dlowej stawiamy pierwsze kroki; nasi lordowie wraz z całymi ich majątkami mogliby być plenipotentami lordów zagranicznych; nasi po siadacze ziemscy, stanowiący jądro społeczne wegetują raczej na swych gospodarstwach; nas włościanie nie umieją czytać i pisać; nasi Ży dzi, mimo wszelkich, czysto jednostronnych czy obustronnych usiłowań, są jemiołą na dębie. T gromady ludzi ciągną dwa za krótkie końce ce lem powiązania ich z sobą, a gdy który si urwie, przewracają się głowami na dół, a no gami do góry; tam znowu łapią rzeszotami wo dę; ówdzie rzucają groch na ścianę, ówdzie bu dują domki z kart; gdzieindziej kręcą bicz z piasku; tam znów pracują, jak owa przysło wiowa Barbara, która, co w dzień uszyje, w noc

rozpara; a wszędzie więcej — Bóg widzi — o wiele więcej «przygotowań niż dyalogu».

Ach, gdyby to projekty były faktami, czegóżby to nam brakło! Jeżeli piekło jest istotnie zabrukowane dobremi chęciami i pięknymi projektami, tedy zapewniam was, mili współobywatele, że my, którzy mamy najgorsze w świecie bruki w Warszawie, dostarczymy ich jak najwięcej i w jak najpiękniejszym gatunku dla Lucypera. Ile tam już tego materyału jest na składzie, tego nikt i porachować nie potrafi.

Dixi! Ale gdy chodzi o fakty, odpowiedź nie tak łatwa, a zamiast odpowiedzi: «cisza i cisza pośród błękitów!» Co u licha! czyliż nic się takiego nie dzieje, o czem mógłbym wspomnieć z całem uznaniem?... Czekajcie, niech sobie przypomnę. Aha! budują szosy w Miechowskiem; budują wcale nawet nie na żarty, bo za 300.000 rubli. Fakt to niemały, a nawet w dziejach samopomocy powiatowej niesłychany; zachodzi jednak ta drobna okoliczność, że jeżeli istotnie je wybudują, to popierwsze: nie będą mieli czem po nich jeździć, a powtóre: nie będą mieli co po nich wozić! — Jak to? spytacie. Tak to, mili chrześcijanie, widzę w tej chwili żabę, która z całem zaufaniem wyciąga nogę, prosząc, by ją okuć. Jeżeli jeszcze nie zrozumieliście o co chodzi, tedy powiem wam, ale do ucha, tak, aby mnie Miechowiacy nie usłyszeli, że w całem Miechow-

skiem kto wie, czyby znalazł 300.000 rubli gotówką; że nie mają na szosy pieniędzy, a choćby mieli na wybudowanie, nie będą mieli na utrzymanie ich, czyli na konserwacyę. Powiem wam dalej, że nie mają szpitali, nie mają szkółek, nie mają kas obywatelskich, nie mają straży pożarnych, nie mają żadnej rzeczy, która jego jest, a przedewszystkiem: nie mają pieniędzy. Powiem wam dalej, że projekt, jako absolutnie przechodzący fundusze gmin i obywateli, jest poprostu niemożliwy. Słyszałem raz, a nawet słyszałem napewno, że w pewnym powiecie złożono dość znaczną sumę na wybudowanie szpitala. Cel piękny! Ależ oto, kiedy suma już była, poczęto się spierać, jak wielki ma być szpital. — Jak największy! — wykrzyknął pewien więcej filantropijny niż ćwiczony w czterech działaniach arytmetycznych przewodnik przedsięwzięcia. Owóż postawiono szpital wielki, bardzo wielki, tak wielki nawet, że nie starczyło już pieniędzy na dach, na urządzenie wewnętrzne i na chorych. Są więc mury, niema tylko dachu; jest szpital, ale niema w niem łóżek i chorych. Ten przykład niechaj objaśni wam, dlaczego, mówiąc o szosach miechowskich, nie mogę wstrzymać się od sceptycznego uśmiechu, i dlaczego przychodzi mi mimowolnie na myśl, że przedsięwzięcie owo nie wygląda o wiele więcej seryo niż owo budowanie mostu za fant w grach towarzy

skich, przy którem się mówi: Buduję most, potrzeba mi arkady, a tą arkadą jest pan ten a ten.

Otóż i jeden fakt ze społeczno-powiatowego życia. Chciałem wam przytoczyć go jako pocieszający; po bliższem jednak rozpatrzeniu się w nim, zgadzam się z tymi, którzy go pocieszn ym nazywają. Przechodzę teraz do drugiego faktu. W mieście naszem szum, hałas, zjazd, ludzi jak mrowia; ale działalność społeczna uśpiona, dlatego fakty śmiało mogę liczyć na palcach, bez obawy, że mi ich do końca felietonu zbraknie. Owóż tym drugim faktem było posiedzenie Spółki Jedwabniczej, odbyte dnia 17 czerwca we czwartek. Zebrała się garstka akcyonaryuszów, zagajono posiedzenie, i sejmik zawrzał życiem.

Stara to historya te posiedzenia: zawsze powtarza się na nich jedno i toż samo. Przedewszystkiem członkowie zaznaczają brak czasu, następnie ułatwiają sobie uprzejmie tracenie tegoż czasu przez spory i rozprawy o szczegółach całkiem podrzędnej wagi. Występują rozmaici mówcy, wspominają o upałach, o Adamie i Ewie, nieco o czasach starożytnych, przerywają sobie wzajemnie, przepraszają się, nazywają się «znanymi z gorliwości», napomykają o prasie peryodycznej, o wdzięcznej potomności, o spóźnionej godzinie, o nieprzyjemności uczu-

cia głodu i o wielu rzeczach, tak dobrze jedwabnictwa tyczących, jak i nie tyczących. Nieraz się zdarza, że dwóch mówców mówi odrazu, a wówczas jeszcze odzywa się dzwoneczek prezesa, co wszystko razem tworzy interesujące trio, osnute na temat przyszłego dobra jedwabników. Posiedzenie ostatnie dowiodło tej niezbitej prawdy, której dowodzą wszystkie posiedzenia, jakie się tylko u nás odbywają: że dziwnie nas Pan Bóg obdarzył płynnością słowa, która z lada powodu wzbiera i rozlewa się niepomiarkowanie szerokiem korytem.

Spółka Jedwabnicza naznaczyła roczne swe posiedzenia na 17-ty czerwca, dlatego, że jest to «sezon wełniany». Poprostu chodziło o danie możności ziemianom uczestniczenia w posiedzeniach, obznajmiania ich ze sprawą jedwabnictwa i skutecznego jej popierania. Otóż czy wiecie, czytelnicy, ilu też ziemian brało udział w posiedzeniu? Ani jeden. Czy wiecie, ilu ziemian liczy się między akcyonaryuszami? Łatwo zgadniecie. Czy wiecie, ilu interesuje się jedwabnictwem? Ani jeden.

A jednak jakże to ważna gałąź krajowego przemysłu! Mój Boże! gdyby mniej filisterstwa, gdyby mniej kiwania ręką nad każdą rzeczą, która jest nowością; gdyby mniej tego: «a! co tam!» gdyby mniej przechodzenia do porządku dziennego, którym jest obracanie wielkich pal-

ców na mniej więcej wydatnym żołądku, — jakież to kraj mógłby odnieść z tego z czasem korzyści! Gdyby, naprzykład, nasi proboszczowie wiejscy, między którymi większość ożywiona jest jak najlepszemi względem społeczeństwa chęciami, chcieli wziąć do serca tę sprawę i zająć się poważnie hodowlą jedwabników! Hodowla rzecz to łatwa, rzecz to nawet przyjemna. Zamiast łupić po nieszporach w maryasza z miejscowym wikarym, zamiast politykować o tem, co Francuz będzie robił na wiosnę, zamiast nakoniec sypiać po obiedzie i chrapać z pod kolorowej chustki, którą się od much twarz nakrywa, — czyż nie lepiej zająć się jedwabnictwem, ocieniać plebanię morwowemi drzewkami, krajowi zapewniać miliony w przyszłości, sobie jednać cichą wdzięczność potomnych i słodkie jeszcze za życia przeświadczenie, że się dla dobra bliźnich działa?

Powtarzaliśmy już nieraz i jeszcze powtarzamy, że gdy we Francyi zaprowadzano jedwabnictwo — wszyscy pseudo-rozsądni opierali się temu co sił: mówiono, że klimat niewłaściwy, że drzew niema, że to zabawka, że się to na nic nie zdało; słowem: mówiono to wszystko, co i u nas mówią ospalcy — a jednak dziś Francya ma setki milionów franków rocznie z jedwabiu i jedwabniczego przemysłu.

Mówicie, że niema u nas przędzalni, niema

fabryk. Bądźcie spokojni. Miejcie tylko jedwab, a znajdzie się to wszystko. Przędzalnie założą choćby p. Hille i Dittrich w Żyrardowie — byle tylko było co prząść i z czego materye wyrabiać. Poparcia zatem, poparcia, czytelnicy, dla spółki! Członkowie jej mogą sobie na posiedzeniach rozprawiać nawet i o potopie, a swoją drogą sprawy spółki idą teraz lepiej, raźniej, energiczniej; w kasie nie taka pustynia, jak dawniej; Towarzystwo nie rozwiązuje się, nie upada, nie kona. Owszem żyje i zamierza rozszerzać działalność; mają pouczać pragnących się uczyć, dostarczać morw, wydawać broszurki, założyć pismo. Był nawet projekt, aby członkowie puścili się w apostolski pochód po wioskach i miasteczkach dla nauczania, ale projekt ten niewielki wzbudził w członkach entuzyazm.

Popierajcie więc jedwabnictwo i spółkę! Nie o osobisty jeszcze teraz interes chodzi, choć wkrótce z interesem ogółu zapewne i osobiste korzyści się połączą. Tymczasem chodzi tylko o dobro ogółu, dla którego — jakkolwiek grzeszni, leniwi, niedbali — często gotowiśmy jeszcze wiele zrobić.

O czemże jeszcze napiszę wam, czytelnicy? Chciałbym już zakończyć ten odcinek, gdyby nie to, że o wzmiankę doprasza się jeszcze fan-

towa loterya, która trwała aż dwa dni, w sobotę i niedzielę. W niedzielę sprzedawano jeszcze bilety nierozebrane dnia poprzedniego i wydawano fanty. Wszystko tak, jak było. Kolorowe namioty; damy, jak kwiaty w namiotach; białe płótna, barwne chorągwie, muzyka, światła; deszcz nawet, ten nieodstępny towarzysz każdej loteryi, dopisał i tym razem; słowem: wszystko było, jak dawniej, brakło tylko takich tłumów, jakie bywały dawniej. Zabawy te spowszedniały do wysokiego stopnia i przestały być zabawami. Dawniej brał w nich udział cały wielki świat, tłumy zaś przychodziły oglądać ten wielki świat. Dziś wielki świat ani się pokaże, mamy nie przychodzą; kto przyjdzie, ten gra lub nie gra, jak chce, ale nudzi się, czy chce, czy nie chce. Ludzie pytają się siebie wzajemnie: co tu robić? Czy zabawa ma polegać na przypatrywaniu się sobie wzajemnem? Ależ wszyscy czynią to od rana do wieczora! Jeśli chodzi o piękne kobiety, więcej ich jest u Fliegego — krótko mówiąc: niema co robić! Tak rozumuje ogół. Fanty już nie nęcą. Opatrzyło się wszystko. Młodzieniec, wygrywający pończoszki, młoda panienka, wygrywająca brzytwy, nie robią już wrażenia. Możnaby wprawdzie powiedzieć, że na loterye nie chodzi się dla czego innego, tylko dla ubogich. He! niedostateczna odpo-

wiedź. Wiadomo przecie, że Warszawianie wtedy tylko są hojni, kiedy się bawią.

Loterya więc nie poszła zbyt świetnie.

A jednak była to już ostatnia loterya.

Gazeta Polska, 1875, Nr. 134 z dnia 22 czerwca.

XXIV.

Święty Jan dawny i teraźniejszy. — Termin. — Wianki. — Zamieranie obyczaju. — Posiedzenie akcyonaryuszów drogi Warsz.-Bydgoskiej. — Dwie koleje. — Oponent z zasady. — Nowe koleje. — Mój pesymizm. — Smutna rzeczywistość. — Przykłady naszej zaradności. — Popis przemysłu i rolnictwa w Kaliszu. — Z Sandomierskiego. — Straże pożarne. — Historya z beczką. — Drągi do bosaków. — Przy kolei Terespolskiej. — Trójpolówka. — Drewniane schody. — Miejscowe zwyczaje. — Wycięte lasy. — Historya o Icku Popycku i pewnym magnacie. — Icek psycholog. — Tow. Kredytowe. — Jubileusz. — Nasze winy. — Wakacye. — Przyszłość.

Nie tak to *illo tempore* bywało — mówi staroświecka piosenka, i ma wielką słuszność. Czasy zmieniają się; stare zwyczaje idą w poniewierkę, rozpływają się w falach zapomnienia, nikną, a odległość i różnica między przeszłością a chwilą obecną coraz większa.

Gdybym był poetą, wyśpiewałbym w pięknych rymach swój żal za poetyczną przeszłością; zauważyłbym w melancholiczny sposób

znikanie z życia poezyi, romantyzmu i miłości; a na dowód, że to wszystko znika istotnie, przytoczyłbym dzień Ś-go Jana i obchód wianków.

Czemże bowiem była dawniej, a czem jest dziś ta uroczystość Ś-go Jana?

Poeci prawią, że w dawnych, zamierzchłych czasach, w dzień ten, gdy słońce kryło już złotowłosą głowę za sosnowe bory, gdy powoli ciemniała różowa zorza wieczorna, a od surowego wschodu wytaczał się na widnokrąg srebrny miesiąc z rojami gwiazd - służebnic, wówczas cały kraj zmieniał się w jedno czarodziejskie koło nadzmysłowych złudzeń i omamień. Na wzgórzach błyskały światła sobótek; po rosie, z łąk i zielonych dąbrów, echo niosło głosy pastuszych ligawek i słowa pieśni i okrzyków: «Hej Kupała! hej wielki Kupała!» Źródła i strumienie szemrały uroczyście jakoś i tajemniczo. Czasem zaszumiał wielkim głosem bór i umilkł, jakby przerażony. Czasem przelotna chmurka przesłoniła blady księżyc, a wówczas w lesie wśród próchna i paproci połyskiwały niewidzialne nigdy światła. Stare sosny i buki zdawały się gadać prawie ludzkiemi słowy, jakby marzyć, jakby coś sobie przypominać. Tajemnicze szepty kończyły się ciszą. Naokół słyszałeś niby westchnienia, z poza światowych piersi wydobyte. W gęstwinie śmiały się leśne wile. Dziwożona, kołysząc się nad przepaścią, zwieszona

z gałęzi olchy, śpiewała: «Pójdź tu do mnie, chłopcze młody!» Po stawach i jeziorach wabiły świtezianki; z trzcin dochodziły wycia topielców. Dusze zmarłych obsiadały, niby kawki, samotne polne grusze. Na murach cmentarnych kwiliły duszyszki zmarłych bez chrztu dzieciątek. Po bagnach podskakiwały błędne ogniki. Wszędzie tajemniczo, strasznol Każda gałązka, złamana nogą zabłąkanego przechodnia, zdawała ci się mówić: «Nie chodź dalej!» Z ciemności boru wiało na nią przerażenie. Gałęzie krzaków chwytały za odzież, jakby broniąc dostępu do cudownego kwiatu paproci, o który, mimo widm, przestrachów i larw, kusili się goniący za skarbami, za szczęściem i za miłością młodzieńcy.

W takie to noce, ponad chłodne strumienie, ocienione wierzbą i kaliną, porosłe niezabudką, tatarakiem, warzęchą i płaskiem liściem lilii wodnych, wychodziły przy świetle pochodni, ubrane w bieli dziewice rzucać wianki na fale. I wianek wówczas unosił się lekko na drżącej toni, a za wiankiem rozlegał się plusk wioseł i wyciągały ręce młodzieńcze. Srebrny księżyc i czerwone pochodnie oświecały uroczystość. Czar chwytał wszystkie serca. Rzeczywistość zmieniała się w jeden fantastyczny poemat. Wszystko kochało i odwzajemniało miłość: dzie-

wice były niewinne, młodzieńcy cnotliwi, stali w miłości i mężni.

Tak to podobno było dawniej, a przynajmniej mówią poeci, że tak było. Ile w tem wszystkiem prawdy, a ile poetycznego zmyślenia, trudno przesądzać; to tylko pewna, że dziś czasy się zmieniły. A naprzód borów i lasów, w których działy się te świętojańskie cuda, już ani śladu: popłynęły do Gdańska, a w zamian sterczą czarne pniaki, na których najpowiewniejsze duchy, gdyby nawet chciały hasać, połamałyby sobie nogi z pewnością. Dalej, w duchy już dziś nikt nie wierzy. Świtezianki i rusałki, ubrane podług żurnalów, w biały dzień spacerują na wysokich korkach po Saskim ogrodzie, wabią nawet chłopców po dawnemu, ale ród ten dziwnie jakoś zmądrzał, i dziś już ani śpiewem, ani niezabudką nikt go nie wywiedzie w pole, «jeno mu trzeba posag położyć na stole». Dziwożony zmieniły się także niepomału. Jeżdżą na lato do wód, dzieci oddają bonom francuskim, a choć ciągną nieraz do przepaści... własnych mężów, czynią to w sposób arcy nowożytny, z pomocą rachunków od Włodkowskiej, Penkali i Thonnesa, z pomocą balów, koncertów, sezonów letnich i zimowych, wód, mody i kwaśno-słodkich wysileń dobroczynnych, w których co grosz na ubogiego, to tysiąc na tualetę.

Tak jest, czasy się zmieniły, a z nimi zmie-

niła się i czarodziejska uroczystość Ś-go Jana. Nie wiem, czy paproć kwitnie jeszcze, czy nie kwitnie, jak dawniej o północy, ale wiem, że Święty Jan to dziś przedewszystkiem termin. Tak, mój miły czytelniku! Zamiast iść chwytać wieńce dziewicze, musisz iść płacić ratę w Towarzystwie Kredytowem wiejskiem i miejskiem. Taka to teraz uroczystość. Na Święty Jan ekspirują twoje sola weksle; na Święty Jan wręczają ci pozwy; na Święty Jan różne kasy przemysłowe przysyłają ci swoje awizacye; na Święty Jan kłania ci się Bank handlowy; na Święty Jan modlisz się napróżno do Dyskontowego; w ten dzień gospodarz podnosi ci komorne; w ten dzień płacisz sługi; rzemieślnicy nachodzą ci od rana mieszkanie; słowem: wszędy termin i termin, prawdziwa *dies illa, dies irae.*

Oto jest różnica dzisiejszego Świętego Jana od dawniejszego Kupały. Łatwo zrozumieć, iż wobec tych warunków, wobec tych arcy prozaicznych potrzeb i kłopotów, znikł dawny poetyczny charakter tej uroczystości. Najlepszy tego dowód mamy na obchodzie wianków. Kto dziś chodzi je puszczać? kto je chwyta i czego dziś one są symbolem? Mój Boże! mówią, że: niewinności. *C'est possible!* ależ skoro rycerska młodzież nie bierze już w tej zabawie udziału, czyż opłaci się puszczać na wodę taki symbol po to, ażeby go złapał przewoźnik? Z drugiej

strony, choćby prócz przewoźników brała udział w uroczystości i młodzież rycerska, to niejeden znów rozumuje, że nader małą jest satysfakcyą, zamiast dziewiczego, schwytać np. wieniec warszawskich rzeźników lub piekarzy. Nakoniec, jeżeli wieńce mają być symbolem niewinności, dlaczegóż puszczają je na wodę stolarze, rzeźnicy i piekarze? Ci ostatni, nie wiem napewno, czy puszczają, w każdym razie mogę wam zaręczyć, że jeśli wieniec ten składa się z bułek ich własnego wyrobu i pieczywa, tedy ryby mogą go, co jest nawet najprawdopodobniejsze, nie chcieć skonsumować; na wypadek przecież, gdyby go skonsumowały, niema obawy, żeby się która udławiła: wielkość bułek uspokaja nas zupełnie.

Owóż więc, wracając do wianków, zwyczaj ten traci swoje poprzednie znaczenie i coraz bardziej słabnie. Dawniej brały w nim udział nawet i wyższe klasy; dziś i średnie brać nie chcą. Któż zatem, prócz stolarzy etc., puszcza dziś wianki? Dziewice? Zapewne... Sądzę jednak, że jeśli dystyngowani młodzieńcy nie gonią za nimi po wodzie, to dlatego, żeby ich i na lądzie przyjąć nie chcieli. Zwyczaj był niegdyś piękny i poetyczny; dziś jest to blade jego odbicie. Na moście zbiera się gromadka ludzi, kręci się, poziewa. Zachodzące słońce pozłaca całą tę ceremonię ostatnimi promieniami i znika za dą-

lekiemi drzewami. Ludzie ciskają kilka niby wieńców na wodę; rozchodzą się, nie rozumiejąc co robili, dlaczego i na jaką pamiątkę to robili — i nakoniec idą pokrzepić się w poblizkich restauracyach, co, jak się zdaje, dziś stanowi właściwy cel zabawy.

Dziś niewdzięczny to materyał nawet dla felietonisty, sławiącego z zasady stare zwyczaje; wolę więc przejść na inne pole, które i dla was, czytelnicy, może będzie ciekawsze. Powiem wam na ucho, że byłem na posiedzeniu akcyonaryuszów drogi żelaznej Warszawsko-Bydgoskiej. Mówię wam to na ucho, dlatego, że na takich posiedzeniach nie wolno bywać nikomu więcej prócz samych akcyonaryuszów — ja zaś... Mniejsza o to, nie lubię dotykać tej materyi; dość, że na posiedzeniu byłem, byłem przez ciekawość, która jest moją obowiązkową wadą, i dla zdania wam sprawy, jak się podobne posiedzenia odbywają.

Nakoniec byłem jeszcze i dlatego, bo sądzę, że tak, jak dobrze jest być widywanym pod rękę z pryncepsami rodu lub pieniędzy, tak również dobrze pokazywać się na zgromadzeniach akcyonaryuszów kolei żelaznych. Co chcecie? znałem człowieka, który tak często chwalił się wysokiemi znajomościami, że gdy ktoś przy nim pewnego razu narzekał na upał, ów odpowiedział: Istotnie jest gorąco, powiadam wam,

że dziś takeśmy się spocili z Branickim, że to okropność! — Mój drogi, spytał go ów ktoś, dlaczego ty się nigdy z kim innym nie pocisz, tylko zawsze z Branickim? Nie było odpowiedzi, ale łatwo się jej było domyślić. Ot wolał się pocić z Branickim, niż z kim innym chłodzić. Tak i ja: wolę być na posiedzeniu akcyonaryuszów niż gdzieindziej. Jak się człowiek o akcyach nasłucha, zdaje mu się, że sam ma akcye.

Owóż takie posiedzenie, to jest rzecz arcy poważna. Chodziło na niem o to, czy droga Warszawsko-Bydgoska ma mieć wspólny zarząd z Wiedeńską, czy też swój własny. Pewien akcyonaryusz drogi Bydgoskiej oskarżył Wiedeńską, jakoby ta Bydgoską wyzyskiwała. Obraziło to akcyonaryuszów drogi Wiedeńskiej, którzy też zaprojektowali rozdział. Wtedy padł strach na Bydgoszczyków; trzeba wam bowiem wiedzieć, że droga Bydgoska niewielka jest, zysków nie przynosi, trzeba nawet do niej dokładać; gdyby zaś miała oddzielny zarząd, oddzielną stacyę, oddzielne warsztaty mechaniczne, potrzebaby było dwa razy tyle dokładać. Padł więc, mówię, strach. Pokazało się, że stosunek drogi Wiedeńskiej do Bydgoskiej jest taki, jak mamki do dziecka. Niewczesny opiekun sądził, że dziecię urosło, że może samo chodzić, aż tu pokazało się, że za pierwszym krokiem prze

wróci koziolka. Opiekun sądził, że samo na chleb zarobi, a pokazało się, że samo do ust pokarmu zanieść nie zdoła. Trzeba było na to zaradzić; stąd wynikła konieczność obgadania. Owóż akcyonaryusze drogi Wiedeńskiej, obrażeni insynuacyami wyzyskiwania, uradzili, żeby się po upływie oznaczonego terminu rozłączyć; akcyonaryusze zaś bydgoscy uchwalili, żeby się nie rozłączać. A opiekun? Dziwny to zaiste fakt. Występując przeciw drodze Wiedeńskiej, opiekun występował niby w obronie interesów akcyonaryuszów bydgoskich, a jednak ciż sami akcyonaryusze uznali jego wystąpienie za bezzasadne i na rozwagę nie zasługujące. O niewdzięczności akcyonaryuszów! I cóż wam szkodzi, że ktoś protestuje dlatego, żeby protestować, że ktoś sztukę dla sztuki uprawia? Napozór sądzićby można, że wszelka opozycya powinna mieć powody realne, natury czysto przedmiotowej. Pokazuje się, że to fałsz. Pokazuje się, że można urodzić się oponentem, tak, jak flegmatykiem, sangwinikiem i tym podobnie. Jest to sobie temperamencik taki sam, jak i każdy inny. Achilles, jak to wiemy z «Pięknej Heleny, urodził się «wrzący - zacięty, wrzący - zacięty» — i z góry wchodząc na scenę, sam to zaznacza. Kogóżby więc to, o akcyonaryusze, dziwić mogło, gdyby ktoś, urodziwszy się opo-

nentem, wchodząc na posiedzenie, również z góry zapowiadał:

Jestem oponent z zasady, ponent z zasady,
[ponent z zasady,
Jestem negatywny, tywny, tywny mąż,
Da-rem-ne wszelkie obrady, wszelkie obrady,
[wszelkie obrady,
Ja protestuję, tuję, tuję, tuję wciąż.

Nie można zmienić własnej natury tak samo jak nie można płynąć przeciw wodzie. Wyobraź sobie, o czytelniku akcyonaryuszu, że masz taką negatywną naturę, i że jesteś na posiedzeniu, na którem o godzinie południowej zapada jednozgodna uchwała akcyonaryuszów, że jest widno. Cóż wówczas robisz? Rzecz bardzo prosta, oto wstajesz i mówisz:

«Proszę o głos, albowiem uważam, że się ściemnia i protestuję przeciw światłu». Nie dziwcie się więc, gdy kto protestuje, skoro w ten sposób oddaje dług wymaganiom swej natury. Nie dziwcie się także, gdy ktoś przerywa kwestyę w taki sposób, jak ten, który w nocy przyszedł oświadczyć komuś, poszukującemu przez gazety towarzysza w drogę do Krakowa, że do Krakowa nie ma zamiaru wyjechać. Wszystko to zależy od natury, a w najgorszym razie dowodzi odwagi cywilnej.

Akcyonaryusze owóż kolei Bydgoskiej uchwalili, mimo opozycyi członka-oponenta, żeby się

z Warszawsko-Wiedeńczykami nie rozłączać. Prócz tego, dla wytrzymania konkurencyi z przyszłą drogą Nadwiślańską, ciż akcyonaryusze polecili Radzie zarządzającej, aby przedsięwzięła gdzie należy starania o uzyskanie prawa budowania jeszcze kilku niewielkich, ale nadzwyczaj ważnych linii (Ostrowiec, Słupca) kolei, zmieniających drogę Bydgoską w najkrótszą odległość między Moskwą a Berlinem, czyli między całym Wschodem a całym Zachodem. Podzielamy w zupełności życzenia akcyonaryuszów i poświęcamy im (to jest życzeniom, nie akcyonaryuszom) kilka gorących westchnień. Żebyż! ach, żebyż! Każda kolej to linia, po której biegną nie tylko lokomotywy, ale i bogactwa, nietylko bogactwa, ale i światło. Podniosłaby się zamożność ogólna i umysłowość ogólna.

Mój Boże! pomawiają mnie o pesymizm, o umyślne przesadzanie w ciemnych barwach ile razy dotykam stosunków miejscowych. Pominąwszy już źródło tego pesymizmu, które, Bóg widzi, czyste jest i przejasne, osądźcie sami, czy ja mam zbyt zakopcone szkła na oczach, czy też rzeczywistość ciemna jest i smutna. Czytujemy korespondencye z prowincyi. Oto w Kaliszu był np. rodzaj wystawy pod nazwą: «popis przemysłu i rolnictwa». Wszystko udało się wybornie. W żywe oczy postawiono dowody, że okolica zamożna jest, dobrze uprawna i pod ro!

niczym, równie jak i przemysłowym względem wysoko posunięta. Śliczne były okazy fabryczne i rolnicze. Śliczne były rasy bydła, owiec, śliczne zboża, bajeczne jarzyny, a wszystkiego w bród. Bogdaj tak wszędzie! — powiecie czytelnicy, ale nim dokończycie okrzyku, zawołam: Bogdaj tak nigdzie!

Co znowu? spytacie zdziwieni. — Słuchajcie! Była na tej wystawie jedna dziwna i bardzo dziwna strona. Oto między większością przepysznych okazów rolniczych, między temi świadectwami inteligencyi, bogactw i pracy, kryły się okazy wprost przeciwne. Kryły się po kątach, jakby wstydząc się same za siebie: marne, ubogie, wątłe, również prawdziwe świadectwa ubóstwa i obliczonej z dnia na dzień wegetacyi. A teraz, czy wiecie, czyje były te okazy? Pierwsze były niemieckie, drugie nasze. A! więc to nie mój pesymizm, czytelnicy, to rzeczywistość, którą oglądały oczy wszystkich obecnych, o której pisali korespondenci do wszystkich pism — rzeczywistość tak bolesna, że nawet szydzić z niej nie można, ale ubolewać razem z wami wypada. Majątki tam najlepsze w rękach obcych, inteligencya w głowach obcych, wytrwałość w duszach obcych, pieniądze w workach obcych. A żywioł swoich? Ustępuje powoli. Miejsce naszych wielmożnych, zajmują obcy przybylce, nie poczynający gospodarstwa od

czwórek, «mości dobrodzieju, dobranych», od «koczyka, mosterdzieju, dla imości, wiedeńskiego» — ale też i nie kończący na westchnieniach o radcostwo w Tow. Kredytowem, z symulacyjnego dziedzictwa, przez dobroć łaskawych sąsiadów.

Dlaczego wam mówię to, czytelnicy, skoro wiem, że wam słyszeć boleśnie? Mnie równie boleśnie, ale nie o to tu chodzi. Mówię prawdę, bo trzeba, żebyśmy ją sobie mówili, nie oszczędzając się wzajemnie. Mówię prawdę i ostrzegam. To nasza — prasy — rola.

Ale biorę inną korespondencyę do ręki, z innych okolic kraju, z Sandomierskiego. Słuchajcie.

«Nasze fortuny — mówi mniej więcej w tych słowach korespondent — toczy jakby jakaś ukryta wewnętrzna choroba, jakiś rak, na którego niema już środka. Ziemia tu wyborna, życia nad stan nikt nie prowadzi, a jednak Tow. Kredytowe raz w raz wystawia na przymusową sprzedaż najpiękniejsze fortuny. Kulturtregerzy jeszcze nie przedarli się do nas, ale etc....»

Przyjdzie i na to czas. Piękna pociecha.

A teraz jeszcze jeden przykład naszej zaradności i troskliwości obywatelskiej.

— O! bardzo się obecnie obawiam o nasze miasteczko, mówił jeden z moich znajomych,

Żydzi poubezpieczali się wysoko: może być źle. O pożar łatwo.

— Powiedz mi, dlaczego nie założycie ochotniczej straży pożarnej?

Mój znajomy wziął się za boki i począł się śmiać długo i serdecznie.

— I któż będzie do niej należał? Ja jeden.

Pytałem, czy przynajmniej mają narzędzia pożarne: beczki, topory, bosaki do zdzierania dachów i tym podobne? Odpowiedziano mi, że tak jest. Przed laty kilku kupiono beczkę. Na nieszczęście, z jednego jej końca spadła obręcz. Zawołano więc bednarza, żeby ją nabił. Ale na nieszczęście, gdy ją nabijał na jednym końcu, spadła druga obręcz na drugim końcu. Bednarz, który nad pierwszą napracował się cały dzień, odłożył drugą na dzień następny. Przyszedł dzień następny, bednarz nabił drugą, ale spadła pierwsza, trzeciego znów druga, czwartego znów pierwsza — i tak już od kilku lat: co jednego dnia nabije z jednej strony, to zleci z drugiej. Skutkiem tego, poczciwy bednarzyna ma już od kilku lat robotę, i jeżeli pójdzie tak dalej, i klepki się wreszcie rozlecą, będzie ją miał do końca życia. Ale co będzie w razie pożaru? Co się tycze innych narzędzi, do bosaków nie mają wprawdzie jeszcze okuć, ale mają już kije. Pognilo to tam wprawdzie trochę, bo raz osunęło się ze ściany, o którą było oparte,

i wpadło do kałuży przed zajazdem, która i podczas największej suszy nie wysycha, a jak wpadło przed czterema laty, tak nikomu nie przyszło jakoś do głowy wydobyć.

Podobne, z małemi zmianami, środki przeciw strasznemu żywiołowi są w rozporządzeniu mieszkańców każdego powiatowego miasteczka, możemy więc spać spokojni. Bo i dlaczegóż to się obawiać? Jak kogo nieszczęście ściga, może wyszedłszy poważnie na ulicę nogę złamać, a kto inny, choćby po stołach skakał, nie złamie.

Wyrwało mi się nietrafne porównanie: przepraszam! Jeżeli kto łamie nogę na naszych ulicach i naszych brukach, nic to dziwnego.

I to przykład wrodzonej nam zaradności.

Źle się dzieje w miastach, źle i po wsiach. *A propos* wsi. Wyjeżdżałem niedawno koleją Terespolską, dosyć daleko, na Międzyrzec i Białą. Czy też wiecie, czytelnicy, że w tamtych błogosławionych stronach jeszcze drewnianemi sochami orzą, a na trójpolówkach gospodarują? Oto co się nazywa zachowywać stare obyczaje! Wszystko, jak było za króla Ćwieczka. W czytanie i pisanie oczywiście nie bardzo się tam bawią, są to bowiem pomysły zamorskie. Czytają kalendarze; prócz tego, w jednym inteligentniejszym domu znalazłem dzieło pod tytułem: «Święta Genowefa, czyli niewinność ucie-

miężona na puszczy. Anno 1756». Co do pisania zauważyłem jedną okoliczność, którą prawdopodobnie miejscowym zwyczajom przypisać należy. Oto wyraz wtorek, piszą powszechnie przez *f*.

Między majątkami jest tylko jeden, zagospodarowany świetnie i urządzony na płodozmian; ale to tam mówić nie warto: właściciel ma nazwisko niemieckie.

Ale, ale, zapomniałem: byłbym skrzywdził tamte strony. Widziałem jedną rzecz postępową: wycięli swoje lasy.

Wycięli: widać całe obszary pokryte pniakami. Wycięli i sprzedali Żydom, którzy sprzedali tam jeszcze komuś i t. d. Nie było nas, był las...

A teraz opowiem wam małą historyę o Icku Popycku. Historya nie z Bajarza, ale z rzeczywistości. Tego Icka Popycka nawet znacie. Dzisiaj to milionowy pan; zrobił ogromną fortunę na lasach, w jaki zaś sposób ją zrobił, właśnie prawić zamierzam.

Był szlachcic-pan, ale to pan całą gębą. Dobra krew, ogromna fortuna, ogromna fantazya; słowem: wszystko Bóg dał, niczego nie odmówił. Ożenił się z córką magnata, wziął dobra ogromne i wyjechał za granicę.

W dobrach tych szczególniej cudne miał

lasy: starodrzew! sosny gubiły w niebie wierzchołki, a dęby, a buki, a wszelki rodzaj drzewa!

Wśród tych lasów była fabryka, co lasom nadawało olbrzymią wartość, w tych bowiem czasach jeszcze kamiennego węgla nie używano.

Otóż Icek Popycek postanowił sobie kupić te lasy.

Kupić? Łatwo powiedzieć. Ale jak kupić? Właściciel bogaty jak Krezus, siedzi za granicą i ani myśli sprzedać.

Jak ktoś czego nie chce sprzedać, to napozór zdaje mi się, iż tego kupić poprostu niepodobną.

Wszelki rozum wobec takiej alternatywy przestaje działać.

Tak, wszelki, ale nie Icka Popycka.

Wyobraźcie sobie zdziwienie naszego szlachcica-magnata, gdy pewnego poranku otwierają się drzwi pysznego numeru w Grand Hôtel na Bulwarach w Paryżu i wchodzi kto? Icek Popycek.

Tak, tak, Icek Popycek w Paryżu, z pejsami, w chałacie i z fajką porcelanową, wyglądającą wygiętym cybuszkiem z tylnej kieszeni.

Uradowała się dusza naszego magnata. Zobaczyć w Paryżu coś tak *par excellence* swojskiego, któżby się nie uśmiał i nie ucieszył! Zerwał się:

— Icek, jak się masz?!

— Paam do nóg Jasnege Pana.

— Co ty tu robisz?

— Ja za interesami. Ot jak zwiczajni Żid.

I rozmowa potoczyła się żwawo; aż po niejakim czasie Icek mówi:

— Ja mam do Jasny Pana wielgą prośbę.

— Co takiego?

— Ja mam tu 200 tysiąców franków, co odebrałem po żonie; tego po jej krewnych. Tyle pieniędzy! ja się boję. Tu same złodzieje i rozbójniki. Niech Jasny Pan mi to schowa. Ja może za pół roku, może za rok przyjadę znowu i odbiorę.

Jasny pan nie chciał, nie chciał, wzdragał się, wreszcie ustąpił i pieniądze schował.

Icek Popycek wyjechał z Paryża, i wkrótce pan o nim zapomniał. W Paryżu, jak w Paryżu, jest dużo wrażeń, robi się wiele znajomości. Nasz magnat porobił nawet znakomite, poznał się bowiem z członkami świty zmarłego cesarza Napoleona III.

Byli to dżentlemeni, niektórzy wysoce urodzeni, wszyscy bogaci, świetni, wspaniali; używali życia, podróżowali, uwodzili kobiety i polowali; jeździli na wyścigi, grali.

Grali nawet gracko.

Raz nasz rodak, skuszony może widokiem

złota, może chcąc szczęścia próbować, usiadł z nimi do gry.

Przegrał.

Przegrał 800.000 franków i zapłacił częścią swoją gotówką, częścią Icka.

Na drugi czy trzeci dzień zjawia się Icek.

— Paaam do nóg Jasnege Panu.

— A! to ty. Co powiesz?

— Chcialem Jaśnie Pana prosić o swoje pieniądze. Trafia mi się geszeft na las. Ech! ce, ce, ce, co za geszeft. Jaki las, drugi raz się taki nie zdarzy: miliony zarobię.

Magnat przechodził się szybkim krokiem po pokoju. Nagle stanął.

— Co? co?

— Eh, jaśnie panie, co za las! Ce! ce!

— Czego ty masz kupować u obcych? Kup u mnie.

— No, jeśli jaśnie pan tanio sprzeda...

Reszty domyślacie się, czytelnicy. Psycholog Icek Popycek znał grunt, na którym budował. Icek Popycek był wielkim dyplomatą, wielkim, w swoim małym rodzaju, wodzem. Wygrał ogromną kampanię, zrobił ogromną fortunę i dziś cieszy się wielkiem uznaniem, tych zwłaszcza, którzy jeszcze mają lasy do sprzedania.

Z drugiej strony historya ta maluje i nas doskonale. Byle pieniądze w rękę, oho! Mówi się sobie: pójdą na wkłady gospodarcze, na ulep-

szenia, na spłatę długów etc. etc. A w rzeczywistości idą... gdzie? Ot, do ludzi. Rozłażą się. Część się przeżyje. Teraz już tego mniej: zbytków po wsiach i życia nad stan już niewiele, a jednak...

...A jednak dzisiaj na dobrach szlachcica.

Ciężą przeważnie te listy zastawne!

Towarzystwo niedawno właśnie obchodziło swój pięćdziesięcioletni jubileusz. Potężna to instytucya, jakże pożyteczna, jak zbawienna, a jednak... echo powiada:

«Ciężą przeważnie te listy zastawne!...»

Listy jak listy — dziś niejeden podjąłby się ten ciężar dźwigać — ale raty! Dawniejsze to jeszcze często grzechy, często grzechy ojców, którym się jako zmarłym, a zmarłym nie bez zasługi także, nic wymawiać nie godzi. Hej, cóż to i robić? Pracować i pracować.

Na zakończenie odcinka jeszcze jeden fakt z naszego ogólnego żywota. Rozpoczęły się wakacye: całe setki i tysiące naszych dzieci porzuciły na kilka miesięcy ławy szkolne. Domy winny dopełniać teraz tego, czego szkoła dać nie może. Niema szkół na świecie, któreby wpływ domów, szczególniej wpływ matek, czyniły zbytecznym. Sądzę nawet, że bez tego wpływu, wiedza sama pozostaje tylko siłą, która zarówno na złe, jak na dobrę może być użytą.

Niechaj więc wie to młode pokolenie, że prócz wiedzy, trzeba jeszcze i innych czynników społecznych, że aby służyć społeczeństwu, potrzeba wszystkich cnót teologicznych: wiary, nadziei i miłości.

Gazeta Polska, 1875, Nr. 140 z dnia 30 czerwca.

XXV.

Dzieci wiejskie. — Bez opieki. — Ochrony wiejskie i znaczenie ich w społeczeństwie. — Egzaminy i popisy. — Instytut muzyczny. — Instytut głuchoniemych. — Cisza letnia. — Czasy ogórkowe. — Różne choroby. — Wyjazdy za granicę. — Rewolucya w bibliotece. — Wieści. — Urzędnicy kolei Terespolskiej. — Kółko czytelnicze. — Inni urzędnicy. — Kąpiele. — Nurki.

Zdarzało się wam zapewne nieraz, czytelnicy, przejeżdżając latem przez pierwszą lepszą wioskę, widzieć całe girlandy dzieci wiejskich, siedzących pod ścianami chałup, pod karczmą, albo poprostu na środku drogi, bez zajęcia, ot tak poprostu na woli Bożej. Te zgrzebne koszulki, poprzepasywane czarną krajką, konopiaste główki jak makówki i niebieskie oczy, wytrzeszczone nawpół ciekawie, nawpół lękliwie, na świat Boży — rzecz to znana, która chyba tylko przybysza miejskiego zająć może. Spytacie: co robią takie dzieci? Wioska pusta, bo rodzice wyszli w pole; przed chatami, prócz dzieci,

tylko psy drzemią i wróble świergocą pod strzechami, więc dzieci robią co chcą. Przepalają sobie głowy, przewracają się po piasku, łapią ryby w kałużach; ciągną dla zabawy za ogony psy miejscowe; otwierają kołowrot, gdy kto przejeżdża, kłusując potem boso koło bryczki za datkiem — ot i czas schodzi. Starsze często przytem skazane bywają na niańczenie młodszych. Nieraz chłopak ośmioletni cały dzień dźwiga jakiego roczniaka lub roczniaczkę, bo tak «matula kozeli», a co gorsza, przywiązali płachtą dzieciaka do opiekuna tak, że ten ostatni, choćby chciał, nie może razem z innymi wyprawiać się na cudzy groch przy drodze, lub na gruszki do dworskiego ogrodu, którego Żydzi pilnują. Bo trzeba wam wiedzieć, że te dzieciaki o konopiastych główkach kradną. Tak jest, dlaczegóżby zresztą kraść nie miały? Nie oduczy ich tego matka, bo matka świtaniem wychodzi do roboty, a nauczy ich tego każdy wróbel, żyjący cudzem ziarnem, zachęci każde jabłko, zwieszające się ponętnie przez parkan ogrodowy. Wstrzymuje ich tylko strach, ale zarazem pobudza nadzieja, że nikt nie patrzy, a choćby też im kto powiedział, że Bóg patrzy, nie miałoby to żadnego znaczenia, bo trzeba wam i to jeszcze wiedzieć, moi religijni, wykształceni i humanitarni czytelnicy, że dzieci te żyją bez Boga. Tak jest, bez Boga. Są to bezwiedni ateiści. Kiedy trochę

podrosną i poczną chodzić do kościoła, wówczas dowiedzą się o piekle i niebie, ale przedtem?... Jeżeli matka znajdzie nawet czas i ochotę do wyuczenia dziecka pacierza, dziecko powtarza mechanicznie wyuczone słowa, i na tem koniec.

Co chcecie? każde z nich jest tak dorosłym indyferentystą, że zawstydziłoby niejednego głośnego filozofa. Chowają się na łonie natury, tak, jak dzieci... Hotentotów. Same rozglądają się po szerokim świecie. Same zwolna poznają, co jest złe a co dobre. Uprawiają filozofię eksperymentalną. Złem, wedle nich, jest dać się złapać na uczynku, dać sobie zabrać czapkę grochu, dostać w skórę; dobrem — najeść się cudzego grochu, nie dać sobie zabrać czapki, nie dostać w skórę. Żal za złe popełnione jest żalem, że się nie udało. Gdy Franka, Walka lub Krzycha złapią na gorącym uczynku kradzieży gruszek, wówczas wsadza palec w usta, wytrzeszcza zawstydzone oczy, robi minę kozła w kapuście i żałuje... zgadnijcie czego? — gruszek! Naturalnie, że gruszek.

O biedny, płowowłosy Krzychu, widzę jak na dłoni twoją przyszłość! Jak nie umiesz teraz czytać i pisać, tak nie będziesz umiał do śmierci, niebożę! Gdy wyrośniesz, będziesz nocami jeździł w szkodę w cudzy owies z końmi. Sąd gminny sądzić cię będzie za to, żeś z siekierą w cudzy las pojechał, a ty do śmierci nie bę-

dziesz mógł zrozumieć, żeby między «wzion» i «ukradł» nie było żadnej różnicy. Potem, o Krzychu! zasmakujesz w wódce, nauczysz się przeklinać i wzywać «siarczystych», będziesz tłukł swoją babę, aż będzie w niebie słychać; będziesz wadził się z sąsiadami; Żyd będzie cię wyzyskiwał całe życie, bo cię rachować nie nauczono. Będziesz ciemny, obywatelu, jak tabaka w rogu; będziesz głupi i zły całe życie — boś był bez opieki za młodu, bo matula nie mogli, nie chcieli i nie umieli nauczyć cię bojaźni Bożej i miłości do ludzi. Będziesz wprawdzie jęczał nieludzkim głosem w kościele, gdy ksiądz głos podniesie, a po mszy pójdziesz do karczmy i pobijesz się z drugim, takim samym jak ty biedakiem. A potem, Krzychu, postarzejesz: włos się posrebrzy, ramiona się ugną od pracy, ręce drżeć poczną, i czy wiesz, Krzychu, co się stanie? Oto syn, którego także nie uczyłeś bojaźni bożej, ani miłości do ludzi, wypędzi cię z chaty i każe pójść żebrać po świecie. Sprawisz kosztur z jeżem, broda wyrośnie ci siwa, i z piosnką o Maryi Częstochowskiej i o Dzieciątku Jezus puścisz się w świat szeroki. Aż wreszcie przyjdzie niemoc, uczujesz zimno jakieś, i smutek jakiś, i niby wołanie jakieś z niezmiernych głębin. To śmierć twoja, Krzychu. Miłosierdziu boskiemu oddaję twoją biedną duszę, bo choć grzeszny byłeś, ale ciemny. Niechaj ci świeci

światłość wiekuista. Wrzosem pokryje się twoja mogiła, i ani śladu wkrótce nie będzie po tobie i po tysiącach takich, jak ty.

Kto zna nasz lud, ten wie, że obraz to życia chłopskiego nie przesadzony. Dziś może już jest lepiej, boć zamożność ich wzrosła, a za wzrostem zamożności wzrasta moralność i światło; ależ mimo wszystkiego, jakże nizko jeszcze stoimy! Jak nizko stoimy np. w porównaniu z sąsiadami naszymi. Któż nie wie, że w starszem pokoleniu włościan, prawie nikt nie umie czytać, a w młodszem jeszcze mało kto! Któż nie wie, jak nizko stoi poziom moralny, jak słabe jest poszanowanie cudzej własności, jak nierozwinięte pojęcia o dobru ogólnem! Chcecie przykładów? Dobrze. Czy sądzicie, że zwyczaj wyprawiania starych rodziców na dziady jest czemś nadzwyczajnem? Nie, to rzecz codzienna, zwyczajna, to prawie zwyczaj. Chcecie dowodów na to, że nie szanują cudzej własności? Spytajcie pierwszego lepszego wiejskiego posiadacza o szkody, jakie mu robią. Nakoniec, że nie mają pojęcia o dobru publicznem, na dowód pokażę wam drzewka przydrożne. Zasadź dziesięć razy: zniszczą, połamią, jakby przez umyślną złośliwość.

Ale czyż można się temu dziwić? i czy to ich wina? Spojrzyjcie na te dzieciaki płowowłose — oto wytłómaczenie zagadki. Bez matki,

bez Boga w dziecinnych latach, chowane same przez się, zdziczałe, zatępione, skąd mają być innemi później? To jedno słowo: bez opieki, tłómaczy wszystko. Duchowni, działając na natury już stwardniałe, i działając ogólnie, zastąpić matki nie mogą; nie mogą sprawić, by imię Boże, by pojęcia o dobru, o uczciwości zrosły się tak z naturą dziecięcia, żeby jeden niejako organizm z nim utworzyły. Nie, duchowni wiele mogą, ale tego nie mogą, bo taką pracę potrzeba niemal od niemowlęcych lat zaczynać. Na to niedosyć jest nauczać — trzeba wychować. Ale czego chcesz? — spytacie — i do czego dążysz? — Nie chcę tym felietonem nawracać matek wieśniaczych, by zamiast chodzić w pole, wychowywały dzieci. Nie, jest inna na to rada. Matki muszą pracować, ale niemniej dzieci muszą i powinny być wychowywane. Na to jest jedna rada:

Ochronki.

Nie mówcie, że w zakładaniu ochronek trafia się na jakiekolwiek przeszkody. Tak jest, trafia się na ospałość, na lenistwo, na obojętność, ale na nic więcej. Władza pozwala zakładać ochronki. Znam wioski, gdzie one istnieją, kwitną, przynoszą moralne korzyści. Inna rzecz szkoła, inna ochronka. W wioskach tych, gdy ojcowie i matki wychodzą na robotę, dzieci od najmłodszych do kilkunastoletnich zbierają się

w umyślnym budynku, gdzie znajdują troskliwą opiekę, gdzie czuwają nad ich zdrowiem i nad ich moralnością, gdzie je zajmują robótkami i tym podobnie. W okolicach, w których niema szkółek ludowych, które zresztą mało gdzie się znajdują, ochronki takie są prawdziwem dobrodziejstwem dla dzieci. Wzrasta ich moralność i oświata, zmniejsza się śmiertelność. Te skutki starczą za wszystko. Ochrony takie i ochroniarki powinny być utrzymywane przez dwory. Powiecie, że dwór nie ma obowiązku zajmować się losem sąsiadów włościan. Być może. Nie ma obowiązku płynącego z wzajemnych stosunków, ale ma obowiązek chrześcijański i obywatelski. Budynek, a raczej pierwsza lepsza obszerna izba na wsi, niewiele kosztuje. Utrzymanie i pensya ochroniarki może się wrócić choć w części przez usługi, jakich poza ochroną, w godzinach wolnych, można od niej wymagać.

Mógłbym przytoczyć dwory niezbyt bogate, gdzie podobne zakłady istnieją, i istnieją kosztem dworów. Włościanie z początku patrzali na to, jak na każdą nową rzecz, nieufnie. Dziś przekonali się. Dawniej nie chcieli dzieci posyłać; obecnie na zebraniach gminnych sami uchwalają zapomogę dla ochron.

To są fakty, które lepiej od słów mówią.

Żyjemy w czasach szkolnych egzaminów, popisów i ciągłych wizyt w ochronach war

szawskich, które to wizyty skłoniły mnie do wypowiedzenia słów powyższych. Co do innych zakładów, mieliśmy niedawno popis Instytutu muzycznego, który to fakt tyle tylko pewną ma doniosłość, że Instytut popisuje się bardzo często. Z natury rzeczy wypada, że instytucya ta, jako muzyczna i muzykalna, musi być głośniejsza od innych.

Odbył się także popis w Instytucie głuchoniemych i ociemniałych, który to zakład prowadzony jest u nas w ten sposób, że nietylko dorównywa podobnym zakładom zagranicznym, ale je nawet przewyższa. Istotnie, tam dopiero można się było przekonać, co wychowanie i system zrobić mogą. Dość powiedzieć, że między wychowańcami Instytutu jest młodzieniec z natury głuchoniemy, którego wykształcenie posunięto do tego stopnia, że może czytać każdą książkę, nie wyjmując i filozoficznych. Sądy jego o poezyi są tak trafne, że podpisałby się na nich niejeden z recenzentów estetycznych. Trudno prawie uwierzyć w to wszystko, co się tam widzi i słyszy. Uczniowie, opuszczający Instytut, wychodzą jako ukończeni rzemieślnicy; każdy z nich może zapracować sobie na kawałek chleba, każdy może stworzyć kółko rodzinne, żyć w społeczeństwie ludzkiem, z którego sama natura pragnęła go wyłączyć, i być

tegoż społeczeństwa prawdziwie pożytecznym człowiekiem.

Z tych to powodów żadna prawie instytucya naukowa nie cieszy się taką sympatyą publiczności jak powyższa, i można śmiało rzec, że gdyby wszystkie w równym stopniu spełniały swe zadanie, wówczas wychowanie stałoby u nas tak, że pozazdrościćby nam mogli wszyscy. Kiedy spojrzysz na jej pupilów, wówczas zdaje się, że świadectwo doskonałości zakładów wyryte jest nawet na ich twarzach. Natura stworzyła je smutnemi — rozweseliła je praca; natura, odebrawszy im potężny zmysł wzroku lub słuchu i pozbawiwszy wrażeń, skazała je na bezmyślność — rozjaśniła je inteligencya, rozbudzona miłosierną i umiejętną dłonią, niby iskra przygasła w ognisku; wchodzą tam jako ciężar społeczny, wychodzą jako dzielni i cnotliwi pracownicy na społecznej niwie, i stąd to zapewne ta rezygnacya, a nawet cicha radość, która opromienia ich czoła.

Tyle o Instytucie. A teraz chętniebym przeszedł do nowych faktów, gdybym miał równą ich obfitość, jak przed czasem bardzo jeszcze niedawnym. Ale na nieszczęście, osławione czasy ogórkowe zbliżają się. W mieście pusto i cicho. Skończyły się egzaminy szkolne, ucichły wymowne posiedzenia rozmaitych akcyonaryuszów rozmaitych spółek. Jeżeli się zaś nawet jakie

gdzie trafi, tedy przechodzi szybko a bezbarwnie, znużony bowiem akcyonaryusz daje co prędzej zarządowi swe *placet*, byle jak najprędzej uciec z dusznej sali i w domu uciąć drzemkę aż do wieczornych chłodów. Kto może, wedle wkorzenionego zwyczaju, ucieka za granicę do wód. Wywożą się za granicę suchoty, katary żołądka, osłabione nerwy, tęsknoty panieńskie, posagowe pożądliwości kawalerskie i pieniądze. Ta ostatnia choroba najuciążliwsza ze wszystkich, chroniczna, a przytem nieuleczalna. Żaden doktor, to jest przeciwnie, każdy doktor pomaga do... jej rozwoju, a lekarstwem na nią jest chyba także choroba, ale jeszcze od niej gorsza i nieporównanie przykrzejsza: suchoty kieszeni.

Po redakcyach również sucho; w jednej tylko *Bibliotece Warszawskiej* zaszła zmiana, której koniec może być dla tego pisma wcale smutny. Oto panowie: Korzon, Lubowski, Pawiński, Struve i Szyszło usunęli się od współpracownictwa stanowczo. Do tej pory wiadomo było wszem wobec i każdemu z osobna, że pismo tak byt swój, jak i zaufanie u publiczności, zawdzięczało głównie pracy tych ludzi. Co teraz będzie? Co to będzie? Co to będzie? Istnieją obawy, że będzie to, co Osiński ironicznie na powyższe pytanie, trawestując je, odpowiedział. Tymczasem krążą najrozmaitsze wieści. Obawiają się, że w przyszłości zapanuje w piśmie tem anielski zapach, podobny do tego,

jaki wydaje znana u nas «autentyczna», prosto z pompy woda, wówczas, gdy nabierze pewnego *haut goût*, cenionego szczególniej przez nosy, które za pierwszem powąchaniem umieją odróżnić to, co jest w dobrym duchu, od tego, co jest w złym. Czy jednak tak będzie w istocie, trudno dziś sądzić. Nowy skład redakcyi nie zdaje się zapowiadać kierunku ultramontańskiego, a niepodobna znów nikogo posądzać, żeby dla pary pantofli chciał zostać «Turkiem dla Abdul-Medżida». Powiem raczej, że nowy skład redakcyi dotychczas nic jeszcze nie zapowiada, a co zapowiada zobaczymy w przyszłości.

W każdym jednak razie, szkoda dawnej redakcyi. Był czas, że *Biblioteka* już, już przymykała oczy, a główny redaktor dawał jej wąchać piżmo — oni ją podnieśli, ożywili — podtrzymali upadający kredyt u publiczności, i jakoś tam szło, nienazbyt świetnie, ale i nie najgorzej. Teraz nowa redakcya będzie żyła czas jakiś artykułami nagromadzonemi przez starą, ale potem... Potem będzie przednówek i czas żniwa... we mgle przyszłości.

Ruch umysłowy nie zamiera jednak u nas latem zupełnie. Oto otrzymuję wiadomość, że urzędnicy drogi Terespolskiej zamierzają utworzyć kółko czytelnicze. Jest to myśl, która, jak się poetycznie wyraził jeden z jej promotorów, «kiełkuje» dopiero w głowach; kiedy zaś roz-

winie się ta roślina i wzrośnie, zależy to zapewne od urodzajności gruntu, na którym została posadzoną. To tylko jest faktem, że takie kółko, lub jakakolwiek inna figura geometryczna czytelnicza, koniecznie w okolicach Terespolskiego banhofu jest potrzebna, dowiedzieliśmy się bowiem, że Nowa Praga, wskutek nader szczególnego położenia geograficznego, całkowicie jest od ogólno-warszawskiej cywilizacyi odcięta. Wystawcie sobie, czytelnicy, że niema tam ani księgarni, ani czytelni, ani kantoru do, któregoby można pisma peryodyczne przesyłać. Pocztą oczywiście także nie można, bo za blizko; a wiadomo jest, że poczta potrzebuje pewnego rozpędu: słowem, niema sposobu. Owóż trudność o książki, trudność o gazety i o każde drukowane słowo. Mieszkańcy, z wyjątkiem urzędników, widocznie nie czują potrzeby pisania ani czytania, kiedy się dotychczas nawet o kantor w pierwszym lepszym sklepie nie postarali. Prawdopodobnie wyrobili oni sobie pewien nowopraski pogląd na świat i pewien nowo-praski rozum, który na dni powszednie wystarcza, a na dni świąteczne zgoła nie jest potrzebny, albowiem, jak wiadomo, są to dni odpoczynku. Urzędnicy jednak innego są zdania, i wskutek tego pozwolili zakiełkować myśli stworzenia czytelni, która jak raz zakiełkowała, tak już i kiełkuje sobie w najlepsze.

Gdybyż to i inni urzędnicy, a zwłaszcza urzędnicy po małych miasteczkach, chcieli pójść śladem urzędników kolei Terespolskiej i pozwolili chociaż kiełkować podobnym myślom! Gdyby zamiast po całych dniach grać w bilard, domino i szachy w miejscowej cukierni, zamiast się dzielić na arystokracyę nie wiadomo czego i demokracyę nie wiadomo jaką, zamiast pisywać wiersze do miejscowych piękności, zamiast się obmawiać wzajemnie, chcieli zakładać czytelnie! Byłaby to rzecz arcy zbawienna. Nie sztuka nosić głowę wysoko tylko dlatego, że rzeczy lżejsze w połączeniu z cięższemi zajmują położenie górujące; nie sztuka udawać arystokratę dlatego, że się ma dwieście złotych pensyi więcej, albo wyższe obcasy od innych. Nauka brata ludzi z sobą. Poważne czytanie zbliżyłoby do siebie ludzi, wytworzyłoby obyczajne i cne życie towarzyskie, podtrzymało uczucie obywatelskie, sprowadziło wymianę myśli, podniosło poziom umysłowy i moralny, nakoniec umiliło życie, często w małych miasteczkach dość jednostajne i smutne. Dlaczegóż urzędnicy terespolscy mają być lepsi od innych?

O czemże wam jeszcze powiem, czytelnicy? Byliśmy, a raczej mówiliśmy przed chwilą o Pradze, spojrzyjmy więc na Wisłę. — Źle! woda mała: wszędy wystają zaspy piasku, żegluga utrudniona — jedne tylko kąpiele od praskiego

brzegu kwitną doskonale. Kąpie się, kto żyje. Z powodu tych kąpieli stworzono złośliwy dowcip. Mówią, że najwięcej ze wszystkich kąpią się kupcy o podszarganym kredycie i kantorowicze. Czy wiecie dlaczego? Oto wprawiają się w dawanie nura. W razie potrzeby — jakby znalazł.

Gazeta Polska, 1875, Nr. 145 z dnia 6 lipca.

XXVI.

Kłopoty felietonisty. — Kwestye, o których była już mowa. — Historya o proboszczu i o pijanym chłopie. — Prasa. — System kukania. — Synteza obozów. — Jeszcze kwestya pożarna. — Mińsk i jego przyszłość. — Konin. — Straż konińska. — 98 : 2. — Złota młodzież konińska i jej charakterystyka. — Rozmowa z wieśniakiem. — Ogród zoologiczny. — Co się zrobiło? — Odezwy. — Statek na piasku. — Moje marzenia i rzeczywistość, czyli Wisła przyszłości i teraźniejszości. — Znak życia. — Trochę o panu Bartelsie. — Niejasna kwestya. — Przenosiny czy wynosiny. — Niedźwiedzie i wilki na ulicy. — Ich przyszłość. — Teatry. — Antokol i jego położenie. — Francuzi w Dolinie Szwajcarskiej. — Teatr warszawski. — Urlopy. — Pustki.

Tyle razy zdarza mi się poruszać jedne i te same kwestye, że doprawdy czasem obawiam się, żeby nie znudzić czytelników. Powiedzcie jednak sami: cóż mam czynić? Wiem, że gdy czasem zdarzy mi się wyczytać nieśmiało: Reżyseryo, prosimy o nowe sztuki! — reżyserya daje np. «Gracza», sztukę przed pięćdziesięciu

laty już przestarzałą, a teraz robiącą wrażenie wyróżowanej staruszki, która, przypomniawszy sobie nagle, że w szesnastym roku życia była przez kogoś kochaną, zabiera się z przerażającą zimno krwią do odwzajemnienia tej miłości. Wiem także, że wskutek mych jeremiad na temat wyścigów, nazwany zostałem demokratą, i to demokratą w złym duchu, co raz na zawsze zamknęło mi wstęp na arystokratyczne herbatki z deklamacyą, z sardynkami i z kanapkami.

Wiem jeszcze, że to, co pewnego razu napisałem o Sochaczewie, Płońsku i Łukowie, zjednało mi w powyższych miastach opinię arystokraty. Pewnego razu wspomniałem, że jedwabnictwo powinni popierać proboszcze wiejscy, co sprawiło, że ogłoszono mnie za ateusza, a zarazem dostarczyło jednemu z dotkniętych materyału do równie obszernej, jak budującej nauki na temat, że kacerstwo, snycerstwo i inne niegodziwości rozwielmożniają się coraz bardziej w naszem pobożnem dotąd społeczeństwie, że zmieniają ludzi na ateistów, kancelistów i pozytywistów, co wszystko razem wzięte, prowadzi przez wolnomularstwo i jedwabnictwo wprost do piekła. Innym razem, wskutek arcy niewinnego zresztą przemówienia się z Zarządem gminy ewangelickiej, nazwany zostałem ultramontaninem i stałem się powodem pewnej kwaśnosłodkiej wymiennej korespondencyi, w której

nie szczędzono mi rad, o czem mi pisać nie wypada, a zarazem dano do zrozumienia, że każdemu wolno wygładzać swoje paznogcie w sposób, jaki uzna za najstosowniejszy.

Wobec tego wszystkiego, czyż nie przyznacie sami, moi czytelnicy, wy, którzy nie jesteście ani reżyseryą, ani mieszkańcami miasta Sochaczewa, ani sportsmenami, ani nieprzyjaciółmi jedwabnictwa, ani interesowanymi w sprawach jakiejkolwiek gminy, ale tylko prostymi obywatelami miejskimi lub wiejskimi, że pozostaje mi tylko kilka kwestyi, natury *par excellence* niewinnej, do których z konieczności ustawicznie powracać muszę. Zresztą czynię to trochę umyślnie, pamiętając tę prawdę, że kropla wody, spadająca ciągle, nawet i w kamieniu otwór z czasem wybije. A przytem byłoby dobrze, gdyby nasze nawoływania i projekty urzeczywistniały się choć w dziesiątej części i doprowadzały przynajmniej do takich rezultatów, do jakich doprowadziło kazanie pewnego proboszcza, o którem zaraz wam opowiem. Raz na wsi, pewien duchowny miał kazanie: mówił przeciw pijaństwu, a mówił z energią i uczuciem, płakał i rzucał gromy, groził niedolą za życia, piekłem po śmierci — porwał za sobą słuchających prostaczków, rozczulił ich i wycisnął łzy prawdziwej skruchy. Po kazaniu i po sumie wraca do siebie do plebanii, nagle na drodze

spotyka chłopa, ale pijaniuteńkiego jak bela. Zatacza się Bartek niebożę, na prawo, na lewo, czapka ledwo że mu się na lewem uchu trzyma, a on rozkłada ręce i mówi:

— Ech, dobrodzieju, cóż to za kazanie, co za kazanie! A to ino się dusza w człeku trzęsie, a to gorzalisko, żeby ją wciórności...

— Wstydź się! — powiada z oburzeniem proboszcz: — to ja mówiłem przeciw pijaństwu, a tyś już pijany?!

— Ech, dobrodzieju, żeby nie to kazanie, albobym to ja był tak pijany! jabym, dobrodzieju, już w rowie do tej pory leżał. Niech mię paralus!...

Westchnął poczciwy proboszcz, posmutniał i odszedł do domu.

A teraz, wy, czytelnicy, którzy narzekacie na projektomanię prasy, na poruszanie wiecznie jednych i tych samych kwestyi, na artykuły wstępne, na odcinki, na łapanie wody sitem, na nawoływania, odezwy i zachęty i tym podobnie, czy sądzicie, że bez tego nasze wady, nasza niezaradność, nasze lenistwo, obojętność o dobro ogółu, słowem, to wszystko, o czem mówimy w modlitwie: «Przed oczy Twoje, Panie, winy nasze składamy!» — czy sądzicie, mówię, że te braki i niedostatki nasze i wasze, które sprawiają, że w porównaniu z innemi społeczeństwami jesteśmy ubodzy i ciemni, nie byłyby

jeszcze większe? Ileż jednak mógłbym naliczyć, czy to przedsięwzięć, czy instytucyi, bądź społecznych, bądź dobroczynnych, które, poprostu mówiąc, wykukała prasa tem kukaniem ciągłem, ustawicznem, które i wam nieraz się znudziło, i dla niej nieraz było gorzkiem. A przytem pamiętajcie, że jeżeli mówi się tu i owdzie rzeczy dla naszej miłości własnej niemiłe, to nie płynie z przesadzonego pesymizmu, z nienawiści lub pogardy, ale z nader czystego źródła: z całej pełni serca rozżalonego, że gorzej jest u nas, niż gdzieindziej. Prawda, że dzienniki często swarzą się z sobą, często walczą w imię wiedzy, czy w imię środków do różnych celów prowadzących, czy nawet — co jest naganem — z powodu osobistych jakichś niechęci — ale można rzec jednak, że, wedle francuskiego przysłowia, pierzemy naszą bieliznę w domu. Spory istnieją, obozy istnieją, ale niemasz ani jednego — wyraźnie mówię: ani jednego dziennika, któryby w zasadzie ogólnej nie dobru społecznemu chciał służyć. Właśnie owe nawoływania, owo poruszanie jednych i tych samych kwestyi, najlepiej tego dowodzi.

Nie dziwcie się więc, że i ja podniosę w dzisiejszym odcinku sprawę, o której mówiłem już kilkakrotnie. Chodzi tu znów o straże pożarne w miastach prowincyonalnych. Czy to wskutek szkód, jakie rok rocznie czynią pożary, czy

wskutek nawoływań prasy, dość, że tu i owdzie poczynają się ludzie krzątać koło owych straży. Wprawdzie Mińsk nie zdołał jeszcze naprawić owej sławnej beczki nie — Danaid, która naprawiona z jednej strony, natychmiast psuje się z drugiej; wprawdzie nie wyciągnięto jeszcze z kałuży drągów do bosaków, które tam spoczywają od lat kilku; mówią jednak po mieście, że municypalność tamtejsza ma zamiar namyślić się nad «wysadzeniem» ze swego łona komisyi, któraby wysadziła z kolei ze swego łona komitet, mający znowu namyślić się nad sposobami naprawienia beczki i wyciągnięcia drągów z kałuży, jako też nad sposobami oparcia ich o ścianę, aby wyschły. Przytem municypalność żywi niepłonną nadzieję, że nim owe kłopotliwe wysadzania z łona się spełnią, nim beczce przestanie brakować tego, czego, mówiąc nawiasem, brakuje niejednej głowie, uważającej straże pożarne za niepotrzebne wymysły, nim nakoniec drągi zostaną wyjęte z wody — ludność miasta tak dalece się powiększy, że nie zbraknie i ochotników do przyszłej straży. W ten sposób Mińsk, jakkolwiek może się jeszcze ze trzydzieści razy spalić, ma jednak przed sobą przyszłość, wprawdzie daleką, ale różową.

Mniej rachującym na przyszłość, a więcej dbałym o teraźniejszość okazał się Konin, w którym, jak mi piszą, straż pożarna jest już urzą-

dzona, a narzędzia kupione. Do straży należy przeszło stu ochotników z miejscowej młodzieży, umundurowanych, czujnych i gotowych na każde skinienie ruszyć na ratunek tam, gdzie potrzeba. Narzędzia pożarne nie mają jeszcze stałego pomieszczenia, spoczywają więc w tymczasowej szopie, która, gdyby się wypadkiem zapaliła, narzędzia spłonęłyby niechybnie, tembardziej, że poustawiane są tam, z powodu ciasnoty, prawie jedne na drugich, zatem nie łatwo niemi poruszać. Jest jednak nadzieja, że wkrótce stanie osobny budynek, na który fundusze uzyskane będą drogą bądź koncertów, bądź przedstawień teatralnych lub fantowych loteryi.

Ale ciekawszym od tego wszystkiego jest narodowościowy stosunek ochotników do straży pożarnej zapisanych. Ktoby uwierzył, że na stu ochotników, poczuwających się do obowiązku służenia, jest dziewięćdziesięciu ośmiu Żydów i Niemców, a tylko dwóch (gdzie jest mój bicz satyryczny? podajcie mi mój bicz!), wyraźnie tylko dwóch nie-Niemców i nie-Żydów. Stosunek to piękny, nie prawda? i pięknie świadczący o patryotyzmie i odwadze nie-żydowskiej i nieniemieckiej młodzieży, zamieszkującej wspomnione miasto? Ale sądzić będziecie może, że tam prócz Niemców i Żydów niema nikogo więcej?

Przyznam się, że i ja tak sądziłem, ale myliłem się równie jak wy, czytelnicy. Widziałem,

niestety! całe dziesiątki rosłych, zdrowych i młodych dżentelmenów konińskich. Widziałem ich wygładzających paznogcie, ziewających, palących papierosy, przypatrujących się pod światło końcom piór z takiemi minami, jakby zasiadali co najmniej na konferencyach brukselskich, zachowujących się względem interesantów w ten sposób, że mimowoli popadałeś w wątpliwość, czy tabakierki zostały stworzone dla nosów, czy nosy dla tabakierek. Widziałem ich także w miejscowej cukierni, w restauracyi przy bilardach, i wierzcie mi, o zarozumiali Warszawianie! że moglibyście być ich uczniami w piramidkę. Idę także o zakład z wami, Łęczycanie, że w walce z nimi o wypitkę nie utrzymalibyście swego piskorskiego honoru. Gotówem dalej trzymać trzy przeciw jednemu, że żaden wikary na świecie nie gra tak w preferansa, jak pierwszy lepszy z tych brylantów konińskich, o których chyba tylko wyrafinowana złośliwość mogła powiedzieć, że mają głowy tak twarde, iż możnaby niemi tłuc orzechy. Również nie widzę, coby w tem miało być złego, że się trochę za mocno pomadują. Zbytnie używanie pomady przyczynia się wprawdzie do wypadania włosów, że jednak na mocy pewnego znanego przysłowia o łysinach i głowach, młodzież konińska nie potrzebuje się obawiać łysin, zarzut więc ten okazuje się równie płonnym, jak i wszystkie inne,

któremi ją, to jest tę młodzież, obarczają. Jak widzimy, zanadto ważnych obowiązków leży na tych pięknych ramionach, aby obciążać je pożarnemi drabinami; zanadto darów rozsypała natura na te oblicza, aby narażać je na osmalenie dymem i sadzą; zanadto pomady wychodzi na czupryny, aby przyprószać je popiołem. Zresztą, kto codzień wypił taką a taką ilość kufli piwa, ten w nocy potrzebuje spać, nie latać z beczkami do ognia. Nakoniec, komu Pan Bóg nie dał odwagi, skądże jej ma wziąć u licha i po co się ma na nią zdobywać, skoro ci, którzy jej mają dosyć, to jest jak np. w Koninie, Żydzi i Niemcy, potrafią go zastąpić?

Tchórzostwo jest to rzecz nerwów. Rzecz ta dawnemi laty była u nas wprawdzie bardzo mało rozpowszechniona, ale widać Konin daje inicyatywę. I to zasługa. Jest wiersz, który mówi: «Szanuj zdrowie należycie, bo jak umrzesz, stracisz życie». Wiedziano o nim dawniej, ale nie stosowano się do przestrogi w nim zawartej. Młodzież konińska daje nam pierwsza ładny przykład, jak trzeba być oszczędnym.

Co powiedziawszy szeroko i długo, mam honor zostać jej uniżonym sługą. Wątpię, aby na skutek słów moich, liczba ochotników pożarnych zwiększyła się choć o jednego człowieka. Przypuszczam nawet, że dżentelmani konińscy nie będą się zapisywali do niej umyślnie, aby prze-

konać wszystkich, że wyżsi są ponad wszystkie drobnostki i że kiedy chcą, umieją postawić na swojem, choćby na złość... Na złość?! Komu? A prawda! «Na złość matuli niech mi uszy marzną». Znana anegdotka! Niech więc wam marzną lub opalają się, jak wolicie, szlachetni Koninianie! Będą mniejsze.

Jakie to szczęście, że Chwila Obecna nie jest kroniką ściśle warszawską, pozwala mi to bowiem robić częste wycieczki na grunt prowincyonalny. Pozawiązywałem nawet w tym celu pewne stosunki, które mi pozwolą powiedzieć wam w następujących odcinkach, co się dzieje i w innych miastach. Czuję nawet, iż wypada mi to uczynić, choćby dlatego, żeby Konin nie sądził, iż go faworyzuję na niekorzyść jego sióstr i braci.

A teraz wracam na grunt warszawski.

Właściwie jednak mówiąc, rzecz, którą chcę opowiedzieć, działa się nie na bruku warszawskim, w ścisłem znaczeniu tego słowa, ale na moście. Pewnego razu wybrawszy się do kąpieli, szedłem sobie, myśląc o niebieskich migdałach, gdy nagle zatrzymał mnie głos jakiś:

— Przepraszam pana! — spytał mnie jakiś z wiejska wyglądający, a mówiący silnym litewskim akcentem jegomość — przepraszam pana, duszo! którędy tu się idzie do ogrodu zoologicznego — a?

— Dokąd? dokąd?

— Do ogrodu zoologicznego!

— Pan dobrodziej z prowincyi?

— A tak. I zdaleka: z pod Grodna.

— Niema u nas żadnego ogrodu.

— Jak to niema? A ja już tak dawno czytałem, że mają go założyć, że część jakiegoś portu już jest na to przeznaczona, że składki się zbierają. Toż myślałem, że choć z połowę już zrobili i że choć połowę obaczę.

O! pomyślałem sobie, o przybyszu z głębokiej prowincyi, jakże ty nas znasz mało, jeżeli sądzisz, że tak zaraz od słów do czynów przechodzim! Jakżeś zacofany, biedaku, jeżeli nie wiesz, że naprzód potrzebujemy z rok jaki pogadać, potem przestać gadać, potem przypomnieć sobie znowu, potem ogłosić składki, potem je zbierać, potem nie wiedzieć, co z niemi robić i jak ich użyć, potem naznaczyć kilka posiedzeń, mieć na nich kilka mów i mówek: wybrać naszych znanych, naszych powszechnie szanowanych na przewodników, potem rozejść się do domów i razem z naszymi znanymi, powszechnie szanowanymi i światłymi opuścić ręce i czekać na zmiłowanie Boże.

— A proszę-ż pana, — mówił dalej wieśniak — boć to przecie był jakiś komitet opiekuńczy, co miał się tem zajmować — a? Cóż on dotychczas zrobił — a?

— Niech nie wie lewica, co robi prawica.

— Co pan mówi?

— Mówię, że prawdziwa zasługa jest skromna i nie lubi się chwalić.

— No, ażeby ją fakta pochwalily. Na seryo, powiedz pan co zrobił?

— A? na seryo to nic nie zrobił.

— Ależ tu już był jakiś początek, tu były już zwierzęta.

— O to co innego. To był i jest zwierzyniec pana Bartelsa. Zwierzyniec ten ma być uważany jako zarodek przyszłego ogrodu, ale kiedy to wszystko nastąpi, Bóg jeden wie.

Rozstaliśmy się, i każdy poszedł w swoją drogę. W powrocie jednak począłem nad tą kwestyą rozmyślać. Rzeczywiście był uformowany komitet, miał się zaopiekować sprawami zwierzyńca, rzeczywiście posypały się składki: zebrały się jakie takie, lubo niewielkie jeszcze fundusze, i... cicho, jak makiem siał. Nie wie nikt i nie słyszał nikt o niczem. Jakoś jeszcze w siedemdziesiątym czwartym komitet wydał drukowaną odezwę, w której spodziewa się, że etc... że szanowna publiczność poprze etc... słowem, odezwę zachęcającą, i na tem się skończyło. Trzebaby raz dać jakiś znak życia, trzebaby coś o sobie i o ogrodzie, i o pieniądzach publiczności powiedzieć. Niech wie, czego się trzymać: czy będzie ogród, czy nie będzie? czy

się jeszcze czeka? czy też sprawa odłożona *ad calendas graecas?* Odezwy są to zapewne rzeczy bardzo piękne, ale jeśli prowadzą do czegoś więcej, niż do zadrukowywania welinowego papieru. Dziwna rzecz, że komitet nie daje znaku życia!

Tak rozmyślałem, wracając o zmroku już z Pragi do domu, a rozmyślań tych nie zdołał przerwać nawet widok statku parowego, który osiadł sobie w najlepsze na piasku i ani na prawo, ani na lewo ruszyć się nie mógł. Kobiety i mężczyźni, stojący na pokładzie, spoglądali z utęsknieniem na brzeg warszawski; narzekali, skarżyli się, niektórzy klęli, komin sapał i oddychał kłębami dymu, jakby ze wściekłością, para gwizdała przeraźliwie, a koła poruszały się, tłukąc o piasek. Stanąłem i patrzałem. Upłynęła godzina, ściemniło się. Saska Kępa osnuła się mgłą; na niebie błysła gwiazda jedna, druga; światła po brzegach, odbijając się w wodzie, zaczęły błyszczeć długiemi kolumnami; na bulwarku od strony Pragi jakiś rybak czy przewoźnik zanucił wcale pięknym głosem:

Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą,
A ja doliną!

Statek ciągle sapał i zgrzytał, z komina poczęły się sypać snopy złotych iskier. Ale z miejsca ani rusz! Mała woda! mała woda — wszędzie zaspy piaszczyste, płytko, nieledwie możnaby

przejść w bród całą Wisłę. Tam coś czerni się zdaleka: to tama Daniszewskiego. Nie rozpłynęła się, stoi sobie tak, jak ją postawiono wbrew mądrości niektórych naszych inżynierów, ale jedna taka tama to nie dosyć. Zapomniałem o ogrodzie zoologicznym, a zacząłem marzyć o uregulowaniu brzegów Wisły. Tak: marzyć — podobne życzenia bowiem są dotąd, a może i długo będą marzeniami tylko, i to zuchwałemi marzeniami. Myślą przeniosłem się w daleką przyszłość. Widziałem potężną rzekę, toczącą głębokie, żółtawe fale, zwarte w kamiennych wysokich brzegach, na niej ogromne parowce, przybyłe aż het od Gdańska, galary ze zbożem i owocem, komiegi, berlinki, krypy, wielkie łodzie żaglowe: jedne przywoziły produkt zagraniczny, inne za granicę wiozły krajowy; wszędy ruch był ogromny, mnóstwo ludzi, statków; znać, że to potężna arterya bogactw i handlu ta rzeka... alboż i ten gród na lewym brzegu, co to za wielkość, co za potęga!...

Nagle ocknąłem się. Statek parowy cudem jakimś właśnie wydostał się z piaszczystego podścieliska. Przede mną była rzeka nie zwarta w kamień na brzegi, ale rozlana na wszystkie strony, nawpół wyschła: nie było na niej ani parowców, ani galarów, ani łodzi, ani handlu; na lewym brzegu był wprawdzie gród, ale ciemny, źle wybrukowany, źle zabudowany —

na dobitkę wiatr powiał od miasta i uderzył o mój nos zapachem, który wszelkie marzenie na temat potężnego i pachnącego grodu uczynił niemożliwem.

Przestałem więc marzyć stanowczo, i przez parę następnych dni zająłem się krzątaniną około materyału do niniejszego odcinka. Nie spodziewałem się, że znowu przyjdzie mi wrócić do zoologicznego ogrodu. Oto czy uwierzycie? Komitet dał znak życia. Zdumiałem się.

Nie tyle zdziwiło mnie to, że komitet dał znak życia, boć skoro raz istniał, trudnoż mu było chodzić na palcach, dlatego, żeby nie narobić szmeru; ale wieści, które mnie doszły, były tak dziwaczne, że początkowo nie chciałem w nie wierzyć. Przekonałem się jednak, że są prawdziwe.

Oto komitet nie chce przyjąć zwierząt pana Bartelsa, nie chce uważać ich za zarodek i za dobry początek. Sam pan Bartels przestaje należeć do komitetu: słowem, jakieś poruszenia wewnętrzne, jakieś *bellum civile*, jeszcze niezupełnie jasne, ale złowróżbne.

Na dziś dosyć o sprawach zwierzyńca. Powrócimy do nich prawdopodobnie w następnym odcinku, wówczas gdy się wyjaśnią — obecnie zaś musimy przejść do dalszego ciągu kroniki i wspomnieć coś o teatrach.

Mnożą się jak grzyby po deszczu. Obecnie

jest ich już ośm, licząc w to niemiecki i francuski. W ostatnich czasach otworzono nowy na Pradze, w ogrodzie zwanym Antokol. Nie wyobrażajcie sobie wcale czytelnicy, żeby to była jaka szopa bez dachu, bez podłogi i o sosnowych ławach — wcale nie! Teatrzyk urządzony schludnie, nad głowami widzów rozciąga się dach płócienny, siedzenia wygodne, kryte płótnem, scenka stosunkowo obszerna, wszystko zaś razem przypomina, lubo w skromniejszym zakresie, Eldorado. Co jednak stanowi wdzięk prawdziwy tego teatru, to ogród. Ogród to niewielki, ale prawdziwy. Drzewa wyrosłe i cieniste. Powietrze świeże, zdrowsze, niż gdziekolwiek w Warszawie. Ogród i teatrzyk leżą nad samą prawie Wisłą, tuż za wałem. W czasie chwil ciszy na scenie, gdy jednocześnie woda jest wzburzona, słychać szum fali. Od rzeki ustawicznie dochodzi chłodny powiew wiatru: słowem, na ogół wziąwszy, nic brak w tem wszystkiem pewnych dogodności, a nawet pewnego poetycznego wdzięku, który sprawi zapewne, że teatrzyk ten będzie licznie odwiedzany tak przez Prażan, jak i przez Warszawian. Pierwsze przedstawienie odbyło się w niedzielę. Z tego przedstawienia nie można jeszcze sądzić trupy, wogóle jednak poszło wcale nieźle.

Nakoniec francuska trupa przeniosła się do Doliny Szwajcarskiej, i daje dzisiaj pierwsze

przedstawienie. Jeżeli pogoda dopisze, jeżeli wieczory będą jasne, a ciche, a ciepłe, Francuziska, którzy zresztą grają wybornie, zrobią majątek — ale jeżeli niebo będzie tak płakało wieczorami, jak to już od kilku dni czyni, będzie źle.

Qui vivra... — mówi sobie p. Keller.

W teatrze stałym pustki. Wszystko, co żyje, wyjeżdża, wszystko na urlopach, które rozdawano niezwykle szczodrze. Z pomiędzy naczelnych sił niema prawie nikogo. Reżyserya prawie nie wystawia nowych sztuk. Do teatru mało kto chodzi, mało kto się nim zajmuje.

Pusto! cicho!... nudno!

Gazeta Polska, 1875, Nr. 151 z dnia 13 lipca.

XXVII.

Sesye i sesyjki. — Narady o zwierzętach. — Na śmierć! Skóra na niedźwiedziu. — Projekty. — Projekty na urlopie. Muzeum przemysłowo-rolnicze. — Co myślą organizatorowie. — Historya o Radziwille i o pewnym Żydku karczmarzu. — My i projektodawcy. Komitety sanitarne. — Zjazdy sanitarne. — Znowu projekty. — Ornaty i francuszczyzna. — Czytelnia dla kobiet. — Paul de Kock i nowy przekład jego dzieł. — Offenbach. — Powódź ofenbachiad. — Teatr. — Piąty akt «Fausta». — Panna Deryng. — Obietnice i zawody. — Zdumienie. — Scena lwowska i dyrekcya teatrów warszawskich.

Sesye i sesyjki — to nasza słabość. Dowodem tego choćby komitet opiekuńczy, którego zadaniem było rozwinięcie zwierzyńca pana Bartelsa na ogród zoologiczny warszawski. Wprawdzie o ogrodzie dotąd ani słychu; wprawdzie zwierzęta p. Bartelsa wyrzucił komornik na ulicę; wprawdzie niedźwiedzie i wilki zabrali uprzątacze uliczni; wprawdzie podobno już je zabili; wprawdzie część czworonogów i ptaków rozkradziono; wprawdzie pan Bartels wydał

ostatnię fundusze na utrzymanie reszty; wprawdzie, gdy nikt nie przychodził mu w pomoc, zmarnowało się, bo i musiało zmarnować się wszystko; wprawdzie, pomimo żem w zeszłym odcinku zaklinał w rozczulający sposób komitet, aby odezwał się choć słowem, komitet nie odezwał się ani słowem; wprawdzie nikt nic nie wie, jak sprawa ogrodu dziś stoi — ale za to komitet swego czasu miewał sesye.

Sesya i sesya przedewszystkiem. Dowiedziałem się nawet drogą uboczną, że na tych sesyach nietylko narzekano na zimno w czasie zimy; nietylko wachlowano się chustkami w czasie upałów; nietylko bito rękoma muchy siadające na głowach obradujących; nietylko uskarżano się na odciski; nietylko obdarzano się zaufaniem całego ogółu *à discretion;* nietylko, nakoniec, zużyto wielką ilość przymiotników takich, jak: «szanowny», «wielce poważany», «głęboki» (w znaczeniu umysłowem), ale nawet — o dziwo! mówiono o zwierzętach.

Mówiono! Ten, który mi to opowiadał, zaklinał się na mamę, że mówiono. Były to już czasy, kiedy zwierzyńcowi p. Bartelsa trzeba było koniecznie przyjść w pomoc; członkowie obradowali więc, w jaki sposób przynieść pożądaną ulgę. Uradzono nakoniec, że najprostszym sposobem ulżenia panu Bartelsowi, jest... zgadnijcie też, mili czytelnicy, co? — oto zabicie

zwierząt. Żeby zaś pan Bartels zbyt na tem nie stracił, komitet postanowił wspaniałomyślnie zapłacić za skóry zabitych zwierząt, za skóry, które jeszcze wówczas nie były zdarte. Było to więc prawdziwe kupno skóry na niedźwiedziu. Jak na komitet, mający za zadanie rozwinięcie i założenie zwierzyńca, to nieźle. Nie prawda? Trudno bo i nawet temu uwierzyć, a jednak tak podobno było. Nie przesadzam nic a nic. Co do mnie, ciekawym tylko, coby komitet robił z temi skórami, gdyby pan Bartels przyjął tę wspaniałomyślną propozycyę. Zapewne trzebaby było złożyć jeszcze parę sesyi dla naradzenia się w tym tak ważnym przedmiocie. Może wypadałoby skórki sprzedać choćby naszym «handlom» warszawskim. Powiększyłby się przez to ogólny fundusz, na założenie przeznaczony.

Jak na teraz tedy, sprawa tak stoi, że jest trochę pieniędzy, które przez dobrowolne ofiary ciągle się jeszcze powiększają, a z którymi nikt nie wie, co ma robić i kto się ma zająć; dalej, że zwierzyniec pana Bartelsa już zmarniał; dalej, że mimo iż człowiek ten dał inicyatywę i że pozwolenie władzy istnieje na jego imię, usunięto go już dawno od wszystkiego; nakoniec, że ogród zoologiczny jest dotychczas ideą platońską w niebie, a projekter z nieograniczonym urlopem na ziemi.

Już nasz taki zwyczaj, że jak tylko powstaje jaki projekt, natychmiast dajemy mu nieograniczony urlop. Niech tam jedzie sobie z Panem Bogiem, byle nam nie zawadzał. Jako przykład weźmy np. projekt muzeum przemysłowo-rolniczego. Kiedy ten projekt powstał, już nawet nie pamiętam; wiem tylko, że miał dosyć czasu, by się «ucukrować jak figa, uleżeć jak tytuń», lub jak ulęgałka. Piszą o nim, mówią o nim. Oto *Wiek* np. donosi, że organizatorowie jego myślą przedewszystkiem o założeniu pracowni chemicznej; dalej, że myślą założyć zbiory technologiczno-chemiczne; dalej, urządzić systematyczne wykłady etc. etc.; słowem, że trudniejby było powiedzieć, o czem to ci organizatorowie nie myślą.

Pocieszająca wiadomość, ani słowa, ale co do mnie, to ja *simplex servus Dei*, wolałbym, żeby mniej myśleli, a więcej robili; żeby nareszcie zrobili choć cokolwiek. Obecnie, te wyliczenia: pracowni chemicznej, zbioru chemicznego, zbioru technologicznego, odczytów, przypominają mi powiastkę o Radziwille Panie Kochanku, który, przyjechawszy raz głodny jak wilk do jakiejś karczmy żydowskiej, krzyknął, żeby mu co prędzej jeść podawali.

— Możeby Jaśnie Książę kurę pozwoli? — spytał Żyd.

— Dobrze żydzie, dawaj kurę.

— Cóż kiedy niema!

. . . . . .

— A możeby Jaśnie pan jajecznicy?

— Dawaj jajecznicę!

— Cóż kiedy niema! A możeby Jaśnie Książę tak coś zimnego... półgęsek.

— Dawaj, trutniu!...

— Cóż kiedy niema.

Te żarty źle się podobno nawet skończyły dla dowcipnego syna Izraela. Ale powiedzcież teraz, czytelnicy, czy z nami nie tak samo postępują, jak z Radziwiłłem? Raz w raz przychodzi ktoś i pyta:

— Możebyście chcieli mieć muzeum?

— Dobrze!

— Cóż kiedy nie macie! A może ogród zoologiczny?

— I to dobrze.

— Cóż kiedy nie macie! A może komitet zdrowia?

— Owszem.

Co do komitetów zdrowia, mamy już zatwierdzoną i mianowaną komisyę sanitarną, która oby sprawiła, żeby nasza Warszawa przestała zatruwać Wisłę, nasza Wisła Warszawę! oby pomyślała o ściekach, kanałach, zdrowszych mieszkaniach dla ubogich, zdrowych pokarmach na targach!

Przed kilku dniami doktor Strzyżewski nade-

słał do naszej redakcyi list, w którym porusza nader ważną kwestyę urządzenia peryodycznych zjazdów sanitarnych. Wiadomo czytelnikom, że w większych miastach naszych istnieją tak zwane komitety zdrowia, których zadaniem jest, jak sama nazwa wskazuje, czuwać nad sanitarnymi warunkami tych miejscowości, w których mają siedlisko. Ale, żeby działalność komitetów przynosiła istotnie owoce, potrzeba, żeby ludność zapoznawała się z pewnemi wymaganiami hygienicznemi nowych czasów. Otóż o tych wymaganiach ogół nasz zarówno wiejski, jak i miejski, nie ma najmniejszego pojęcia. Dość spojrzeć, jak żyją nasi chłopi po wsiach, jak leczą wszelkie choroby wódką, jak dzieciaki wiejskie przepalają głowy na słońcu, jak najadłszy się dzikich gruszek, idą się kąpać, jak w chatach brak światła, powietrza i t. d. Dość spojrzeć, jak żyje proletaryat żydowski w większych i mniejszych miastach, w izbach zaduszonych, po kilkanaście osób w jednym alkierzu, w brudzie i niechlujstwie. Znam te obrazy, i nie trzeba się zbyt wysilać, żeby je czytelnikowi przypomnieć. Zadaniem tedy komitetu jest obznajmiać ludność z wymaganiami hygieny, a zarazem wymagania to objawiać. Komitetom może przychodzić czynnie w pomoc prasa, i prasa też pomaga, jak może, ale wpływ jej nie jest dostateczny, ta bowiem większość,

która najmniej do wymagań hygieny się stosuje, nie trzyma i nie czytuje zarazem gazet. Potrzeba tedy wszelkimi sposobami wytwarzać masę nowych nawyknień, a łamać utarte. Otóż dr. Strzyżewski jest zdania, że obok wytrwałości, tylko połączone i zgodne siły mogą przynajmniej po niejakim czasie cel osiągnąć. Z tych powodów dr. Strzyżewski poleca szczególniej urządzać peryodyczne zjazdy sanitarne, sądząc bardzo słusznie, że nietylko jednostajność postępowania w wielu wypadkach, ale nawet prędsza sankcya tej lub owej uchwały mogłaby być skutecznie na takich zjazdach przeprowadzona.

Mojem zdaniem, takie zapatrywanie się na znaczenie zjazdów jest słuszne i usprawiedliwione. Miałyby zjazdy te jeszcze i tę dobrą stronę, o której również projektodawca nie przepomniał, że rozwijałyby większą energię w działaniu komitetów, byłyby naturalną ich kontrolą, i nakoniec, że uchwały, stanowione na zjazdach, nabierałyby większego moralnego znaczenia.

Co do mnie, zgadzam się zupełnie, a sądzę, że i czytelnicy nie będą przeciwnego zdania w tej mierze.

Zarzucić można temu projektowi chyba to tylko, że jest... projektem.

Ale czyż damy mu, jak i innym, urlop? Niestety! znając nasze usposobienia w tym wzglę-

dzie, nie śmiem się nawet łudzić, aby miało być inaczej.

Czuję, że znowu ściągam na siebie zarzut pesymisty, ale mniejsza już o to. Gorsze jest to, że przed chwilą narzekałem na projekty, a teraz sam o nich piszę. Cóż robić? cóż robić? Gdybym chciał mówić nie o zamiarach, ale o czynach, przyszłoby mi chyba pisać o ornatach, wyhaftowanych rękoma naszych arystokratycznych dam dla rozmaitych wielebnych i przewielebnych, odznaczających się paryskim akcentem i paryskimi ruchami i umiejących ze szczególniejszą pokorą chrześcijańską zbierać kożuszki z kawy na poobiednich przyjęciach.

Musiałbym chyba wymówić się z tem, co usłyszałem w sekrecie, że pewne arcypobożne bractwo damskie podało do swego duchownego przewodnika adres, aby na posiedzeniach tygodniowych podawał swej wiernej trzódce obrok duchowy po francusku. Czegóż bo to zresztą dowodzi? Można umieć i po francusku i po polsku. Że nasze damy umieją, o tem nigdy nie wątpiłem, a teraz wątpię jeszcze mniej, niż kiedykolwiek, ponieważ sam byłem świadkiem, jak pewna arystokratyczna dama, po stosunkowo krótkim namyśle, przypomniała sobie jak najszczęśliwiej, że pies po polsku nazywa się: pies! Czegóż tu chcecie więcej? I posądzają jeszcze takie damy o kosmopolityzm!

Ale wracam do moich projektów — nie dlatego nazywam je moimi, żebym ja je sam uczynił, ale że mam zamiar o nich pisać. Co do mnie, stworzyłem tylko jeden projekt w życiu, ale był tak niedorzeczny, że oczywiście natychmiast upadł. Oto, wyobraźcie sobie, zaprojektowałem zakładanie ochron wiejskich. Wprawdzie miałoby to ogromne znaczenie, podniosłoby moralność ludu, oświatę ludu, zastąpiłoby nawet szkółki tam, gdzie ich niema, ale... Jak się zdaje, nietylko że posłano go na urlop, ale dano mu najformalniejszą dymisyę.

Wracam więc do tych, co do których jest mniejsza lub większa nadzieja, że się urzeczywistnią; oto jeden z przystojniejszych literatów zakłada czytelnię dla kobiet. Projekt ten prawie napewno przyjdzie do skutku. Książki będą przeważnie polskie, francuskich powieści bardzo mało — prawdopodobnie nawet nic; za to wiele dzieł poważnych, naukowych i popularnych, wiele spokoju i ustronnej ciszy, wiele ułatwień do pracy, a już od was, piękne czytelniczki zależy, czy wiele także i pracy.

Wspomniałem o powieściach francuskich, niechże więc wolno mi będzie powiedzieć choć parę słów o starym jej przedstawicielu, o Pawle de Kock, który w popularnym języku naszym zwykle Pawłem z Kocka się nazywa. Wkrótce wyjdzie w Warszawie nowa edycya, a raczej

nowy przekład dzieł tego pisarza. Zgadzamy się w zupełności z wydawcą, że dzieła jego mają niepospolitą wartość literacką, zgadzam się nawet, że ten stary Paweł z Kocka, pod lekką warstwą zepsucia, jest pisarzem w gruncie rzeczy moralnym, poczciwym, pełnym humoru i werwy mieszczaninem, kochającym prawdę i cnotę. Zgadzam się, że na ludzi myślących, wykształconych i dojrzałych, książki jego złego wpływu nie wywrą, ale czynię tylko jedną uwagę. Ludzie dojrzali, myślący i wykształceni już te jego dzieła znają. (Powiem w nawiasie, że miałbym ich za safandułów, gdyby ich nie znali). Ci więc znają. Któż tedy nie zna?

Młode pokolenie.

Kto będzie czytał?

Młode pokolenie. Uczniowie gimnazyum naprzód, a potem kontrabanda przekradnie się na jedną i drugą pensyę żeńską — i oto gotowi czytelnicy. A to rzecz zmienia. W ręku takich czytelników pan Paweł jest znów arcy niemoralnym i szkodliwym pisarzem. Jest sobie w swoim czasie tem, czem dziś w muzyce jest Offenbach. Dobrze się przypatrzywszy, znajdziesz tam i pewną moralność, i satyrę, i trochę poezyi — ale na pierwszy rzut oka widać przedewszystkiem podkasane spódniczki.

Ach, ten Offenbach! Spytacie: co grają w Eldorado? — Offenbacha. W Alhambrze? — Offenbacha,

W Dolinie? — Offenbacha; słowem, wszędzie i na wszystkie strony Offenbacha. Smakuje, bo trafia w owo uczucie sceptycyzmu, nurtujące dziś wszystkie głowy i serca, nawet te, które same o tem nie wiedzą. Smakuje — a jednak trochę go za dużo — i z każdą chwilą może się rozpocząć reakcya. Jeden tylko warszawski teatr najmniej nim nas częstuje. Co prawda, to ten warszawski teatr niczem nas nie trakuje, bo nikogo niema. Kto żyw, na urlopie. Artyści herboryzują. A jednak, mimo tych pustek, wczoraj, t. j. w poniedziałek, teatr ten z powodu wystąpienia panny Deryng był napełniony. Specyalny recenzent oceni zapewne obszerniej grę młodej artystki, ja zaś maluję tylko wrażenie publiczności. Dzienniki, lubo bez hałasu, zapowiedziały jednak, że panna Deryng należy do artystek, cieszących się już niemałem na lwowskiej scenie uznaniem; spodziewaliśmy się więc ujrzeć artystkę dobrą, jeżeli nie znakomitą, to przynajmniej wyrobioną. Tymczasem cóż ujrzeliśmy w istocie? Oto młode dziewczę, z potężną skalą głosu dźwięcznego jak srebro — grające z werwą i zapałem, przechodzącym niemal w egzaltacyę, poetyczne w swoich uniesieniach i posiadające wszelkie dane na genialną w przyszłości artystkę. Publiczność nie spodziewała się poprostu tyle, dlatego na twarzach wszystkich czytałeś pewne zdumienie. Cały teatr

zdziwił się tem zdziwieniem prawdziwie artystycznem, połączonem z odcieniem zachwytu, a przechodzącem z szybkością błyskawicy w burzę oklasków, która, niby dobra wróżba, długo huczała nad młodocianą głową dziewicy artystki. Co do nas, podzielając uczucie wczorajszych widzów w zupełności, nie mogliśmy oprzeć się myśli, która mimowoli przyszła nam do głowy: jakże wyborną szkołą jest ta scena lwowska wraz z krakowską, skoro zdołały wyrobić takie artystki, jak p. Modrzejewska, p. Popiel i p. Deryng!

Z drugiej strony, dyrekcya teatrów warszawskich, która takie artystki sprowadza i zatrzymuje, dowodzi prawdziwej dbałości o dobro sceny i zasługuje na zupełne uznanie.

Gazeta Polska, 1875, Nr 158 z dnia 21 lipca.

XXVIII.

Zgliszcza i pustka.

Rankiem we czwartek doszła nas przerażająca wiadomość o pożarze w Pułtusku; nazajutrz, t. j. w piątek, wyruszyłem z Warszawy, ażeby naocznie przekonać się o klęsce i dać wam najdokładniejszy jej opis.

W Serocku, gdzie zatrzymałem się dla przeprzęgu koni, opowiadano mi najsprzeczniejsze wieści. Według jednych, spaliło się wszystko do szczętu; według innych, klęska nie doszła do tak kolosalnych rozmiarów. Umysły były wzburzone, rozgorączkowane i przejęte śmiertelną obawą. Zeszłej nocy ogień pokazał się i w Serocku. Nie wiedziano dokładnie, czy z podpalenia, czy z nieostrożności, powszechnem jednak było przekonanie, że pożar się powtórzy. Miastu brak straży ogniowej, brak sikawek, brak narzędzi pożarnych, a wreszcie brak i otuchy. Kiedy się mówi o obronie, kiwają rękoma; —

Nic nie pomoże, musimy się spalić. Oto zdanie, które usłyszysz z każdych ust. Rozpacz, ale zarazem i apatya doszły tu do najwyższego stopnia. Blizkie sąsiedztwo Pułtuska wzmaga tylko przerażenie i straszną pewność nieuchronnego losu.

O godzinie mniej więcej siódmej wieczorem opuściłem Serock. W miarę, jak zbliżaliśmy się do Pułtuska, ruch na szosie zwiększał się coraz bardziej. Od czasu do czasu przemknęła szybko ekstrapoczta, głosząca trąbką przejazd; tu i owdzie trafiałeś na bryki i wozy, wiozące rzeczy pogorzelców: pościel, łóżka, sprzęty domowe i tym podobnie. Za wozami szły zwolna gromady włościan, wracających od ratunku. Twarze ich były poczernione dymem. Jedni mieli wiadra, inni siekiery, topory, bosaki lub długie tyczki. Chcąc z nimi pomówić, kazałem pocztylionowi się zatrzymać.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków.

— A co tam w Pułtusku?

— Oho, panie! Niema już Pułtuska, a co jest, to się dopala — odpowiedziano mi gromadnie.

Ze ściśniętem sercem kazałem jechać dalej. Słońce zachodziło zwolna za lasy i bory. Pogodny wieczór letni palił się łagodnem, purpurowem światłem na szczytach drzew i na dachach chat przydrożnych. Powietrze dziwnie przezro-

czyste pozwalało rozróżniać dokładnie nawet bardzo oddalone przedmioty. Ptactwo zabierało się do snu i z cichym świegotem obsiadało gałęzie drzew, rosnących przy szosie. Spokój i cisza rozlane były wszędzie, z wyjątkiem na twarzach ludzi.

Nagle oczy moje uderzyło odległe bardzo i obszerne płaskowzgórze, wznoszące się nakształt tarasu nad równiną. Wśród atmosfery, przesyconej różowem światłem zorzy, płaskowzgórze owo było pokryte jakby białawą, nieprzezroczystą mgłą, przedsłaniającą znajdujące się na jego szczycie przedmioty.

— Co to widać? — spytałem pocztyliona.

— To Pułtusk, panie! — odpowiedział.

— A ta mgła, czy też chmura, tam nad nim?

— To nie mgła, to dym z pożaru.

Istotnie był to dym, który prawdopodobnie do dziś dnia unosi się jeszcze nad miastem. W miarę jak zbliżaliśmy się do miasta, na tle tego dymu przedmioty poczęły występować coraz wyraźniej. Widać było zręby murów, dachy, wieże i krzyżyki kościelne. Na pozór nic nie zapowiadało wczorajszej klęski. Zdawało się, że cichy i spokojny gród, otuliwszy się w mgłę wilgotną, układa się do snu; zdawało się, że lada chwila sygnaturki zadzwonią jeszcze na Anioł Pański, ludziska pomodlą się po znoju dzien-

nym, potem błyśnie jedno okienko, drugie, dziesiąte, gwar ustanie, a potem nastąpi cisza, przerywana tylko szczekaniem psów lub echowem nawoływaniem: «Czuwaaaj!» stróżów nocnych.

Tymczasem bryczka pocztowa zatętniła po bruku; wjechaliśmy między pierwsze, ale odosobnione jak placówka domy miasta. Niestety! mimo pięknych pozorów, ślady klęski były już tu widoczne. Droga biegła tuż koło łąki. Na łące tej błyskały wszędzie chwiane lekkim oddechem wiatru światełka. To Żydzi szabasowali pod gołem niebem. Dziwny, a powiem: rozrzewniający widok czyniło to uroczyste obozowisko. Na stołach lub wprost na ziemi migotały mosiężne świeczniki, których blask omdlewał w walce z ostatnimi promieniami zorzy. Stoły puste, bez zwykłej uczty szabaśnej; naokoło tylko widać rozmodlone twarze i pełne łez, wzniesione w niebo oczy. Nie słychać zwykłego gwaru i wrzasku modlitw. Cisza! Widocznie przerażenie pozamykało tym ludziom usta, i modlą się tylko milczeniem rozpaczy, i łzami, i głodem jutrzejszym, i dolą przyszłą, twardą jak kamień i ciężką jak kamień.

— O Adonaj! zmiłuj się nad nami.

Bryczka zatrzymała się przed miejscową pocztą. Zasięgnąwszy nieco wiadomości, natychmiast wraz z towarzyszem moim pobiegliśmy do miasta. Pióro wypada mi z ręki, gdy pomyślę

jaki widok uderzył nasze oczy. Na niebie był już mrok: resztki rozpierzchłego światła walczyły z cieniami nocy, a wśród tych szarych tonów powietrza, jak okiem zasięgnął, patrzała na nas pustka. Zręby murów, stosy gruzu, zwalone jedne na drugie, gromady okopconych cegieł, poczerniałe, sterczące sylwetki kominów, rysowały się w dziwnie fantastycznych kształtach na tle mroku. Zdaleka, rzekłbyś: kamienie i skały, rzucone chaotycznie ręką natury. Nigdzie ani śladu ulic. Wszędzie zwaliska, jak okiem dojrzysz, tylko szeregi kominów, zdające się iść w dal bez końca. Rozpalona powierzchnia gruntu parzyła nasze nogi, gorąco i woń spalenizny tamowały oddech w piersiach. Wszędzie duszno a pusto, ani jednej żywej istoty, wszyscy pouciekali stąd, jakby z miejsc przez Boga przeklętych. Słowa brzmią tu dziwnie jakoś, echowo i straszno. Czasem tylko wśród gruzów zabrzmi przygłuszony łoskot. To przepalona cegła upada gdzieś do piwnic. Zresztą cisza, ta cisza zgrozy i okropności, przejmująca stokroć większem przerażeniem, niż huk dział i piorunów.

Błądziliśmy w ten sposób między rumowiskiem i szkieletami kominów przeszło pół godziny. Błądziliśmy milcząc, gdy nagle przytłumiony szept uderzył nasze uszy. Na skręcie dawnej zapewne ulicy spostrzegliśmy dwoje ludzi, mężczyznę i kobietę.

Oboje byli młodzi. Kobieta wątła, blada, opierała się silnie na ramieniu mężczyzny, który w ręku trzymał mały koszyczek włóczkowy, naszywany szklanemi paciorkami.

Zbliżyliśmy się do nich.

— Państwo tutejsi?

— Tak, panie. Mieszkaliśmy tu od roku.

— I spaliliście się także?

Kobieta poczęła szeroko opowiadać swoją i męża historyę. Pobrali się od roku. Mieli w Pultusku dom, żyli szczęśliwie, aż naraz:

— Oto co nam zostało z całego gospodarstwa — kończyła ze smutnym uśmiechem, wskazując na niesiony przez męża koszyczek.

— Zdajecie się państwo czegoś szukać?

— Chcieliśmy choć jeszcze raz popatrzeć na dom, w którym przeżyliśmy rok razem, ale nie możemy znaleźć nawet ulicy. Chcieliśmy...

Urwała nagle, bo łzy tłumiły jej słowa w piersiach.

Mąż nie odezwał się ani razu w czasie całego opowiadania. Na twarzy jego malowała się niema rozpacz.

Nie mieli dachu nad głową; nie mieli ani grosza majątku; byli głodni; nie wiedzieli, co począć, gdzie się podziać.

Szliśmy przez jakiś czas w milczeniu. Ściemniło się już zupełnie; nagle krwawa łuna błysnęła w końcu miasta.

— Co to pali się jeszcze? — spytałem.

— To szpital.

Pobiegliśmy tam natychmiast. Duży piętrowy gmach palił się istotnie okropnie. Na podwórzu gromadka ludzi. Jedni stali nieruchomie, a łuna pożaru odbijała się w bezmyślnych ich źrenicach. Inni pracowali koło sikawek, biegli po wodę, przeklinali, wrzeszczeli. Sikawki pracowały słabo. Nikt nie dowodził. Woda, wlewana w małych ilościach, podniecała tlenem pożar, zamiast go gasić. Czerwony płomień huczał ponuro wewnątrz gmachu, lub wychodził przez drzwi i okna na zewnątrz, liżąc potwornie długimi językami białe ściany, jakby się chciał w nich rozsmakować przed pożarciem.

Na podwórzu między gromadami ludzi stało kilka zakonnic. Łuna pożaru rzucała jaskrawe blaski na białe ich kapelusze i blade, ale spokojne twarze. Ten spokój i rezygnacya wśród ogólnego ruchu i zamętu, wśród wrzasków i przekleństw, miały w sobie coś prawie świętego.

— Co się stało z chorymi? — spytałem jednej z nich.

— Wyratowałyśmy wszystkich chorych — mówiła słodkim głosem siostra. — Leżą w pralni, która nie zapaliła się jeszcze. Niech Panu Bogu będzie chwała! Trzech jednak umarło nam z przerażenia — dodała, zwiesiwszy smutnie głowę.

— A panie gdzie mieszkacie?

Podniosła oczy ku niebu.

— Pod gwiazdami — wyszeptała z uśmiechem.

— Jak to? i sypiacie pod gołem niebem?

— My nie spałyśmy wcale od środy. Widzi pan, trzeba chorych pilnować i czuwać nad pralnią.

— Musicie upadać ze znużenia?

— Bóg nam dodaje sił.

O, tak, poznaję was! zawszeście jednakie, o szare anioły miłosierdzia. Niechaj was Bóg błogosławi!

Szpital tymczasem gorzał, wypalał się zwolna. Mówiono mi potem, że gdyby jaki taki ratunek, nie byłby się zapalił wcale; ale ratunku nie było żadnego, wojsku na początku pożaru kazano wyjść za miasto. Miejscowi mieszkańcy, przerażeni, nawet nie próbowali tłumić ognia. Każdy ratował rzeczy, jakie mógł wyratować, i życie. Resztę zdawał na wolę Boga i ognia. Niedaleko szpitala paliło się również gwałtownie miejscowe progimnazyum. Ognia nie było prawie znać na zewnątrz, okna tylko gorzały jaskrawem światłem. Zdaleka patrząc, rzekłbyś, że to jakaś uroczystość rozwidnia tak okna. Ratowała je garstka żołnierzy, którymi dowodził jakiś starszy. Rąbano kraty w oknach, które długo nie chciały ustąpić. Dach już się był zapadł

paliły się tylko ławki, okna, podłogi i sufity. Wkrótce w jednej z komnat sufit zapadł się z trzaskiem. Ratunek był i tu próżną już tylko robotą. Nie rozpoczęto go dość wcześnie. W chwili, o której mówię, ściśle biorąc, dopalało się już tylko.

Od progimnazyum udaliśmy się do kościoła po-Benedyktyńskiego. Był to najpotężniejszy gmach w całym Pułtusku. Pożar tu już wygasł, wewnątrz jednak tliło się jeszcze. Zbliżyliśmy się do samego wejścia. Wnętrze kościoła mroczne było i ciemne, w głębi tylko świeciły jeszcze rozżarzone węgle, niby oczy jakichś nadprzyrodzonych istot, patrzących z pośrodka ciemności. Straszne było to wysokie, czarne wnętrze. Z głębi jego dochodził niby jakiś szmer, niby jakieś pozaświatowe szepty, niby westchnienia. Zdawało się, że tam jest pełno duchów, które wyszły z podziemi kościelnych, zdziwione, że ktoś zaklócił im sen odwieczny.

Przy kościele spaliła się i biblioteka. Podczas pożaru wicher porywał palące się książki i roznosił je, niby ogniste ptaki, na miasto i po za miasto. Palące się kartki papieru leciały aż za Narew, roznosząc postrach i pożar na wszystkie strony.

Kościoła prawie nie próbowano ratować, gdyż pierwej jeszcze zapaliły się otaczające go budowle. Gorąco było tu tak straszne, że gdy wreszcie zapłonął i kościół, ci, którzy nadbiegli go

ratować, zaledwie zdołali unieść życie, zostawiwszy na pastwę pożaru beczki z wodą i wszelkie narzędzia pożarne.

Naprzeciw kościoła stała ochrona dla starców. Obecnie sterczą po niej tylko trzy kominy i stos gruzów, z pomiędzy których przeświecają jeszcze żarzące się węgle.

Ogrom klęski przechodzi wszystko, co sobie można wyobrazić.

Od kościoła udaliśmy się z towarzyszem na rynek, aby od jednego ze znajomych zasięgnąć szczegółowych wiadomości. Noc już była zupełna. Na pogodnem niebie świecił pogodnie księżyc. Musieliśmy raz jeszcze przechodzić przez część miasta najbardziej spustoszoną, o której wspomniałem wyżej. Przy świetle księżyca wyglądała ona jeszcze straszniej i puściej niż o zmroku. Jednym wyrazem, określającym to miejsce, jest: okropność. Światło księżyca schodzi z jednego rumowiska, a wchodzi na drugie, rozświecając żałobne szczegóły. Wśród tej głuszy i martwoty, wśród fantastycznych rumowisk, wśród ciszy i niewytłómaczonych odgłosów, wśród bladych promieni księżyca i czarnych zwalisk, najodważniejsze serce ściska jakaś niepojęta trwoga. Zda się, że mieszka tu śmierć sama, taka śmierć, jaką przedstawiano nam w dzieciństwie: szkielet z pustemi jamami oczu i złowrogą kosą. Zda się, że wysunie się z pierw-

szego lepszego węgla, spojrzy ci w oczy i porwie cię za sobą w ciemność i nicość.

Jest to prawdziwe miasto śmierci.

Przebywszy je, weszliśmy w ulice, położone blizko rynku. I tu stoją całe szeregi domów spalonych, ale ściany ich trzymają się jeszcze i spoglądają na cię pustemi oknami, niby martwą źrenicą. Niektóre palą się, a raczej tlą jeszcze wewnątrz. Na ulicy stały tu i owdzie gromadki ludzi. Gromadki te rozmawiały z cicha. Spytałem ich, dlaczego nie gaszą tych domów, które się jeszcze nie wypaliły.

— A po co gasić? — odparł jakiś mieszczanin. — Już one i tak na nic. Żebyśmy mieli pomoc, jak się zaczęło palić — to co innego, ale teraz...

— A co zrobicie, jak z tych domów pożar rozszerzy się nanowo i ogarnie to wszystko, co się jeszcze nie spaliło.

— Ha! nic nie zrobimy. Źle mnie, źle i tobie. A zresztą to się i tak spali. Cały Pułtusk się spali. Na to już żadna siła ludzka nie pomoże.

Wszędzie taż sama apatya, taż sama bierna rozpacz i zdanie się na wolę żywiołu. Rynku jedna strona wypalona jest do szczętu, druga ocalała, dzięki szerokości placu. Naszego znajomego zastaliśmy w domu. Z całą uprzejmością udzielił nam wszelkich wiadomości. Prócz szpitala, ochrony, kościoła, biblioteki i progimnazyum,

z gmachów publicznych spalił się jeszcze sąd ze wszystkimi aktami, hypoteka, piękna bóżnica żydowska, dom, w którym mieściła się apteka, dom, w którym mieściła się księgarnia Rafalskiego, z której nie uratowano ani jednej książki, i około 500 innych prywatnych budowli. Pożar wszczął się między ulicą Kotlarską a Waliszewem. O przyczynach pożaru mówią rozmaicie: jedni przypuszczają podpalenie, inni wypadek, który tłómaczy się tem, że mieszkańcy, usunięci z mieszkań dla kwater wojskowych, gotowali jeść w stajniach i chlewach. Inni, nakoniec, twierdzą, że ogień ukazał się w piekarni żydowskiej, między ulicą Kotlarską a Waliszewem położonej. Która z tylu wersyi jest prawdziwą? niepodobna dziś orzec; wykryje to dopiero śledztwo sądowe, które zapewne wyjaśni także, dlaczego w czasie pożaru municypalność chodziła z rękoma w kieszeniach, zamiast ratować, a przynajmniej objąć kierownictwo ratunku.

Szkody obliczają dziś już na miliony rubli. Największe straty ponieśli mieszkańcy w towarach, które były nieubezpieczone, a których wartość wynosiła kilkaset tysięcy rubli. Dla mieszkańców miasta jest to klęska największa. Domy mogą się z czasem odbudować, ale to, co poszło nieubezpieczone z dymem i popiołem, pozbawiło na zawsze chleba niejednego z zamożnych jeszcze przed tygodniem kupców.

Również mniejsza jest strata w gmachach publicznych, niż w prywatnych. Gmachy publiczne, a zwłaszcza kościoły, jako leżące na placach, po większej części ocalały. Został kościół farny wraz z kanoniami, został Reformacki, kościół św. Magdaleny i dawny kościół Panny Maryi, obecnie ewangelicki; dalej ocalały: więzienie, poczta, biuro powiatu, stary ratusz, dawny zamek biskupi, dawny magazyn solny i koszary. Z prywatnych spaliła się za to tak ogromna większość, że o reszcie zaledwie wspomnę. Prócz jednej strony rynku, części miasta, zwanej Rybitwą, i części miasta ku Warszawie spaliło się wszystko.

Takie szczegółowe wiadomości zebraliśmy z towarzyszem moim na miejscu. O godzinie 12 ej wyszliśmy do znajomego znowu na miasto. Mimo spóźnionej pory, przed sieniami domów ocalonych stało mnóstwo ludzi. Wszyscy spodziewają się, że niedopalona reszta zapali się lada chwila, nikt zaś nie chce, żeby pożar zachwycił go podczas snu. Niektórzy bogatsi powysyłali swoje rzeczy z miasta aż za Narew; niektórzy nocują za miastem przy rzeczach, broniąc je od kradzieży. Kradzieży bowiem w czasie pożarów było takie mnóstwo, że niema prawie ani jednego mieszkańca, któryby znakomitej części rzeczy nie utracił. Wszyscy więc czuwają i wszyscy pilnują.

Rynek wyglądał zupełnie jak obóz. Ci, którzy nie pilnują domów po sieniach, ci, którzy nie mają nic do pilnowania, śpią spokojnie, jeżeli spokojnym można nazwać nocleg pod gołem niebem, często nawet bez siennika, a często i bez słomy, poprostu na kamieniach. Tam jedna nędza przytula się do drugiej.

Idąc, musieliśmy ciągle uważać, żeby kogoś nie nadeptać. Widok był dziwny i niezwykły. Tu ludzie śpią jak mogą, a tam się jeszcze miasto pali. Noc stała się ciemniejsza, więc i łunę widać było wyraźniej. Paliły się jeszcze niektóre domy w rynku, palił się jeszcze szpital i progimnazyum. Ale wogóle w mieście mało kto już zajmował się ratunkiem, tak dalece wszyscy byli znużeni. Wyszedłszy z rynku, nie spotkaliśmy już żywej duszy. Słyszeliśmy doskonale trąbkę przejeżdżającej ekstrapoczty, tak wielka była wszędzie cisza. Niedaleko poczty stał oparty o mur pijany człowiek i śpiewał: Ej! ej! ej! Zdaleka dochodziło wycie psów. Obok ruin i wycia psów — śpiew. Śpiew na zgliszczach! Ileż to kontrastów.

Na poczcie nie mogliśmy dostać koni, musieliśmy więc oczekiwać na kuryerkę, która miała przyjść o drugiej, a przyszła, mówiąc nawiasem, o czwartej. Po trosze drzemaliśmy, po trosze patrzali na miasto. Łuna nad szpitalem jaśniała jeszcze. Chwilami ciemniała, chwilami rozpalała

się nanowo. Tymczasem gwiazdy pobladły, latarnie przed pocztą poczęły różowieć i omdlewać. Poczęło szarzeć i świtać. Na wschodzie zabłysnął różowy pasek zorzy. Mogliśmy już wyraźnie odróżnić pobladłe z niewyspania i bezsenności twarze pasażerów, oczekujących na równi z nami na kuryerkę. Rozwidniło się tymczasem zupełnie, nim przyjechała. Wsiedliśmy, ozwała się trąbka pocztarska i — rzuciwszy ostatnie spojrzenie na nieszczęsne miasto, ruszyliśmy w drogę prosto do... redakcyi.

* * *

A teraz stój, czytelniku — jeszcze nie koniec: poczekaj na sens moralny tego opowiadania. Schowałem jeszcze jeden epizod, który *ad usum delphini* zamierzam teraz opowiedzieć. Kiedym, błądząc po zgliszczach i zwaliskach Pułtuska, zapalił cygaro, zbliżył się do mnie jakiś młody jeszcze, ubogo ubrany człowieczyna i tonem rozkazującym polecił mi je zagasić natychmiast. Zdziwiony tem niepomału, spytałem go o powody tego rozkazu.

— Mój panie, — odrzekł mi — mieliśmy dosyć nieszczęścia. Z pańskiem cygarem znowu pan gdzie zaprószysz ogień, i będziemy mieli nowy pożar.

Nie zrozumiałem wprawdzie, jak mogłem, nie zaprószywszy ognia poprzednio, zaprószyć go znowu, jak się wyraził ten człowiek, ale zgasiłem jednak cygaro i wdałem się z moim pogromcą w pogawędkę. Jak to, obywatelu?... każesz mi gasić moje cygaro w chwili, gdy w mieście palą się jeszcze gmachy, gdy słupy iskier tryskają co chwila złotymi strumieniami do góry, a wiatr je niesie i rozrzuca po dachach ocalonych domów? Każesz mi gasić moje cygaro, gdy pod każdym stosem gruzu leży drugi stos rozżarzonych węgli? każesz mi gasić moje cygaro na ulicy, w której nie ma się co palić, w której, gdybym był nietylko palaczem, ale nawet podpalaczem, nie zdołałbym już ognia zaprószyć? Mój Boże, co za ostrożność! co za ostrożność! A czytywałeś ty też, obywatelu «Chwilę Obecną?» a czy pamiętasz, ile razy w imię honoru, w imię poczucia obowiązku, w imię dobra ogółu, zachęcałem ciebie i podobne *animalia mammalia* do formowania ochotniczych straży pożarnych? Czy też w twej zakutej głowie, w której z czasem wróble będą gniazda kręciły, zakręciła się kiedy myśl, że trzeba i należy, że świętym obowiązkiem jest straż taką uformować i z toporem w dłoni biedz na ratunek bliźnim we dnie czy w nocy? — Nie. Zaiste nie! Wolałeś bić muchy na nosie, siedząc po całych dniach w miejscowej cukierni, wolałeś romanso-

wać z miejscowemi lafiryndami, wolałeś czernić wąsy trzygroszowym fiksatuarem, politykować na miejscowej poczcie, wypalać cygara okolicznych obywateli, wygładzać swój cylinder, wyciągać z za rękawów mankiety, czytać «Izabelę» i «Barbarę Ubryk», wolałeś to wszystko, cny obywatelu, obiecujący młodzieńcze, nadziejo na przyszłość, niż włożyć na głowę kawał blachy, zatknąć za pas siekierę i służyć swemu społeczeństwu w sposób najlepszy, w jaki możesz. Oto więc i masz! Kiedy się spali twoje miasto, kiedy kraj miliony straty poniesie, kiedy ty sam zostaniesz bez kawałka dachu nad głową, wówczas dopiero wyrośnie ci rozum, tam, gdzie poprzednio, dziw, że ci niepomiernie uszy nie wyrosły. Pamiętajcie, obywatele Mińska, Kałuszyna, Sochaczewa, Płońska i mnóstwa innych gubernialnych i powiatowych miast naszych, nie formujcie straży ogniowych, póki wam się miasta nie spalą! To tylko próżny wydatek. Bo jak się miasto spali, to przynajmniej jest dowód oczywisty, że straż jest wprawdzie złem, ale złem koniecznem. Wy myślcie sobie o czem innem: o arystokracyi, demokracyi, o biciu szos, o kwestyi wschodniej, o wojnie Anglii z ces. Birmańskiem — takie tylko bowiem sprawy są godne umysłów wielkich, na powagach miejscowych, niezbitych opartych.

Oto i wszystko, co wam miałem powiedzieć.

Naopowiadano mi się o niedolęstwie ratunku tyle, sam wreszcie widziałem tyle, że mam już dosyć. Ale widziałem i skutki tego. Wczoraj ludzie zamożni, dziś wyciągają rękę o kawałek chleba, który szlachcic z okolicy przysyła. Widziałem nędzarzy i żebraków; widziałem ojców rodzin płaczących nad losem dzieci; widziałem matki, które nie mogły karmić niemowląt, bo z głodu pokarmu im zbrakło; widziałem ruinę, zgliszcza, nędzę, rozpacz i łzy — i dlatego grożę jeszcze, i jeszcze ostrzegam, i jeszcze zachęcam, i uderzam jeszcze raz w tę opieszałość i niedołęstwo, której ofiary w Pułtusku miłosierdziu dobrych i kochających bliźniego ludzi polecam.

Gazeta Polska, 1875, Nr 163 z dnia 27 lipca.

XXIX.

Historya Muzeum Przemysłowego. — Ofiarność i jej warunki. — Składki na pogorzelców. — Deszcz. — Jedna szósta. — Stały teatr. — Jak można, wyjechawszy na wakacye, nie tracić dochodu w Warszawie. — Nudy. — Pan d'Auroche. — Fałszywa wieść o biurze stręczenia pracy. — Czy most, czy kanalizacya. — Komitet sanitarny. — Syrena. — Deszcz. — Zbiory. — Prawdopodobna ruina. — Kapitał i ziemia. — Videant...

Historya Muzeum przemysłowo-handlowego nie przestaje dotąd być pięknym snem, który śnił się i śni dotychczas prasie, ale który z rzeczywistością nie ma nic wspólnego. W swoim czasie, kiedy projekt ten powstał, zdawało się, że niech tylko przyjdzie pozwolenie, a natychmiast założymy takie muzeum, jakiego dotąd świat nie widział. Mówiono o funduszach, które na ten cel już miały być złożone; w zapale głoszono nawet, że i pozwolenie już istnieje; wcześnie rozrzewniano się bezpośrednim wpływem muzeum na podniesienie handlu i przemysłu

nakoniec pozwolenie przyszło, i na tem się wszystko skończyło. Co większa, pokazało się, że niema pieniędzy, niema lokalu, niema ludzi chętnych do ofiar i pracy, niema okazów w każdem podobnego rodzaju muzeum koniecznych, słowem, jak to mówią, niema tego zrobić ani czem, ani gdzie.

Oczywiście rzecz taka dałaby się przywieść do skutku tylko ofiarami ze strony ogółu, ale cóż robić, kiedy najofiarniejsze na świecie miasto, jakoś niezbyt okazało się pochopnem w tym wypadku. Na nieszczęście dla muzeum, niema w sprawie jego założenia nic, coby wstrząsało nerwy miasta, nic efektownego; jest to poprostu tylko pożyteczne. Najofiarniejsze miasto nie rozczula się w takim razie. Nie było przytem na dochód tego muzeum żadnego balu, na którymby ofiarność kawalerska mogła się wytańczyć z ofiarnością panieńską, a ofiarność ojcowska i macierzyńska przedrzemać na kanapach sali balowej. Niech to nikogo nie dziwi; nasze miasteczko właśnie dlatego nazywa się: najofiarniejsze, że u nas potrafią nawet drzemać na dochód rozmaitych spraw, mających większy lub mniejszy związek z dobrem ogółu. Drzemać na cele publiczne — czyż może być rozkoszniejsza drzemka na świecie, a zarazem czyż może istnieć sytuacya, w którejby milej było popuścić uczuciom obywatelskim wodze?

Równa się to chyba rozkoszy pożywania publicznych obiadów, wydawanych z okazyi rocznic i jubileuszów rozmaitych instytucyi, na których to obiadach członkowie odkrywają w sobie wzajemnie, a równie niespodziewanie jak szczęśliwie, przymioty, przypominające złoty wiek ludzkości. Ale znowu na nieszczęście dla muzeum, nie było z jego powodu żadnego obiadu. Nikt nikogo nie nazwał naszym znanym, nikt nie wznosił żadnych toastów; tak jest, nie było obiadu, więc nikt nie rozrzewnił się, nie rozpłakał, nikt przy jego końcu nie rozpinał kamizelki, by dać swobodniejszy oddech piersiom rozpieranym przez nawał ofiarno-publicznych uczuć, krótko mówiąc: nie było na dochód muzeum ani balu, ani koncertu, ani obiadu, ani fantowej loteryi, ani odczytów, pogrążających w ciągu jednej godziny głowy słuchaczów razem z ich uszami w oceanie wszechwiedzy i wszechmądrości — nie było ani tomboli, ani bazaru, więc niema i muzeum. Przepraszam, była jedna tylko rzecz: było w prasie głębokie poczucie potrzeby i pożyteczności takiego muzeum — ale to dla nerwowego miasta nie wystarcza.

Co prawda jednak, należy wyznać, że składki na pogorzelców ostatnich pożarów w Pułtusku, Opolu i Końskiej Woli poszły wcale nieźle. Złożono już dotychczas kilkadziesiąt tysięcy złotych, co zapewne przyniesie niemałą ulgę nie-

szczęśliwym, nie mającym ani dachu nad głową, ani kawałka chleba do zaspokojenia głodu. Dowodzi to jednak, że ogół nasz ma serce, i że zwłaszcza w chwili wzruszenia, gotów jest nie żałować datku. Szkoda tylko, że chwila taka nie trwa nigdy zbyt długo, i że raczej jest uniesieniem na razie, niż spokojnem, ale trwałem poczuciem obywatelskiego obowiązku. Niemałą także, lubo nie tak wielką, jak się spodziewano, pomoc przyniosły przedstawienia w teatrzykach ogródkowych. Na nieszczęście w czasie przedstawień w Eldorado i w Alhambrze padał deszcz, i to deszcz ulewny, co zmniejszyło liczbę widzów. Wystawiać się na niszczące działanie wody dlatego, że Pułtusk uległ niszczącemu działaniu ognia, wydało się Warszawianom zbyt hazardowną igraszką z żywiołami.

Dochód ten byłby nawet nic nie znaczący, gdyby nie to, że ze względu na cel przedstawień, teatrzyki były uwolnione od płacenia jednej szóstej dochodu brutto, opłacanej teatrowi stałemu.

Prawdę rzekłszy jednak, gdyby nie teatry ogródkowe, w Warszawie byłyby takie nudy, że ci wszyscy, którzy jeszcze zostali, pouciekaliby napewno choćby do Łukowa, który, jak dowiadujemy się, wytworzył sobie w tych czasach własny teatr amatorski. Czasy ogórkowe są u nas obecnie w zenicie. Przyjechał wpraw-

dzie niejaki pan d'Auroche, który mówiąc nawiasem, gdyby umiał po polsku, śmiało za Polaka nazwiskiem Dorosz mógłby uchodzić. Ten pan Dorosz pokazuje, jak tworzyła się ziemia, zwierzęta przedpotopowe, rośliny i niektóre inne rzeczy, które były niegdyś i znikły. Rzeczy to już dobrze znane i pokazywane nieraz, ale że w mieście nudno i brak nowin, znajdują swoich ciekawych.

Do wielkich nowin czasów ostatnich należała wieść o uformowaniu się biura stręczącego pracę. Doniósł o niej pierwszy *Kuryer Codzienny*, a powtórzyła i nasza gazeta. Na nieszczęście jednak, wieść ta okazała się zupełnie bezzasadną. Żadne takie biuro nie powstało, i nikt o jego założenie się nie starał. Wieść ta nie była nawet balonem próbnym, ale poprostu racą, która wyleciała w górę nie wiadomo z czyjej głowy, pękła, narobiła huku, dymu i blasku, a potem zgasła. Że jest wielu ludzi, umierających z głodu z powodu braku pracy, że biuro takie byłoby jedną z najbardziej filantropijnych instytucyi, o tem nikt nie wątpi; ale pewniki te nie więcej się dotąd do założenia podobnej instytucyi przyłożyły, niż np. wzdychania do kanalizacyi miasta do zaprowadzenia tejże kanalizacyi.

Przypominamy sobie, że niegdyś, nie bardzo nawet dawno, zawzięcie kłócono się o to: czy

trzeci most, prowadzący z Warszawy na Saską Kępę, czy kanalizacya? Nakruszono z tego powodu niemało piór i rozlano niemało atramentu; otóż rzeczywistość pogodziła nas w ten sposób, że dotychczas nie mamy ani trzeciego mostu, ani kanalizacyi, i że muchy się nawet ani na jedno, ani na drugie nie gonią. Cobyście np. powiedzieli, czytelnicy, o dwóch szczękających z zimna i zaledwie okrytych biedakach, którzyby się pobili o to: czy cieplej jest chodzić w zimie w sobolach, czy w gronostajach? A jednak podobne walki zdarzają się u nas często. Z powyższej odnieśliśmy tę naukę, że lepsze od mostu i od kanalizacyi są pieniądze, o których użycie dość jest kłócić się wtedy, kiedy już są. Obecnie, zamiast mostu, mamy suche koryto Wisły, zamiast zaś kanalizacyi specyalny tutejszo-miejski zapaszek, który kręci nas za nosy, jak sam chce, i który sprawi, że świeżo zawiązany komitet sanitarny będzie miał u nas cztery razy więcej roboty niż we wszystkich krajach europejskich.

O komitecie tym, nic więcej prócz tego, że został uformowany, powiedzieć nie można. Jakie będą jego szczegółowe czyny i przedsięwzięcia? przyszłość pokaże. Niektórzy mają nadzieję, że właśnie ów komitet zajmie się przeprowadzeniem, czyli przyprowadzeniem do skutku kanalizacyi. Daj Boże, ale wątpimy. Spodziewamy

się wprawdzie, że komitet ten nie zacznie prac swoich wzorem opiekuńczego komitetu, który miał czuwać nad przyszłym Zwierzyńcem, a który zaczął od tego, że wydał wyrok śmierci na zwierzęta; spodziewamy się, mówiąc wyraźniej, że komitet nie każe zanieczyścić miasta dlatego, żeby miał potem co oczyszczać; ale z kanalizacyą trudna sprawa. Komitet nie przeprowadzi jej przecież za własne pieniądze, a innych niema — chybaby nasza Syrena chciała zaciągnąć na ten cel pożyczkę, co przy jej środkach i kredycie nie jest rzeczą ani łatwą, ani nawet bezpieczną.

Prawdziwe to dziecię natury ta nasza Syrena. Naprzód — niech mi wybaczą czytelniczki — goła jest jak... święty turecki, a przytem, jak większość dzieci natury, brudna tak, że o zakładby pójść można, że brudniejsza Syrena nie egzystowała nigdy na świecie. Sama się myć nie ma zwyczaju — myją ją tylko deszcze niebieskie, te deszcze, które tak obficie w ostatnich czasach skrapiać ją poczęły. Jest to dla niej arcy pomyślna okoliczność, ale i deszcz, jak wszystko na świecie, ma dwie strony. Płócze miasta, to prawda, ale jednocześnie jakże okropnie wypłókuje kieszenie wieśniaków! Zewsząd dochodzą nas niepomyślne wieści. Sprzęt zbóż wogóle był utrudniony, a w wielu miejscach na garściach wszystko porosło. Klęska

nie jest tak wielką wprawdzie, żeby groziła głodem, ale przy dzisiejszym stanie finansowym obywateli wiejskich, najsłabszy nawet cios może zerwać tę wątłą, niby pajęczą nić, na której część majątków jest zawieszona.

Towarzystwo niemal co miesiąc ogłasza długie listy poległych na polu walki z ratami majątków; parcelacya, ta ostatnia dla wielu deska ratunku, utrudniona przez sumy Towarzystwa i hypoteczne; kredyt upadł.

Wogóle jest pewnikiem, że tam, gdzie kapitał użyty do produkcyi większego wymaga do opłacenia procentu, niż go może przynieść sama produkcya — tam ruina jest tylko kwestyą czasu. Ta prosta, a zarazem i straszna prawda zawisła, niby miecz Damoklesa, nad krajem. Niech mnie posądza kto chce o pesymizm, ale powtarzam jeszcze raz, że w tych warunkach rolniczych, przy dzisiejszym stanie kredytu, przy dzisiejszym stosunku kapitału do ziemi, ruina stanie się prędzej czy później powszechną.

Co potem będzie? kto się rozsiądzie w tych białych dworach, które z pośrodka lip patrzą na przechodnia? czyje pługi będą orały urodzajne, ale wysilone skiby ziemi? czyja siekiera przetrzebi do reszty i tak już przetrzebione lasy nasze? — łatwa odpowiedź. Kto jej nie może znaleźć, niech spojrzy na sąsiednią nam prowincyę Poznańską.

Ale jakaż jest rada? czy zło istotnie jest nieuleczone? Kredyt przy dzisiejszym procencie od kapitału trudny jest i niebezpieczny. Parcelowanie ziemi z innych względów niebezpieczne, często niemożliwe, zawsze najeżone przeszkodami; oszczędność, zaparcie się wygód, potrzeb, zaparcie się niejako własnej osoby — może już za późne — może to tylko półśrodek.

Kwestya to paląca, warta najgłębszego namysłu i najściślejszej dyskusyi. Co do mnie, nie pragnąłem jej wyczerpać. Nie tu czas ani miejsce. Pragnąłem jej dotknąć — i uczyniłem to. Pragnąłem zwrócić na nią uwagę.

Gazeta Polska, 1875, Nr 169 z dnia 4 sierpnia.

XXX.

Urodzaj na komitety. — Najnowsze pogorzelowe. — Miejscowy i warszawski. — Widowisko w cyrku. — Widowisko w Eldorado. — Członek zbyt gorliwy, czy zbyt ostrożny. — Nawał zajęć. — Nie można dwóch srok naraz chwytać. — Bis dat, qui cito dat. — Pomoc i jej warunki. — Historya o wróblach. — Filantrop i biedak, czyli ludowa logika. — Marudztwo. — Nienowa historya. — Pożar wczorajszy. — Straż i strażacy. — Ich zabawy. — Opowiadanie pułkownika. — Ratunek. — Kolej konna i publiczność, czyli coś nigdzie nie bywałego. — Nasze ultimatum. — Zabawa na Pradze. — Szpital na Pradze. — Warszawa. — Wielki człowiek w przejeździe. — Bitwa pod Sedanem i miejscowe komentarze. — Koniec.

Komitety mnożą się w ostatnich czasach u nas jak grzyby. Niedawno zawiązał się komitet sanitarny; również niedawno wspominaliśmy o sławnym komitecie opiekuńczym, który miał za zadanie założyć ogród zoologiczny, a który pozytywną działalność rozpoczął od wyroku śmierci na zwierzęta p. Bartelsa; obecnie mamy znów komitet pogorzelowy, którego zadaniem

jest uorganizowanie pomocy i rozdział funduszów zebranych przez redakcye na korzyść pogorzelców Pułtuska, Opola i Końskowoli. Pamiętam, że podczas mej bytności zaraz po pożarze powszechne były skargi na brak ratunku; myślę więc, że skoro nie ratowano miasta, kiedy się paliło, niechże więc przychodzą mu w pomoc, gdy się już spaliło. Istotnie, lepiej późno niż nigdy. Jest to przytem to, co Francuzi nazywają robieniem dobrej miny w złej grze. Wprawdzie gorliwość ta wydałaby o wiele zbawienniejsze owoce, gdyby była wcześniejsza, obecnie jednak trzeba pić takie piwo, jakiego się sobie nawarzyło.

Co do widowiska w cyrku, przyniosło ono plon obfity, odbyło się zaś tak, jak odbywają się wszystkie podobne widowiska. W środku cisnęła się strojna i hojna publiczność; grano, śpiewano, zbierano oklaski, wsławiano się; w sieni sprzedawały się programy, które znajomi, dostrzegani czujnem okiem dam sprzedających, musieli kupować. Staranność widowiska była wielka, koszt przedstawienia, dzięki zabiegłości komitetu i dobrej woli ludzkiej, prawie żaden, więc też i zyski znaczne. Mniej sprawności okazano w czuwaniu nad widowiskami dawanemi w teatrzykach ogródkowych. W Eldorado naprzykład, w dzień przedstawienia przybył jeden z członków i, ze zbytku gorliwości zapewne,

w kontrolowaniu sprzedaży biletów, zabrał je wszystkie z sobą, i tłómacząc się, że jak każdy człowiek, tak i członek ma swoje zajęcia, poszedł z nimi do domu, czy też do biura. Tymczasem przychodzili ludzie, rozpytywali się o bilety, a tu członka jak niema tak niema. Przyszedł wreszcie wieczorem, ale kasa została przez to otwarta zbyt późno. Wiele z tych osób, które przychodziły w chęci kupienia biletów, nie powróciło już po nie raz drugi, godzi się bowiem przypuszczać, że te osoby, jakkolwiek nie piastujące może honorowych urzędów w żadnym z istniejących u nas komitetów, miały także swoje zajęcia, nie pozwalające im latać po kilka razy po jedne i też same bilety. Skutkiem tego i całe przedstawienie wypadło mniej pomyślnie, niż mogło wypaść, tembardziej, że wieczorem zachmurzyło się niebo i groźba deszczu zawisła nad pogorzelców widowiskiem. Zbyt ostrożny i zbyt przeciążony zajęciami członek zwichnął sprawę. Miło jest wprawdzie należeć do komitetu; miło jest pomyśleć sobie: «Jestem mężem zaufania i cały ogół ma na mnie zwrócone oczy»; miło jest być nazywanym: nasz znany z dobroczynności i poświęcenia; miło jest ujrzeć po śmierci z nieba swój portret, wyryty w ilustracyi na ziemi, z obszernym życiorysem; milej jeszcze jest ujrzeć swój portret nie drzeworytowy, ale olejny, zawieszony w salce

Towarzystwa Dobroczynności, który miejscowe, tuczone zupą rumfordzką muchy pstrzą, jak im się tylko podoba, a okazowe dziady i baby podziwiają z palcem na ustach; miłe, powiadam, jest to wszystko, ale właśnie dlatego, nie trzeba się zbyt przeciążać zajęciami. Kto dźwiga na sobie ciężar miłosierdzia publicznego, niechże go dźwiga obu ramionami. Nie można jedną ręką podtrzymywać upadającą ludzkość, a drugą chwytać za ogon własną, czysto prywatną srokę. Skutek tego taki, że i sroka ucieknie i upadająca ludzkość rozbije nos o kamienie. Taka jest moja rada i takie moje obawy. Nie będę się sprzeczał, że każdy człowiek ma swoje zajęcia, kto ich jednak ma tyle własnych, że nie pozwalają mu zająć się jak należy publicznemi, niech dla platonicznego tytuliku ich nie tyka, inaczej i jedne i drugie na szwank narazi.

Ale to jeszcze nie wszystko. Łacińskie przysłowie mówi: *Bis dat, qui cito dat,* co się da także na język polski przełożyć i w ten sposób, że wszelka pomoc, aby była skuteczna, musi być natychmiastowa, inaczej nic nie warta. Tymczasem, ile wiem, pieniądze uzbierane z widowisk i składek, pościel, bielizna i ubiory, ponadsyłane przez prywatnych, w chwili, gdy piszę te słowa, nie są jeszcze odesłane na miejsce. Zwłoka ta jest, co prawda, dla mego prostac-

kiego umysłu niezrozumiała, sądzę nawet, że podobny ratunek jeśli nie jest natychmiastowy, jest poprostu chybiony. Gdy już każdy z pogorzelców utuli się, gdzie kto będzie mógł, gdy już każdy przyodzieje się, jak będzie mógł, gdy ten i ów znajdzie jaki taki zarobek, gdy większość opuści z głodu i chłodu zgliszcza rodzinnego miasta i rozejdzie się po okolicy, wówczas pomoc będzie albo musztardą po obiedzie, albo co gorsza, wykałaczką do zębów, ofiarowaną równie litościwie jak wspaniałomyślnie temu, kto nie jadł obiadu. Znamy dobrze historyę o dwóch wróblach: jeden zdychał z głodu, a drugi poleciał dla niego po wiśnie, ale że jakoś się zamarudził, więc gdy wrócił, zastał przyjaciela do góry brzuszkiem leżącego. Zalewałem się nieraz łzami nad losem nieszczęsnego wróbla; otóż obawiam się, aby nam nie przyszło zalewać się łzami podobnie nad losem niejednego Pułtuszczanina. Koldra jest okryciem bardzo miłem i ciepłem, ale tego, kto zmarł z zimna, można już śmiało zostawić w letnim kostiumie. Tak, moi panowie, a zarazem i łaskawi czytelnicy! Budować owczarnię dla owiec, które poprzednio wilki wydusiły — jest przedsięwzięciem, przypominającem chyba filantropijną budowę szpitala miechowskiego, w którym jest wszystko, tylko na utrzymanie chorych nie starczyło. Gdyby upusty komitetowego miłosierdzia otwierały się

co każde sto rubli, jakie skutkiem składek napływały, sądzę, że tej chłodzącej wody więcej spragnionych mogłoby się napić. Składki płynęłyby swoją drogą, i w miarę jakby się zbierały, możnaby je stopniowo odsyłać na miejsce. Lubimy marudzić, to nasza wada. Jak będziesz się uczciwie sprawiał, to nie będziesz goły i będziesz syt — mówił pewien filantrop do pewnego mizeraka, który chudy był jak treść niektórych prelekcyi dobroczynnych i świecił łokciami nakształt dyetaryusza naszych prywatnych i publicznych instytucyi. — Nie, proszę pana — odpowiedział on nieborak — jak nie będę goły i będę syt, to się będę dobrze sprawował. — Nazywa się to w ludowym języku: przewrócić barana do góry nogami. Jak się więcej zbierze, więcej dostaniecie — mówimy Pułtuszczanom. — Nim się więcej zbierze, pomrzemy z głodu — mogliby nam odpowiedzieć; nim się więcej zbierze, spali się jeszcze jakich kilka miast, i mniej dostaniemy. Och! odpowiedziby nie zbrakło. Tak! lubimy marudzić. Historya podobna nie pierwszy raz trafia się w Warszawie. Pamiętam, parę lat temu była powódź, Wisła wylała; od tej powodzi szczególniej ucierpiała Praga. Składki były znaczne, znakomite nawet; utworzył się jakiś komitet, nie pamiętam już z kogo złożony, i pomoc doszła powodzian akurat jakoś w pół roku, mniej więcej wtedy, kiedy zapomniano już o po-

wodzi, choćby dlatego, że woda na Wiśle była starej gęsi po kolana, jak mówi przysłowie. Pamiętam, że z miesiąc po powodzi mieszkańcy domów pobrzeżnych gnieździli się w jakichś konarach czy czemś podobnem, jeden na drugim, po stu w jednej izbie. Właśnie wtedy komitet składał sesye.

Wspomniałem o możliwości nowych klęsk ogniowych. Nie przesadziłem nic a nic, moi czytelnicy. O pożar latem łatwo. Nie dawniej niż wczoraj, a raczej dziś, bo z poniedziałku na wtorek, straże nasze były zaalarmowane łuną pożarną. Wywieszono latarnie na wieżach, i wkrótce głuchy turkot pędzących po historycznym naszym bruku wozów oznajmił, że straż bieży na ratunek. Śliczny i malowniczy to widok, gdy wśród nocy dzielna ta straż — to oko w głowie Warszawy i chluba nasza — biegnie do walki z żywiołem. Po ulicach migają krwawe światła kaganków; brzmią okrzyki torujących drogę konnych strażaków; dźwięczą łańcuchy; turkot wozów huczy nakształt podziemnego grzmotu; rozlega się szelest i rżenie koni, a straż cała w złoconych hełmach, z toporami za pasem, w towarzystwie kominiarzy, biegnących niby złe duchy za wozami, pędzi, świeci, krzyczy i znika z przed oczu, jakby jaki orszak piekielny, zarówno gwarny, jak straszny.

Do jakiego stopnia dochodzi odwaga i lekce-

ważenie życia tych ludzi, dowodem niech posłużą ich zabawy i zakłady. Podrzucać pochodnię rozżarzoną w górę i łapać ją jedną ręką, jest dla nich igraszką. Czybyście uwierzyli, czytelnicy, temu, czemu i ja wierzyć nie chciałem, że zdarzyło się, iż o zakład skakali z wieży strażniczej na ziemię. A jednak opowiadał to zmarły zacny pułkownik Majewski, dowódca straży. Przychodzę raz — mówił — i słyszę, że się zakładają o dziesiątkę, kto zeskoczy z wieży. Krzyknąłem na nich: «Dałbym ja temu, ktoby się ośmielił, ktoby spróbował!» Aż tu występuje jeden młody chłopak, sprawny wisus, zgrabny jak kot; występuje, salutuje i mówi: — Panie pułkowniku, to nie trudno. — A próbowałeś? — Albo raz. — Co ty powiadasz, trutniu? — Próbowałem, panie pułkowniku, i jeśli pan pułkownik pozwoli... — Zabijesz się, nie pozwolę. — Nie zabiję się. — Pamiętaj, że licho cię porwie. — Młody strażak chwycił za miotłę z drągiem i znikł. Wkrótce ujrzano go na wieży. — Stój! pójdź tu natychmiast! — zawołał pułkownik! — Według rozkazu idę, pułkowniku! — odkrzyknął strażak, chwycił miotłę silnie rękoma, ścisnął ją kolanami i rzucił się z balkonu. — Pułkownik zamknął oczy i nie śmiał ich otworzyć; aż tu nagle zabrzmiał mu nad uszami znany głos: — Jestem, panie pułkowniku! Dowódca spojrzał:

młody chłopak stał przed nim wesoły, rumiany, uśmiechnięty, z miotłą w ręku.

Dzielny pułkownik dał mu dwadzieścia pięć rubli za nagrodę, i jeszcze kazał dać dwadzieścia pięć... ale nie rubli, żeby zbyt często szczęścia nie próbował.

Sztuka, jak mówił, polega na tem, że spadający uderzał naprzód o ziemię miotłą, odbijał się i spadał już tylko z odbicia, pędem zupełnie osłabionym.

Tacy to są strażacy.

Wczoraj pożar wybuchnął nie w obrębie miasta, ale tuż za rogatkami Belwederskiemi, w cegielni. Spaliła się szopa, pod którą suszą się cegły, a raczej nie spaliła się zupełnie, bo nie pozwolił na to ratunek. Byłem przy ogniu i patrzałem, jak się rzecz odbywała.

Przyjechałem prawie równo ze strażą; ale nim zdążyłem wysiąść z dorożki, już promień wody zalewał buzujące się płomienie, a nad dachem błyszczały topory strażaków. W pół godziny dach był zerwany, sąsiednie dachy zmoczone wodą, jak w czasie największej ulewy; płomienie zalane zgasły, zrobiło się ciemno, czarno. Tylko dymy snuły się nieśmiało i czołgały, jakby obawiające się strażników, przy ziemi. Świeciły tylko kaganki przy beczkach i pochodnie.

Gdyby to tak w Pułtusku, taka straż! gdyby

w Siedlcach, Międzyrzycu, Końskowoli, Opolu *et caetera, et caetera!!!*

W Warszawie o niczem innem nie mówią, tylko o pogorzelcach, składkach i tym podobnie. Fakty te i rozmowy tak dalece pochłaniają wszystkich, że nikt nie zwraca uwagi na nic innego. A jednak dzieją się u nas rzeczy nadzwyczajne, jakie nie dzieją się nigdzie na świecie, godne zarówno kronikarskiego, jak publicznego oka.

Jedną z takich ciekawych historyi jest historya naszych omnibusów kolejowych, czyli kolei żelaznej konnej. Omnibusy te nie dowożą już pasażerów na kolej Terespolską. A czy wiecie dlaczego? Nie. Więc słuchajcie, jak mówi pan Jowialski. Oto pewnego razu omnibus taki jechał z przed Bernardynów do kolei Petersburskiej, a następnie do Terespolskiej. Nagle tuż za mostem omnibus zatrzymuje się, konduktor zagląda przez drzwiczki i mówi:

— Wysiadać.

— Co to jest? my jedziemy do kolei Terespolskiej — wołają pasażerowie.

— Nie pojedziemy do kolei Terespolskiej — odpowiada ze spokojną godnością dygnitarz, zbrojny w blaszaną puszkę.

— Dlaczego?

— Bo na drodze stoją trzy wagony.

— To każ pan odjechać trzem wagonom.

— Trzy więcej znaczą niż jeden. Wysiadać!!

Pasażerowie przekonani z pomocą arytmetyki, wysiadają i śpieszą do owych trzech wagonów, przy których znajdował się jakiś drugi dygnitarz od tejże konnej kolei. Przybiegłszy, pytają o powody.

Pytają o powody!! Co za zuchwalstwo! Dygnitarz wysuwa naprzód wargę i patrzy na suplikantów wzrokiem, w którym maluje się zdumienie. Onby miał odpowiadać! On dziwi się sam sobie, że dotąd nie obrócił w proch zuchwalców. Zastanawia się przez chwilę; następnie obraca ich w proch, i nie odpowiada, bo do prochów, jak wiadomo, niema co mówić.

Prochy jednak skarżą się, dopominają o zwrot pieniędzy, narzekają na zawód.

Dygnitarz wybucha!

— Jak nazwisko tego, który tu najgłośniej krzyczał? — woła z wysokości swego majestatu.

Człowiek, który najgłośniej krzyczał, blednie. «Oho! już po mnie — myśli sobie. — Obrazić takiego człowieka. Któż go tam wie, co to za jeden? Może to... (tu następuje szereg przypuszczeń) takie ma świecące guziki... A nuż każe wziąć do kozy?»

Nieszczęśliwy nie przewidywał, że stanie się nierównie gorzej. Aleksander Macedoński obra-

ził się na mieszkańców Tyru — to wiadomo z historyi Skrzypińskiego — dygnitarz omnibusowy gniew swój przeniósł z jednego mieszkańca na wszystkich mieszkańców Warszawy i postanowił ich ukarać.

Obecnie kara dokonywa się.

Omnibus kolejowy od owego pamiętnego dnia nie chodzi już wcale na kolej Terespolską.

Wszyscy cierpią dlatego, że ktoś ze świecącymi guzikami obraził się na kogoś bez świecących guzików. Niepodobna przypuścić, żeby to były inne powody tej przerwy w komunikacyi, bo przerwa nastąpiła ściśle od dnia obrazy, od owego dnia, który jako *dies irae* długo popamiętamy.

A co? czy nie prawda, że tylko u nas przytrafiają się podobne rzeczy? Myśmy sądzili dotychczas, że magistrat oddał eksploatacyę drogi konnej Towarzystwu drogi Petersburskiej, na warunkach, aby omnibusy łączyły trzy dworce kolei żelaznej; pokazuje się, że myliliśmy się najfatalniej. Widocznie agent wysyłał tylko z łaski omnibus aż do kolei Terespolskiej; widocznie był to wielki filantrop i wielki dobroczyńca kraju, dbał o jego komunikacye — przyczyniał się zatem do rozwoju przemysłu, handlu, a myśmy go obrazili tak niebacznie! Cóż więc dziwnego, że wielki mąż wstrzymał zdrój lask? Pytanie: co teraz będzie?

Na wszelki wypadek, prosimy Towarzystwo drogi Petersburskiej o łaskawą i nie późną, ale natychmiastową odpowiedź.

Inaczej poświęcimy mu wiele jeszcze ustępów, równie pełnych uwielbienia dla porządku panującego w jego przedsięwzięciach. Oto nasze ultimatum.

Jesteśmy na Pradze, więc pomówmy o Pradze. W niedzielę odbyła się tam lot... chciałem powiedzieć nie loterya, ale zabawa kwiatowa w parku Aleksandrowskim, która właśnie miała w sobie to nowego, że nie było na niej loteryi. Mojem zdaniem, zupełnie to słuszne. Loterye, bądź co bądź, zwłaszcza na ludzi prostych, mniej wykształconych, i na dzieci wywierają wpływ do pewnego stopnia demoralizujący; że zaś zabawy podobne mogą się bez nich odbyć, dowodem niedzielna, która, lubo pozbawiona tej przynęty, była jednak dość liczna, i wogóle powiodła się nieźle. Dochód z niej przeznaczony jest na szpital praski, na ten ubogi przytułek wszelkiego rodzaju biedaków, na tę poczciwą gospodę cierpiących, która często bywa dla nich ostatnią gospodą w życiu. Zasiłek to niewielki wprawdzie, nie na długo wystarczy, ale zawsze to coś znaczy. W każdym razie pamięci ludzi uczciwych i prawdziwie, nie na efekt, miłosiernych, polecamy tę pożyteczną prawdziwie i chrześcijańską instytucyę.

Wróćmy do Warszawy. Cóż mam więcej wam o niej powiedzieć? A, prawda! O mało nie zapomniałem. Miasto nasze ma zaszczyt mieć w murach swych wielkiego artystę. Jest nim niejaki pan Clementini, Wenecyanin, który grywa na harmonijce, ale: nie rozchodźcie się! — jak mówią studenci, nie myślcie, żeby na takiej harmonijce, jak u nas stróże grywają co niedziela: «Sułtanem to być los!» — o nie, wcale. Pan Clementini grywa na dwa razy większym instrumencie, a przytem podnosi oczy w niebo, to je zamyka, to rzuca głową w tył, to brodę podaje naprzód, słowem pozwala się w zupełności owładnąć natchnieniu i robić z sobą, co się mu (t. j. natchnieniu) podoba.

Naturalnie, że tak wielki człowiek nie mógł umyślnie przyjechać do tak nędznego, jak nasze, miasta, ale bawi tu, wedle doniesień afiszów, tylko w przejeździe do jakiegoś ogromnego grodu, bodaj czy nie do... Pacanowa. Produkuje się zaś w Eldorado w międzyaktach, gdzie wstrząsa nerwy i dusze słuchaczów utworem własnej kompozycyi, zatytułowanym: «Bitwa pod Sedanem». Słyszałem nader charakterystyczną sprzeczkę, którą jak następuje wam powtarzam.

Artysta wychodzi na scenę. Natchnienie porywa go, skutkiem czego artysta krzywi się jak środa na piątek, wznosi oczy w górę, wzdy-

cha i poczyna grać. Instrument wydaje tony, podobne do odgłosu, jaki sprawia woda deszczowa, ciekąca z rynny.

— Co to jest? — pyta się ktoś za mną.

— Hm! — odpowiada drugi głos: — ja byłem na wojnie, to ci wytłómaczę.

Woda wciąż cieknie.

— Ja myślę, że to żołnierze czyszczą broń — lufy — myślę — czy co? A może to narada jenerałów, tylko nie wiem czy pruskich, czy francuskich.

Woda wciąż cieknie.

Głos pierwszy. Ale to coś długo trwa.

Głos drugi. Prawda.

Instrument sprawia odgłos, jakby ktoś łamał patyki, a potem odzywa się trąbka.

Głos pierwszy. Oho!

Głos drugi. Odwodzą kurki i trąbią. Zaraz będą strzelali.

Instrument strzela.

— Masz tobie, otóż i bitwa. Słyszysz? Teraz słychać bębny. W tej chwili biorą do niewoli Napoleona.

Instrument poczyna sapać, poczem wydaje głos:

— Trrr! trrr! trrr!

— Co to?

— A toż mu dali! To bębny po zwycięstwie. Nie! co ja mówię. To Napoleon. Aha! stchórzył!!

Instrument, jak wyżej.

W ten sposób, człowiek obdarzony silną wyobraźnią może sobie bez żadnego niebezpieczeństwa widzieć bitwę pod Sedanem. Ale dlaczego pod Sedanem? Można sobie i jaką inną wyobrazić. Wszystko jedno. Właśnie to jest dobre w tem wszystkiem, że każdy słyszy to, co chce. Naturalnie, że po takiej bitwie i po w porę zaaplikowanym do uszu słuchaczów wystrzale zrywa się cała burza oklasków, artysta zaś kłania się zlekka, przeświadczony, że oklaski te nie są czczą grzecznością, ale podziwem i zachwytem z głębi serca płynącym.

Dziwi nas tylko, że Eldorado użyło tak wielkiego człowieka tylko do wypełnienia międzyaktów. Eldorado wprawdzie dla siebie dobrze zrobiło, bo kto ma iść na piwo, ten i tak sobie pójdzie, kto zaś chce zostać, ten się w międzyaktach nie nudzi. Zresztą nikt nikogo nie zmusza. Można być jak u siebie. Eldorado więc dobrze zrobiło, tylko jakże można tak pospolitować taką wielkość!

On przecież bawi u nas tylko w przejeździe.

Założylbym się, że w Pacanowie lepiej go ocenić potrafią.

Tyle jak na dziś spraw bieżących.

Gazeta Polska, 1875, Nr 174, z dnia 10 sierpnia

KONIEC TOMU PIĘĆDZIESIĄTEGO DZIEWIĄTEGO.